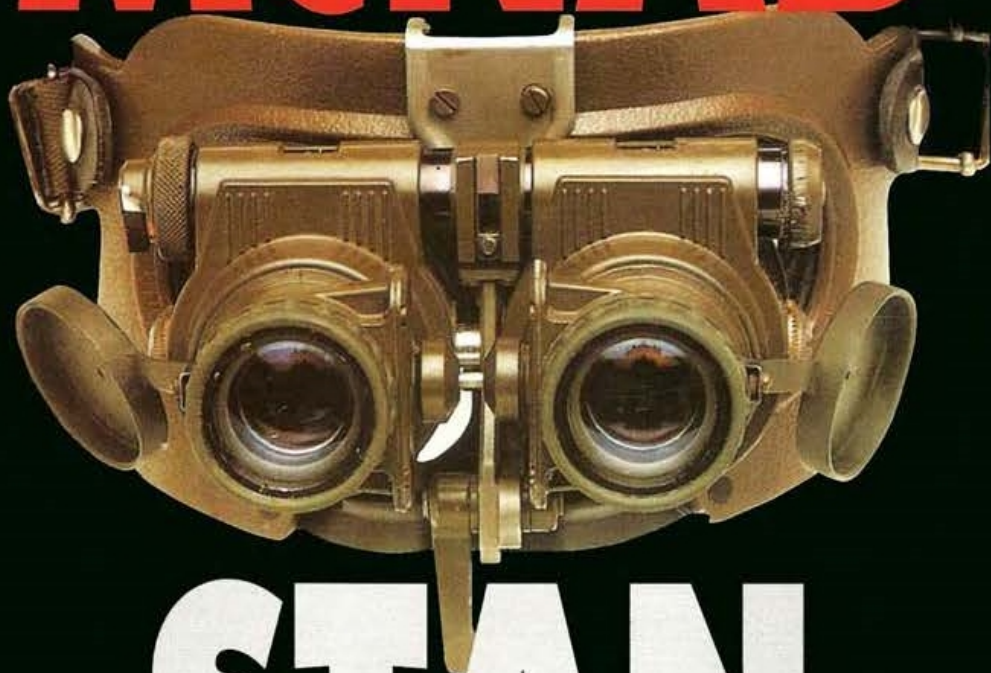


Andy
McNAB



STAN
ZAGROŻENIA

LIBROS

Andy
McNAB

STAN
ZAGROŻENIA

Z angielskiego przełożył
Janusz Skowron



LiBROS

Grupa Wydawnicza Bertelsmann

Pamięci Edwarda C.S. Hoopera ur. 30 X 1979 – zm. 15 IV 1999

Wszystkie postaci występujące w tej książce są fikcyjne. Wszelkie podobieństwo do postaci żyjących czy też nieżyjących jest całkowicie przypadkowe.

Październik 1995

Poniedziałek, 16 października 1995

Syryjczycy nie żartują, kiedy uznają, że ktoś narusza ich przestrzeń powietrzną. Parę minut po przekroczeniu ich granicy samolot jest wityny przez trzy myśliwce przechwytyjące. Trzymają się tak blisko, że można pomachać ręką pilotom, ale oni nie odpowiadają podobnym pozdrowieniem. Przecież przylecieli po to, żeby naocznie rozpoznać sytuację i jak im się nie spodoba to, co zobaczyli, to zestrzelią nieproszonego gościa rakietami powietrze-powietrze.

Oczywiście nie stosują podobnej procedury, gdy na ekranach ich radarów pokazują się punkciki niewinnych samolotów cywilnych, dlatego więc nasza czwórka wybrała tę metodę przeniknięcia na ich terytorium. Jeżeli Damaszek żywiłby cień podejrzenia co do przyszłych wydarzeń na pokładzie lecącego z Delhi do Londynu samolotu British Airways, to ich myśliwce zostałyby poderwane w powietrze już w momencie, gdy nasz boeing 747 opuszczał przestrzeń powietrzną Arabii Saudyjskiej.

Wierciłem się, usiłując znaleźć wygodną pozycję, i brała mnie zazdrość na myśl o tych wszystkich ludziach siedzących na górze za pilotem, którzy pewnie byli już po piątym ginie z tonikiem, oglądali drugi z kolei film i wgrzali się w trzecią porcję boeuf en croûte.

Przedemną znajdował się Reg 1. Miał około metra osiemdziesięciu pięciu wzrostu i posturę szafy dwudrzwiowej, więc pewnie było mu jeszcze gorzej niż mnie w tym ciasnym pomieszczeniu. Wszędzie plątały się jego kręcone czarne, tu i ówdzie siwiejące włosy. Podobnie jak ja, zanim odszedłem ze służby w 1993 roku, Reg 1 wykonywał zadania dla służb wywiadowczych, również dla amerykańskich; Kongres nigdy by ich nie zaaprobował. Podczas służby w pułku robiłem podobne rzeczy, ale obecna misja była dla mnie pierwszą, odkąd zostałem „K”.

Biorąc pod uwagę, przeciwko komu była skierowana, nikt z nas nie próbował nawet myśleć o tym, czy uda nam się przeżyć do następnego zadania.

Spojrzałem w półmroku na Sarę. Miała zamknięte oczy i nawet w tym bladym świetle widziałem, że nie wygląda na najszcześniejszą. Może po prostu nie lubiła latać bez obowiązkowego szampana i domowych pantofli. Minęło już sporo czasu, odkąd widziałem ją ostatnio, ale nie zauważyłem, żeby coś się w niej zmieniło oprócz włosów. Nadal były bardzo proste, niemal jak u mieszkanki Azji Południowo-Wschodniej, jednak już nie czarne, lecz kasztanowe. Zawsze miała krótkie włosy, a do tego zadania zrobiła sobie fryzurę z kucykiem i grzywką. Miała zdecydowane, wyraziste rysy twarzy, duże brązowe oczy i wystające kości policzkowe, odrobinę za duży nos i usta, które prawie zawsze były surowo ściągnięte. Na starość nie groziły jej zmarszczki mimiczne. Jej szczery uśmiech, ciepły i życzliwy, najczęściej wyglądał tak, jakby po prostu odgrywała jakąś rolę. Zaskakujące jednak było to, że potrafił ją rozbawić byle drobiazg. Nos zaczynał jej wtedy drgać, a cała twarz rozjaśniała się w promiennym, niemal dziecięcym uśmiechu. W takich momentach wyglądała jeszcze piękniej niż zwykle, może nawet zbyt pięknie. W naszym fachu czasami stanowi to niebezpieczeństwo, gdyż mężczyźni rzadko potrafią sobie darować kolejne spojrzenie, ale przez trzydzieści pięć lat życia nauczyła się wykorzystywać swój wygląd we właściwy sposób. Dzięki temu była jeszcze bardziej pozbawiona skrupułów, niż wydawało się to wielu ludziom.

Wszystko na nic - nie mogłem znaleźć wygodnej pozycji. Tkwiliśmy w samolocie prawie od piętnastu godzin i wszystko zaczynało mnie boleć. Odwróciłem się na lewy bok. Nie mogłem dostrzec Rega 2, ale wiedziałem, że jest gdzieś w mroku po mojej lewej stronie. Bez problemu odróżniłem go od Rega 1, bo był od niego o dwadzieścia pięć centymetrów niższy, a jego włosy wyglądały jak garść ciemnoblonde wełny. Znałem tylko ich służbowe numery i nie wiedziałem o nich nic poza tym, że podobnie jak ja zostali nie dalej niż trzy tygodnie temu obrzezani i że ich bielizna tak jak moja została wyprodukowana w Tel-Awiiwie. Było to wszystko, co chciałem o nich wiedzieć, podobnie jak o pozostałych komandosach oznaczonych pseudonimami od Reg 3 do Reg 6, którzy na miejscu już na nas czekali. Nawet fakt, że jednym z nich był mój stary kolega, Glen, nie zmieniał mojego podejścia.

Po chwili znowu leżałem twarzą do Sary. Tarła oczy pięściami jak rozespiane dziecko. Postanowiłem się zdrzemnąć i kiedy pół godziny później nadal próbowałem sobie wmówić, że śpię, poczułem kopnięcie w nogę. To Sara uznała, że trzeba mnie obudzić. Usiadłem w śpiworze i wpatrzyłem się w półmrok. Trzej ładowacze chodzili po luku bagażowym, oświetlając sobie drogę przymocowanymi do kasków lampkami. Żeby nas nie oślepić, używali lampek o przytłumionej czerwonej barwie światła. Wszyscy mieli na twarzach maski tlenowe, od każdej odchodziła rurka. Dotykali jej instynktownie dłońmi, żeby ochronić tę pępowinę przed przerwaniem albo odłączeniem się od źródła tlenu.

Rozsunąłem suwak śpiwora i od razu poczułem, jak zimne powietrze z ładowni boeinga przenika mój ochronny snajperski ubiór. Żaden z pasażerów ani z członków załogi nie wiedział, że tu na dole upchano ludzi. Nikt też nie znalazłby na liście pasażerów naszych nazwisk.

Złożyłem śpiwór, zostawiając wewnątrz dwa „pojemniki lotnicze”, które napełniłem podczas lotu. Są to plastikowe pojemniki ze zwrotnym zaworem, w które oddaje się mocz. Byłem ciekaw, jak sobie poradziła z tym Sara. Ja sam miałem spore kłopoty, bo mój członek nadal piekielnie bolał, ale kobieta jest jeszcze w gorszej sytuacji podczas długiego lotu, jeśli dysponuje urządzeniem zaprojektowanym dla mężczyzn. Tak samo kobiety kierujące tajną operacją. Postanowiłem, że koniecznie muszę ją o to zapytać. To znaczy, jeśli przeżyjemy i nadal będziemy mieli ochotę ze sobą rozmawiać.

Zupełnie nie mogłem zapamiętać, gdzie jest lewa strona samolotu, a gdzie prawa. Pamiętałem tylko, że jak się popatrzyło na samolot od przodu, to byliśmy w małej ładowni na tyłach, a drzwi znajdowały się po lewej stronie. Przytrzymałem swoją rurkę tlenową, kiedy przechodził nad nią ładowacz. Zahaczył ją nogą, zsuwając mi nieco maskę z twarzy. Poprawiłem maskę i poczułem mokre, kleiste i nagłe oziębione wnętrze.

Wziąłem cara 15, czyli zmodyfikowaną wersję karabinu automatycznego M16 Armalite kalibru 5,56 mm z teleskopową kolbą i skróconą lufą. Przeładowałem broń i zabezpieczyłem. Przerzuciłem przez lewe ramię przywiązaną do broni zieloną linkę spadochronową i przesunąłem karabinek na plecy, lufą do dołu. Na to dopiero miał pójść spadochron.

Wsunąłem dłoń pod snajperski ubiór, żeby wydobyć dzie-więciomilimetrową berettę, którą miałem w przytwierdzonej do prawego uda uprzęży. Również ją przeładowałem i odsunąłem o kilka milimetrów zamek, żeby sprawdzić komorę naboju. Obróciłem broń tak, żeby padło na nią światło lampki jednego z ładowaczy i dojrzałem blask umieszczonego w komorze naboju.

Było to moje pierwsze zadanie „pod obcą banderą” i występowałem w nim jako żołnierz izraelskich oddziałów specjalnych. Poprawiając sobie uprzęż na nodze, znowu zacząłem żałować, że nie miałem trochę więcej czasu, by dojść do siebie po obrzezaniu. Nie goiło się tak szybko, jak mówiono. Rozejrzałem się dookoła, wkładając sprzęt, w nadziei, że inni odczuwają przy tej pracy podobny ból.

Nasze zadanie polegało na zdobyciu informacji, co kombinuje w Syrii nowy wróg publiczny Zachodu, saudyjski mul-timilioner, a od pewnego czasu również terrorysta: Osama bin Laden. Zdjęcia satelitarne zarejestrowały w pobliżu źródeł rzeki Jordan maszyny do prac ziemnych i inne ciężkie urządzenia należące do firmy budowlanej bin Ladena. W dole rzeki leżał Izrael i jeżeli jego główne źródło wody miałyby być przegrodzone, skierowane w innym kierunku lub też w jakiś inny sposób zmienione, to Zachód musiał o tym wiedzieć. Na Zachodzie obawiano się powtórki wojny z 1967 roku, a jeśli w okolicy znajdował się bin Laden, to sprawa nie przedstawiała się optymistycznie. Clinton nie bez powodu nazwał go „wrogiem publicznym Ameryki numer jeden”.

W ramach naszej misji mieliśmy uprowadzić człowieka pełniącego funkcję prawej ręki Osamy, który ze względu na bezpieczeństwo działań operacyjnych znany był nam tylko pod kryptonimem „Źródło”. Jego prywatny samolot odrzutowy dostrzeżono na jednym z pobliskich lądowisk. Stany Zjednoczone chciały wiedzieć, co się dzieje w Syrii i, co jeszcze ważniejsze, w jaki sposób mogą dopaść Osamę. Jak nam powiedział facet prowadzący odprawę, „Bin Laden reprezentuje całkowicie nowe zjawisko: działania terrorystyczne bez poparcia rządowego, wspierane przez bardzo bogatego, kierującego się pobudkami religijnymi przywódcę, który pała wielką nienawiścią zarówno do Zachodu, szczególnie Ameryki, jak i do Izraela oraz laickich środowisk arabskich. Należy go powstrzymać”.

Byliśmy już gotowi, więc po przejściu ładowaczy pozostało nam tylko trzymać się żeber samolotu i czekać. Przez następne kilka minut nie mieliśmy nic do roboty. Mogliśmy tylko marzyć albo opadać nas strach. Każde z nas przebywało we własnym mikroświecie. Przed operacją niektórzy są przerażeni, a inni podnieceni. Co chwila widziałem światło czerwonych lampek odbijające się w oczach moich współtowarzyszy. Przypatrywali się swoim butom albo jakiemuś punktowi przed sobą i myśleli o żonach, dziewczynach lub dzieciach, albo o tym, co będą robić po tej misji. A może rodziło im się w głowie pytanie: Co ja tu, do kurwy nędzy, w ogóle robię?

Sam nie wiedziałem, o czym myśleć. Jakoś nie ruszało mnie, że umrę i już nigdy nikogo nie zobaczę. Nawet mojej żony, kiedy byłem żonaty. Zawsze czułem się jak hazardzista, który nie ma nic do stracenia. Większość ludzi uprawiających hazard gra o wysoką stawkę, ja wiedziałem, że nawet jeśli przegram, to nie zrobię skoku na bank.

Obserwowałem, jak czerwonogłowi pakują nasze rzeczy do wielkich aluminiowych pudeł. Kiedy już wyskoczymy i zanikną z powrotem drzwi, upchną w tych pudłach to, co zostawiliśmy, i będą

czekali, aż ktoś się nimi zajmie w Londynie. Dwaj z nich zaczęli systematycznie przeglądać wnętrze ładowni w świetle lampek, aby sprawdzić, czy jest jeszcze coś, co mogłoby zostać wysane na zewnątrz, kiedy otworzą się drzwi. Wszelkimi sposobami należało nas chronić przed zdemaskowaniem.

Otrzymałem rozkaz, by przestawić się na własny zasób tlenu, odłączyć się od urządzeń samolotu i czekać w pogotowiu. Sara stała przed Regiem 1, który miał wyskoczyć razem z nią. Zawsze mnie zadziwiała. Jako członek Grupy Wywiadu znajdowała się na samym szczycie łańcucha pokarmowego służb wywiadowczych. Tacy jak ona zazwyczaj siedzą cały czas w ambasadach, udając dyplomatów. Ich życie powinno składać się z jednego łańcucha bankietów i co najwyżej powinni rekrutować wtyczki podczas koktajli, a nie miotać się po świecie z karabinem. Jednak Sara zawsze się upierała, że osobiście doprowadzi robotę do końca.

Miała na twarzy maskę i gogle i sprawiała wrażenie, że coś takiego robiła już tysiąc razy. Jednak rzeczywistość przedstawiała się inaczej: pierwszy w życiu skok oddała przed trzema tygodniami, ale podeszła do sprawy tak poważnie, że przeczytała z dziesięć książek na temat swobodnego spadania i знаła więcej faktów i liczb na ten temat niż my wszyscy razem wzięci.

Odrzuciła się i napotkała mój wzrok. Skinąłem głową na znak, że wszystko w porządku. W końcu opiekowanie się nią stanowiło część mojego zadania.

Ładowacz dał nam znak, byśmy przesunęli się do drzwi. Nasze worki desantowe ze sprzętem ważyły po dwadzieścia kilogramów i zwisały się z tyłu na uprząży, sięgając nóg. Brnęliśmy do przodu jak stadko gęsi, przerzucając ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Na szczęście worki nie musiały być w pełni załadowane. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będziemy na ziemi zaledwie kilka godzin.

Zatrzymaliśmy się na chwilę, gdy ładowacz stojący przy drzwiach nawiązał przez mikrofon kontakt z nawigatorem. Skinąłem głową i zacząłem gmerać przy drzwiach, które wielkością przypominały połowę wrót średniego garażu. Wyciągnąłem wszystkie dźwignie, przesunąłem je w kierunku przeciwnym do kierunku ruchu wskazówek zegara i szarpnąłem uchwyty. Chociaż miałem na głowie kask, usłyszałem potężny ryk powietrza i w tym samym momencie poczułem uderzenie wichru o ciało. W miejscu, gdzie przed chwilą znajdowały się drzwi, widniała tylko czarna dziura. Etykiety na pojemnikach na bagaże trzepotały jak szalone, a mroźny wiatr chłostał nie osłonięte przez maskę fragmenty twarzy. Naciągnąłem na oczy dżokejskie gogle, usiłując oprzeć się wichrowi, i mocno trzymałem się żebra samolotu.

Jedenaście i pół tysiąca metrów niżej rozciągała się Syria -terytorium wroga. Ostatni raz sprawdziliśmy spadochrony. Chciałem już mieć za sobą ten skok, wykonać robotę i następnego dnia rano znaleźć się na Cyprze, popijać herbatę i przegrzyzać grzankami.

Stoczyliśmy się przy luku. Ryk powietrza i silników samolotu był tak głośny, że niemal nie byłem w stanie myśleć. W końcu dojrzałem czerwony blask latarki trzymanej w ręku przez ładowacza. Wrzasnęliśmy wszyscy jak najgłośniej: „Czerwone, czerwone!”. Sam nie wiem po co, bo i tak niczego nie było słychać. Po prostu zawsze tak robiliśmy.

Światło zmieniło się na zielone i trzymający latarkę człowiek krzyknął: „Zielone!”.

Odsunął się na bok, a my wszyscy wrzasnęliśmy: „Gotowe!”.

Pochyliliśmy się do przodu, usiłując przekrzyknąć hałas „Uwaga!”.

Kolejne wahnięcie do tyłu i „Naprzód!”.

Wysypaliśmy się na zewnątrz: czworo ludzi z trzema spadochronami, i pokoziołkowaliśmy ku Syrii. Stałem ostatni, więc ładowacz mnie popchnął, żeby między skaczącymi nie było zbyt dużych odstępów.

W obecnych czasach można spadać bez otwierania spadochronu - z samolotu lecącego na wysokim pułapie - wiele mil od celu zrzutu i wylądować z wielką dokładnością. Technika HAHO (skok z dużej wysokości z wczesnym otwarciem spadochronu) wymaga specjalnego ubioru chroniącego przed ekstremalnymi warunkami pogodowymi i maski tlenowej, aby skaczący mogli przeżyć temperaturę minus czterdzieści stopni, zwłaszcza że licząca osiemdziesiąt kilometrów ścieżka spadania może wymagać dwóch godzin lotu. Ta nowa technika w dużej mierze wyparła stary system HALO (skok z dużej wysokości z późnym otwarciem spadochronu), dlatego teraz skoczek może szybować łagodnie ku celowi, siedząc w wygodnej uprząży, zamiast spadać z piekielną prędkością, co prowadziło do tego, że nie wiedział, gdzie spadnie, a kiedy już wylądował, często nie miał pojęcia,

gdzie znajduje się reszta zespołu. Nowa metoda jest oczywiście wygodna, pod warunkiem że jakiś facet w białym fartuchu nie przyciął ostatnio człowiekowi końca fiuta.

Poczułem, jak strumień gazów silnikowych obejmuje mnie i unosi ze sobą. Kiedy samolot przelatuje nad głową z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę, zdaje się człowiekowi, że uderzy w jego ogon, ale w rzeczywistości spada i zderzenie jest wykluczone.

Wydostałem się w końcu ze strumienia gazów i musiałem się pozbierać. Sądząc po sile wiatru i po tym, że nadal widzę światła samolotu błyskające jakieś sto czy sto dwadzieścia metrów nade mną, odkryłem, że lecę głową w dół. Rozłożyłem ramiona i nogi, wyginając przy tym grzbiet, aż osiągnąłem właściwą pozycję.

Rozejrzałem się - podczas swobodnego spadania w zasadzie tylko obracanie głowy jest niemal jedyną rzeczą, która nie wpływa na pozycję ciała - usiłując wypatrzeć, gdzie jest reszta. Obejrzałem jakąś postać po prawej stronie. Nie wiedziałem czyją, ale to nie miało znaczenia. Spojrzałem do góry i zobaczyłem znikające tylne światła boeinga. Pod stopami nie było nic, nawet jednego światła.

Słyszałem jedynie szum powietrza. Podobnie się dzieje, gdy człowiek wystawi głowę z samochodu jadącego z prędkością stu dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Pozostało mi teraz tylko utrzymywać właściwą pozycję i czekać, aż AOD (automatyczny aparat otwierający) wykona swoje zadanie. Wpajano nam, że automat powinien zadziałać, ale na wszelki wypadek należy ustawić się we właściwej pozycji do ręcznego otwarcia spadochronu. Pieprzę to, pomyślałem.

Wiedziałem, na jakiej wysokości należy otwierać spadochron - na dziewięciu tysiącach metrów, po dwóch i pół tysiącach metrów spadania. Przesunąłem lewą rękę do góry odrobinę powyżej głowy, a prawą opuściłem do uchwytu wyzwalacza. Trzeba dbać o symetrię. Jeżeli człowiek swobodnie spada i wysunie jedną dłoń, to od razu zaczyna wywijać koziołki.

Spojrzałem na wskazówkę umieszczonego na przegubie wysokościomierza. Minąłem dziesięć tysięcy metrów. Zamiast czekać na szarpnięcie automatu, nadal patrzyłem na wysoko-ściomierz i dokładnie na dziewięciu tysiącach metrów pociągnąłem uchwyt wyzwalacza. Uniosłem ramiona nad głowę, przechylając się do tyłu po to, by powietrze wypełniło pilocik i wyciągnęło główny spadochron. Poczułem, jak przesuwa się, kołysząc mną nieco z boku na bok, i nagle tup, jakbym trafił w biegu na mur z cegły. Każdy czuje się wtedy jak jedna z tych postaci z kreskówek, którą właśnie przywaliła skała.

Nadal nie przejmowałem się zbytnio tym, w którym fragmencie nieba znajdują się pozostali. Najpierw musiałem sam się pozbierać. Gdzieś niedaleko rozległ się huk innego otwierającego się spadochronu. Spojrzałem do góry, by sprawdzić, czy mam nad głową parasol, a nie wielki wór ze szmatami. Środkowe trzy czy cztery sekcje były wypełnione powietrzem. Chwyciłem za linki hamulcowe, czyli dwa uchwyty przymocowane do linek po obu stronach parasola, i oderwałem od rzepów, które przytrzymywały je na paskach tuż nad moimi barkami, i zacząłem ciągnąć. Spadochron ma siedem sekcji i kiedy pociąga się za linki, wystawia się skrajne sekcje na działanie prądu powietrza, przyspieszając hamowanie.

Rozejrzałem się dookoła, próbując dociec, jaką pozycję zajmuję w stosunku do pozostałych. O kurwa, ale mnie boli fiut - zakląłem w myślach! Uprząż na nogach podsunęła się do góry, przez co czułem się tak, jakby ktoś mi go ścisnął obciążkami.

Nad sobą zobaczyłem Sarę i Regę 1. Widocznie skrajne sekcje mojego spadochronu napełniły się z opóźnieniem, gdyż oni powinni być pode mną. Zaczęli spływać spiralą, wyprzedzając mnie. Reg naciągnął prawą ręką linkę hamulcową, żeby zająć właściwą pozycję w stawce. Gdy przesunęli się pomiędzy mnie i Regę 2, który był gdzieś jeszcze niżej, zobaczyłem, że Sara wisi na uprzęży jak małe dziecko.

W związku z tym, że byłem ostatni, sprawa była prosta. Po prostu zamykałem szyk. Dopóki trzymałem się czaszy spadochronu pode mną, nie mogłem się zgubić, chyba że Reg 1 i Sara zblądziли pierwsi. Reg 1 orientował się na Regę 2, który był najniżej, to na nim spoczywał obowiązek nawigowania, a my tylko się do niego dostosowywaliśmy.

Gdybyśmy w najgorszym razie się pogubili, to mogliśmy po prostu krzyknąć do siebie po zdjęciu masek tlenowych.

Reg 2 z pewnością patrzył na wyświetlacz swojego urządzenia do nawigacji satelitarnej. Wystarczyło, żeby wypatrywał pojedynczej kreski na środku ekranu. Technika to jednak wspaniała rzecz. Lecieliśmy z prędkością około sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Na ogół spada się ze

spadochronem z prędkością około trzydziestu pięciu kilometrów, ale lecieliśmy z wiatrem, który dodawał nam dwadzieścia pięć.

Sprawdziłem wysokość: trochę powyżej ośmiu tysięcy czterystu metrów. Dobrze. Jeszcze rzut oka na urządzenie do nawigacji satelitarnej. Też dobrze. Wszystko w porządku. Wszystko zostało zrobione: zasilanie w tlen działało, byliśmy ustawieni we właściwym szyku. Pora na odpoczynek. Chwyliłem uchwyty mocujące spadochron do uprząży i podciągnąłem się, poruszając nogami, żeby dolna część uprząży znalazła się w połowie ud.

Przez następne trzydzieści minut sunęliśmy w przestworzach, sprawdzając sprzęt i kontrolując wysokość i pozycję. W końcu zacząłem dostrzegać światła. Małe miasteczka i wieś z oświetleniem ulicznym ciągnącym się jakiś kilometr poza teren zabudowany, a potem ciemność. Tylko światła samochodów wskazywały, gdzie biegnie droga.

Spojrzałem na wysokościomierz - około pięciu i pół tysiąca metrów. Postanowiłem odczekać jeszcze kilka minut i zdjąć maskę tlenową. Cholerna maska była niczym wrzód na dupie. Gdybym poczuł objawy niedotlenienia, zawroty głowy, to wystarczy, żebym włożył maskę z powrotem i wziął parę głębszych oddechów. Byłem już nieco poniżej czterech tysięcy ośmiuset, a w ustach miałem pełno śliny. Cała maska kleiła mi się do twarzy. Sięgnąłem prawą ręką do zatrzasku i odpiąłem go. Maskę odpadła mi od twarzy i zawisała po lewej stronie.

Poczułem zimno na wilgotnej, osłoniętej do tej pory przez maskę części twarzy. Było piekielnie zimno, ale przyjemnie. Mogłem trochę poruszać szczękami.

Mniej więcej po dziesięciu minutach znowu sprawdziłem wysokość: dwa tysiące metrów, pora zabrać się do roboty. Nałożyłem gogle noktowizyjne, które miałem zawieszona na szyi, i zacząłem się rozglądać za błyskami IR Firefly (urządzenie namiarowe działające na podczerwień). Jest to takie samo migające światło, jakie widuje się na wierzchołku wysokiej wieży, służy do ostrzegania samolotów, ale w tym wypadku jest to po prostu maleńkie, mieszczące się w dłoni urządzenie, które wysyła jasny krótkotrwały błysk światła przepuszczonego przez filtr podczerwieni. Poza nami nikt nie mógł go zobaczyć, no chyba że miał noktowizor. Wpatrywałem się w ciemność. Wiedziałem, że łatwo dostrzeżę sygnał. I nagle zobaczyłem go po prawej stronie.

Wchodziliśmy w końcową fazę skoku. Skupiłem się nad zachowaniem właściwej pozycji ponad czaszą spadochronu Rega 1 i nieco z tyłu. Spadochron Rega 1 był większy od mojego, gdyż miał do przeniesienia większy ciężar.

- W porządku, już za chwilę. Trzymaj nogi ugięte - powiedział Reg 1 tonem przedszkolanki zwracającej się do dzieci. -Masz ugięte nogi?

Sara chyba odparła twierdząco. Zsunąłem z twarzy gogle noktowizyjne.

- W porządku, podnieś ręce - usłyszałem znowu.

Wyobraziłem sobie, jak podnosi ręce i ujmuje Rega 1 za przeguby rąk trzymających linki hamulcowe. Musiała odsunąć ręce od tułowia, by w razie złego lądowania nie doznać obrażeń. Nadal nie widziałem ziemi, było o wiele za ciemno, ale usłyszałem: „Uwaga, uwaga. Zaraz siadamy... siadamy... siadamy”.

Worek Rega 1 uderzył z łoskotem o ziemię, a on sam polecił Sarze: „Teraz!”.

Przeleciałem nad załamującą się czaszą jego spadochronu. Kopnąłem zwisający na paskach u moich stóp worek ze sprzętem. Opadł niżej na trzymetrowej linie i gdy tylko usłyszałem, jak uderza o ziemię, napiąłem mięśnie. Wylądowałem, przebiegłem trzy czy cztery kroki, obróciłem się szybko i szarpnąłem za linki, by zgasić czaszę.

Za mną pokazała się jakaś sylwetka. Regowie od 3 do 6 byli na ziemi od pięciu dni, przygotowując misję i obsadzając strefę zrzutu. Diabli wiedzą, jak znaleźli się w tym kraju, i wcale mnie to nie obchodziło.

- W porządku, stary? - rozpoznałem głos Glena.

Glen, jedyny, którego tam znałem, pełnił funkcję dowódcy zespołu naziemnego. Kiedy się go zobaczyło, człowiek spodziewał się usłyszeć twardy ton Clinta Eastwooda, ale gdy otworzył usta, słyszało się łagodny głos Davida Essex'a.

- Tak. W porządku, stary, w porządku.

- To ściągamy cały ten syf.

W ciągu paru minut całą naszą uprząż, kombinezony i zestawy tlenowe umieszczono w wielkich pojemnikach, a my znaleźliśmy się w dwóch toyotach previa. Siedzący za ich kierownicami ludzie w goglach noktowizyjnych pruli po nierównym pustynnym gruncie w kierunku przemysłowego osiedla leżącego na przedmieściach miasta oddalonego mniej więcej kilometr od wzgórz Golan i granicy z Izraelem. Wszyscy mieliśmy taki sam strój: zielone, spadochroniarskie ubiory, pod które na wszelki wypadek włożyliśmy cywilne ciuchy, do pasów przytroczyliśmy sprzęt, a na nogi każdy włożył wybrane według własnego uznania buty. Ja zdecydowałem się na parę turystycznych butów Nike, które, jak stwierdziliśmy, można było kupić w każdym sklepie w Tel-Awiiwie.

Znaliśmy się z Glenem od dawna. Przeszliśmy razem kwalifikację do SAS na początku lat osiemdziesiątych i poznaliśmy się, kiedy podrywaliśmy tę samą kobietę, z którą on się ożenił. Był w tym samym wieku co ja, czyli dobiegał czterdziestki. Miał kręłą budowę ciała i kilka owłosionych myszek na twarzy. Zawsze wyglądał na niedogolonego, a na jego twarzy ciągle widniał uśmiech. Był życiowym optymistą, zakochanym w swojej żonie, dwójce dzieci, pracy, a pewnie nawet w samochodzie i kocie. Przez ostatnie pięć dni przygotowywali się do wysadzenia w powietrze podstacji elektrycznej, żeby odciąć dopływ energii na czas naszego ataku na cel. Wiedziałem, że Glen cieszy się każdą minutą misji.

- Jesteśmy w punkcie wyjścia.

Gdybyśmy musieli rozmawiać, to od tej chwili tylko szeptem. Wysiedliśmy z pojazdu i dałem znak Sarze, żebyśmy zeszli z drogi. Stanęliśmy pod jednym z niewielkich drzewek tworzących gaj oliwny. W świetle gwiazd mogliśmy się poruszać bez obijania o przeszkody. Na Bliskim Wschodzie zawsze najbardziej podobały mi się właśnie gwiazdy. Patrząc na nie, człowiek się czuje tak, jakby mógł przeniknąć wzrokiem cały wszechświat.

Komandosi wkładali worki i doprowadzali się do gotowości. Około czterech kilometrów za naszym celem widać było w ciemności łunę świateł miasta. Po podróży w samochodach nocne powietrze przenikało nas chłodem i już nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie ruszymy.

Kierowca podszedł do nas, trzymając w dłoni małe magnetyczne pudełko.

- Kluczyki - powiedział. - Do obydwu samochodów pod tylnym prawym nadkolem.

Spojrzałem na Sarę i oboje skinęliśmy głowami. Jej worek był mniejszy od mojego: miała w nim zestaw pierwszej pomocy i inne potrzebne rzeczy. Kiedy już zapakowało się zestaw patrolowy, resztę wybierało się według własnych upodobań.

Glen podszedł do nas.

- W porządku? - zapytał wesoło, tak jakby myślał, że musi podnieść Sarę na duchu.

Spojrzała na niego bez wyrazu.

- Bierzmy się do roboty, dobrze?

Przez moment Glen nie zareagował, ale w końcu dotarł do niego ton jej odpowiedzi. Nie spodobał mu się.

- W porządku, idziemy - odparł i wskazał na nią. - Ty za mną. Nick, za nią, w porządku?

Na prowadzącej pomiędzy gajami oliwnymi ścieżce pojawiły się podążające gęsiego ciemne sylwetki.

Moim jedynym zadaniem było ochranianie Sary. Nie wtajemniczyliśmy w to Glena, ale jeżeli doszłoby do krytycznej sytuacji, to my oboje mieliśmy spieprzać, jakby gonili nas wszyscy diabli. Zostawilibyśmy innych, żeby sami walczyli i ginęli. Dołączyłem do ruchomego ludzkiego węża, przypominając sobie czasy, kiedy wykonywałem zadania, służąc w pułku, i nie zdawałem sobie sprawy z tego, że nikogo to nie obchodzi.

Przesuwaliśmy się, trzymając się cienia, kolby karabinów przyciskaliśmy do ramienia. Każdy z nas trzymał palec wskazujący na osłonie spustu i kciuk na skrzydełku bezpiecznika. Sara miała tylko berettę, na wypadek gdyby musiała się bronić. Do nas należało wykonanie zadania.

Przez blisko czterdzieści minut szliśmy przez rozległe gaje. Kiedy w końcu się zatrzymaliśmy, słychać było tylko świerszcze i szum wiatru w gałęziach drzew. Przed sobą dostrzegliśmy cel, rząd sześciu czy siedmiu niskich budynków przemysłowych o ceglanych fasadach, pokrytych płaskimi aluminiowymi dachami, każdy miał aluminiowe okiennice. Cały kompleks otaczało trzymetrowe ogrodzenie z siatki z jedną zamykaną na noc bramą. Drogę oświetlały rozstawione co trzydzieści

metrów żółte lampy uliczne, a światło reflektorów umieszczonych na frontonach budynków i skierowanych ku ścianom padało na zamknięte okiennice.

W niektórych oknach również było widać światła, ale nie dostrzegłem żadnego ruchu. Poza ogrodzeniem nie ujrzelśmy innego zabezpieczenia, co w zasadzie było normalne w przypadku obiektów, w których nie znajdowało się nic cenniejszego niż części zamienne do koparek.

Światło padające od strony budynków było wystarczająco silne, byśmy widzieli, co robimy, ale nas nadal ocieniał gaj oliwny. Glen podszedł do mnie.

- To ostatni postój - powiedział cicho. - Cel... jeżeli popatrzysz na najbliższy budynek po lewej stronie...

Przed nami widniały dłuższe boki trzech prostokątnych budynków. Wskazał na najbliższy z nich.

- Widzisz światła?

Skinąłem głową.

- W porządku. Odlicz trzy okna od lewej strony. Zakładamy, że właśnie tam jest. Przynajmniej był wczoraj w nocy.

Ich przypuszczenie musiało być nieco na wyrost. Najświeższe zdjęcie „Źródła” pochodziło sprzed trzech lat. Nawet nie wiedziałem, jak się nazywa. Tylko Sara to wiedziała i tylko ona mogła go zidentyfikować. Dostrzegłem na dachu budynku dwa przenośne talerze anten satelitarnych i wykonaną z metalowych prętów półfalową antenę dipolową, która wyglądała jak najdłuższy na świecie sznur do wieszania prania. Takie urządzenie nie jest potrzebne do budowy dróg.

Usiadłem, opierając się o sękatę drzewo. Członkowie patrolu zaczęli wyciągać z worków sprzęt. Robili to bardzo powoli, żeby nie zakłócić ciszy. Od położonego na północ od nas miasta, które przesłoniąły południową część terenu, nie dochodziło do nas żadne światło. Reg 1 i 2 zameldowali się Glenowi i odeszli. Glen wyciągnął antenę z zielonego metalowego pudełka o rozmiarach dwadzieścia pięć na dwadzieścia centymetrów i zaczął naciskać guziki. Nie miałem pojęcia, jak się to coś nazywa, ale wiedziałem, do czego służy. Małe czerwone światełko, które pojawiło się na pudełku, bez wątplenia potwierdzało, iż podłączył się do urządzeń, które zamontowano na dostarczającej prąd do tego rejonu stacji transformatorowej.

Domyślałem się, że założyli sporą liczbę małych odpalanych zdalnie ładunków, coś wielkości puszki coca-coli, żeby przebić się do wnętrza odlanych ze stali korpusów. Wystarczyło wybić w obudowie otwór wystarczająco duży, żeby wyciekł olej chłodniczy, i transformatory musiały się szybko przepalić.

Sara zaczęła nękać Glena pytaniami, domagając się potwierdzenia, czy znaleźliśmy się już w punkcie docelowym.

- To na pewno ten budynek? Jesteś pewien, że on tam jest?

Zirykowała Glena, więc odpowiedział jej grzecznie, że ona

może i dowodzi całością operacji, ale to on jest szefem na ziemi, więc niech się wreszcie zamknie i da mu pracować. Plus dla ciebie, Glen, pomyślałem.

Kłęcząc wokół niego na obrzeżach gaju, poczekaliśmy, aż dokona ostatnich namiarów celu i potwierdzi rozkazy wobec wszystkich członków grupy. Nie było żadnych zmian w planie. Teraz to Sara miała podjąć ostateczną decyzję: działać czy nie działać. Skinęła głową w jego stronę.

- W porządku, chłopaki, no to zaczynamy! - rzucił, wydobywając swoje magiczne pudełeczko i wyciągając do końca antenę.

- Uwaga, uwaga...

Usłyszałem pstryknięcie naciskanego guzika i po dwóch sekundach błysnęło potężnie gdzieś przed nami poza zasięgiem świateł kompleksu przemysłowego. Po kolejnych dwudziestu sekundach na obszarze całego obiektu zgasły światła i zapadła całkowita ciemność.

Glen znowu był gotów cieszyć się życiem mimo obecności Sary. Uśmiechnął się szeroko.

- W porządku, ruszamy.

Ruszyliśmy powoli wzdłuż obrzeża gaju. Truchtem dobiegliśmy do miejsca, gdzie znajdowali się Reg 1 i Reg 2, skręciliśmy w lewo i pobiegliśmy przez pusty teren wprost do celu. Reg 1 i 2 rozciągnęli już przeciętą siatkę, odsłaniając dziurę w kształcie odwróconej litery V.

Korzystając z ciemności, przebiegliśmy szybko pięćdziesiąt metrów dzielące nas od budynku będącego naszym celem. Z jednego z otwartych okien dobiegły nas przekleństwa i okrzyki. Nie brzmiało to groźnie, najwyraźniej byli po prostu zirytowani brakiem prądu, kiedy akurat oglądali coś w rodzaju syryjskiego odpowiednika serialu East Enders. Tu i ówdzie w oknach pojawiły się odbłyски światła latarek.

Dopadliśmy budynku i przywarliśmy do ściany. Glen wpatrywał się w kierunku najbliższego narożnika. Właśnie za tym narożnikiem, nieco na lewo i obok zamkniętych okiennic, znajdowało się miejsce, przez które mieliśmy się dostać do wnętrza. Sara stojąca między nami łapała pośpiesznie oddech, usiłując zachować ciszę.

Trzej kolejni członkowie grupy klęczeli już w pobliżu narożnika. Jeżeli drzwi byłyby zamknięte, musieliby je wysadzić. Zaczęli wyciągać z przytroczonych do pasów toreb przygotowane wcześniej ładunki. Patrzyłem na nich, kiedy zgodnie rozwijali powoli lont detonujący. Wyglądał jak biały sznur do bielizny, ale był wypełniony silnym materiałem wybuchowym.

Podnieśli się z kolan, trzymając w ręku ładunek. Wszystko przebiegało bez pośpiechu i zgodnie z planem. Ruszyli w trójkę przed siebie i wtedy drzwi otworzyły się gwałtownie. Zza rogu dobiegły okrzyki wołających po arabsku ludzi. Komandosi szybko podłożyli ładunek wybuchowy na ziemi i sięgnęli do pasów. Musieli po cichu usunąć zagrożenie.

Głosy zbliżały się coraz bardziej, słyhać było już, jak klapki uderzają o stopy idących. Zza rogu wyłoniło się dwóch chłopaków ubranych w arabskie stroje. Szli ramię w ramię, paląc papierosy i nadal coś wykrzykując, może o tym, jakie Grant Mitchell ma zamiary w Queen Vic.

Dwaj komandosi rzucili się na nich i niemal natychmiast usłyszałem charakterystyczne bzyknięcie i trzask. Arabowie oberwali porządnie paralizatorem i od razu zostali przyciągnięci do nas. Paralizator to coś jak elektryczny pastuch w wersji dla ludzi. Kiedy dwie elektrody dotkną ciała, naciska się guzik i ładuje w cel sto tysięcy woltów. To świetna broń, bo można trzymać ofiarę, równocześnie dopieprzając jej zdrowo, a przy tym nie bać się porażenia prądem.

Nasi obalili Syryjczyków na ziemię i nakryli im usta dłońmi, żeby stłumić jęki. Jeszcze się z nimi do końca nie uporali, kiedy Glen włożył gogle noktowizyjne. Poszliśmy za jego przykładem.

Obejrzał się na Sarę, by sprawdzić, czy jesteśmy gotowi. Ruszyliśmy za nim ku narożnikowi. Sara nadal szła między nami. Już nie można się wycofać. Musieliśmy brnąć dalej. Najważniejsza zasada brzmiała teraz: pieprzyć to wszystko. Wpadliśmy gromadą przez drzwi. Jeden z naszych stanął przy wejściu, czekając na dwóch pozostałych, którzy wlekli ogłuszonych Syryjczyków. W korytarzu było ciemno i cicho.

- Za mną, za mną, za mną - polecił głośnym szeptem Glen.

Ruszyliśmy jak opętani korytarzem. Świat widziany przez nasze gogle wyglądał jak zielonkawy negatyw.

Skręciliśmy w prawo. W oknach po lewej stronie zobaczyłem teren na zewnątrz budynku, a po drugiej stronie korytarza wewnętrzne drzwi z płyty pilśniowej, które - jak się domyśliłem - prowadziły do pokoi albo biur. Smród dymu papierosowego, gotowania, kawy i potu był niemal obezwładniający, gdyż pomieszczenie słabo wietrzono.

Dotarliśmy do skrzyżowania z drugim korytarzem. Glen zatrzymał się po lewej stronie, a Sara stanęła tuż za nim. Zrównałem się z nimi i zatrzymałem po prawej stronie. Nie byłem pewien, w którą stronę idziemy. Polegałem na Glenie. Spojrzałem na niego i zobaczyłem, że porusza w prawo światłem latarki pracującej w podczerwieni, którą miał przytwierdzoną do broni.

Wyszedłem za róg, przeszedłem trzy czy cztery metry, i stanąłem, by na nich zaczekać. Wiedziałem, że Glen będzie ubezpieczał nas z drugiej strony. Kiedy obrócił się ku mnie, zobaczyłem, jak światło jego latarki przesuwają się po ścianach, po chwili oboje mnie wyminęli. Sara nadal nie wyjęła pistoletu z kabury i trzymała się blisko Glena. Podłoga była wyłożona terakotą, a może tylko wylana betonem. Trudno było rozpoznać. Słyszałem tylko echo naszych kroków i popiskiwanie gumowych podeszew.

Glen zatrzymał się i wskazał na jedne z drzwi. Zdjął broń z ramienia, oparł się plecami o ścianę na lewo od wejścia i sięgnął do klamki. Zająłem miejsce z drugiej strony, trzymając broń przy ramieniu, gotowy do wejścia. Skinął głową. Odbezpieczyłem broń i również skinąłem. Glen obrócił gałkę klamki, a ja naparłem na drzwi i wpadłem do środka wprost w całkowicie oślepiające światło. Gogle wypełniły się białym blaskiem, jakby ktoś wystrzelił mi tuż przed twarzą flarę.

- Cholera jasna, włączyli prąd - zawołał Glen.

Padłem na kolana i zerwałem gogle, mrugając pospiesznie, żeby odzyskać jasność widzenia. W prawym rogu dostrzegłem jakiś ruch, więc przetoczyłem się w lewo, żeby trudniej było we mnie trafić. Z trudem, ale dojrzałem niezbyt młodego, łysiego człowieka, chyba że weźmiemy pod uwagę kępki, które mu wyrastały na bokach głowy. Zwinął się pod przeciwległą ścianą, osłaniając twarz i mrugając jeszcze bardziej niż ja. Normalna reakcja, kiedy światła włączają się raptownie i nagle wyskakują na człowieka jakiś facet z bronią w ręku. Szlag by trafił, musieli mieć awaryjne źródło zasilania.

W pomieszczeniu znajdowały się różne elektroniczne urządzenia: komputery, monitory i urządzenia peryferyjne, które zaczynały trzeszczeć i brzęczeć po włączeniu zasilania.

Podniosłem broń i wycelowałem w gościa, który w lot pojął, o co chodzi. Zawołałem Sarę.

- To on - potwierdziła, gdy weszła do pomieszczenia.

Wyrzuciła coś z siebie szybko po arabsku. Facet bez szemrania wykonał jej polecenie: usiadł na sofie pod ścianą, z dala od biurka z jego wszelkimi urządzeniami. Zastygł w bezruchu z szeroko otwartymi oczami, usiłując jednocześnie ogarnąć, co się dzieje, i słuchać poleceń Sary.

Wydobyłem z worka sześć magnezjowych ładunków zapalających. Wystarczyło tylko, żebym je podpalił i mogliśmy ruszać.

Niespodziewanie Sara wyciągnęła ze swojego worka laptopa i jakieś inne urządzenia i zaczęła to wszystko podłączać i zgrywać ze sobą. Cały czas mówiła coś do „Źródła”, wskazując na arabski tekst widoczny na dwóch monitorach. Facet odpowiadał z prędkością dźwięku, starając się zrobić wszystko, żeby tylko ocalić życie.

Pogubiłem się: tego nie było w planie.

- Saro, co robisz? - spytałem, usiłując zachować spokój. - Chodź, pora się wynosić.

Glen tkwił na oświetlonym ponownie korytarzu, ubezpieczając nas. Wiedziałem, że wkrótce uzna, iż jest za bardzo na widoku i będzie chciał się ewakuować. W końcu dorwaliśmy tego, po którego tu przybyliśmy.

- Saro, ile to zajmie? - zapytałem.

Dalej przewijała strony tekstu. Przestawało mi się to podobać. Przecież nie po to nas tu przysłali.

- Nie mam pojęcia, rób swoje i pilnuj, żeby reszta się trzymała z dala.

Musiałem jej wyjaśnić, na czym polega problem.

- Saro, tu zaraz wybuchnie piekło. Bierzemy go i spadamy.

Nawet nie popatrzyła na mnie, tylko stuknęła w klawiaturę.

„Źródło” siedział nieruchomo. Wyglądał na równie zdezorientowanego jak ja.

Glen zaczynał mieć dość. Zajrzał do pokoju.

- Ile jeszcze?

- Co jest z wami, ludzie? Czekajcie - mruknęła Sara.

Wyglądała na oczarowaną przez tekst, który miała przed oczami. Podeszedłem do niej, starając się odgrywać rolę mediatora.

- Saro, musimy wiać. Jak nie, to wpadniemy w gówno po uszy.

Wziąłem ją pod ramię, ale wyszarpnęła się i spojrzała na mnie gniewnie.

- Nie rozumiem, na czym polega problem. Mamy „Źródło”, więc bierzmy go i wynośmy się.

Staliśmy zaledwie parę centymetrów od siebie, tak blisko, że kiedy zaczęła mówić, poczułem na twarzy jej oddech.

- Jest coś więcej do zrobienia, Nick - odparła cicho i powoli. - Nie znasz całego zadania.

Zrobiło mi się głupio. Byłem blisko samego dna łańcucha pokarmowego i najwyraźniej jak zwykle zostałem zaznajomiony tylko z jednym fragmentem o wiele większej układanki. Uzasadniają to takimi słowami jak „konieczny zakres informacji” lub „tajemnica operacyjna”, ale prawdziwym powodem jest to, że takim ludziom jak ja czy Glen po prostu do końca się nie ufa.

Cofnąłem się o krok i w tej samej chwili ciszę przerwały okrzyki, zaraz potem charakterystyczny dźwięk nastawionego na ogień ciągły kałasznikowa. Ciężkie pociski kalibru 7,62 mm uderzyły w ściany budynku.

- Do diabła, nie ruszać się! - zawołał Glen do nas.

Sytuacja przedstawiła się nieciekawie: narobiliśmy hałasu. Glen zostawił nas i ruszył biegiem korytarzem. Zamknąłem drzwi pokoju.

Z zewnątrz dobiegł cichszy odgłos odpowiadających ogniem karabinków Car 15 i wrzaski naszych ludzi i Syryjczyków. Nie było już istotne, że Syryjczycy słyszą, jak krzyczymy po angielsku. Nie miało to znaczenia w tym całym huku wystrzałów i zamieszaniu, o wiele ważniejsze było utrzymanie łączności.

- Saro, najwyższy czas ruszać.

Nadal starałem się zachować spokojny ton. Odwróciła się do mnie plecami, nie przerywając pracy. Nasz nowy przyjaciel na sofie był wyraźnie coraz bardziej zmartwiony. Wiedziałem, jak się musi czuć. Na zewnątrz rozległa się kolejna wymiana ognia.

- Zostaw to, do cholery. Musimy wiać. Natychmiast!

Odwróciła się gwałtownie, ściągając gniewnie twarz.

- Jeszcze nie - wyrzuciła z siebie, niemal wypluwając słowa.

Wskazała palcem stronę, skąd dobiegały odgłosy kolejnych wystrzałów.

- Właśnie za to im płacą. Niech robią, co do nich należy. Ty masz być ze mną, więc rób swoje.

Z końca korytarza dobiegł wrzask wołającego do mnie Glena.

- Wyprowadź ich! Wyprowadź natychmiast!

Podszedłem do „Źródła”, który leżał zwinięty w kłębek jak przerażone dziecko. Chwyciłem go za rękę i zacząłem ściągać z sofę. Nie nałożyłem mu nawet plastikowej opaski na rękę.

- Chodźmy, Saro! Idziemy... już...

Odwróciła się do mnie i wtedy zobaczyłem ku swojemu zaskoczeniu, że wydobywa pistolet i kieruje jego lufę prosto w moją pierś. Cofnęła się, powiększając dystans między nami, żebym nie mógł jej dosięgnąć.

Mój nowy przyjaciel nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Stał po prostu przy mnie z jedną ręką w górze, modląc się cicho i jęklonie po arabsku w oczekiwaniu na śmierć.

- Posadź go - rzuciła Sara.

Dodała coś po arabsku, co musiało mniej więcej znaczyć: „zamknij się, do kurwy nędzy”, bo facet wskoczył z powrotem na sofę. Sara zmierzyła mnie wzrokiem.

- Zostaję tutaj. To, co w tej chwili robimy, jest bardzo ważne. Rozumiesz?

Nie jest ważne, kto mówi, ale jeżeli ten ktoś celuje do ciebie z pistoletu, to musisz połapać się we wszystkim bardzo szybko.

Rzeczywiście musiało jej chodzić o coś ważnego. Odwróciła się spokojnie, wsunęła broń do kabury i wróciła do klawiatury.

Postanowiłem spróbować ostatni raz.

- Nie możemy go po prostu wziąć razem z komputerami i spieprzać?

Nawet nie zadała sobie trudu, by spojrzeć na mnie.

- Nie. To trzeba zrobić w ten sposób.

Nie mogłem zrobić dwóch rzeczy naraz, to znaczy wyprowadzić i ją, i „Źródło”. Próbowałem wymyślić wyjście z sytuacji, gdy wewnątrz budynku usłyszałem głosy.... Nie było teraz lepszego sposobu na wykonanie zadania, czyli chronienie jej, niż działanie. Musiałem wyjść z pokoju i powstrzymać zagrożenie, zanim będzie za późno.

- Wychodzę - wyszeptałem pośpiesznie. - Nie ruszaj się, dopóki ktoś nie przyjdzie cię wyprowadzić. Rozumiesz?

Sprawdziłem, czy mam dobrze podłączony magazynek, a ona uniosła wzrok znad komputera, jakby wyrażając zgodę.

Przyłożyłem kolbę karabinku do ramienia i otworzyłem drzwi lewą ręką.

Na korytarzu nadal paliły się światła i z prawej strony dobiegały odgłosy wystrzałów, ale skupiłem się od razu na odgłosach dochodzących z lewej strony. Postanowiłem przedostać się do najbliższego zbiegu korytarzy i tam się bronić. W ten sposób Sara z obu stron miałyby osłonę.

Zamknąłem drzwi i popędziłem przed siebie. Przebiegłem jakieś siedem czy osiem kroków, ale gdy mijałem właśnie drzwi wyjściowe, otworzyły się gwałtownie. Jedno ich skrzydło uderzyło mnie tak mocno jak jadący samochód. Przeleciałem pod przeciwną ścianę oszołomiony, ledwo mogłem złapać oddech. Co gorsza, broń wypadła mi z ręki.

Wrzasnąłem z bólu, gdy tylko odzyskałem oddech, a wbiegający Syryjczyk też krzyknął, tyle że z zaskoczenia. Skoczył na mnie, kiedy jeszcze leżałem na podłodze, i zaczęliśmy się bić. Próbowałem sięgnąć po pistolet, który miałem przytwierdzony do prawego uda, ale napastnik trzymał mnie mocno w nelsonie. Leżałem z rozrzuconymi ramionami przyduszony do podłogi jak facet z reklamy Michelina.

Kopałem, usiłując uwolnić się z uchwytu, żeby potem uderzyć go głową, ale on postępował dokładnie tak samo. Obydwaj przy tym wrzeszczeliśmy.

Facet śmierdział. Miał nie goloną od tygodnia twarz, której szczecina ocierała mi policzki i szyję, kiedy mnie coraz mocniej dusił. Zaciskał oczy i parskał przez nos, wołając o pomoc. Był z niego kawał chłopa i ważył pewnie ze sto kilo.

Ja też potrzebowałem pomocy, więc wołałem Sarę. Nie mogła mnie nie słyszeć, ale jednak nie reagowała. Nie byłem do końca pewien, co ten gość próbuje zrobić, czy chce mnie zabić, czy może po prostu jest to samoobrona?

- Sara! Sara! - wrzasnąłem.

Facet zareagował, unosząc nieco głowę i wrzeszcząc jeszcze głośniejszą ode mnie. Na chwilę się trochę oswobodziłem i uderzyłem głową, a następnie starałem się przywrzeć do niego z całych sił. Postąpił podobnie, ale wydarzyło się coś, co zmieniło sytuację. Podczas walki człowiek zazwyczaj nie czuje bólu, ale ja poczułem parzący ból w lewym uchu, kiedy zatopił w nim zęby. Niemal słyszałem, jak mi pęka skóra, a on natężył się, żeby ugryźć mnie jeszcze mocniej. Sukinsyn trzymał w zębach już spory kawałek mojego ucha i zaczynał odchyłać głowę.

Od razu z rozerwanych naczyń poliała się krew. Ciepła i mokra oblepiała mi policzek, wylatywała mu z ust, gdy chrapliwie oddychał. Wpadł w szal: warczał na mnie przez zaciśnięte zęby, cały się smarkał i ślinał. Nadal próbowałem przysunąć rękę do nogi, żeby wyciągnąć pistolet, to jednak nie wychodziło na dobre mojemu uchu. Udało mi się opleść go w pasie nogami, ale gdy próbowałem go ścisnąć, ledwie zetknąłem stopy. Czułem, jak parska mi coraz dalej od twarzy, więc z moim uchem musiało być niedobrze. Szarpnął głową, odrywając kawałek małżowiny. Ból był tak dotkliwy, jakby mi ktoś przystawił do głowy płonąca pochodnię, ale dzięki temu, że nieco się odsunął, mogłem spróbować opleść mu głowę rękami. Po twarzy spływała mu krew wymieszana ze smarkami, bo nadal próbował oddychać przez nos. Przyłożyłem kciuki do jego oczu, a on ścisnął mnie jeszcze mocniej, cały czas przy tym trząsł głową i wrzeszczał. Udało mi się jednak mocniej wcisnąć kciuki. Bronił się, próbując gryźć mnie po palcach. Otwartą prawą dłoń przyłożyłem mu do podbródka, a potem przesunąłem lewą rękę na jego potylicę i chwyciłem garść włosów.

Nie da się tak po prostu obrócić komuś głowy i skrócić karku. Człowiek jest na taki numer za solidnie zbudowany, trzeba więc głowę odkręcić tak, jak przykrywkę ze stoika. Skręca się wtedy kark w atlasie, czyli pierwszym kręgu szyjnym znajdującym się u podstawy czaszki. Jest to dość łatwe, kiedy się to robi komuś stojącemu. Wystarczy pozbawić przeciwnika równowagi i jednocześnie skręcać mu głowę, w ten sposób bezwładność ciała upadającej ofiary działa na jej niekorzyść. Nie byłem w stanie zrobić tego teraz, pozostawało mi jedynie nadal obejmować go nogami i unieruchomić.

Udało mi się spleść stopy i w końcu zacząłem ścisnąć go nogami, jednocześnie obracając go z całych sił. Skręcałem mu głowę coraz bardziej, przy wtórze wrzasków nas obydwu. Nie podobało się to sukinsynowi, wiedział, co jest grane, ale na szczęście dla mnie był za stary i za gruby, żeby mógł na to wiele poradzić.

Kark mu trzasnął dosyć cicho. Osunął się bezwładnie i bez wielkiego hałasu, nawet bez przedśmiertnych drgawek. Po prostu zastygł bez ruchu. Miałem dłonie pokryte krwią, smarkami i śliną. Przetoczyłem się na bok i zepchnąłem go z siebie nogami.

Moja broń leżała tylko niecałe dwa metry ode mnie. Podniosłem ją, sprawdziłem, czy magazynek jest na miejscu i czy mam w komorze naboje. Zacząłem wycofywać się do Sary, ale zatrzymałem się i podbiegłem z powrotem do Syryjczyka. Znowu słyszałem wystrzały i wrzaski nawołujących się ludzi, zarówno Brytyjczyków, jak i Arabów. Byli jakieś trzydzieści metrów ode mnie. Dziwne, że takie szczegóły wydają się ważne, kiedy człowiek ma tyle na głowie.

Obmacałem podłogę dookoła i w końcu znalazłem kawałek mojego ucha tkwiący nadal w jego ustach. Nie byłem taki głupi, żeby próbować powstrzymać krwawienie, bo wiedziałem, że to beznadziejna sprawa. Krwawienie z naczyń włosowatych trwa długo i musi się samo skończyć. Chciałem jednak, żeby mi przyszyli ten odgryziony strzęp. Brak kawałka ucha stanowiłby znak szczególny, a na dodatek znałem paru ludzi, którym brakowało kawałka ucha i wyglądało to wyjątkowo paskudnie. Jediną szansą na przesłonięcie tego defektu byłaby fryzura à la Kevin Keegan z lat osiemdziesiątych.

Wróciłem pod drzwi pokoju i załomotałem pięścią.

- Saro, to ja. Wchodzę. Wchodzę.

Glen, który nadal tkwił w końcu korytarza, usłyszał mój głos.

- Chodźcie, do kurwy nędzy! Bierz ją, do cholery, za dupę. I to już!

Miał rację: już wystarczy. Zanosilo się na to, że niedługo nas wystrzelają.

Otworzyłem drzwi i zobaczyłem, że Sara nadal stoi nad jednym z komputerów, laptop do czegoś podłączyła. Spojrzałem na „Źródło” - nadal siedział w tej samej pozycji, w której go zostawiłem, jakby oglądał telewizję.

Strumyczek krwi spływał z dziurki w jego koszuli, a druga dziurka w jego czole jeszcze wyraźniej pokazywała, co mu się przytrafiło. Krew spływała mu po twarzy jak rzeka lawy. Tył jego głowy, która opierała się o sofę, był nieco wydęty, bo skóra zatrzymała pogruchotane kości. Wyglądało to, jakby ktoś uderzył pięścią w szybę samochodu. Szkło wygina się, odwzorowując kształt pięści, ale nadal trzyma się razem. Krew i kleista szara tkanka mózgowa ściekały na sofę. Nie trzeba było być George'em Clooneyem, żeby stwierdzić, że ten facet już sobie nie posurfuje po Internecie.

- Próbował mnie zaatakować - wyjaśniła, nawet nie patrząc na mnie i nie przerywając pracy. - Ale jest szczęśliwy, bo Bóg ześle mu seajna.

Wiedziała, że nie mam pojęcia, co to może znaczyć, więc dodała:

- Wieczny spokój.

Spojrzałem na trupa jeszcze raz. Nie ruszył się z miejsca, gdzie go zostawiłem, wychodząc z pokoju, a na jego twarzy nie było widać wyrazu błogości. Nie zaatakował jej. I co z tego? - pomyślałem. - Co to mnie, cholera, obchodzi? Zabicie go było pewnie częścią alternatywnego planu, który miała realizować. Strzały z kałasznikowów przywołały mnie do rzeczywistości.

- No, Saro, chodźmy. Już, Saro.

- Nie. - Pokręciła głową. - Zajmie mi to jeszcze parę sekund.

Ładunki zapalające nadal leżały na stole. Jednym z moich zadań, jeśli mi nie powiedziała, że to też uległo zmianie, było zniszczenie wszelkiego wyposażenia znalezione w tym pomieszczeniu.

- OK, możemy iść - oznajmiła, uderzając po raz ostatni w klawiaturę.

Zaczęła się pakować, a ja podszedłem do sofy i ściągnąłem z niej zabitego, pozwalając ciału stoczyć się na podłogę. Uniosłem jeden koniec sofy, przeciągnąłem ją przez pokój i oparłem o kontuar z komputerami. Potem wzięłem kosz na śmieci, rozsypałem jego zawartość po blacie i dodałem do

tego jeszcze dywanik z podłogi i parę krzesel. Chciałem umieścić jak najwięcej łatwopalnego materiału w pobliżu ładunków zapalających.

- Jesteś pewna, że już wszystko zrobiłaś? - zapytałem.

Spojrzała na mnie po raz pierwszy, odkąd wróciłem do pokoju, przypatrując się krwawej miazdze z boku mojej głowy.

Wyciągnąłem bezpiecznik z pierwszego ładunku i położyłem go pomiędzy dwoma monitorami. Uchwyt ładunku odskoczył i zanim podłożyłem ostatni ładunek, dwa pierwsze paliły się już gwałtownie. Gorąco przenikało nawet przez mój spadochroniarski ubiór.

Rzuciłem worek na podłogę - wszystko, co było mi potrzebne, miałem teraz przy pasie. Wnętrze pokoju zaczęło wypełniać się czarnym trującym dymem z płonącego tworzywa sztucznego. Chwyciłem Sarę, która już zarzuciła na ramię spakowany worek, i ruszyłem do drzwi. Uchyliłem je na parę centymetrów i zawołałem do Glena:

- Przedzieramy się! Przedzieramy!

- Zamknij się, cholera, i biegiem! Biegiem! - ponaglał.

Nie patrzyłem ani w lewo, ani w prawo, tylko rzuciłem się do drzwi tą samą trasą, którą przybyliśmy. Po niecałej minucie owoiało mnie zimne nocne powietrze, wypatrywałem dziury w płocie. Martwienie się, że mnie postrzelą, nic by nie dało, dlatego po prostu biegłem pochylony, żeby stanowić jak najmniejszy cel. Sara biegła przede mną.

Kątem oka dostrzegłem biegnącego z tyłu Glena, a za nim jeszcze jednego z naszych. Pędziliśmy do płotu przy wtórze tłukących wokół nas o ziemię pocisków. Syryjczycy strzelali zdecydowanie za długimi seriami, toteż nie mogli dobrze celować.

Reg 1 odsłonił wyciętą w siatce szczelinę. Sara rzuciła się w nią ślizgiem jak baseballista dobiegający do bazy. Powtórzyłem jej manewr i wpadłem na nią po drugiej stronie płotu. Przesunąłem ją kopniakiem z drogi, żebyśmy biegnącej za nami dwójce nie blokowali dziury.

- Ruszaj się! Ruszaj! - ponagliłem ją, spodziewając się, że ci dwaj z tyłu potraktuują mnie podobnie, ale nic takiego nie nastąpiło.

Reg 1 już zorientował się dlaczego.

- Nasz dostał! Nasz dostał - zawołał.

Obejrzałem się w mrok i dostrzegłem jakieś dwadzieścia metrów ode mnie leżące na ziemi ciało. Jego towarzysz, nie mogłem rozpoznać kto, chwycił go za uprząż i zaczął wlec do płotu. Każdy z nas miał na sobie uprząż z umieszczoną na plecach między łopatkami wielką pętlą z nylonowego rzemienia. Dzięki niej trafiony żołnierz mógł być wleczony po ziemi, albo podwieszony do spuszczonej z helikoptera liny, co umożliwiało szybką ewakuację z pola walki.

- Zostań tutaj, nie ruszaj się - rzuciłem do Sary.

Zobaczyłem po jej minie, że przynajmniej tym razem zrobi to, co jej każę. Podbiegłem do ciągnącego ciało i wspólnie dowlekliśmy Glena do dziury w płocie. Jęczał i stękał jak pijany.

- Cholera, dostałem, dostałem.

Dobrze jest. Jeśli mówi, to oddycha.

Zobaczyłem, że nogawki jego kombinezonu błyszczą od krwi, ale nie było sposobu na sprawdzenie, co mu jest. Przede wszystkim trzeba go było wydostać z całą grupą ze strefy bezpośredniego zagrożenia.

Prześliznąłem się przez dziurę w płocie, ukląknąłem i chwytając uprząż Glena, przeciągnąłem go na drugą stronę. Sara zachowywała się biernie i nie odzywała się. Wykonała swoje zadanie i to, co się działo dalej, nie należało już do niej. Reg 1 i 2 zaczęli z nią, a my pobiegliśmy dalej osłaniany przez dwóch innych ludzi z patrolu, którzy zajęli stanowisko na obrzeżu gaju oliwnego. Posyłali krótkie serie po dwa pociski do wszystkiego, co się ruszało. Musieli oszczędzać amunicję, bo nie mieliśmy takich magazynków jak w Hollywood. Reg 1 krzykiem wydawał rozkazy.

- Wracać na pozycję wyjściową, wracać!

Wydobył nadajnik satelitarny ze skierowanym ku niebu miniaturowym talerzem, żeby przekazać światu, że wpadliśmy w gówno. Nie wiedziałem, z kim rozmawia, ale i tak poczułem się lepiej.

Co drugi z nas miał na wyposażeniu nosze z materiału - dużą płachtę zielonej, nylonowej tkaniny ze sznurowymi uchwytami. Reg 2 położył swoje nosze na ziemi, a ja odpiąłem Glenowi pas ze sprzętem i worek i zarzuciłem je na plecy. Koniec z lekkim bagażem. Przetoczyliśmy Glena na nosze. Był jeszcze przytomny, ale i tak wkrótce miał stracić świadomość w wyniku szoku.

W tym samym momencie usłyszałem złowrogi, chlupoczący odgłos, wydobywający się w rytm jego oddechu. A więc dostał w piersi: powietrze było zasysane do płuc przez ranę zamiast przez usta. Trzeba go szybko opatrzyć, bo jak nie, to szybko się wykończy. Nie mieliśmy jednak teraz na to czasu, zatrzymanie się na miejscu oznaczałoby śmierć nas wszystkich. Musieliśmy z tym poczekać, aż dotrzemy do punktu wyjściowego.

Reg 2 też usłyszał ten odgłos. Chwycił Glena za dłoń i przycisnął mu ją do klatki piersiowej.

- Zatkaj to, stary.

Glen jeszcze trochę był przytomny, wiedział, co musi zrobić. Przy takiej ranie klatki piersiowej nie mogliśmy mu zaaplikować morfiny, musiał dawać sobie radę z bólem.

Unieśliśmy we dwóch nosze, każdy ze swojej strony, i ruszyliśmy ciężko przed siebie, starając się biec jak najszybciej. Sara deptała mi po piętach. Nie oglądałem się, ale słyszałem, jak Reg 1 i 2 strzelają coraz częściej, osłaniając nasz odwrót.

Dotarliśmy do linii drzew. Glen jęczał w rytm trzęsących się noszy. Przedostaliśmy się dalej w głąb gaju i skręciliśmy w prawo, kryjąc się między drzewami. Glen nadal był przytomny i oddychał głośno, kiedy położyliśmy go na ziemi. Docierająca do nas łuna pożaru była wystarczająco mocna, bym mógł zająć się jego raną. Nic nie blokowało mu dróg oddechowych, ale ręka osunęła mu się z klatki piersiowej, odsłaniając ranę. Przyłożyłem do niej dłoń, by ją zamknąć. Miałem nadzieję, że odzyska dzięki temu normalny oddech. W jego oczach widać było cierpienie. Zakaszał, usiłując przezwyciężyć ból.

- Jak to wygląda? Jak wygląda? - wyrzęził. - Och, cholera.

Skrzywił się jeszcze bardziej, gdy Reg 2 go przesunął.

Dobry znak - nadal odczuwał ból, nie stracił jeszcze całkiem świadomości.

- Nie ma rany wylotowej - oznajmił Reg 2, skończywszy oględziny.

W takich sytuacjach trzeba najpierw zatamować krwawienie, a potem uzupełnić płyn. Reg 2 wydobył z zestawu Glena pakiet sanitarny i zerwał opakowanie. Zawsze wykorzystuje się materiały rannego, bo wkrótce samemu można potrzebować własnych. Mieliśmy izraelskie pakiety, ale wyglądały całkiem jak nasze: duże grube podpaski z dołączonym bandażem. Niezależnie od kraju produkcji ich zadaniem było zatamowanie krwawienia przez zastosowanie bezpośredniego nacisku.

Inny pocisk z kałasznikowa przebił mu udo, przecinając mięsień tak jak nóż rzeźnicki tnie sztukę wołowiny. Szybko tracił krew. Reg 2 zaczął opatrywać ranę. Minusem tego, że Glen nadal oddychał, było to, że nie mogliśmy go uciszyć. Co chwilę powtarzał jęklonie:

- Jak to wygląda? Jak to wygląda?

Spojrzałem na niego. Był cały spocony, a twarz pokrywała mu warstwa zasychającego kurzu.

- Zamknij się, do cholery - powiedziałem. - To drobnostka, poradźmy sobie.

Wiedziałem, że nigdy nie wolno pokazać rannemu swojego zaniepokojenia.

Sara była kilka kroków za mną. Trzymając w ręku broń, obserwowała pokonaną przez nas przed chwilą trasę.

- Saro! Chodź tutaj - wyrzuciłem z siebie głośnym szeptem.

Podeszła do mnie.

- Przyłóż nasadę dłoni do tej dziury, kiedy ja odsunę rękę, dobra?

Glen tracił przytomność. Nachyliłem się więc do jego ucha i powiedziałem:

- Już w porządku, możesz do mnie mówić.

Nie było reakcji.

- No już, mów do mnie, ty sukinsynu!

Pociągnąłem go za bokobrody. Nic. Podciągnąłem lewy rękaw jego kombinezону, żeby odsłonić mający piętnaście centymetrów długości pasek na jego przedramieniu, pod którym tkwiła igła weflonu. Włożyli je każdemu z nas, zanim opuściliśmy Delhi. Trzeba być wariatem, żeby sobie tego nie włożyć. Umieszczono w nim odrobinę środka przeciw krzepnięciu i weflon nadaje się do użytku co najmniej przez dobę. Trochę od tego boli ręka, ale może uratować życie. Nielatwo odnaleźć żyłę, by wprowadzić w nią igłę, szczególnie kiedy do człowieka strzelają w nocy.

Reg 2 już kończył bandażować ranę na udzie. Nie było sensu nakładać na wierzch bandaży, bo i tak rana by nadal krwawiła. Rana musi być naprawdę wypełniona, żeby był bezpośredni nacisk, dopiero to powstrzymuje krwawienie. Teraz przyszła kolej na uzupełnienie płynu.

Glen oddychał bardzo gwałtownie i płytko, co nie było dobrym znakiem. Zbadałem mu puls na szyi: ten sam problem. Jego serce pracowało na wyrost, przetaczając resztki krwi, jakie pozostały mu w ciele.

Strzelali do nas już z odległości jakichś stu metrów, ale cała moja uwaga była nadal skupiona na Glenie.

- Obserwuj go i mów, gdyby zaczął wolniej oddychać! -zawołał Reg 2 do Sary. - Jasne?

Skinęła głową i zaczęła go obserwować.

Wydobyłem z jego zestawu plazmę. Była w półlitrowym pojemniku z przezroczystego tworzywa sztucznego, który z wyglądu przypominał butelkę z płynem do mycia naczyń. Wyrwałem pojemnik z izraelskiego opakowania, rzuciłem je na ziemię i odgryzłem mały kapsel zapewniający sterylność butelce. Pieprzyć higienę - w razie infekcji mogli mu ją leczyć w szpitalu. Najpierw trzeba go było utrzymać przy życiu, żeby w ogóle dostał się do szpitala.

Wyciągnąłem z plastikowego ochraniacza zestaw krople wko-wy, odgryzłem zamknięcie końcówki i wetknąłem ją do samo-uszczelniającej się szyjki pojemnika z płynem. Następnie odkręciłem zawór, zdjąłem zatyczkę i płyn zaczął sypać przez rurkę. Parę kropli spadło z plaśnięciem na twarz Glena, ale nie zareagował. Zły objaw. Przykręciłem zawór, żeby zmniejszyć strumień płynu. Nie przejmowałem się pęcherzykami powietrza w rurce. W takich okolicznościach niewielka ilość powietrza nie ma znaczenia, najważniejsze jest to, żeby wprowadzić płyn do żył.

Z rejonu celu dobiegły kolejne wystrzały. Za blisko, żeby czuć się bezpiecznie. Dopiero teraz, po raz pierwszy, odkąd znaleźliśmy się między drzewami, nasi ludzie odpowiedzieli ogniem. A więc Syryjczycy nas znaleźli.

Dowodzący teraz odwrotem Reg 1 zatrzymał się na brzegu gaju, czekając, aż uporamy się z Glenem.

- Ile wam to jeszcze zajmie czasu? - zawołał.

- Dwie minuty, stary, dwie minuty - odpowiedział Reg 2. -Potrzebujemy twojej kroplówki.

Pobiegł w jego kierunku z bronią w ręku, a ja odkręciłem zatyczkę weflonu i podłączyłem do niego końcówkę rurki. Sara nadal zatykała ranę dłonią. Kiedy pochylała się nad Glenem, słyszałem nad uchem jej oddech.

- Nick, posłuchaj. Zostawmy ich z tym. Uciekajmy.

Oczywiście miała rację: we dwójkę mieliśmy znacznie większe szanse.

Zignorowałem ją i dalej zajmowałem się Glenem. Delikatnie naciskałem pojemnik, żeby wpompować w niego płyn.

- No, Nick. Musimy natychmiast uciekać - wyszeptła przynaglająco. - Nie zapominaj, za co im płacą. A tobie płacą za to, żebyś mnie chronił.

Glen musiał mieć bardzo mało krwi, ale nadal zachowywał resztki przytomności.

- Saro, daj mi swój płyn, szybko!

Wolną ręką odpięła paski umieszczonego na plecach worka. Pierwszy pojemnik był już pusty, dlatego zamknąłem zawór kroplówki.

- Otwórz go! - poleciłem, gdy wydobyła swój pojemnik z płynem.

Usłyszałem, jak zębami rozdziera opakowanie. Odłączyłem pusty pojemnik, a ona podała mi swój. Odgłosy strzelaniny nie ustawały ani na chwilę.

Reg 2 wrócił biegiem z wepchniętymi za pazuchę pojemnikami z płynem i ciężko dysząc, padł obok nas na ziemię. Podłączyłem nowy pojemnik i otworzyłem zawór, kiedy Reg 2 przyglądał się Glenowi.

- O kurwa! O kurwa! - wrzasnął nagle.

Pochylił się, chwycił rękę Sary i odciągnął. Rozległ się odgłos przypominający szum powietrza wydobywającego się z zaworu dętki samochodowej i z rany Glena wytrysnął na wszystkie strony pióropusz krwi. Kula musiała przedziurawić mu płuco, więc podczas wdechu powietrze uciekało i wypełniało klatkę piersiową. Ciśnienie wewnątrz klatki piersiowej wzrosło do tego stopnia, że płuca nie mogły się rozszerzać, a i serce źle funkcjonowało. Dlatego właśnie Sara miała go obserwować i nasłuchiwać, nie można było dopuścić do tego, żeby zewnętrzne ciśnienie spowodowało nadmierne spowolnienie oddechu.

Reg 2 wściekł się, nadal trzymając ją za rękę.

- Ty pieprzona suko! Rób to, jak należy! Co chcesz zrobić? Zabić go?

Sara milczała, słysząc tylko odgłos słabnącego strumienia powietrza, ale zaraz przypomniała mu, kto tu rządzi.

- Puść natychmiast moją rękę i rób swoje - powiedziała bardzo spokojnie.

Reg 2 położył jej dłoń na ranie. Glen był na pograniczu świadomości i nadal tracił krew w wyniku krwotoku wewnętrznego. Reg 2 nachylił się nad nim.

- Pokaż, że mnie słyszysz, pokaż, stary... pokaż mi. - Glen nie reagował. - Wyniesiemy cię, stary. Już niedługo nas tu nie będzie. OK? OK?

Zamiast odpowiedzi usłyszeliśmy tylko cichy jęk. Przynajmniej jeszcze jakoś reagował.

Reg 2 odwrócił go na bok, żeby sprawdzić opatrunek na nodze. Krew zaczęła wypływać z rany z piersi i ściekać po palcach Sary. Spojrzała na mnie wyraźnie wkurzona, kiedy podłączałem kolejny pojemnik z płynem. Chciała się stamtąd wynieść.

Reszta ekipy, ciężko dysząc, dołączyła do nas. Nie bardzo wiedzieli, co się stało.

- Są wszyscy? - spytał Reg 1.

Przeliczył obecnych, podszedł do nas i spojrzał na Glena.

- Można z nim ruszać?

- Zaraz zobaczymy - odparł Reg 2, nadal patrząc na rannego.

Wziął dużą agrafkę z zestawu opatrunkowego i przypiął język Glena do dolnej wargi. Glen nic nie poczuł, był już nieprzytomny. Dzięki temu nie udusi się własnym językiem.

Odróciłem się do Sary, kiedy reszta przygotowywała się do następnej fazy akcji, i wyszeptałem jej do ucha:

- Teraz mamy największe szanse razem z tymi chłopakami. Jak nie chcesz z nami iść, to w porządku, tylko zostaw worek. Dostarczę go do Firmy.

Z wyrazu jej twarzy wywnioskowałem, iż wie, że nie ma wyboru. Nie zamierzała odejść sama, nie dałaby sobie rady beze mnie.

Reg 2 umieścił jedno z pustych foliowych opakowań na ranie Glena, żeby ją lepiej uszczelnić, i polecił Sarze:

- Połóż na tym dłoń.

Jeden z naszych pomógł mu podnieść rannego. Reg 2 wziął w zęby zawieszkę pojemnika, żeby płyn nadal spływał przez rurkę.

Nie było już teraz czasu na taktyczne posunięcia, chodziło tylko o to, żeby wynieść się stamtąd jak najszybciej z rannym, nie zapominając przy tym o jego wygodzie. Nie wiedziałem, co dzieje się za moimi plecami w rejonie celu i wcale mnie to nie obchodziło.

Mniej więcej po trzydziestu minutach dotarliśmy do naszych samochodów. Wziąłem Sarę za rękę i odciągnąłem na bok. Nie było teraz sensu angażować się w działania reszty ekipy.

Oboje byliśmy po prostu pasażerami. Jednak to nie wystarczało Sarze.

- No, szybciej - syknęła. - Dlaczego jeszcze nie ruszamy?

Wskazałem na drugą prewią. Komandosi otworzyli tylne drzwi i kładli siedzenia, żeby zrobić dla Glena miejsce leżące. W dali, tam gdzie było miasto, nadal panowała ciemność. Miałem rację: w tym zakładzie musieli mieć awaryjne źródło zasilania.

Kierowca naszego pojazdu wyjął kluczyki, otworzył drzwi i gestem polecił nam wejść do środka. Jeden z komandosów zajął miejsce obok niego.

- Jak tylko będą gotowi, ruszamy na awaryjne miejsce zbiórki - powiedział, nachylając się w naszą stronę.

Czekaliśmy w ciemnościach. Kierowca obserwował teren przez gogle noktowizyjne. Panowała napięta atmosfera. Musieliśmy ruszać, bo jak nie, to nie tylko Glen znalazłby się w opałach. Nie odzywałem się do Sary, nawet na nią nie patrzyłem.

W końcu drugi pojazd ruszył powoli, a my wyjechaliśmy przed niego i sunęliśmy przodem. Wkrótce dotarliśmy do drogi i zaraz potem za nami pojawiły się reflektory samochodu. Sara wykorzystwała to, żeby wydobyć swój laptop i już po kilku sekundach tłukła jak szalona w klawiaturę. Jarzący się w ciemnościach ekran oświetlał jej spoconą, brudną twarz. Przesunąłem wzrokiem po mapach, wykresach i arabskich napisach na ekranie, ale nic mi nie mówiły, a potem po jej wypielęgowanych palcach, które poruszały się w szaleńczym tempie, pokrywając klawiaturę krwią Glena.

Przez dwadzieścia minut pruliśmy jak wariaci, a potem skręciliśmy na pustynię. Jechaliśmy jeszcze dziesięć minut, mając włączone tylko lampy z filtrami podczerwieni, i w końcu stanęliśmy. Poza cichym szmerem silnika, klikaniem klawiatury i mamrotaniem czytającej arabskie napisy Sara panowała cisza. Nagle z laptopa dobiegł piszczący sygnał oznajmijając wyczerpywanie się baterii.

- O kurwa! - zaklęła.

Z drugiego samochodu dobiegły krzyki. Ktoś energicznie robił Glenowi masaż serca, krzycząc przy tym, żeby wydobyć z niego jakąś reakcję. Nie było już mowy o zachowaniu ciszy. Trudno być cicho, kiedy walczy się o ludzkie życie.

Po pięciu minutach kierowca spojrzął na zegarek i otworzył drzwi.

- Światła! - zawołał i zaczął migać przesłoniętymi podczerwonymi lampami pojazdu.

Włączył lampę sygnalizacyjną i wystawił ją za okno.

Z oddali dobiegł pulsujący odgłos i po niecałej minucie niebo wypełniło się jednostajnym łomotem nadlatującego chinooka. Hałas stał się ogłuszający, a drobne kamyczki zastukały

o szybę i karoserię samochodu, który zaczął się kołysać ogarnięty strumieniem powietrza z wirnika śmigłowca. Teraz pilot nie mógł już dostrzec samochodów ani nawet gruntu, bo wirnik helikoptera wzbudził chmurę piasku i wszelkiego śmiecia.

Po kilku sekundach z piaskowej burzy wyłoniła się zgięta we dwoje sylwetka w trzepoczącym kombinezonie lotniczym. Błysnął w naszym kierunku czerwonym światłem

- W porządku, jedziemy - zawołał nasz kierowca.

Ruszyliśmy powoli do przodu wprost w szalejącą piaskową burzę. Po kilkunastu metrach nieco się uspokoiło i zobaczyliśmy czerwono-białe lampy jarzące się po obu stronach otwartego pomostu prowadzącego do skąpanego w czerwonym świetle wnętrza. Trzej uzbrojeni ładowacze, w kamizelkach kuloodpornych i kaskach z opuszczonymi na twarz szymbami, dawali nam pośpieszne znaki lampami. Prawdę mówiąc, wcale nie trzeba nas było ponaglać.

Nasza premia wpadła na pomost, jakbyśmy wjeżdżali na prom na kanale La Manche. Jeden z ładowaczy dał nam sygnał, byśmy się zatrzymali. Drugi pojazd wpadł za nami i gdy tylko zjechał z

pomostu, poczułem drżenie hydraulicznego mechanizmu zamykającego luk. Po chwili już się wznosiliśmy.

Kołysaliśmy się w lewo i prawo, kiedy pilot ustawiał śmigłowiec na kursie, a ładowacze unieruchamiali koła samochodów łańcuchami. Patrząc, jak pracują, pomyślałem, że na widok pojazdów ludzi u Hertza trafi szlag.

Nie wznieśliśmy się wyżej niż dwadzieścia metrów nad ziemię, kiedy poczułem, jak nos chinooka pochyla się i odlatujemy, skręcając w prawo.

Wewnątrz śmigłowca zapanował chaos. Komandosi wysypali się z pojazdów, wrzeszcząc na ładowaczy.

- Białe światło! Dawać białe światło!

Ktoś odszukał kontakt i nagle poczuliśmy się tak, jakbyśmy stanęli na oświetlonym boisku piłkarskim. Wnętrze drugiego samochodu wyglądało tak, jakby było częścią oddziału pomocy doraźnej. Glen nadal leżał na plecach, ale koledzy rozerwali mu kombinezon, by odsłonić ranę na piersi. Krew była wszędzie, nawet na szybach.

Reg 2 podbiegł do ładowacza, który zatrzymał się przy pomoście, aby sprawdzić, czy się dokładnie zamknął.

- Zestaw przeciwstrząsowy! - wrzasnął, ile sił w piersiach, niemal przykładając twarz do boku kasku ładowacza i wskazując na stojący z tyłu pojazd. - Dawaj zestaw przeciwstrząsowy!

Ładowacz rzucił okiem na zbryzgane krwią okna, odłączył przewód interkomu od kasku i pobiegł na przód helikoptera.

Każdy miał do wykonania jakieś zadanie. Moje polegało na nieprzeszkadzaniu innym. Zostawiłem zajętą swoim laptopem Sarę na tylnym siedzeniu naszej previi i przeszedłem do przedniej części chinooka. Wiedziałem, gdzie są manierki i jedzenie, więc skoro nie mogłem zrobić nic innego, to postanowiłem wcielić się w kelnera podającego herbatę.

Po drodze minąłem ładowacza, który w biegu otwierał zestaw przeciwstrząsowy: czarną nylonową torbę wielkości niedużej walizki. Zszedłem mu z drogi, by zobaczyć, jak traci na chwilę równowagę i odbija się od przodu samochodu, a potem od żebra śmigłowca.

Nagle pojawiła się między nami Sara z laptopem i przewodem zasilania w rękach.

- Zasilanie! Muszę mieć zasilanie! - krzyknęła do niego.

- Zejdź mi, do diabła, z drogi - wrzasnął, usiłując ją odepchnąć.

- Nie! - zawołała, kręcąc gniewnie głową i przytrzymując go ręką. - Zasilanie!

Ładowacz krzyknął coś. Nie zrozumiałem, ponieważ stał akurat tyłem do mnie, wskazując ręką ku przedniej części helikoptera.

Przebiegła obok mnie w kierunku kokpitu, tak zaferowana swoimi sprawami, że mnie nawet nie zauważyła. Ruszyłem do magazynka umieszczonego za kokpitem. Wziąłem jedną z aluminiowych menażek zatkniętych za elastyczną siatkę i odkręciłem zakrętkę. W środku nie było herbaty, tylko kawa. Nigdy dotąd kawa nie pachniała tak wspaniale.

Odwróciłem się i z menażką w ręku ruszyłem do drugiej previi. Z jej wnętrza dochodziły wściekle wrzaski, przebijające się nawet przez łomot helikoptera. Okrążyli Glena wianuszkami, ich brudne twarze pokrywała krew, trzymali w górze dwa pojemniki kroplówek. Podeszedszy bliżej, dojrzałem, że ubierają go w spodnie przeciwstrząsowe, czyli coś podobnego do grubych spodni narciarskich, które sięgają powyżej bioder i są napompowywane, żeby wywrzeć nacisk na kończyny dolne. W ten sposób ogranicza się w nich krążenie i dzięki temu umożliwia dostarczenie większej ilości krwi potrzebnej najważniejszym narządom wewnętrznym. Jest to technika wymagająca dużej precyzji, gdyż zbyt duże ciśnienie może doprowadzić do śmierci ранego.

Wyglądało na to, że Reg 2. dobrze się zna na takich sprawach. Przytrzymał otwarte usta Glena z przypiętym agrafką językiem i wdmuchiwał mu powietrze do płuc. Byłem wystarczająco blisko, by widzieć, jak unosi się klatka piersiowa ранego. Ktoś inny trzymał dłoń na jego ranie, gotowy do dekompresji klatki piersiowej. Reg 2 kilka razy wykonał wdech do płuc Glena i krzyknął:

- Teraz!

Jego kolega siedzący okrakiem na rannym przyłożył ułożone jedna na drugiej dłonie do klatki piersiowej rannego.

- Raz, dwa, trzy...

Zrozumiałem, że ranny nie ma pulsu i nie oddycha. Był w zasadzie martwy. Napełniali go tlenem, wtłoczyli mu powietrze do ust, a potem uruchamiali mu serce, jednocześnie starając się powstrzymać wypływanie krwi z ran. Klatkę piersiową Glena pokrywały pozlepiane krwią włosy.

Byli zbyt zajęci, żeby pić kawę. Nie mając nic pożytecznego do roboty, podciągnąłem lewy rękaw i odczepiłem opaskę weflonu. Oderwałem przylepiec przytrzymujący igłę, wydobyłem ją ostrożnie z żyły i przytrzymałem palcem ranę, aż się zasklepiła.

Rozejrzałem się za Sarą. Zanurzona we własnym świetle, siedziała w pobliżu miejsca, gdzie trzymano manierki. Udało się jej znaleźć gniazdko zasilania i przystawkę umożliwiającą podłączenie wtyczki z dwoma bolcami i znowu pośpiesznie stukwała w klawiaturę.

Obejrzałem się na samochód z Glenem. Dalej dobiegały krzyki i przekleństwa. Miałem nadzieję, że zawartość komputera była tego warta.

Wyjrzałem przez jedno z małych okrągłych okienek i zobaczyłem światła linii brzegowej. Chinook miał doczepiony dodatkowy zbiornik paliwa, więc wyglądało na to, że odbędziemy bezpośredni lot i już przed południem znajdziemy się na Cyprze na herbacie z grzankami. Wypiłem łyk kawy.

Przelecieliśmy linię brzegową, kierując się w stronę morza. Zagapiłem się przez okno, próbując skupić uwagę na basowym łomocie dwóch wielkich wirników. Nagle z otępienia wyrwał mnie przeraźliwy krzyk:

- O kurwa! O kurwa!

Podniosłem wzrok i zobaczyłem, jak facet, który siedział okrakiem na klatce piersiowej Glena, schodzi powoli na podłogę. Jego wyraz twarzy mówił wszystko. Kopnął samochód, wginając blachę w drzwiach.

Odrzuciłem głowę i znowu gapiałem się przez okno. Lecieliśmy z dużą prędkością nisko nad wodą. Nigdzie nie było widać ani jednego światła. Znowu poczułem ból w uchu. Sięgnąłem do kieszeni i wymacałem kawałek małżowiny. Siedziałem, bawiąc się nim i myśląc. Jakie to dziwne, taki mały kawałek chrząstki. Oby mi go porządnie przyszyli. Zresztą, jakie to może mieć znaczenie, jak będę wyglądać? Przecież żyję.

Podniosłem się i podszedłem do Sary. Moim zadaniem było opiekowanie się nią, a to również obejmowało informowanie jej o tym, co się dzieje. Nadal była zajęta laptopem.

- Saro, on nie żyje - powiedziałem.

Dalej stukwała w klawisze. Nawet nie popatrzyła na mnie, kiedy wyciągnąłem w jej kierunku kubek z kawą.

- Saro - powtórzyłem, trącając butem jej stopy. - Glen nie żyje.

Spojrzała w końcu na mnie.

- OK, OK - mruknęła i od razu odwróciła wzrok, wracając do pracy na komputerze.

Spojrzałem na jej ręce. Miała na nich zaschniętą już krew Glena, ale jej to nie interesowało. Gdyby się wtedy tak nie chrzaniła i gdyby nam powiedziała, że ta robota nie jest taka prosta, jak początkowo mówiono, to może nadal byłby wśród nas i uśmiechał się szeroko. A może Reg 2 miał rację? Może rzeczywiście próbowała wtedy zabić Glena? Wiedziała, że gdyby Glen nie miał już żadnej szansy, zostawiłbym patrol i poszedł z nią.

Siedzieli oparci plecami o samochód, otwierając manierki i zapalając papierosy. Glen leżał tam, gdzie go zostawili. Wszyscy robiliśmy to, za co nam płacono. Czasami jest beznadziejnie, ale to nie może zmienić ich życia, przynajmniej ja nie miałem zamiaru dopuścić, by zmieniło moje.

Sara nadal stukwała w klawisze, a ja popijałem kawę, patrząc na ukazującą się w dali linię brzegową Cypru i próbując wykombinować, co ja tu, do cholery, robię.

Kwiecień 1998

Piątek, 24 kwietnia 1998

1

- Trzy galony dziennie to wasz przydział na głowę - warknął bosman. - Ale dwa galony idą dla kucharza, więc zostaje jeden galon, powtarzam jeszcze raz, jeden galon na picie, mycie i co tam jeszcze wam trzeba. Jak kogoś złapię, że bierze więcej, to będzie ukarany chłostą. To samo czeka hazardzistów, oszustów i symulantów. W marynarce Jej Królewskiej Mości nie lubimy symulantów!

Staliśmy w dwóch szeregach po obu stronach pokładu, słuchając bosmana gadającego o naszych racjach wody. Starłem się nie popatrzeć w oczy Josha, bo wiedziałem, że wtedy parsknąłbym śmiechem, a to nie spodobałoby się Kelly.

Było nas, czyli „nowej załogi”, mniej więcej dwudziestu -w większości dzieciaków. Ubrali nas w marynarskie stroje z szesnastego wieku: heski kaftan, koszulę i spodnie, kończące się trochę przed sportowymi butami, które polecono nam ze sobą przywieźć. Znajdowaliśmy się na pokładzie „Złotej łani” - a właściwie pełnowymiarowej rekonstrukcji okrętu, na którym sir Francis Drake okrążył kulę ziemską w latach 1577-1580. Nasz okręt również odbył podróż dookoła świata, a wytwornie filmowe wykorzystywały go tak często jako miejsce akcji, że przeszedł więcej przeróbek niż sama Joan Collins. Obecnie tkwił na stałe w doku - służąc jako atrakcja edukacyjna - jak to na swój bardzo amerykański sposób wyraziła Kelly. Skończyła właśnie dziewięć lat i teraz stała przy moim prawym boku, bardzo przejęta swoim, bądź co bądź, spóźnionym o kilka dni, „prezenterem” urodzinowym.

- Widzisz, mówiłem ci, że będzie fajnie - rzekłem rozpromieniony.

Nie odpowiedziała, tylko wciąż wpatrywała się w bosmana. Był ubrany tak samo jak my, ale mógł nosić kapelusz, zapewne z powodu jego dodatkowych obowiązków.

- Wy, szczury lądowe, zostaliście wybrani na rejs pod komendą sir Francisa Drake'a na pokładzie tego najwspanialszego we flocie okrętu: „Złotej łani”! - oznajmił, przechodząc wzdłuż drugiego szeregu i wpatrując się w oczy każdego mijanego dziecka.

Przypominał mi mojego pierwszego sierżanta od musztry z czasów, kiedy byłem jeszcze kadetem. Spojrzałem na Josha i jego bandę, którzy znaleźli się właśnie pod ostrzałem słów bosmana. Josh, a w pełnym brzmieniu Joshua G. D'Souza, miał około trzydziestu ośmiu lat, metr pięćdziesiąt pięć wzrostu i dzięki temu, że uprawiał kiedyś podnoszenie ciężarów, jego muskularne ciało ważyło dziewięćdziesiąt kilo. Nawet jego głowa wyglądała jak biceps, bo był w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach tysi, a dzięki brzytwie i nawilżaczowi dawał sobie radę z pozostałym jednym procentem. Okrągłe okulary w złotych oprawkach przydawały mu, co zabawne, nie intelektualnego, ale jeszcze groźniejszego wyglądu.

Mimo że urodził się w Dakocie, Josh był w połowie Murzynem, a w połowie Portorykańczykiem. Nie miałem pojęcia, jak to wyglądało w szczegółach, ale też nie miałem ochoty go o to pytać. Wiedziałem, że wstąpił do armii jako nastolatek i odsłużył kilka lat w 82 Dywizji Desantowej, a potem trafił do Sił Specjalnych. Kiedy dobiegał trzydziestki, podjął pracę w Departamencie Skarbu jako agent jego tajnych służb, a po jakimś czasie został członkiem ekipy ochrony wiceprezydenta USA. Mieszkał w pobliżu domu Keva, ojca Kelly, i spotykał się z nim, chociaż nie służbowo, po prostu ich dzieci chodziły do tej samej szkoły.

Josh stał obok swojej trójki, próbując zrozumieć akcent bosmana. Byli właśnie na ostatnim etapie pośpiesznej wycieczki po Europie, którą sobie urządzili na czas wielkanocnej przerwy w zajęciach szkolnych. Poprzedniego dnia Kelly i ja odebraliśmy ich z paryskiego pociągu Eurostar i teraz ostatnie kilka dni przed powrotem do Waszyngtonu mieli spędzić na zwiedzaniu. Kelly była zachwycona, co mnie bardzo cieszyło. Widziała ich teraz po raz pierwszy od czasu tego, „co się wydarzyło” (jak to nazywaliśmy) przeszło rok temu. Biorąc to wszystko pod uwagę, należało uznać, że czuje się teraz całkiem nieźle i dobrze daje sobie radę.

Bosman zawrócił i szedł wzdłuż naszego szeregu.

- Będziecie się uczyć obsługi dział, stawiania żagli i odpierania ataków. A co najciekawsze, będziecie szukać skarbów i śpiewać szanty!

Na to oświadczenie załoga odpowiedziała żeglarskimi okrzykami.

Nagle do konkursu na najbardziej hałaśliwą osobę włączyła się syrena przepływającego rzeką statku wycieczkowego i jazgot dobiegający z jego megafonów. Pierwsza w tym dniu wycieczka „zaliczała” London Bridge.

Zerknąłem na Kelly. Drżała z podniecenia. Ja też dobrze się bawiłem, ale czułem się odrobinę dziwnie, stojąc w historycznym kostiumie na pokładzie statku przycumowanego po południowej stronie London Bridge. Było jeszcze na tyle wcześnie, że widzieliśmy urzędników idących wąską brukowaną uliczką biegnącą wzdłuż Tamizy, podążali do pracy, schodząc z drogi dostawczym furgonetkom i taksówkom. Pociągi, które ich tu dowiozły, powoli zmierzały ku rzece po torach wznoszących się około dwustu metrów od nas.

Najbliższy pub, noszący nazwę „Olde Thameside Inn”, był jednym z tych lokali, które rzekomo pochodzą z czasów Szekspira, ale w rzeczywistości został wzniesiony może dziesięć lat temu na jednym z przebudowanych nabrzeży ciągnących się wzdłuż rzeki. Na nadbrzeżnym tarasie urzędnicy z plastikowymi kubeczkami i papierosami w rękach korzystali ze słońca i jedli spóźnione śniadanie, które kupili na wynos w pobliskiej kawiarni.

Bosman przywołał mnie na powrót do szesnastego wieku. Zatrzymał się przed Kelly z teatralną miną i wbił w nią wzrok.

- Jesteś symulantem?

- Nie, proszę pana, nie!

Przycisnęła się trochę bardziej do mnie, szukając oparcia. Nadal bała się trochę nieznajomych, szczególnie dorosłych mężczyzn.

Bosman uśmiechnął się szeroko.

- No to widzę, że jesteście udaną załogą, i wiem, że będziecie ciężko pracować. Pozwalam więc na pobranie waszych racji. Dostaniecie specjalne żeglarskie batoniki i colę -oznajmił i nagle obrócił się, wyrzucając ramiona w górę. -Co się mówi?

- Tak jest, proszę pana! - wrzasnęły opętańczo dzieci.

- Nie wystarczy - ryknął. - Co się mówi?

- Tak jest, proszę pana! - krzyknęły jeszcze głośniej.

Bosman, w asyście pozostałych członków stałej załogi, odprowadził dzieci do stolików.

- Najpierw mali żeglarze - rozkazał. - Wysocy żeglarze, którzy was tutaj przyprowadzili, mogą poczekać na swoją kolej.

Kelly podbiegła do dzieci Josha. Było ich troje: dziewczynki, Dakota i Kimberly, które miały jedenaście lat, oraz ośmioletni chłopiec - Tyce. Miały jaśniejszą niż Josh cerę - ich matka była biała - ale poza tym wyglądały całkiem jak ich tata, tylko że na szczęście miały nadal wszystkie włosy.

Odwróciliśmy się z Joshem twarzami do Tamizy. Josh pozdrowił gestem ręki turystów, którzy machali z przepływającego statku, może do nas, a może do popijających kawę ludzi po naszej lewej stronie.

- Jak ona sobie daje radę? - zapytał.

- Coraz lepiej, stary, ale czubek mówi, że to jeszcze wymaga czasu. Bardzo jej to zaszkodziło w szkole, ma zaległości w stosunku do innych dzieciaków. Ostatnie stopnie były fatalne. Jest inteligentna, ale przypomina wielkie dziurawe wiadro, wszystko jej wchodzi do głowy i od razu wycieka.

- Pomyśl o tym, co przeszła, człowieku. To na pewno wymaga czasu.

Odwróciliśmy się, by zobaczyć, jak cała czwórka opycha się kotlecikami z kurczaka. Dziwny zestaw jak na śniadanie, ale w końcu, kiedy byłem dzieckiem, to lubiłem z samego rana zjeść lody czekoladowe i frytki. Starsza z córek Josha miała tego dnia na pieńku z Tyce'em i Josh musiał użyć swego ojcowskiego autorytetu.

- Hej, Kimberly, spokój! Daj Tyce'owi napić się coli! Natychmiast!

Kimberly nie wyglądała na zachwyconą, ale posłuchała. Josh odwrócił się znowu ku rzece i zdjął okulary, by je przetrzeć.

- Wygląda na zadowoloną - zauważył. - To dobry znak.

- Dawno już nie było z nią tak dobrze. Trochę się boi dorosłych, ale kiedy przebywa z rówieśnikami, wszystko jest w porządku. Bardzo się cieszy, że was widzi. Poza tym może odpocząć ode mnie.

Nie mogłem z siebie wydusić, że spotkanie z nim jest wspaniałym przeżyciem również dla mnie. Miałem nadzieję, że on i tak o tym wie.

Zapatrzyliśmy się na rzekę, nie wiedząc, co dalej powiedzieć.

- Jak tam w robocie? - przerwał milczenie Josh. - Jesteś już w stałej kadrze?

- Nie sądzę, żeby kiedykolwiek do tego doszło - odparłem, kręcąc głową. - Wiedzą, że nie powiedziałem wszystkiego o swojej działalności w Waszyngtonie.

Byłem tym wszystkim wkurzony, bo potrzebowałem w tamtych czasach regularnych dochodów. Miałem jeszcze pieniądze, które udało mi się uratować z zeszłego roku, ale i one się musiały skończyć.

- Może zejdę na drogę występku - dodałem z uśmiechem. - To nie byłoby gorsze od tego syfu, w którym teraz siedzę.

Zmarszczył brwi, nie wiedząc, czy mówię poważnie, czy nie, i wskazał głową na grupki małych żeglarzy, jakby chciał mi przypomnieć o obowiązkach. Włożył znowu okulary i zapatrzył się na czarnoskórego faceta w starym, błyszczącym niebieskim dresie, który zajął miejsce w rogu pubu. Miał ze sobą na sprzedaż tygodnik „Big Issue” i zagadywał przechodzące kobiety.

- Tobie to dobrze. - Westchnąłem. - U nas nie ma sekcji szkoleniowej, gdzie mógłbym sobie sięść, położyć nogi na biurko i dalej dostawać pieniądze.

Spodziewałem się, że Josh wygłosi pouczającą pogadankę, toteż podniosłem rękę.

- OK. Poddaję się. Kiedyś w końcu uporządkuję ten syf w swoim życiu.

W pewnym sensie już trochę uporządkowałem. Wykorzystując pieniądze, które otrzymałem za tę waszyngtońską robotę, czyli po przeliczeniu z dolarów trzysta tysięcy funtów, kupiłem nadmorski dom w zapadłej dziurze w hrabstwie Norfolk. Wieś miała sklep spółdzielczy i to w zasadzie było wszystko. Korek uliczny tworzył się wtedy, gdy wszystkie trzy tamtejsze kutry rybackie równocześnie wpływały do przystani, a obsługujące je ciężarówki nadeżdżały po odbiór połowów. Poza tym największe zamieszanie tworzyło się, gdy wyjeżdżający zza rogu ulicy listonosz naciskał dzwonek roweru. Nie znałem nikogo z miejscowych, a oni nie znali mnie. Jeżeli w ogóle o mnie myśleli, to pewnie uważali, że jestem międzynarodowym handlarzem narkotyków albo jakimś dziwakiem. Prowadziłem życie samotnika i wszystkim to odpowiadało.

Kupiłem też motocykl. Miałem wreszcie ducati, o którym marzyłem, i trzymałem go w garażu. Jednak pieniądze, które mi zostały - około stu pięćdziesięciu tysięcy funtów - nie były aż tak wielkie, żeby traktować je jako emeryturę, dlatego nadal musiałem pracować, a miałem tylko jeden fach. Pewnie z tego powodu tak się polubiliśmy z Joshem - był bardzo podobny do mnie w tym, że zachowywał się w życiu niczym sztukmistrz, który stara się utrzymać wirujące talerze na czubkach trzymanyh przez siebie tyczek. Talerze Josha też się teraz za dobrze nie kręciły. Po odejściu Geri został z jedną pensją i musiał wystawić swój dom na sprzedaż.

Ostatni rok był dla niego całkiem do niczego. Najpierw jego żona zaczęła uprawiać jogę i te wszystkie różne bzdury w stylu „umysł, duch i ciało”. Potem wyruszyła do Kanady, żeby tam obejmować drzewa, a mówiąc ściśle, żeby obejmować swojego instruktora jogi. Josh i dzieciaki byli załamani. Musiał z czegoś zrezygnować. Nie mógł już sobie pozwolić na jeżdżenie po świecie z ekipą wiceprezydenta, więc został instruktorem w Laurel w Marylandzie. Brzmiało to bardzo imponująco: Sekcja Szkoleniowa Operacji Specjalnych, ale dla faceta, który przywykł do przebywania w centrum wydarzeń, to nie było nic nadzwyczajnego. Potem, dwa miesiące po odejściu żony, zostali zamordowani jego przyjaciele Kev i Marsha, i jedno z ich dzieci - Aida, a on dowiedział się, że jest wykonawcą ich testamentu do spółki z jakimś tępym Brytolem, niejakim Nickiem Stone'em, o którym w życiu nie słyszał.

Zaczęliśmy razem doglądać funduszu rentierskiego Kelly i mieliśmy trochę kłopotów ze sprzedażą ich rodzinnego domu. W gruncie rzeczy, kto chciałby kupić dom, w którym cała rodzina została wymordowana. Firma handlująca nieruchomościami próbowała naciągnąć nas na niekorzystną transakcję po to, żeby móc dysponować gruntem. Z kolei firma ubezpieczeniowa nie gwarantowała Kelly regularnej renty, tylko chciała wypłacić jednorazową sumę, bo tak im się bardziej opłacało. Jedynymi ludźmi, którzy coś na tym zarabiali, byli prawnicy, a cała ta sprawa kojarzyła mi się z moim rozwodem.

- Fajnie, że się spotkaliśmy, stary - odezwałem się wreszcie.

- Też się cieszę, stary - odparł, przedrzeźniając mój brytyjski akcent.

Prawdę mówiąc, w jego wykonaniu bardziej to przypominało akcent australijski niż angielski. Może w jego rejonie Wirginii też pokazywali w telewizji serial Sąsiedzi.

Nie było już nic więcej do powiedzenia. Lubiłem Josha i mieliśmy ze sobą dużo wspólnego, ale nie zanosilo się, byśmy się mieli dzielić szczoteczkami do zębów czy coś w tym stylu. Po tym, jak Euan dała mi kopa, postanowiłem, że nigdy nie będę się z nikim przyjaźnił i ograniczę kontakty z ludźmi tylko do znajomości, ale jednak w przypadku Josha wyglądało to inaczej.

- Skoro już mówimy o pochrzanionych sprawach - podjąłem - to jak tam leci z tą kołdrą? Kiedy dzieciaki mówiły

o tym wczoraj wieczorem, były zachwycone.

Popatrzył w niebo.

- Cholera, człowieku, to jest koszmar. Dwa miesiące takiego zamieszania i dzieciaki są tak nakręcone, jakby były na prochach.

Skwitowałem jego słowa śmiechem. Mówił mi to już nieraz przez telefon, ale nikt nie potrafił go powstrzymać od dorzucenia jeszcze czegoś na ten temat.

- Chodziłem na zebrania i zebrania na temat zebrzań, lekcje szycia, grupy dyskusyjne i co tylko można sobie wyobrazić. Takie mam popieprzone życie od dwóch miesięcy.

W Waszyngtonie miało się odbyć spotkanie na szczycie pomiędzy Izraelem i Palestyńczykami. Clinton chciał wyjść na wielkiego męża stanu, który doprowadza do zawarcia porozumienia pokojowego, i ktoś wpadł na świetny pomysł, żeby dla upamiętnienia tego wydarzenia wykonać największą na świecie „kołdrę pokoju”. Dzieci z całego kraju szyły jak zwariowane, przygotowując się do wystąpienia przed kamerami na trawniku przed Białym Domem.

- Słuchaj - ciągnął Josh - masz pojęcie, ilu trzeba szwów, żeby uszyć jeden wyglądający jako tako kawałek?

- Nie przejmuj się tym, stary - odparłem. - Zrobią z tego reklamę coca-coli i wszyscy będziecie bogaci.

- Hej, wy dwaj - przerwał nam krzyk bosmana. - Chodźcie tu i bierzcie swoje racje, bo jak nie, to zawiśniecie na bomie.

- Tak jest, proszę pana!

- Nie słyszę was. Co powiedzieliście?

Josh stanął na baczność, jakby był jeszcze w 82 dywizji, i wrzasnął:

- Tak jest, proszę pana!

Facet sprzedający „Big Issue” krzyknął z aprobatą i zaczął bić brawo. Nie byłem pewien, czy bosmanowi podoba się konkurencja z jego strony. Josh odebrał rację żwnościową i usiadł pomiędzy dziećmi, próbując trochę podkraść z ich śniadania.

Dostałem swój przydział elżbietańskich kotleczków, pączki i piracką colę. Jadący od strony London Bridge pociąg przetoczył się z kłopotem po biegnących za nami w górze torach, a ze stojącej zaledwie pięćdziesiąt metrów od nas katedry Southwark rozległa się salwa dzwonów informująca, że jest dziesiąta trzydzieści. Po raz milionowy zachodziłem w głowę, jak się znalazłem w tej sytuacji. Josh mówił mi, że zawsze podobał mu się pomysł przebywania z dziećmi, ale że do odejścia żony wcale nie uświadamiał sobie, jak stresujące jest opiekowanie się nimi przez cały czas. Jeśli chodzi o mnie, to

bardzo mi się podobało, kiedy byłem z Kelly, ale jednak nie mogłem znieść samej myśli o tym. Ogrom odpowiedzialności napęlił mnie przerażeniem. W świecie uczuć byłem nowicjuszem.

Moja jubilatka była w centrum uwagi, właśnie opowiadała dzieciom Josha o swojej szkole z internatem.

- Dostałam dwadzieścia pensów kary, ponieważ nie włożyłam kłapek, kiedy szłam pod prysznic.

Zachwycało ją poczucie, że jest taka sama jak inne dziewczynki. Fakt, że została ukarana, potwierdzał, że jest jedną z nich.

- No tak, i kto musi zapłacić tę karę? - wtrąciłem.

- Mój menedżer - odparła ze śmiechem.

Szkoła okazała się fantastyczna we wszystkich sprawach, chociaż jej pracownicy tylko w zarysie wiedzieli o minionych wydarzeniach. Zgodziliśmy się z Joshem, że najlepiej będzie zabrać ją natychmiast ze Stanów i ze środowiska, które będzie budziło w niej wspomnienia i jeszcze bardziej ją niszczyło. Nigdy nie rozmawiała o tamtym dniu, kiedy zginęli jej rodzice i siostra, ale bez zahamowań mówiła o nich, kiedy coś w życiu codziennym ich przypominało. Kiedy ja jedyny raz nawiązałem do tego w bezpośredni sposób, powiedziała po prostu:

- Nick, to było dawno.

Zaczęła opowiadać wszystkim o planach na najbliższy tydzień.

- Nick nie mógł się ze mną spotkać w dniu urodzin i musiał mnie zostawić u babci i dziadka, ale w tym tygodniu idziemy zobaczyć Bloody Tower.

- Co? - zdziwił się Josh.

W pracy mógł się zachowywać, jak przystało na byłego żołnierza 82 dywizji, ale kiedy mogły go słyszeć dzieci, z jego ust nie wydobywało się nawet najbardziej delikatne przekleństwo.

- Jej chodzi o zamek Tower w Londynie - wyjaśniłem. -

Jedna część nazywa się Bloody Tower, to tam chyba trzymają klejnoty koronne czy coś takiego. Historia nigdy nie była moją mocną stroną.

Kelly uśmiechnęła się na myśl, że zobaczy te wszystkie klejnoty. Ja sam, gdy byłem dzieckiem, nie zaznałem nigdy takiej przyjemności. Matka i ojczym nigdzie mnie nie zabierali. Nie dostawałem od nich nic oprócz obietnic. Kiedy miałem jakieś osiem lat, koło Tower Bridge zacumowano okręt HMS „Belfast”, który zamieniono w muzeum. Wszystkie dzieciaki z osiedla były na nim, tylko nie ja. Przez całe tygodnie tylko karmiono mnie obietnicami. W końcu powiedzieli, że idę z ciocią Pauliną. Całymi godzinami włączyłem się za nią po sklepach, dopytując się, kiedy pójdziemy do muzeum.

- Za chwilę, synku, niedługo - powtarzała.

Suka kłamała, całkiem jak moi rodzice. To było zwykłe oszustwo, żeby się mnie pozbyć i pójść zalać. Po tym wydarzeniu nawet się nie dopytywałem. Pieprzę ich - pomyślałem. Jeszcze osiem lat dzieliło mnie do momentu, kiedy będę mógł opuścić dom, i postanowiłem poczekać.

- ...potem się prześpimy, tam gdzie są te wszystkie mumie. W muzeum można spędzić... - nie dokończyła, gdyż przerwał jej głos bosmana, który chyba uznał, że duzi żeglarze potrzebują odpoczynku.

- Pora na morskie opowieści przy jedzeniu. Więc słuchajcie, cała załoga: mali i duzi!

Przez jakiś czas siedzieliśmy, słuchając morskich opowieści. Maczałem właśnie kotlecik z kurczaka w czerwonym sosie, kiedy poczułem sygnał pagera. Podobało mi się to, inni potrzebują mnie do wykonywania rzeczy, których nie potrafią zrobić sami, ale zawsze nastawiałem pager na sygnał wibracyjny, gdyż nie znosiłem jego dźwięku. Nieodmiennie zwiastował kłopoty, tak jak budzik, który rankiem nieoczekiwanie wytrąca człowieka ze snu.

Wyjąłem pager z małego pokrowca, który nosiłem przy pasku spodni, i spojrzałem na wyświetlacz. Widniał na nim tylko numer telefonu. Dostrzegłem, że Josh mi się przygląda, dobrze wiedział, o co chodzi. Dzieci były zbyt zajęte słuchaniem morskich opowieści, żeby to dojrzeć, ale nie Kelly. Posłała mi zaniepokojone spojrzenie, które zignorowałem.

Sieć pagerowa obejmuje swoim zasięgiem większy teren niż telefony komórkowe i dlatego jest wykorzystywana przez wywiad. Ja też wolę pager, ponieważ daje więcej czasu na psychiczne przygotowanie, zanim mnie ktoś opieprzy albo co gorsza zleci jakąś cholerną robotę. Używałem tego pagera chyba od pół roku. Nie byłem pewien, czy fakt, iż go otrzymałem, oznacza awans, czy też znaczy, że uważają mnie za palanta, który zawsze jest pod ręką, jak zamknięty w klatce pies dozorca wypuszczany, kiedy jest potrzebny, a gdy już wykona swoją robotę, dostaje kość i zostaje zapędzony z powrotem do budy.

- Problemy? - zapytał Josh, unosząc brew.

- Nie wiem. - Wzruszyłem ramionami. - Muszę zadzwonić. Dasz radę bronić fortu?

Josh skinął głową.

- Wróć za chwilę!

Bosman nadal snuł opowieści, a inni członkowie załogi rozdawali lody oczarowanym dzieciom. Wymknąłem się i zszedłem po schodkach na jeden z niższych pokładów, gdzie mieliśmy spać tej nocy. Na podłodze leżały tylko rozłożone materace, toteż musieliśmy przywieźć miękkie śpiwory, całkiem jak to robili szesnastowieczni żeglarze, ha, ha, ha. Wygrzebałem z torby turystycznej trochę drobnych i wróciłem na górę, żeby wymknąć się ze statku nie zauważony przez Kelly.

Powinienem być się tego spodziewać: musiała mnie obserwować jak jastrząb, bo jak tylko się rozejrzałem, dostrzegłem, że patrzy w moją stronę. Uniosłem rękę i wyszeptalem bezgłośnie „Wracam za chwilę”, wskazując pub. Jej mina wyrażała zaskoczenie i pewien niepokój. Josh nadal był z nimi. Kiwał głową i robił miny, słuchając ze wszystkimi o śmiałych żeglarskich wyczynach. Od strony katedry znowu doleciał dźwięk dzwonu: jedenasta.

W holu pubu znalazłem płatny automat telefoniczny. Pierwsi tego dnia klienci już przybywali do „Olde Thameside Inn”: handlarze z targu owocowego, którzy wpadli na kufel beczkowego piwa, ramię w ramię z dealerami z City pijącymi butelkowane piwo. Stałem przy telefonie, zatykając jedno ucho palcem i czekając na sygnał. Przed oczami miałem pełne półki ulotek dla turystów, rząd po rządzie, które informowały o wspaniałościach zamku Tower. Wszystkie zdawały się wskazywać palcem na przeżartego przez szkorbut buntownika, który ma zamiar zwiać z okrętu.

Wrzuciłem parę monet do automatu i wybrałem numer, znowu przykładając palec do drugiego ucha, żeby odciąć się od dźwięków płynącej z szafy grającej melodii Oasis. Już po pierwszym sygnale usłyszałem w słuchawce zdecydowany kobiecy głos.

- Halo?

- Mówi Nick. Miałem sygnał pagera.

- Gdzie jesteś?

Dobrze wiedziała, gdzie jestem, bo zamiar na każdego dzwoniącego do Firmy jest wyświetlany na ekranie cyfrowym. Wkładają równie wiele wysiłku w szpiegowanie się nawzajem, jak w szpiegowanie wroga. Nic by nie pomogło, gdybym wybrał 141 przed właściwym numerem i powiedział: „Jestem w Glasgow. Nie mogę wrócić”. Cokolwiek bym zrobił i tak zobaczyłaby na ekranie, że jestem przy płatnym aparacie w Southwark.

- W Londynie - powiedziałem.

- Poczekaj proszę.

Z pewnością nacisnęła guzik odcinający rozmówcę, ale po dwóch minutach znowu usłyszałem jej głos.

- Musisz być na Gatwick o trzeciej trzydzieści dzisiaj po południu.

Zrobiło mi się smutno na duchu, ale wiedziałem, że nie mam wyboru.

- Na jak długo? - zapytałem.

Nie było to dla mnie aż tak istotne, bo już teraz intensywnie myślałem, w jaki sposób się wytłumaczę dziewczynce, która właśnie skończyła dziewięć lat.

- Nie dysponuję takimi informacjami - odparła.

Wysłuchałem szczegółowych zaleceń dotyczących spotkania i odłożyłem słuchawkę, oczekując zwrotu nie wykorzystanej monety. Nic z tego. Widocznie telefon w pubie był podłączony do jednej z tych prywatnych sieci, które mogą nakładać opłaty, jakie sobie wymyślą. Za funta miałem raptem sześćdziesiąt sekund rozmowy.

Poszedłem z powrotem na statek, przeciskając się przez tłum ludzi sunących w tym samym kierunku. Zachodziłem w głowę, co powiem: nie Joshowi, z tym nie było problemu, ale Kelly.

Byłem około dwudziestu czy trzydziestu metrów od trapu, gdy zobaczyłem, że Josh się za mną rozgląda. Patrząc w jego kierunku, powoli pokręciłem głową, żeby go chociaż częściowo uprzedzić, co się stało. Od razu się zorientował, bo sam też bywał w takich sytuacjach.

Wszedłem po trapie, pewien, że czeka mnie niezły opieprz, dlatego przybrałem odpowiednio zafrasowaną minę. Od przyjazdu Kelly do Wielkiej Brytanii nie miałem dla niej tak naprawdę czasu. Dopiero teraz się udało, więc wyglądało to tak, jakby pan młody przerywał miesiąc miodowy, żeby wrócić do biura.

Gdy dotarłem na pokład, Kelly i kilkoro innych dzieci pomagali sprzątać talerze pod okiem bosmana. Na moment gdzieś w myślach pojawił mi się obraz Kelly, kiedy tuż przed śmiercią pozostałych członków rodziny nakrywała w kuchni dc stołu, żeby pomóc mamie. Poczułem się jeszcze bardziej parszywie, ale od razu powiedziałem sobie, że oboje się z tego otrząśniemy. Wiedziałem, że Kelly będzie się gniewała, ale przecież mogłem to nadrobić po powrocie. Poza tym spotkała się z Joshem i jego dziećmi, wszyscy mieli dobry ubaw. Musiała to zrozumieć, a w dodatku miała przed sobą perspektywę spotkania z dziadkami.

Josh wiedział, co jest grane, i nachylił się nad swoimi dziećmi.

- Hej.

Zaklaskał w ręce, a one podniosły na niego wzrok, czekając, co będzie dalej.

- W porządku, dzieciaki, zanieśmy te wszystkie talerze bosmanowi - polecił.

- Kelly - zacząłem.

- Mhm? - mruknęła.

Nawet nie spojrzała na mnie, tylko nadal zbierała talerze. Wyglądało na to, że nie ułatwi mi przekazania tej informacji.

- Dzwonił mój szef. Każe mi wyjechać.

Znowu nie spojrzała na mnie, wkładając talerze do pojemnika.

- Dlaczego?

- Mają dla mnie robotę. Powiedziałem im, że chcę być z tobą przez tydzień i że nie chcę jechać, ale powiedzieli, że muszę. Nic nie mogę na to poradzić.

Miałem nadzieję, że to kupi: to oni są winni, a nie ja. Obróciła się do mnie gwałtownie, przerywając sprzątanie. Jej mina wyrażała wszystko, czego nie chciałem usłyszeć.

- Nick, obiecałeś.

- Wiem, ale nic na to nie poradzę. Pager zaplikał...

- Nie zaplikał, tylko zaplikał - przerwała mi.

Zawsze mnie objeżdżała, kiedy przekręcałem ten wyraz.

Twarz jej poczerwieniała, a w oczach zaczęły się zbierać łzy.

- Posłuchaj, Kelly. Zawsze możemy tu jeszcze przyjechać. Pomyśl tylko: Josh i jego dzieci muszą za kilka dni jechać do domu i nie będą mogli zobaczyć tych wszystkich miejsc, ale my możemy tu wrócić.

- Ale powiedziałeś.... obiecałeś mi, Nick... powiedziałeś, że chcesz spędzić ze mną urlop...

Wyrzucała z siebie gwałtownie słowa, spazmatycznie łapiąc powietrze.

- Powiedziałeś, że nadrobisz to, że nie spotkałeś się ze mną w dniu urodzin. Obiecałeś mi wtedy, Nick... Obiecałeś.

Co to dużo gadać, miała moje serce w garści i porządnie trzymała.

- Wiem, że tak było, ale to ostatni raz. Teraz będzie inaczej. Naprawdę.

Jej dolna warga zaczęła opadać, a z oczu potoczyły się łzy.

- Ale Nick, obiecałeś...

- Przepraszam - powiedziałem, głaszcząc ją po głowie -ale nic nie mogę na to poradzić. Muszę wracać do pracy. Och, Kelly, rozchmurz się.

Co ja, do cholery, wygaduję? - pomyślałem. Nie znosiłem takich sytuacji. Nie wiedziałem, co robić ani co powiedzieć, a co gorsza, zaczynałem gadać tak jak ciocia Paulina.

Płacz Kelly przerodził się w rozdzierające łkanie.

- Ale ja nie chcę, żebyś jechał... chcę tu zostać i być żeglarzem... chcę tu zostać... nie chcę spać na tym statku bez ciebie...

- Ach - powiedziałem wystarczająco sugestywnym tonem, aby ją skłonić do spojrzenia na mnie. - Nie będziesz spała na tym statku. Zabiorę cię do babci i dziadka. Słuchaj, obiecuję, i naprawdę obiecuję, że ci to wynagrodzę.

Popatrzyła na mnie uporczywie, a potem, głęboko urażona, pokręciła powoli głowę. Została spławiona, zdawała sobie z tego sprawę. Nie wiedziałem, czy kiedykolwiek mi jeszcze zaufa. Nic nie mogłem dodać, ponieważ w gruncie rzeczy miała rację. Na wszelki wypadek, żeby uniknąć powrotu do tematu, podszedłem do bosmana.

- Musimy wyjechać - powiedziałem. - Problemy rodzinne.

Skinął głową. Co go to mogło, do diabła, obchodzić. Płacili mu za to, żeby chodził w kapeluszu i się wydzierał.

Po chwili wrócił Josh. Jego dzieci były w trakcie lekcji poświęconej wciąganiu żagli.

- Musimy jechać, stary - oznajmiłem.

Chciałem pogłaskać Kelly po głowie, ale się odsunęła.

- Chcesz iść na dół, przebrać się? Możesz pożegnać się za chwilę. Idź. No, szybko.

Odeszła, a ja spojrzałem na Josha i wzruszyłem ramionami.

- Cóż ci mogę powiedzieć? Muszę jechać do roboty - wyjaśniłem i od razu, żeby mu nie dać czasu na zastanawianie się, jak mi może pomóc, dodałem: - Teraz zabieram ją do babci i jadę. Naprawdę jest mi przykro z tego powodu, stary.

- Hej, wyluzuj się. Nie ma problemu. Zdarza się. Naprawdę przyjemnie się było z tobą spotkać.

Miał rację. Ja również cieszyłem się z naszego spotkania.

- Mnie też - powiedziałem. - Miłego lotu do domu. Zadzwoń do ciebie, jak tylko skończę tę robotę, i następnym razem to my przylecimy do was.

- Już ci mówiłem, że łóżka są ciągle postane, a kawa, biała czy czarna, zawsze gorąca.

Nie od razu skojarzyłem, o co może chodzić w tym „biała czy czarna”.

- To jakieś powiedzonko z waszego desantu?

- Coś w tym stylu.

Pożegnałem się z jego dziećmi. Wrócili do ciągnięcia lin i zbierania opieprzu od bosmana.

Zszedłem na dół i przebrałem się.

2

Zatrzymaliśmy się na przejściu dla pieszych, żeby przepuścić faceta o niebieskiej fryzurze w stylu New Age.

- Kelly. - Zaśmiałem się. - Patrz na tego gościa. Nie wydaje ci się, że jest cudaczny?

Facetowi metal wystawał z nosa, ust, brwi i skąd tylko się dało.

- Idę o zakład, że boi się przejść w pobliżu fabryki magnezu - dodałem i roześmiałem się z własnego dowcipu.

Kelly nie była rozbawiona. Może dlatego, że był to żart dość nie na miejscu.

- Nie należy czynić takich osobistych uwag - powiedziała. - A w dodatku, on na pewno był w Bloody Tower.

Jej szkolne oceny może i pogorszyły się trochę, ale i tak miała dalej cięty język jak ojciec.

Spojrzałem na nią i czułem się coraz bardziej winny. Czytała ulotkę opisującą, jak wspaniały jest Londyn, znalazła ją w wynajętym samochodzie. Odsunęła się ode mnie i pewnie myślała nad tym, co może być tak ważnego w moim życiu, że zamiast pokazać jej klejnoty koronne, zostawiam ją z nieznośnymi, starymi dziadkami, na których już się dość napatrzyła w czasie wolnych weekendów.

Przejechaliśmy przez doki w East Endzie, mijając po drodze niesamowicie wysoki wieżowiec na Canary Wharf, a potem, podążając za znakami kierującymi do tunelu Blackwall, zobaczyliśmy budowaną właśnie po drugiej stronie Tamizy Kopułę Milenijną.

- Hej, popatrz, największy na świecie kapelusz Burger Kinga! - zawołałem, usiłując trochę rozładować atmosferę. W końcu zdobyła się na jakąś reakcję: nieznacznie poruszyła ustami, czemu towarzyszyło zdecydowane postanowienie powstrzymania się od śmiechu. Jadąc dalej w kierunku tunelu, którym mieliśmy przejechać pod Tamizą, dotarliśmy do stacji paliwowej znajdującej się na wysokości kopuły w stylu Burger Kinga.

Musiałem zadzwonić do jej dziadków. Stacja benzynowa wyglądała tak, jakby sprzedaż paliwa nie była jej najważniejszym zadaniem, bo sprzedawano tam wszystko od jednorazowych stojaków do grilla po bilety na loterię i drewno opałowe. Rozpiąłem pas i starając się nadać swojemu głosowi wesołe brzmienie, zapytałem:

- Chcesz czegoś ze sklepu?

Pokręciła głową. Wsiadłem i ruszyłem w stronę umieszczonego na ścianie telefonu. Postanowiłem, że i tak coś jej kupię. Na przykład ładny pakiet drewna na podpałkę.

Wyciągnąłem z kieszeni mnóstwo skrawków papieru i w końcu znalazłem żółtą karteczkę samoprzylepną z numerem telefonu Carmen i Jimmy'ego. Pokryty klejem skraj karteczki był oblepiony włóknami niebieskiego puszkę z mojej kurtki. Kelly z zapiętym pasem dalej siedziała w samochodzie. Przeszywała mnie wzrokiem.

Wiedziałem, że o tej porze dnia są w domu. Zawsze jedli lunch u siebie. Prawdę mówiąc, podczas niemal pięćdziesięciu lat małżeństwa nigdy nie jedli poza domem. Carmen nie zgadzała się, by jacyś obcy ludzie przygotowywali posiłek dla jej męża, a Jimmy już się przekonał, że nie warto się kłócić. Wiedziałem również, że to Carmen odbierze telefon, zawsze odbierała.

- Halo, Carmen, mówi Nick. Jak się macie?

- Och, świetnie - powiedziała nieco oschle. - Oczywiście jesteśmy dość zmęczeni - dodała, wprowadzając element męczeństwa przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Powinienem być to zignorować i przejść od razu do rzeczy, ale powtórzyłem za nią: „Zmęczeni?” - i od razu sobie coś przypomniałem.

- Tak, poszliśmy spać dobrze po dziesiątej, po wiadomościach. Powiedziałeś, że Kelly do nas zadzwoni.

Nie mieli z nią kontaktu, odkąd zabrałem ją na wycieczkę, i obiecałem im, że do nich zadzwoni. No, ale Kelly w zasadzie za bardzo się nie starała, żeby mi o tym przypomnieć.

- Przepraszam, Carmen, ona była taka senna wczoraj wieczorem, że nie chciałem jej budzić.

Nie kupiła tego i wcale nie miałem o to do niej pretensji. Miała rację: o dziesiątej poprzedniego wieczoru obydwójce opychaliśmy się hamburgerami i frytkami.

- No cóż, chyba mogę porozmawiać z nią teraz. Czy już jadła lunch?

W rzeczywistości to pytanie miało oznaczać: Czy pamiętałeś o tym, żeby nakarmić naszą wnuczkę? Pomyślałem o Jimmym, który był z nią żonaty od pół wieku, i o jej synie, Kevie. Nic dziwnego, że w młodości ruszył na zachód tak wcześnie, jak to tylko było możliwe.

Roześmiałem się w odpowiedzi. Ze względu na Kelly nie mogłem się dać sprowokować temu emocjonalnemu szantażowi.

- Posłuchaj, Carmen, jest pewien problem. Muszę wyjechać dzisiaj wieczorem. Czy moglibyście ją wziąć do siebie i odwieźć w poniedziałek do szkoły? Zamierzałem spędzić z nią te pięć dni, żeby zobaczyła Londyn, ale mogłaby wrócić już teraz.

Wyczułem jej podekscytowanie, ale jeszcze musiała ponarzekać.

- Oczywiście. Kiedy przyjedziecie?

- Na tym polega problem. Nie mam dość czasu, żeby ją do was przywieźć. Czy moglibyście spotkać się z nami na Gatwick?

Wiedziałem, że mogą. Prawdę mówiąc, pewnie już niecierpliwym gestem odsyłała Jimmy'ego do garażu po jedenastoletniego rovera, utrzymywanego w doskonałym stanie. Nowe drzwi, które sobie ostatnio zainstalowali, zapewniały bezpośrednie przejście z domu do garażu. Jimmy był z tego bardzo dumny. Bez trudu wyobrażałem go sobie, jak ściera z malowanych farbą drzwi widoczne tu i ówdzie ślady palców.

- Och... nie możecie tutaj przyjechać? To by znaczyło, że nie wrócimy zbyt wcześnie do domu.

Ich dom był tylko o godzinę jazdy od lotniska, ale każdy pretekst byłoby dobry, żeby się ze mną podroczyć.

- Niestety. Nie mogę. Mam zbyt mało czasu.

- Ale gdzie was spotkamy?

W jej głosie pojawiła się nuta paniki na myśl, że będą musieli zrobić coś tak trudnego, połączona z irytacją wywołaną zakłóceniem rozpisanego co do minuty planu dnia. Kev musiał mieć ciężkie dzieciństwo jako synek Brown.

Od samego początku wyczuwałem, że oni, a raczej ona, mnie nie lubią. Może winiła mnie za śmierć syna. Nie miałem wątpliwości co do tego, że nie akceptuje faktu, iż to ja zostałem wyznaczony na opiekuna ich wnuczki, chociaż dobrze wiedziała, że oboje są zbyt starzy, by zająć się nią sami. Ale miałem to gdzieś, i tak pewnie wkrótce umrą. Przypuszczałem, że jak to już nastąpi, będzie mi szkoda Kelly, ponieważ potrzebowała pomocy innych ludzi, nawet jeśli to były takie męczące typy jak państwo Brown.

Kiedy wróciłem do samochodu, Kelly udawała, że jest zaabsorbowana czytaniem kolejnej ulotki. Nie podnosząc wzroku, powitała mnie męczeńskim westchnieniem. Musiałem nad nią panować, bo inaczej wyrośnie na taką zgryźliwą osobę jak jej babcia.

- Naprawdę są zachwyceni tym, że przyjeżdżasz do nich już dzisiaj, a nie w następny weekend - rzuciłem wesoło. - Nie mogą się doczekać, kiedy się spotkacie i opowiesz, co robiłaś na statku.

- OK. To znaczy, że wracam do szkoły razem ze wszystkimi?

- Tak, ale najpierw spędzisz parę wspaniałych dni z babcią i dziadkiem.

Nie podzielała mojego optymizmu, ale miała wystarczająco dużo rozumu, żeby wiedzieć, iż chociaż dziadkowie mogą być nudni, to bardzo ją kochają. Był to jedyny powód, dla którego ich jeszcze tolerowałem.

Wróciliśmy na główną trasę i ruszyliśmy w kierunku tunelu. Zacząłem przypominać sobie przekazane mi telefonicznie informacje na temat czekającego mnie spotkania. Kelly siedziała ponura i milczała. Naprawdę nie wiedziałem, jak z tym skończyć.

- W następnym tygodniu zadzwonię do ciebie do szkoły w porze lunchu, OK? - powiedziałem w końcu.

- Zadzwoisz? - ożywiła się. - Zadzwoisz do mnie?

- No pewnie, że tak. Nie wiem dokładnie kiedy, ale zadzwonię.

Spojrzała na mnie, unosząc podejrziwie brwi.

- To ma być kolejna z twoich obietnic?

Uśmiechnąłem się i skinąłem głową. Wiedziałem, że wkopuję się po szyję, bo za każdym razem, kiedy coś obiecywałem, kończyło się tak, że akurat nie mogłem. Przecież nie miałem pojęcia, co będę robił, więc teraz tylko trochę zyskiwałem na czasie. Nie lubiłem tej strony moich zobowiązań wobec Kelly. Męczyło mnie, że może z mego powodu przeżywać podobny zawód jak ja w dzieciństwie.

- To nie jest zwykła obietnica, ale obietnica podwójna. Porozmawiamy o wszystkich rzeczach, które będziemy robili podczas następných wakacji. Zrekompensuję ci to, zobaczysz.

Przyglądała mi się badawczo. Teraz gdy chwyciła jeden palec, chciała od razu całą rękę.

- A muszę jechać do babci i dziadka?

Domyślałem się, jak do tego podchodzi. Mówiła mi, że kiedy jest z nimi, większość czasu spędza na wyciąganiu swetra z dzinsów, gdyż Carmen podciąga jej spodnie do pach, „aby dziećka nie przewiało”. Ja też nie chciałem tam jechać, ale odparłem:

- Będzie świetnie, nie martw się. I tak spędzisz z nimi następny weekend, dlatego jeden dodatkowy weekend nie sprawi ci różnicy. Porozmawiam trochę z nimi i zobaczę, czyby cię nie wzięli do oceanarium, żebyś zobaczyła te rekiny, o których rozmawialiśmy.

Popatrzyła na mnie spojrzeniem mówiącym, że nic nie wyjdzie z tej wycieczki do oceanarium. Wiedziałem, że ma rację, ale brnąłem dalej.

- Jedno jest pewne: nie chcę, żeby cię wzięli do Bloody Tower, bo to jest wycieczka zarezerwowana tylko dla nas, OK?

Przytaknęła ruchem głowy, chociaż wiedziała, że większa jest szansa na to, że jej babcia ni z tego, ni z owego przemieni się w Zoe Bali. Wrzuciłem kierunkowskaz, sygnalizując zjazd z autostrady M23 na ostatni odcinek trasy ku lotnisku.

Minąłem znaki witające nas na północnym terminalu i podjechałem na parking godzinowy. Bez przerwy gadałem pełnym zachwytem i ekscytacją głosem.

- No dobrze, chodźmy zobaczyć, czy babcia i dziadek już są? Zgoda? Wiesz co, jak ich nie ma, to pójdziemy coś zjeść. Zgłodniałaś?

Spodziewałem się, że takie rozwiązanie powinno zadowolić babcię.

Kelly nie odezwała się, ale spojrzenie, które mi postąpiła, wysiadłszy z samochodu, mówiło: „Daj sobie luzu, palancie. Mam tego po dziurki w nosie”. Wiedziała, że została wystawiona do wiatru, i chciała, żebym zdał sobie z tego sprawę. Wyjąłem z samochodu jej torbę, wziąłem ją za rękę i uważając na jeżdżące po parkingu samochody, ruszyłem do terminalu północnego.

Miałem się z nimi spotkać w kawiarni „Costa”. Łatwo jest ją znaleźć i nawet oni powinni sobie poradzić.

Spojrzałem na mój zegarek marki „G-Shock”, który kupiłem po utracie poprzedniego. Tym razem był to typ Baby-G. Kiedy nacisnęło się przycisk podświetlania, w jednym miejscu pojawiała się mała sylwetka surferowca. Nawet mi się to podobało, chociaż za każdym razem była to ta sama sylwetka, która wykonywała te same manewry. Smutne, ale prawdziwe.

Minęła pierwsza, ale jeszcze nie dotarli. Usiłując złagodzić poczucie winy, wziąłem Kelly na wycieczkę po sklepach, gdzie kupiłem jej parę tabliczek czekolady, firmowego miśka linii lotniczych i płytę kompaktową zespołu Ali Saints. Był to prosty chwyt, który, jak wiedziałem, tak naprawdę niczego nie załatwiał, ale przynajmniej poczułem się trochę lepiej.

Wróciliśmy do kawiarni „Costa” i usiedliśmy na stołkach barowych, żeby mieć widok na wejście do terminalu. Kelly wzięła sok pomarańczowy, a ja kawę ze śmietanką, poza tym oboje kupiliśmy po kanapce. Przyglądaliśmy się, jak wypełniający port lotniczy tłum je posiłki, łapie samoloty i, ogólnie rzecz biorąc, wydaje w ciągu jednej godziny więcej pieniędzy niż przez cały dzień wakacji.

- Nick - odezwała się Kelly - czy wiesz, ile czasu potrzeba, żeby urodził się słoń?

- Nie - mruknąłem.

Tak naprawdę nie przysłuchiwałem się jej, bo byłem zbyt zajęty wypatrywaniem nad swoją kawą Wallace'a i Gromita, przy okazji starałem się nie patrzeć na zegarek.

- Prawie dwa lata.

- Och, to ciekawe - powiedziałem.

- OK. A wiesz, ilu ludzi było na świecie w 1960 roku?

- Trzy lata.

- Nick... - przywołała mnie do porządku. - Trzy miliardy, ale już niedługo na świecie będzie żyło sześć miliardów ludzi.

Odwrociłem się do niej.

- Jesteś bardzo mądra jak na.... - zacząłem, ale od razu dostrzegłem, skąd ona to wie: czytała dane wydrukowane na saszetkach z cukrem.

- Oszukujesz!

Wreszcie się uśmiechnęła, z początku szczerze, ale później nieco sztucznie; wycedziła przez zaciśnięte zęby:

- Oho, patrz. Babcia i dziadzio.

- Leć przywitać się z nimi!

Mrucząc coś pod nosem, zeskoczyła ze stołka i ruszyła w ich stronę. Twarze Jimmy'ego i Carmen wyrażały mieszaninę ulgi z powodu odnalezienia nas i samozadowolenia z faktu, że są na tyle dzielni, by przebywać w tak wielkim, zatłoczonym miejscu. Kelly uściskała ich oboje. Kochała dziadków, ale nie należeli do ludzi, z którymi chciałoby się spędzić cały dzień, nie mówiąc już o wolnym weekendzie. Kłopot polegał na tym, że oni w gruncie rzeczy nic nie robili: nie zabierali jej do parku ani na spacer, tylko siedzieli w domu, oczekując, że ona będzie rysowała obrazki i piła herbatę filizankę po filizance.

Jimmy był ubrany w kremowe flanelowe spodnie i beżową kurtkę z kapturem, a Carmen miała na sobie ubranie w rodzaju tych, jakie widuje się w katalogach ze zdjęciem Judith Chalmers na okładce. Twarz Jimmy'ego niemal nie miała wyrazistych rysów, tak jakby została zaprojektowana w tunelu aerodynamicznym. Kev musiał odziedziczyć swoją ciemną cerę i oczy po matce, która nadal wyglądała atrakcyjnie, chociaż uważała, iż czern jej włosów jest naturalna.

Idąc ku mnie, z wielkim zaaferowaniem zaczęli dopytywać się Kelly, co robiła do tej pory. Podszedłem do nich i przywitałem się.

- Jim, Carmen! Jak się macie?

Nie zdołali jeszcze zdać mi relacji ze stanu dróg i dokładnej trasy, którą tu przybyli, kiedy przystąpiłem do rzeczy.

- Słuchajcie, jest mi bardzo przykro, ale muszę wyjechać. Jesteście pewni, że dacie sobie radę przez resztę weekendu?

Jak się okazało, oboje byli z tego bardzo zadowoleni. Czuli się tak, jakby to było znowu Boże Narodzenie, tyle że tamtym razem rzecz się dzieła na Heathrow i musieli odebrać Kelly cztery dni przed terminem. Nie mogli pojąć, dlaczego ktoś o tak nieustabilizowanym trybie życia został wyznaczony na jej opiekuna. Nawet mnie nie znali, ale i tak wyraźnie widzieli, że się nie nadają do tej funkcji. Mógłbym się założyć, że uważali mnie za jednego z przyjaciół żony Keva. Nigdy nie lubili Marshy. Pewnie wtedy gdy nie obarczali mnie winą za śmierć syna, to obwiniali ją, nie przejmując się tym, że ona już nie może temu zaprzeczyć.

Carmen zajęła się zapinaniem górnego guzika koszuli Kelly i wpychaniem jej dolnego skraju w dzinsy. Nie wolno ryzykować na lotniskach, tam są takie przeciągi.

Demonstracyjnie zerknąłem na zegarek. Zostało jeszcze mnóstwo czasu, ale to nie znaczyło, że mam ochotę dalej tam z nimi tkwić.

- Naprawdę muszę już iść. Kelly, pożegnaj się ze mną i daj buziaka.

Objęła mnie, a ja zgiąłem się wpół, żebyśmy mogli się pocałować. Nie podobało się to Carmen, ponieważ w stosunku do nich Kelly nie zachowywała się tak uczuciowo. Będąc z nimi, robiła tylko to, czego - jak wiedziała - od niej oczekiwano. Muszę przyznać, sprawiało mi to przyjemność.

Spojrzałem jej w oczy i wykonałem gest, jakbym telefonował.

- Obiecuję - powiedziałem.

Uniosła brew i spojrzała na mnie przenikliwie.

- Czy to jedna z obietnic Nicka? - powiedziała tak cicho, że tylko ja mogłem ją usłyszeć.

Zobaczyłem oczyma wyobraźni, jaka będzie za dwadzieścia lat. Wiedziałem, że wyrośnie na kobietę, która potrafi faceta rozpałić samym spojrzeniem.

- Nie - powiedziałem równie cicho - To jest ONC.

- Co takiego?

- Obietnica normalnego człowieka.

To było po jej myśli, skinęła z aprobatą głową.

Wiedziałem, że ją zwodzę, tak jak kiedyś zwodzili mnie rodzice. Sytuacja stawała się niemal nie do zniesienia. Carmen i Jimmy nie czuli się zbyt dobrze, widząc naszą poufałość, a ja naprawdę nie wiedziałem, jak się zachować w takich sytuacjach. Czułem się jeszcze bardziej winien niż kiedykolwiek i po prostu chciałem stamtąd odejść.

Wyraz twarzy Kelly sprawił, że przypomniałem sobie swoje trzynaste urodziny. Moi rodzice nie pamiętali o nich. Nadrobili to, biegnąc do pobliskiego sklepu i kupując grę planszową w kształcie robota za siedemdziesiąt pięć pensów. Domyśliłem się tego wszystkiego, bo nie była nawet zapakowana, tylko znajdowała się w reklamówce i nadal widniała na niej przyklejona metka z ceną. Wiedziałem, jak człowiek się czuje, kiedy zawiodą ci, którzy powinni go kochać najbardziej.

- Muszę już iść - szepnąłem jej do ucha.

Wyprostowałem się i zobaczyłem, jak Carmen kiwa głową, co oznaczało, że powinienem był odejść dziesięć minut temu.

- Będiesz z nami w kontakcie, prawda? - zapytała w swój charakterystyczny sposób, który oznaczał, że nie będzie z utęsknieniem wyczekiwała informacji ode mnie.

- Oczywiście, że tak, babciu - powiedziała Kelly. - Kiedy Nick coś obieca, to zawsze dotrzymuje słowa.

To kłamstwo chyba nie przyszło jej łatwo, ale wiedziała, kiedy należy mnie wesprzeć.

- Tak - potwierdziłem, uśmiechając się szeroko. - Coś w tym rodzaju. To na razie.

Jimmy uśmiechnął się nieznacznie. Nie umiałem rozpoznać, czy jest zadowolony, czy po prostu dokucza mu żołądek. Nie potrafiłem też sobie przypomnieć, kiedy z nim ostatnio rozmawiałem.

Carmen uznała, że nadszedł najwyższy czas, aby Kelly się ode mnie oderwała.

- O jak miło, masz płytę? - powiedziała. - Czyja to?

- Ali Saints.

- Och, one są świetne? Prawda? Najbardziej lubię tę rudą w sukience w kolorach flagi narodowej.

- To są Spice Girls.

- Och, naprawdę? - Carmen posłała mi wściekłe spojrzenie, jakbym to ja zawinił i zaraz na pomoc przywołała Jimmy'ego. - Dziadkowi nie podoba się żadna z nich. Nie lubi tego przekłuwania ciała.

Kelly popatrzyła na mnie, wywracając oczami, ale zaraz dojrzałem w nich rozpacz. Odwróciłem się na pięcie i odszedłem.

Ruszyłem z powrotem w kierunku parkingu, ale po drodze wskoczyłem do kolejki jadącej do południowego terminalu. Ciągle myślałem o tym, jak się wszystko pogmatwało i jak się musi czuć Kelly, ale zdawałem sobie sprawę, że wkrótce będę musiał o tym zapomnieć. Postanowiłem wykorzystać trwającą dwie minuty jazdę na uporanie się z poczuciem winy, żeby przed wyjściem z pociągu wtłoczyć sobie z powrotem do głowy kasetę nastawioną na pracę.

Pociąg był pełen charakterystycznych lotniskowych typów: młodych par w podobnych futbolowych koszulkach: on ze sportową torbą, ona z magazynem „Hello” i krzyżówkami -oraz biznesmenów w garniturach. Ci ostatni trzymali w rękach teczki i laptopy i wyglądali tak, że powinni przeczytać poradnik „Jak zachować spokój ducha”.

Doszedłem do terminalu południowego, gdzie kierując się znakami, odszukałem parking godzinowy. Wjechałem windą na najwyższą kondygnację. Byłem już psychicznie nastawiony na pracę, wszystko inne zostało upchnięte w zakamarkach umysłu.

Otwarta górna kondygnacja była w trzech czwartych zapełniona. Ogłuszający huk startujących samolotów przytłumiał wszelkie odgłosy samochodów i klekoczących wózków bagażowych. Mrużąc oczy, by je ochronić przed blaskiem słońca, ruszyłem przejściem między samochodami.

W jednym z szeregów pojazdów, bliżej środka parkingu, dojrzałem to, czego mi kazano szukać: granatową toyotę previę z przyciemnionymi szybami. Być może Firma znalazła zastosowanie dla tych previi, które przywieźliśmy po tamtej robocie w Syrii. Nie wydawało mi się, żeby u Hertza mieli ochotę je przyjąć. Doszedłem do końca szeregu pojazdów i skierowałem się ku toyocie.

Od zmiany rządu w 1997 roku chyba każde ministerstwo korzystało z minivanów. Nie wiedziałem, czy jest to zgodne z jakimś zarządzeniem, czy po prostu wynika z faktu, że Tony Blair jeździ podobnym samochodem. W każdym razie był to dobry pomysł: znajdowało się w nich dość miejsca, żeby na odprawach siedzieć wygodnie, zamiast kulić się z kolanami przy uszach w tylnej części samochodu typu kombi. Poza tym, gdy się robiło naprawę gorąco, łatwiej było je znaleźć.

Kiedy już podszedłem bliżej, dojrzałem na przednim siedzeniu kierowcę. Czytał „Evening Standard”, wypełniając swym ciałem połowę przestrzeni w kabinie. Nie wyglądał zbyt naturalnie w koszuli z kołnierzykiem i krawacie. Wszystkie szyby previi były zamknięte. Rozmiary głowy kierowcy i krótko przystrzyżona fryzura sprawiały, że wyglądałby bardziej na miejscu, gdyby wychylał się z włazu czołgu.

Podszedłem swobodnym krokiem od tyłu, patrząc na tablicę rejestracyjną samochodu. Nie pamiętałem dokładnie pełnego numeru, ale wiedziałem, że będzie w nim litera P. Prawdę mówiąc, szukałem pewnego znaku szczególnego, i rzeczywiście nad umieszczonym u dołu lewych tylnych drzwi logo toyoty dojrzałem mały chromowany znaczek w kształcie ryby: symbol zaangażowanych chrześcijan. Czyli to ten. Podszedłem do odsuwanych drzwi z boku pojazdu i stanąłem, słuchając monotonnego szmeru silnika.

Drzwi uchyliły się na kilka centymetrów, ale po chwili odsunęły się całkiem, odsłaniając dwa szeregi siedzeń dla pasażerów. Zajrzałem do środka.

Nie widziałem pułkownika Lynna od prawie roku, ale nie zmienił się zbyt wiele. W każdym razie nie wyłysiał bardziej, co z pewnością bardzo go cieszyło. Ubrany był, jak zawsze, w sztruksowe spodnie koloru musztardy, sportową kurtkę z wytartymi skórzanymi łatami na łokciach i koszulę, która wyglądała na tę samą koszulę firmy Viyella, którą chyba miał na sobie, gdy spotkaliśmy się ostatnim razem, tyle że teraz miała bardziej wytarty kołnierzyk.

Wszedłem do środka i zasunąłem drzwi. Siadłem obok pułkownika, wymieniając z nim uścisk dłoni. W samochodzie pełną parą pracowała klimatyzacja. Lynn roztaczał taki zapach, jakby świeżo wyszedł spod prysznic, może przed przybyciem na spotkanie zagrał szybki mecz w sąsha w koszarach Gwardii Królewskiej. Pomędzy jego stopami leżał granatowy worek z nylonowej tkaniny. Od razu go rozpoznałem: mój zestaw alarmowy.

W samochodzie była jeszcze jedna osoba, siedziała z tyłu. Ją również znałem. Odwróciłem się i uprzejmie skinąłem jej głową. Odpowiedziała mi tym samym i znowu rozłożyła przed sobą „Daily Telegraph”. Dopiero po raz drugi w życiu osobiście spotkałem się z Elizabeth Bamber. Ostatnim razem nie wyszło to zbyt dobrze, gdyż należała do członków komisji selekcyjnej, która odrzuciła mój

wniosek o przyjęcie do stałej kadry. Różnice w naszym pochodzeniu i wychowaniu nie mogły nastawić nas przyjaźnie do siebie podczas rozmowy kwalifikacyjnej.

Członkowie stałej kadry, znani pod kryptonimem K, są głęboko utajnionymi agentami, regularnie opłacanymi, a nie takimi jak ja wolnymi strzelcami, wzywani wtedy, gdy trzeba wykonać trefne, nie chciane przez nikogo zadania. Dostawałem dwieście dziesięć funtów za dzień operacyjny i sto sześćdziesiąt za dzień treningowy. Nie byłem pewien, ile wynosi stała pensja, ale wiedziałem, że podobnie jak inne wypłaty jest wręczana w kopercie bez potrącania podatku czy ubezpieczenia. Moja robota miała jakby dorywczy charakter, przez co czułem się wykorzystywany, ale pieniądze były w porządku, to znaczy to, co mi płacili. Poza tym był to jedyny fach, jaki kiedykolwiek znałem, i bardziej się bałem tego, co by się stało, gdybym go stracił.

Nie wiedziałem dokładnie, co robi Elizabeth ani komu podlega. Domyślałem się tylko, że należy do tego typu kobiet, które jeśli nie pracują w służbach wywiadowczych, to utrzymują stajnię pełną koni wyścigowych. Elizabeth pewnie robiła jedno i drugie. Jej wygląd wskazywał na rzeczowe podejście do życia i częste przebywanie na świeżym powietrzu. Była średniego wzrostu i dobiegała pięćdziesiątki, przynajmniej na tyle wyglądała, szczególnie przez sięgające ramion włosy - z małą grzywką i rozczesane pośrodku - które w sześćdziesięciu procentach już posiwiały. Zresztą pewnie i tak jej było wszystko jedno, jaką ma fryzurę. Prawdopodobnie dla takiej osoby jak ona posiadanie włosów stanowi pewną niedogodność, bo czesanie pochłania cenny czas.

Była ubrana w elegancki, choć prosty dwuczęściowy kostium, który sądząc po wyglądzie, kosztował mnóstwo pieniędzy, ale jednak na dłuższą metę okazywał się opłacalnym zakupem, gdyż pewnie nosiła go co trzeci dzień na zmianę z dwoma innymi równie drogimi kompletami, które kupowała co roku na wyprzedaży u Harveya Nicholasa. Pod żakietem miała bluzkę z długą apaszką, który sobie wiązała jak muszkę. Jej eleganckiego, a przy tym praktycznego wyglądu dopełniał prawie całkowity brak makijażu - pewnie nakładanie go rano pochłaniało zbyt dużo czasu, na co nie mogła sobie pozwolić, ponieważ musiała bronić kraju.

Obróciłem się nieco ku Lynnowi, żebym mógł widzieć ich oboje bez zbytecznego kręcenia głową. Przez pół minuty w samochodzie panowała cisza, przerywana tylko szelestem papieru dobiegającym od strony kierowcy. Zerknąłem w lewo i zobaczyłem masywny, osadzony na bardzo szerokich barach kark szofera, zaczął mu się wylewać z kołnierzyka. We wstecznym lusterku widać było część jego twarzy. Jasna cera i prawie słowiańskie rysy mówiły mi wszystko: to był Serb, bez wątplenia taki, któremu w czasie wojny w Bośni obiecano paszporty dla całej rodziny, jeżeli będzie szpiegował na naszą rzecz. Teraz facet był na pewno bardziej lojalny w stosunku do Zjednoczonego Królestwa niż większość Brytyjczyków, nie wyłączając mnie.

Nadal siedzieliśmy bez ruchu. Elizabeth patrzyła na mnie, a ja na nią. No, pomyślałem, zabierajmy się do roboty. Zawsze miałem wrażenie, że się mną bawią. W końcu Lynn przystąpił do rzeczy.

- Nie widzieliśmy cię od dawna, Nick. Jak leci?

- Nie narzekam - odparłem, wiedząc, że go to nic nie obchodzi. - Jak długo mnie nie będzie?

- To zależy od tego, jak szybko zdołasz wykonać zadanie. Posłuchaj, co Elizabeth ma ci do powiedzenia.

Elizabeth była gotowa do działania, chociaż nie miała przy sobie notatek. Zatrzymała na mnie wzrok i powiedziała:

- Sara Greenwood.

Zabrzmiało to jak pytanie. Jej oczy zwięzły się nieco, jakby oczekiwała odpowiedzi.

Moja reakcja na dźwięk tego nazwiska zaskoczyła nawet mnie. Było to tak, jakby mi powiedziano, że jestem śmiertelnie chory. W głowie zawirowało mi od myśli. Nie żyje? Coś spieprzyła? Wpakowała mnie w jakieś kłopoty? Porwali ją? Nie miałem zamiaru pokazać im nic ponadto, co musiałem, i zmusiłem się do zachowania spokoju, ale tak naprawdę chciałem zapytać: Czy nic jej się nie stało?

- Znasz ją, jak sądzę? - dodała.

- Oczywiście, że ją znam. Przynajmniej pod tym nazwiskiem.

Nie wyjaśniłem, w jaki sposób poznałem jej nazwisko ani jakie zadania razem wykonywaliśmy. Nie zdawałem sobie sprawy, jak dużo Elizabeth wie, więc tylko odpowiadałem na pytania, co zawsze jest najlepszym rozwiązaniem. Im mniej się mówi, tym łatwiej uniknąć kłopotów. Dobrze mieć dwoje uszu, ale jeszcze lepiej - tylko jedno usta.

- Cóż, zdaje się, że zniknęła. W dodatku z własnej woli.

Spojrzałem na nią, czekając na dalsze wyjaśnienia, ale już skończyła. Nie domyślałem się, do czego zmierza, a ona patrzyła na mnie tak, jakbym powinien.

Lynn zorientował się w sytuacji.

- Pozwól mi, że to wyjaśnię, Nick.

Odwracając głowę ku niemu, dostrzegłem, jak posyła Elizabeth porozumiewawcze spojrzenie. Więc przypadła mu rola mediatora.

- Dwa lata temu Sara Greenwood została wysłana na placówkę w Waszyngtonie, wiesz o tym?

Oczywiście, że wiedziałem. Zawsze starałem się orientować w tym, gdzie jest i jak jej leci, chociaż nigdy nie próbowałem się oszukiwać, że jest to odwzajemnione zainteresowanie. Kiedy byłem poddawany w zeszłym roku przesłuchaniom na temat tej awantury w Stanach, miałem cichą nadzieję, że się pokaże, ale nic z tego. Przypomniałem sobie, że Lynn nadal czeka na odpowiedź.

- Nie, nie wiem.

Na chwilę zapadła cisza. Lynn znowu spojrzał na Elizabeth. Wyglądało na to, że potrzebuje jej aprobaty, by kontynuować rozmowę. Musiała mu jej udzielić, ponieważ znowu zaczął mówić.

- Sara jest brytyjskim oficerem łącznikowym przy Centrum Antyterrorystycznym, czyli założonej przez CIA nowej komórce wywiadowczej, która ma ostrzegać przed potencjalnymi atakami terrorystycznymi. Można to nazwać centrum opracowującym informacje wywiadowcze na temat terroryzmu na całym świecie. Więc na czym polega problem? Jak już słyszałeś od Elizabeth, Sara zniknęła. Wiemy, że nadal jest w USA, ale nie mamy pojęcia, gdzie się udała i dlaczego. Obawiamy się, że jej wiarygodność i ocena sytuacji są, powiedzmy, wątpliwe.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. To takie standardowe pieprzenie, kiedy w gruncie rzeczy chcą powiedzieć: już nam się nie podobasz. Zrobiłeś coś niewłaściwego i już nie jesteś jednym z nas.

- Powiedzmy po prostu - podjęła Elizabeth, wracając do rozmowy - że od momentu wyjazdu na placówkę do Waszyngtonu wykazywała nieco za wiele inicjatywy.

Uśmiechnąłem się znowu, nadal patrząc na Lynna.

- Ach rozumiem, zbyt wiele inicjatywy - powiedziałem, starannie powtarzając ostatnie słowo.

Nie podoba mi się, kiedy owijają sprawę w bawełnę. Dlaczego po prostu nie powiedzą wprost, co się, do diabła, dzieje i co według nich powinienem z tym zrobić? Nie doczekałem się jeszcze odpowiedzi, gdy przerwało nam przybycie jakichś pętałów.

- Hej! Nie jesteście już na wakacjach, pomóżcie z tymi chrzanionymi bagażami!

- Dobra, tylko nie wyciągaj tego wózka!

Przerwaliśmy rozmowę i spojrzeliśmy na zewnątrz. Nie widziałem miny Lynna, ale na twarzy Elizabeth dostrzegłem wyraz niechęci. Obok nas przy fordzie escortie XR3i stało czworo młodych ludzi: dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Podeszli do samochodu, kiedy byliśmy zajęci rozmową, otworzyli bagażnik i już pakowali swoje rzeczy. Wyglądało na to, że dwoje z nich, oboje trochę po dwudziestce, przyjechało odebrać drugą parę. Dziewczyna, która wróciła z wakacji, włożyła nisko wycięte dżinsy, odsłaniające jej pół pupy, żeby wszyscy widzieli, jaka jest opalona, jednak cały efekt psuła gęsia skórka, która pokrywała odkryty fragment skóry. W końcu była na Gatwick, a nie na Teneryfie. Na wypadek gdybyśmy się nie zorientowali, że wraca z wakacji, nadal miała włosy splecione w warkoczyki i przyozdobione paciorkami przez plażowego naciągacza.

Facet za kierownicą naszego samochodu nie spuszczał z nich oczu. Wciąż trzymał przed sobą otwartą na tej samej stronie gazetę. Fałdy jego potężnego karku wylewały się jeszcze bardziej z kołnierzyka, gdy zerkał na prawo, by sprawdzić widok w bocznym lusterku. Tacy faceci jak on to fachowcy od wszystkiego: muszą umieć prowadzić ostro i ostrożnie, chronić swoich pryncypałów i bawiać ich świetnymi kawałami. Może właśnie dlatego ten Serb pracował u Elizabeth. Nie należała do osób z poczuciem humoru, a i on nie za bardzo nadażał za tokiem rozmowy. Wskazywał na to wyraz jego twarzy, kiedy usiłował zrozumieć toczoną na zewnątrz rozmowę w podlondyńskim dialekcie. Miałem tylko nadzieję, że nie uczy się angielskiego od Elizabeth i Lynna, bo wtedy ludzie mogliby pomyśleć, że to książę Karol, który wciąż chodzi do siłowni.

Po chwili zamieszanie na zewnątrz ustało i wszyscy powróciliśmy do poprzednich pozycji. Elizabeth podjęła na nowo, ale widać było, że ten drobny incydent poruszył ją do głębi. Stworzenia jej gatunku odbierają takich ludzi jako okropną skazę w swym uporządkowanym życiu.

- Niepokojmy się, że może naruszyła etykę swojego zawodu - oznajmiła.

- Etykę? - powtórzyłem, próbując powstrzymać się od śmiechu. - To do niej niepodobne. Etykę umieściła pod hasłem „sprawy, którymi się będę martwić po śmierci” - zaryzykowałem żart, ale Elizabeth albo go nie zrozumiała, albo nie uznała za śmieszny.

Nagle atmosfera zrobiła się tak chłodna, jakby kierowca przestawił klimatyzację. Czulem coraz większą ochotę, żeby wyjść z samochodu.

- Uważamy, że może to zagrozić aktualnie prowadzonym operacjom i narazić życie agentów na prawdziwe niebezpieczeństwo - ciągnęła Elizabeth, jakbym się wcale nie odezwał.

Odeszła mi już ochota do śmiechu.

- Skąd wiecie, że Sara może narażać nasze operacje na niebezpieczeństwo?

- Nie musisz tego wiedzieć - odrzekła z dostrzegalną satysfakcją. - Chociaż dam ci przykład tego, z czym mamy do czynienia. Chodzi o informacje, które Sara Greenwood przywozła z Syrii. O ile wiem, byłeś członkiem tego zespołu? Materiał, który nam dostarczono, był w gruncie rzeczy niezgodny z prawdą. Wydaje się, że całkiem rozmyślnie wypaczyła informacje, które, jak wiedziała, były istotne dla nas i dla Amerykanów.

Więc mimo wszystko zależało im wtedy na informacjach z komputerów, a ja, jak zwykle, byłem jednym z pionków, poruszającym się po omacku i karmionym bzdurami.

- Bardzo źle się stało, że „Źródło” zginął - rozgadała się Elizabeth - w końcu waszym zadaniem było dostarczenie go żywego. Nadal nie wiemy, jakie informacje wywiadowcze zdobyła dzięki tej operacji, ponieważ zniszczyłeś znajdujące się tam komputery.

Powiedziała to tak, jakbym to zrobił, kierując się swoją zachcianką. Pozwoliłem jej gadać dalej, ale w głębi duszy miałem ochotę jej przywalić.

- Amerykanie nie byli zadowoleni i muszę przyznać, że nie mamy czym się chwalić.

Miałem już dość tego opieprzania. Od lat wykonywaliśmy zadania Stanów, których ich Kongres nigdy by nie usankcjonował, albo takie, które były nielegalne na mocy pochodzącej z 1974 dyrektywy zakazującej rządowi USA angażować się w tajne operacje mające na celu zabójstwo. Tamta robota była przeprowadzona pod obcą, izraelską flagą, ponieważ Stany Zjednoczone nie mogły sobie pozwolić na jawne naruszenie terytorialnej integralności Syrii i porwanie międzynarodowego finansisty, nawet jeżeli był akurat prawą ręką najniebezpieczniejszego na świecie terrorysty. Jednak nadając tej operacji pozory akcji zorganizowanej wspólnie przez izraelską armię i Mossad, robiliśmy wszystkim dobrze: Amerykanie dostaliby „Źródło”, Wielka Brytania miałaby satysfakcję z dobrze wykonanego zadania, a cały splendor spłynąłby na Izrael. Nieważne, że Izraelczycy nic nie wiedzieli o operacji - i tak mieli zebrać wszystkie pochwały.

Wróciłem myślami do Syrii i pośpiesznej pracy Sary na laptopie. Poza tym zabiła „Źródło”. Składając sprawozdanie z misji, mówiła w przekonujący sposób, a potem wcale o tym nie myślałem, bo było po sprawie. Wszystko, co wydarzyło się od tamtej pory, też mnie nie martwiło, ponieważ nie miało bezpośredniego wpływu na moje życie. Chociaż teraz już pewnie miało.

- Mogła sprowokować wielkie zmiany w polityce międzynarodowej - ciągnęła Elizabeth - a to, muszę powiedzieć, byłoby szkodliwe dla bilansu płatniczego Wielkiej Brytanii i USA i wpłynęłoby na cały region...

Gadała od rzeczy. Byłem pewien, że tak naprawdę wkurzało ją, iż Clinton podpisał ostatnio tak zwaną dyrektywę prezydencką skierowaną przeciwko bin Ladenowi. Zaakceptował w niej ofensywną operację, która doprowadziłaby do aresztowania bin Ladena, i w wyniku której pewne objęte nią osoby mogły zginąć. Innymi słowy Clinton znalazł sposób na obejście rygorystycznych amerykańskich praw zakazujących zawiązywania spisku na życie i przez to Firma zostałaby częściowo wyrolowana. Było oczywiste, że działania Sary nie mogły nam w niczym pomóc.

Czekałem na to, co Elizabeth zapomniała podkreślić. Są trzy elementy, które lubią przekazywać na odprawie, zanim dotrą do sedna. Po pierwsze: cel zadania; po drugie: powód, dla którego zadanie

ma być wykonane, i po trzecie: co będzie z tego miał wykonawca zadania. Dostrzegłem, jak jej oczy poruszają się odrobinę w lewo i w górę. Kłamała.

- ...a także naraziło na niebezpieczeństwo działających na tym terenie agentów. A to jest dla nas oczywiście najważniejszy problem.

Nieźla zachęta - pomyślałem - nawet jeżeli mówi od rzeczy, szczególnie gdybym to ja był jednym z agentów.

- Jeżeli chodzi o jej motyw, to nie musisz ich znać.

Przestało mi się to wszystko podobać. Odwróciłem się do

Lynna.

- Jeżeli się tym przejmowaliście jeszcze wtedy, to dlaczego nie daliście jej siana?

- Siana? - zdziwiła się Elizabeth.

Lynn spojrział na nią ponad moją głowę i tonem mecenasa, który spokojnie wyjaśnia sędziemu szczegóły obciążania druta, powiedział:

- Pieniędzy. Nie, Nick, nie zaproponowaliśmy jej siana. Wiesz równie dobrze jak ja, że Firma nigdy nikogo nie przekupuje ani nie spłaca.

Nie mogę pojąć, jak to się stało, że kiedy to mówił, zdołałem zachować poważną minę, a co dziwniejsze on również. W Intelligence Service opiekują się swoimi ludźmi. Nawet jeżeli człowieka wyleją za poważne naruszenie zasad, na przykład jeżeli jest pedofilem i ktoś go szantażuje, albo po prostu spieprzy robotę, to trafia do opiekuńczego systemu, który zapewnia mu pracę. Przynosi to podwójną korzyść: jest nadal pod kontrolą, a poza tym nie czuje żalu do Firmy i, co ważniejsze, siedzi cicho. Na tym to właśnie polega: na utrzymaniu w Firmie porządku.

Chciałbym, żeby zrobili tak ze mną. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej eskortowałem pewnego agenta o imieniu Clive do służbowego mieszkania w Londynie. Takie mieszkania są opłacane, wyposażane i zarządzane przez Intelligence Service. Nikt w nich nie mieszka, są używane jako miejsca spotkań, odpraw, zdawania sprawozdań oraz jako meliny.

Clive miał trochę kłopotów przez Gordiejewskiego: Rosjanina, który przed wieloma laty zwiął na Zachód z głową nabitą tajnymi informacjami. Jako były wysoki oficer KGB prowadził szkolenia dla Intelligence Service w jednym z ośrodków szkoleniowych na południowym wybrzeżu, nieopodal kanału Soient. Clive i jeszcze dwóch ludzi odmówiło udziału w tym spotkaniu, uzasadniając to tym, że Gordijewski jest zdrajcą i nie jest dla nich ważne, skąd się tam wziął. Osobiście uważałem, że mają rację, ale i tak zostali wylani. Mimo wszystko dla rządu Jej Królewskiej Mości było to kłopotliwe, że jego funkcjonariusze nazywają chroniącego się w ich kraju zbiega łajdakiem. Dwaj z nich odeszli ze służby po cichu, zaopatrzeni w odprawę i pracę w klubie grzecznych chłopców, czyli w City. Clive odmówił jednak odejścia ze służby. Najlepszym wyjściem dla Firmy, jak się wydawało, było zaproponowanie mu jeszcze większej rekompensaty niż jego dwóm kolegom. Gdyby odrzucił i tę ofertę, to odczułby to porządnie na własnej skórze.

Doprowadziłem go do mieszkania przy Cambridge Street w Pimlico i przysłuchiwałem się rozmowie, w której zaofertowali mu dwieście patyków pod warunkiem, że zamknie się i spieprzy do City. Clive wziął do ręki pieniądze, rozerwał foliowe opakowania prosto z banku, otworzył okno i rozrzucił je jak konfetti. Setki banknotów spłynęły na narożny pub przy Cambridge Street, którego goście musieli pomyśleć, że Boże Narodzenie zostało przesunięte na czerwiec.

- Chcecie mnie splawić? - zapytał Clive. - Więc będzie was to, kurwa, kosztowało o wiele więcej.

Bardzo mi się to spodobało i miałem ochotę dołączyć do klientów, którzy wrywali sobie pięćdziesięciofuntowe banknoty. Moim zdaniem chłopak zachował się jak należy: nikt nie lubi zdrajców, niezależnie od tego, po której stronie się stoi. Naprawdę miałem nadzieję, że Sara nie zdradziła, bo ją lubiłem. Szczerze mówiąc, to bardzo ją lubiłem.

- A jesteście pewni, że nie została uprowadzona? - zapytałem.

- Uprowadzona? - powtórzyła Elizabeth, spoglądając na Lynna.

Siedząc pomiędzy tym dwojgiem, czułem się trochę tak, jakbym był na Wimbledonie. Wolałbym, żeby Lynn znowu włączył się do rozmowy, bo wyglądało na to, że Elizabeth ma równie dobry kontakt z realnym światem jak Myszka Miki.

- Więc co mam w związku z tym zrobić? - zapytałem.

- Znajdź ją - odparła Elizabeth.

Czekałem na ciąg dalszy, ale nic nie dodała. Było to najbardziej zwięzłe polecenie, jakie kiedykolwiek dostałem.

- Wiecie, gdzie może być? Potrzebuję jakiegoś punktu zaczepienia.

Zastanowiła się chwilę.

- Zaczyniesz od Waszyngtonu. Jej mieszkanie, jak sądzę, byłoby najlepszym punktem, prawda?

No tak, nie mogłem się z tym nie zgodzić. Jednak miałem jeszcze jedno pytanie.

- Dlaczego nie poprosicie o pomoc Amerykanów? Mają odpowiednie środki, żeby ją znaleźć znacznie szybciej.

Elizabeth westchnęła.

- Wydaje mi się, że mówiłam ci jasno, iż tą sprawą należy zająć się możliwie jak najciszej i szybko - odparła i spojrzała na Lynn.

Pułkownik odchrząknął.

- Nie chcemy w to mieszać amerykańskich służb. Nawet personel naszej ambasady nie jest zorientowany w sytuacji. Jak sobie chyba wyobrażasz, to trochę wstydliva sprawa, jeżeli ktoś z naszych ludzi znika w zaprzyjaźnionym kraju. Szczególnie jeśli wziąć pod uwagę to, że Netanyahu i Arafat są w USA i mają się spotkać na szczycie w Wye Plantation. -Przerwał na chwilę. - Jeżeli nie uda ci się jej znaleźć, to trzeba będzie ich poinformować i będą musieli podjąć działania. To jest bardzo poważna sytuacja, Nick. Może sprawić nam wiele kłopotów.

Najpierw otrzymałem najbardziej zwięzłe jak dotąd polecenie, a teraz podano mi wyraźnie, dlaczego tak ma być. Lynn zrobił zafrasowaną minę.

- Musimy ją szybko znaleźć i nikt nie może o tym wiedzieć. Podkreślam: nikt.

Nie cierpię, gdy ci ludzie używają słowa „my”. Sami są w opałach, a tu ni z tego, ni z owego to „my”. Jednak gdyby misja zakończyła się niepowodzeniem, to tylko ja byłbym winny.

Zdołałem się uspokoić.

- Dlatego potrzebujecie K? To nieoficjalna operacja?

Lynn skinął głową.

Ale dlaczego ja? - pomyślałem.

- Czy to nie jest zadanie dla sekcji bezpieczeństwa? - zapytałem. - Prowadzenie dochodzeń to dla nich normalka. To nie jest robota w moim stylu.

- To nie jest sprawa, która powinna być szerzej znana w Firmie - odparła Elizabeth z irytacją. - Zależało mi właśnie szczególnie na panu, panie Stone, gdyż z tego, co wiem, zna pan Sarę lepiej niż ktokolwiek.

Spojrzałem na nią, nadal usiłując nie pokazywać żadnych uczuć. Mówiąc do mnie, uniosła brew z wszystkowiedzącą miną. Cholera. Usiłowałem udać zdziwienie.

- Znam ją, jeżeli już o tym mowa, i pracowałem z nią, ale to wszystko.

Przechyliła nieco głowę. Wiedziała, że kłamię.

- Naprawdę? Zostałam poinformowana, że kontakty między wami były nieco bardziej poufale. Prawdę mówiąc, powiedziano mi, że powodem twojego rozwodu po odejściu z armii był wyłącznie romans z Sarą Greenwood. Czyżbym się myliła?

Nie myliła się i teraz jeszcze lepiej wszystko rozumiałem. Wybrali mnie, bo myśleli, że ją znam wystarczająco dobrze, by ją odszukać. Walczyli z pożarem i chcieli mnie wykorzystać jak jakiegoś Red Adaira. Mam ich gdzieś, niech się sami babrzą w tym gównie. Może i byłem wkurzony, ale na pewno nie byłem głupi. Jeszcze mogłem się z tego wykręcić.

- Nic z tego nie wyjdzie - oznajmiłem. - Stany Zjednoczone to wielki kraj i co ja zrobię w pojedynkę? Nie widziałem jej od dawna, a poza tym wcale nie byliśmy ze sobą tak blisko. Co mogę zrobić? Po co w ogóle miałbym wsiadać do samolotu?

Lynn nachylił się i podniósł mój zestaw alarmowy.

- Polecisz. Rozpoczniesz dochodzenie, żeby ją znaleźć. Jeżeli nie, to niestety znajdziesz się za kratkami.

Miałem chęć powiedzieć: „Daj sobie luzu. Ja też wstawiam ludziom taki sam kit, kiedy ich straszę. Mógłbyś wymyślić coś lepszego”. Jednak na własnych błędach nauczyłem się trzymać gębę na kłódkę i tak zrobiłem tym razem. Lynn trzymał już mój zestaw na kolanach.

- Spróbuj uwierzyć, że posiadamy trochę inteligencji, Nick. Naprawdę myślisz, że nie wiemy o wszystkim, co się wydarzyło w zeszłym roku?

Poczułem ssanie w żołądku i wypieki na policzkach. Usiłowałem zachować spokój, czekając na to, co ma do powiedzenia.

- Nick, twoja wersja wydarzeń jest dziurawa jak sito, a każdy szczegół, który pominąłeś, wystarczy, żebyś trafił za kratki, jeżeli uznamy to za stosowne. Nie badaliśmy sprawy pieniędzy, które zatrzymałeś, ani niezgodnych z prawem zabójstw.

Brzmiało to super w ustach człowieka, który regularnie wysyłał mnie, żebym „działał” niezgodnie z prawem. Ale wiedziałem, że mogą mnie załatwić, jeżeli będą mieli na to ochotę. To było oczywiste, czasami nawet sam brałem udział w takich numerach. Teraz już wiedziałem, jak się człowiek czuje w takiej sytuacji.

Szansa na to, że blefują, była niewielka. Wpatrywałem się w niego, czekając, co jeszcze ma do powiedzenia. Po chwili już tego żałowałem, gdyż dało to Elizabeth kolejny punkt zaczepienia.

- Panie Stone, zastanówmy się nad pańską sytuacją. Co, na przykład, stałoby się z dzieckiem, nad którym sprawuje pan opiekę, gdyby trafił pan do więzienia? Zdaje mi się, że jej życie i tak jest wystarczająco ciężkie: nowy kraj, nowa szkoła...

Skąd, do cholery, oni to wszystko wiedzieli? Myślałem, że już wyłożyli przede mną swoje zachęcające argumenty, ale najwyraźniej nie. Musiałem zacisnąć pięści, by zapanować nad sobą. Najchętniej skopałbym porządnie ich oboje. Wiedzieli o tym i być może dlatego za kierownicą siedział ten King Kong. Nigdy nie jest rozsądnie zadzierać z facetem, który ma kark grubszy od twojej głowy, szczególnie jeśli ma pod nogami dość broni, żeby zestrzelić jumbo jęta. Głęboko odetchnąłem, przyjmując do wiadomości, że tkwię po uszy w gównie, i wypuściłem powietrze.

Lynn otworzył mój zestaw, a Elizabeth mówiła dalej.

- Kiedy ją znajdziesz, poinformuj nas, gdzie jest i co robi. Potem czekaj na dalsze polecenia.

Odróciłem się do Lynna - wiedziałem, że ona już skończyła i teraz on poda mi niechętnie szczegóły. Za moimi plecami rozległ się szelest otwieranej gazety. Pewnie sprawdzała, które z jej koni startują w jutrzejszym wyścigu. Starałem się zapanować nad oddechem. Byłem wściekły i bezradny, czyli doświadczałem dwóch najmniej lubianych przeze mnie uczuć.

Lynn rozładowywał worek i podawał mi kolejne przedmioty. Moje fałszywe papiery - prawo jazdy, paszport i nawet wycinek ogłoszenia z lokalnej gazety - wskazywały, że teraz mieszkam w hrabstwie Derbyshire. Dostałem również trzy karty kredytowe, które miały być rozliczane co miesiąc. Miałem je wykorzystywać tak, żeby na koniec otrzymać normalne rozliczenie, jak wszyscy posiadacze kart. Rodzina, która dostarczała mi przykrywki, już o to zadbała. Przed laty doszło do zbyt wielu sytuacji, w których ludzie ulegali pokusie i wykorzystywali te karty kredytowe do płacenia za nowe samochody i jedwabną bieliznę dla swoich kochanek. Przeprowadzona kilka lat temu inspekcja księgową wykryła dwóch tajnych agentów, którzy nigdy nawet nie istnieli, a z których kart ktoś gdzieś odciągał pieniądze.

- Tu jest zestaw fotograficzny do przesyłania nam wszelkich materiałów.

Zerknąłem szybko do środka. Ze sposobu, w jaki Lynn to powiedział, domyśliłem się, że sam dopiero otrzymał instruktaż na ten temat. Musiało to na nim zrobić niezłe wrażenie.

- Świetnie, dziękuję - powiedziałem, kiwając głową.

- Tu masz informacje dotyczące lotu i bilety. - Wyjął je z torby, popatrzył na papiery i powiedział: - O, teraz nazywasz się Nick Snell?

- Tak, to ja.

Nazywałem się tak już od dość dawna, odkąd znowu przywrócili mnie do służby po... no cóż, po tym, z czego, jak mi się mylnie wydawało, mogłem się wykręcić sianem.

Następnie wyciągnął z kopert dwie karty kodowe i też mi je podał.

- Twoje kody. Chcesz je sprawdzić?

- Oczywiście.

Podał mi torbę. Wyjąłem z niej osobisty elektroniczny notatnik typu Psion 3C i włączyłem go. Próbowałem wyciągnąć od Firmy nowy typ, 5 Series, ale wydobyć z nich pieniądze jest równie trudno jak wycisnąć krew z kamienia, no chyba że chodzi o budowę nowych kortów do squasha. Wszyscy K musieli zadowolić się typem 3C, który otrzymali dwa lata temu. W dodatku mój egzemplarz był jedną z wcześniejszych wersji, nawet nie mającą podświetlanego ekraniku. Ich podejście do sprzętu jest zupełnie inne niż podejście skąpej matki, która kupuje dziecku szkolny mundur o kilka numerów za duży.

Włożyłem karty do obydwu kieszeni notatnika. Głupio by się sprawa przedstawiała, gdybym po wyjściu z samolotu stwierdził, że sprzęt nie pracuje. U uruchomiłem po kolei obydwie karty i przejrzałem ekran. Na jednej był szereg pięcio-cyfrowych sekwencji. Zamknąłem ją i wyjąłem z kieszeni. Druga karta miała zapisane szeregi wyrazów, a obok każdego z nich widniały grupy cyfr. Wszystko było w porządku.

- Numer kontaktowy brzmi... - Lynn zaczął recytować londyński numer telefonu.

Notatnik zawierał wszelkie nazwiska i adresy: od dyrektora banku po lokalną pizzerię, co było częścią przykrywkę. Wybrałem ikonę danych i wstukałem od razu numer telefonu, dodając tę samą jak zwykle nazwę: Cukiernia Kaya. Obróciłem się, czując świdrujące spojrzenie Elizabeth. Patrzyła na mnie z dezaprobatą sponad gazety, najwyraźniej oburzona tym, że zapisuję jej numer kontaktowy w notatniku. Jednak nie było szans, żebym go zapamiętał. Musiałem jechać i czytać go, i czytać po drodze, a potem skasować, kiedy już bym zapamiętał. Nigdy nie byłem wystarczająco bystry, żeby od razu zapamiętać długie szeregi cyfr w numerach telefonicznych lub współrzędne mapy.

- Kiedy tylko znajdziesz się w Waszyngtonie - ciągnął Lynn - skontaktuj się z Michaeliem Warnerem.

Podał mi numer kontaktowy, który również wstukałem.

- To dobry człowiek. Kiedyś pracował w łączności, ale miał wypadek samochodowy i musieli mu wstawić do głowy stalowe płytki.

- A co robi teraz? - zapytałem, wyłączając notatnik.

Elizabeth skończyła przeglądać kolumnę dotyczącą wyścigów koni i przeszła do cen akcji. Kierowca natomiast w dalszym ciągu czytał tę samą stronę. Musiał albo uczyć się na pamięć przepisu dnia albo wpaść w trans.

- Jest asystentem Sary - wyjaśnił Lynn. - Wpuści cię do jej mieszkania.

- Jaka jest oficjalna wersja? - zapytałem, kiwając głową.

Lynn spojrział niecierpliwie na zegarek: może musiał dotrzeć na kolejny mecz squasha?

- On nic nie wie poza tym, że Sara wyjechała służbowo, a Londyn musi w tym czasie zbadać, czy nic jej nie grozi. Oficjalnie chodzi o przeprowadzenie osobistego rozpoznania.

Osobiste rozpoznanie jest przeprowadzane co kilka lat i ma na celu stwierdzenie, czy dana osoba nie staje się podatna na szantaż albo czy nie śpi na przykład z chińskim attaché wojskowym (chyba że została o to poproszona przez rząd Jej Królewskiej Mości), albo czy ta osoba lub jej matka czy może ciotka nie porzuciła rodziny i nie wstąpiła do jakiejś zwariowanej sekty. W przeszłości takie sprawy nie miały wielkiego znaczenia. Kiedy się już było agentem Firmy, to pod względem nadzoru sprawy toczyły się gładko, chyba że się człowiek znajdował na dole łańcucha pokarmowego, tak jak ja, gdzie wszystko wygląda całkiem inaczej.

- Chwilami bywa trochę dziwny, może będziesz musiał się uzbroić w cierpliwość - powiedział Lynn z cieniem uśmiechu. - Odszedł z sekcji łączności, bo jego stalowa płytka reagowała na niektóre

częstotliwości i okropnie bolała go głowa. Jednak jest dobry w swoim fachu. - Uśmiech przygaś na jego twarzy, gdy dodał z naciskiem: - A co ważniejsze, jest lojalny.

Wzruszyłem ramionami.

- To świetnie.

Było możliwe, że Blaszyński Mickey jest lojalny, ponieważ nie może dostać pracy nigdzie indziej, chyba że w charakterze przekaźnika sieci Cellnet.

Zacząłem pakować wszystko z powrotem do torby. Nie mogłem się doczekać, kiedy wyjdę na świeże powietrze. Miałem dość ich analiz i opieprzania mnie. Jednak Lynn jeszcze nie skończył. Miał jeszcze jeden przedmiot, który podsunął mi prosto pod nos: kartkę białego papieru formatu A4, na której miałem złożyć podpis kwitujący kody. Nabazgrałem swój podpis długopisem Lynna i oddałem mu kartkę. Niezależnie od tego, co się dzieje i tak trzeba wszystko kwitować. Wszyscy muszą dbać o własny tyłek. Otworzyłem drzwi i z torbą w ręku wyszedłem na beton parkingu.

- A co będzie, jeśli jej nie znajdę? - zapytałem, odwracając się do nich.

Elizabeth opuściła gazetę i posłała mi spojrzenie podobne do tego, jakim obdarzyła młodych ludzi z forda escorta.

Lynn popatrzył na Elizabeth, a potem znowu na mnie.

- Poszukaj sobie dobrego adwokata.

Wziąłem torbę, odwróciłem się i ruszyłem ku windzie. Z tyłu dobiegł mnie odgłos przesuwanych drzwi samochodu i po chwili previa odjechała.

4

Szedłem do windy, usiłując nie dać się ponieść wściekłości. Nie wiedziałem sam, czy jestem wściekły dlatego, że w Firmie wiedzieli o Sarze i Kelly, czy dlatego, że byłem na tyle głupi, by myśleć, iż oni o tym nie wiedzą. Usiłowałem się uspokoić, powtarzałem sobie, że będąc na ich miejscu, zrobiłbym dokładnie to samo: wykorzystałbym te informacje, by zmusić mnie do przyjęcia zadania. Była to normalna zagrywka, ale w tej sytuacji to i tak mi nie przynosiło ulgi.

Dotarłem do windy i przycisnąłem guzik. Czerwony wyświetlacz nad drzwiami nie zareagował. Obok mnie stanęła para starszych ludzi. Spierali się o to, w jaki sposób ich bagaże zostały ułożone na wózku.

Czekaliśmy razem, ale winda zatrzymywała się na każdym poziomie oprócz naszego. Gwałtownie postukałem w przycisk sześć razy. Starsza para uciszyła się i przeszła na drugą stronę wózka, żeby się ode mnie odsunąć.

Może byłem wściekły na Sarę, a może sam na siebie za to, że pozwoliłem się podejść. Elizabeth trafiła w dziesiątkę: Sara była odpowiedzialna za mój rozwód. Czekanie na windę przeciągało się nieznośnie. Obok mnie stało coraz więcej ludzi z wózkami. Zrezygnowałem z windy i ruszyłem po schodach. Zszedłem dwie kondygnacje niżej i przepychając się przez strumień opalonych ludzi, ruszyłem za znakami kierującymi do hali odlotów. Najwyraźniej kilka czarterowych samolotów wylądowało o tym samym czasie.

Nie mogłem przestać myśleć o odprawie. Skąd wiedzieli o zeszłorocznym bagnie? Trzymałem cały czas gębę na kłódkę i przekazałem im tylko podstawowe fakty.

Nie miałem zamiaru pozwolić im oskubać się z pieniędzy. Czy w ogóle o nich wiedzieli? Przeanalizowałem szybko sytuację i od razu poczułem się lepiej. Nie mogli wiedzieć wszystkiego. Gdyby tak było, to orientowaliby się również, że dysponuję wystarczającą liczbą dowodów, żeby kilkoro z nich trafiło do końca życia za kratki. W takim wypadku nie ryzykowaliby pogroźek pod moim adresem. Jednak po chwili znowu dopadła mnie wściekłość: mogli zrobić, co tylko chcieli, bo mieli informacje o Kelly. Widywałem, jak dorośli mężczyźni byli rozwalani psychicznie, kiedy chodziło o ich dzieci, i jak potem wykorzystywano to przeciwko nim. Nigdy jednak nie przypuszczałem, że coś takiego może się mnie przydarzyć. Odsunąłem od siebie ponure myśli i przystąpiłem do pracy.

W hali odlotów panowało piekielne zamieszanie: ludzie próbowali kierować wózkami, które żyły jakby własnym życiem, rodzice ścigali uciekające dwuletnie dzieci, tłumek dorastających uczniów z przyklejonymi do ust uśmiechami jechał gdzieś na wycieczkę, członkowie amerykańskiej szkolnej orkiestry siedzieli na skrzyniach swoich puzonów i fletów, znudzeni czekaniem na odprawę.

Podszedłem do bankomatu, a potem do kantoru wymiany walut. Następnym istotnym punktem programu było zdobycie jakiegoś odpowiednio wyglądającego bagażu ręcznego. Kupiłem skórzaną torbę, wrzuciłem do niej zestaw alarmowy i poszedłem do apteki po środki czystości i przybory do golenia.

Później odwiedziłem sklep z ubraniami, gdzie kupiłem parę dżinsów, dwie koszule i bieliznę na zmianę.

Przeszedłem odprawę przy kontuarze business class linii lotniczych American Airlines i udałem się do poczekalni, skąd od razu skontaktowałem się przez telefon komórkowy z moją „rodziną”. James i Rosemary byli porządnymi ludźmi. Kochali mnie jak syna, od czasu kiedy wynajmowałem u nich pokój wiele lat temu, przynajmniej tak brzmiała oficjalna wersja. James wyglądał, jak przystało na ojca i na pewno był tego rodzaju człowiekiem, który zabrałby swojego ośmioletniego syna na zwiedzanie HMS „Belfast”. Oboje byli urzędnikami państwowymi, którzy odeszli na wcześniejszą emeryturę. Ponieważ pochłaniała ich kariera zawodowa, nie mieli dzieci i nadal trochę działali dla Królowej i Ojczyzny. Na poddaszu zrobili nawet sypialnię, którą nazywali pokojem Nicka. Jeżeli wszystkie dokumenty podają, że się gdzieś mieszka, to chyba trzeba tam mieć pokój?

Zadaniem ich obojga było potwierdzanie mojego kamuflażu i jednocześnie bycie jego częścią. Odwiedzałem ich, kiedy tylko mogłem, szczególnie przed poszczególnymi misjami, dzięki czemu mój kamuflaż był coraz lepszy. Nie wiedzieli nic o moich misjach i ich to nie interesowało. Rozmawialiśmy po prostu o tym, czym się zajmuję w swoim klubie i co robić z mszycami na różach. James nie był najlepszym ogrodnikiem na świecie, ale tego rodzaju rozmowy nadają głębi kamuflażowi. Kiedy byłem w ich stronach, zawsze korzystałem ze swoich kart kredytowych w paru miejscowych sklepach, odbierałem pocztę i wyjeżdżałem. Było to uciążliwe, ale szczegóły są ważne.

- Halo, James, mówi Nick. Nagła zmiana planów. Jadę na urlop do Ameryki - powiedziałem.

Ja mogłem zmieniać nazwiska, ale nie James i Rosemary. Po prostu przyzwyczaili się do zmiany szczegółów, w końcu, odkąd przeszli na emeryturę, byłem ich trzecim „synem”.

- Na jak długo?

- Pewnie na parę tygodni.

- Dobrze. W takim razie życzę miłego urlopu, Nick. Uważaj, to niebezpieczny kraj.

- Postaram się. Do zobaczenia po powrocie. Pozdrów ode mnie Rosemary.

- Oczywiście. Do zobaczenia. O, Nick...

- Tak?

- Lokalne wybory miejskie. Wygrali liberalni demokraci.

- W porządku: liberalni demokraci. Mężczyzna czy kobieta?

- Mężczyzna Felix coś tam. Jego hasłem wyborczym było „Nie dopuścić do budowy hipermarketu”.

- Och. Zablokuje budowę?

- Nie bądź głupi. A mówiąc o blokowaniu, wczoraj poradziliśmy sobie z szambem.

- Ach, świetnie. Wiesz co? Cieszę się, że uporaliście się ze swoim gównem, bo ja tutaj tkwię w nim po szyję.

Nadal śmiałyśmy się, kiedy nacisnąłem przycisk „koniec”, patrząc na biznesmenów pochylonych nad swoimi laptopami.

Pozostawało mi już tylko czekać na samolot. Moje myśli powoli zaczęły krążyć wokół Sary. Nie chciałem tego zadania. Zrobiła mnie w konia, ale nadal do niej tęskniłem. Wiedziałem, że jeżeli to, co powiedziano, jest prawdą, to Sarę koniecznie należy powstrzymać. Problem polegał tylko na tym, że nie chciałem być tym, kto to zrobi.

5

Usadowiłem się w fotelu w business class, słuchając najpierw wrzasków i gadaniny przyszczatych chłopaków i dziewczyn z zajmującej dwadzieścia rzędów za mną miejsca orkiestry, a potem bardzo łagodnego głosu o akcencie z zachodniego wybrzeża informującego, jak piloci i stewardesy cieszą się z tego, że mogą nas dzisiaj obsługiwać.

Napełnili nas napojami i posiłkiem złożonym z kurczaka obsypanego jakimś przyprawami i dopiero wtedy zamknąłem oczy i poważnie zacząłem myśleć o tym, jak znajdę Sarę.

Nawet w Wielkiej Brytanii co roku znika ćwierć miliona ludzi, z czego szesnaście tysięcy na zawsze. W większości nie zostają uprowadzeni, ale znikają z własnego wyboru. To bardzo proste, jeżeli się do tego właściwie podejdzie. Sara wiedziała, jak się to robi, stanowiło to element jej pracy. Nawet w Wielkiej Brytanii odnalezienie zaginionej osoby jest bardzo trudne, ale olbrzymi obszar Stanów i fakt, że nie mogłem zwrócić się do nikogo o pomoc, oznaczały, że miało to przypominać szukanie igły w stogu siana, na polu pełnym stogów, w kraju pełnym pól.

Niezależnie od tego, co jej chodziło po głowie, to podobnie jak większość ludzi w naszym fachu, Sara na pewno przedsięwzięła odpowiednie środki ostrożności. Jednym z nich jest zdobycie tożsamości. Ja sam miałem dwie zapasowe tożsamości, na wypadek gdyby jedna z nich została spalona. Każdy znajduje własny sposób, by stworzyć taką tożsamość, a co więcej, ukryć ją przed Firmą. Jeśli człowiek będzie zmuszony nawiać z Firmy, musi mieć przewagę czasu, zatem jeżeli Sara zamierzała zniknąć, to musiała wszystko z góry dobrze zaplanować. Nie należała do osób, które coś robią na chybcika.

Prawdę mówiąc, ja też nie. Weźmy na przykład mojego nowego kumpla Nicholasa Davidsona, na którego trafiłem w Australii rok temu. Był trochę młodszy ode mnie i miał to samo imię, co zawsze stanowi dobry początek, jako że pomaga reagować na nową tożsamość. Co ważniejsze imię Nick i nazwisko Davidson są całkiem popularne.

Znalazłem go w barze dla gejów w Sydney. To jest zazwyczaj najlepsze miejsce na tego rodzaju poszukiwania, niezależnie od tego, w jakim się jest kraju. Nicholas, jak się szybko dowiedziałem, pracował i mieszkał w Australii od sześciu lat. Miał dobrą pracę jako barman i partnera, z którym mieszkał. Co najważniejsze nie zamierzał wracać do Wielkiej Brytanii. Pokazując za okno, powiedział: „Spójrz na pogodę. Na ludzi. Na styl życia. Po co miałbym wracać?”.

Poznałem go bliżej przez te dwa czy trzy tygodnie. Wpadałem tam parę razy w tygodniu, kiedy wiedziałem, że jest jego zmiana, i rozmawialiśmy. Spotkałem tam też innych gejów, ale nie mieli tego, co Nicholas. Tylko on mi odpowiadał.

Kiedy wróciłem do Wielkiej Brytanii, zgłosiłem mieszkanie na jego nazwisko, a potem poszedłem do ratusza i zarejestrowałem go na odpowiedniej do adresu mieszkania liście wyborców. Potem wystąpiłem do Urzędu Komunikacji o duplikat prawa jazdy i dostałem go po trzech tygodniach.

Z tym poszedłem również do Urzędu Rejestru Narodzin i Zgonów w St Catherine's House i otrzymałem kopię jego aktu urodzenia. Nie lubił rozmawiać ze mną o swojej przeszłości, więc nie udało mi się wydobyć z niego nic więcej poza datą i miejscem urodzenia. Próby grzebania głębiej wywołałyby podejrzenia, a poza tym jego partner, Brian, zaczynał się wkurzać, widząc, jak się tam kręcę. Przeglądanie rejestrów z lat 1960 i 1961 zajęło mi parę godzin, ale go znalazłem.

Poszedłem na policję i zgłosiłem, że skradziono mi paszport. Nadali mojej sprawie numer, który wpisałem na podaniu o wydanie duplikatu paszportu. Dołączyłem do niego kopię aktu urodzenia i udało się: Nick Davidson II został wkrótce dumnym właścicielem nowiusieńkiego, ważnego dziesięć lat paszportu.

Musiałem pójść dalej; żeby dysponować przekonującą tożsamością, trzeba mieć karty kredytowe. W ciągu kilku następnym miesięcy zapisałem się do kilku klubów książek i klubów płytowych, a nawet, korzystając z oferty zamieszczanej w niedzielnym dodatku gazety, kupiłem paskudną figurkę z porcelany Worcester, za którą zapłaciłem przekazem pocztowym. Pocztą zwrotną dostawałem rachunki i paragony, wszystkie wystawiane na adres zamieszkania.

Potem napisałem do paru poważnych banków, zadając im wiele pytań, które sprawiały, iż wyglądałem na grubego inwestora. Otrzymałem bardzo miłe pisemne odpowiedzi na papierze

firmowym banku, przesłane na podany przeze mnie adres. Potem wystarczyło już tylko pójść do kasy oszczędnościowo-budowlanej i udając naiwnego, powiedzieć, że chciałbym otworzyć rachunek bankowy. Jeśli ma się dokumenty i, właściwym adresem, to raczej nie robią przeszkód. Wpłaciłem parę funtów na rachunek i zostawiłem go na pewien czas w spokoju. Po kilku tygodniach dostałem oferty z klubów książki i w końcu byłem gotów do wystąpienia o wydanie karty kredytowej. Jeśli jest się na liście wyborców, ma się konto w banku, którego nie obciążają niespłacone kredyty, to przydzielają kartę. Z kolei, jak się ma jedną kartę, to wszystkie inne banki i instytucje finansowe pchają się jedna przez drugą, żeby tylko wcisnąć człowiekowi swoje karty. Na szczęście okazało się, że Nick I, wyjeżdżając, nie pozostawił niespłaconych rachunków. Gdyby było inaczej, to musiałbym zaczynać całą zabawę od początku.

Zastanawiałem się też, czy posunąć się jeszcze o krok i załatwić sobie numer ubezpieczenia społecznego, ale w gruncie rzeczy nie było sensu. Miałem pieniądze, a poza tym zawsze można po prostu pójść do miejscowego Wydziału Ubezpieczeń Społecznych i powiedzieć, że od najbliższego poniedziałku podejmuje się pracę. Dają wtedy z miejsca numer, który wystarcza na całe lata. Jeżeli to nie wyjdzie, to można po prostu numer wymyślić. System ubezpieczeniowy jest tak niesprawny, że mija mnóstwo czasu, zanim się zorientują, że coś nie gra.

Miałem już ważny paszport i karty, toteż od razu wykorzystałem je do wyjazdu, żeby sprawdzić, czy są w porządku. Potem korzystałem z nich, żeby karty zachowały ważność i żeby na paszporcie znalazło się kilka pieczętek wizyjazdowych i wjazdowych. Sara pewnie porzuciła wszystko, co było jej znane. Nie kontaktowała się z rodziną ani przyjaciółmi i całkowicie zrezygnowała ze wszystkich drobnych, codziennych czynności, które wypełniały jej życie, podobnie jak z charakterystycznych dla niej zachowań, które mogły ją wydać. Ja zrobiłbym podobnie, gdybym musiał zniknąć.

Zacząłem myśleć o tym, co mi opowiedziała o swojej przeszłości, ponieważ nie mając żadnej pomocy z zewnątrz, było to jedyne miejsce, od którego mogłem zacząć. Poza tym wiedziałem o niej naprawdę bardzo mało z wyjątkiem tego, że jakiś czas temu miała faceta, ale rzuciła go, gdy się dowiedziała, że spotyka się z inną kobietą. Podobno w trakcie awantury między nimi facet stracił palec i to było w zasadzie wszystko. Może Mickey Warner z metalową główką mógłby mi pomóc, gdybym jakimś cudem przedstawił swoje pytania jako część osobistego rozpoznania. W gruncie rzeczy miałem do niego wiele pytań.

O rodzinie i miejscach, gdzie się wychowywała, opowiedziała mi wiele. Wprawdzie pochodzimy z przeciwstawnych biegunów społecznego spektrum, ale wyglądało na to, że mieliśmy podobne przeżycia. Ani jej, ani moi rodzice nie przejmowali się dziećmi. Została wysłana do szkoły z internatem, kiedy miała zaledwie dziewięć lat, a ja, cóż, ciągle byłem robiony na szaro. Jej życie rodzinne charakteryzowała pustka -nie miała punktu zaczepienia i im więcej o tym myślałem, tym poszukiwana igła stawała się mniejsza, a stóg siana większy.

Wszystko sprowadzało się do tego, że jeśli chciała zniknąć, mogła tego dokonać, a szanse na jej znalezienie są niemal zerowe. Niewykluczone, że tropiłbym ją całe miesiące i wcale się do niej nie zbliżył. Łamałem sobie głowę, próbując sobie coś przypomnieć, cokolwiek, co by mi się przydało, jakąś małą wskazówkę, którą kiedyś mogła zdradzić i która naprowadziłaby mnie na ślad.

Nacisnąłem przycisk wzywający stewardesę i zamówiłem kilka piw, trochę po to, żeby szybciej zasnąć, a trochę dlatego, że po przybyciu do Stanów zamierzałem zrezygnować z picia alkoholu. U mnie praca i alkohol nigdy nie idą w parze.

Może Josh by mi pomógł. Jeśli wrócił z Wielkiej Brytanii, to może udałoby mu się dotrzeć do jakichś baz danych i dyskretnie sprawdzić parę rzeczy. Zacząłem zastanawiać się, czy powinienem powiedzieć mu prawdę, ale uznałem, że nie. To mogłoby wpakować nas obydwu w bagno.

Uświadomiłem sobie niespodziewanie, że gdzieś w głębi duszy mam nadzieję, iż jej nie znajdę. Podłamało mnie to, ale postanowiłem brnąć dalej i uporać się z tą sprawą. Najpierw musiałem dostać się do jej mieszkania, spotkać się z moim nowym kumplem, Blaszanym Mickeyem, i brać się do roboty.

Piwo już działało, więc postanowiłem się zrelaksować do końca lotu. Oglądałem film, ale myślami byłem z Kelly. Pewnie siedziała przy stole z dziadkiem, rysując obrazki, pijąc herbatę i usiłując wyciągnąć sweter z džinsów za każdym razem, kiedy babcia go tam wpychała. Musiałem do niej zadzwonić.

Pociągnąłem kolejny łyk piwa, bardzo starając się nie myśleć o Sarze, ale nic z tego nie wychodziło.

W 1987 roku, na dwa lata przed zakończeniem radzieckiej okupacji Afganistanu, Wielka Brytania i Stany Zjednoczone wysyłały tam swoje ekipy do szkolenia afgańskich powstańców, mudżahedinów.

Związek Radziecki napadł na Afganistan osiem lat wcześniej. Zapadłe wioski zapoznały się po raz pierwszy z nowoczesną techniką, kiedy zostały ostrzelane przez moskiewskie myśliwce, czołgi i helikoptery. Trzy miliony ludzi zostało zabitych lub okaleczonych, a sześć milionów uciekło na zachód do Iranu lub na wschód do Pakistanu. Ci, którzy pozostali, stawili czoło Rosjanom, żywiąc się suchym chlebem i herbatą i nocując na skalistych zboczach gór.

W końcu mudżahedini zwrócili się do świata o pomoc. Zachód odpowiedział dostawami broni o wartości sześciu miliardów dolarów. Jednak Kongres Stanów Zjednoczonych nie chciał się zgodzić na to, żeby mudżahedini zostali uzbrojeni w amerykańskie wyrzutnie pocisków ziemia-powietrze typu Stinger, którymi mogliby zestrzeliwać radzieckie śmigłowce opancerzone i samoloty szturmowe. Dlatego naszym zadaniem było nauczenie ich obsługi brytyjskich wyrzutni typu Blowpipe. CIA uznała, że jeżeli okaże się, iż Afgańczyków wyposażono w pociski ziemia-powietrze, co miało z pewnością miejsce w przypadku blowpipe'ów (trzeba mieć umiejętności neurochirurga lub dwie prawe ręce, żeby z tego strzelać), to w końcu Kongres pozwoli na przekazanie im stingerów. Mieli rację. My z kolei zostaliśmy tam i ogólnie rzecz biorąc, uczylimy ich, jak dopieprzać Rosjanom.

Nie wiedziałem o tym wówczas - bardziej obchodziło mnie, żeby nie stracić nogi na setkach tysięcy min przeciwpiechotnych, które zrzucili Rosjanie - ale kilka lat wcześniej pewien młody inżynier budownictwa Osama bin Laden również odpowiedział na apel mudżahedinów o pomoc, przyjechał z Arabii Saudyjskiej i sprowadził do środkowej Azji kilka z należących do jego rodziny buldożerów. Ten radykalny islamista, wywodzący się z wpływowej i nadzwyczaj bogatej rodziny, której firma brała udział w odbudowie świętych meczetów w Mekce i Medynie, był pod wrażeniem tego, co postrzegał jako walkę muzułmanów, którzy właściwie żyli tak jak przed wiekami, przeciwko dwudziestowiecznemu supermocarstwu.

Początkowo zajmował się działalnością polityczną. Był jednym z saudyjskich dobroczyńców, którzy wydawali miliony na pomoc dla afgańskich partyzantów. Werbował tysiące arabskich bojowników w krajach Zatoki Perskiej i opłacał ich podróż do Afganistanu. Założył również duży obóz partyzancki, w którym mieli być szkoleni. Potem musiało mu trochę odbić. Chociaż miał tyle forsy, postanowił osobiście wziąć udział w walce. Nigdy go nie spotkałem, ale mudżahedini wciąż opowiadali, jaki jest wspaniały. Kochali go, a i Zachód wtedy go kochał. Wyglądał na porządnego faceta - dbał o wdowy i sieroty, zakładał instytucje charytatywne mające pomagać im oraz ich rodzinom i tak dalej.

Nasza ekipa powróciła właśnie do Anglii po sześciomiesięcznej wyprawie w góry na północ od Kabulu i przygotowywała się już do dwutygodniowego urlopu, kiedy wezwano nas do Londynu po rozkazy. Wyglądało na to, że mamy wrócić z wizytą do naszych nowych przyjaciół trochę szybciej, niż nam się zdawało. Kiedy lecieliśmy na miejsce, po helikopterze rozeszła się pogłoska, że potrzebują nas, byśmy zapewнили ochronę jakiemuś państwowemu urzędnikowi podczas spotkań z mudżahedinami. Wszystkim zrzędył miny na myśl o tym, że będziemy musieli niańczyć jakiegoś sześćdziesięcioletniego gryziopórka z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który będzie spisywał w terenie wydatki na broń.

Podobno Colin miał mu towarzyszyć przez cały czas, a reszta miała go chronić z pewnej odległości.

- Pieprzę to - mruknął Colin. - Będzie tak, jakbyśmy bez końca grali w serialu Tak, panie ministrze.

Wykręcił się szybko z tego obowiązku i przerzucił to na moje barki.

W ekipie było nas czterech: Colin, Finbar, Simon i ja. Siedzieliśmy w sali odpraw w pochodzącym z lat sześćdziesiątych biurów przy Borough High Street tuż na południe od London Bridge. Czekaliśmy na resztę ludzi, gadając z sobą i pijąc herbatę z automatu, gdy do pokoju weszła jakaś kobieta. Nie znaliśmy jej, ale wszyscy czterej, podobnie jak kilku doradców i instruktorów, aż przetarliśmy oczy z wrażenia. Była oszałamiająca. Krótka czarna spódniczka i żakiet prawie nie przesłaniały jej ciała. Skinęła głową do swoich znajomych i usiadła, nie zwracając uwagi na spojrzenie wszystkich mężczyzn.

Colin był takim facetem, który, gdyby mógł, to zerznąłby dziurę w płocie. Teraz nie mógł oderwać od niej wzroku. Zdjęła żakiet i została w odsłaniającej ramiona bluzce bez rękawów. Były kształtne: z pewnością musiała ćwiczyć. Czuję, jak Colina bierze jeszcze bardziej. Pochylił się do Finbara i wyszeptał:

- Potrzebuję adwokata.

- A po co ci on, mały?

Irlandczyk Finbar zawsze zwracał się do Colina w ten sposób, co było dziwne, gdyż był od niego jakieś ćwierć metra niższy.

- Rozwodzę się.

Wszyscy byliśmy zaintrygowani tym, co ona wnosi do sprawy i przeżyliśmy niezły szok, kiedy została przedstawiona jako ten urzędnik państwowy, którego mamy ochraniać. Nie potrafiłem ukryć uśmiechu. Wiedziałem, co zaraz nastąpi i rzeczywiście Colin nachylił się do mnie.

- Nick...

Zignorowałem go, żeby jeszcze trochę pocierpiał.

- Nick...

Odwróciłem się do niego z szerokim uśmiechem.

- Biorę z powrotem tę robotę, stary - szepnął.

Pokręciłem powoli głową.

Słuchając uważnie prowadzącego odprawę oficera, założyła nogę na nogę. Szelest materiału jej spódnicy był chyba najatrakcyjniejszym dźwiękiem, jaki kiedykolwiek słyszałem. Byłem pewien, że wszyscy zwracamy więcej uwagi na nią niż na odprawę. Siedziała wygodnie na krześle, a jej spódnica przesunęła się do góry na tyle wysoko, by odsłonić ciemniejszą, górną część rajstop. Nie wiedzieliśmy, czy robi to celowo. Nie odwróciła głowy ani nie rozejrzała się, żeby sprawdzić, jaki to wywarło efekt.

Kiedy wstała, by się wypowiedzieć, usłyszeliśmy jej niski i bardzo pewny siebie głos. Gdyby jej nie wyszło z pracą w Intelligence Service, to zawsze mogłaby znaleźć robotę w seks-telefonie.

Sara wyjaśniła, że jej misja ma polegać na przechwyceniu i wywiezieniu na Zachód będącego w dobrym stanie szturmowego helikoptera rosyjskiej produkcji znanego jako Hind. Jego rzeczywiste możliwości, jak powiedziała, nie były jeszcze do końca znane. Byłoby jeszcze lepiej, gdybyśmy zdobyli dwa. Miała osobiście przeprowadzić z Afgańczykami transakcję polegającą na prostej wymianie przysług: my pokażemy wam, jak walczyć z Ruskimi, a wy podrzucicie nam ze dwa helikoptery.

Od samego początku dwumiesięcznego okresu, podczas którego na zmianę przenikaliśmy na teren Pakistanu i wracaliśmy z powrotem do ukrytych w górach baz partyzantów, Sara była profesjonalistką, z którą się przyjemnie pracowało. Bardzo nam tym ułatwiała życie. Czasami przy takich zadaniach traciliśmy tyle samo czasu na dodanie odwagi gościowi, który miał uczestniczyć w spotkaniu, co na zaaranżowanie samego spotkania. Jednak ona była inna. Może nie bała się, bo miała równie zapalczywy temperament, jak tamtejsi nieustraszeni partyzanci. Prowadziło to nieraz do opóźnień w negocjacjach -bardziej właśnie to niż fakt, że była kobietą. Nie miałem wątpliwości, że ma odpowiednią wiedzę, znajomość języków i przygotowanie, żeby postawić na swoim w rozmowach z ludźmi, których wszyscy bardzo podziwialiśmy. W końcu walczyli z supermocarstwem, i w dodatku wygrywali.

Zorientowałem się, że Sara odnosi się do tego rejonu świata z miłością i zrozumieniem, których nie potrafiła ukryć. W dodatku pracowała na wysokich obrotach i nie miękła, kiedy spotkania przebiegały w gorącej atmosferze. Wiedziała, że jestem przy niej i że pozostała trójka znajduje się gdzieś w pobliżu, obserwując nas z ukrycia. Gdyby sprawy przybrały zły obrót, to Afgańczycy nawet by nie wiedzieli, co ich trafiło. W razie gdyby to Rosjanie namieszali, mieliśmy rozkazy wiać i pozostawić partyzantów.

Pojechaliśmy tam na zakupy, ale trochę inne niż zazwyczaj. Wszyscy byli tam uzbrojeni i toczyli wojnę nie tylko przeciwko Rosjanom; nawzajem ze sobą walczyli o panowanie w kraju. Sara napuszczała jedną grupę na drugą, by dopiąć celu. Tylko raz poszło nie po naszej myśli, kiedy dwaj młodzi rebelianci zorientowali się, co się dzieje, i się jej postawili. Musiałem wtedy wkroczyć do akcji i dolożyć starań, żeby ich ciał nigdy nie znaleziono.

Innym razem straciła panowanie nad sobą, kiedy rebelianci powiedzieli, że chcą jej sprzedać helikopter, a nie po prostu przekazać. Wrzeszczeli nawzajem na siebie i Sara zakończyła spotkanie, ruszając wściekła w góry. Jechaliśmy do granicy w milczeniu, a ona rozmyślała nad tym, co się stało.

- Punkt dla nich, Nick - powiedziała wreszcie. - Jak sądzisz? Co powinnam napisać w raporcie?

Zastanowiłem się chwilę.

- Zespół napięcia przedmiesiączkowego?

Roześmiała się.

- Mniejsza z tym. Będziemy musieli wrócić i jeszcze raz spróbować, ale nie wcześniej niż za pięć dni.

Właśnie wtedy po raz pierwszy usłyszałem, jak się naprawdę śmieje. Uciekaliśmy do Pakistanu, zanim nas dopadnie jeden z tych poszukiwanych przez nią helikopterów, a ona chichotała jak dziecko.

Podobne sytuacje stały się czymś normalnym. Po tym, jak doszło do tego po raz trzeci, kiwnąłem tylko głową i powiedziałem:

- Pieprzyć ich, nawet nie potrafią zrozumieć dowcipu.

Reagowała na to śmiechem, kiedy gnaliśmy na łeb, na szyję, żeby tylko schronić się na terytorium Pakistanu.

Jakiś czas później Sara otrzymała informację, że PIRA (Tymczasowe Skrzydło IRA) przekazuje mudżahedinom instrukcje na temat wykonywania domowym sposobem materiałów wybuchowych i zapalników czasowych. Londyn był pewien, że Afgańczycy odwdzięczą się PIRA workami dostarczanej im z USA i Wielkiej Brytanii broni. Wyglądała na poruszoną tą informacją.

- Co z tym zrobimy, Nick? Londyn chce, żebym wykryła, kto jest ich kontaktem.

- Już ich znasz - rzuciłem.

- Znam? - powtórzyła zdziwiona.

- Colin, Finbar, Simon i ja.

Już całkiem nie wiedziała, o co chodzi.

- Tylko pomyśl o tym. Kto od lat prowadzi wojnę terrorystyczną? To my pokazaliśmy Afgańczykom, czego używa PIRA, to my nauczyliśmy ich, jak się robi zapalniki czasowe. To, czego używa PIRA, jest łatwe do wykonania, niezawodne i skuteczne. Mają najlepsze improwizowane zestawy na świecie. Nawet my ich używamy, dlaczego więc nie mielibyśmy ich pokazać nowym kolegom? Przecież na tym polega nasza robota: pomóc dokopać czarnym charakterom.

Następny wieczór w Pakistanie poświęciliśmy konstruowaniu raportu, który musiał porządnie wkurzyć tego gościa z wywiadu, co wypuścił tę informację o PIRA. Sara była tym równie rozbawiona jak ja, co było dość sympatyczne; lubiłem, kiedy się śmiała, ponieważ śmiesznie się marszczyła jej twarz i dgrał nos.

Pod wieloma względami absolutnie się różniliśmy, dlatego było dziwne, że stosunki między nami układają się tak dobrze. Wstąpiłem do wojska, bo byłem za tępy, żeby robić cokolwiek innego. Zobaczyłem plakaty obiecujące, że mogę zostać pilotem helikoptera, służącym Królowi i Ojczyźnie, a jeden z moich wujków, który był kiedyś w wojsku, powiedział mi, że dziewczyny lecą na mundur. Z tego, co się orientowałem, wystarczyło przejść do biura rekrutacyjnego, żeby móc się ciągle opalać i zaliczać panienki. Byłem szesnastolatkiem, któremu się wydawało, że świat poza granicami jego położonego w południowym Londynie osiedla jest tylko wytworem fantazji, nic więc dziwnego, że te plakaty mnie zafascynowały. Nie mogłem się doczekać, kiedy pojedę na Cypr, który był nie wiadomo gdzie, i będę latał helikopterem nad plażami pełnymi dziewczyn, a one będą mdały, wypatrując, kiedy wyląduję i pozwolę im się zabawić moim joystickiem.

Dziwna sprawa, ale nie do końca tak to wyglądało. Przystąpiłem do testów kwalifikacyjnych, ale zdaje się, że wojsko uznało, iż komuś, kto nie umie zrobić wiele więcej, niż zawiązać sobie sznurowadła, nie może powierzyć wartego wiele milionów funtów chinooka. Padło więc na piechotę.

Co innego Sara, była bystra i nie miała w sobie nic z prostego żołnierza. W dodatku nie wiedziałem o niej wiele, bo równie dobrze jak ja potrafiła się pilnować, żeby się z niczym nie zdradzić. Chociaż nie, jak uświadomiłem sobie później, była lepsza i mówiąc szczerze, wkurzało mnie to. Chciałem poznać jej silne i słabe punkty, jej nadzieje i obawy, preferencje i uprzedzenia, gdyż uzbrojony w takie informacje mogłem odpowiednio zaplanować i przeprowadzić atak na jej drogą bieliznę. Ponieważ w ramach naszej przykrywki podczas pobytu w Pakistanie udawaliśmy parę i

mieszkaliśmy w hotelu we wspólnym pokoju, co doprowadzało Colina do wściekłości, przypuszczałem, że nie jestem bez szans. Tkwiło to gdzieś głęboko w moich myślach od samego początku. Wkrótce jednak stwierdziłem z zaskoczeniem, że bardziej mi zależy na dostaniu się do jej głowy niż do jej majątek. Uświadomiłem sobie, że w gruncie rzeczy lubię ją. Bardzo ją lubiłem i nigdy przedtem nie czułem czegoś takiego w stosunku do kogoś innego.

Jednak czas mijał, a ja nie czyniłem żadnych postępów. Nie potrafiłem w żaden sposób dojść, kim tak naprawdę jest ta kobieta. Czułem się, jakbym grał w grę komputerową i ani razu nie mógł wyjść poza pierwszy poziom. Nie chodzi o to, że była wyniosła; nie, była bardzo towarzyska. Chodziła do lokali z naszą ekipą i nawet kilka razy wybrała się ze mną na kolację. Potrafiła sprawić, że czułem się jak szczeniak podskakujący wokół niej w oczekiwaniu na kawałek suchej karmy. Wiedziałem jednak, że zapadłem na marzycielską chorobę i że nic z tego nie będzie. Czego by mogła, do diabła, szukać w kimś takim jak ja, z wyjątkiem umiejętności rozwalania ludzi na kawałki, kiedy robili się trochę za bardzo nieprzyjemni?

Pod tym względem udzielałem sobie całkowitego rozgrzeszenia, bo to właśnie Sara zaproponowała, żebym po odejściu z pułku ubiegał się o przyjęcie do Firmy. Nawet teraz, po pięciu latach, nadal nie wiedziałem, czy mam ją za to pocałować, czy walnąć młotkiem.

Wypiłem jeszcze trochę piwa, usiłując patrzeć na ekran przede mną, ale nie potrafiłem się oszukiwać. Znowu wróciłem myślami do tej roboty w Afganistanie. Stany Zjednoczone i ich sojusznicy przekazywali mudżahedinom dziesiątki tysięcy pistoletów maszynowych i ręcznych wyrzutni rakietowych, a także miliony sztuk amunicji i setki stingerów. Kiedy w 1989 roku wojna się skończyła, ich zapasy stingerów były jeszcze bardzo duże i wkrótce CIA rozpoczęła wielomilionową operację, w ramach której oferowano pieniądze w zamian za stingery. A trzeba było tak zrobić, zanim zostaną sprzedane ugrupowaniom terrorystycznym, które wpadłyby na pomysł, żeby się nimi pobawić. O ile mi było wiadomo, sprawa nadal była aktualna.

Obróciłem się na bok, próbując zająć wygodną pozycję, i pomyślałem, że może powinienem znowu tam pojechać, żeby uszczknąć coś z tych pieniędzy. Najwyższy czas, żebym coś zarobił. Nie wiedziałem, gdzie są stingery, ale znałem Afgańczyka, który załatwił helikoptery dla Sary i mógł coś o nich wiedzieć.

Dziwna sprawa, jak sytuacja się zmienia. W tamtych czasach bin Laden był bez wątpienia pupilkim Zachodu. Teraz, kiedy wpadł na pomysł, żeby wysadzić w powietrze trochę obiektów w Ameryce, stał się wrogiem publicznym numer jeden. Ciekawe, jaką nagrodę wyznaczyły Stany Zjednoczone za jego głowę.

Kiedy samolot wylądował na położonym tuż koło Waszyngtonu lotnisku Dullesa, dołączyłem do długiej kolejki ludzi czekających przed stanowiskami Urzędu Imigracyjnego. Dowleczenie się do stanowiska zajęło około dwudziestu minut, ludzie przesuwali się powoli zygzakiem pomiędzy liniami. Przypominało mi to stanie w kolejce do rollercoastera w Disneylandzie. Urzędnicy imigracyjni wyglądali jak policjanci i zachowywali się jak wykidajły, odpychając ludzi i zaganiając na miejsca.

Urzędnik popatrzył groźnie, jakby próbował mnie wystraszyć. Może po prostu mu się nudziło. Uśmiechnąłem się jak jakiś tępy turysta, a on wbił mi stempel i znużonym głosem życzył mi przyjemnego pobytu w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

Automatyczne drzwi rozsunęły się przede mną i wszedłem do zatłoczonej hali przylotów. Kierowcy unosili wysoko wypisane flamastrem tabliczki, rodziny trzymały w rękach kwiaty i misie, a wszyscy patrzyli z nadzieją na każdą twarz wyłaniającą się z rozsuwanych drzwi. Ja tęskniłem tylko do dużej dawki kofeiny.

Poszedłem do kawiarni „Starbucks” i kupiłem jakieś trzy czwarte litra cappuccino. Usadowiłem się w kacie, wyjąłem elektroniczny notatnik i telefon komórkowy i włączyłem obydwa urządzenia.

Odszukałem numer, który był mi potrzebny, i zacząłem nieznośnie długo czekać, aż telefon podłączy się do sieci. Nowe telefony Boscha, które pracują zarówno na europejskich, jak i na amerykańskich częstotliwościach, jeszcze nie miały w Stanach stuprocentowego zasięgu, ale sytuacja się poprawiła. Telefony komórkowe całkowicie zmieniły sposób, w jaki pracowaliśmy. Wprawdzie od dawna istniały telefony, które mogły wykonywać te same funkcje, ale nie były dostępne w handlu. W nieautoryzowanych operacjach można używać tylko takiego sprzętu, jaki można kupić w sklepie, na przykład w Carphone Warehouse, bo jak nie, to człowiek wyróżnia się w tłumie. Nacisnąłem klawisze.

- Hello, mówi Michael - usłyszałem wysoki głos.

Brzmiał bardziej jak głos prowadzącego teleturniej niż osobistego asystenta osoby pracującej w „drugim Ministerstwie Spraw Zagranicznych”.

- Nazywam się Nick Snell - powiedziałem.

- Och, tak. Czekalem, aż się odezwiesz - powiedział tonem wyrażającym mieszaninę sympatii, ekscytacji i zadowolenia, tak jakbym był od dawna nie widzianym przyjacielem. - Jak się masz?

Trochę mnie zaskoczył. Nie znaliśmy się, a biorąc pod uwagę brzmienie jego głosu, nie kupiłbym od niego nawet używanej pralki, a jednak mówił tak, jakbym od wielu lat był jego najlepszym kumplem.

- Świetnie - powiedziałem, czując, że mimowolnie się uśmiecham. - A co u ciebie?

- U mnie wszystko cacy! A więc...? - podjął, próbując przejść na nieco poważniejszy ton. - Gdzie chcesz się ze mną spotkać?

Przeleciało mi przez myśl, że dodzwoniłem się do radiowego programu komediowego i roześmiałem się.

- Zostawiam to tobie. W końcu to twoje miasto, prawda?

- Och i to jakie miasto! - powiedział, jakby nie mógł się doczekać, kiedy ze mną o tym w końcu pogada.

- Wiesz co? - dodał po chwili. - Spotkamy się w „Bread and Chocolate Bakery”. To taka kawiarnia na rogu M i Dwudziestej Trzeciej. Robią fantastyczną mokrą. To dość blisko od mieszkania. Wiesz gdzie jest M i Dwudziesta Trzecia?

Znałem ten rejon miasta i potrafiłem korzystać z mapy. Wiedziałem, że trafię.

- Muszę najpierw wziąć samochód - oznajmiłem. - Przyjadę tam mniej więcej za dwie godziny. Pasuje ci?

- No pewnie, Nick - odparł, naśladowując przy tym z powodów znanych tylko sobie teksański akcent, i roześmiał się. -Będę ubrany w niebieską koszulę i czerwony krawat, bez problemu mnie rozpoznasz.

- Ja mam na sobie dżinsy, niebieską koszulę w kratkę i granatową kurtkę.

- No to do zobaczenia. À propos, o tej porze dnia trudno parkować, więc życzę ci powodzenia. Do zobaczenia, pamiętaj: M i Dwudziesta Trzecia. Czeeeeść!

Nacisnąłem przycisk „end” i pokręciłem głową. O co w tym wszystkim, do kurwy nędzy, chodzi?

6

Byłem już tylko dwie przecznice od celu, kiedy utknąłem w korku. Ze swoimi budynkami i wąskimi ulicami miasto w rejonie M i Dwudziestej Trzeciej ulicy przypominało mi bogatsze obszary Nowego Jorku. Nawet pogoda była taka sama jak podczas moich wizyt w Wielkim Jabłku: pochmurna, ale ciepła. I tu miałyby mieszkać Sara? Cóż, w gruncie rzeczy to prawdopodobne. Nie było stąd daleko do Massachusetts Avenue, która biegnie z północnego zachodu na południowy wschód, przecinając miasto mniej więcej na pół, a poza tym na tym terenie, szczególnie w jego północno-zachodniej części, znajdują się wszystkie ambasady, misje i konsulaty.

Przesunąwszy się do przodu, zobaczyłem w końcu, na czym polega problem. Znajdujące się na wprost skrzyżowanie było zablokowane przez policjantów na motocyklach, którzy kierowali nas objazdem w prawo. Skręcałem akurat, gdy przez skrzyżowanie przemknęła z wyciem syren kolumna czarnych lincolnów z przyciemnionymi szybami. Na tyłach kolumny jechało parę chevroletów ochrony z napędem na cztery koła i dwa ambulanse, na wypadek gdyby szef skaleczył się w palec. Wyglądało na to, że Netanyahu albo Arafat już są w mieście.

Krzyżujące się pod kątem prostym trakty komunikacyjne Waszyngtonu dzielą się na oznakowane literami ulice, które biegną ze wschodu na zachód, i ulice numerowane, które biegną z północy na południe. Bez większych problemów odszukałem potrzebne mi skrzyżowanie, ale nie było sposobu, by się tam zatrzymać. Jednokierunkowy ruch na ulicy M kierował się własną logiką i Błaszany Mickey miał rację: parkowanie w tym rejonie było wyjątkowo trudną sprawą. Po obu stronach ulicy stały rzędy przyssanych do parkometrów samochodów, które nie miały zamiaru nikomu ustąpić. Wykonałem jeszcze trzy okrążenia wokół kwartału budynków i w końcu zobaczyłem nissana, który wycofywał się ze stanowiska parkingowego przy ulicy M, tuż za moim skrzyżowaniem.

Zamknąłem samochód, wrzuciłem pieniądze do parkometru i odszedłem. „Bread and Chocolate” okazała się małą kawiarnią na poziomie ulicy w budynku mieszkalno-biurowym zaledwie piętnaście metrów dalej po lewej stronie Dwudziestej Trzeciej. Po drugiej stronie ulicy znajdowała się jeszcze jedna kawiarnia połączona ze sklepem spożywczym, ale moja była lepsza. Wnętrze lśniło taką czystością, że pomyślałem, iż powinienem był się wyszorować przed wejściem. Długie, przeszklone lady zapełniały drożdżówki, bułeczki i milion różnych bułek i kanapek, natomiast na ścianie za nimi widniał nie kończący się spis różnych rodzajów kawy. Wszystko wyglądało tak idealnie, że nie byłem przekonany, czy ludziom wolno tam coś kupować i zakłócać panujący porządek.

Małe okrągłe stoliki, w sam raz dla trzech osób, wykonano z białego marmuru. Usiadłem twarzą do przeszklonej ściany i zamówiłem mokkę, tym razem małą po tej potężnej dawce na lotnisku. W lokalu zajęte było około jednej czwartej miejsc, a klienci, głównie elegancko ubrani urzędnicy, rozmawiali o sprawach związanych z pracą. Sączyłem kofeinę przez całe dziesięć minut, jakie pozostały do naszego spotkania.

Dokładnie o czasie wszedł do środka i rzeczywiście był taki, jak opisał. Miał jasną, niemal przezroczystą skórę i czarne przerzedzające się na głowie włosy. Nataił je żelem i zaczesał do tyłu, żeby wyglądały na gęściejsze. Wesołą, puciołowatą twarz przesłaniały modne, okrągłe okulary w czarnych oprawkach, o tak grubych szklach, że jasnoniebieskie oczy wyglądały przez nie na dwa razy większe niż w rzeczywistości. Miał na sobie jednorzędowy garnitur z połyskliwego, popielatego materiału, jasnoniebieską koszulę i czerwony krawat. Niewielka kozia bródka gustownie dopełniała całości. Musiał mieć ze dwadzieścia kilogramów nadwagi, przy ponad metrze osiemdziesięciu wzrostu. Jego dopasowana marynarka z trzema guzikami wglądała, jakby za chwilę miała pęknąć. Dojrzał mnie bez problemu i podszedł z wyciągniętą ręką.

- Och, hellooo. Musisz być Nick.

Uścisnąłem jego dłoń, miał delikatną skórę i nieskazitelne, niemal kobiece paznokcie. Usiedliśmy i od razu pojawił się przy nas kelner. Może Błaszany Mickey był stałym gościem tego lokalu? Spojrzał na kelnera i wskazując na moją kawę, zadysponował z uśmiechem:

- Proszę to samo.

Aromat mokki nie miał szans w porównaniu z zapachem jego płynu po goleniu.

Gdy tylko kelner znalazł się poza zasięgiem naszego głosu, Mickey pochylił się do przodu, blisko do mnie.

- Powiedziano mi tylko tyle, że mam ci pomagać pod nieobecność Sary.

Już miałem się odezwać, ale mnie uprzedził.

- Muszę przyznać, że jestem tym dość podekscytowany. Nigdy do tej pory nie miałem nic wspólnego z ocenianiem kogoś, rzecz jasna oprócz siebie. W każdym razie jestem do dyspozycji! - powiedział, unosząc ręce w żartobliwym geście poddania.

- Dziękuję - odparłem, korzystając pośpiesznie z okazji - z pewnością będzie mi dzięki temu o wiele łatwiej. Powiedz mi, kiedy ją ostatnio widziałeś? Nie wiem, jak długo jej nie ma.

- Och, jakieś trzy tygodnie temu. Ale co w tym nowego? Raz jest tu, raz tam gdzie tylko się da, prawda?

Kelner podał kawę i Blaszyński Mickey odwrócił głowę, by mu podziękować. Dojrzałem bliznę w miejscu, gdzie wszczepiono mu tę płytkę: nieco zgrubiałą łatkę skóry o rozmiarach mniej więcej siedem na pięć centymetrów. Miałem nadzieję, że nikt przy pobliskich stolikach nie będzie rozmawiał przez telefon komórkowy, bo pewnie wtedy Mickey poderwałby się i zaczął tańczyć kongę.

Uniósł filizankę, przyłożył swe mięsiste wargi do jej brzegu i spił trochę pianki. Następnie odstawił filizankę z głośnym „aaach”, uśmiechnął się i wrócił do tematu.

- Tak, ostatni raz to było trzy tygodnie temu. Nie przejmuję się za bardzo jej wyjazdami i przyjazdami. Po prostu staram się, żeby wszystko tutaj szło gładko.

Zawahał się jak dziecko, które chce coś od rodzica i stara się zebrać na odwagę. Nie zdziwiłbym się bardzo, gdyby zaczął bawić się palcami i szurać nogami.

- Tak się zastanawiałem, czyjej ocena jest przeprowadzana dlatego, że ma wrócić do Wielkiej Brytanii? Skoro tak, to tak sobie po prostu myślałem... czy ja też musiałbym wracać? To znaczy, nie chodzi o to, że nie chcę, ale po prostu...

Pojąłem, do czego zmierza, więc przerwałem mu:

- Nie sądzę, żeby któreś z was miało wracać wkrótce do domu, Michael. Chyba że chcesz?

Postanowiłem nie zadawać mu na razie żadnych pytań, bo był zbyt spięty, no i oczywiście starałby się zachowywać lojalnie wobec Sary. Poza tym mogłem najpierw obejrzeć mieszkanie i dopiero wtedy mu wszystko wyjaśnić.

Na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi.

- Masz klucze do jej mieszkania? - podjąłem weselszym tonem.

- No jasne! Pójdziemy tam teraz?

Skinąłem głową i wysączyłem resztkę kawy, kiedy on wyciągnął parę banknotów z cienkiego eleganckiego portfela, żeby za nas zapłacić. Przy kasie złożył starannie rachunek i umieścił w portfelu.

- Wydatki. - Westchnął.

Otworzył szklane drzwi prowadzące na Dwudziątą Trzecią ulicę i przytrzymał je przede mną.

- Nie wiem, kiedy ona wraca, a ty? - zapytał.

Kto ma tu zadawać pytania? - pomyślałem.

- Nie, ja też nie - odparłem. - Jestem tu tylko po to, żeby przeprowadzić ocenę.

Uznałem, że to wystarczy. Nie wiedziałem, czy on kiedykolwiek widział, jak naprawdę przeprowadza się ocenę, ale skinął głową, jakby myślał, że to wszystko jest normalną częścią procedury.

- Udało ci się zaparkować w pobliżu?

- Zaraz za rogiem, przy M.

- Świetnie, stary!

Ruszyłem w prawo, w kierunku samochodu, myśląc, że pojedziemy na miejsce.

- Nie, nie bądź głupi. - Zatrzymał mnie, wskazując w przeciwnym kierunku. - Ona mieszka na końcu tego кварталу, przy ulicy N.

To było dziwne. Jediną rzeczą, której nie otrzymałem od Lynna, był adres Sary. No, ale przecież nie prosiłem go o to. Pewnie dlatego, że byłem tak poruszony na myśl, iż znowu ją spotkam.

Ruszyliśmy wąską, wysadzaną drzewami ulicą w kierunku, pobliskiego skrzyżowania i zaraz dojrzałem to, co mi pokazywał. Budynek stał dokładnie na rogu Dwudziestej Trzeciej i N. Jego wystające balkony i elewacja, w której czerwona cegła przeplatała się z białym kamieniem, sprawiały, że wyglądał jak plansza do gry zastawiona czekoladkami z lukrecją. Nie miałem pojęcia, czy budynek został tak zaprojektowany, czy też murarze byli zalani, kiedy go składali do kupy. Byliśmy już przy skrzyżowaniu, gdy postanowiłem zaryzykować dalsze indagowanie. Pamiętałem swoje postanowienie, żeby go na razie nie naciskać, ale bardzo chciałem usłyszeć odpowiedź.

- Powiedz mi o narzeczonych - poprosiłem.

Spojrzał na mnie z mieszaniną zaskoczenia i dezaprobaty.

- Nie sądzę, żeby to coś miało wspólnego z tą oceną - powiedział takim tonem, jakby się bronił, i po chwili dodał: -Ale cóż, w gruncie rzeczy, ja rzeczywiście...

- Nie, nie, nie chodzi o ciebie - przerwałem mu ze śmiechem. - Chodzi o Sarę. Czy coś ci wiadomo o jakichś mężczyznach, z którymi się spotyka?

- Ach, o Sarę. Nie, o żadnych. W każdym razie nie po tym, co wydarzyło się ostatnim razem.

Jego ton wprost zmuszał do zadania pytania.

- O, a co się stało?

- Cóż, biedna Sara była zakochana w facecie z prawdziwego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Pracował w Londynie, ale przyjeżdżał tu od czasu do czasu. Znikali na tydzień albo dwa gdzieś w głuszy. Ale to nie moja działka, jak pozwolę sobie zauważyć.

Spojrzałem na niego, spodziewając się uśmiechu, ale on już myślał z poważną miną o tym, co powiedzieć dalej.

- Wydarzyło się coś niefortunnego i niestety to ja byłem zwiastunem złych wieści...

Czekał na moje zainteresowanie, więc zareagowałem kolejnym pytaniem.

- Jakich złych wieści?

- Dostałem telefon od Sary. Powiedziała mi, że Jonathan - wziął z przejęciem głęboki oddech - przylatuje na lotnisko. Chciała, żebym go odebrał i zawiózł prosto do restauracji, w której zarezerwowała stolik na kolację niespodziankę. Następnego dnia mieli wyjechać nad jeziora.

Skinąłem głową, żeby pokazać, że słucham pilnie każdego słowa.

- Przyjeżdżam na lotnisko, żeby go odebrać. On oczywiście nigdy wcześniej mnie nie widział, ale ja go widziałem na zdjęciach. W każdym razie jestem tam i czekam, a on wychodzi pod rękę z inną kobietą - cały do niej przyklejony jak mokra sukienka. Mówię ci! Od razu szybko opuściłem tabliczkę z jego nazwiskiem i poszedłem za nimi, żeby zobaczyć, co się będzie dalej działo. Nawet stanąłem za nimi w kolejce do taksówek i podsłuchiwałem. Miała na imię Anna... Ella... Antonella, o właściwie, w każdym razie głupie imię, moim zdaniem, ale pasujące do takiej londyńskiej paniusi, na którą zresztą wyglądała. Za dużo pereł na szyi; nie pasowały jej...

Przerwał na chwilę, może chciał, bym się poczuł uczestnikiem tego całego przedstawienia.

- I co dalej?

- No, co miałem zrobić? Dzwonię do Sary do restauracji godzinę później, żeby jej powiedzieć, że nie mogłem go znaleźć. A ona mówi: nie ma problemu, zadzwonił do mnie na komórkę. Wyobraź sobie, Nick, całą noc męczyłem się, myśląc nad tym, co zrobić. Powiedzieć jej czy nie? W końcu nie mój interes. W każdym razie następnego dnia sprawa się rozstrzygnęła bez mojego udziału.

Wyraz jego twarzy wskazywał, iż było to właściwe rozstrzygnięcie. Mickey z trudnością powstrzymywał się od śmiechu.

- Mów dalej.

- Więc Anna, czy jak jej tam było, została napadnięta w mieście na ulicy. Straciła pieniądze, karty kredytowe i bidul-ka trafiła do szpitala na parę dni. Prosi więc policję o kontakt za pośrednictwem ambasady, no z kim, jeśli nie z drogim Jonathanem? Mamy telefon, no i okazuje się, że on jest jej

narzeczonym! Ja mam numer kontaktowy, a ona jest w szpitalu. Biedna dziewczyna. Chyba teraz mi jej szkoda.

Roześmiałem się, mówiąc sobie przy tym w duchu, że nie może być przy zdrowych zmysłach ktoś, kto ma na boku drugą kobietę, gdy już jest z Sarą.

-- No i co?

Uniósł dłoń z przygiętym palcem wskazującym.

- Sukinsyn stracił palec, przycięła mu ręce drzwiami samochodu! To go nauczy, żeby nie igrać z Sarą. Gdybyś ją, Nick, znał tak jak ja, to wiedziałbyś, że jest wspaniałą kobietą. O wiele za dobrą dla takiego jak on.

Ktoś musiał włączyć w pobliżu telefon komórkowy, bo Blaszanym się skrzywił.

- A w dodatku świetnie się ubiera. Nie uwierzyłbyś własnym oczom!

Dotarliśmy już do skrzyżowania, skąd zobaczyłem, że wejście do budynku jest od strony ulicy N. Jakiś Latynos w niebieskiej koszuli z krótkim rękawem i zielonych roboczych spodniach polewał wodą z węża ulicę na wprost głównego wejścia. Woda spływała na trawnik przed budynkiem i wsiąkała w ziemię.

Główne drzwi wykonano ze stopu o kolorze miedzi i szkła. Po lewej stronie widniała mosiężna tabliczka witająca przybyłych, a po prawej reagujący na dotyk elektroniczny wyświetlacz dbał o to, by ta gościnność nie była nadużywana. Blaszanym Mickey wyjął długi, plastikowy klucz, który wyglądał tak, jakby służył do nakręcania dziecięcej zabawki. Wsunął go do dziurki i drzwi się rozchyliły.

Weszliśmy do świata posadzek z czarnego marmuru, granatowych ścian i sufitów tak wysokich, że można byłoby z nich ćwiczyć swobodne spadanie. Przed nami, jakieś dwadzieścia metrów dalej w głąb atrium, znajdowały się windy. Na prawo od nich ciągnęła się półkolista lada w stylu Terence'a Conrana z połyskującym, drewnianym blatem, za którą widniała ściana z czarnego marmuru. Za ladą siedział równie elegancki portier, wyglądałby całkiem na miejscu przy drzwiach pięciogwiazdkowego hotelu. Blaszanym Mickey znalazł go dość dobrze, bo powitał go wesołym:

- O, cześć, Wayne, jak dzisiaj leci?

Wayne miał około czterdziestki i wyraźnie świetnie mu szło tego dnia.

- Bardzo dobrze! - odpowiedział wesoło. - A co u pana?

Było dla mnie oczywiste, że nie zna imienia Blaszanego Mickeya, bo w przeciwnym razie by go użył, ale widział go nie raz.

- U mnie wszystko cacy - odparł z szerokim uśmiechem Mickey - i dodał, spoglądając na mnie: - To jest Nick, przyjaciel Sary. Będzie korzystał z mieszkania przez kilka dni, podczas nieobecności Sary, więc pokażę mu, gdzie co jest.

Uśmiechnąłem się do portiera i podałem mu rękę, żeby pokazać, iż nie stanowią zagrożenia. Wayne również zareagował uśmiechem.

- Gdybyś czegoś potrzebował, Nick, to naciśnij H-E-L-P na wewnętrznym telefonie, i zaraz się załatwi sprawę.

- Wielkie dzięki. Będzie mi potrzebne stanowisko parkingowe Sary, jeśli takie ma.

- Tylko mi powiedz, kiedy chcesz odebrać klucz - odparł z promiennym uśmiechem.

Potrzebowałem jeszcze jednej rzeczy. Pochyliłem się do Wayne'a, tak jakbym wtajemniczał go w jakiś sekret.

- Jeżeli Sara przyjedzie, to proszę, nie mów jej, że tu jestem. Chcę jej zrobić niespodziankę.

Wayne skinął głową, zrozumieliśmy się jak mężczyzna z mężczyzną.

- Nie ma problemu. Wiesz co, zadzwonię do ciebie, jak ją zobaczę.

Pojechałem na szóste piętro razem z Blaszanym Mickeyem. Drzwi windy otworzyły się na korytarz, który był równie wymuskany jak hol wejściowy na dole, a na jego utrzymanych w tej samej kolorystyce ścianach znajdowały się kinkiety. Na grubym granatowym dywanie dostrzegłem ślady odkurzacza. Kiedy ruszyliśmy korytarzem, Blaszanym Mickey milczał dla odmiany i grzebał w

kieszeniach w poszukiwaniu kluczy. Zatrzymał się przed drzwiami oznaczonymi numerem sześćset dwanaście.

- No i jesteśmy.

Otworzył najpierw wielki zamek z pięcioma bolcami, po nim coś w stylu zamka Yale i pchnął drzwi. Wszedłem pierwszy i zablokowałem wejście, z którego wchodziło się prosto do salonu. Chwylił w lot, o co chodzi. Stał przede mną, trzymając w dwóch palcach dyndające klucze.

- Chcesz, żebym został i zrobił ci kawy? A może potrzebujesz czegoś jeszcze?

- Będzie parę rzeczy, o których muszę z tobą porozmawiać. Wiesz: sprawy zawodowe. To później, poza tym, stary, nic mi nie trzeba. Ale wielkie dzięki za wszystko. Potrzebuję po prostu trochę samotności, żeby się pozbierać. To moje pierwsze tego rodzaju zadanie i muszę wykonać je właściwie.

Skinął głową, tak jakby wiedział, o czym mówię; to dobrze, bo ja sam tego nie wiedziałem. Po prostu przyszło mi do głowy takie sformułowanie. Osobiście nic przeciwko niemu nie miałem, ale nie chciałem, żeby się kręcił za blisko mnie.

Podał mi wizytówkę.

- Numer domowy i pager.

Wziąłem ją od ręki.

- Dziękuję. Postaram się nie dzwonić do ciebie o niewłaściwej porze. Nie sądzę, żeby zaszła taka potrzeba. Wszystko może poczekać do poniedziałku.

Zawsze warto być miłym dla ludzi, bo nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się przydać. A poza tym Blaszyński Mickey był nieszkodliwy. Ruszył z powrotem ku windzie, a ja wysunąłem głowę z drzwi i zawołałem

- Dziękuję bardzo, Michael!

Odpowiedział gestem uniesionej prawej dłoni i zawołał:

- Czeeeeść. Pamiętaj: jeśli tylko czegoś będziesz potrzebował, to dzwoń.

Zamknąłem drzwi i nie odchodząc od nich, wstukałem do mojego organizatora jego numer telefonu: wizytówki zawsze się gubią. Nie rozglądałem się za niczym szczególnym, próbowałem wczuć się w atmosferę panującą w mieszkaniu, nie chciałem od razu zaczynać poszukiwań, bo mógłbym pominąć coś po drodze. Wiedziałem, że pod drzwiami nie znajdę żadnych listów, ponieważ wszystkie przychodziły za pośrednictwem centralnej skrytki pocztowej. Zdawałem sobie też sprawę, że nie znajdę na przykład notesu ze szczegółowym spisem jej zamiarów, ale jeżeli człowiek nie zainwestuje trochę czasu, to może rzucić się na sześciopensó-wkę, nie dostrzegając po drodze banknotu pięciofuntowego.

Wróciłem do drzwi i zamknąłem zamek, żeby nikt mi nie mógł przeszkodzić. To naturalna reakcja, kiedy się jest intruzem w cudzym domu, ale w tej sytuacji nie było to potrzebne. Chciałem, żeby przyszła, bo to zdecydowanie ułatwiłoby mi pracę, a jeżeli Wayne wykazałby czujność, to zostałbym ostrzeżony.

Przyszła mi do głowy zaskakująca myśl. Tak wiele razy z Sarą na krótko zatrzymywaliśmy się w hotelach albo różnych mieszkaniach, ale dopiero teraz po raz pierwszy widziałem, gdzie i jak mieszka naprawdę. Czułem się jak podglądacz. Jakbym patrzył na nią przez dziurkę od klucza w drzwiach sypialni, podczas gdy się rozbiera.

W gruncie rzeczy było to po prostu duże mieszkanie z jedną sypialnią, wyposażone w „zestaw mieszkaniowy”, czyli standardowe meble dla pracowników służb dyplomatycznych. Bardzo wygodny, bardzo drogi i bardzo wyrafinowany zestaw, chociaż niezbyt duży. Pewnie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych ochrzczono go mianem zestawu minimalistycznego, bo pod taką nazwą mógł uchodzić za coś modnego. Resztę mebli można sobie dokupić ze specjalnego funduszu, ale Sara najwyraźniej jeszcze do tego nie dojrzała.

W pokoju gościnnym znajdował się granatowy dywan, nieco jaśniejszy niż ten w zewnętrznym holu, i dopasowane do niego niebieska sofa i krzesła. W przeciwległym lewym rogu zobaczyłem długi kredens z trzema szufladami, który stał na wprost wielkiego okna z widokiem na tyły budynku i na jedną z rzeczek wpadających do Potomacu. Obok okna stała biblioteczka, ze wszystkimi czterema

półkami wypełnionymi książkami w twardej oprawie. Podeszedłem do niej i przejrzałem grzbiety. Dość dużo tytułów dotyczyło problemów Bliskiego Wschodu i terroryzmu, a oprócz nich zauważyłem kompletny zestaw światowych raportów tygodnika „Economist” z 1997 roku. Jedna półka zaczynała się od biografii: Mandela, Thatcher (oczywiście musiała to mieć), JFK, Churchill i kończyła się kilkoma książkami Gore Vidala oraz kilkoma uczonymi publikacjami na temat historii Ameryki i zbiorem sztuk Oscara Wilde’a. Dolną półkę wypełniały książki w dużym formacie. Leżały płasko z powodu swej wielkości, toteż musiałem przechylać głowę, żeby zobaczyć ich tytuły. Rozpoznałem atlas świata firmowany przez „Timesa”, ponieważ był to taki sam darmowy egzemplarz jak ten, który zachęcił mnie do wstąpienia do jednego z klubów książki w czasach, kiedy wcielałem się w Nicka Davidsona. Poza nim było tam kilka albumów fotograficznych poświęconych różnym krajom na Bliskim Wschodzie oraz jeden album na temat Stanów Zjednoczonych.

Biurko i biblioteczkę wykonano z jasnego drewna, a ściany pokoju zostały pomalowane białą emulsją. Nikt nie włożył w to mieszkanie odrobiny wysiłku, żeby nadać mu bardziej osobisty charakter. Było równie anonimowe jak mój dom w Norfolk, chociaż, w odróżnieniu od niego, znajdowała się tu przynajmniej sofa i biblioteczka.

Na podłodze obok sofy leżały jeden na drugim magazyny poświęcone plotkom z wyższych sfer oraz magazyny informacyjne i informatory dotyczące świata rozrywek w Waszyngtonie. Cyfrowy wyświetlacz telefonu umieszczonego na całym lym stosie poinformował mnie, że nie ma żadnych wiadomości. Ściany były gołe z wyjątkiem kilku nijakich widoków Waszyngtonu, które wykonano chyba jeszcze za czasów Kennedy’ego. Poza tym były tam jeszcze dwie lampki: stołowa, z wijącym się po dywanie przewodem, która stała na podłodze tuż przed sofą, i standardowa lampa stojąca ustawiona przy biblioteczce. Obydwie miały pasujące do wnętrza białe abażury. To była cała Sara: w pracy w każdym celu profesjonalistka, ale jeśli chodzi o kierowanie sprawami domowymi, to lepiej nie mówić. Ale czego mogłem się spodziewać po kimś, kto nie poradziłby sobie nawet z zakupami w Tesco?

W mieszkaniu nie było telewizora, co mnie nie zaskoczyło -nigdy nie oglądała telewizji. Gdyby ją zapytać, co to takiego Seinfeld i Frasier, to pewnie by powiedziała, że to nowojorska firma prawnicza. Wróciłem wzrokiem do biblioteczki. Na najniższej półce stał duży szklany wazon bez kwiatów, ale zamiast nich wypełniały go monety, długopisy i wszelkie inne barachło, które ludzie wyciągają z kieszeni pod koniec dnia. Obok wazonu zobaczyłem notatnik, w którym umieszczała złożone zaproszenia na grubych kartonikach na drinka o ósmej w ambasadzie brytyjskiej lub na spotkania firmowane przez Kongres. Naliczyłem ich siedem za ostatni miesiąc. To musi być okropne życie, kiedy trzeba włóczyć się po tych wszystkich przyjęciach i wychylać kolejne kieliszki szampana.

Na biurku stała wieża z odtwarzaczem płyt CD, chyba dość tania. Obok leżał może tuzin kompaktów. Podeszedłem bliżej i zobaczyłem, że trzy płyty są nadal w celofanowych opakowaniach. Nie miała dość czasu, by je przesłuchać, może odłożyła to na przyszły tydzień. Poza tym znalazłem pudełko z zestawem pięciu klasycznych oper. Obróciłem je grzbietem do siebie, by odczytać tytuły i zobaczyłem oczywiście *Così fan tutte*. Jedne z niewielu rzeczy, które Sara lubiła, przynajmniej o tej wiedziałem.

Przejrzałem pozostałe płyty: kilka albumów Genesis z lat siedemdziesiątych w remastrowanej wersji i płytę z obwolutą wyglądającą jak piracka kopia, zawierającą muzykę grupy Bank Spermii. Musiałem jej posłuchać, bo tak bardzo nie pasowała do reszty. Nigdy nie rozmawialiśmy zbyt wiele o muzyce, ale wiedziałem, że ona uwielbia operę. Ja z kolei słuchałem muzyki w radiu i kiedy mi się coś spodobało, myślałem: dobre, kupuję to, ale potem gubiłem nagranie, zanim je zdołałem przesłuchać.

Zobaczywszy, że lampka gotowości do pracy wieży się świeci, nacisnąłem przycisk „open”, włożyłem płyty i nacisnąłem przycisk odtwarzania. Z głośników wydobył się jakiś dziwny tahitański rap, jazz czy funk, czy jak to tam nazywają: wyjątkowo hałaśliwy, ale bardzo rytmiczny. Zwiększyłem głośność, żeby posłuchać jak należy i poczułem, że nadążam za modą. Pieprzę to, pomyślałem, jest zero szans, żeby tu wróciła.

Rozejrzałem się już z grubsza w salonie, dlatego przeszedłem do kuchni. Miała tylko parę metrów kwadratowych powierzchni, a obie jej boczne ściany pokrywały szafki, przez co wyglądała raczej jak korytarzyk. Płyta grzejna, piekarnik i zlewozmywak również były zabudowane.

Zajrzałem do szafek nad ladami, próbując trochę się zorientować, jak ona tam mieszkała. Nie miało to teraz nic wspólnego z robotą: po prostu byłem ciekawy jej drugiej strony. W szafkach prawie nie znalazłem żywności i pewnie było tak zawsze. Puszki z daniami ekspresowymi, na przykład ryż albo kluski, które można po prostu otworzyć i zagotować, i kilka opakowań dobrych gatunków kawy, ale brakowało przypraw, ziół czy czegoś takiego, co się przydaje, gdy gotuje się w domu. W

wyjątkowych sytuacjach, gdy nie była na imprezach w ambasadzie albo nie podejmowano jej kolacją w restauracji, pewnie podgrzewała jedzenie w mikrofalówce. Otworzyłem kolejną szafkę

i znalazłem następny zestaw służbowy: po sześć egzemplarzy wszystkiego - prosta biała zastawa, sześć filiżanek, sześć szklanek. Ponad sześćdziesiąt procent miejsca w szafce było puste. W lodówce stało pół małego kartonu mleka, które nie wyglądało na zbyt świeże. Karton pachniał, jakby zawierał lekarstwo na AIDS. Obok leżało kilka bagietek, nadal zapakowanych w foliowe osłonki, pół słoiczka masła fistaszkowego i to wszystko. No cóż, nasza Sara nie była drugą Delią Smith. Ja miałem w lodówce przynajmniej trochę sera i jogurtu.

Łazienka znajdowała się pomiędzy kuchnią a sypialnią. Nie było w niej wanny, tylko prysznic, umywalka i sedes. Pomieszczenie wyglądało, jakby normalnie wstała, zrobiła to, co zwykle i wybiegła do pracy. Na podłodze, obok zapełnionego do połowy džinsami, bielizną i rajstopami pojemnika na pranie, leżał suchy, ale używany ręcznik. Ani śladu pralki, zresztą wcale się jej nie spodziewałem. Pewnie oddawała ubrania do pralni chemicznej albo do zwykłej, żeby były puszyste i poskładane.

Sypialnia, do której przylegała garderoba, miała jakieś trzydzieści metrów kwadratowych, ale jedynym meblem było małżeńskie łóżko, obok którego stała na podłodze nocna lampka. Kołdrę odrzucono na bok. Widać Sara ją odrzuciła, wstając, i tak już zostało. Cała pościel była biała i gładka jak ściany. Na łóżku leżały poduszki dla dwóch osób, ale tylko jedna z nich wyglądała na używaną. Na ścianach nie wisiały żadne obrazy, a obydwa okna przesłaniały żaluzje. Zupełnie jakby dopiero wstała i poszła do pracy, a może tutaj zawsze tak było.

Do garderoby prowadziły lustrzane suwane drzwi. Otworzyłem je, spodziewając się, że poczuję woń kobiecej garderoby: delikatny aromat perfum trzymający się żakietów, raz używanych, a teraz czekających na wieszakach na powrót do pralni, nie poczułem jednak prawie żadnego zapachu. Nic dziwnego, skoro wiszących w rzędzie drogich ubiorów nie wyciągnięto z plastikowych pokrowców pralni chemicznej, nawet bluzki i T-shirty znajdowały się na wieszakach. Z ciekawości spojrzałem na kilka metek, odkrywając Armaniego oraz Josepha i Donnę Karan. Najwyraźniej nadal lubiła się stroić. Na półce nad ubraniami leżały równie drogie walizki. Wszystko wyglądało tak, jak powinno, chyba niczego nie brakowało.

Przede mną stała komoda: zwykła, biała skrzynia z płyty z pięcioma czy sześcioma szufladami. Jedna z szuflad była otwarta, zajrzałem do środka - majtki i biustonosze, znowu najlepszych marek.

Wszystkie buty ustawiono bardzo porządnie po prawej stronie: obuwie wizytowe, letnie, zimowe i para butów sportowych. Pod lewą ścianą stało na podłodze pudełko po butach. Schyliłem się i podniosłem przykrycie. Powitał mnie widok gołąbka Picassa, pod którym leżała sterta starych pocztówek bożonarodzeniowych i urodzinowych. Przerzucając je, natrafiłem na zdjęcie Sary pod rękę z wysokim, przystojnym mężczyzną. Byli w lesie i wyglądali na zadowolonych. Oboje mieli na sobie nieprzemakalne płaszcze i buty. To pewnie Jonathan, z czasów gdy byli razem szczęśliwi. Sara wyglądała na trochę starszą niż wtedy, gdy widziałem ją w Syrii. Jej krótkie włosy odrosły przez trzy lata i teraz sięgały do ramion. Nadal były bardzo proste, a grzywka kończyła się nad jej wielkimi oczami. Nie przybrała na wadze i nadal wyglądała fantastycznie, kiedy uśmiechała się tym niemal niewinnym, dziecięcym uśmiechem. Przyłapałem się na tym, że patrząc na stojącego z nią mężczyznę, żałowałem, że to nie ja. Wrzuciłem zdjęcie z powrotem do pudełka i położyłem się na łóżku. Nie poczułem jej zapachu, tylko woń czyszczonej chemicznie bawełnianej pościeli.

Wiele razy w ciągu tych pierwszych dwóch miesięcy przedostawaliśmy się przez granicę do Afganistanu i z powrotem, ale bez żadnych rezultatów. W przerwie pomiędzy swoimi wewnętrznymi walkami partyzanci zdołali rozpocząć poważną ofensywę i porządnie dawali Rosjanom w kość. Nikt na razie nie miał czasu na rozmowy z nami, więc zesłaliśmy im z oczu, robiąc sobie urlop i ogólnie dobrze się bawiąc. Mogliśmy tylko mieć nadzieję, że któraś z grup mudżahedinów, mająca zacięcie do biznesu, zaatakuje jakieś lądowisko dla helikopterów i zaopatrzy nas w parę hindów.

Mogliśmy wrócić do Wielkiej Brytanii i zająć się swoimi sprawami, ale ona wolała ruszyć na wyprawę w góry Nepalu, a ja dobrze znałem ten kraj. Wyglądało to na prostą wymianę: ona pokazywała mi miejsca znane z historii i ważne miejsca kultu, a ja pokazywałem jej bary i speluny, gdzie jako młody żołnierz piechoty, przebywający tam w ramach wymiany z Gurkhami, byłem oskubywany z pieniędzy. Doświadczenie kształcące dla obojga nas.

Właśnie podczas pierwszego wolnego tygodnia, kiedy byliśmy w Katmandu przed wyruszeniem w tygodniową wędrowną do Pukary, sprawy przybrały inny obrót. Już nauczyła się żartować z mojego akcentu, który nazywałem Hackney'ackney, a ona Hackemey. Wróciliśmy jednego dnia do hotelu i

akurat wciągaliśmy ze skarpet karty do otwierania drzwi, kiedy nachyliła się do mnie i szepnęła swoją złą imitacją cockneya:

- To jak, kochanie? Chcesz się pieprzyć czy nie?

Trzy tygodnie później, gdy dołączyliśmy w Pakistanie do reszty ekipy, przykrywka przedstawiająca nas jako parę przestała być przykrywką. Marzyłem nawet o tym, że może będziemy się spotykać w przyszłości, po zakończeniu misji. Miałem żonę od od czterech lat, ale moje małżeństwo nie układało się dobrze, a teraz było wręcz w opłakanym stanie. Z Sarą prowadziłem rozmowy na tematy intymne, dowiadywałem się rzeczy zupełnie dla mnie nowych. Do tej pory pewnie powiedziałbym, że Cosi fan tutte to jakiś gatunek włoskich lodów. To było to - miłość. Nie rozumiałem, co się ze mną dzieje. Po raz pierwszy w życiu pojawiło się we mnie głębokie uczucie do innej osoby. Odniosłem wrażenie, że ona czuje to samo. Nie potrafiłem zebrać się, by ją o to zapytać, bo obawa przed odrzuceniem była zbyt wielka.

Po skończeniu roboty w Afganistanie lecieliśmy do domu z Delhi i kiedy samolot schodził do lądowania na Heathrow, zebrałem się na odwagę, by zadać to istotne pytanie. Nadal nie wiedziałem o niej zbyt wiele, ale to nie było ważne, zresztą nie przypuszczałem, żeby ona wiedziała wiele o mnie. Po prostu pragnąłem być z nią. Czułem się jak zostawione przez rodzica dziecko, które nie wie, czy on kiedykolwiek wróci. Odwaga czy desperacja, nie jestem pewien, co mnie do tego skłoniło, ale nie podnosząc wzroku znad rozdawanego w samolocie czasopisma, powiedziałem bardzo naturalnym głosem:

- Nadal będziemy się spotykali, prawda?

Mój strach przed odrzuceniem zniknął natychmiast, gdy powiedziała:

- Oczywiście - ale jednak zaraz dodała: - Musimy zdać sprawozdanie.

Pomyślałem, że mnie nie zrozumiała.

- Nie, nie... miałem nadzieję, że później, że będziemy mogli się spotykać... no wiesz, poza pracą.

Spojrzała na mnie, a na jej twarzy odmalował się wyraz niedowierzania.

- Nie przypuszczam, a ty?

Musiała dostrzec zmieszanie na mojej twarzy, bo zaraz dodała:

- Postępuj, Nick, przecież nie jesteśmy w sobie zakochani czy coś takiego. Spędziliśmy wspólnie dużo czasu i było świetnie.

Nie mogłem zdobyć się na to, by na nią spojrzeć, więc nadal gapiałem się w czasopismo. Kurwa mać, nigdy nie czułem się taki zmiażdżony. Tak jakbym poszedł do lekarza na rutynowe badania i usłyszał, że czeka mnie długie, bolesne umieranie.

- Słuchaj, Nick. - W jej głosie nie pojawiła się najdrobniejsza nuta żalu. - Mieliśmy robotę do wykonania i udało się. To znaczy, udało się nam obojgu. Otrzymałeś za to, co chciałeś, i ja też. - Przerwała na chwilę. - Słuchaj, im bardziej się zbliżaliśmy, tym bardziej chciałeś mnie ochraniać. Prawda? Mam rację?

Skinąłem głową. Miała rację: pewnie byłbym gotów za nią umrzeć. Zanim zdołała coś jeszcze powiedzieć, zrobiłem coś, co zawsze skutkowało, jeszcze w dzieciństwie: odciąłem się od wszystkiego. Spojrzałem na nią tak, jakbym tylko przed chwilą próbował zaprosić ją na drinka.

- Och, OK. Po prostu pomyślałem, że cię zapytam.

Nikt jeszcze mnie nie splawił z taką obojętną elegancją. Wściekłem się na siebie; że też w ogóle strzeliło mi do łba, że chciałaby ze mną być. Co mi się, do cholery, wydawało, że niby kim jestem? Wyraźnie cierpiałem na marzycielską chorobę.

Minął miesiąc od przylotu do Anglii, odszedłem od żony. Przedtem po prostu istnieliśmy obok siebie i nie byłoby w porządku, żebym spał z nią, a myślał o Sarze. Kiedy dostałem zadanie w Syrii, nie wiedziałem, że ona ma brać w tym udział. Spotkaliśmy się na odprawie w Londynie, tym razem w lepszym urzędzie przy Vauxhall Cross - czyli w nowej siedzibie SIS nad Tamizą. Zachowywała się tak, jakby między nami nigdy nic nie zaszło. Może z jej punktu widzenia, ale nie z mojego. Postanowiłem, że już nigdy żadna kobieta nie zrobi mnie w konia.

Siadłem na łóżku i nakryłem pudełko po butach. To mogło poczekać. Musiałem się dostosować do atmosfery tego mieszkania, próbować się w nie wczuć.

Wróciłem do kuchni, napełniłem ekspres wodą i mieloną kawą i włączyłem. Potem przeszedłem z powrotem do salonu. Bank Spermy czy, jak wołałem ich nazywać, Sperma nadal łomotali jak diabli. Siadłem bokiem na fotelu, opierając się plecami o jedną poręcz i przewieszając nogi przez drugą. Ponieważ niczego nie odkryłem przy wstępnych oględzinach, musiałem przejrzeć dokładnie każde pomieszczenie, grzebiąc we wszystkim. Gdzieś, w jakiś sposób, mogłem odkryć wskazówkę. Małą sugestię. Być może. Wiedziałem na pewno, że jeśli będę się spieszył, nic nie znajdę.

Rozglądając się wokół, pozwoliłem myślom dryfować własnym kursem. Sara w rzeczywistości nie różniła się tak bardzo ode mnie. Wszystko w moim życiu było jednorazowe - od szczoteczki do zębów po samochód. Nie miałem ani jednej rzeczy, która by miała więcej niż dwa lata. Kupowałem ubrania do danej roboty i wyrzucałem je, gdy się pobrudziły, pozbywałem się różnych rzeczy wartych setki funtów, ponieważ już ich nie potrzebowałem. Ona miała przynajmniej to zdjęcie. Ja nie miałem żadnych rodzinnych pamiątek ani pamiątek z lat szkolnych czy z armii, nawet zdjęć z Kelly. Zawsze chciałem coś z tym zrobić, ale jakoś do tej pory się nie udało.

Wracając do kuchni, uświadomiłem sobie, że bardziej myślę o sobie samym niż o niej, a przecież nie szukałem siebie. Zaczęłem tracić optymizm. Zanosilo się na bardzo długą robotę, ale jeżeli coś miało z tego wyjść, musiałem robić wszystko zgodnie z regułami naszej profesji.

Nalałem sobie filiżankę kawy i podszedłem do lodówki, przypomniałem sobie jednak, że stojące w niej mleko nadaje się wyłącznie do badań medycznych. Nie znalazłem też śmietanki w proszku, więc musiałem pić czarną kawę. Wziąłem dzbanek i ruszyłem do salonu, akurat kiedy Sperma postanowiła się wyłączyć. Klapnąłem na jeden z foteli i założyłem stopy na ławę, sącząc gorący napój i myśląc: Muszę od czegoś zacząć. Potem będzie, jak to zwykle bywa, jak już raz się zacznie, to dalej wszystko się dobrze układa.

Skończyłem pierwszą kawę, nalałem sobie kolejną, wstałem i podszedłem do kredensu. Postawiłem filiżankę przy kompaktach i zacząłem zdejmować moje timberlandy. Od lat nosiłem buty w tym stylu: pasowały do dżinsów, a ja zawsze nosiłem dżinsy. Czułem się tak, jakbym ich nie zdejmował od wielu dni, więc nadeszła pora, żeby moje stopy i skarpety wzbogaciły atmosferę mieszkania.

No to do roboty. Otworzyłem pierwszą szufladę od góry i wyciągnąłem pęk pokwitowań z pralni chemicznej, bilety do teatru i poskładane egzemplarze „Time’a”. Przejrzałem wszystko po kolei, kartkowałem każdy magazyn, by sprawdzić, czy czegoś nie wyrwano, zamazano czy zakreślono. Gdyby czegoś brakowało, musiałbym pójść do czytelni i odnaleźć właściwy numer, żeby odkryć, co było tak interesujące, że zostało wycięte. Jednak nic nie znalazłem.

Zawartość drugiej szuflady była bardzo podobna: same śmiecie. W pozostałych szufladach znalazłem tylko jedną agrafkę, przypiętą do kolejnego kwitu z pralni.

Robiło się nudno, a poza tym byłem wkurzony i bardzo głodny. Nadchodziła pora wizyty w Mickey D, czyli u McDonald’sa. Niedawno słyszałem w radiu deklarację McDonald’sa na temat Stanów, która mówiła coś w tym stylu, że żaden Amerykanin nigdy nie jest dalej niż sześć minut od Big Maca. W Wielkiej Brytanii heroiniści skakaliby z radości: waga jest już przestarzałym urządzeniem do odmierzania działek, a używane w McDonald’sie stumiligramowe łyżeczki są wprost idealne do tego celu.

Postanowiłem, że zanim pójde się opychać, jeszcze raz przejrzę biblioteczkę. Wyjąłem po kolei każdą książkę, kartkowałem je tak samo jak magazyny. W pewnej chwili serce /abiło mi mocniej, gdyż jedna z książek na temat terroryzmu politycznego miała podkreślone ołówkiem fragmenty i notatki na marginesie, ale mi przeszło, gdy zajrzałem na skrzydełko obwoluty i odkryłem, że jest to podręcznik z jej lat uniwersyteckich.

Zajął mi to około godziny, ale w końcu dotarłem do dolnej półki. Odwracając strony albumu fotograficznego poświęconego historii Karoliny Północnej, podziwiałem porośnięte drzewami góry, jeziora i zwierzęta. Pod zdjęciami widniały podpisy, na przykład: „Jelenie z zadowoleniem piją wodę ze stawu, tuż obok rodzin zachwycających się cudami wspaniałej przyrody”. Pomyślałem, że jakby Kelly to zobaczyła, to powiedziałyby: „No tak. Pewnie”.

Przejrzałem jeszcze pozostałe albumy o Algierii, Syrii i Libanie, ale nie zawierały nic poza mnóstwem fotografii meczetów, cyprysów, piasku i wielbłądów.

Zrzuciłem je na podłogę do późniejszego, dokładnego przejrzania i zacząłem przerzucać kartki atlasu. Po chwili zmieniłem jednak zdanie i postanowiłem wrócić na fotel z atlasem i pozostałymi trzema książkami.

Zacząłem dokładnie przeglądać książki, strona po stronie, i po chwili zauważyłem, że moją uwagę odciągają odgłosy ulicy, które ledwie dobiegały przez podwójne szyby. Jednak nie tylko podświadomie nasłuchiwałem, co się dzieje na ulicy, ale z jakiegoś powodu myślami uporczywie wracałem do książki o Karolinie Północnej.

Zazwyczaj warto posłuchać wewnętrznego głosu. Oderwałem wzrok od albumów i zapatrzyłem się w ścianę, usiłując dociec, co próbuję sobie powiedzieć. Gdy już doszedłem do wniosku, że wiem, wstałem i poszedłem do sypialni.

Podniosłem pudełko na buty i wysypałem jego zawartość na łóżko. Znalazłszy to, czego szukałem, wróciłem do salonu.

Zacząłem przewracać kartki w albumie o Karolinie Północnej, usiłując dopasować zdjęcie z pudełka do krajobrazu: gatunku drzew widocznych w tle wzgórz, jezior. Nic. Małeńki płomyk w moim wnętrzu szybko zgasł. Rozboliła mnie głowa. Pora na hamburgera - pomyślałem. - Wrócę za godzinę, żeby znowu zabrać się do pracy. Włożyłem buty, sznurowadła wepchnąłem do środka; nie chciało mi się ich zawiązywać.

Po dwóch minutach czekałem na windę, gapiąc się na buty, gdy nagle coś mi zaświtało w głowie. Pobiegłem z powrotem, otworzyłem drzwi mieszkania i skierowałem się do garderoby.

Sara musiała być waszyngtońskim wydaniem Imeldy Mar-cos, bo w garderobie stało ze trzydzieści par obuwia, ale nie ujrzałem butów do pieszych wędrówek. Zawsze gdy byliśmy w terenie, miała je na nogach, jeśli chodzi o obuwie, to podobnie jak ja kierowała się przyzwyczajeniem. Znowu poczułem, że jestem na tropie. Przejrzałem wieszaki. Gdzie jest kurtka z goreteksu? A gdzie wełniana podpinka? Zawsze nosiła tego rodzaju rzeczy, na zdjęciu też je miała. Bardziej się liczyło nie to, co widzę, ale to, czego nie widzę. Nie było stroju do wypraw terenowych.

Nie mogłem iść do McDonald'sa. Musiałem pomyśleć o tym, na co wpadłem. Wszedłem do kuchni, wrzuciłem do rondla trochę klusek, zalałem je wodą i zagotowałem.

Uświadomiłem sobie, że właśnie to mnie prześladowało. Podświadomie wiedziałem o tym cały czas. To Sara mnie pouczała, że często jest ważniejsze to, czego nie widać.

Była właśnie w trakcie jednego ze swych ożywionych, hałaśliwych spotkań. Tkwiłiśmy w jaskini od godzin, a dym z ogniska szczypał mnie w oczy i przykrywał wszystko w okolicy, którą właśnie najbardziej chciałem widzieć. Siedzieli tam po turecku na ziemi dwaj mudżahedini. Owinęli się kocami, kałasznikowy trzymali na kolanach. Nie widziałem ich podczas wcześniejszych spotkań i nie pasowali do pozostałych trzech członków grupy, którzy siedzieli przy ogniu.

Sara zawięta się w koce przy ognisku razem z pozostałymi trzema mudżahedinami. Wszyscy pili kawę, a Sara stawała się coraz bardziej na nich wściekła. Dwaj siedzący w cieniu zaczęli coś mamrotać między sobą, wyraźnie tracili cierpliwość, i w końcu zrzucili z siebie koce i chwycili broń. W takiej sytuacji człowiek ma tylko parę sekund na podjęcie decyzji. Wycelowałem kałasznikowa, stając za Sarą.

W efekcie rozegrała się scena jak z westernu, w której obie strony trzymają się na muszce. Przez parę sekund nie słychać było nic poza trzaskaniem ogniska, aż Sara przerwała ciszę.

- Nick, siadaj! Przynosisz mi wstyd.

Nie wiedziałem w ogóle, o co chodzi, a ona zaczęła przemawiać. Brzmiało to tak, jakby była matką przepraszającą za zachowanie swojego szkraba na placu zabaw. Mudżahedini przenieśli wzrok na mnie i zaczęli się śmiać, jakbym był jakimś uczniakiem, któremu coś się pomyliło. Lufy broni zostały opuszczone i rozmowy potoczyły się dalej. Nawet ci dwaj siedzący z tyłu patrzyli na mnie jak na jakąś maskotkę. Nie zdziwiłbym się, gdyby podeszli i potargali mi żartobliwie włosy.

Sara wytłumaczyła mi tę sytuację dopiero w drodze powrotnej do Pakistanu.

- Nie było żadnego niebezpieczeństwa, Nick. Ten stary, pamiętasz, ten, którego widzieliśmy w poprzednim miesiącu? - Uśmiechnęła się na myśl o tym wydarzeniu. - Tylko on ma wystarczającą władzę, by kazać mnie zabić, a jego tam nie było. Ci dwaj z tyłu tylko zgrywali twardych. Nic się nie mogło wydarzyć - powiedziała i dodała belferskim tonem: - Nie tylko to się liczy, co widać, Nick. Czasami to, czego nie widać, jest równie ważne.

Może i miała wtedy rację, ale w podobnej sytuacji znowu postąpiłbym tak samo. Teraz miała u mnie minus za to, że nie pamiętała własnej lekcji.

Usiadłem, by zastanowić się, co powiedzieć Mickeyowi, i w jaki sposób. Już zapomniałem, gdzie wetknąłem jego wizytówkę, dlatego wyjąłem notatnik elektroniczny, wystukałem jego nazwisko i wybrałem numer.

- Halo??

Jego głos zabrzmiał tak, jakby właśnie coś jadł.

- Cześć, stary, mówi Nick.

- Och, tak szybko - zareagował ze zdziwieniem w głosie.

W tle słychać było ciche dźwięki rocka i czyjś głos, równie miękki jak jego, który pytał z amerykańskim akcentem, kto dzwoni.

- Gary, idź i zrób coś w kuchni - usłyszałem. - To z biura.

Gary najwyraźniej zrozumiał, o co chodzi.

- Przepraszam, on jest taki ciekawski - wyjaśnił Michael.

Usłyszałem, jak nalewa sobie drinka i pociąga łyk.

- Michael, pamiętasz, co mówiłeś o tym, że Sara i Jonathan jeździli w jakąś głuszę?

- Mhm.

- A pamiętasz dokładnie, gdzie to było? Potrzebuję tego do raportu.

- Tak - odparł, przelżykając pośpiesznie. - Falls Lake.

Karolina Północna - dodał z okropnym południowym akcentem.

- Masz jakiś adres czy numer kontaktowy? Mówiłeś, że miałeś numer, pamiętasz? Dzwoniłeś do niej.

Roześmiał się.

- Sara skasowała go, kiedy poczciwy Johnny dostał kopa.

A więc doszedłem do końca kolejnej ślepej uliczki.

- Ale chyba pamiętam część tego numeru - dodał. - Był prawie taki sam jak stary numer mojej mamy. Wiesz co, daj mi parę minut, to oddzwonię do ciebie. OK?

- Odczekaj trzy sygnały, odłóż słuchawkę i zadzwoń znowu. Nie chciałbym podnieść słuchawki i stwierdzić, że rozmawiam z jej matką czy coś w tym rodzaju. OK?

- Całkiem jak James Bond - powiedział, chichocząc. - Nie ma sprawy, Nick, niedługo pogadamy. Czeeeść.

Przerzuciłem znowu kartki albumu. Falls Lake rzeczywiście istniało, ale zajmowało wielki obszar. Jaki ze mnie tępak! Dlaczego nie zapytałem go o więcej szczegółów, kiedy mi o tym opowiadał? Całkiem jakbym nie pracował w sekcji bezpieczeństwa.

W mieszkaniu pojawił się jakiś nieprzyjemny zapach. Poderwałem się i pobiegłem do kuchni. Woda wygotowała się, więc musiałem ściągnąć z kuchenki rondel pełen gorących, śmierdzących, przypalonych klusek.

Nie miałem czasu ani ochoty zwracać sobie głowy myciem, toteż tylko odsunąłem rondel i wyłączyłem kuchenkę. Dzwonek telefonu przywołał mnie z powrotem do pokoju. Liczyłem sygnały. Po trzecim dzwonku zapadła cisza. Miałem nadzieję, że to dobre wiadomości. Kiedy telefon znowu zadzwoił, odczekałem chwilę i podniosłem słuchawkę po drugim sygnale.

- Halo??, mówi Michael.

W tle słychać było głos podśpiewującego sobie Gary'ego.

- Cześć, stary, udało się?

- Ostatnie cztery cyfry są dokładnie takie same jak w starym numerze mojej mamy w Mili Hill. Czy to nie jest niesamowite?

Nie potrafiłem na to odpowiedzieć, więc starając się ukryć zaciekawienie, zapytałem:

- No, to jaki jest?

- Cztery, cztery, sześć, osiem.

- Dzięki, stary, to na pewno wszystko, co wiesz?

- Niestety tak, Nick. Miałem tylko ten numer kontaktowy. Przykro mi.

- Nie ma problemu. Dam ci spokój na resztę wieczoru.

- OK. Jestem w domu, gdybyś mnie potrzebował. Czeeeeść.

Spojrzałem na zegarek - prawie pół do dziesiątej, czyli według mojego zegara biologicznego druga trzydzieści nad ranem. Czułem się już trochę zmęczony. Kluski spaliłem, czyli zbliżała się pora spotkania z Ronaldem McDonalodem, ale najpierw musiałem jeszcze zadzwonić.

Wybrałem londyński numer telefonu i od razu w słuchawce usłyszałem rzeźki kobiecy głos.

- Numer PIN proszę?

Mówiła tak precyzyjnie jak głos z zegarynki.

- Dwa, cztery, cztery, dwa, Charlie-Charlie.

- Proszę czekać.

W słuchawce zapadła cisza, a pięć sekund później znowu usłyszałem ten sam głos.

- Charlie-Charlie. Szczegóły proszę.

Podąłem jej te same informacje, jaki mi przekazał Blaszyński Mickey, i poprosiłem o adres. Dosłyszałem stukanie klawiszy, kiedy wprowadzała dane.

- Powtarzam - powiedziała - Karolina Północna, adres lokalu, którego numer telefonu kończy się na 4468, to okolice Falls Lake. To powinno zająć około trzydziestu minut. Numer sprawy 5656. Do widzenia.

Charlie-Charlie jest kryptonimem hasła: „dorywczy kontakt”. Ludzie w Londynie potrafią pracować, opierając się nawet na minimalnej ilości informacji, i mogłem poprosić o podanie informacji przez telefon albo o pisemny raport, który dałby mi więcej szczegółów, ale narażał mnie na stratę czasu.

Numer telefonu czy numer rejestracyjny samochodu może umożliwić dowiedzenie się prawie wszystkiego, co gdziekolwiek zarejestrowano na temat danej osoby: od nazwiska jej lekarza, po ostatni czas i miejsce, kiedy skorzystała z karty kredytowej i co na nią kupiła. Hasło Charlie-Charlie było niemal jedynym plusem mojej roboty - wykorzystałem je kilka razy, kiedy chciałem dowiedzieć się więcej o kobietach, z którymi zamierzałem się umówić. Nigdy nie pytają, po co ci te informacje, a one znacznie ułatwiają sprawę; od razu wie się, jakiego rodzaju życie towarzyskie ta osoba prowadzi, czy jest w związku małżeńskim, czy rozwiedziona i ma dzieci, czy też co miesiąc dostaje rachunek za szampana równy sumie średniej raty długu hipotecznego.

Tym razem interesował mnie jednak adres. Zapotrzebowanie tego rodzaju jest czymś rutynowym i wcale nie oznacza, że działam wbrew wyznawanej przez Lynna zasadzie reglamentowania informacji.

Zszedłem na dół. Nigdzie nie dostrzegłem Wayne'a. Dotarłem do samochodu, wyjąłem zza wycieraczki mandat za złe parkowanie i wrzuciłem go na tylne siedzenie. Musiałem jechać na zachód w kierunku Georgetown ulicą jednokierunkową. Wcale mi to nie przeszkadzało, bo prawdę mówiąc ulotka McDonald'sa nie kłamała - już po pięciu minutach mijalem wielkie żółte łuki, a problemem było miejsce do parkowania. Postanowiłem jeździć ulicą M, aż będę miał się gdzie zatrzymać.

Równo trzydzieści minut później zadzwoniłem do Londynu i znowu usłyszałem zegarynkę.

- Numer sprawy proszę.

- Trzydzieści dwa, czternaście.

Zapadła cisza. Z pewnością sprawdzała podany przeze mnie numer. Podając go, musiałem odjąć swój PIN od nadanego przez nią numeru sprawy. Jest to szybki i łatwy sposób potwierdzania tożsamości przy sprawach mniejszego kalibru.

- Mam trzy adresy - usłyszałem znowu jej głos. - Jeden...

Dwa pierwsze miejsca wcale nie znajdowały się w okolicy Falls Lake. Jedno było w Charlotte, a drugie w Kolumbii. Kolejny adres brzmiał lepiej: Lodge, Little Lick Creek, Falls Lake. Obecnie numer jest odłączony, czy chcesz kod pocztowy i nazwiska właścicieli w którymś z tych miejsc?

- Nie, nie. Wystarczy. Dziękuję, to wszystko.

Odłożyłem słuchawkę. Nie obchodziło mnie, do kogo należy odłączony telefon. To było bez znaczenia.

Jadąc dalej, nie mogłem przestać myśleć o Falls Lake. Przejechałem koło księgarni Barnes & Noble, nad którą widniała neonowa reklama głosząca, że księgarnia jest otwarta do jedenastej w nocy i że podaje się tam kawę.

W końcu na ratunek przyszedł mi supermarket 7-Eleven, w którym kupiłem kanapkę z kurczakiem i kawę. Zawróciłem samochód i ruszyłem z powrotem, objadając się kanapką. Zobaczywszy znowu księgarnię Barnes & Noble, poczułem, że nie oprę się pokusie. Zaparkowałem samochód, dopiłem kawę i dokończyłem kanapkę, następnie wrzuciłem monety do parkometru. Poszedłem wprost do działu wydawnictw albumowych, gdzie wyszukałem mały atlas Karoliny Północnej. Znalazłem w nim zarówno Falls Lake, jak i Little Lick Creek. Ta ostatnia nazwa kojarzyła mi się z komuną fanów seksu oralnego.

Lot do Karoliny Północnej nie mógł trwać długo. Może udałoby mi się dotrzeć tam jeszcze tego samego wieczoru, a gdyby się okazało, że to był poroniony pomysł, to wróciłbym już następnego dnia. Wyciągnąłem telefon, żeby popytać o interesujące mnie rzeczy.

Wyruszając z powrotem do mieszkania Sary, miałem zarezerwowany bilet na lot o siódmej zero zero z lotniska Dullesa. Na wszelki wypadek postanowiłem jeszcze sprawdzić sypialnię i kuchnię.

Zjechałem z Airport Boulevard, kierując się znakami prowadzącymi do autostrady międzystanowej numer 40. Według mapy, jadąc tą autostradą na wschód, miałem dotrzeć do trasy Cliff Benson Beltline, która z kolei poprowadziłaby mnie przez Raleigh i dalej, do jeziora.

Tutaj było o wiele cieplej niż w Waszyngtonie, a niebo pokrywały ciemne, nabrzmiałe, niemal tropikalne chmury. Musiało tu niedawno nieźle padać, bo wielkie kałuże znaczyły pobocza jezdni, a piaszczysta gleba wciąż była ciemna od wilgoci.

W całej okolicy prowadzono na szeroką skalę prace budowlane. Lotnisko również poddawano przeróbce, a poza tym kładziono nową autostradę, jeszcze nie uwzględnioną na mapie. Po obu stronach mijałem szalejące żółte spychacze, które równały z ziemią wszystko w zasięgu wzroku, by zrobić miejsce na stalowe szkielety kolejnych budynków. Z lokalnego magazynu informacyjnego, który przeczytałem podczas lotu, dowiedziałem się, że ten obszar w szybkim tempie przekształca się w naukowe zagłębie USA, charakteryzujące się największym zagęszczeniem firm biochemicznych, komputerowych i badawczych, oraz największym odsetkiem ludzi z tytułem doktorskim w całych Stanach Zjednoczonych. Nie mieści się w głowie, co za bzdury człowiek czyta, kiedy umiera z nudów w samolocie.

Równo ustawione, nieskazitelnie czyste, lśniące budynki o frontonach z przyciemnionego lub srebrzystego szkła wypełniały ciągnące się nieprzerwanie wymuskane ogrody z sadzawkami i fontannami. Jakoś to wszystko nie pasowało do mojego wyobrażenia na temat amerykańskiego Południa, które sobie wyrobiłem, słuchając kawałów o tutejszych kmiotkach.

Po jakichś piętnastu minutach dotarłem do trasy. Ruszyłem nią w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara, żeby objechać miasto od północy, i uważnie wypatrywałem znaków informujących o zjeździe numer 10 w kierunku Falls Lake. Trudno było nie dostrzec oznak nowobogackich fortun, dzięki którym zachodziły tu zmiany. Wspaniałe domy i nowe firmy wyraźnie wypierały starsze budynki. Eleganckie nowe biurowce patrzyły z pogardą na parkingi przeznaczone dla przyczep mieszkalnych, usiane porzuconymi samochodami, i dzieciaki, białe oraz czarne, świecące tyłkami z brudnych dżinsów; rodzice tych smarkaczy umieli się tylko pieprzyć, nie potrafili skorzystać z szansy, która się pojawiła. Po dziesięciu minutach dotarłem do zjazdu numer 10 i ruszyłem na północ Forest Road. Wiedziałem z mapy, że Falls Lake zajmuje obszar o powierzchni około pięciuset kilometrów kwadratowych i ma kształt długiej, krętej kiszki z setkami dopływów. Jego brzeg przypominał linię brzegową Norwegii, a więc idealnie się nadawał, żeby gdzieś tam zniknąć.

Po jedenastu kilometrach trasa przeszła w jednopasmową drogę, porośniętą po obu stronach na przemian wysokimi świerkami oraz mniejszymi drzewami liściastymi. Po kolejnych siedmiu kilometrach dotarłem do miejscowości Falls of Neuse i do prawdziwego lasu. Falls było niewielkim skupiskiem schludnych domków, w kolorze naturalnego drewna lub pomalowanych na białą, które stały opodal wschodniego brzegu jeziora. Nawet tutaj nowe wygrywało ze starym i przycierało mu nosa. Wśród lasu oczyszczano pasma gruntu, by zrobić miejsce dla kompleksów potężnych rezydencji, w których mieli zamieszkać reprezentanci klasy średniej, podążający tutaj szerokim strumieniem niczym w czasach gorączki złota, tym razem maniła ich praca w nowoczesnych branżach przemysłu. Przy wjeździe do każdego takiego osiedla znajdował się błyszczący znak podający informacje o autostradach, a na każdym skrzyżowaniu masa szyldów agencji handlu nieruchomościami kierowała nabywców do kolejnych parceli, których jeszcze nie sprzedano.

Jechałem dalej na zachód trasą Raven Ridge, zagłębiając się jeszcze bardziej w las. Nowe było coraz mniej widoczne, aż znowu stare zaczęło dominować: wałące się chałupy z wyprutymi z samochodów siedzeniami, które służyły jako meble ogrodowe, i obdarte, zbudowane z gołych pustaków sklepy, z łuszczącymi się malowanymi szyldami reklamującymi posiłki i piwo. Mijałem mieszkalne przyczepy campingowe, które wyglądały tak, jakby po prostu je porzucono dwadzieścia czy trzydzieści metrów od drogi. Nie prowadziły do nich żadne utwardzone ścieżki, tylko udeptana ziemia, a wokół nie było płotów oznaczających granice posesji, tylko żebrowane żelazne pręty oparte o ściany, co miało przypominać, że chałupy są czyjąś własnością. Rozwieszane na sznurach pranie mokło jeszcze bardziej na deszczu, a w przyczepach można było pewnie spotkać ludzi, którzy świetnie by pasowali do programów Rickiego Lake'a albo Jerry'ego Springera. Diabli wiedzą, jaka ich czekała przyszłość, ale jedno było pewne: za rok czy dwa będą tędy przechodziły nowe autostrady.

Tylko kościoły się nie rozsypywały. Stały chyba co dwa kilometry wzdłuż drogi, bardzo czyste, jasne i białe. Przed każdym z nich umieszczono coś w rodzaju tablicy, na jakich kina wywieszają

reklamy filmów, z jakimś zachęcającym hasłem. Jedno z nich głosiło: „Bez Boga nie da się nawet napisać «Boże Narodzenie»”. Brzmiało to przekonująco, ale w kwietniu wyglądało dziwnie. Może lubili tam myśleć perspektywicznie.

Przez kolejne dwadzieścia minut mijałem przyczepy mieszkalne i kościoły oraz położone tu i ówdzie tuż przy drodze, starannie utrzymane cmentarze. W końcu dotarłem do niewielkiego zielonego drogowskazu z nazwą rzeczki Little Lick Creek. Nie szukałem jednak samej rzeczki, ale noszącej tę samą nazwę jednej z ostróg u jej ujścia do jeziora. Według wodoodpornej mapy myśliwskiej, którą sobie zawczasu kupiłem, były tu jeszcze dwa budynki. Nie objaśniono ich za pomocą któregoś ze znaków umieszczonych w legendzie mapy, więc prawdopodobnie stanowiły własność prywatną.

Zjechałem z asfaltu i podążyłem dalej żwirową dróżką, szeroką akurat na tyle, by się wyminęły dwa samochody. Po obu jej stronach widniał stromy stok, a las zdawał się zamykać nad nią; drzewa były tutaj jeszcze wyższe i rosły jeszcze gęściej.

„Ścisły zakaz wwozu broni palnej” - informował znak wyrzeźbiony w pomalowanym na szaro drewnie. Pięćdziesiąt metrów później kolejny znak oznajmiał: „Zakaz wwożenia napojów alkoholowych”. Po chwili bardziej przyjaźnie wyglądające znaki powitały mnie nad Falls Lake i zaczęły kierować do parkingów oraz ośrodków rekreacyjnych. Autorzy tablic informacyjnych wyrażali nadzieję, że będę przyjemnie spędzał czas, ale pod warunkiem że nie przekroczę prędkości czterdziestu kilometrów na godzinę.

Nagle na wprost mnie pojawił się wielki jak smok karawaning. Miałem przed sobą odchodzącą w bok wąską dróżkę, która najwyraźniej nadawała się do ruchu kołowego, gdyż widać było na niej odciski na trawiastej mokrej ziemi ślady opon, ale nie zdążyłbym do niej dojechać. Zwolniłem więc i zatrzymałem się na poboczu drogi, a samochód przechylił się niczym pijak. Ściany olbrzymiego winnebago były obwieszane tyloma kajakami i rowerami górskimi, że wystarczyłoby ich na wyposażenie amerykańskiej drużyny olimpijskiej. Za nim jechał trzydrzwiowy samochód osobowy. Ściana rozbryzganej wody uderzyła o moją przednią szybę, ale nikt nawet nie machnął mi przepraszająco ręką.

Przejechałem kolejny kilometr, czy coś koło tego, przez las, aż dotarłem do dużego parkingu. Szurając i chlupiąc oponami w mieszaniu żwiru i błota, podjechałem do wielkiej mapy w drewnianej ramie. Wymalowane na jej obrzeżach obrazki przedstawiały różne endemiczne gatunki ptaków, żółwi, drzew i innych roślin, a także cennik za pobyt na kempingu i nieuniknione: „Życzymy miłego pobytu, można stąd wywozić tylko zdjęcia, a zostawiać tylko ślady stóp”. Było możliwe, że zabiorę jakieś zdjęcia, ale miałem nadzieję, że nie zostawię żadnych odcisków stóp.

Przejechałem jeszcze jakieś sto metrów i wreszcie zobaczyłem rzeczkę Little Lick Creek. Wbrew moim oczekiwaniom widok nie przypominał obrazka z pocztówki. Wysokie rzędy jodeł zdawały się maszerować wprost do jeziora. Woda była tak spokojna i ciemna jak chmury, które się w niej odbijały, albo jak przyciemnione szyby biurowca w Raleigh. Może gdy słońce wychodziło zza chmur, wszystko tu wyglądało idyllicznie, ale w tej chwili, szczególnie z drzewami tak blisko wody, panująca w tym miejscu atmosfera przypominała bardziej ponury i groźny nastrój zakładu karnego.

Po drugiej stronie, pięćset metrów ode mnie, na wyżej położonym i bardziej pofałdowanym terenie stały dwa domy. Te same domy, na które chciałem rzucić okiem.

Na parkingu było około tuzina pojazdów: w większości stały przy brzegu jeziora wokół przypominającej fort drewnianej szopy na łódzie. Na wodzie przed szopą tkwiły w szeregu kajaki i łódzie wiosłowe. Poza tym dojrzałem obowiązkowy automat z coca-colą i drugi z batonikami czekoladowymi. Kiedyś oglądałem program dokumentalny, w którym twierdzono, że Coca-Cola ma w Stanach Zjednoczonych takie wpływy, iż w latach sześćdziesiątych umieściła na fotelu prezydenckim popieranego przez siebie człowieka. Ciekawe, jak ich deklaracja ogólna miała się do deklaracji Ronalda McDonalda, ale wygląda na to, że niezależnie od tego, gdzie człowiek przebywa, zawsze może kupić coca-colę. Pewnego razu jakiś sześciolatek proponował mi nawet kupno coca-coli na zboczach górskim w Nepalu. Byliśmy z Sarą w trakcie wyprawy w środku głuszy, kiedy dzieciak, na oko ośmioletni, pojawił się przy ścieżce z blaszanym wiadrzem wypełnionym wodą, w której chłodziło się sześć pogniecionych puszek z colą. Sprzedawał ją wspinającym się turystom. Sarah dała mu pieniądze, ale odmówiła przyjęcia napoju. Miała te swoje uprzedzenia na temat kultur zaśmiecanych przez Zachód i przez następną godzinę gadała tylko o tym. A ja? Chciało mi się pić i żalowałem jedynie tego, że dzieciak miał tylko zwykłą colę, a nie dietetyczną.

Mijając fort, dojrzałem, że jest obsadzony przez dwóch młodych chłopaków. Kryli się po kątach i nie wyglądało na to, żeby mieli stamtąd wyjść z własnej woli.

Na przeciwległym skraju parkingu rozciągał się teren piknikowy z zamontowanymi na stałe grillami i ławami pod drewnianym daszkiem. Właśnie trwało pod nim rodzinne grillowanie, trochę wcześniej jak na tę porę roku, ale i tak wszyscy świetnie się bawili. Babcia, dziadek, synowie, córki i wnuczka - wszyscy się opychali.

Dalej dostrzegłem czubki kilkuosobowych jaskrawych namiotów. Zawróciłem samochód w tym samym kierunku, skąd przyjechałem, podjechałem do budynku sanitarnego i zaparkowałem pomiędzy dwoma innymi samochodami przodem do ściany budynku, a tyłem do jeziora.

Wziąłem lornetkę i atlas ptaków, które kupiłem w sklepie dla turystów razem z mapą, wysiadłem z samochodu i zamknąłem drzwi. Od razu poczułem przenikliwą wilgoć. Kiedy ma się w samochodzie klimatyzację, niemal zapomina się o tym, po co się ją w ogóle włączyło.

Wszyscy uczestnicy grillowania wyglądali na bardzo rozbawionych. Przenośny odtwarzacz grał jakiś latynoski rap i nawet babcia rapowała z dziećmi. W samochodzie po prawej stronie siedziała para emerytów, którzy bez wątplenia jechali wiele godzin, by tu dotrzeć, a potem zaparkowali nad jeziorem i zostali w kapeluszach na głowach w samochodzie, żeby zjeść kanapki przy pracującej pełną parą klimatyzacji.

Podszedłem ku szopie z łodziami, przypatrując się ostrodze po drugiej stronie rzeczki. Większy z dwóch domów stał po lewej stronie jakieś sto, sto dwadzieścia metrów od drugiego budynku. Nikt się przy nich nie kręcił.

Podszedłem do automatu z colą i wrzuciłem do niego garść monet. Nie chciało mi się pić, a już na pewno nie za dolara, ale dzięki temu mogłem się rozzejrzeć.

Dwóch chłopaków z obsługi pewnie pracowało tu podczas szkolnych wakacji. Nie mogłem rozgryźć, czy są naćpani, czy po prostu się nudzą jak cholera. Obydwaj byli boso, ale mieli na sobie firmowe ubiory: niebieskie szorty i czerwone koszulki z kołnierzykiem. Skinąłem w ich stronę, patrząc na nich nad małymi, uchylnymi drzwiami. Z pewnością chłopaków poinstruowano, by byli mili dla klientów, gdyż życzyli mi miłego dnia. Nie byłem pewien, czy taki będzie.

Usiadłem na drewnianym pomoście i od razu poczułem, jak wilgoć przenika dzinsy. Na prawo ode mnie jakiś człowiek usiłował zainteresować syna wędkarstwem „Złapiemy coś, jak tylko będziesz siedział nieruchomo i obserwował spławik”, mówił. Chłopak, ubrany w disneyowskie poncho, był równie znudzony jak tych dwóch w szopie. Gołym okiem widać było, że o wiele bardziej wolałby jeść lody i grać na komputerze.

Obnosiłem się demonstracyjnie z lornetką i atlasem ptaków. Tego dnia grałem przy głupiego turystę, który siedzi na pomoście, mając nogami i rozkoszując się wspaniałym widokiem jeziora.

Na jeziorze tkwiły przycumowane w różnych miejscach łodzie. Przyjrzałem się im przez lornetkę i stwierdziłem, że w każdej z nich siedzi dwóch albo trzech grubych facetów w średnim wieku. Ubrali się, jakby wybierali się nad Jukon na niedźwiedzie - w myśliwskie kamizelki obwieszane przynętami wędkarskimi. Kieszenie wypchali wszelkiego rodzaju sprzętem, a u pasów mieli przeraźliwie wyglądające noże.

Przesunąłem lornetką po przeciwległej ostrodze, rozpoczynając od prawej strony. Pomiędzy drzewami biegła wzdłuż jeziora droga, ta sama, przy której się zatrzymałem, by przepuścić wielki karawaning. Wyglądało na to, że prowadzi do owych domów. Przesunąłem wzdłuż niej wzrokiem: rzeczywiście przechodziła obok mniejszego domu. Nie dostrzegłem nic charakterystycznego. Była to kanciasta, dwukondygnacyjna budowla o płaskim dachu. Dwie trzecie jej frontowej części wspierało się na palach. W ich pobliżu dostrzegłem łódź i samochód z napędem na cztery koła. Po chwili zza domu wybiegło dwoje dzieci ścigane przez mężczyznę. Śmiali się, rzucając do siebie piłkę. Szczęśliwa rodzina; nie tego szukałem.

Odłożyłem na chwilę lornetkę i zajrzałem do albumu. Zrobiłem to, gdyż liczyłem się z obecnością innych ludzi: nigdy nie wiadomo, kto na człowieka patrzy. Może ktoś akurat mówi: Czy on przeprowadza teraz rozpoznanie tamtych domów? Gdybym nic nie robił, tylko patrzył przez lornetkę na dom, wyglądałoby to dość dziwnie. Sztuka polega na stworzeniu wrażenia, że niezależnie od tego, z jakiego powodu gdzieś się przebywa, powód jest tak oczywisty, że nikt człowiekowi nie ma ochoty bliżej się przyglądać. Miałem tylko nadzieję, że jakiś ubrany w podobną kurtkę gość nie podejdzie do mnie i nie zacznie poważnej dyskusji o ptakach.

Odłożyłem książkę po zapoznaniu się z jakimś mniej nakra-pianym czymś tam i zacząłem przyglądać się drugiemu celowi. Na głowie zebrało mi się już tyle wilgoci, że kropelki spływały mi po twarzy i zaczynałem czuć, jak lepi mi się całe ciało.

Drugi dom bardzo przypominał pierwszy, ale był o jedną trzecią większy dzięki dodatkowej kondygnacji. Również wykonano go z drewna i również miał płaski dach, ale część na palach obudowano płytami. Dwoje dużych drzwi wychodziło na betonową dróżkę prowadzącą na brzeg jeziora. Obok domu zobaczyłem łódź: czteromiejscową, z włókna szklanego, idealną do wędkowania, która tkwiła na przyczepce.

Wszystkie zasłony w oknach były zaciągnięte. Na zewnątrz nie spostrzegłem worków na śmieci czy ręczników ani nic takiego, co mogłoby wskazywać, że dom jest zamieszkały. Jednak brama garażu była opuszczona tylko w trzech czwartych, dzięki czemu ujrzałem wystający tył samochodu z napędem na cztery koła. Wewnątrz mógł być jeszcze jeden pojazd.

Dosłyszałem jęk dwóch chłopaków w czerwonych koszulkach. Do fortu zbliżał się mężczyzna z trójką dzieci. Wszystkie były niezmiernie podekscytowane perspektywą wynajęcia kajaków i już kłóciły się o to, kto będzie wiosłował.

Odłożyłem lornetkę i pociągnąłem łyk coli, która była już tak ciepła i paskudna jak woda w jeziorze. Wrzuciłem puszkę do śmietnika, kupiłem następną i wróciłem do samochodu.

Piknikowa impreza nadal trwała. Dzieciaki tańczyły, a dorośli siedzieli z puszkami piwa w rękach wokół grilla, pomimo znaków zakazujących picia alkoholu, i zajmowali się poprawianiem świata. Nawet z tej odległości słyszałem syk steków, wielkości pokryw na pojemniki na śmieci, wrzucanych na rozgrzane ruszty.

Starsza para nadal tkwiła w samochodzie. Ona mimo sztucznej szczęki dzielnie starała się wypić puszkę napoju Doktor Pepper, a jej mąż czytał gazetę. Przyjemny dzień spędzony na łonie natury.

Nawet przez szybę mogłem odczytać nagłówek w gazecie. Wyglądało na to, że miałem rację: czarny konwój, który zatrzymał ruch w Waszyngtonie, musiał wieźć albo Natayahu albo Arafata, bo gazeta witała obydwu chłopaków w Ameryce.

Wróciłem do samochodu i powoli ruszyłem żwirową dróżką na główną drogę, gdzie skręciłem w lewo z powrotem ku Falls of Neuse i autostradzie. Jednak nie pojechałem drogą wiodącą z powrotem do Raleigh, ale postanowiłem udać się do Fayetteville.

Fayetteville, czy Fayette Nam, jak nazywają je czasem ludzie w Stanach z powodu wysokiej liczby śmiertelnych wypadków, jest macierzystym miastem 82 Dywizji Desantowej. Baza dywizji - Fort Bragg, to jedyne miejsce, jakie znam w Karolinie Północnej. Jak powiedziano mi na stacji benzynowej, znajdowała się jakąś godzinę drogi od Raleigh. Po raz pierwszy byłem tam w latach osiemdziesiątych na wspólnych ćwiczeniach z Delta Force, czyli z amerykańskim odpowiednikiem naszego pułku.

Ćwiczenia o kryptonimie Deltex miały za zadanie wzmocnić atmosferę współpracy pomiędzy obydwoma jednostkami, ale o ile pamiętam, wywołały tylko mnóstwo zazdrości. Byłem wtedy oszołomiony rozmiarami ośrodka, bo w tym, co oni nazywali „fortem”, zmieściły się dwa miasta wielkości Hereford. Ilość i jakość pokazywanego nam wyposażenia była niewiarygodna. Delta dysponowała krytymi strzelnicami dla broni kalibru 7,62 i 5,56 mm, podczas gdy my mieliśmy na Stirling Lines tylko odpowiednik strzelnicy dla kalibru 9 mm. Mieliśmy też tylko jedną halę gimnastyczną, kiedy oni dysponowali dziesiątkami hal wyposażonych w jacuzzi i sauny, a oprócz tego potężną ścianą wspinaczkową dla swych oddziałów górskich. Nic dziwnego, że nadaliśmy temu miejscu nazwę Fort Brass. W jednej jednostce stało więcej helikopterów niż u nas w całej armii i, prawdę mówiąc, tylko w tej bazie było więcej ludzi niż we wszystkich naszych jednostkach wojskowych razem wziętych.

Fayetteville jest w związku z tym miastem garnizonowym, w którym każdy biznes jest nastawiony na wojsko. Żołnierze są tam jedynymi ludźmi, którzy mają pieniądze i lubią się ich pozbywać. Podobnie jak oni, kiedykolwiek tam byłem, nigdy nie odczuwałem potrzeby wyprawiania się poza granice miasta.

Trasa numer 401 okazała się szeroką, jednopasmową szosą. Przejechałem przez kilka małych miasteczek, które byłyby wspaniałą scenerią do filmu z lat pięćdziesiątych, ale lepiej byłoby dla nich, gdyby paru bogaczy zechciało tam zainwestować pieniądze; w końcu wjechałem na otwarty teren porośnięty zbożem. Okolice wzdłuż trasy usiane było domami i małymi fabryczkami, a w otwartych stodołach widziałem traktory i pełno innego sprzętu rolniczego. Co parę kilometrów, żeby nie zapomnieć, że znalazłem się na zadupiu, natykałem się na przejechane zwierzę: mieszaninę krwi i futra rozgniecione na placek na środku asfaltowej nawierzchni.

Wiedziałem, że jestem już blisko, gdy dotarłem do rzeki Cape Fear, która płynąc do morza, tu osiągnęła trzysta metrów szerokości. Niedługo rzeczywiście minąłem drogowskaz głoszący: „The City of Fayetteville” i zacząłem wypatrywać znaku kierującego mnie do Fortu Bragg.

Wjechałem na Bragg Boulevard: szeroką trasę przedzieloną trawnikiem, ale gdy już minąłem szeregi salonów samochodowych pełnych nowych pojazdów z napędem na cztery koła i samochodów sportowych, nad którymi ciągnęły się całe kilometry czerwono-biało-niebieskich wstążek, trasa znowu zamieniła się w dwupasmową drogę. Po obu stronach stały w większości jednokondygnacyjne magazyny z pustaków, ze sklepami od frontu. Koreańskie lombardy i zakłady krawieckie wciśkały się pomiędzy wietnamskie restauracje i bary z daniami na wynos, stanowiąc przedziwną kronikę wojen, w których kiedykolwiek brały udział Stany Zjednoczone. Do pełnego obrazu brakowało tylko jeszcze irackiego straganu z kebabami.

Zacząłem dostrzegać sklepy, które mnie interesowały. Neonowe reklamy i plakaty oferowały usługi czyścibutów, salonów tatuażu i sklepów z bronią: „Wypróbuj przed zakupem - dysponujemy własną strzelnicą”. Wszędzie przechadzali się młodzi mężczyźni i kobiety w elegancko wyprasowanych mundurach polowych. Wszyscy mieli krótkie fryzury, mężczyźni z reguły byli podstrzyżeni wysoko, tylko na czubku zostawiali kępkę włosów. Czułem się dziwnie, widząc na ulicy umundurowanych żołnierzy na przepustce i bez broni. Zagrożenie terroryzmem w Europie powodowało, że nie będący na służbie żołnierze mieli zakaz chodzenia w mundurach - stanowiliby wówczas zbyt łatwy cel.

Jadąc w kierunku bazy, poznałem teren. Amerykańskie bazy wojskowe nie są podobne do europejskich, które z powodu zagrożenia terroryzmem przypominają obozy jenieckie z czasów drugiej wojny światowej. Ta rozległa baza wojskowa była otwarta. Roilo się w niej od parków maszynowych i grup maszerujących mężczyzn i kobiet, którzy śpiewając rytmicznie piosenki wojskowe, nieśli dumnie na czele kolumny sztandar jednostki.

Nie pamiętałem numeru interesującej mnie ulicy, ale kierując się wyczuciem, jechałem drogami, po których obu stronach stały budynki bardziej przypominające eleganckie domy mieszkalne niż koszary. Wreszcie znalazłem szukaną ulicę Yadkin, była tak długa, że aż wychodziła z bazy i

przecinała miasto. Sporo tu zbudowano od mojej ostatniej wizyty pod koniec lat osiemdziesiątych. Drogi odchodzące od głównej trasy nosiły nazwy takie jak Bulwar Pustynnej Burzy czy Droga Słusznej

Sprawy. Ciekawe, czy Firma kiedykolwiek wpadłaby na pomysł nazywania dróg nazwami swoich operacji, bo gdyby tak, to musiałyby mieć nazwy, takie jak Dróżka Szantażu albo Ulica Przerobić Ich Jak Cholera.

Opuściłem teren bazy, jadąc ulicą Yarkin, mijając po drodze „Zakład krawiecki Kima”, „Susie J's” (nie byłem zbyt pewien, jakiego rodzaju usługi oferuje) i cały kwartał sklepów ze sprzętem wojskowym. Pamiętałem jeden z nich, nazywał się „Amerykańska kawaleria”. Dom towarowy dla kogoś mającego bzika na punkcie rozpoczęcia prywatnej wojny, znajdowały się tam przeszklone gabloty pełne różnego rodzaju noży i bagnetów, wieszaki uginające się pod mundurami polowymi, koszulami wojskowymi, bojowe hełmy, całe rzędy butów i półki pełne plakatów i książek o tak politycznie poprawnych tytułach jak Wielki atlas broni własnego wyrobu oraz Arsenał zaawansowanego anarchisty: instrukcje sporządzania improwizowanych urządzeń zapalających i materiałów wybuchowych. Wszystko, co znajdowało się w tym sklepie, zawsze nadawało się na kupowany w ostatniej chwili prezent pod choinkę.

Przejechałem przed frontonami sklepów z wymalowanymi scenami z akcji jednostek powietrznodesantowych. Na wystawie jednego z nich widniał olbrzymi plakat z Johnem Way-ne'em w mundurze. Półtora kilometra dalej zobaczyłem sklep, którego szukałem, i wjechałem na parking. „U Jima” miał rozmiary niewielkiego supermarketu, a wystrój jego frontonu przypominał drewniane zabudowania farmerskie, chociaż całą resztę stanowiły pomalowane na biało pustaki. Z pewnej odległości okna wystawowe przypominały okna wiejskiego dom-ku z powodu wielu kwadratowych szybek, ale gdy już się podjechało bliżej, widać było, że są to po prostu pomalowane na biało kraty umieszczone za szybami z grubego szkła. Poza tym bariery umieszczone w jednej trzeciej wysokości okien nie służyły do przywiązywania koni, ale miały zabezpieczyć wnętrze przed staranowaniem przez samochód. Zaglądając do holu, zobaczyłem keyboardy, magnetowidy i ekrany telewizorów, wszystkie nastawione na program Jerry'ego Springera. Miejsce, którego szukałem, znajdowało się bardziej na lewo, w pozbawionym okien pomieszczeniu.

Wszedłem na niewielką werandę, na której zobaczyłem wielki ostrzegawczy, czerwony napis: „Przed wejściem należy rozładować broń, dziękujemy za niepalenie”.

Wnętrze składu broni „U Jima” miało kształt litery L. Na prawo umieszczono lombard, a reszta kryła się za rogiem po lewej stronie, za kontuarem, przy którym sprzedawano czasopisma i słodycze. Przede mną znajdowało się małe stoisko, sklep w sklepie, gdzie sprzedawano biżuterię. Zapach w bardzo czystym wnętrzu o wypolerowanej terakotowej podłodze bardziej kojarzył się z domem towarowym niż lombardem.

Skręciłem ku rzędowi szklanych gablot pełnych setek pistoletów, za którymi na stojakach umieszczono sztucery. Było tam wszystko, do wyboru do koloru, od jednostrzałowców do broni automatycznej.

Wziąłem do ręki druciany koszyk i zostałem przywitany przez tłustego białego faceta. Miał sporo po trzydziestce i był ubrany w koszulkę z logo „U Jima”. U pasa zwisał mu glock .45, w płaskiej kaburze, a twarz rozjaśniał szeroki uśmiech.

- Dzień dobry.

Odpowiedziałem na powitanie swoim słabym amerykańskim, nie martwiłem się o akcent. Ciągłe zmieniający się skład personelu wojskowego sprawiał, że łatwo było uchodzić za kogoś stąd. Pewnie tu pomyślał, że jestem Australijczykiem - Amerykanie zawsze tak myślą.

- W porządku, proszę pana. Czym mogę służyć?

- Tylko się rozglądam. Dziękuję.

- Jakby pan czegoś potrzebował, proszę tylko zawołać -odpowiedział z promiennym uśmiechem.

Idąc ku gablotom z bronią, minąłem półki zapchane jak w supermarkecie pudełkami z amunicją i wszystkim, czego tylko potrzebują myśliwi, aż do kamizelek kuloodpornych i strzelających lasek, które, o dziwo, wcale się nie wyróżniały.

Druciane półki uginały się od pojemników z gazem. Nie potrafiłem się zdecydować, czy kupić gaz paraliżujący, czy spray pieprzowy, toteż w końcu włożyłem do koszyka jeden i drugi.

Dział obuwia oferował buty z goreteksu w maskujących kolorach i duży wybór obuwia gumowego i skózanego. Tym, czego szukałem i co w końcu znalazłem, była zwykła para butów wojskowych: coś pośredniego pomiędzy sportowymi butami a butami z cholewą. Buty z goreteksu i z materiałów elastycznych są całkiem w porządku, ale nie mogłem tracić energii na przejmowanie się tym, czy mam suche stopy. Z kolei, jeźlibym te przemoczył, co mi wieczorem groziło, to i tak mogłem działać dalej. Nie zadałem sobie trudu przymierzania ich, bo nie wybierałem się na sześciodniową wycieczkę w Apalachy. Wziąłem dziesiątkę, chociaż nosiłem dziewiątkę, ale utkwilo mi w pamięci kilka dni, kiedy miałem na nogach parę nowych amerykańskich butów, trochę różniących się numeracją od brytyjskich, są mniejsze.

Przeszedłem dalej, żeby zajrzeć do gablot z bronią. Mogłem wybierać z setek rewolwerów i broni półautomatycznej. Zobaczyłem to, czego szukałem, i zacząłem czekać na obsługę.

Obok mnie stała kobieta z dwuletnim dzieckiem w nosidełkach na plecach, miała trochę po trzydziestce. Jeden ze sprzedawców pomagał jej wybrać nową nylonową kaburę na smitha & wessona .45 CQB i przy okazji gawędzili sobie o zaletach i wadach różnych modeli. Jej broń wykonano ze stali nierdzewnej. Powiedziała sprzedawcy, że matowa wersja ze stopu jest lżejsza, ale stalową lepiej widać i dzięki temu bardziej odstrasza. To jest fantastyczna broń i zawsze bym z niej korzystał, gdyby nie fakt, że wolę broń kalibru 9 mm, ponieważ ma pojemniejszy magazynek. Gdyby ta kobieta potrzebowała więcej naboju niż siedem w magazynku plus jeden w komorze, to by znaczyło, że i tak ma problemy. Z powrotem zaczęli omawiać zalety nowej kabury w porównaniu z trzymaniem broni w torebce.

Nieco dalej młody czarny facet w niebieskim dresie słuchał sprzedawcy objaśniającego zalety rewolweru .38 w porównaniu z bronią automatyczną.

- Nawet nie musisz celować - zachwalał sprzedawca. -Szczególnie z tej odległości, z jakiej będziesz strzelał. Wystarczy wymierzyć w środek i musi oberwać. Klientowi spodobał się ten argument i postanowił kupić broń.

Kupująca kaburę kobieta odeszła i sprzedawca zwrócił się ku mnie.

- Witam, czym mogę panu służyć?

- Mogę popatrzeć na wasze tazy, tam na dolnej półce? -spytałem z tym swoim fatalnym akcentem.

- Jasne, nie ma sprawy - odparł sprzedawca, czarnoskóry dwudziestoparolatek ubrany w firmową zieloną koszulę.

On również był uzbrojony, w siga kalibru 9 mm, umieszczonego w tego samego rodzaju płaskiej, nylonowej kaburze, jaką była zainteresowana kobieta. Nachylił się i wyciągnął tacę z tazerami.

Mieli wszelkie typy paralizatorów: od małych ręcznych sztuk, przez takie, za pomocą których można atakować z odległości pięciu metrów, wystrzeliwując elektrody na drucie, aż po wielkie urządzenia, przypominające szturmowe pałki policyjne. Kusił mnie jeden ręczny paralizator, szczególnie z powodu zachwalającego go sloganu reklamowego, który głosił: „Zap-Ziller - potwór wśród sztucerów oszałamiających!”. Na opakowaniu był nawet obrazek dinozaura i informacja, że razi prądem o napięciu 100 000 woltów.

Przeczytałem tekst z opakowania, żeby się upewnić, czy ta broń pasuje do moich potrzeb.

„Cwierćsekundowe wyładowanie zaskoczy napastnika, powodując nieznaczny skurcz mięśni i dając efekt odstraszenia. Wyładowanie umiarkowanej długości - od jednej do czterech sekund - może spowodować, iż napastnik upadnie na ziemię i zostanie częściowo pozbawiony przytomności. Może to go zniechęcić do kontynuowania ataku, ale niemal natychmiast będzie on mógł się podnieść. Pełne wyładowanie - trwające pięć sekund - może unieruchomić napastnika, spowodować u niego dezorientację, utratę równowagi, upadek oraz kilkuminutowe osłabienie i oszołomienie. Uwaga: każde rozładowanie trwające powyżej jednej sekundy może powalić napastnika. Jeżeli nie udzieli mu się pomocy, upadek może spowodować urazy”.

Miałem nadzieję, że tak właśnie będzie. W Syrii paralizatory rzeczywiście okazały się skuteczne.

W dziale z ubraniami wybrałem maskujący „leśny” strój z goreteksu. Wziąłem egzemplarz o dwa numery za duży, żeby był wygodny i obszerny. Goreteks zmienił się znacznie od czasu, kiedy został po raz pierwszy wynaleziony przez Boga w odpowiedzi na modlitwy wszystkich żołnierzy piechoty. Dawniej, kiedy człowiek się ruszał, materiał szeleścił, co nie zdawało egzaminu podczas podkradania

się do celu i w rezultacie trzeba było nosić te ubiory pod strojami polowymi. Obecnie jednak goreteks bardziej przypomina tkaninę niż plastik.

Przemierzając przejścia między półkami, dorzuciłem do zakupów parę różnych drobiazgów, które, jak przypuszczałem, mogły mi się przydać. Nie sądziłem, że mogę potrzebować broni palnej, ale gdy ją tu zobaczyłem, poczułem się dziwnie na myśl, że mam wykonać zadanie nie uzbrojony. Ubieganie się o legalną broń zajęłoby mi jednak zbyt wiele czasu. Poza tym amerykańskie przepisy nie są tak wariackie, jak wyobrażają sobie to ludzie w Europie, więc nie miałem ochoty ryzykować kradzieży czy kupna broni nielegalnie. Normalnie, gdybym wiedział, że będę potrzebował broni, to kupowałbym w kraju docelowym, bo dzięki temu nie musiałbym się martwić, podróżując cywilnymi liniami lotniczymi. Gdyby nie było to możliwe, umieściłbym broń w przesyłce dyplomatycznej, łącznie z wszelkimi innymi niezbędnymi elementami wyposażenia, i wszystko bym odebrał w ambasadzie. Tym razem jednak nie miałem czasu. W dodatku przyjechałem tu przeprowadzić ocenę, po co więc mi broń.

Moją uwagę przyciągnął dział z kuszami myśliwskimi. Trzej liczący trochę powyżej pięćdziesiątki klienci w baseballowych czapkach i z wystającymi z nadgarstków bruchami piwoszy usiłowali się przelicytować, opowiadając o swych wojennych wyczynach.

- Kiedy byłem w Da Nang - mówił jeden - był cały taki jeden tydzień, kiedy myślałem, że nasz dobry Bóg ma zamiar mnie zabrać...

Spodobało mi się kilka kusz. Były małe, ale wiedziałem, że są bardzo mocne. Odkąd rząd brytyjski zakazał posiadania pistoletów, kluby strzeleckie musiały poszukać sobie innego sportu i teraz na wielu strzelnicach używało się kusz zamiast broni palnej. Klub, w którym pokazano mi, jak posługiwać się kuszą, znajdował się w Vauxhall, zaraz naprzeciwko głównej kwatery Firmy.

Wziąłem do ręki jeden egzemplarz i przyjrzałem się celownikowi optycznemu i pojemnikowi na zapasowe bełty. Na metce widniała cena trzystu czterdziestu dolarów, co mnie urzędało, ale druga strona przynosiła rozczarowanie, gdyż informowała, że kupujący musi mieć wydane w Karolinie Północnej zezwolenie na broń.

Pozostawał mi zwykły łuk i tu też nie brakowało wyboru. Modele o takich nazwach jak Beast 4x4, Black Max i Conquest Pro wypełniały wiele półek. Wykonane z włókna węglowego, aluminium lub żywicy epoksydowej, z bloczkami na końcach, które działały jak przekładnie, by nadać cięciwie większą siłę. Jakby Robin Hood zobaczył te nowoczesne wersje łuku, to narobiłby z przejęcia w swój zielony strój.

Znalazłem łuk, który podobał mi się z wyglądu: Spyder Synergy 4, pyszniący się osiemdziesięcioma centymetrami pulsującej męskości, wyposażony w bloczki i cięciwę, gotów do użycia, jeśli tylko miałbym strzały. Potrzebne mi były jak najmniejsze, podobnie jak ten łuk. Rozglądając się po półkach, odkryłem, że potrzebne są mi strzały długości nieco ponad pół metra. Wziąłem opakowanie zawierające sześć sztuk. Jednak na tym się nie kończyło, musiałem jeszcze wybrać groty. Zdecydowałem się na groty „Morderca z Gór Skalistych”: wyglądały podobnie jak Thunderbird Three, a ich skrzydełka były ostre jak brzytwy. Zdaje się, że tylko ten typ grotu miał zamontowane skrzydełka.

Nieźle się bawiłem, dopasowując elementy na stoisku z lukami. Potrzebowałem także kołczanu. Kołczany miały klamry, co umożliwiało doczepienie ich do łuku, żeby wszystko się trzymało i było pod ręką.

Dobrałem resztę rzeczy ze sporządzonej przeze mnie w pamięci listy zakupów i dysponując wystarczającą ilością sprzętu, by polować z lukiem aż do Bożego Narodzenia, podszedłem do kasy. Klientka z dzieckiem właśnie oglądała naszyjnik w stoisku z biżuterią. Najwyraźniej nie spodobała się jej kabura, ponieważ czterdziestkapiątka z nierdzewnej stali nadal błyszczała w jej leżącej na ladzie torebce. Dwudziestoparoletnia kasjerka wyglądała na śmiertelnie znudzoną: najwyraźniej ani trochę nie interesowała ją najnowsza broń ręczna czy ubrania wodoodporne. Nażelowane włosy przylegały do czoła i nawet nie podniosła na mnie wzroku, gdy spytała: „Karta czy gotówka?”. Nie mogłem oderwać oczu od jej paznokci. Miały pięć centymetrów długości i prawie się zawijały, jak u doktora Fu Manchu, a przy tym zostały pomalowane w zawiłe czarno-białe, kratkowane wzory. Nie mogłem się doczekać, kiedy opiszę je Kelly.

- Gotówka - odparłem, zapłaciłem za zakupy, wziąłem torby, włożyłem dwadzieścia centów reszty do pudełka z napisem „Na cukierki dla dzieci” i wyszedłem. Kiedy pakowałem wszystko do bagażnika samochodu, kobieta z dzieckiem wyszła na zewnątrz i wsiadła do minivana. Nie potrafiłem powstrzymać uśmiechu, gdy zobaczyłem naklejki umieszczone na jego tyle.

„Pojazd ubezpieczony przez smitha & wessona” - głosiła jedna z nich. Następna mówiła „Dumny rodzic wspaniałego dzieciaka, sponsorowany przez Burger Kinga”, a najbardziej spodobała mi się naklejka z napisem „Kierowca ma przy sobie tylko pięćdziesiąt dolarów... wartą amunicję”.

Pomiędzy tymi wszystkimi naklejkami widniał wielki, srebrzysty znaczek ryby, symbol Odrodzonych Chrześcijan, ze słowem „Jezus” pośrodku. Wyglądało to całkiem jak w dawnych czasach - element zwariowanego kalejdoskopu sprzeczności, który sprawiał, że tak bardzo lubiłem Amerykę. Dobrze, że kiedy ostatnim razem szukałem pojazdu z widniejącym na nim znakiem ryby, nie popełniłem błędu i nie wsiadłem do pojazdu tej kobiety. Bez wątpienia dwaj ubezpieczyciele tego samochodu zapewnili mi godne powitanie.

Potrzebowałem jeszcze tego i owego, dlatego zjechałem /. Yarkin ku centrum miasta czy też temu, co uważałem za centrum. Po dziesięciu minutach musiałem jednak stanąć, otworzyć bagażnik i wyjąć mapy, żywiłem nadzieję, że jedna /. nich może być planem miasta. Wydedukowałem, gdzie jestem i dokąd jadę - do centrum handlowego, najbliższego, jakie dostrzegłem na mapie. To niecałe dwa kilometry drogi.

Centrum handlowe nie było odizolowanym obiektem, jakiego się spodziewałem. Jego główny budynek wyglądał jak Pentagon, ale został wzniesiony z czegoś podobnego do kamienia z hrabstwa York. Sąsiednie hipermarkety i parkingi musiały zajmować powierzchnię ponad ośmiu kilometrów kwadratowych, czemu towarzyszyły odpowiednie korki uliczne. Wypatrzyłem wielki, błękitny znak WalMarta, którego właśnie szukałem, i zorientowałem się, że sam sklep znajduje się na zewnątrz terenu handlowego. Poczekałem na światłach, skręciłem na prawo i wjechałem na parking. Przed sobą miałem standardowy zestaw sklepów - Hallmark Cards, poczta, supermarkety obuwnicze, bar Lone Star i wreszcie mój przyjaciel: WalMart.

Wziąłem wózek i zostałem powitany przez starszawego gościa radośnie uśmiechającego się.

- Dzień dobry.

Odpowiedziałem uśmiechem. Facet był ubrany w za dużą na niego o jeden numer baseballową czapkę WalMarta i we włożoną na koszulę z długimi rękawami koszulkę z napisem informującym, jak WalMart się cieszy z mojego widoku. Tuż za obrotową bramką stał bankomat. Skorzystałem z okazji, żeby zaopatrzyć się w trochę więcej gotówki i ruszyłem przed siebie. Centrum handlowe było pełne żołnierzy z jednostek powietrznodesantowych, wrzeszczących dzieciaków i zestresowanych matek.

Wybrałem gotowe produkty, które jednak można było po cichu jeść. Zrezygnowałem z chrupek czy puszek z napojami gazowanymi. Wziąłem za to cztery duże puszki mielonki, cztery duże butelki niegazowanej wody mineralnej i spory karton batoników Mars. Zrobiłem jeszcze parę okrążeń po dziale ogrodniczym i już było po wszystkim.

Dopiero teraz dostrzegłem małą samoobsługową kawiarnię, którą przegapiłem wchodząc, być może z powodu ekscytacji moim przyjęciem w WalMarcie. Po zapłaceniu zostawiłem wózek mojemu nowemu przyjacielowi, gdyż jego zadanie polegało również na pilnowaniu wózków, kiedy klienci wchodzili do kawiarni. Wziąłem tacę i kupiłem dwie duże porcje pizzy i coca-colę.

Jedząc, zastanawiałem się nad tym, co powinienem zrobić, bo nie miałem aż tak dużo czasu, żeby się plątać bez sensu. Uznawszy, że mam wszystko, czego potrzebuję, dokończyłem pizzę i colę i ruszyłem ku wyjściu. Nagle poczułem ściskanie we wnętrzościach. Nigdzie nie było widać toalety, ale pomyślałem: Mniejsza z tym, wstąpię jeszcze do jakiejś kawiarni. Jednak bolesne skurcze przypomniały mi o czymś innym: wróciłem do działu aptecznego i kupiłem dwa okazałych opakowania przeciwbiegunkowego leku imodium.

Uznałem, że pizza nie jest zła, więc wróciłem i kupiłem dwie pełne porcje Four Seasons. Jak zwykle wziąłem wózek z zacinającym się kółkiem, dlatego gdy tylko wyszedłem na zewnątrz, zacząłem brnąć zygzakami po betonie, pchając wózek pod dziwnym kątem, żeby poruszał się do przodu. Nie miałem szczęścia do wózków w supermarketach.

Wrzuciłem wszystko do bagażnika, na porządku przyjdzie czas później. Wsiadłem za kierownicę, włączyłem telefon i sprawdziłem poziom naładowania jego baterii. Wszystko w porządku. Mimo to wyciągnąłem zapasową baterię, włożyłem ją w miejsce tej, którą przed chwilą sprawdziłem i podłączyłem wyjętą baterię do ładowarki. Musiałem mieć obydwie baterie naładowane do pełna i gotowe do działania.

Jeszcze raz spojrzałem na mapę i włączyłem się do ruchu.

Wyjechałem z miasta i skierowałem się z powrotem ku jezioru. Zaczęło trochę padać, nastawiłem wycieraczki na średnią prędkość i wyłączyłem je dopiero tuż przed Raleigh, kiedy już skrzypiały na suchej szybie. Po chwili potem dojrzałem przydrożny parking, zatrzymałem się na nim i zacząłem porządkować rzeczy.

Zerwałem lepkie metki z cenami z goretexowych strojów i innych zakupów. Przykleiłem dwie z nich do ręki, a potem upchnąłem wszystko w worku myśliwskim. Umieściłem sekator w jednej z małych kieszeni na zewnątrz worka łącznie / . linką i rękawicami ogrodniczymi, gdyż wiedziałem, że będę ich potrzebował na samym początku. Wygląd rękawic trochę mnie zaskoczył, przypominały rękawice do zmywania z wieloma guzkami na palcach dla pewniejszego chwytu, a co gorsza były żółte. Powinienem być otworzyć opakowanie i sprawdzić kolor, ale teraz już za późno, żeby coś z tym zrobić: musiałem wracać nad jezioro. Wszystkie inne przedmioty, łącznie z plastikowym kanistrem na benzynę, trafiły do głównego przedziału worka.

Teraz pozostało mi już tylko przygotowanie jedzenia. Położyłem na sobie obydwie porcje pizzy, zwinąłem je i opakowałem folią samoprzylegającą. Następnie wyciągnąłem batoniki z opakowań i również owinąłem je w folię, po dwa naraz. Otworzyłem puszkę z mielonką i postąpiłem z nią podobnie jak z resztą, a potem umieściłem wszystko w worku. Oderwałem metki z ręki, nakleiliśmy jedną na drugiej i zasłoniłem nimi lampkę sygnalizującą poziom naładowania baterii telefonu. Na koniec nacisnąłem przycisk „menu” i wyłączyłem wszelkie funkcje dźwiękowe.

Gdy się z tym uporałem, przystąpiłem do porządnego wysmarowania się preparatem odstrasającym owady. Nie wiedziałem, czy to mi się przyda, czy nie, ale lepiej dmuchać na zimne. Wsiadłem do samochodu i ruszyłem w stronę jeziora. Deszcz przestał padać, przynajmniej na jakiś czas.

Przerzuciłem parę kanałów radiowych i usłyszałem kobiecy głos: „Kobiety z Południa wydają więcej pieniędzy i poświęcają więcej czasu na pielęgnację włosów niż kobiety z jakiegokolwiek innego obszaru USA, dlatego powinnyśmy kupować ten magiczny mus, który”... - wcisnąłem guzik wyszukiwania stacji. Jakiś kolejny głos wyjaśniał, dlaczego pogoda jest całkowicie popieprzona: oczywiście El Niño.

„Mamy szczęście, tutaj w Karolinie Północnej, w odróżnieniu od terenów, które ucierpiały najbardziej, jak Alabama, gdzie wystąpiły tornada...”. Znowu nacisnąłem guzik i dotarłem do radiostacji chrześcijańskiej. Ci z kolei tłumaczyli mi, że to Bóg, a nie El Niño, jest odpowiedzialny za zmiany klimatyczne. Wyglądało na to, że dobry Bóg nie jest za bardzo zadowolony z naszych grzechów i przesyła nam ostrzeżenie. Jednak pierwszym krokiem ku zbawieniu jest zakup oprawionej w skórę Biblii wydanej przez stację radiową i dostępnej za jedyne 98 dolarów 99 centów. Można płacić każdym rodzajem ogólnie uznawanej karty.

Znowu jechałem przez las. Było nieco po siódmej i światło dnia już zniknęło, szczególnie pod baldachimem wysokich drzew. To dobrze, bo zależało mi na tym, żeby w maksymalnych ciemnościach dotrzeć do celu i uporać się ze wszystkim przed pierwszym brzaskiem. Potem sprawdziłbym, czy ona jest w tym domu, czy nie. Miałem nadzieję, że tak, bo w innym wypadku musiałbym wrócić do Waszyngtonu i wielkiej układanki.

Nie miałem do tej pory czasu, by pomyśleć o dobrym miejscu do zostawienia samochodu, ale być może wieczorami jezioro przyciągało rodziny albo parking zamieniał się w miejsce randek. Tak czy inaczej oznaczało to, że mój samochód zagubi się wśród pozostałych pojazdów.

Byłem już jakieś pół kilometra od parkingu, gdy w końcu musiałem włączyć światła. Rozejrzałem się szybko: na polu namiotowym paliło się kilka świateł, ale dostrzegłem tylko jeden samochód, który przypuszczalnie należał do młodej pary romantycznie spędzającej czas pod daszkiem. Kiedy jednak omiotłem ich światłami reflektorów, musieli unieść ręce, by osłonić oczy.

Zaparkowałem tak blisko stanowiska do grillowania, jak tylko się dało, ale mimo to wystarczająco daleko od młodych ludzi, żebym nie musiał ich pozdrawiać, wysiadając z samochodu. Nie obawiałem się, że mogą zwrócić na mnie uwagę, bo z tego, co spostrzegłem, on był całkowicie zaaferowany próbą wsunięcia dłoni pod jej spódnicę, chociaż, na nieszczęście dla niego, ją bardziej interesowało przyrządzanie dania.

Spojrząwszy ponad jeziorem, dojrzałem światła w obydwu domach. Czuję skurcze żołądka, toteż postanowiłem pójść do toalety z moimi nowymi butami i wciągnąć sznurowadła, siedząc na

sedesie. Nadal było dość ciepło, a świerszcze grały /, całych sił, tłumiąc odgłosy, gdy kroczyłem po błocie i mokrym żwirze. Gwiazdy ledwie przebijały się przez chmury, a powierzchnia jeziora przypominała lustro. Miałem nadzieję, że nic się pod tym względem nie zmieni.

Toalety wykonano z zespolonych elementów ze stali nierdzewnej, a ze ściany wystawał pojedynczy uchwyt, żeby wandalę nic nie mogli zniszczyć. W kabinie było gorąco, ciemno i wilgotno, a jedyne światło wpadało przez główne drzwi. Roje brzęczących stworzeń czekały na suficie na jakiś nie spodziewający się niczego tyłek, który mogłyby namierzyć swymi radarami. Gdy kilka ruszyło lotem nurkowym w moim kierunku, usłyszałem śmiech dziewczyny pitraszącej przy grillu. Może jej chłopak też dopiął celu. Wyciągnąłem parę listków papieru toaletowego z pojemnika. Jego twarda faktura przypomniała mi dom poprawczy sprzed dwudziestu lat.

„Tylko trzy kawałki - wrzeszczeli. - Jeden w górę, dwa w dół i się świeci”.

Przypomniało mi to, że powinienem zażyć dawkę imodium. Trzymając w rękę moje timberlandy i z błyszczącymi nowymi butami na nogach, pobrnąłem z powrotem do samochodu. Nigdzie nie było widać młodej pary, ale ich samochód nadal stał, a grill się jeszcze jarzył. Facet musiał dopiąć swego i przenieśli się w jakieś bardziej ustronne miejsce. Zdziwiałem, ile człowiekowi może ująć płazem, jeżeli rozbawi kobietę.

Otworzyłem bagażnik i wyjąłem worek oraz łuk, a następnie sprawdziłem, czy nie zostawiłem w środku nic, czego mógłbym potrzebować do tej roboty albo co mogłoby zdradzić moje zamiary, gdyby ktoś podprowadził samochód. Timberlandy trafiły do bagażnika, nie chciałem ich zniszczyć, bo dopiero je rozchodziłem. Otworzyłem foliowe opakowanie imodium i połknąłem cztery kapsułki. Zalecenie mówiło o dwóch, ale przez całe życie nie służyłem rad.

Zarzuciłem na prawe ramię worek z przytwierdzonym do niego łukiem. Ostatni raz przyjrzałem się jezioru i domom, by dobrze się orientować w terenie, i wyruszyłem. Zaplanowałem iść brzegiem, przekroczyć rzekę, a potem znowu podążać ku celowi linią brzegową. W ten sposób nie musiałem iść drogą. Stanowiłoby to za duże ryzyko, bo mogłem się tam na kogoś natknąć, a poza tym nie wiedziałem, jak dalece czujni są ludzie w tych budynkach. Mogłem wpaść, zanimby dotarł do celu. Jak się działa rozważnie, to się można nie martwić.

Minąłem samochód zakochanych. Jego okna bardzo zaparowały, ale we wnętrzu coś się ruszało. Kilka kroków dalej natrafiłem na wielki znak z napisem „Ostrzeżenie” przybity do daszku stanowiska grillowego. Zatrzymałem się, by go przeczytać, ponieważ informacja nikomu jeszcze nie zaszkodziła

„Uwaga, turyści! - głosił napis. - W sezonie łowieckim na terenach należących do Komitetu Zasobów Naturalnych, które bezpośrednio przylegają do parku, można polować z użyciem broni palnej lub innych legalnych rodzajów broni. Prosimy w sezonie łowieckim trzymać się oznakowanych ścieżek, żeby uniknąć niebezpieczeństwa. Zaleca się noszenie elementów ubioru w kolorze jaskrawopomarańczowym”.

Wszystko bardzo fajnie, ale kiedy jest sezon łowiecki? -pomyślałem.

Idąc dalej, dotarłem na wysokość pola namiotowego, gdzie zobaczyłem przed sobą drewniany płot dwumetrowej wysokości, który otaczał teren. Ruszyłem wzdłuż niego, aż doszedłem do miejsca o szumnej nazwie: Centrum Recyklingu, które w rzeczywistości było złożone z trzech metalizowanych pojemników: na butelki plastikowe, szkło i puszki aluminiowe. Sforsowałem płot i zobaczyłem biegnący wzdłuż brzegu jeziora oczyszczony z drzew pas gruntu szerokości około dziesięciu metrów. Pnie drzew wystawały parę centymetrów z piaszczystego podłoża i co chwila zaczepiałem o nie czubkami butów.

Po jakichś pięciu minutach poruszałem się pewniej, bo oczy przyzwyczyły się już do mroku. Przywyknięcie do ciemności zabiera dużo czasu, gdyż czopki w oku umożliwiają widzenie w ciągu dnia, pomagając odbierać kolor, ale nie ma z nich pożytku w nocy. Wtedy na pierwszy plan wysuwają się pręciki na obrzeżach tęczówek. Z powodu wypukłości oka są ustawione pod kątem czterdziestu pięciu stopni, więc jeśli popatrzy się w nocy wprost na jakiś przedmiot, to się go nie widzi, jedynie mglistą plamę. Trzeba patrzeć nad nim i wokół niego, by odpowiednio ustawić pręciki, i wtedy dostrzeżę się jego kształt. Pręciki osiągają pełną skuteczność mniej więcej po czterdziestu minutach, ale wzrok może się poprawiać już po pięciu minutach.

Od czasu do czasu z namiotów dobiegały mnie dźwięki rozmów, nie potrafiłem rozróżnić poszczególnych słów, ale byłem pewien, że to musi być coś w stylu: „Czy to był pomysł, żeby jechać na camping?”. Usłyszałem również odgłos telewizora turystycznego i muzyczny sygnał audycji.

Jeszcze w zasadzie nie dostałem się na terytorium wroga, ale cały czas myślałem: A co będzie jeśli? Co będzie, jeśli wpadnę na kogoś? Powiedziałbym, że jestem na wakacjach. Wędruję. Odegrałbym tępego Brytyjczyka odpoczywającego za granicą, któremu się wydaje, że przyjemnie spędza czas, i postarałbym się wykorzystać sytuację, żeby dowiedzieć się czegoś o tych domach. Nie można przebywać na danym terenie bez konkretnego powodu, bo gdy człowieka zaczynają przepytwać, od razu trzeba podać wiarygodne usprawiedliwienie. Mając taki powód, dysponuje się odpowiednim nastawieniem psychicznym, dzięki czemu człowiek może robić swoje z większą pewnością siebie.

Odsunąłem się od brzegu jeziora, gdy skończyła się plaża, i zagłębiłem w las pomiędzy wodą i płotem. Była to niemal prawdziwa dżungla. Wielkie drzewa stały półtora, dwa metry od siebie, a pomiędzy nimi rosły rozrzucone mniejsze siewki. Grunt był podmokły, ale na szczęście płaski, toteż szło się w zasadzie bez przeszkód.

Dotarłem prawie na wysokość końca pola namiotowego, kiedy tuż obok usłyszałem głos młodej kobiety.

- Jimmy! Jimmy!

Niespodziewanie natknąłem się na parę od grilla i sądząc po ich pogniecionych ubraniach, dziewczyna całkiem zapomniała o tym, co ma na ruszcie. Zaskoczyło mnie to, bo myślałem, że są w samochodzie.

Tego rodzaju sytuacja może rozwinąć się na dwa sposoby - albo para jest zakłopotana, więc przeprosza i znika, albo, jak się ma pecha, facet postanawia udowodnić, jaki z niego twardziel.

Zwolniłem, skręcając w prawo, by ich obejść. Próbowałem zachowywać się, jakbym mijając ich, koncentrował się na ziemi pod nogami, jednak nie traciłem gościa z widoku.

- Ty, facet, czego tu, do cholery, szukasz? - usłyszałem i już było jasne, jak się dalej rozwinie sytuacja.

Zatrzymał mnie, kładąc mi rękę na ramieniu. Pochyliłem głowę, żeby wyglądać na zmieszanego i niegroźnego, ale również po to, by chronić twarz, gdyby doszło do bójki.

- Przepraszam, że przeszkadzam - wymamrotałem.

- Co? - wrzasnął. - Jesteś jakimś popieprzonym podglądaczem czy co?

- Jimmy! - zawołała dziewczyna.

Usiłowała stworzyć pozory, że po prostu otrzepuje piasek ze spódnicy. Nie widziałem w ciemności jej twarzy, ale z tonu jasno wynikało, że jest zakłopotana i chce odejść. Facet zdołał podciągnąć spodnie i zapiąć górny guzik, ale nie dopiął rozporka. Przeświecające w ciemnościach białe majtki omal nie wywołały u mnie ataku śmiechu.

Mówiłem swoim fatalnym amerykańskim akcentem, jednocześnie starając się nadać głosowi bojaźliwy ton.

- Nic podobnego, ja tylko idę zobaczyć żółwie.

Miałem nadzieję, że dzięki temu nabierze przekonania, że to on jest tu twardym facetem, i będę mógł odejść. Moja wymówka nie pasowała zbyt do faktu, że miałem przy sobie łuk, ale miałem nadzieję, że jest niewidoczny, gdyż wcisnąłem go między plecy i worek.

- Żółwie? Jesteś jakiś pan Przyroda z pieprzonego Discovery Channel?

Spodobał mu się własny dowcip: zaśmiał się i odwrócił do dziewczyny, czekając na aplauz.

- Po drugiej stronie jeziora zakładają gniazda. Tylko o tej porze roku to robią.

W odróżnieniu od was, poczciwi ludzie - dodałem w myślach. Gadałem dalej o żółwiach: jak wychodzą na plażę, kopią w niej i składają jaja - coś, co rzeczywiście, o ironio, znałem z Discovery Channel. Poza tym wiedziałem o ich obecności lutaj z mojego atlasu ptaków.

Romantyczny kochanek roześmiał się - jego honor został uratowany. Nie byłem jakimś dewiantem, tylko po prostu turystą. Teraz już naprawdę nie wiedział, co zrobić, więc roześmiał się znowu.

- Żółwie, człowieku, żółwie - powtórzył.

Objął dziewczynę i odeszli w stronę plaży.

Udało się, ale zirykowałem się, że w ogóle do tego doszło, gdyż teraz dwoje ludzi mogło mnie rozpoznać. W tej chwili nie miało to żadnego znaczenia, ale gdyby później doszło do jakichś dramatycznych wydarzeń, to kto wie, czy nie przypomnieliby sobie naszego spotkania. Chociaż mogło być gorzej: na szczęście facet nie okazał się miłośnikiem przyrody.

Była dziewiąta dwadzieścia siedem. Miałem za sobą dwie godziny marszu, podczas którego między innymi przemoczyłem sobie spodnie do tyłka przy forsowaniu rzeczki, ale w końcu znalazłem się około sześćdziesięciu metrów od celu. Stałem na brzegu jeziora. Ponieważ grunt był bardzo pofałdowany, tylko z tego miejsca mogłem porządnie przyjrzeć się domowi. Teren wyglądał inaczej niż po drugiej stronie rzeczki, gdyż pracownicy parku narodowego nie prowadzili tu wycinki drzew, które rosły niemal przy samej wodzie.

Na pierwszym piętrze domu nadal paliły się światła, ale zasłony zaciągnięto i nie widziałem za nimi żadnego ruchu. Mój problem polegał teraz na znalezieniu miejsca, które by mnie osłaniało i jednocześnie pozwoliło obserwować cel. Musiałem obejść dom dookoła. Nie spieszyłem się. Podnosiłem nogi ostrożnie, by uniknąć uderzenia o jakieś skały, kamienie czy leżące na ziemi gałęzie, a potem powoli stawiałem na ziemi najpierw krawędź buta, następnie resztę stopy. Taka technika w znacznym stopniu obciąża nogi, ale jest to jedyny sposób, by nie powodować hałasu.

Dotarwszy do brzegu jeziora, przeszedłem mniej więcej dziesięć metrów, zatrzymałem się i zacząłem nasłuchiwać. Koncentrowałem się na domu, nieco uchylając usta, by wyciszyć wszelkie odgłosy, które mógł wydać organizm, na przykład ruchu szczęk. Nie słyszałem nic poza pluskaniem wody o brzeg, w domu panowała cisza. Rozejrzałem się za miejscem, do którego chciałem dotrzeć w następnym etapie, i zacząłem ostrożnie stąpać po kamieniach. W drugim domu również jeszcze paliły się światła, ale nie widziałem żadnych szczegółów, ponieważ stał za daleko. Dobrze, że przynajmniej deszcz ustał.

Pokonałem następny odcinek i dotarłem na odległość czterdziestu metrów od domu. Zorientowałem się, że nierówności terenu uniemożliwiają mi obserwację celu z daleka. Z drugiej strony, gdybym dostał się na wzniesienie na tyłach domu, to widziałbym jedynie dach. Nie mogłem również założyć punktu obserwacyjnego pomiędzy domami, bo dzieci są bardzo ciekawskie i do południa następnego dnia pewnie dołączyłyby już do mnie w punkcie obserwacyjnym i podgryzały moje marsy i pizzę. Nie miałem dużego wyboru, nie było sensu iść dookoła.

Wróciłem na brzeg, zdjąłem worek i zostawiłem go pod wielkim drzewem o zwisających konarach. Dzięki temu wiedziałem, że nawet gdyby doszło do poważnych problemów, tobym go odnalazł. Musiałbym tylko pobiec w dół ku jezioru, trzymając się tej strony domu, skręcić w prawo i już bym go miał. Poza tym im byłbym mniej obciążony, tym mniej bym hałasował, szukając dobrego miejsca na kryjówkę. Chociaż do tej pory nie widziałem ani nie słyszałem psów, to mogły tu być, albo - co gorsza - gęsi, na które poluje wiele drapieżników, co czyni je wyjątkowo cichymi. Dlatego starożytni Rzymianie używali ich w charakterze systemu alarmowego. Dowiedziałem się tego, mieszkając w Norfolk, ponieważ mój najbliższy sąsiad trzymał gęsi i te pieprzone stworzenia zawsze mnie obudziły w środku nocy. Do tej pory już dwie trafiły do mojego piekarnika. Kelly myślała, że kupiłem jej ulubioną niedzielną pieczeń w sklepie.

Nie spiesząc się, zawróciłem ku domowi. Poruszałem się powoli, zatrzymywałem, patrzyłem na cel, potem na teren wokół, nasłuchiwałem, planowałem następny ruch i szedłem dalej. Jeśli chodzi o punkt obserwacyjny, to im bliżej jest się celu, tym lepiej można obserwować, co się dzieje, ale jednocześnie wzrosła szansa wpadki. Im dalej się jest, tym mniejsza szansa wpadki, ale widoczność może być słaba. Idealnym rozwiązaniem w tym wypadku byłoby usadowienie się kilometry od celu i zainstalowanie zdalnie działającej kamery nastawionej na dom, żeby można było go obserwować z drugiego brzegu jeziora. Nie dysponowałem jednak takim sprzętem i musiałem radzić sobie z tym, co miałem.

Niebo przetańczyło się i pojawiło się więcej gwiazd. Dalej słyszałem pluskanie wody jeziora o brzeg, ale teraz doszło do niego chlupanie wyływających na powierzchnię i nurkujących żółwi.

Dotarłem jakieś dwadzieścia pięć metrów od domu. W tym miejscu kończyły się drzewa i zaczynał się „ogród” - teren porośnięty nie koszoną trawą z pniakami drzew, które nie zostały wyrwane po oczyszczeniu polany pod budowę domu. Z tej pozycji widziałem całkowicie jeden bok celu plus łódź i jezioro.

Dom miał trzy kondygnacje i garaż, przez nie domknięte drzwi nadal wystawał tył samochodu. Na pierwszym piętrze od strony jeziora paliło się światło, ale zza grubych zasłon dochodził tylko nikły blask. Nigdzie nie widać było żadnego ruchu. Na parterze ód mojej strony znajdowały się drzwi, które, jak przypuszczałem, mogły prowadzić do garażu.

Na drugim piętrze zapaliło się światło. Nadal nic się nie ruszało. Po kilku sekundach rozległ się odgłos spłuczki toaletowej, a więc przynajmniej w środku ktoś się ruszał, chyba że spłuczka była sterowana elektronicznie za pomocą włącznika czasowego, który uruchamiał ją co pewien czas łącznie ze światłami. Nie przypuszczałem, żeby tak było. W innym miejscu owszem, ale nie tutaj. .

Zacząłem się rozglądać za miejscem, w którym mógłbym się ukryć do świtu. Dostrzegłem wreszcie krzak cofnięty nieco w stosunku do linii drzew. Sięgał mi do piersi i miał z metr dwadzieścia szerokości. Wokół rosły mniejsze krzaczki. Wyglądał idealnie, ale najpierw musiałbym sprawdzić, czy leżąc pod nim, będę widział cel. Każdy, kto kiedykolwiek przygotowywał stanowisko obserwacyjne, ma w zanadru przerażające historie o tym, jak kopał je pod osłoną ciemności po to tylko, by przy pierwszym brzasku stwierdzić, że nie widzi nic poza ziemią. Dotarłem do krzaka i starając się nie trącać gałęzi, położyłem się tuż przed nim, następnie się rozejrzałem. Widziałem tylko górne piętro, a to mnie nie urzędało.

Ruszyłem w górę zbocza. Linia drzew skręcała w prawo, spychając mnie dwadzieścia metrów od celu, co nie było mi na rękę. Z tej odległości słyszałbym chrapanie dobiegające z wnętrza domu, ale mieszkańcy mogliby i mnie usłyszeć. Przesunąłem się z powrotem w dół zbocza ku jezioru.

Okolo trzydziestu metrów od domu rósł jeszcze jeden krzak, który sięgał mi do pasa. Ten również miał z metr dwadzieścia szerokości, ale mniej liści. Co zrobić, położyłem się płasko w miejscu, gdzie chciałem się okopać, i stwierdziłem, że widzę wszystko: trzy kondygnacje, garaż, boczne drzwi garażu i jezioro. W oddali jarzyły się światła pola campingowego, co oznaczało, że w świetle dnia dostrzegłbym ruch na parkingu. Chyba wreszcie trafiłem na odpowiednie miejsce.

Przeszedłem za krzak, żeby mnie nikt z domowników nie zobaczył. Jak dotąd nieźle. Teraz ważne było, czy mam sygnał w telefonie. Gdybym zobaczył Sarę, Londyn musiałby o tym wiedzieć. Brak sygnału skazałby mnie na przeżenie w ukryciu całego dnia, mógłbym opuścić to miejsce dopiero po ciemku i albo dotrzeć na miejsce, gdzie działałby mój telefon, albo znaleźć ogólnie dostępny aparat. Straciłbym przez to cel z oczu i mógłbym się zdemaskować.

Włączyłem telefon, położyłem rękę na podświetlanym ekranie i odczekałem minutę, nie spuszczać wzroku z domu. Światło w toalecie już zgasło, ale nadal paliło się na pierwszym piętrze. Przyłożyłem złożoną dłoń do wyświetlacza i nacisnąłem guzik podświetlenia. Wskaźnik mocy sygnału sięgał trzech czwartych, co mi całkiem wystarczało. Znowu wyłączyłem telefon.

Siedziałem przez kolejne pięć minut, starając się wtopić w otoczenie. Ktoś mignął w szczelinie między zasłonami, ale nie potrafiłem odróżnić, czy to kobieta, czy mężczyzna.

Temperatura spadła o kilka stopni, a bezruch spowodował, że zacząłem odczuwać chłód. Nie przerażliwe zimno, ale chłód tam gdzie pot spływał mi po plecach i gdzie włosy kleiły się od wilgoci. Dżinsy wciąż były mokre, ale musiały w końcu wyschnąć. Podniosłem się powoli, czując, jak ubranie przywiera mi do skóry. Odwróciłem się i zacząłem oddalać się od domu, a gdy tylko skryłem się we wgłębieniu terenu, zmieniłem kierunek i ruszyłem prosto ku jezioru.

Odszukałem worek i łuk, sprawdziłem, czy wszystko jest pozapinane, i uważnie przesunąłem dłonią po ziemi, by upewnić się, czy czegoś nie zostawiłem. Potem wróciłem tą samą trasą na stanowisko obserwacyjne. Dochodziła północ, lecz miałem jeszcze dużo czasu, bo świtało dopiero o piątej nad ranem.

Położyłem worek zaraz za krzakiem. Od tego momentu nie mogłem się już pokazywać przed punktem obserwacyjnym, nie narażając się na zdemaskowanie.

Otworzyłem boczną kieszeń, wyjąłem sekator i linkę, przykucnąłem za krzakiem i zacząłem ciąć. Czułem się jak ogrodnik. Staralem się wyciąć w krzaku możliwie jak najmniejszy otwór, a przy tym taki, że bym mógł przez niego wpełznąć. Nie wolno po prostu rozgarnąć krzaka i wepchnąć się do środka, bo zmieni się jego kształt i spowoduje hałas przy wchodzeniu, a kiedy już się jest wewnątrz, jeszcze bardziej się hałasuje i trzęsie krzakiem, ponieważ gałęzie naciskają na człowieka. Jak już się coś robi, to trzeba to robić dobrze. Pierwsze obcięte gałęzie związałem jednym końcem linki jak bukiet kwiatów. Odwinąłem jeszcze kilka metrów linki, uciąłem ją i odłożyłem wiązanke na bok.

Mimo wszystko nie potrzebowiałem ślicznych, żółtych rękawic, bo krzew nie miał kolców. Jednak i tak byłem zadowolony, że je wziąłem, bo nigdy nie zgrywałem się na macho, konstruuując kryjówki gołymi rękami. Po co się drapać czy kaleczyć, skoro nawet drobne skaleczenie może spowolnić działanie? Para rękawic rozwiązuje problem. Celem jest dostanie się do wnętrza krzaka, a nie pokazanie, jakim się jest twardzielem.

Dalej grzebałem się, stopniowo wnikając w głąb krzaka. Ciąłem powoli i starannie, żeby jak najmniej hałasować i nie zepsuć wszystkiego. Nie potrzebowiałem dużej, pustej przestrzeni - mam tylko wpełznąć do środka, dotrzeć do przedniej części krzaka, zrobić otwór i obserwować cel. Przesuwałem się po trochu, tnąc gałązkę po gałązce. Wszystko, co można było odsunąć, a nie przycinać, zostawiałem na miejscu. Czasami używałem linki, by unieruchomić gałązki, którymi mogłem zagęścić listowie.

Wniknięcie do wnętrza krzaka zajęło mi prawie godzinę, ale stworzyłem wokół siebie około piętnastu centymetrów wolnej przestrzeni, zostało ćwierć metra gałęzi przede mną. Teraz nadszedł czas urządzenia reszty stanowiska obserwacyjnego.

Wysunąłem się na zewnątrz, wyjąłem trochę rzeczy z worka i wepchnąłem je do kryjówki. Najpierw poszedł cyfrowy aparat fotograficzny z trójnogiem i podłączonym do wyzwalacza kablem. Wpełzłem do środka i ustawiłem aparat. Potem poszła myśliwska siatka maskująca, którą dostałem w sklepie ze sprzętem wojskowym. Położyłem się na plecach, ułożyłem siatkę na klatce piersiowej i zacząłem wpełzać do kryjówki. Gdy się już w niej znalazłem, przycisnąłem siatkę delikatnie do gałęzi krzaka, żeby się o nie zaczepiła, a tam gdzie było trzeba, przywiązałem ją linką. Jeszcze nie skończyłem, a już miałem wokół siebie wygodny tunelik. Siatka służyła temu, by dodać krzakowi gęstości, bo bez niej światło słoneczne za dnia tak by oświetliło krzak, że wyciętą przeze mnie dziurę łatwo byłoby dostrzec. Gdybym nie znalazł siatki maskującej, to równie dobrze mógłbym wykorzystać ciemnozielony koc.

Najbardziej irytujące przy konstruowaniu nocą stanowiska obserwacyjnego jest to, że nie można go obejrzeć, więc wszystko zależy od wprawy i doświadczenia. Po obejrzeniu kryjówki w pierwszym świetle brzasku nie miałbym już możliwości go poprawić, gdyby coś było nie tak. Zajmowałem się tego typu rzeczami od 1976 roku, kiedy wstąpiłem do wojska, toteż zdobyłem pewne doświadczenie w tej materii. Wystarczy cierpliwość i znajomość odpowiedniej techniki oraz umiejętność leżenia w miejscu całymi dniami czy nawet tygodniami, czeka się wtedy jedynie na te pięć sekund, kiedy cel się odsoni. Niektórzy ludzie nazywają tę umiejętność samodyscypliną, ale według mnie to po prostu lenistwo, które powstrzymuje człowieka od robienia czegokolwiek innego.

Bardzo powoli i ostrożnie wyciągnąłem resztę potrzebnych rzeczy z worka, starając się nie sapać z wysiłku i nie hałasować.

Normalnie wszystko bym w nim zostawił, ale będąc tak blisko celu, musiałem ograniczać ruchy. Umieściłem pizzę i resztę jedzenia w bocznej części krzaka i nakryłem je piaszczystą ziemią, by ukryć ich zapach przed zwierzętami i owadami, a także po to, by folia, w którą je zapakowałem, nie błyszczała w słońcu. Nie było to zbyt realne niebezpieczeństwo, gdyby pogoda dalej się utrzymywała. Telefon, notes elektroniczny, paszport i wszelkie inne podstawowe przedmioty miały się znaleźć w kieszeniach, na wypadek gdybym musiał biec. Na koniec wepchnąłem do stanowiska obserwacyjnego sam worek.

Nałożyłem ostrożnie strój z goreteksu, a potem ukląknąłem na ziemi i zacząłem obmacywać grunt rękami, zarówno po to, by sprawdzić, czy nic nie zostawiłem, jak i po to, żeby zatrzeć wszelkie ślady. Na koniec sprawdziłem, czy zapiąłem kieszenie, w których wszystko pochowałem. Dopiero wtedy wpełzłem do kryjówki i przyciągnąłem linkę z bukietem z gałęzi, tworzącym uzupełnienie wyciętego otworu. Byłem już zamknięty wewnątrz krzaka.

Leżałem nieruchomo przez parę minut, nasłuchując i dostrajając się do nowego otoczenia. Od strony domów nie dochodził żaden dźwięk, a w tym, który był moim celem, już pogasły światła. Jedyne dźwiękiem było pluskanie wody o brzeg. Żółwie chyba poszły spać.

Odczekałem kolejne kilka minut i zająłem się porządkowaniem wnętrza kryjówki, żeby wszystko znalazło się na miejscu i żeby tu i ówdzie coś poprawić. Odsuwałem spod siebie kamienie i wilgotny piasek i odkładałem je na obie strony, powoli wykopując płytki grób, w którym mogłem się skryć jeszcze bardziej. Po pierwszych paru centymetrach kopanie było już dość łatwe.

Przysunąłem nadgarstek do twarzy i spojrzałem na zegarek: było nieco po drugiej w nocy, co oznaczało, iż miałem około trzech godzin do pierwszego brzasku. Jeżeli w bitwie następuje przerwa, to należy jeść albo spać, bo nigdy nie wiadomo, kiedy się będzie miało kolejną okazję na jedno lub drugie. Postanowiłem się zdrzemnąć, w końcu światło mnie obudzi, podobnie jak jakkolwiek ruch. Z tej odległości słyszałem, jak splukują toaletę, gdybym był trochę bliżej, to mógłbym im wytrzeć tyłki.

Leżąc na brzuchu, zamknąłem oczy, ale nic z tego. Miałem wrażenie, że jedyny kamień, którego nie ruszyłem, akurat uwiera mnie w biodro. Odsunąłem go, po to tylko, by stwierdzić, że jakiś inny wychynął na powierzchnię, żeby go zastąpić. Czuję się dość wygodnie w goreteksie, który służył mi jako coś w rodzaju śpiwora, ale grunt jest nad ranem jak lód i człowiek wtedy myśli: co ja tu, kurwa, robię? Nawet jeśli pogoda nie jest zła, to i tak się marznie. Człowiek leżący w całkowitym bezruchu przeistacza się w jaszczurkę, która potrzebuje światła słonecznego. Zaraz pojawiają się ponure myśli o tym, że nie dość, iż jest zimno, to niedługo pewnie zacznie padać, bo jak może być inaczej na stanowisku obserwacyjnym. Czasami oczekiwanie się opłaca i zapomina się o wszelkich niewygodach, ale nieraz leżałem w kryjówce całymi dniami, moknąc i marznąc, a i tak niczego nie zobaczyłem.

Zacząłem się śmiać w duchu, kiedy przypomniałem sobie agenta Lucasa. Rozkazano nam obserwować pewne miejsce spotkań na granicy polsko-niemieckiej. Były to zabudowania gospodarstwa rolnego, gdzie Rosjanie wymieniali na heroinę nadający się do celów wojskowych pluton. Według naszego planu mieliśmy rozwalić to spotkanie i przejąć pluton. Lucas był zapalonym nurkiem i wpadł na pomysł, żeby ubrać się w suchy worek (co w wojskowym slangu oznacza nieprzemakalny kostium do nurkowania), i następnie zakopać w stercie końskiego obornika w pobliżu domu. Mieszkał tam przez cztery dni. Oczekiwane spotkanie nie doszło do skutku, a on potrzebował tygodnia, żeby pozbyć się smrodu, głównie dlatego że zamiast powiedzieć mu od razu, by się związał, zostawiliśmy go jeszcze czterdzieści osiem godzin, by się tam posmażył w nagrodę.

Kiedy się obudziłem, musiało być tuż przed piątą rano, ponieważ zobaczyłem pojawiające się pierwsze światło. Gdy już było na tyle jasno, że dało się cokolwiek zobaczyć, nadeszła pora, bym wyszedł na zewnątrz i sprawdził stanowisko. Nie chodzi o to, że każdy, kto coś znajdzie, zaraz powie „o patrzcie, tu jest stanowisko obserwacyjne”, ale jeżeli zobaczy coś, co go zainteresuje, może wleźć prosto na obserwatora, i wpadka gotowa.

Powoli wypchnąłem gałęzie blokujące otwór, uniosłem się na łokciach i palcach nóg i tyłem wpełzłem na zewnątrz. Dostrzegłem kilka odcisków butów, które zostawiłem, zacierając ślady w

ciemności, więc wysunąłem się odrobinę i zatarłem je pękiem gałęzi. W trakcie tej czynności przyjrzałem się krzakowi. Wyglądał dobrze, byłem dość dumny ze swojej roboty.

Zacząłem wpełzać z powrotem centymetr po centymetrze, tym razem nogami do przodu, uważnie wciągając pęk gałęzi do otworu wejściowego. Potem owinąłem fragment siatki maskującej wokół podstawy wiązki i ułożyłem ją tak, jakbym układał do snu dziecko. Następnie dotarłem do środka wygrzebanego przeze mnie płytkiego grobu, zwinąłem się w kłębek i obróciłem w drugą stronę, starając się nie poruszyć żadnej gałęzi. Nie wiedziałem, co robią ludzie w domu, który obserwowałem, mogli już wstać i podejść do okna, by podziwiać jezioro o świcie, i nagle zobaczyć, że jeden z krzaków dziwnie się trzęsie.

Następnie musiałem sprawdzić aparat, gdyż jedynym powodem, dla którego siedziałem w tej dziurze, było zobaczenie, czy Sara tu jest, a potem fotograficzne potwierdzenie tego dla Londynu. Lynn i Elizabeth nie wierzyli w nic na słowo i z pewnością nie zamierzali mi ufać.

Przejaśniało już i mogłem obserwować teren przez celownik aparatu, dlatego zrobiłem mały otwór w siatce na wprost celu. Nie musiał być tej samej wielkości co obiektyw aparatu, bo jeśli światło dociera do centrum obiektywu, otwór może mieć wielkość czubka ołówka. Skierowałem obiektyw na dziurę, czyli teraz już otwór obserwacyjny, i nastawiłem go dokładnie na teren wokół garażu i przy bocznych drzwiach. Wyglądały na drzwi wejściowe. Gdyby coś tam się działo, nie musiałbym ustawiać aparatu, wystarczyłoby, żebym uruchomił wężykem spust. Dzięki temu nie ruszałbym się i nie hałasował, co oznaczało, że mógłbym obserwować każdego, kto by się pojawił, zamiast starać się nastawiać ostrość.

Gdy już się z tym uporałem, nakładłem piasku i kamieni wokół podstawy trójnogu, żeby go unieruchomić. Następnie sprawdziłem ostatni raz, czy siatka maskująca nie przesłania obiektywu i czy wężyk wyzwalacza jest właściwie podłączony.

Przed rozpoczęciem zabawy miałem czas, żeby coś zjeść i wypić. Otworzyłem jedną z butelek wody mineralnej i pociągnąłem kilka łyków, chociaż tak naprawdę nie byłem spragniony. Nie byłem też szczególnie głodny, ale wgrzyłem się w kostkę mielonki, przez cały czas nie spuszczać celu z oczu.

Zwinąłem w kulkę folię z mielonki i zagrzebałem ją w ziemi. Naprawdę nie potrzebowałem chmary owadów kłębiącej się nad moim punktem obserwacyjnym, zdradzałyby moją obecność. Jedzenie i picie mogły wywołać potrzebę pójścia na stronę, ale miałem nadzieję, że imodium spełni swoją funkcję.

Leżałem płasko na brzuchu z aparatem tuż nad głową, po lewej stronie i wpatrywałem się w cel, trzymając w jednej ręce wężyk wyzwalacza. Skrzyżowałem ręce i wysunąłem je do przodu, opierając podbródek na przedramionach. To wszystko - pozostało mi tylko patrzeć i słuchać. Zawsze było to dla mnie ogłupiająco nudne, ale wiedziałem, że zgodnie z prawem pechowca Sara nie pokaże się na dłużej niż pięć sekund i byłbym matolem, gdybym przepuścił okazję. Musiałem być na najwyższych obrotach i zwalczać nudę. Spojrzałem na zegarek. Wpół do szóstej.

Znowu zacząłem o niej myśleć. Jeżeli tu jest, to co zamierza? Nie rozumiałem, co się dzieje, i prawdę mówiąc, nie chciałem tego wiedzieć.

Już dość wyraźnie widziałem dom. Białemu szalunkowi nie zaszkodziłaby odrobina świeżej farby. Na każdej z trzech kondygnacji z mojej strony znajdowały się po dwa albo trzy okna bez okiennic.

Dostrzegłem też lampy alarmowe z czujnikami ruchu, które, jak mogłem zakładać, strzegły wszystkich podejść. Gdyby były podłączone i obejmowały swoim zasięgiem teren, po którym chodziłem, ostatnia noc byłaby naprawdę bardzo jasna. Zbudowanie stanowiska obserwacyjnego byłoby wtedy bezproblemowe.

Na pierwszym piętrze dojrzałem drzwi balkonowe, prowadzące na niewielką werandę umieszczoną nad garażem, z której rozciągał się widok na jezioro. Poniżej widniała nadal nie domknięta brama garażu, a nad nią kolejna lampa z czujnikiem ruchu.

Brudnokremowa czteromiejscowa łódź z umieszczonym pośrodku stanowiskiem sternika wyglądała tak, jakby jej nie ruszono, odkąd dostrzegłem ją wczoraj przez lornetkę. Nadal była skierowana silnikiem do budynku, a przód przyczepki tkwił zaryty w ziemię od strony wody.

Ściany garażu zostały wykonane z białych płyt przymocowanych do umieszczonych na słupach listew. Na wprost mnie widniały boczne drzwi, które chyba prowadziły do garażu. Na lewo od nich stała obrotowa suszarka na pranie. Nie było na niej żadnych rzeczy, co mnie szczególnie nie zdziwiło,

biorąc pod uwagę pogodę. Na szybach okien nie skraplała się para pochodząca z oddechów śpiących wewnątrz osób.

Nie dostrzegłem też żadnych koszy na śmieci, którym mógłbym się przyjrzeć najbliższej nocy, by sprawdzić, czy Sara tu jest. Oczy mogą być oknami duszy, ale kosze na śmieci są czymś więcej. Nigdy nie potrafiłem przestać dziwić się temu, iż nawet najbardziej ostrożni ludzie myślą, że gdy tylko odpady znikają z domu, to już jest po sprawie. Reporterzy dowiadują się o wielu sprawach, grzebiąc w koszach na śmieci. W niektórych południowoazjatyckich krajach wszystkie odpadki z hoteli z międzynarodową klientelą są stale odbierane przez służby wywiadowcze. Sara nie byłaby tak nieostrożna, ale wiedziałem na przykład, że nie jadła żadnych gotowych dań, jeżeli nie musiała. Gdybym więc znalazł w śmieciach opakowania po ekologicznej żywności, to mogło to stanowić istotny szczegół.

Ptaki rozśpiewały się już na dobre. Lekki wiatr cicho szumił w drzewach, ale to dobrze, gdyż kiedy człowiek się kryje na stanowisku obserwacyjnym, szum drzew tłumi inne odgłosy. Jedyny problem polegał na tym, że skoro wiało, to wkrótce mogło zacząć padać. Jednak do tej pory mogłem się czuć prawie sielankowo.

Jakąś godzinę później usłyszałem pierwszy tego dnia hałas wywołany przez człowieka: łagodne mruczenie małego silnika zaburtowego. Wędkarze byli na jeziorze, ścigając żerujące rano ryby. Nie widziałem niczego, ale znajdowali się gdzieś za moimi plecami, w pobliżu ujścia rzeczki.

Dochodzący z tyłu odgłos silnika przybierał na sile, lecz potem ustał i usłyszałem plusk rzucanej kotwicy. Wędkarze byli blisko, bo słyszałem niesione wiatrem odgłosy rozmów.

W oknie na pierwszym piętrze poruszyła się zasłona. Domyśliłem się, że obserwują wędkarzy, ale dlaczego jeśli człowiek jest na nogach i słyszy hałasy, to nie odsunie całkiem zasłony, żeby się porządnie rozejrzeć? To było podejrzane, czyżby mimo wszystko nie czekał mnie powrót do Waszyngtonu? Przytrzymałem wężyk, na wypadek gdyby otworzyły się drzwi.

Znad jeziora dobiegły krzyki. Może któryś z wędkarzy coś złapał. Jednak nadal nikt nie przesunął zasłony, by zobaczyć, co się dzieje.

Okolo ósmej drzwi się otworzyły i wyszło dwóch mężczyzn.

Miałem na działanie nie więcej niż pięć sekund. Nie mogłem czekać, aż się doskonale ustawią, bo nie mogłem dać im czasu na dostosowanie się do warunków panujących na zewnątrz. W ciągu kilku sekund po opuszczeniu domu nadal byli dostrojony do tego, co działo się w środku, na przykład do hałasu pralki czy telewizora oraz odgłosu szurania i rozmowy. Gdyby przebywali na zewnątrz więcej niż pięć sekund, toby zaczęli słuchać szumu drzew i plusku wody. Musiałem działać, zanimby do tego doszło, a potem znowu zastygnąć. Tylko moje oczy mogły się poruszać. Nacisnąłem wężyk, robiąc pięć czy sześć zdjęć. Dzięki temu, że był to aparat cyfrowy, nie musiałem się przejmować odgłosem przewijania i spustu.

Teraz miałem czas na przyjrzenie się obydwu mężczyznom. Było oczywiste, że nie obudzili się zbyt dawno. Jeden z nich miał na sobie skórzane buty z rozwiązanymi sznurowadłami i pogniecioną niebieską bluzę, a także wygniecione, sprane niebieskie dżinsy. Wyglądało, jakby spał w tym ubraniu. Jego kruczoczarne włosy były potargane, a twarz pokrywał kilkudniowy zarost. W wieku trzydziestu paru lat nie wyglądał zbyt groźnie, ponieważ miał tylko około stu sześćdziesięciu centymetrów wzrostu i szczupłą budowę ciała. Jak powiedziałby Josh, był za chudy w uszach. Najbardziej rzucały się w oczy rysy jego twarzy - zdradzały bliskowschodnie pochodzenie.

Drugi mężczyzna miał ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, podobną karnację i był szerszy w barach. Włożył sportowe buty, koszulkę z napisem „Faceci w czerni” wyglądającą spod ciemnej wełnianej kurtki i parę czarnych spodni od dresów. Wyglądał też na bardziej obudzonego, a z lewego kąca ust zwiisał mu papieros. W prawej ręce trzymał pomiędzy środkowym i wskazującym palcem sznur koralików modlitewnych, które wyglądały bardzo podobnie do katolickiego różańca. Przerzucał je tak, że oplataty mu palce, a potem odwijaty się na nowo.

Stali przy drzwiach, patrzyli na jezioro i mamrotali coś do siebie. Wyższy z nich wsunął rękę pod dres i zaczął się drapać. Ich mamrotanie przypominało arabski. Zamknęli drzwi i ruszyli w moim kierunku, mijając suszarkę na pranie.

Zamarłem, pozwalając sobie tylko na krótkie, płytkie oddechy. Odgłosy ich kroków brzmiały jak stąpanie Godzilli.

Idąc, patrzyli na jezioro, pewnie obserwowali rybaków. Nie zdawali sobie sprawy z mojej obecności, ale musiałem być przygotowany na zdemaskowanie. Byłem pewien, że sukinsyny mnie zobaczą. Spojrzałem w prawo, gdzie nie dalej niż dziesięć centymetrów od mojej prawej dłoni leżał łuk. Ani drgnij pomyślałem - uspokój się i czekaj.

Napiąłem ciało gotów do działania. Jak mogłem się z tego wykaraskać? Jedyne odpowiedzi brzmiała: walczyć. Nie mogłem sobie raczej pozwolić na uśmiech i tłumaczenie, że zabłądziłem. Gdybym był wystarczająco szybki i nie zaplątał się w siatkę maskującą, mógłbym wyciągnąć łuk. Ale nie, to by nic nie dało. Musiałbym po prostu dać nogę, modląc się o to, żeby nie mieli przy sobie broni. Przejrzałem w myślach listę ważnych rzeczy, upewniając się, że mam je w kieszeniach.

Zatrzymali się. Wymienili jeszcze parę słów, a potem ten w koszulce z napisem „Facet w czerni” zaciągnął się po raz ostatni papierosem, upuścił go na ziemię i rozgniół czubkiem buta. Najwyraźniej nie czytał tablic upraszających o zostawianie wyłącznie śladów stóp.

Skręcili w prawo jakieś dziesięć metrów przed moim stanowiskiem i ruszyli w górę zbocza ku ścieżce. Wybrali łatwiejszą drogę, gdyż zbocze tuż przy domu było bardziej strome. „Za chudy w uszach” prowadził.

Gdy doszli do ścieżki, zrozumiałem, że dokonują obchodu terenu. Rozglądali się, czy ktoś w nocy nie zostawił śladów. Zeszli ze ścieżki i ruszyli w dół zbocza, ale zatrzymali się w pobliżu domu. Zaciekało mnie to i zaraz domyśliłem się, że dom musi być wyposażony w system alarmowy wykrywający zbliżające się osoby. Oprócz czujników, które uruchamiały lampy, musiały tam też być czujniki ostrzegające o ruchu na zewnątrz. Sądząc po trasie, którą obydwoj obrali, domyśliłem się, że czujniki prawdopodobnie obejmują swym zasięgiem pas terenu wokół domu szerokości od dwunastu do piętnastu metrów.

„Facet w czerni” znowu zapalił papierosa, gdy obydwoj zawrócili na ścieżkę, i potem zniknął z towarzyszem za domem, nadal bawiąc się swoimi paciorkami. Wykorzystałem ten moment na sprawdzenie ustawienia aparatu oraz leżącego za mną worka i zapięcia kieszeni.

Po czterech minutach zobaczyłem, jak wynurzają się zza rągu domu od strony jeziora i idą w kierunku łodzi na przyczepce. Weszli na nią, zapalili silnik i zaczęli dodawać ostro gazu, aż zobaczyłem strumień niebieskich spalin wydobywający się z rury wydechowej z silnika dwusuwowego. Potem równie niespodziewanie zgasili silnik, wyskoczyli z łodzi i rozmawiając w ożywiony sposób, zniknęli za drzwiami prowadzącymi do garażu. Po chwili usłyszałem zapalany silnik minivana. Nigdzie nie jechali, bo na drodze stała łódź. Oznaczało to, że chłopaki są dobrzy w swoim fachu - sprawdzali wszystko łącznie ze środkami ewakuacji, na wypadek gdyby znaleźli się w opałach.

Silnik samochodu zgasł i zapadła cisza. Nie pokazali się już na zewnątrz.

Wiedziałem teraz, że w domu są przynajmniej dwie osoby, a także, że z garażu jest przejście do wnętrza domu.

Przez kolejne parę godzin nic się nie wydarzyło. Leżałem, obserwując dom i dając na zmianę odpocząć to jednemu oku, to drugiemu. Co jakiś czas słyszałem turkotanie silników dobiegające z jeziora i kilka razy odgłos spłuczki toaletowej.

Niekiedy dobiegały mnie z dużej odległości wrzaski młodzieży. Pewnie wiosłowali albo pływali, ale poza tym nie działo się nic niezwykłego.

O dziesiątej piętnaście zobaczyłem, jak mama, tata i dzieciaki z drugiego domu zaczynają spychać swoją łódź do jeziora; pewnie wybierali się na wycieczkę, która miała trwać cały dzień, a w każdym razie do momentu, gdy zacznie padać. Potem nie działo się już nic. Nadeszła pora na pizzę i batonik Mars.

Okolo jedenastej trzydzieści dostrzegłem jakiś ruch przy drzwiach garażu. Nadal przeżuając ostatni kawałek trzeciego już batonika, przesunąłem kciuk na wężyk wyzwalacza.

Pokazał się „Facet w czerni”. Obserwując go, przesunąłem powoli aparat w prawo i pożałowałem, że nie mam bardziej szerokokątnego obiektywu. Poszedł do przodu przyczepki i zatrzymał się przy haku. Wydawało się, że czeka, i rzeczywiście zaraz rozległ się odgłos silnika minivana.

Z drzwi wyszła Sara. Tu cię mam! Miała na sobie błękitne dżinsy i niebieską bluzę z logo firmy Quicksilver na plecach. Znałem jej krok, poznałem nawet jej buty. Zatrzymała się, by spojrzeć na niebo. Tak, miało padać. Uruchomiłem wyzwalacz, mając nadzieję, że ją trafiłem. Jeśli tak, to moja robota była prawie skończona. Czuję się bardzo dziwnie, widząc ją po tak długim czasie i w tak

dziwnych okolicznościach. Nadal wyglądała jak na zdjęciu w swoim mieszkaniu, ale tym razem się nie uśmiechała. Obserwując ją z ukrycia, doznałem uczucia, jakbym miał nad nią dziwną władzę.

Ponieważ łódź stała za blisko, nie można było do końca otworzyć bramy garażu. Sara i „Facet w czerni” obrócili łódź równolegle do brzegu i całkowicie otworzyli drzwi garażu. Z jego wnętrza wynurzył się czarny ford explorer. Za kierownicą siedział „Za chudy w uszach”. Odpicował się, sądząc po górnym fragmencie jego stroju, pewnie załatwił naturalne potrzeby, wziął prysznic i się ogolił.

Samochód podjechał w moim kierunku, z głośnym terkotem, a potem skręcił pod górę ku dróżce. Wyciągnąłem szyję, żeby dojrzeć numer rejestracyjny. Nie mogłem jednak dostrzec żadnych szczegółów, ale samochód z pewnością miał tablicę z Karoliny Północnej z hasłem „Pierwsi w przestworzach” i obrazkiem przedstawiającym samolot braci Wright na białym tle.

Przesunąłem wzrokiem z powrotem na Sarę. Pomagała obrócić łódź dziobem do wody, żeby była gotowa do użycia. Z pewnością stanowiło to jeden z ich wariantów ucieczki, Skończywszy, weszli do garażu, zamykając za sobą do końca bramę.

Bardzo dziwna i paskudna sprawa. Wyglądało na to, że Londyn mimo wszystko miał rację, martwiąc się jej zachowaniem.

Powoli wydobyłem notes elektroniczny, odsunąłem klapkę jednego z portów, wsunąłem do niego wydobytą z kieszeni džinsów kartę i włączyłem urządzenie.

Karta służy do przechowywania informacji w dość podobny sposób jak dyskietka w peccie. Na ekranie notesu pojawiło się około dwustu słów i wyrażeń, a obok każdego z nich sekwencja pięciu cyfr. Były tam też zakodowane litery alfabetu, potrzebne do zapisywania rzadko spotykanych słów. Żeby sporządzić informację, musiałem jedynie dojść do słowa czy wyrażenia, które było mi potrzebne, i zapisać ołówkiem na papierze odpowiadający mu pięciocyfrowy ciąg. Osobiście wolę ołówki niż długopisy, bo można pisać nimi podczas deszczu. Zawsze używam ołówka zatemperowanego z obu końców, bo jeżeli jeden koniec grafitu się złamie, to mogę wykorzystać drugi.

Pierwsze elementy informacji, którą miałem wysłać, były standardowe i nie potrzebowałem do nich kodu. Mój PIN brzmiał 2442, ale ponieważ cyfry grupuje się po pięć, żeby można było skorzystać z kodu, to zmieniłem go na 02442. Potem dodałem czas i datę: 02604 (dwudziesty szósty kwietnia). Spojrzałem na zegarek i dopisałem 01156 (jedenasta pięćdziesiąt sześć, jak zwykle czasu lokalnego). Teraz musiałem tylko dokonać przeglądu wyrażeń i ułożyć wiadomość.

Pierwszym wyrażeniem, które odszukałem, było „tg. lok. 6 cyfr. siatka”. Podałem opis mapy plus sześciocyfrowe namiary celu. Dla całkowitej pewności podałem, że jest to budynek stojący od wschodniej strony.

Dalej pisałem: „ECHO JEDEN (Sara) ZLOKALIZOWANE Z DWOMA BRAVOS (mężczyznami) TYP BLISKOWSCHODNI. CZUJNI. BEZ BRONI. ZDJĘCIA NA MACINTOSHU. CZEKAM NA DALsze INSTRUKCJE”.

Zakończyłem wiadomość ponownie moim numerem PIN-u i to było wszystko. W rezultacie otrzymałem dwadzieścia jeden grup cyfr.

Włożyłem drugą kartę do portu B, wyjąłem kartę z portu A i umieściłem ją z powrotem w kieszeni džinsów. Mogłem korzystać z notatnika, kiedy obydwie karty były włożone, ale nie lubiłem tego robić, bo gdyby pojawiły się problemy i zostałbym złapany, to przeciwnik miałby dostęp do całego systemu. Trzymając karty osobno, miałem przynajmniej szansę ukryć lub zniszczyć ich kluczową część.

Druga karta również wypełniona była uszeregowanymi po pięć grupami cyfr, które nazywano „jednorazową klawiaturą”. Metoda jednorazowej klawiatury została wymyślona przez niemieckie służby dyplomatyczne w latach dwudziestych i jest prostym sposobem szyfrowania, polegającym na pojedynczym wykorzystaniu przypadkowo wybranego przycisku. Istnieje kilka wariantów tego systemu. Brytyjczycy zaczęli po raz pierwszy korzystać z niego w 1943 roku, ale jest nadal powszechnie używany przez służby wywiadowcze wszystkich krajów i pozostaje jedynym systemem kodowania, którego nie sposób złamać, zarówno w teorii, jak i w praktyce.

Zacząłem od zapisania w zwykłym notesie pierwszej grupy z „jednorazowej klawiatury” pod pierwszą grupą mojej wiadomości, czyli moim PIN-em. Pisałem dalej, aż wszystkie dwadzieścia jeden grup miały przyporządkowane inne zestawy cyfr pochodzące z „jednorazowej klawiatury”. Teraz musiałem odjąć 14735, czyli pierwszą grupę z „jednorazowej klawiatury”, od 02442, czyli mojego kodu identyfikacyjnego. W wyniku otrzymałem 98717, ale nie dlatego, że moje umiejętności matematyczne były do dupy, ale dlatego, że w szpiegowskim rachowaniu nie pożyczają się dziesięciu, tylko się je gubi. Proste jak diabli.

W Londynie wiedzieli, że moja wiadomość zacznie się od mojego PIN-u, a grupy cyfr są zawsze używane w tej kolejności, w jakiej są przesyłane. Bez problemu mogli dodać grupy z ich „jednorazowej klawiatury” do grup, które im przesałem, dzięki czemu otrzymaliby ponownie oryginalny zestaw cyfr, bo oni również rachowali po szpiegowsku. Porównując je z książką kodową, mogli odczytać wiadomość. Po jednokrotnym wykorzystaniu te same grupy liczb już się miały więcej pojawić.

Podliczyłem jeszcze raz wyniki, by sprawdzić, czy moje wyliczenia są prawidłowe, i już byłem gotowy do przesłania wiadomości. Włączyłem telefon, wybrałem kod PIN i czekałem na sygnał. Potem wystukałem hasło „Kay” na klawiaturze notatnika, by wydobyć numer Elizabeth, bo mimo wszystko nie udało mi się go zapamiętać. Po dwóch sygnałach usłyszałem nagrany, ale sympatyczny

głos kobiecy mówiący: „po usłyszeniu sygnału proszę zostawić wiadomość” i dwie sekundy później rozległo się „piiip”.

Wystukałem wiadomość w dwudziestu jeden grupach na klawiaturze numerowej, potem nacisnąłem „wysłać” i czekałem na potwierdzenie.

„Dziękujemy za - chwila przerwy i inny, syntetyczny głos dodający: - dwadzieścia jeden grup”, i znowu pierwszy głos kończący „wiadomość”. Wyłączyli się i ja też.

Włożyłem karty z powrotem do oddzielnych kieszeni w dzinsach, a potem zwinąłem kartkę z zapiskami w folię samoprzylegającą i umieściłem ją w błocie pod gałęzią. Nie chciałem się jej pozbywać, bo mogła się jeszcze przydać. Gdyby Londyn odpowiedział, że nie udało się im odczytać mojej wiadomości, to mogło to być spowodowane tym, iż schrzaniłem kodowanie albo dodawanie. Ten system bywa czasochłonny, ale jest skuteczny, jeżeli się go właściwie wykorzystają.

Następnym zadaniem było „przemakowanie” zdjęć. Podłączyłem przewód do telefonu, połączyłem z wejściowym gniazdem aparatu i włączyłem jego wewnętrzny modem.

Wybrałem londyński numer i gdy usłyszałem tę samą nagraną informację, nacisnąłem przycisk „send” na aparacie. Telefon przejął informację z cyfrowego aparatu i przesłał je do satelity. Na drugim końcu linii moje zdjęcia miały pojawić się na ekranie macintosha i zostać skopiowane na dysk. Po kilku minutach Elizabeth i Lynn będą mieli na biurkach wakacyjne fotki Sary i jej dwóch przyjaciół.

Po przesłaniu zdjęć wyłączyłem telefon, by oszczędzać baterię. Nie było sensu zostawiać włączonego telefonu, bo mało prawdopodobne, żeby zaraz się ze mną łączyli. Gdyby zresztą tak zrobili, to poczta głosowa i tak przejęłaby wiadomość. Nie śpieszyłem się, ponieważ nawet gdyby powiedzieli „koniec -op” i tak nie mogłem stąd wyjść przed nastaniem nocy.

Sprawy posunęły się od mojej odprawy. Próbowałem sobie wyobrazić, co się dzieje w Londynie. Elizabeth pewnie siedziała w domu, gdyż był weekend. Pewnie wysłała samochód do jej domu na wsi, żeby dostarczyć ją do gabinetu dowodzenia w Northolt w północnym Londynie. Pierwsza scena filmu Jutro nie umiera nigdy z Jamesem Bondem, w której pojawiają się wielkie ekrany i komputerowe obrazy na monitorach, nie odbiegała za bardzo od prawdy. Ludzie odbierający moje informacje nie mieli pojęcia, czego dotyczą ani od kogo pochodzą. Elizabeth zamknie się gdzieś z Lynnem i przyjrzy się wiadomości, narzekając pewnie, że zajęło mi to tak wiele czasu, a potem wypije kolejną herbatę. Z tego, co zauważyłem, obecnie bardzo modne jest picie mieszanek ziołowych. Jednak ona pewnie wypije earl greya. Przez ten czas musiałem czekać w tej dziurze.

To Elizabeth, a nie Lynn podejmie decyzję, co mam robić dalej. Znowu zacząłem żałować, iż nie wiem, kim ona jest. Nie znoszę sytuacji, kiedy ktoś ma nade mną taką władzę, a ja nie wiem, kto mu ją powierzył ani dlaczego.

Trzymałem kciuki za to, żeby nie wpadli na pomysł, aby umieścić w tym domu urządzenie podsłuchowe po to, by odkryć, kim są ci ludzie i co zamierzają. W takim wypadku musiałbym pomóc w wykonaniu tej roboty komuś, kogo do tego wyznaczą, co oznaczało przeprowadzenie rekonesansu z bliska. Mówiąc krótko, należałoby się dostać do wnętrza domu i zorientować, jaki jest najlepszy sposób wniesienia do środka danego urządzenia, a także opisać ogólny wygląd terenu, rozmiary domu oraz to, ile ma pięter, jakiego rodzaju drzwi i jakie zamki. Rozpoznanie zamków jest samo w sobie osobnym zadaniem, gdyż oznacza podejście do samych drzwi lub okna w celu ich dogodnego obejrzenia. Czasami posypuje się zamek odrobiną talku, a potem przykładą do dziurki od klucza plastelinę, wyciąga ją i wkłada w twardej pojemnik, żeby później można było zrobić odbitki. Potem oczywiście trzeba usunąć z zamka wszelkie ślady talku.

Bliskie rozpoznanie musi przynieść odpowiedź na każde pytanie, które może być zadane przez osobę mającą wejście do środka. Czy okna są zamykane na klucz? Jaka jest powierzchnia przezroczystych szyb? A szyb matowych? Jakie są główne ścieżki prowadzące do i z celu? Czy cel stoi obok jakichś budynków? Czy są tam jakieś garaże albo przybudówki czy miejsca do parkowania? Ile drzwi jest zabezpieczonych, a ile otwartych? Czy robią hałas podczas otwierania? Muszą to wiedzieć, żeby wziąć ze sobą oliwę do natłuszczenia zawiasów.

Czy są jakieś dobre dojścia? Jakies istotne przeszkody? Czy jest oświetlenie? Jakie są warunki pogodowe? Jakie trasy prowadzą do celu? Jaki jest ich ogólny stan? Co jest potrzebne, by dotrzeć do celu? Jakiego rodzaju jest grunt - orny, pastwisko, teren podmokły? Jakiego rodzaju naturalne przeszkody tam występują? Jaki czas i dystans dzieli cel od miejsca rozpoczęcia akcji? Gdzie jest punkt rozpoczęcia? Czy są tam jakieś zwierzęta? Psy, konie, gęsi? Udzielenie odpowiedzi było możliwe przy założeniu, że w ogóle dostanę się do celu, pokonując czujniki ruchu ze światłami.

Lista pytań może wyglądać na nieskończoną, szczególnie jeżeli ma się za sobą dwie godziny bliskiego rozpoznania; już prawie świta, a jestem dopiero w jednej trzeciej listy. Gdzie są najlepsze miejsca do usytuowania punktów obserwacyjnych? To było akurat proste pytanie: sam w nim byłem. Gdzie byłoby najlepsze miejsce na umieszczenie urządzeń do filmowania? Pewnie gdzieś po drugiej stronie jeziora. Czy można użyć helikoptera? Czy można użyć helikoptera, który dowiezie trzech lub czterech agentów?

Po zebraniu wszelkich informacji na temat otoczenia i wyglądu zewnętrznego domu musiałbym przeprowadzić rozpoznanie wewnątrz. W takim wypadku potrzebowałbym aparatu działającego w podczerwieni albo musiałbym kupić dostępne w sklepie filtry podczerwieni po to, bym mógł robić zdjęcia bez zwracania uwagi przebywających tam ludzi. Będą chcieli poznać wszystkie szczegóły, jakimi interesują się agenci handlu nieruchomościami. Jakie są rozmiary i rozkład każdego pokoju? Gdzie jest źródło zasilania prądem? Jeżeli się zakłada urządzenie podsłuchowe lub filmujące, czasami trzeba podłączyć się do sieci, bo baterie mają ograniczony czas działania. Gdzie jest najlepsze miejsce do założenia urządzenia podsłuchowego? Takie pytanie może pociągać za sobą konieczność przyjrzenia się podłodze, bo jeżeli chce się ukryć antenę, to dobrze jest umieścić ją w szparze między deskami, ale wymaga to określenia kierunku, w którym biegną szpary, po to, żeby łącznościowcy mogli dokonać teoretycznych wyliczeń dla swej anteny.

Tego rodzaju sprawy zajmują wiele dni przygotowania, podczas których moim zadaniem byłoby zostanie na miejscu i niespuszczanie celu z oka, aż wszystko będzie gotowe. Gdyby skończyły mi się zapasy, musiałbym dostać zaopatrzenie od osób z zewnątrz za pośrednictwem ukrytej przesyłki i już samo to stanowiłoby problem.

Z mojego punktu widzenia skończyłem robotę. Odnalazłem Sarę i wykonałem zdjęcia. Nie miałem ochoty mieszać się w cokolwiek, co nastąpi później.

Oderwałem się od tych rozmyślań, przypominając sobie robotę, którą kiedyś miałem w dżungli. Doszliśmy do punktu, z którego mieliśmy zdać raport, lało okropnie i mieliśmy wielką ochotę na jakiś gorący napój, ale nie mogliśmy sobie na to pozwolić, gdyż narzucono nam bardzo rygorystyczne warunki. Przesłaliśmy raport, który w skrócie miał następujący sens: jesteśmy u ujścia rzeki, co dalej?

- Czekać - przyszła odpowiedź.

Około czterech godzin później skontaktowali się znowu i przekazali:

- Obserwować każdą ścieżkę.

O co im, kurwa, chodzi? Obserwować każdą ścieżkę? Po co nam to? - dziwiliśmy się. - Jaka drogę?

- Obserwować każdą ścieżkę biegnącą z zachodu na wschód - wyjaśnili.

Musieli zwariować.

- Nie widzimy żadnej ścieżki biegnącej z zachodu na wschód - odpowiedzieliśmy - ale znaleźliśmy jedną, która biegnie ze wschodu na zachód i będziemy ją obserwować.

Jedyna odpowiedź, cała odpowiedź, jaką otrzymaliśmy, brzmiała: Wschód-zachód. W porządku. Koniec.

Ktoś tam albo robił sobie jaja, albo akurat tej nocy miał dyżur najgłupszy oficer na świecie. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, które z tych wyjaśnień było prawdziwe. Nigdy człowiekowi tego nie mówią.

Dalej nic się nie działo. Nawet wędkarze wrócili do namiotów na lunch. Uznałem, że nadeszła pora na pizzę i już miałem sięgnąć po jedno z opakowań, kiedy usłyszałem jakiś hałas i zaraz potem pospieszne głębokie sapanie.

Charakterystyczne metaliczne dzwonienie przytwierdzonej do obroży plakietki z imieniem wskazywało na zbliżanie się psa. Do tej pory nic w pobliżu celu nie zdradzało, że trzymają tam psa: prawdopodobnie pochodził z innego domu. Ale plakietka z imieniem mówiła, że nie jest to bezpańskie zwierzę, co z kolei znaczyło, że pewnie są z nim ludzie.

Usłyszałem pospieszne węszenie i po paru sekundach mokry, brudny nos zaczął węszyć wokół kryjówek. Może był entuzjastą firmowanej przez WalMart pizzy „Four Seasons”.

Przysunąłem powoli rękę do kieszeni, wydobywając tazer i pieprzowy spray. Nie wiedziałem, czy pieprz działa na psy, mogą być odporne na tego rodzaju bajer. Ale na pewno nie spodoba mu się

tazer. Niestety skomlenie zaalarmowałyby wszystkich, a gdyby na dodatek wstrząs go zabił, musiałbym go wciągnąć w krzaki i znosić towarzystwo śmierdzącego, mokrego zdechłego psa.

Węszenie dobiegało już tylko z odległości paru centymetrów od mojego ucha. Pies był podekscytowany, wiedział, że jest bliski łupu.

- Bob! - rozległo się wołanie młodej kobiety. - Gdzie jesteś? Do nogi, Bob!

Rozpoznałem ten głos.

Bob dalej węszył wokół mojej pozycji. Wymyśliłem sobie od razu, że jestem brytyjskim dziennikarzem pracującym w brukowej gazecie. Przygotowuję artykuł o słynnych ludziach ukrywających się w tym domu i chcę zrobić zdjęcia potwierdzające ich pozamałżeński romans. Postanowiłem, że od razu zacznę zadawać pytania, zanim oni zaczną pytać mnie. Wiecie coś o nich? Mieszkacie gdzieś w pobliżu? Możecie zarobić mnóstwo forsy, jeżeli powiecie nam, co o nich wiecie...

Mózg składa się z dwóch półkul. Jedna przerabia liczby i analizuje informacje, druga jest bardziej twórczą częścią, tam pracuje wyobraźnia, a jeżeli człowiek wyobrazi sobie całą sytuację, to może wpaść na to, jak sobie z nią poradzić. Im więcej sobie wyobrażamy, tym lepiej sobie radzimy. Taka argumentacja może brzmieć jak gadanina jakiegoś nawiedzzonego, ale to prawda.

Nie odrywałem oczu od celu, ale cały czas nasłuchiwałem, co robi pies. Człowiek wpada przeważnie przez takie cholerne sytuacje z przypadkowymi osobami, a najgorsze są psy. W sprzyjających warunkach potrafią wyczuć oddech i ruch na kilometr, a teraz najwyraźniej panowały takie warunki. Psy mają bardzo słaby wzrok, o połowę gorszy niż człowiek, ale ich słuch jest dwa razy lepszy. Wiatr wiał od strony jeziora w kierunku psa. Może mnie usłyszał, ale byłem pewien, że przyciąga go zapach. Wabi je nie tylko zapach żywności, ale również zapach ciała lub ubrania, szczególnie gdy jest wilgotne. Woń mydła, dezodorantu, skóry, tytoniu, pasty do butów, benzyny są łatwe do wykrycia. Kto wie, co pies wyczuł w tym wypadku.

Im dłużej węszył, tym bardziej dochodziłem do przekonania, że szuka pizzy. Mógłbym ją zapakować nie wiadomo jak, ale jego nos i tak nie dałby się oszukać. Przemytnicy marihuany pakują ją w liście eukaliptusa, żeby zniechęcić psy, ale to nie skutkuje. Bydlaki potrafią wywęszyć jedno i drugie jednocześnie i wiedzą, kiedy dostaną w nagrodę smaczną czekoladową kostkę.

Nie dalej niż dwadzieścia metrów za mną rozległ się głos mężczyzny. Miałem nadzieję, że jest w jednym z zagłębień terenu.

- Bob! Gdzie jesteś? Chodź tutaj!

Poznałem również i ten głos. Natknąłem się na nich oboje ostatniej nocy i teraz zanosilo się na to, że odpłacą mi się podobną przysługą.

- Gdzie on jest, Jimmy? - zapytała dziewczyna.

- Powiedziałem ci, do cholery - odparł ze złością - że trzeba go trzymać na smyczy albo w samochodzie.

- Rodzice mnie zabijają. - Jęknęła, jakby zbierało się jej na płacz.

Facet zaczął mięknąć.

- Nie martw się, nic mu nie będzie. Przepraszam.

Miałem nadzieję, że bardziej im zależy na pogodzeniu się niż na pchaniu się za Bobem do mojego krzaka. Byłem jednak gotowy na spotkanie: postanowiłem trzymać się mojej wersji o brukowcu, bo i tak zobaczyliby aparat. Poza tym, jeśli byłem reporterem, wyjaśniało to, dlaczego nie powiedziałem im o tym w nocy. Wystarczyłoby, żebym trzymał w ukryciu łuk.

Oboje nie mieli jeszcze pojęcia, że tam jestem, ale ten wścibski sukinsyn, Bob, wiedział o tym. Dziewczyna wciąż mówiła.

- Muszę wracać. Rodzice się wściekną, jak się spóźnię z samochodem i jeszcze zgubię Boba.

Nie zrobiło to na nim wrażenia.

- OK, OK, powiedziałem, że wrócisz do domu na czas.

Wyglądało na to, że jest wkurzony. Pewnie już widział, jak rozwiewa się nadzieja na szybki numer w lesie w samo południe.

Dziewczyna zachichotała, pewnie próbował jeszcze raz.

- Jimbo, nie tutaj! Muszę wracać do domu. Bob, chodź mały, chodźmy.

Bob wcale się tym nie przejął, ale obwąchał jak szalony moje stanowisko i zaraz psi pysk pokazał się wprost przede mną, domagając się działki pizzy. Ostrożnie zgarnąłem garść ziemi i rzuciłem mu nią w oczy. Bob uznał, że facet od pizzy szuka zaczepki. Wycofał się, ale nie tak daleko, jak się spodziewałem, i zaczął szczeakać. Spieprzyłem sprawę, ale nie miałem wyboru. Skoro już zaczął szczeakać, to wiedzieli, gdzie jest.

Dziewczyna musiała przejść przez pagórek, bo słyszałem jej głos o wiele wyraźniej.

- Bob! Patrz, Jimmy, on coś znalazł. Co znalazłeś, Bob?

Sprężyłem się.

- Co znalazłeś, malutki?

Postanowiłem rozkręcić moją reporterską gadkę, gdy tylko mnie zobaczy.

- Co się dzieje, Bob?

Bob uniósł do góry zad i wyciągnąwszy przednie łapy przywarł do ziemi. Zaczął szczeakać, odskakując tam i z powrotem. Dalej nie spuszczałem wzroku z celu, ale słuch nastawiłem na dziewczynę, która ruszyła wprost ku kryjówce. Gdzieś za mną rozległ się krzyk okropnie zirytowanego faceta.

- No chodź, idziemy. Bob, do nogi!

Poruszyły się zasłony na pierwszym piętrze. Bob dalej skakał podniecony, a na domiar złego usłyszałem samochód.

Gdy nos Boba znowu przysunął się do siatki, postanowiłem go przywitać pieprzowym sprayem. Odkoczył, skowycząc, i pobiegł do mamusi.

- Widzisz, Bob? - usłyszałem głos dziewczyny. - Dobrze ci tak! Przestań rozrabiać!

Pewnie pomyślała, że coś go ugryzło w nos. Zaszurała po piasku, odchodząc z psem. Jimmy dalej głośno złorzeczył za jakimś wzniesieniem. Odgrażał się, że następnym razem, kiedy wybiorą się do lasu, zamknie Boba w samochodzie, żeby nachuchał na okna jak poprzedniej nocy.

Położyłem głowę z powrotem na ziemi, patrząc i nasłuchując, wprost oczekiwałem, że się coś popieprzy. Explorer wrócił z dwoma ludźmi. Uniósłem głowę tuż przedtem, nim skręcił z drogi i ruszył w dół stoku ku garażowi.

Zobaczyłem, jak zjeżdża ze stoku i skręca w kierunku garażu, oddalając się ode mnie. „Za chudy w uszach” nadal siedział za kierownicą. Nie byłem jednak w stanie dostrzec, kim jest jego nowy kumpel zajmujący miejsce pasażera. Explorer zatrzymał się tuż przed garażem i w tym samym momencie otworzyły się boczne drzwi domu. Znowu Sara. Patrzyła w kierunku lasu ponad moją głowę, obserwowała Boba i jego przyjaciół. Ja z kolei obserwowałem ją, usiłując spojrzeć jej w oczy. Zorientowałbym się w ten sposób, czy coś podejrzewa. Widziałem, jak przygląda się linii drzew, a potem przesunęła wzrok w górę stoku i z powrotem w dół, w moim kierunku. Kiedy już zbliżyła się wzrokiem do mojego stanowiska, spojrzałem w bok. Nie mogłem na nią patrzeć. Jakiś szósty zmysł czasami informuje człowieka, że znajduje się pod obserwacją. Nie mogłem ryzykować.

Wiedziałem, że robię źle. Nawet jeżeli nie okazałaby, że coś dostrzegła, tylko poszła z powrotem do domu, by po chwili wrócić z pistoletem maszynowym i naszpikować teren kulami, to znałem ją wystarczająco dobrze, by dostrzec to w jej oczach. Czułem, jak pot ścieka mi po nogach i karku. Przeczekałem jeszcze trzy czy cztery sekundy i znowu podniosłem wzrok. Kończyła oglądanie terenu, przesunęła wzrok obok mnie i w dół do jeziora. Dotarłszy do niego wzrokiem, szybko odwróciła się do samochodu i podeszła do drzwi od strony pasażera.

Z wnętrza pojazdu wyłonił się biały mężczyzna. Biorąc pod uwagę styl jego ubioru, uznałem, że jest Amerykaninem. Był ubrany w czarną kurtkę, obcisłe niebieskie dżinsy i białe sportowe buty. Średniego wzrostu i przeciętnej budowy ciała; dość długie, czarne, kręcone włosy i wąsy nasuwały skojarzenie z szeryfem z filmów rysunkowych z królikiem Bugsem. Oceeniłem go na trzydzieści kilka lat. Wyglądał wystarczająco dobrze, by grać muskularnego drwala w każdym telewizyjnym tasiemcu.

Przywitał się serdecznie z Sarą: uściskali się i pocałowali w usta, trzymając się w objęciach. Mówili do siebie cicho, a Sara głaskała go po plecach. Jednak było w tym coś dziwnego. Wyglądali na zadowolonych ze spotkania, ale nie rozmawiali zbyt głośno i nie okazywali wyraźnych uczuć.

W ciągu trzydziestu sekund, kiedy byli razem, zrobiłem dwa zdjęcia.

„Za chudy w uszach”, który wyglądał całkiem elegancko w dżinsach i ciemnej marynarce w kratę, opuścił tylną klapę explorera i wyciągnął z niego brązową walizę z naklejką linii lotniczych na rączce.

Sara zniknęła w garażu z białym gościem, a „Za chudy w uszach” wszedł za nimi, zamykając drzwi. Nadeszła pora na wysłanie kolejnego raportu.

Właśnie zacząłem przygotowywać raport, kiedy „Za chudy w uszach” wyszedł bocznymi drzwiami w towarzystwie „Faceta w czerni”. On też wziął prysznic i ogolił się. Teraz był ubrany w eleganckie brązowe spodnie i marynarkę. Obydwaj wsiedli do eksplorera, „Za chudy w uszach” znowu zajął miejsce za kierownicą. Samochód zawrócił, kierując się w górę stoku. Nie rozmawiali ze sobą ani się nie uśmiechali. Wcale też nie wyglądali na zadowolonych. Coś się działo.

Samochód przejechał, kołyszając się po nierównej drodze,

i zniknął z oczu. Spojrzałem z powrotem na dom. Wszystkie okna i drzwi były zamknięte. Zastony też zaciągnięto. Wyglądało to dziwnie, bo jak ktoś przyjeżdża do tak ładnego miejsca, to od razu chce mu się pokazać widoki. Może miała z nim ciekawsze rzeczy do roboty. Mógł być po prostu kolejnym palantem, którego wykorzystywała. Tylko do czego?

Explorer wrócił prawie po dwóch godzinach. Na tylnym siedzeniu dostrzegłem ludzi. Nie mogłem ich policzyć, kiedy samochód zaczął zjeżdżać po zboczach, bo patrzyłem to na samochód, to na boczne drzwi, czekając, kiedy się otworzą. Po chwili stanął w nich Amerykanin. Nigdzie nie było ani śladu Sary. Amerykanin wyglądał na spiętego. Przyjrzał się jezioru, tak jak to robił „Facet w czerni”, kiedy bawił się paciorkami. Obserwowałem go, słuchając odgłosu kół wozu, powoli mijającego moje stanowisko. Poły dżinsowej koszuli Amerykanina zwisały luźno, wystając spod kurtki. Miałem rację: mieli z Sarą do roboty lepsze rzeczy niż przyglądanie się krajobrazowi.

Samochód się zatrzymał i zobaczyłem, że na tylnym siedzeniu jest dwóch pasażerów. Wysiedli całą czwórką, a ja nacisnąłem spust aparatu.

Dwaj nowo przybyli mieli ciemną karnację. Objęli Amerykanina, całując się z nim w obydwie policzki. Wyglądało na to, że bardzo dobrze go znali. Mimo to nie słyszałem głośnych okrzyków powitania ani nie widziałem uśmiechów. Wszyscy mówili cicho, toteż nie mogłem ich zrozumieć. Atmosfera spotkania wskazywała, że z jakiegoś powodu im ulżyło.

„Za chudy w uszach” i „Facet w czerni” otworzyli tylną klapę i wyciągnęli z pojazdu dwa kwadratowe pojemniki. Były to aluminiowe pudła oklejone czymś, co wyglądało na stare i poobrywane naklejki z napisem „ostrożnie szkło” i taśmę stosowaną przez linie lotnicze. Wnieśli pudłami do garażu przez boczne drzwi. Przedział bagażowy eksplorera nadal wypełniały sportowe torby, jakaś waliza i czarny plastikowy cylinder, który sięgał od tylnego siedzenia do dźwigni zmiany biegów z przodu samochodu. Miał około dwóch metrów długości i był zamknięty z obu końców. Mogła to być największa na świecie rura do przechowywania plakatów albo futerał na jakieś porządne wędkę, chociaż to mało prawdopodobne. Jeden z nowych pokazał gestem drugiemu i Amerykaninowi, żeby mu pomogli.

Pstryknąłem jeszcze parę ujęć. Domagający się pomocy facet wyglądał na o wiele starszego niż pozostali: niski i łysy, z bardzo starannie utrzymanym czarnym wąsem. Był dość gruby, szczególnie w pasie. Wyglądał jak dobrze spasiony gangster nazywany Bossmanem. Drugi gość był przeciętny, miał średnią budowę ciała i wzrost i wyglądał na jakieś dwadzieścia lat. Przydałoby mu się parę talerzy tego, co jadł jego łysy kumpel.

Wszyscy kilkakrotnie pokonali trasę do garażu, niosąc rzeczy, i explorer był już pusty. Boczne drzwi zamknęły się i znowu wszystko wyglądało tak, jakby cały dzień nic tu się nie działo. O co tu chodzi?

Od naszego pierwszego spotkania odnosiłem wrażenie, że Sara odnosi się z sympatią do Arabów. Miała z nimi do czynienia przez większość życia. Prawdę mówiąc, raz nawet pokłóciliśmy się na temat Jasera Arafata. Ja powiedziałem, że odstawił porządny kawał roboty, a ona uznała, że Arafat sprzedaje się Zachodowi.

„Tu chodzi o ojczyznę, duchową i kulturę, Nick” - mówiła za każdym razem, kiedy pojawiał się ten temat.

Oczywiście nikt, kto chociaż przeszedł obok obozu uchodźców palestyńskich, nie mógłby z tym polemizować, ale przypuszczałem, że chodzi o coś więcej.

Zaczynało mżyć. Jeszcze woda nie przeniknęła do skóry, ale wyraźnie widziałem kropelki spadające przede mną na ziemię. Z dala dobiegł odgłos zaburtowych silników: to nieustraszeni wędkarze ruszali w pogoń za karpem. Pewnie już minęła pora lunchu.

Obserwacja to nie tylko wykonywanie określonych czynności. Raport mówiący „z pojazdu wysiadło czterech mężczyzn, dwóch wzięło bagaże i weszło do środka” jest w porządku, ale ważna jest interpretacja tych wydarzeń. Czy wyglądali na spiętych? Czy wyglądało na to, że się dobrze znają? Czy może był to pan i jego służący? Ci ludzie spotykali się w ukryciu i mieli jakiś sprzęt. Widziałem takie rzeczy w przeszłości, kiedy służyłem w jednostkach bojowych. Pudła wyglądały tak, jakby spędziły wiele godzin w powietrzu, tyle że nie podczas ostatniej podróży. Na rączkach toreb nie było naklejek linii lotniczych. Może jeździli stąd w jakieś umówione miejsce, żeby przejąć sprzęt. Jeśli tak, to po co? To, co działo się tutaj, nie miało nic wspólnego z żółwiami.

Cała historia zaczynała wyglądać coraz ciekawiej. Lynn i Elizabeth musieli wiedzieć, że jest tu teraz czterech Arabów, jeden Amerykanin i Sara. Może Londyn potrafił zrozumieć, co tu się dzieje. Przecież musieli wiedzieć o wiele więcej, niż mi powiedzieli. Jeżeli wszystko dobrze poszło, to Elizabeth była już teraz w Northolt. Wczytywała się w przesłaną przeze mnie wiadomość i oglądała zdjęcia, pijąc przy tym tak mocną herbatę, że można było postawić w niej łyżkę.

Nadeszła piętnasta czterdzieści osiem: czas włączyć telefon. Od mojej ostatniej transmisji minęło już parę godzin, więc pewnie już dzwoniли do mnie z potwierdzeniem, a może nawet i z odpowiedzią.

Wyjąłem telefon z kieszeni i włączyłem, kładąc go w dołku, bym mógł dojrzeć sygnał, kiedy wyciągnę z dzinsów karty i będę kodował mój raport sytuacyjny. Wyciągając elektroniczny notatnik, poczułem, że za chwilę dostanę rozwolnienia. Tyle miałem pożytku z imodium: powinno mnie zatkać, ale może mieszanina pizzy, batoników i mielonki nie była najbardziej wiążącym materiałem. Wiedziałem z gorzkiego doświadczenia, że zwalczanie tej potrzeby nigdy nie skutkuje. Jeżeli ma się czas, to bez względu na niewygodę nie należy czekać z tym do ostatniej chwili, bo na pewno zacznie się coś dziać akurat w chwili, kiedy się spuści spodnie.

Wyciągnąłem z worka rolkę folii samoprzylegającej i oderwałem kawał: miał chyba z metr długości. Oparłem się na lewym boku, nadal usiłując nie spuścić celu z oczu, rozpiąłem prawą ręką guziki obydwu kompletów spodni i ściągnąłem je razem z majtkami. Potem wziąłem folię i podsunąłem ją pod siebie gotów do odbioru towaru. Miałem ochotę się odlać, ale nie mogłem szukać na tym etapie kanistra, więc chwilowo musiałem się powstrzymać i zająć główną czynnością. Zawinałem pierwszą porcję w folię i odłożyłem ją na bok, oderwałem kolejny kawałek, podsunąłem pod siebie i działałem dalej. Robienie w polu takich rzeczy nigdy nie jest łatwe, szczególnie kiedy się leży na boku, czując skurcze w brzuchu, bo trzeba to robić w sposób kontrolowany. Nieprzyjemna sprawa, ale nie ma możliwości tego obejść.

Mżawka przemieniała się w coś poważniejszego - usłyszałem pierwsze krople spadające na liście nad moją głową. Byłem w połowie zapełniania drugiego kawałka folii, kiedy wyświetlacz telefonu poinformował mnie, że mam do odebrania wiadomość.

W tej samej chwili usłyszałem głos mężczyzny mówiącego z amerykańskim akcentem. Wyłączyłem telefon i wepchnąłem go do kieszeni razem z elektronicznym notatnikiem. Wyjrzałem na zewnątrz kryjówek, by po ruchu drzew rozpoznać kierunek wiatru. Nadal wiało znad jeziora. Amerykanin był sam. Wyszedł z garażu i ruszył ku łodzi.

Rozpaczliwie usiłując zapanować nad zwieraczem i pęcherzem, obserwowałem go, gdy przesuwał łódź, by nie blokowała wjazdu do garażu. Pomyślałem, że ma zamiar umieścić w nim eksplorera. Wsiadł za kierownicę i zapalił silnik, dodając gazu. Wszystkie zasłony w domu nadal były zaciągnięte i nie dostrzegłem w nim żadnego ruchu.

Są takie momenty podczas operacji, kiedy nie pozostaje nic innego, jak tylko narobić w spodnie, szczególnie na stanowiskach obserwacyjnych w mieście, kiedy jest się na poddaszu, a pod spodem przebywają ludzie. Człowiek stara się tego nie zrobić, bo może zaraz potem musieć wyjść na ulicę i działać w tłumie ludzi, ale czasami nie ma wyboru. Przed operacją nie należy jeść ani pić i trzeba się nałykać imodium - to jedyne zabezpieczenie. Potem pozostaje już tylko liczyć na szczęście. Można leżeć na stanowisku obserwacyjnym przez cztery tygodnie, ale gdy tylko człowiek wyciągnie kawałek folii, zaraz zaczyna się coś dziać.

Miałem rację. Explorer znalazł się w garażu, łódź wróciła na swoje miejsce, a Amerykanin zniknął w domu. Dokończyłem robotę z folią i kanistrem na benzynę i podciągnąłem spodnie. Czuję się nieszczęśliwie, ale pocieszałem się myślą, że folia pewnie lepiej spełni zadanie niż papier z toalety na parking.

Oderwałem kolejny duży kawałek, zapakowałem razem odchody i wrzuciłem je do worka. W ten sposób miałem szansę ukryć zapach, co z kolei oznaczało, że nie przyciągnę z okolicy wszystkich

much i zwierząt. Potem umieściłem w worku również kanister. W ten sposób dołożyłem swoją cegielkę do ekoturystyki.

Miałem nauczkę, dlatego pogrzebałem w werku, wydobyłem imodium i wziąłem kolejne sześć kapsułek, które pewnie spowodowałyby zatwardzenie u słonia. Potem znów się położyłem, podkładając ręce pod brodę i wpatrując się w cel, ale po kilku wdechach uznałem, że lepiej wytrze je o ziemię i przez pewien czas potrzymam z dala od twarzy.

Wokół celu nic się nie zmieniało. Zastony nadal były zaciągnięte. W kryjówce robiło się mokro i nieprzyjemnie. Padało coraz bardziej: słyszałem odgłosy kropli uderzających o korony drzew; woda kapiała z krzewu, przenikając przez siatkę maskującą, a potem ściekała mi po twarzy i szyi. Odsunąłem małą gałązkę, która kłuła mnie w policzek. Znowu się potwierdzało, że w punkcie obserwacyjnym człowieka przesładowuje pech: wiedziałem, że jest tylko kwestią czasu, kiedy woda zacznie po mnie spływać ciągłym strumieniem.

Wyjąłem telefon. Przyciskając go do klatki piersiowej, włączyłem zasilanie, wybrałem mój PIN, potem numer cukierniKay i następnie *2442. Wiedziałem, że przekazują mi grupy cyfr, tak samo jak sam to zrobiłem, z tą różnicą, że ich grupy są nagrane na taśmie, która jest odtwarzana w kółko, aż potwierdzę, że otrzymałem wiadomość.

Przyłożyłem telefon do ucha i czekając na sygnał, włączyłem notatnik na funkcję edytora tekstu. Słuchając kobiecego głosu, który recytował pięciocyfrowe liczby, wystukiwałem je na klawiaturze. To było prostsze niż zapisywanie na papierze...

- Grupa szósta: 14732. Grupa siódma: 97641. Grupa...

Nie mogłem przegapić końca informacji, gdy powiedziała:

- Ostatnia grupa: 69821. Koniec wiadomości. Naciśnij gwiazdkę, jeżeli chcesz, aby powtórzyć wiadomość.

Nacisnąłem gwiazdkę i poczekałem parę chwil, żeby wiadomość została powtórzona. Musiałem przesłuchać pierwszych pięć grup.

- Masz - zaczęło się na nowo odtwarzanie, przerwa i drugi głos, który dodał - szesnaście - i znowu poprzedni głos - grup informacji. Grupa pierwsza: 61476. Grupa druga...

Kiedy nagrana wiadomość została w pełni odtworzona, wyłączyłem telefon, odłożyłem go i przepisałem grupy na papier. Nigdy nie przywykłem do wykonywania obliczeń w notatniku elektronicznym i przypuszczałem, że zanim się do tego przyzwyczaję, to będę już odchodził na emeryturę.

Deszcz padał już na całego. Nie spuszczać wzroku z domu, naciągnąłem kaptur na szyję, żeby osłonić ją przed lejącą się przez siatkę wodą. Nie mogłem jednak nakryć sobie głowy, bo wtedy bym gorzej słyszał.

Wyposażony w grupy cyfr, przystąpiłem do wykonywania czynności odwrotnej w stosunku do tego, co robiłem wcześniej: odszukiwałem grupę rozpoznawczą na „jednorazowej klawiaturze”, a potem odejmowałem każdą z nich od tych, które miałem w „jednorazowej klawiaturze”.

Skończywszy z tym, włożyłem z powrotem kartę do kieszeni dzinsów, i wyjąłem drugą, która zawierała kody.

Gdy pojawiły się na ekranie, zacząłem odczytywać wiadomość. Pierwsze zestawy cyfr zawierały wstęp: datę, czas i tym podobne rzeczy. Dalej następowało sedno wiadomości:

61476 WYDOBYĆ 97641 CEL

02345 ZA WSZELKĄ CENĘ 98562 OSTATECZNY CZAS 47624 DTG (grupa czasowa, czas lokalny)

82624 27 KWIETNIA

47382 5.00 (CZASU LOKALNEGO)

42399 W CELU 42682 T104 15662 POTWIERDZIĆ 88765 02442

Wyrażenie „wydobyć cel” było oczywiste - żądali, bym wyostał Sarę z tego domu dc piątej rano następnego dnia. Całkiem niezłe.

Dopiero informacja zawarta w następnej linijce, brzmiała niewiarygodnie - „T104”.

„T” plus liczebnik, jest kodem wewnątrz kodu, używanym dla skrócenia informacji. Jest kilka rozkazów z grupy T i trzeba je pamiętać, ponieważ nic, co się z nimi wiąże, nie jest nigdy zapisywane. Rozkazy z tej grupy oficjalnie nie istnieją z prostego powodu - T oznacza polecenie dokonania zabójstwa. Chcieli, żebym zabił Sarę.

To nie wszystko: liczba 104 oznaczała „bez śladu”. Zwłoki musiały zniknąć bez śladu.

Elizabeth musiała być jeszcze bardziej wkurzona tym, że ją wzywają do Northolt w niedzielę, niż to sobie wyobrażałem, dlatego tak zareagowała. Albo powiedzieli mi jeszcze mniej na temat operacji, niż podejrzewałem.

Podmuch wiatru uderzył o drzewa, a niebo otworzyło się nade mną, jakby chcąc wzmocnić moje odczucia związane z T104.

Wybrałem ponownie numer. Nagrany głos poinformował mnie „nie masz nowych wiadomości”, po czym nastąpiła krótka przerwa i ponownie usłyszałem recytowany wstęp do wiadomości, którą już znałem. Słuchając jej znowu, porównałem grupy cyfr z tymi, które już zapisałem, i jeszcze raz przebrnąłem przez kody.

Ponieważ udało mi się ochronić notatnik przed deszczem, wiedziałem, że nie ma mowy o jakimkolwiek błędzie. Zaczerpnąłem głęboki oddech i wypuściłem powoli powietrze z płuc, ocierając wodę, która spływała mi po policzku.

Byłem młodym żołnierzem piechoty, kiedy po raz pierwszy zabiłem człowieka: terrorystę z IRA. Nawet mi się to podobało. Myślałem, że właśnie tak należy reagować. W końcu za to płacą żołnierzom. Później czerpałem więcej satysfakcji z chronienia kogoś przed śmiercią niż z zabijania. Jednak jeżeli należało kogoś wyeliminować, to trudno, mnie to specjalnie nie ruszało. Nie cieszyłem się, ale również nie narzekałem. Wiedziałem, że ci ludzie mają synów i córki, matki i ojców, że są pionkami jak wszyscy inni, łącznie ze mną. Ale kiedy patrzyłem na to z bardziej praktycznej strony, to jeśli już ktoś musiał umrzeć, wolałem, żeby to był ktoś inny, nie ja. Należy to zrobić możliwie szybko - nie dla dobra ofiary, ale dlatego, że było to bezpieczniejsze dla mnie.

Ten T104 był inny. Po raz drugi w życiu musiałem zabić kogoś mi bliskiego. Biorąc pod uwagę fakt, że spośród osób, które mogłem uważać za kogoś w rodzaju przyjaciół, został mi tylko Josh, musiałem sobie zadać pytanie: co się, do cholery, porobiło z moim życiem? Euan był moim najlepszym kumplem od niepamiętnych czasów, ale mnie wykorzystał, a co gorsza, wykorzystał Kelly. Teraz z kolei jedyna kobieta, z którą kiedykolwiek miałem prawdziwy romans, zabrnęła w parszywą sytuację, a ja musiałem posprzątać. Zaczynałem się nad sobą rozczulać, ale w porę zdałem sobie z tego sprawę. Musiałem się od tego odciąć, powrócić do rzeczywistości.

Usunąłem z karty te grupy, które zostały wykorzystane do obydwu wiadomości, i zjadłem karteczkę, na której robiłem zapiski. Już nikt nie użyje tej samej kombinacji - dlatego właśnie mówiło się o tym metoda „Jednorazowej klawiatury” - i żadne dowody rzeczowe dotyczące jakiegokolwiek T104 nie miały być nigdzie odnalezione, ponieważ wszystkie szczegóły zostały zniszczone po jednokrotnym wykorzystaniu. Umieściłem obydwie karty z powrotem w oddzielnych kieszeniach dżinsów i wyłączyłem notatnik, a następnie schowałem go przed deszczem.

Wszystko, co mówili mi Elizabeth i Lynn, zaczynało teraz wyglądać sensownie. Znali cały obraz sytuacji, byłem tego pewien, i być może zdjęcia, które im przesałem, potwierdziły ich obawy. Czy istnieje jakiś związek między obecną sytuacją a tym, co robiła w Syrii? Nie myślałem o tym zbyt wiele. W gruncie rzeczy nic mnie to nie obchodziło. Nawet jeżeli ta grupa planowała, powiedzmy, odstrzelić Netanyahu, Arafata czy Clintona albo nawet wszystkich naraz, to co z tego? Pamiętałem telewizyjne relacje po zamordowaniu Rabina i widziałem jego siostrzenicę, która przemawiała podczas pogrzebu. Smutna sprawa, ale nie dotyczyła mnie osobiście. Po prostu jeszcze jedna śmiertelna ofiara spośród tysięcy, które w ciągu tak wielu lat zginęły w zamachach bombowych czy zostały zastrzelone po obydwu stronach. Nie wstrząsały mnie morderstwa na tle politycznym. Nawet wtedy, gdy zdarzały się blisko mojego domu, co zazwyczaj oznaczało Irlandię Północną. A niech ich, przecież i tak wszyscy musimy kiedyś umrzeć. Kto mieczem wojuje i tak dalej. Jeden wart drugiego.

O ile się orientowałem, sprawa, w którą wmieszała się Sara, mogła pociągnąć poważne następstwa. Niewykluczone, że planowali wymordowanie tysięcy ludzi. Może byłem świadkiem, tutaj w letniskowym domu w Karolinie Północnej, jak obawy USA co do możliwości użycia na ich własnym terytorium broni chemicznej lub biologicznej stawały się rzeczywistością.

Byłoby łatwo zatruć, na przykład, całe zasoby wody, z których korzystał Dystrykt Kolumbii. Nawet jeżeli byłoby to częściowe skażenie, to właściwie dobrana choroba mogłaby szybko się rozprzestrzenić. Przeniesienie jednej osoby do historii może często oznaczać uratowanie wielu innych. To uproszczone spojrzenie, ale zawsze podchodziłem do rozkazów z symbolem T tak, jakby ktoś w 1939 roku kazał strzelić w łeb Hitlerowi.

Zdawałem sobie sprawę, że usiłuję patrzeć logicznie na sytuację, żeby odsunąć uczucia.

Może Amerykanie zostali poinformowani o tym, co się dzieje, i mieli uderzyć, kiedy tylko się przygotują? W takim wypadku było zrozumiałe, dlaczego Elizabeth nie chciała, by Sarę tu znaleźli. Dlatego trzeba ją wyciągnąć, rozwalić i postarać się, by nigdy nie została znaleziona. Kto wie?

Oderwałem się od moich rozmyślań. Nic nie mogło wpłynąć na rozkaz, który otrzymałem, a i tak pewnie doszedłbym do mylnych wniosków. Tak czy inaczej, po prostu nie podobała mi się ta robota.

Wpatrywałem się w dom przez deszcz, jakbym śnił na jawie. Musiałem wziąć się w garść. Do dupy z tym! Jakbym dalej tak się zastanawiał, tobym w końcu zaczął wyć do księżycy i tańczyć wokół totemu, czy co tam innego robią ci różni nawiedzeni poprawiacze duszy. A może naczytałem się za dużo książek o dzieciach i ich uczuciach, i teraz cały ten sentymentalny szmelc zaczynał do mnie docierać. Postanowiłem otrząsnąć się, wyrzucić z głowy kasetę z sentymentami i zapakować z powrotem kasetę nastawioną na pracę. Sara może i miała dużo planów, ale z mojego punktu widzenia dożycie późnego wieku nie mogło być jednym z nich.

Łało już jak z cebra. Pociągnąłem za sznurek kaptura, próbując ochronić się przed wodą ściekającą mi po szyi. Robiło się bardzo zimno. Usiłowałem przeanalizować zadanie i przyjrzeć się czynnikom, które mogłyby na nie wpłynąć, bo tylko w ten sposób mogłem je wykonać i mieć szansę wyjść z tego cało. Jeżeli chciałem zabić prezydenta USA, to nikt by mnie przed tym nie powstrzymał, ale problem polegałby na tym, jak się z tego wywinąć.

Po pierwsze musiałem zrozumieć moją misję. Czego ode mnie wymagano? Sprawa dzieliła się na dwie części: po pierwsze wydobyć Sary z obrębu celu do piątej jutro rano; druga część, czyli T104, nie była w tej chwili ważna. Poza tym już wiedziałem, jak ją wykonam.

Teraz podzieliłem pierwszą część zadania na pięć faz: podejście do domu, wejście do środka, zlokalizowanie Sary, pojmanie jej i wyprowadzenie z domu, opuszczenie terenu.

Musiałem przyjrzeć się rzeczom, które mogły przeszkodzić mi w realizacji pierwszej części planu. Pierwszą przeszkodę stanowili oczywiście towarzyszący jej mężczyźni. Było ich o wiele za dużo, to wzbudzało mój niepokój, a w dodatku wewnątrz mogło się znajdować jeszcze więcej takich, którzy do tej pory nie wystawili głowy na dwór. Jakie mają zamiary? Kto to, do diabła, wie? Mogłem jednak śmiało przypuszczać, że nie przyjechali tam, by trenować kajakarstwo. Wyglądało na to, że dom jest punktem zbornym. W związku z tym musieli w jakimś momencie stąd odjechać i może właśnie dlatego, że nie zamierzali zostać zbyt długo razem w tym miejscu, trzeba ją było uprowadzić przed piątą rano.

Następne pytanie: jaką mają taktykę, wyszkolenie, dowództwo i morale? Mogłem się tego tylko domyślać. Z pewnością dowodzenie u nich stało na dobrym poziomie. Pewnie Sara dowodziła osobiście, a jeśli nie, to dowódca musiał być bardzo dobry, bo inaczej by z nimi nie pracowała. Jeśli chodzi o ich morale, to wyglądało na znakomite. Nie wiedziałem, co kombinują, ale sprawiali wrażenie, że wiedzą, co robią. Dziewięćdziesiąt procent pewności siebie może pochodzić z totalnej głupoty i niezrozumienia tego, co się dzieje, a tylko dziesięć procent z dobrego wyszkolenia i przygotowania. Sara mogła zaliczać się wyłącznie do tej grupy, w której pewność siebie jest podparta umiejętnościami.

Jakie były ich umiejętności? Czy mieli broń? Nie miałem o tym pojęcia. Znałem tylko Sarę, prywatnie i jako agentkę, wiedziałem, że jest bezlitosnym zawodowcem skoncentrowanym na robocie i zdolnym do zabijania. Gdybym dostał się do domu, a ona by mnie pierwsza zobaczyła, toby mnie zabiła. Wolałaby walczyć, niż zostać pojmana. Może to dziwne, ale nią mogłem się nie przejmować - była przewidywalna - co innego pozostali: nie wiedziałem, czy będą walczyć i w dodatku czym. Musiałem zakładać najgorsze: zawsze warto zakładać, że przeciwnicy są lepsi i odpowiednio do tego sporządzać plan.

Nie miałem za wiele informacji, na których mógłbym się oprzeć, ale to nic nowego. Nie pierwszy raz musiałem działać na ślepo. Wkurzało mnie tylko to, że ją zidentyfikowałem. Może byłoby lepiej, gdyby do tego nie doszło. Może.

Złapałem się na tym, że liczę po cichu na to, iż wszyscy obecni w domu zmyją się stąd w ciągu najbliższych kilku godzin. Wtedy byłbym bezradny, musiałbym znowu ruszyć na poszukiwania.

Zacząłem przeglądać w myślach wszystko, co do tej pory widziałem. A nuż odkrywę coś, o czym zapomniałem. Podświadomość to wspaniała rzecz, ponieważ nigdy nie zapomina, co się widziało lub słyszało. Każdy widok, dźwięk, strzęp informacji gdzieś się tam znajduje i trzeba tylko go wydostać. Może, na przykład, widziałem broń, ale nie skojarzyłem tego? Mimo wysiłków nic nie przychodziło mi do głowy.

Postanowiłem przyjrzeć się terenowi, na którym miałem wykonać zadanie. Po pierwsze ogólne ukształtowanie terenu: nie stanowiło to problemu, bo właśnie miałem go przed oczami. Jakbym

splunął, to prawie trafiłbym w cel, na szczęście nie była to taka sytuacja, kiedy rusza się w nieznaną teren.

Martwił mnie tak zwany wrażliwy pas, który w tym wypadku oznaczał piętnaście metrów gruntu po tej stronie domu. Byłem pewien, że jest w zasięgu czujników ruchu i świateł lamp. Jak mogłem zbliżyć się do celu, nie mówiąc już o jego penetracji?

Przyjrzałem się wszystkim drzwiom i oknom, poszukując informacji, które mogłyby mi pomóc wejść do środka. Już wcześniej zauważyłem przez lornetkę, że w bocznych drzwiach garażu jest zwykły bębnowy zamek umieszczony w dużej gałce drzwiowej. Podobne spotyka się często w drzwiach moteli - są dość popularne i nietrudne do pokonania. O wiele większym problemem było dotarcie w pobliże zamka bez doprowadzania do szału wykrywaczy.

Miałem jasny obraz tego, czym jest moja misja. Wiedziałem na temat wroga wszystko, co było możliwe na tym etapie, i wszystko, co się dało, o celu. Teraz musiałem zająć się planowaniem „czasu i miejsca” - ile mam czasu na wykonanie zadania. Leżałem wpatrzony w cel i odsuwałem z czoła włosy, które zaczęły działać jak kanał zbierający deszcz, rozmyślałem nad pięcioma fazami akcji i usiłowałem ułożyć plan każdej z nich.

Przyjrzałem się podejściu do domu. Wyobraziłem sobie wszystkie możliwe warianty, jakbym siedział wygodnie i patrzył na monitor połączony z kamerą zbliżającą się do domu po kolei każdą z możliwych tras.

Potem przemyślałem różne sposoby wejścia do środka.

Wyobraziłem sobie robotę z zamkami i co należy uczynić, gdybym nie mógł dostać się do środka w ten sposób. Te moje wyobrażenia niekoniecznie musiały pomóc, ale przynajmniej miałbym jakiś wybór. Tajne operacje nie należą do nauk ścisłych. Ludzie mogą mieć pewne wyobrażenie na podstawie filmów szpiegowskich co do precyzji i perfekcji działań, i mogą przypuszczać, że wszystko działa jak w zegarku. W rzeczywistości dzieje się inaczej z tego prostego powodu, że wszyscy jesteśmy ludźmi, a ludzie wykazują skłonność do pieprzenia roboty. Dobrze wiedziałem, że w czterdziestu procentach sytuacji też mi się to zdarzało. Prawie co drugi raz. James Bond? Chyba raczej James Bone. Poza tym, ludzie, przeciwko którym się działa, także są omylni, co nie jest receptą gwarantującą sukces. Jedynym prawdziwym miernikiem inteligencji jest szybkość i wszechstronność, z którą ludzie potrafią się dostosować do nowych sytuacji. Pewne jest, że kiedy już raz stanie się na miejscu, trzeba być tak elastycznym, jak gumowa taśma, a tym, co pomaga być elastycznym, jest planowanie i przygotowanie. Kiedy dojdzie do nieuniknionego popieprzenia sprawy, to wolę nie być zającem, który zastyga w świetle reflektorów samochodu. Jak powiedział Napoleon czy ktoś taki: „Jeżeli twój przeciwnik ma tylko dwie możliwości, możesz być pewien, że wybierze trzecią”.

W końcu wypracowałem wykonalny plan, a przynajmniej uznałem, że go wypracowałem. Niebawem miałem go sprawdzić w praktyce. Spojrzałem na zegarek: właśnie minęła piąta trzydzieści dwie po południu. Dawało mi to tylko trochę więcej czasu niż jedenaście godzin, żeby dostać się do domu i uprowadzić Sarę. To wszystko to jednak teoria, ponieważ czynnikami, które miały olbrzymie znaczenie, były światło i ciemność. Nie mogłem się ruszyć za dnia, musiałem działać pod osłoną ciemności.

Londyn kazał uprowadzić ją nie później niż do piątej rano. Wiedziałem, że tu zaczyna świtać około piątej trzydzieści, ale przecież dotarcie do lasu zajmie jeszcze parę chwil. Musiałem ją dopaść i wiać stąd do trzeciej nad ranem, miałbym w ten sposób około dwóch godzin ciemności na zniknięcie. Mrok zapadł zaraz po siódmej, ale nie należało się spodziewać pełnej osłony ciemności przed upływem kolejnej godziny. Ogólnie rzecz biorąc, dawało mi to siedem godzin na działanie. Jednak wejście tam stawało się możliwe dopiero wtedy, gdy będą już spali, co zatem mogłem zrobić, jeżeli około drugiej nad ranem dalej będą się kręcili po domu?

Zdażyłem już odhumanizować ludzi, przeciw którym działałem. W moich oczach byli celami, tak samo jak dom. Od tej pory już nie miałem odnosić się do nich jak do ludzi ani nawet myśleć o nich w ten sposób. Nie mogłem traktować ich jak ludzi, bo nie zmusiłbym się do wykonania roboty. Śmieszne, ale Sara mnie kiedyś o to pytała. Powiedziałem jej, że nie lubię za bardzo myśleć, bo nie jestem pewien, czy mi się spodoba to, co odkryję. Wiedziałem, że dopuściłem się paru naprawdę okropnych rzeczy, ale nie uważałem się za bardzo złego człowieka. Zawsze bardziej mnie dręczyło pytanie, dlaczego w ogóle zajmuję się tym syfem. Spędziłem całe życie, tkwiąc w różnych dziurach. Nawet kiedy byłem w wojsku, zadawałem sobie to samo pytanie: dlaczego? Nie potrafiłem wtedy sformułować pełnej odpowiedzi, podobnie jak teraz. Za królową i ojczyznę? Nie. Nie znałem nikogo, kto kiedykolwiek by tak myślał. Duma? Byłem dumny, niekoniecznie z tego, co robiłem, ale na pewno

z tego, jak to robiłem. Byłem w życiu dobry jedynie jako żołnierz, a potem jako „K”. Nawet jako dzieciak do niczego się nie nadawałem, moja matka ciągle mi powtarzała, że nic dobrego ze mnie nie wyrośnie. Może miała rację, ale podobała mi się myśl, że w moim małym świecie należę do najlepszych. Dzięki temu praca sprawiała mi satysfakcję i jeszcze mi za nią nie najgorzej płacono. Tyle że kiedy stanę przy wrotach niebios, będę się musiał trochę tłumaczyć -to był jedyny minus. Ale kto nie musi się tłumaczyć?

Wiatr ucichł, a deszcz już nie padał tak intensywnie. W domu pojawiły się światła, gdyż dochodziła siódma i w środku musiało być już ciemno. Tak samo jak poprzedniej nocy na piętrze zapaliły się światła. Wytężyłem słuch, ale nic nie słyszałem, nawet radia czy telewizji. Ile bym dał, by wiedzieć, co się tam dzieje. Miałem nadzieję, że pakują bagaże i się stamtąd zmywają.

Plan zawsze można poprawić, toteż nadal snułem swoje wyobrażenia. Co by było, gdybym dotarł do drzwi, akurat kiedy oni zaczęli wychodzić z bagażami? Co bym zrobił? Dokąd bym ruszył? Czy władowałbym się do środka i zabił ją, czy próbowałbym ją stamtąd wydostać? Normalnie Arnie i Bruce wpadają do środka i załatwiają tuzin złych typów, ale ta metoda nie działa w przypadku innych ludzi: jeżeli jest się przeciwko dwunastu ludziom, to się ginie. Tego typu zadanie wymaga prędkości, agresywności i zaskoczenia. Musiałem tam wejść i szybko się wydostać, ale wszystko przy minimum ryzyka. Nie czekał mnie przyjemny dzień spędzony na łonie natury.

Przeanalizowałem wszystko jeszcze raz, cały czas obserwując i nasłuchując. Próbowałem dojść, czy czegoś nie przegapiłem. Na pewno coś by się znalazło, ale płacili mi również za improwizowanie.

W tej chwili liczyło się już tylko samo zadanie. Sprawa realizacji równała się pozostaniu przy życiu. Teraz nie było już czasu na myślenie o wypoczynku czy o nawiązaniu kontaktu z żeńską stroną mojej osobowości. W tej chwili Sara była celem. Gdybym myślał w jakikolwiek inny sposób, to ustawiałbym się na ryzyko, a tego nie chciałem. Musiałem przecież zwiedzić jeszcze Bloody Tower razem z Kelly.

Światła na pierwszym piętrze zgasty. Było tuż przed jedenastą trzydzieści i odkąd spojrzałem pół godziny temu na zegarek, kolejne czterdzieści galonów deszczu spadło na moje stanowisko. Spakowałem aparat.

Wypchnąłem nogą zatykającą dziurę w krzewie wiązkę gałęzi i wysunąłem się z kryjówki nogami do przodu, podpierając się rękami i kolanami i ciągnąc za sobą worek z lukiem. Deszcz nie przestawał padać, ale przynajmniej ucichł wiatr, który go ze sobą przyniósł. Nadal na kolanach, wydobyłem z dzinsów obydwie karty i używając szczypiec mojego przybornika, połamałem je i pogiąłem w nie nadające się do użycia kawałki. Włożyłem je do dwóch osobnych kieszeni worka razem z notatnikiem elektronicznym.

Powoli się podniosłem na nogi, przeciągnąłem i zacząłem uważnie nasłuchiwać. Byłem sztywny jak starzec, i to w dodatku przemoknięty. Dźwięki nie dobiegały od strony domu, tylko krople deszczu uderzały o mój goreteks i o liście. Niestety kolejna część planu obejmowała zdjęcie kurtki.

Drżąc z zimna, rozłożyłem kurtkę na ziemi, ściągnąłem goreteksowe spodnie i odłożyłem je na bok. Zdjąłem wszystko, co miałem na sobie, z wyjątkiem slipów, i ułożyłem na kurtce.

Zanim przystąpiłem do dalszej pracy, przypomniałem sobie o jeszcze jednej rzeczy. Wydobyłem ze stosu koszulę i używając ostrza przybornika, obciąłem obydwie rękawy przy ramionach. Umieściłem je w kieszeni dzinsów, a potem zawinąłem stosik ubrań w kurtkę, trzęsąc się przy tym jak diabli z zimna.

Następnie uciąłem kilka kawałków linki i użyłem dwóch z nich do związania u dołu nogawic spodni. Wcisnąłem kurtkę i wiązkę ubrań do jednej z nogawic i zacisnąłem je w pasie. Na koniec skręciłem spodnie, złożyłem je, związując wszystko jeszcze raz i całość trafiła do worka.

Nie przejmowałem się niczym, co zostawiłem na stanowisku obserwacyjnym, bo nic z tego nie mogło naprowadzać na mój trop z wyjątkiem zapakowanego w folię gówna. Gdyby próba uprowadzenia zakończyła się strzelaniną i policja odkryłaby moją kryjówkę, to zanim zdążono by przeprowadzić analizę DNA, już dawno zniknąłbym ze Stanów. Poza tym Firma postarałaby się, by wszelkie rejestry DNA czy późniejsze badania zostały wymazane, chyba że zostałbym złapany i ojczyzna by się mnie wyparła.

Miałem już w kieszeni kurtki zapakowane w folię samoprzylegającą paszport, telefon i karty kredytowe. Postanowiłem nie wchodzić do domu sterylnie czysty, tylko zabrać je ze sobą. Gdybym został złapany, to pewnie i tak bym zginął. Poza tym Sara wiedziała, kim jestem. Nie trzeba być mistrzem masterminda, by wykombinować, po co tam trafiłem.

Wcisnąłem łuk w stelaż worka łącznie z sześcioma umieszczonymi w kołczanie strzałami. Wziąłem ostatni kawałek linki, przywiązałem jeden koniec do worka, a drugi owinąłem sobie kilka razy wokół nadgarstka. W ten sposób mogłem w razie problemów upuścić sznurek i rozstać się szybko z workiem.

Sprawdziłem, czy rzemienie worka są mocno dopięte, i spojrzałem jeszcze raz na dom. Nadal było w nim ciemno.

Zatkałem z powrotem dziurę w krzaku wiązką gałęzi i zatarłem wszelkie ślady. Może w następnym tysiącleciu archeolodzy odkopią moją małą kapsułę czasową i zaczną drapać się po głowach, zastanawiając się nad pizzą „Four Seasons”, kanistrem pełnym moczu i paroma garściami zapakowanego w folię gówna.

Podszedłem do wody, rozejrzałem się, wyężyłem słuch, i powoli wszedłem do jeziora. Na początku dno opadało łagodnie, ale ledwie zrobiłem kilka kroków, już woda sięgała do kolan. Zrobiło mi się piekielnie zimno. Wiedziałem jednak, że muszę wytrzymać i tłumaczyłem sobie, że niedługo się ogrzeje.

Opuściłem worek do wody: zaczął się unosić, wystając nieco nad powierzchnię. Nawet kiedy worek jest całkiem załadowany, to i tak zostaje w nim tyle powietrza, że może pływać. Już dawno robiłem coś takiego, jeszcze kiedy byliśmy w dżungli. Tam zawsze mocno padało. Często potrzebowaliśmy całego dnia, by przejść przez rzekę, i pułk tracił znacznie więcej ludzi podczas tego rodzaju ćwiczeń niż jakichkolwiek innych zadań.

Brnąłem dalej, aż woda sięgnęła mi najpierw do pasa, a potem do szyi. Krople deszczu odbijały się od powierzchni jeziora i padały mi w twarz. Ich plusk wydawał się głośniejszy niż w rzeczywistości, gdyż miałem uszy tak blisko wody. Spadek temperatury zapierał mi dech w piersiach, ale wiedziałem, że za parę minut przyzwyczaję się do zimna.

Wydobyłem jedną ze zniszczonych kart z kieszeni worka i wrzuciłem ją do jeziora, patrząc, jak tonie. Potem, pchając worek przed sobą, ruszyłem w kierunku domu, poruszałem się równoległe do linii brzegowej. Szedłem powoli, by nie wywoływać widocznej fali i nie hałasować. Nawet gdyby ktoś patrzył na jezioro, to z tej odległości worek wyglądałby w ciemności jak dryfująca kłoda. W każdym razie był to jedyny sposób zbliżenia się do celu bez uruchomienia alarmu.

Po jakichś dziesięciu krokach zatrzymałem się, przyjrzałem jeszcze raz domowi i wyrzuciłem drugą kartę. Deszcz łomotał o napięte nylonowe pokrycie worka.

Ruszyłem powoli w kierunku celu, choć cały czas pragnąłem dotrzeć tam jak najszybciej. Jądra tak mi zmarzły, że myślałem, iż podjadą do pach. Dno było kamieniste, parę razy uderzyłem w coś nogą i zaplątałem się w wodorosty.

Nadszedł czas pozbyć się notatnika elektronicznego. Nie był mi już potrzebny, bo jeżeli wszystko poszłoby zgodnie z planem, to następnym razem kontaktowałbym się z Elizabeth już z terytorium Wielkiej Brytanii, ale gdyby coś nie wyszło, to Sara wiedziałaby, jak wydobyć informacje z notatnika i kart.

Doszedłem na wysokość domu i odwróciłem się ku niemu twarzą. Zasłony były zaciągnięte i nadal nigdzie nie było widać świateł. Wsunąłem rękę za worek, by osłonić ją przed widokiem z domu, i nacisnąłem podświetlenie zegarka: właśnie minęła północ. Trząśłem się coraz bardziej. Musiałem wydostać się z wody i w coś się ubrać.

Ruszyłem prosto w kierunku pochylni dla łodzi, wciąż pchając przed sobą worek. Łódź była teraz na wprost mnie: widziałem tylko nachylony w moim kierunku dziób. Przesuwałem się powoli, nie spuszczać oczu z celu. Ciszę zakłóciły tylko krople deszczu uderzające o worek i wodę. Kiedy zbliżyłem się do brzegu, dno zaczęło się podnosić, dlatego zacząłem kryć się, uginając kolana i garbiąc się cały. Kilka metrów od końca pochylni musiałem położyć się na brzuchu, żeby maksymalnie ukryć w wodzie. Brnąłem do przodu, podpierając się dłońmi i kolanami.

Metr od brzegu worek zaczepił o dno. Zatrzymałem się, rozglądając się i nasłuchując. Dźwięk deszczu uderzającego w wykonaną z włókna szklanego konstrukcję łodzi zagłuszył pluskanie kropli o wodę. Teraz czekał mnie trudniejszy kawałek zadania: musiałem pokonać otwarty teren, by dotrzeć do łodzi i skryć się pod jej kadłubem. Gdybym mógł sobie na to pozwolić, to poświęciłbym na pokonanie tych pięciu metrów nawet godzinę, ale nie miałem aż tyle czasu.

Odwinąłem linkę z przegubu i podpierając się łokciami i palcami u nóg, zacząłem pełznąć do przodu, pokonując za jednym ruchem dziesięć centymetrów. Jednocześnie starałem się panować nad oddechem i powstrzymać szczykanie zębów. Kamyki i wodorosty przesuwają mi się po nogach i brzuchu, ciągnąłem je za sobą, szorując tułowiem po dnie. Fakt, że jest tak zimno, już nie miał znaczenia. Ból w łokciach, kiedy opierałem się o żwir, przerzucając na nie cały ciężar ciała, mówił mi, że stosuję właściwą technikę. Teraz najważniejsze było, abym nie szorował tułowiem po podłożu i nie hałasował. W końcu dotarłem w pobliże pochylni.

Podniosłem odrobinę worek, przesunąłem go do przodu kolejne parę centymetrów, opuściłem na beton i przesunąłem się za nim. Potem zastygłem bez ruchu, posłuchałem przez chwilę i powtórzyłem ten sam manewr. Centymetr po centymetrze zbliżałem się do łodzi, wprost do miejsca, w którym zaczep holowniczy dotykał betonowej pochylni. Jeśli tylko ruszałbym się wystarczająco powoli i trzymał płasko przy ziemi, to czujnik ruchu nie powinien mnie wykryć, a kiedy dostałbym się w cień łodzi, byłbym już zupełnie bezpieczny. Piętnaście minut później znalazłem się pod łodzią. Krople deszczu tłukły o poszycie z włókna szklanego. Czuję się tak, jakbym znalazł się w cieplarni podczas burzy z piorunami.

Brama garażu była nadal nie domknięta. Zobaczyłem tył explorera i całkowite ciemności w głębi. Wpatrywałem się w mrok, rozmyślając nad następnym ruchem, kiedy po mojej prawej stronie zapaliło się światło: jego blask wydostał się przez nie domkniętą bramę. Dobiegało gdzieś z głębi garażu. Serce podjechało mi do gardła i zaczęło bić jak szalone. Gdybym został zauważony, to nie mógłbym wiele zrobić.

Wziąłem się w garść. Ani drgnij, powiedziałem sobie w duchu, zachowaj spokój i obserwuj.

Niemal od razu zapaliło się kolejne światło, tym razem w przedniej części garażu. Patrząc przez otwór w bramie, dojrzałem, co się dzieje. Jakiś człowiek otworzył pokrywę zamrażarki skrzyniowej: blask z jej wnętrza oświetlił twarz mężczyzny. Wyglądało to tak, jakby świecił sobie po twarzy trzymaną pod podbródkiem latarką, jak to kiedyś robiliśmy podczas Halloween. Nie byłem pewien, do którego z celów należała twarz, wiedziałem tylko, że to nie Sara. Pogrzebał w zamrażarce chwilę i wydobyl trzy czy cztery małe opakowania jedzenia. Wyprostował się i zdawało się, że już ma zamknąć pokrywę, ale zajrzał znowu do środka i wziął coś jeszcze. Odszedł z pełnym naręczem. Dojrzałem dolną część jego ciała: miał na sobie sięgające kolan szorty w kratkę i sportowe buty.

Próbowałem doliczyć się, ile wziął kartonów. Wyglądało na to, że pięć. Czy to znaczyło, że nadal pięć osób nie śpi i ma zamiar coś zjeść, czy może to była wielka przekąska dla jednego bardzo głodnego człowieka?

Usłyszałem odgłos zamykanych drzwi i światło zgasło.

Odczekałem kilka minut, żeby wszystko łącznie ze mną się uspokoiło, a potem podpełzłem wzdłuż łodzi, aż dotarłem do rufy. Podniosłem wzrok. Zgodnie z moimi oczekiwaniami byłem dobrze ukryty przed czujnikiem i znajdowałem się dokładnie pod tarasem pierwszego piętra. Czujnik może nawet nie był połączony z systemem alarmowym, ale po prostu służył jako przydatne urządzenie do zapalania światła, kiedy mieszkańcy zbliżali się do garażu. Niezależnie od tego, jaką pełnił funkcję, znajdowałem się już z tej strony i tylko to się liczyło.

Od bramy garażu dzieliło mnie już niecałe ćwierć metra. Przesunąłem się na prawo od niej, nadal chowając się pod tarasem, który odgradzał mnie od czujnika i deszczu. Teraz należało ubrać się i rozgrzać, ale kiedy człowiek się rusza, hałasuje. Im wolniej i ostrożniej bym to robił, tym mniej bym hałasował. Na szczęście ulewa przynajmniej trochę tłumiła odgłosy.

Rozpiąłem delikatnie worek, podniosłem klapę, sięgnąłem do klamry blokującej ściągające linki, nacisnąłem guzik i otworzyłem ją. Cały czas patrzyłem i nasłuchiwałem, czy coś się dzieje w sąsiednim domu.

Wydobyłem z worka zawinięty w goreteks tobolek. Z zewnątrz był całkiem przemoczony, ale moje wiązania poskutkowały. Mokre ubrania wydają odgłosy i zostawiają ślady, toteż zdjąłem majtki i powoli wciągnąłem na siebie suche ubrania. Warto było tak zmarznąć choćby po to, żeby poczuć dotyk suchych skarpet.

Sprawdziłem, czy tazer mam nadal w prawej kieszeni kurtki i czy wszystkie inne rzeczy są na swoim miejscu. Potem wydobyłem z worka rękawice ogrodnicze i włożyłem je. Mogłem być zatrzymany podczas próby opuszczenia Stanów, nie chciałem więc, by policja mnie skojarzyła z czymś tak głupim i elementarnym jak odciski palców na miejscu zbrodni. Zawsze zostawia się jakieś ślady, które mogą wykorzystać kryminalodzy, ale należy dbać o to, by było ich jak najmniej. Na koniec potargałem włosy, by usunąć z nich tyle wody, ile się da, żeby przypadkowa kropla nie zakłóciła mi w ważnym momencie widoczności. Byłem gotów.

Podniosłem worek i broń i powoli przesunąłem się ku bramie garażu. Spojrzałem na dziurę w bramie, żeby sprawdzić, czy nie ma w niej przeciągniętego drutu.

Wewnątrz panowały całkowite ciemności.

Pomiędzy tyłem explorera a bramą garażu było piekielnie mało miejsca. Przepchnąłem najpierw worek i łuk, kładąc je na podłodze po prawej stronie, a potem ustawiłem się bokiem, wypuściłem powietrze i przecisnąłem się na drugą stronę.

Odgłosy padającego deszczu od razu przycichły, jakby ktoś przekręcił wyłącznik. Gdzieś z góry dobiegał jakiś dźwięk. Zatrzymałem się przy explorerze, otworzyłem usta, uniosłem głowę i zacząłem nasłuchiwać. Z góry dochodziło niewyraźne mamrotanie, które najpierw wziąłem za rozmowę, ale potem usłyszałem krzyki, strzały i głośną muzykę. Oglądali telewizję.

Zastygłem w miejscu tuż obok tylnej klapy explorera, by się lepiej dostosować do panującej atmosfery. Dalej słychać było mamrotanie telewizora, a po chwili wewnątrz garażu rozległo się metaliczne klekotanie startującego silnika zamrażarki, które przerodziło się w niskie brzęczenie. Nade mną po prawej stronie zaskrzypiała deska w podłodze. Może ktoś wstał z krzesła. Dźwięk nie przesunął się - musiał znowu usiąść. Według mojego zegarka była pierwsza trzydzieści jeden. Niedobrze, zostało mi tylko półtorej godziny. Wydobyłem z kurtki miniaturową latarkę, wziąłem ją w lewą rękę i obróciłem reflektor, żeby ją włączyć. W blasku przesączającego się między palcami światła zobaczyłem, że explorer jest jedynym pojazdem w garażu. Wystawał na zewnątrz tylko dlatego, że garaż był za bardzo zagracony, by wjechać do środka całym samochodem.

Przestąpiłem przez swój worek i obejrzałem bok pojazdu. Wszystkie okna były zamknięte, a w stacyjce nie zostawiono kluczyka. Ostrożnie dotknąłem drzwi kierowcy - też zamknięte. Nie było szansy na wykorzystanie samochodu do szybkiej ucieczki. Gdyby sprawy szły źle, musiałbym dotrzeć do mojego samochodu łodzią.

Oprócz pralki i zamrażarki w garażu znajdowały się narzędzia ogrodnicze, stojące pionowo kajaki, zawieszane na hakach rowery i różne zardzewiałe szpargały, które zebrały się w garażu w ciągu wielu lat. Wnętrze wypełniał zapach wydzielany przez zgromadzone przedmioty, ale przynajmniej było tu sucho i dość ciepło.

Przesunąłem się wzdłuż boku explorera i omiotłem garaż światłem latarki. W przeciwległym lewym rogu dojrzałem boczne drzwi, które obserwowałem ze stanowiska. Pod kątem prostym do nich znajdowały się kolejne drzwi, obok których dostrzegłem zabudowane schody prowadzące na wyższą kondygnację. Pod nimi widniały kolejne sterty rupieci.

Wciąż słyszałem przytłumione mamrotanie stojącego nade mną telewizora i skrzypienie podłogi, kiedy znajdujący się wyżej ludzie poprawiali się na krzesłach. To mi nie przeszkadzało. Obawiałem się tylko podnieconych okrzyków lub odgłosów gwałtownego ruchu, które by oznaczały, że się o mnie dowiedzieli.

Podniosłem worek obiema rękami, by ograniczyć hałas, i trzymając latarkę w ustach, przedostałem się do drzwi klatki schodowej. Światło latarki padło na zgromadzone pod schodami foliowe worki z największą na świecie kolekcją pustych pojemników po gotowych obiadach firmy Kraft. Nie wynosili śmieci na zewnątrz, ale je ukrywali. Nie ryzykowali. Ja też nie, więc wyjąłem łuk i położyłem go na podłodze w taki sposób, że gdybym chwycił go lewą ręką, to miałbym cięciwę ze swojej strony i bez problemu dosięgnąłbym strzał.

W szczelinach wokół drzwi prowadzących na schody nie dostrzegłem żadnego światła. Przyłożyłem ucho do drewna i zacząłem nasłuchiwać. Dobiegające z telewizora głosy były donośniejsze, ale nadal nie do odróżnienia. Usłyszałem kolejne krzyki i syreny samochodów policyjnych, a potem w miarę wyrównane mamrotanie, które brzmiało inaczej niż telewizja. Wyglądało na to, że mieszkańcy domu mają przed sobą długą noc, którą spędzą na oglądaniu telewizji, przekąskach i rozmowach.

Oględziny zanika wystarczyły, bym się zorientował, że jest to zwykły model dźwigniowy. Delikatnie nacisnąłem drzwi w okolicy zanika, a potem pociągnąłem je do siebie, żeby zobaczyć, czy jest jakiś luz. Było około centymetra. Przyłożyłem rękę u dołu drzwi po tej samej stronie, po której znajdował się zamek i nacisnąłem je silnie, lecz powoli, by sprawdzić, czy są zaryglowane. Ruszyły się trochę i wróciły do tej samej pozycji. Potem zrobiłem to samo, przykładając rękę do szczytu drzwi. Tutaj również był luz, tym razem trochę więcej niż centymetr. Delikatnie przesunąłem drzwi do początkowej pozycji. Wyglądało na to, że po drugiej stronie nie ma rygli, czyli musiałem się zająć jedynie tym zamkiem.

Wstrzymując oddech, obróciłem powoli gałkę, by sprawdzić, czy zamek jest zamknięty. Można spędzić całe godziny, usiłując otworzyć zamek, by w końcu stwierdzić, że cały czas był otwarty. Najlepiej działać bez pośpiechu i wszystko sprawdzić. Wiedziałem z doświadczenia, że wstrzymywanie oddechu pozwala mi lepiej zapanować nad powolnymi ruchami i jednocześnie ułatwia usłyszenie, czy jest jakaś reakcja na to, co robię. Tak jak zakładałem, drzwi były zamknięte.

Następny ruch polegał na sprawdzeniu wszelkich miejsc, gdzie przypuszczalnie mógł być ukryty klucz zapasowy. Po co tracić czas, atakując zamek, jeżeli tuż obok nich jest schowany klucz? Niektórzy ludzie zostawiają klucz dyndający na sznurku po drugiej stronie skrzynki na listy albo po wewnętrznej stronie klapy dla kota. Inni zostawiają go pod koszem na śmieci albo za kupką kamieni przy drzwiach. Jeżeli ktoś zostawia klucz, to prawie zawsze gdzieś przy ścieżce prowadzącej do drzwi. Sprawdziłem półki nad pralką, zajrzałem pod stare rdzewiejące puszki po farbie przy drzwiach i na górną krawędź futryny oraz we wszystkie inne oczywiste miejsca. Bez skutku. Trzeba było popracować nad zamkiem.

Kłęknałem, cały czas słuchając programu telewizyjnego, i zajrzałem przez dziurkę od klucza. Nadal nie było widać nic poza ciemnością. Przystawiłem latarkę do dziurki, spojrzałem jeszcze raz i zauważyłem odbłask metalu. Uśmiechnąłem się -zostawili klucz w zaniku.

W ciemnościach podświetlacz zegarka zajarzył się przeraźliwie jasno, ale przynajmniej dowiedziałem się, że dochodzi druga w nocy. Postanowiłem dać sobie jeszcze pół godziny, może wreszcie te sukinsyny pójną spać. Jednak gdyby znowu zesli na dół po coś do przegryzienia, to musiałem o tym wiedzieć, dlatego usiadłem na podłodze z uchem przy drzwiach, nasłuchując odgłosów deszczu i telewizji. Syreny samochodów policyjnych wyły nadal i strzelanina ciągle narastała. Po chwili z góry dobiegło mnie skrzypnięcie deski w podłodze, następnie kolejne. Podniosłem głowę, śledząc dźwięk i próbując wyobrazić sobie, gdzie jest jego sprawca. Przemierzał pomieszczenie mniej więcej wprost nad moją głową.

Podniosłem łuk, obróciłem głowę i przystawiłem oko do dziurki od klucza, by zobaczyć, czy włączy światło i zejdzie na dół. Klucz przesłaniał mi widok, ale widziałem światło, gdyż ząbki klucza nadal tkwiły w zamku. Dojrzałem nikły blask, ale było to rozproszone światło dochodzące z dość dużej odległości, może gdzieś ze szczytu schodów. Nikt nie schodził i po jakimś czasie światło zniknęło. Znowu usłyszałem skrzypienia i po chwili dobiegł mnie dźwięk przytłumionej rozmowy. Pewnie zaczynały się reklamy.

Pozostało tylko oczekiwanie, a czas uciekał. Wiedziałem tylko, że muszę tam się dostać o drugiej trzydzieści, choćby nie wiem co. Nie miałem pojęcia, jak tego dokonać. Musiałem działać na wycucie. Ponownie usiadłem i wróciłem do słuchania telewizji i deszczu.

Chciało mi się porządnie pić po nocnej mordędze. Kiedy zamrażarka znowu zaczęła grzechotać, podszedłem do niej na palcach i podniosłem powoli pokrywę. Wewnątrz zapaliła się lampka. Rzuciłem szybko okiem na te wszystkie smakowitości.

Opakowania dań obiadowych Krafta, makaron i frytki do mikrofalówki. Widać było wyraźnie, że nikt nie włożył wiele wysiłku w kulinarne przygotowanie tej wycieczki, co z pewnością nie podobało się Sarze, a poza tym nic z tego nie nadawało się dla mnie. Jednak znalazłem coś, co mogłem przegryźć: lody „Magnum”. Zamknąłem zamrażarkę, zdjąłem opakowanie z lodów i włożyłem je do kieszeni. Następnie usiadłem przy drzwiach, przyłożyłem do nich ucho i zacząłem jeść, znowu słuchając filmu.

Była już druga dwadzieścia. Zaczynało być naprawdę nieciekawie.

Skończyłem jeść lody i dorzuciłem jeszcze patyczek do tej samej kieszeni, w której trzymałem opakowanie. Druga dwadzieścia pięć. Nie mogłem dłużej czekać.

Trzymając latarkę w ustach, otworzyłem końcówkę śrubokręta w przyborniku i wsunąłem ją do dziurki od klucza. Czując wyraźny opór, zacząłem obracać klucz w odpowiednim kierunku, by otworzyć drzwi. Jednocześnie przyciągałem je do siebie, by zmniejszyć nacisk na rygiel zagłębiony w otwór futryny. Klucz obrócił się aż do pozycji, w której natrafił na opór zamka. Teraz, żeby go otworzyć, musiałbym użyć więcej siły, ale to wywołałoby hałas. Oczekałem trochę, wiedząc, że ten, kto w telewizji ostrzeliwuje się przed glinami, niedługo znowu będzie to robił. Już po trzydziestu sekundach usłyszałem krzyki, odgłosy wystrzałów i syreny. Nacisnąłem na klucz, obracając go do końca, i wyłączyłem latarkę.

Uchyliłem drzwi na kilka centymetrów i od razu usłyszałem o wiele wyraźniejsze odgłosy telewizji. Sądząc po natężeniu strzałów i wrzasków, cała amerykańska policja ruszyła do akcji, by dorwać bandytów.

Z góry nie dochodziło żadne wyraźne światło, jedynie słaba poświata. Podniosłem łuk, przygotowałem strzałę i przytrzymując broń lewą ręką, położyłem prawą dłoń na gałce drzwi, gotów do działania. Musiałem postępować zgodnie z podstawowymi zasadami: ukrywać się tak długo, jak tylko się da, i zacząć hałasować tylko wtedy, kiedy zaczniesz to robić przeciwnik. Nie był to za bardzo wymyślny plan, ale wystarczał. Jeżeli człowiek za bardzo się martwi o te rzeczy, to nigdy nie zabierze się do roboty. Z kolei jak się już zaczniesz, to połowa wygranej. Potem trzeba mieć nadzieję, że wiedza, doświadczenie i wyszkolenie pomogą przebrnąć do końca.

Sprawdziłem, czy nic nie ma zamiaru mi wypaść z kieszeni, a potem delikatnie przyciągnąłem drzwi do siebie, gotów zatrzymać je przy najmniejszym skrzypnięciu i wstrzymując oddech, bym mógł je usłyszeć. Z góry nie dobiegały rozmowy. To musiał być dobry film. Stałem przed starymi schodami z niemalowanego drewna, które prowadziły wprost na pierwsze piętro. Po obu stronach schodów znajdowały się ściany: po lewej zewnętrzna ściana domu, a po prawej gipsowa płyta oddzielająca schody od garażu, która na poziomie pierwszego piętra przechodziła w poręcz. Każdy stojący na górze mógł bez problemu mnie zobaczyć, gdyby spojrzął w dół.

Za szczytem schodów znajdowała się skierowana frontem do mnie kolejna ściana, a tuż na prawo widniały zamknięte drzwi. Poza tym widziałem jedynie dochodzące od telewizora migające różnobarwne światła, które pojawiały się na ścianie i zamkniętych drzwiach przede mną. Ucieszyło mnie to: skoro telewizor stał ekranem ku schodom, to znaczy, że te sukinsyny siedzą do mnie plecami.

Na schodach panował inny zapach. Płesniowaty odór garażu ustąpił miejsca bardziej typowej dla mieszkalnego wnętrza zapachowi - mieszance woni sprayu do drewna, papierosów, porządnie prowadzonego domu i nałożonemu na to wszystko zapachowi nikotyny. Jak widać, na górze celebrowali święto camela. Musiałem szybko wykonać robotę, bo jak nie, tobym się przekręcił na raka płuc.

Odciągnąłem nieco cięciwę, patrząc na szczyt schodów, potem umieściłem lewą stopę bardzo ostrożnie na dolnym stopniu, a po niej prawą. Zatrzymałem się, nasłuchując.

Znowu podniosłem lewą nogę i postawiłem ją na drugim stopniu, przesuwając na nią powoli ciężar ciała z cichą nadzieją, że nie rozlegnie się żadne skrzypnięcie. Miałem szeroko otwarte oczy i częściowo napiętą cięciwę. Wyparłem ze świadomości odgłosy deszczu, nastawiając słuch wyłącznie na odkrycie alarmujących odgłosów ruchu na górze. Naciągnąłem jeszcze trochę cięciwę i zrobiłem następny krok.

Muzyka i odgłosy policyjnego pościgu nagle ucichły. Znieruchomiałem z uniesioną stopą i gotowym do strzału lukiem. Musiałem wyglądać jak posąg Erosa. Od strony telewizora dobiegł mnie grzmiący amerykański głos - „Wkrótce wracamy z filmami HBO dla mężczyzn, którzy lubią męskie filmy” i od razu rozległ się odgłos długiej serii z broni maszynowej. Bez wątplenia pociski dziurawiły na ekranie tytuły filmów. Potem nastąpiła reklama ćwiczeń sprawnościowych, które potrafią całkiem zmienić nasze życie zaledwie w ciągu dwunastu dni.

Nie umiałem rozpoznać, ile osób jest w pokoju, ale jedno było pewne: Sary tam nie powinno być. Nie jest mężczyzną lubiącym męskie filmy.

Z pokoju dobiegły mnie przytłumione odgłosy rozmowy. Nie pojmowałem sensu słów, ale domyśliłem się, że coś zostało ustalone. Znowu zaskrzypiały deski w podłodze. Miałem nadzieję, że ten ktoś nie wraca do zamrażarki. Gdyby miał ochotę na ostatnie lody, to czekałoby go wielkie rozczarowanie.

Cień poruszającej się postaci padł na ścianę u szczytu schodów, przesłaniając tańczące odbicie z ekranu telewizyjnego. Był coraz potężniejszy i wyższy. Powoli uniosłem łuk o ostatnie pięć centymetrów, kierując go na cel. Błoczki na końcach łuku napięły się, gdy naciągnąłem cięciwę prawie do końca, zatrzymując ją jakieś osiem centymetrów od twarzy. Nie byłem pewien, czy potrzebuję aż tyle siły, żeby strzała zrobiła swoje z tej odległości. Ale do diabła z tym, nie miałem zamiaru ryzykować. Czekałem w bezruchu, wchłaniając zapach gumowych rękawic ogrodniczych.

Cień przeistoczył się w plecy człowieka - „Facet w czerni”. Odblask telewizora migał teraz na jego koszulce. Nie skręcił, żeby ruszyć w dół ku mnie, tylko poszedł prosto i wszedł w drzwi na prawo od schodów. Wewnątrz zapaliły się świetlówki, oświetlając kuchenne szafki i wiszące na haczykach jaskrawe kubki.

Zaraz też rozległ się odgłos przekładanych z miejsca na miejsce naczyń i sztućców. Pozostali rozmawiali między sobą, może na temat filmu. Ktoś roześmiał się cicho z jakiegoś żartu. Nadal nie słyszałem Sary, co zdawało się potwierdzać moje wcześniejsze przypuszczenie.

Z kuchni dobiegało jakieś szczękanie. Czekałem, trzymając łuk w pogotowiu. Odczuwałem zmęczenie ramion, a pot spływał po skroniach, wiedziałem, że niedługo zaleje oczy.

Od strony pokoju telewizyjnego doleciało mnie charakterystyczne „pszt” otwieranej puszki i zaraz jeszcze raz to samo. Może oznaczało to, że byli tam we trójkę. Gdybym miał odrobinę szczęścia, to puszki, które otwierali, zawierałyby piwo. Jeśli pompowali się alkoholem, oglądając film, powinno to całkiem nieźle spowolnić ich czas reakcji.

Telewizyjny Mister Macho powitał nas znowu: „Wracamy z filmami HBO dla mężczyzn, którzy lubią męskie filmy”. Z kuchni powitało go kolejne „pszt” i „Facet w czerni” pojawił się z puszką w ręce, gadał coś. Kumple wrzasnęli na niego, dlatego cofnął się kilka kroków, wyłączył światło i wrócił do nich, zostawiając otwarte drzwi do kuchni.

Zwolniłem delikatnie cięciwę, opuściłem rękę i wytarłem pot z twarzy.

Znowu rozległy się odgłosy wystrzałów. Brzmiało to tak, jakby w filmie doszło do ostatecznej, wielkiej strzelaniny. Ludzie wrzeszczeli na siebie w taki sposób, w jaki robią to tylko aktorzy w filmach kryminalnych. Próbowałem się domyślić, co to za film, bo pewnie go widziałem, a w ten sposób mógłbym przewidzieć, kiedy te hałaśliwe momenty zaczynają się i kończą, dzięki czemu mógłbym wy dostać się stamtąd z Sarą, unikając zamieszania się samemu w nasz własny „film dla mężczyzn, którzy lubią męskie filmy”. Jednak nic z tego.

Ktoś w telewizyjnym świecie wykazywał się prawdziwą odwagą: rzucił się samotnie na złych facetów, krzycząc, by inni go kryli. Co za tępak.

Nie mogłem już dłużej zwlekać. Nadal nie wiedziałem, w której części domu znajduje się Sara, lecz jedyna droga prowadziła po schodach. Sprawdziłem, czy zapasowe strzały są nadal w kołczanie i czy wszystko jest na właściwym miejscu. Wołałem, żeby latarka nie spadła mi z klekotem na podłogę, gdy tylko się ruszę.

Trzymając w lewej ręce łuk z nadal założoną strzałą, wziąłem głęboki oddech i uniosłem prawą stopę. By ograniczyć skrzywienie, stawałem na samej krawędzi stopnia, a potem zatrzymywałem się i słuchałem. Strzelanina skończyła się i wśród widowni rozległy się znowu przyciszone głosy. Posuwałem się dalej.

Kiedy moje oczy znalazły się na wysokości górnego stopnia, położyłem się, przykładając głowę do krawędzi poręczy. Chmura dymu tytoniowego była tak gęsta, że mógłbym się udusić. Spojrzałem na łuk, by się upewnić, czy mi nie będzie przeszkadzał, a potem nieco się uniosłem, wychyliłem do przodu i rozejrzałem się.

Od razu dostrzegłem, że telewizor stoi przodem do mnie w przeciwległym kącie pokoju. Na ekranie ktoś wołał lekarza, by mu połatał ranę postrzałową.

W pokoju znajdowali się trzej mężczyźni: dwaj na sofie plecami do mnie, jeden z nich akurat pociągał z puszki; a trzeci, czyli „Facet w czerni”, siedział na ustawionym ukosem fotelu, bokiem do ściany kuchni. Znowu miał w ręce paciorki i patrząc na ekran, przekładał je pomiędzy palcami. Pokój był jak turecka łaźnia, tyle że zamiast pary wypełniał go dym. Czuć było również intensywny zapach pizzy i piwa. Na podłodze po prawej stronie sofy stała otwarta zgrzewka z dwudziestoma czterema puszkami budweisera.

Rozejrzałem się za drogą na następne piętro. Nie wyglądało to obiecująco: schody były naprzeciwko mnie, po przeciwległej stronie pokoju. Musiałem pokonać ponad sześć metrów otwartej przestrzeni pokoju.

Cofnąłem głowę i zaraz usłyszałem dźwięk rozrywanej dalej zgrzewki i syk otwieranej puszki. Zanosilo się na to, że jeszcze tu trochę pobędą.

Czy powinienem zaczekać? Nie, mogli nie kłaść się całą noc. Poza tym, gdyby się ruszyli, toby mnie zobaczyli. Leżałem, zastanawiając się przez chwilę i czując, jak krew pulsuje mi w szyi.

Gdybym wpadł do pokoju i próbował ich przytrzymać, to nie zajęłoby im wiele czasu, by zorientować się, że mogę zająć się może jednym z nich, ale dwaj pozostali siedzieliby już na mnie, zanim zdążyłbym założyć nową strzałę.

Mogłem tylko spróbować niespostrzeżenie przejść przez pokój. Gdybym został nakryty, to musiałbym po prostu „rozwiązać sytuację w zależności od panujących warunków”. Tak właśnie mówili w Firmie na zakończenie każdego rozkazu, a oznaczało to, że mogą człowieka obwinąć o wszystko, gdy coś pójdzie nie tak, albo przypisać sobie wszelkie zasługi, jeśli sprawa zakończy się pomyślnie.

Odepchnąłem się od schodów i powoli podniosłem. Chyba setny raz sprawdziłem pozycję strzały i postawiłem nogę na ostatnim stopniu. Wszedłem zza rogu i już byłem w pokoju.

Dotykając plecami ściany, zacząłem przesuwać się do prowadzących w górę schodów. Przesuwałem powoli nogę za nogą, wpatrując się w tych trzech przed telewizorem. W lewej ręce miałem łuk, a prawą przytrzymałem strzałę, napinając w jednej czwartej cięciwę.

Dotarłem do drzwi kuchni, zza których słychać było sygnał mikrofalówki, i przesunąłem się dalej. Faceci widzieli tylko Roberta DeNiro. Podziękowałem mu w duchu za tak olśniewającą rolę.

Światło telewizora padało na skierowane ku niemu twarze. „Facet w czerni” był całkowicie pochłonięty filmem, podobnie jak ci dwaj na sofie, czyli „Za chudy w uszach” i młodszy z tej dwójki, która przybyła dzisiaj. Byłem może sześć metrów od nich. „Facet w czerni” zmrużył oczy, zaciągając się papierosem, którego trzymał w prawej ręce pomiędzy palcem wskazującym i środkowym. Blask papierosa oświetlił mu jeszcze bardziej twarz. Drugą ręką dalej bawił się swoimi koralikami.

Wypuścił dym i wtedy ekran poczerniał na sekundę i pokazała się na nim jaskrawa plansza, której towarzyszył odgłos strzałów z broni maszynowej.

„Wracamy wkrótce z filmami HBO dla mężczyzn, którzy...”.

Ale spieprzyłem sprawę. Nie wziąłem pod uwagę przerwy na reklamy. Bolesne ułucie przeszło mi szyję i spłynęło do żołądka.

„Za chudy w uszach” wymamrotał coś do pozostałych i obrócił głowę nieco w prawo, akurat odrobinę za dużo.

Musiał mnie zobaczyć, ale w takich sytuacjach, kiedy człowiek się niczego nie spodziewa, a szczególnie kiedy do tej pory skoncentrował się na czymś innym, takie spostrzeżenia docierają do świadomości dopiero po pewnym czasie. Jednak dostrzegł kątem oka ruch i już wiedziałem, co się dalej będzie działo: za jakieś dwie sekundy, nie więcej, zrozumie, że coś jest nie tak. Ciało automatycznie reaguje na dwa sposoby: sposobi się do walki lub ucieczki. Jeśli do walki, krew napływa do głowy; jeśli do ucieczki, do nóg. To się czuje. Miałem nad nim zaledwie dwie sekundy przewagi. Bardzo szybko miało się wszystko skończyć.

Dla mnie cała akcja przebiegała jak w zwolnionym tempie. Kiedy podniosłem łuk, „Za chudy w uszach” obrócił dalej głowę w prawo, zamrugał dwa razy i spojrzał wprost na mnie. Jego oczy nie zdążyły się jeszcze rozszerzyć w szoku, kiedy łuk był wycelowany i napięty do końca.

Krzyknął coś, ale nie wiem co. Wszystko się wyłącza w takich sytuacjach. Słyszałem tylko głos w mojej głowie, który wrzeszczał: O kurwa mać! Kurwa, kurwa! Kolana automatycznie ugięły się przede mną, bym stanowiął mniejszy cel.

Jednak sam „Za chudy w uszach” też przestał być celem, gdyż rzucił się w lewo i schował za kanapą. Teraz najbliższym zagrożeniem i jednocześnie najłatwiejszym celem był „Facet w czerni”. Poderwał się na nogi i błyskawicznie obrócił się, usiłując ogarnąć i zrozumieć całą sytuację. Patrząc mu w oczy, zwróciłem w jego stronę łuk. Gdy tylko ustawiłem odpowiednio celownik, zwolniłem cięciwę, modląc się w duchu, żeby ta broń była tak dobra, jak opisywał ją sprzedawca. Mierzyłem w środek ciała, środek tego, co mogłem dostrzec w oślepiającym blasku ekranu telewizora. Strzała trafiła z tym odgłosem i facet padł.

Nie wiedziałem, gdzie dostał, bo byłem zbyt zajęty wkładaniem następnej strzały, a także zły na siebie, że przez te wszystkie lata nie ćwiczyłem łucznictwa równie gorliwie jak strzelania z pistoletu. Wyprostowałem lewą rękę i jednocześnie naciągnąłem drugą ręką cięciwę, pośpiesznie usiłując umieścić czubek strzały nad lewą dłonią. Uniosłem łuk prosto na cel, przytrzymując strzałę na napiętej cięciwie. Nadal nie widziałem „Za chudego w uszach”, więc wycelowałem do tego młodego, który akurat postanowił obieć kanapę i dopaść mnie, zanim zdąży oddać strzał. Prawdę mówiąc, był tak blisko mnie, że nie miałem za bardzo czasu, by celować, tylko mniej więcej skierowałem łuk na niego.

Rozległ się brzęk zwalnianej cięciwy i głuche uderzenie trafiającej w cel strzały. Nawet nie jęknął. Nie obchodziło mnie, czy żyje, czy nie, bo miałem jeszcze jednego, którym musiałem się zająć.

Podbiegłem do kanapy i zobaczyłem, że „Za chudy w uszach” nadal jest po jej drugiej stronie. Nie wiedziałem, co robi, i wcale mnie to nie obchodziło. Musiałem go dopaść. Nie miałem czasu na ponowne zakładanie strzały, więc wyrwałem jedną z kołczanu i rzuciłem się na niego.

Nachylał się akurat nad jednym z aluminiowych pudeł, które wyładowywali z samochodu. Przerzuciłem strzałę z lewej ręki do prawej i wykorzystując dodatkową porcję krwi, która teraz pulsowała mi w rękach, ująłem ją mocno niczym nóż bojowy.

Spadłem na niego, przewracając go na pudło. Obydwaj stęknęliśmy od uderzenia. Nakryłem mu usta zgiętym lewym ramieniem i uderzyłem go w szyję trzymaną w prawej dłoni strzałą. Udało mi się tylko jedno: zdołałem zakryć mu usta, ale kiedy uderzyłem strzałą, poczułem, że trafia w kość. Groty strzał są tak zaprojektowane, żeby wnikały w cel z piekielną prędkością, więc zrobiłem mu niewiele poza rozcięciem skóry. Darł się jak opętany pod trzymającą go ręką. Zwiększyłem nacisk, by lepiej zakryć mu usta.

Znowu uniosłem strzałę i grzmotnąłem go mocno. Znowu trafiła w kość, ale tym razem zsunęła się i zagłębiła bardziej w jego szyi. Poczułem, jak sztywnieje, napinając mięśnie, by powstrzymać wnikanie ostrza. Rękawica ogrodnicza zapewniała mi dobry chwyt, więc nacisnąłem mocniej strzałę, obracając ją, by dokonać jak największych zniszczeń. Miałem nadzieję, że przetnę mu tętnicę szyjną albo rdzeń kręgowy, lub nawet znajdę szczelinę, przez którą dotrę do czaszki, ale udało mi się tylko przeciąć mu tchawicę. Teraz wystarczyło, żebym go przytrzymał, aż się uduśi. Przycisnąłem go całym ciałem do krawędzi pudła, żeby zapanować nad jego drgawkami i żeby nie narobił hałasu. Kiedy już się upewniłem, że sytuacja jest opanowana, szybko rozejrzałem się, by się przekonać, czy kolejny przeciwnik nie pojawił się w pobliżu.

W końcu zaczął mięknąć. Wyrzucił ręce za siebie, szukając na oślep mojej twarzy. Przechylałem głowę i wykręcałem się, by ich uniknąć, a jego ruchy powoli przygasały, aż wreszcie tylko konwulsyjnie drgały mu nogi. Zapas energii, którą znalazł w sobie, kiedy wydawał ostatnie tchnienie, już się wyczerpał. W migotliwym świetle telewizora zobaczyłem ciemną krew ciekącą z rany, płynęła po drzewcu strzały na moją rękawicę i skapywała na podłogę. Gdy odsunąłem ramię od jego ust, nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Nadal leżąc na nim, obróciłem się i zobaczyłem, że strzał do „Faceta w czerni” nie był udany, ale miałem szczęście, bo choć celowałem w środek ciała, to strzała wbiła mu się w głowę nad lewym okiem i wyszła z drugiej strony, prawie dziesięć centymetrów. Koralki leżały przy jego nogach.

Nie miałem pojęcia, co dzieje się z tym młodym. Leżał twarzą do podłogi, a krew wypływała gdzieś z niego i wsiąkała w dywan.

Zacząłem się trząść. Nigdy w życiu nie bałem się tak bardzo ani nigdy nie poczułem takiej ulgi, że coś się skończyło. Nowa nauczka: zawsze brać pistolet, niezależnie od okoliczności.

Młody jeszcze żył, próbował oddychać, a krew bulgotała mu w gardle. Podniosłem się, powstrzymując upadek ciała „Za chudego w uszach” z pudła na podłogę. Podeszedłem do młodego i go obejrzałem. Wodził za mną przymglonymi oczami, kiedy okrążyłem go i obmacałem, czy nie ma broni. Nie był uzbrojony. W jego błagających o pomoc oczach odbijał się blask telewizora.

Odwrociłem wzrok i spojrzałem na aluminiowe pudło. Kiedy zobaczyłem, co jest wewnątrz, poczułem się znacznie lepiej. „Za chudy w uszach” bardzo chciał się dostać do zawartości pudła i gdyby mu się udało, pewnie byłoby po mnie.

Na ekranie czarny charakter umierał od rany postrzałowej zadanej mu przez policjanta. Musiało być blisko końca filmu.

Podeszedłem do pudła. Wewnątrz leżały trzy karabinki automatyczne Heckler & Koch 53 ze składaną kolbą. Są właściwie takie same jak używane w pułku MP5, ale strzela się z nich nabojami kalibru 5,56 mm o zwiększonym ładunku. Mając broń z trzydziestonabojowym magazynkiem, „Za chudy w uszach” mógł mi odstrzelić łeb i jeszcze by mu została amunicja.

Podniosłem jeden z karabinków i dwa magazynki. Na dnie pudła były jeszcze trzy pistolety z tłumikami, również z magazynkami.

Wyjąłem jeden nabój z magazynka pięćdziesiątkitrójki i nacisnąłem na pozostałe, by sprawdzić, czy sprężyna działa. Młody nadal jęczał, a na ekranie pojawiły się końcowe napisy. Obserwowałem mnie. Zastanowiłem się chwilę. Po co brać pięćdziesiątkętrójkę? Gdybym musiał użyć, to zaalarmowałbym ludzi w sąsiednim domu i może nawet całe pole campingowe. Odłożyłem ją i wziąłem jeden z pistoletów. Nie miałem pojęcia, co to za broń, ale po oznakowaniach zorientowałem się, że wyprodukowano ją w Chinach. Zajrzałem do magazynka. Był pełen dziewięćmilimetrowych nabołów. Przeładowałem broń i wziąłem magazynek. Następnie wyjąłem kilka pocisków z drugiego magazynka i

zajrzałem do środka. Ten też był na dziewięć nabojęw. Nie wiedziałem, po co to sprawdzam. Nigdy nie liczyłem nabojęw podczas strzelania, bo byłem zbyt zajęty naciskaniem spustu.

Włożyłem pociski z powrotem na miejsce i wsadziłem do kieszeni dzinsów pięć zapasowych magazynków. Ten chiński gnat wyglądał całkiem niezłe. Był wyposażony w rygiel, który przytrzymywał mechanizm ładowniczy przy oddawaniu strzału, jeżeli zależało komuś na całkowitej ciszy. Trzeba było wtedy ręcznie rozładowywać broń i załadowywać ją ponownie. Jeśli nie było takiej potrzeby i mogło ująć na sucho używanie wyciszonej broni nastawionej na ogień półautomatyczny, to wystarczyło tylko zdjąć rygiel i wtedy automatycznie uruchamiał się mechanizm przesuwający kolejny nabój do lufy. Tłumik z kolei skutecznie wyciszał odgłos wystrzału, słychać wtedy było tylko pracę mechanizmu. Przesunąłem kciukiem rygiel, zabezpieczyłem broń i włożyłem ją do kieszeni.

Wziąłem młodego za rękę, podciągnąłem do kanapy i oparłem o nią plecami. Teraz już wiedziałem, gdzie dostał. Strzała trafiła go w brzuch i kiedy upadł, musiała zostać podepchnięta w górę do wnętrza klatki piersiowej. Siedział na podłodze z głową przechyloną na lewo i opartą o siedzenie kanapy. Nadal patrzył błagalnie, kiedy podłożyłem mu poduszczkę pod kark, cofnąłem się i wpakowałem mu kulę w głowę.

Dźwięk wystrzału zabrzmiał tak, jakby ktoś puknął palcem w kant drewnianego stołu. Poduszcзка i kanapa wyhamowały kulę, kiedy wyszła mu z tyłu głowy. Leżał z otwartymi oczami, a krew błyszczała w świetle telewizora.

Nigdy nie mogłem się zorientować, co czuję w takich sytuacjach. On by mnie zabił, gdyby miał szansę, a ja po prostu oszczędziłem mu cierpienia. Odsunąłem rygiel, wyrzuciłem łuskę i wprowadziłem następny nabój do komory, a potem opuściłem rygiel, by unieruchomić mechanizm.

Stałem, rozglądając się i nasłuchując. Na podłodze leżało kilka talerzy wysmarowanych zaschniętym sosem, w którym tkwiły zgaszone niedopałki; dwie czy trzy pełne popielniczki i mnóstwo zgniecionych puszek po budweiserze, a teraz jeszcze te trzy ciała.

Telewizja HBO poinformowała mnie, że teraz pokażą film Wykidajło z Patrickiem Swayze. Wytarłem krew z rękawic o kanapę i wymieniłem magazynki. Włożyłem nowy na miejsce, nasłuchując szcęknięcia informującego, że magazynek jest we właściwej pozycji.

Zacząłem odsuwać się od telewizora, kiedy głośne „ping” spowodowało, że serce podskoczyło mi do gardła. Odwróciłem głowę i broń w tym kierunku, gotów do działania. Reszta mojego ciała dołączyła, zareagowała jakieś pół sekundy później, kiedy oczy i broń już skierowałem na cel. Uświadomiłem sobie, że celuję w kuchenkę mikrofalową w pomieszczeniu obok.

Potrzebowałem chwili, żeby się uspokoić i zaplanować, co robić dalej. Postanowiłem nastawić broń na działanie półautomatyczne. Pora ruszać. Zostało mi przynajmniej jeszcze dwóch: Amerykanin i Bossman, plus Sara, a poza tym miałem jeszcze dwa piętra do przejścia.

Nie potrzebowałem już łuku, więc zostawiłem go na podłodze. Telewizor nadal jazgotał: „Mężczyźni, którzy lubią męskie filmy...”.

Ruszyłem powoli, lecz zdecydowanie, usiłując jak najmniej hałasować, z szeroko otwartymi oczami i wymierzoną przed siebie bronią. Ekran telewizora świecił, rzucając mój cień na ścianę. Dotarłem do schodów i spojrzałem w górę - ciemno. Mierząc z broni w szczyt schodów, zacząłem iść.

Nieraz już czułem się tak samo. Serce tłukło się w klatce piersiowej. W gardle pojawiło się okropne suche drapanie, miałem tak bardzo odchyloną głowę, że pot ściekał mi do oczu, a potem spływał po fałdach skóry z tyłu karku. Przechyliłem głowę na bok, usiłując się go pozbyć.

Robiło się coraz ciemniej i ciszej, wkrótce słyzałem już tylko odgłos własnego oddechu. Z całych sił starałem się go przytłumić, bo wyobrażałem sobie troje ludzi nasłuchujących z góry i śledzących moje poczynania.

Posuwanie się w ten sposób pod górę fizycznie wyczerpuje. Każdy ruch musi być tak powolny i ostrożny, że wszystkie mięśnie są napięte, organizm domaga się tlenu, a płuca z kolei muszą pracować intensywniej, chociaż tego nie chcesz, gdyż powoduje to odgłosy, a na dodatek w każdej chwili ktoś może spróbować cię zabić.

Dotarłem do podestu drugiego piętra i od razu zwróciłem uwagę na przyjemny zapach: inny świat w porównaniu z tym, który właśnie zostawiłem za sobą.

Na lewo ode mnie była ściana z drzwiami wychodzącymi na korytarz, który biegł w prawo. To musiała być ta łazienka, z której ostatniej nocy dobiegały odgłosy spuszczenia wody.

Zobaczyłem, że korytarz prowadzi przez cały dom. Dokładnie jego środkiem biegł chodnik, który tłumiał odgłosy. W świetle padającym z nieco uchylonych drzwi na samym końcu korytarza widać było stół: stał mniej więcej trzy metry na lewo od drzwi. W środku dojrzałem błyszczącą w świetle umywalkę. Chyba nikogo tam nie było, bo nie słyszałem odgłosu płynącej wody ani szumu napełnianej spłuczki. Może po prostu bali się ciemności i chcieli, żeby było jasno, kiedy wychodzili się odlać. Spojrzałem na szpary pod wszystkimi pozostałymi drzwiami, by zobaczyć, czy z pokoi dochodzą jakieś oznaki życia lub pali się światło. Nic.

Naprzeciwko mnie znajdowały się schody wiodące na najwyższą kondygnację. Tkwiłem w miejscu, nasłuchując. Słychać było tylko przytłumione mruczenie telewizora na dole, ale bicie mego serca wydawało się głośniejsze. W uszach czułem łomotanie pulsu. Nie mogłem czekać tu całą noc, aż ona zechce skorzystać z toalety.

Ruszyłem przygarbiony po biegnącym środkem korytarza chodniku. Szedłem, uginając kolana, z rękami wyciągniętymi przed siebie i patrzyłem w kierunku wyznaczonym przez grubą od tłumika lufę. Dotarłem do pierwszych drzwi po prawej stronie i przysunąłem się bliżej, przykładając do nich ucho, ale dalej trzymałem pistolet w tej samej pozycji.

W dalszym ciągu słyszałem odgłosy telewizora i deszczu, bardzo odległe i niewyraźne, mimo że wytężyłem wszystkie zmysły. Natomiast zza drzwi pokoju dobiegł mnie odgłos chrapania. Sara nigdy nie chrapała, ale możliwe, że śpi z kimś, kto chrapie.

Podszedłem do następnego pokoju i znowu zacząłem nasłuchiwać pod drzwiami. Nic. Można by pomyśleć, że spodziewam się ją usłyszeć, jak śpiewa do wtóru muzyki z kompaktu.

Ruszyłem dalej i doszedłem do wyjścia przeciwpożarowego po lewej stronie, którego nie zauważyłem wcześniej. Było wyposażone w zasuwę u góry i u dołu, które delikatnie odsunąłem, i bębnowy zamek na środku, który również otworzyłem.

Minąłem stół i zbliżyłem się do następnej pary drzwi, ale nic zza nich nie usłyszałem. Zatrzymałem się przy oświetlonej łazience. To mogło trwać bez końca. Pieprzyć to, nie miałem czasu, musiałem zaryzykować z tym kimś, kto był na początku korytarza. Wiedziałem, że muszę coś zrobić, i to w dodatku szybko.

Trzymając pistolet w prawej ręce, sprawdziłem lewą, czy wszystko mam na miejscu. Tazer był w prawej kieszeni kurtki, ze skierowanym poręcznie na zewnątrz uchwytem.

Wydobyłem miniaturową latarkę, przyłożyłem reflektor do ściany i obróciłem go, by sprawdzić, czy nadal świeci. Na ścianie pojawił się krąg światła, który nie rozszedł się nigdzie na boki. Wyłączyłem latarkę, trzymając ją nadal w lewej ręce, ale byłem gotowy, żeby ją na powrót uruchomić.

Przyłożyłem kciuk prawej ręki do bezpiecznika broni i odsunąłem go, a potem nacisnąłem na umieszczony w rękojeści magazynek, by sprawdzić, czy jest podłączony.

Lewą ręką podniosłem zapadkę w drzwiach. Nie miałem ochoty robić tego delikatnie; jak już raz człowiek postanowi wejść, to lepiej zrobić to zdecydowanie. Uchyliłem drzwi o kilka centymetrów, a potem napałem na nie ciałem, otwierając je do końca. Podniosłem lewą rękę i włączyłem latarkę.

Wszedłem do środka i od razu przesunąłem się w prawo, żeby moja sylwetka nie była widoczna w wejściu. Przymknąłem drzwi ramieniem. Światło latarki padło na stertę męskich ubrań leżących na podłodze. Na nocnej szafce zobaczyłem zegarek i szklankę wody. W łóżku ktoś leżał. Po samych rozmiarach sylwetki wiedziałem od razu, że to nie Sara. Człowiek w łóżku poruszył się, może w reakcji na zmianę w ciśnieniu powietrza, kiedy drzwi się otworzyły, a może dlatego, że światło padało mu na twarz.

Kiedy zmienił pozycję, zobaczyłem, że jest łysy, ciemnoskóry i ma wąsy. Bossman. Otworzył oczy, ale nie był w stanie dojrzeć mnie, tylko światło latarki.

Szybko umieściłem lewe kolano po jednej stronie jego tułowia, a drugie po przeciwnej, i siadłem na nim okrakiem, przyciskając go do łóżka. Znieruchomiał z prześcieradłem obciskającym mu klatkę piersiową, próbując protestować bełkotliwie.

Upuściłem latarkę na łóżko. Nie chciałem, żeby zobaczył moją twarz, a poza tym nie potrzebowałem światła do tego, co zamierzałem zrobić.

Czuł przyłożoną do jego zaciśniętych zębów lufę pistoletu, ale jęknął przeciągle, próbując się opierać. Chwyciłem go lewą ręką za tył głowy i przycisnąłem mocniej broń. Metalowy tłumik zazgrzytał

mu o zęby, kiedy otworzył usta. Wepchnąłem lufę do środka, aż prawie sięgnęła gardła, a tłumik wypełnił mu usta.

Poszarpał się chwilę, nie tyle próbując się wyrwać, ile chcąc się zorientować, co się dzieje, i złapać oddech. Trzepotał się i parsknął jak koń. Poruszałem się w górę i w dół unoszony ruchami jego klatki piersiowej. W końcu znieruchomiał. Nikt nie próbuje się stawiać, kiedy już sobie uświadomi, że ma w ustach lufę pistoletu.

Pochyliłem się do jego lewego ucha i wyszeptalem moim fatalnym amerykańskim:

- Jeśli mówisz po angielsku, to powoli kiwnij głową.

Skinął głową: czułem, jak pistolet porusza się w górę i w dół.

Jego jabłko Adama nie nadażęło, więc siorbał i dławił się. Mając szeroko otwarte usta, nie mógł normalnie przełykać.

- Masz do wyboru dwie rzeczy - powiedziałem. - Umrzeć, jeśli mi nie pomożesz, albo żyć, jeśli pomożesz. Rozumiesz?

Zawsze jest lepiej nie śpieszyć się w takich momentach. Jeżeli się dorwie kogoś, kto się trzęsie, i mu się powie: -Dobra, gdzie jest Sara? - to i tak nie może mówić, ponieważ ma lufę wepchniętą w usta.

W rezultacie przestaje rozumieć, czego się od niego oczekuje. Lepiej jest to robić drogą eliminacji i wtedy wiadomo, że się zdobyło odpowiednie informacje. Rzecz jasna, jeśli ten ktoś sam je zna. Odczułem, że się odrobinę zawahał. Dalej za bardzo się trząsał i za mało myślał.

- Rozumiesz? - powtórzyłem, podkreślając to naciśnięciem na pistolet.

W końcu dotarło do niego i poczułem, jak pistolet przesuwają się w górę i w dół. Pachniało od niego szamponem i mydłem. Szkoda, że nie umył sobie zębów, bo z jego ust zajeżdżało padliną.

Zrozumiał już, o co chodzi, więc wyszeptalem:

- Macie tu jedną kobietę, tak?

Od razu poczułem, jak mu ulżyło. Odprężył się: to nie jego szukałem. Przytaknął ruchem głowy.

- Jedną kobietę?

Znowu potwierdził.

- Jest na tym piętrze?

Pistolet poruszył się z boku na bok.

- Na piętrze wyżej?

W górę i w dół.

- Wiesz, w którym pokoju?

Słyszałem tylko jego oddech i siorbanie, ale było w tym odrobinę za dużo wahania: myślał o tym, co odpowiedzieć. Pokręcił powoli głową.

Westchnąłem ze znużeniem i powiedziałem:

- Do niczego się nie przydasz, więc cię zabiję. Myślę, że kłamiesz.

Brak reakcji.

- Daję ci ostatnią szansę - rzekłem. - Wiesz, w którym jest pokoju?

Zacząłem się podnosić, ale przypomniał sobie i skinął głową. Nachyliłem się znowu do jego ucha.

- Dobrze. Teraz się zastanów. Czy jest po lewej stronie korytarza, jak się idzie od strony schodów?

Przypuszczałem, że dom ma na górze podobny rozkład jak na dole. Nie byłem tego pewien, ale było to rozsądne założenie.

Zastanowił się i skinął głową.

- Dobrze. Czy to są pierwsze drzwi po lewej stronie?

Pokręcił głową. Ślina ściekała mu z ust i spływała po brodzie. Czułem, jak jego klatka piersiowa coraz szybciej opada i się unosi. Walczył o tlen, a nie było to dla niego takie łatwe.

- Czy jest za drugimi drzwiami po lewej stronie?

Skinął głową.

- Dobrze. Jeżeli kłamiesz, wrócę i cię zabiję.

Skinął głową, potwierdzając, że zrozumiał, i omal nie dławiąc się tłumikiem, bo wepchnąłem mu lufę jeszcze trochę głębiej do gardła. Jednocześnie sięgnąłem w dół lewą ręką, ująłem paralizator, odsunąłem bezpiecznik i poczęstowałem go po mięśniach klatki piersiowej. Odczekałem około pięciu sekund, bo o ile dobrze pamiętałem, powinno to dać według instrukcji „trwające kilka minut oszołomienie”. Szarpnął się i rzeczywiście oszołomiło go jak należy.

Wstałem, wziąłem latarkę, przytrzymałem ją ustami, a potem odwróciłem się, by wśród ubrań na podłodze odszukać jego skarpety. Znalazłem jedną i wcisnąłem mu w usta, naciskając

szczękę, by cała weszła do środka. Dźwięk wytwarzany jest nie w ustach, ale w gardle i niżej, dlatego żeby kogoś skutecznie zakneblować, trzeba wetknąć knebel jak najgłębiej, po to, żeby dźwięk nie wzmacniał się w jamie ustnej, gdy ten ktoś spróbuje krzyczeć. Kawałek przyklejonej do twarzy taśmy nie wystarczy, by osiągnąć pożądany efekt. Poza tym skarpetka wepchnięta do ust uspokaja ludzi, ponieważ bardziej się martwią tym, żeby się nie udławić, niż żeby podnieść alarm.

Dosłyszałem jęki i stęknienia dochodzące z głębi jego gardła: zaczynał odzyskiwać świadomość. Nie mogłem pozwolić, by zaalarmował innych, więc poczęstowałem go kolejnym trzysekundowym wyładowaniem. Uspokoiło go to na powrót i dało mi czas na wypełnianie mu ust. Kiedy już skończyłem, wziąłem z podłogi koszulę i zawiązałem mu na twarzy rękaw, żeby przyciskał skarpetę. Zostawiłem mu wolny nos, by mógł oddychać, ale rękaw zacisnąłem na ustach, jak się dało najmocniej.

Wyciągnąłem z jego spodni na oko czterocentymetrowej szerokości skórzany pasek z mosiężną klamrą i oderwałem z zasłon służące do ich zaciągania linki z błyszczącymi frędzelkami na końcu. Związałem mu jedną z nich nogi w kolanach, bo jeżeli człowiek może poruszać kolanami, może pełzać i manewrować, a jeżeli nie, trudno mu wykonać jakikolwiek ruch.

Potem związałem mu nogi w kostkach. Był na wpół przytomny: sapał i jęczał z głębi gardła. Odwróciłem go na brzuch, przełożyłem mu ręce na plecy i związałem je mocno paskiem, zostawiając wolną klamrę i kawałek drugiego końca. Wiedziałem, że go to boli i że do rana ręce mu spuchną jak balony, ale będzie żył.

Z wysiłku oddychałem prawie tak samo ciężko jak on. Męczące było odwracanie go w pośpiechu przy jednoczesnym zachowaniu ciszy. Chwyciłem go za ramiona i zsunąłem ostrożnie z łóżka, ściągając mu najpierw na podłogę głowę i ramiona, a potem również nogi.

Trochę pojęczał, szczególnie kiedy chwyciłem go za kostki i przyciągnąłem je ku związanym rękóm. Przełożyłem końcówki paska przez więzy obejmujące jego kostki, zaplątałem klamrę i już był gotowy, jak przygotowany do piekarnika kurczak.

Znowu zaczął odzyskiwać świadomość. Przyłożyłem mu tazer do uda i zaaplikowałem pięciosekundowy impuls. Próbował krzyczeć, ale skarpetka spełniła swoją funkcję. Odsunąłem paralizator, przyciskając guzik. Iskra wyładowania elektrycznego trzaskała jasnym światłem pomiędzy dwoma końcówkami. Wytwarzany przez wyładowanie blask wzmacnił światło mojej latarki i zobaczyłem wiszący w szafie rozpięty pokrowiec na garnitur. Wewnątrz pokrowca widać było popielaty garnitur, białą koszulę i przewieszony przez wieszak, zawiązany krawat we wzory.

Wróciłem do drzwi, rozejrzałem się po korytarzu i ruszyłem w lewo ku schodom. Te schody były inne, zakręcały o sto osiemdziesiąt stopni, by dopiero wtedy dotrzeć do najwyższej kondygnacji. Wszedłem na nie i kiedy skręciłem w lewo, usłyszałem, jak odległy szum telewizora znika wypierany stopniowo przez jednostajne basowe bębnienie deszczu o dach. Brzmiało to niemal sielankowo.

Dotarłem do szczytu schodów i położyłem się na nich. Spojrzałem w lewo w korytarz, ale tym razem nie ujrzałem pomocnego mi światła. Pod drzwiami też nie było nic widać.

Przekręciłem reflektor latarki i ruszyłem wprost do drugich drzwi po lewej stronie. Podłogi na tym korytarzu nie przykrywał chodnik. Przesunąłem się powoli do przodu. Pomiędzy pierwszymi i drugimi drzwiami stał pod ścianą półkolisty stolik z lampą.

Doszedłem do drzwi. Były dokładnie takie same jak te na dole, z zapadką po prawej stronie. Przeszedłem przez korytarz i przywarłem do ściany po prawej stronie drzwi. Musiałem tam się dostać, musiałem być twardy i agresywny, pojąć ją i wyprowadzić stąd, zanim mój nowy kumpel na dole zacznie próbować zamienić się w Houdiniego.

Posłuchałem przez kilka sekund, na wypadek gdyby mnie się spodziewała i przeładowywała właśnie swoją pięćdziesiąt-kętrójkę. Potem, trzymając latarkę w ustach, położyłem rękę na zapadce i nacisnąłem.

W łóżku zobaczyłem jakiś nieduży kształt. Od razu wiedziałem, że to Sara. Czułem znajomy zapach jej dezodorantu. To był jedyny dezodorant, który nie zostawiał na ubraniach śladów białego pudru.

Zbliżyłem się. Dzinsy leżały beładnie na podłodze, tak jakby właśnie je ściągnęła. Obok łóżka stała nocna szafka, a na niej lampka oraz szklanka z wodą i leżały tabletki od bólu głowy.

Musiałem złapać ją tak mocno, żeby pomyślała, iż rzuciło się na nią dwudziestu ludzi, a następnie oszołomić, przerazić, ogłuszyć, bo wiedziałem, że jak tego nie zrobię, to zabicie mnie nie sprawi jej problemu.

17

Ruszyłem ku niej, trzymając tazer w lewej ręce, pistolet w prawej, a latarkę w ustach. Poruszałem głową tak, by światło padało na jej twarz. Odgłos kropli deszczu uderzających o okno był bardziej donośny niż moje stąpanie.

Zaczęła się obracać i jej oczy zareagowały na światło, akurat kiedy dałem ostatni krok, upuściłem pistolet na łóżko i trzasnąłem ją otwartą ręką, zakrywając jej usta. Wydała stłumiony krzyk i zaczęła się szarpać. Jej krew wypełniła wnętrze mojej gumowej rękawicy. Rzuciła się i zaczęła latarkę, która zazgrzytała mi o zęby. Pistolet spadł ze szczękiem z łóżka na podłogę. Nacisnąłem włącznik tazera. Jej oczy rozszerzyły się, gdy zobaczyła iskrę trzaskającą pomiędzy metalowymi sztyftami parę centymetrów od jej nosa. Też przycisnęła swój wewnętrzny kontakt i zaczęła szarpać się tak gwałtownie, jakby dostała ataku szału.

Przyładowałem jej pod pachę. Sto tysięcy woltów porządnie ją poraziło. Podskakiwała w górę i w dół tak bardzo, że trudno mi było utrzymać rękę na jej ustach, którą usiłowałem przytłumić krzyki. Sprężyny w łóżku jęczały, jakby uprawiała seks. Po pięciu sekundach zmieniła się w szmacianą lalkę, jęknęła tylko słabo i opadła na łóżko. Jednak nie liczyłem, żeby to trwało długo.

Musiałem mieć pistolet. Wyjąłem latarkę z ust, wyciągnąłem pistolet spod łóżka i wsunąłem za pasek dzinsów. Potem, kiedy słaby kaszel oznajmił mi, że Sara zaczyna odzyskiwać zmysły, wyjąłem z kieszeni dwa rękawy, które odciąłem poprzednio z koszuli. Zakaszła znowu. Spojrzałem na nią. Podczas szarpaniny pościel spadła na podłogę, więc teraz leżała na materacu jak rozgwiazda, ubrana jedynie w białą koszulkę i białe majtki. Na zewnątrz znowu zaczęło wiać. Słyszałem, jak niesione wiatrem krople deszczu jeszcze mocniej siekają o okna.

Włożyłem na powrót latarkę w usta i zaraz zacząłem się ślinić i sapać jak Bossman na dole. Rozwarłem jej usta i wepchnąłem do nich jeden rękaw. Była jeszcze na tyle przytomna, by zdawać sobie sprawę z tego, co się dzieje, dlatego z całych sił stawiała opór. Musiałem zaaplikować jej kolejny dwu- czy trzysekundowy impuls. Odsunąłem pośpiesznie dłonie od jej ust, zanim zacisnęły się w pierwszym konwulsyjnym ataku.

Kiedy zwiotczała, wepchnąłem dalej materiał, aż chyba doszedł do połowy gardła. Następnie wziąłem drugi rękaw, założyłem go Sarze na twarz jak zwykły knebel i zawiązałem końcówki podwójnym węzłem na karku. Teraz już nie mogła wydać żadnego dźwięku.

Wyciągnąłem pasek z jej dzinsów i zawiązałem ręce swej ofiary. Była już gotowa i ja właściwie też. Zostało jeszcze pozbieranie wszystkich rzeczy, które mogły zdradzić jej tożsamość. Rozkaz T404 oznacza niezostawianie żadnych śladów, co nie będzie proste. Nie wiedziałem, gdzie trzyma swoje rzeczy. Miałem nadzieję, że nie będzie to wielkim problemem, jeżeli coś zostanie, bo przypuszczałem, że używała fałszywych dokumentów, które zdobyła, podrywając jakąś lesbijkę w australijskim barze.

Znalazłem jej torebkę na podłodze przy nogach łóżka. Była to nieduża czarna torebka z tworzywa sztucznego, z paskiem na ramię, wewnątrz była portmonetka w sportowym stylu, paszport i kilka banknotów dolarowych. Szybko przejrzałem resztę pokoju w świetle latarki. Na podłodze leżała otwarta zielona torba sportowa, wokół której zobaczyłem rozrzucone ubrania. Dojrzałem błysk metalu.

Zaświeciłem latarką za torbę i zobaczyłem lufę karabinka HK53. Oksydowanie starło się przez lata używania. Obok leżały cztery magazynki sklejone taśmą po dwie sztuki.

Sara zaczęła jęczeć i dławić się, usiłując usunąć materiał z ust. Nadal nie wiedziała, kto jej to zrobił, bo było za ciemno, ale nawet gdyby mogła w tej chwili popatrzeć na wprost, to dojrzałaby jedynie oślepiające ją silne światło. Przysunąłem się do łóżka, przekładając sobie przez głowę pasek torbki.

Najwyższy czas ją brać i zwiewać, zanim po piątej rano wpadnie policja lub wydarzy się coś innego. Nachyliłem się, wyłączyłem latarkę i włożyłem ją do kieszeni džinsów. Lewą ręką chwyciłem Sarę za kark, a prawą dłonią trzasnąłem ją mocno tuż pod nosem. Poczulem, jak się zatrzęsła. Ugiąłem kolana i ścisnąłem jej głowę rękami, podciągając ją do góry i starając się z całych sił naciskać jej nos. Uniosła ręce, ale od razu je opuściła. Nie miała siły się opierać, musiała ulec. Coraz głośniej jęczała z bólu.

Zmusiłem ją, by usiadła prosto i założyłem lewą ręką nelsona, przyciskając Sarę mocno do siebie. Trzymając pistolet w prawej dłoni, przyłożyłem jej prawe przedramię z tyłu do karku, by założyć prawidłowo chwyt, i podniosłem się. Zaczynała jej brakować tlenu. Nie było sposobu, żeby nie poszła ze mną.

Ruszyłem, ale wcale jej się to nie podobało. Gdy dotknęła stopami podłogi, wygięła jeszcze bardziej grzbiet, żeby zmniejszyć nacisk na szyję. Pod wpływem bólu szybciej odzyskiwała świadomość, ale całkowicie panowałem nad sytuacją. Gdyby za bardzo się opierała, zaaplikowałbym jej kolejny impuls, ale to w ostateczności. Chciałem ruszać się szybko, a nie wlec ze sobą bezwładny ciężar.

Przeszedłem przez pokój, sprawdziłem prawym kciukiem bezpiecznik pistoletu i otworzyłem drzwi. Na korytarzu nadal było ciemno i cicho. Wzmocniłem chwyt, raptownie uginając kolana i ściskając ją mocniej za szyję. Starła się skoncentrować na trzymaniu mnie za lewą rękę, żeby zmniejszyć trochę nacisk na szyję, bo pewnie za bardzo się bała uduszenia, żeby się opierać.

Wyszedłem na korytarz, ciągnąc ją za sobą i nadal przyciskając jej głowę do swojej piersi. Nie stawiała żadnego oporu, ale gdy tylko zrównaliśmy się ze stolikiem, zrozumiałem dlaczego. Zaczęła nagle kopać i szarpać się, wierzgała nogami, chwytając mnie jeszcze silniej za ramię, by się lepiej podeprzeć. Przesunęła kopniakiem stolik i strąciła z niego lampkę. Witrazowy abażur roztrzaskał się o podłogę.

Zrobiło się głośno, co oznaczało, że już nie muszę chodzić na palcach. Ruszyłem szybciej ku schodom, ciągnąc ją za sobą. Początkowo szarpała się i kopała, dalej łomocząc nogami o drewnianą podłogę, ale musiała zrozumieć, że jak sobie sama nie pomoże, czyli jeśli nie będzie trzymała zgiętego grzbietu i stóp na podłodze, to może sobie złamać kark.

Dotarliśmy do schodów i już miałem skrócić w prawo, by zejść niżej, kiedy usłyszałem odgłos podnoszącej się po mojej stronie zapadki. Obróciłem się gwałtownie, kiedy jedne z drzwi otworzyły się i z pokoju wylało się światło. Sara obróciła się wraz ze mną, a z jej gardła wydobył się przytłumiony krzyk wywołany bólem skręcanej szyi.

To był ten Amerykanin. Szybko się ruszał. Wystrzeliłem w drzwi, kiedy je akurat zatrzasnął. Trzymając Sarę, ruszyłem szybko w dół schodów.

Amerykanin łomotał w podłogę wrzeszcząc: „Wstawać! Wstawać! Napad, napad! Wstawać!”.

Pięty i łydki Sary zbierały dobre cięgi, piszcząca przez swój knebel jak zarzynana Świnia i usiłowała napiąć mięśnie, by zmniejszyć ból. Hałasowaliśmy jak szarżujące stado zwierząt: ja tupiałem mocno, a ona uderzała stopami o drewno.

Nie oglądałem się, tylko biegłem przed siebie. Nie zamierzałem skierować się do wyjścia przeciwpożarowego na następnej kondygnacji, jak zakładałem do niedawna. Po obu stronach korytarza było za dużo pokoi i nie miałem pojęcia, czy w budynku jest jeszcze ktoś, kogo nie brałem pod uwagę. Wnioskując po tym, jak mi do tej pory szło, musiał tam ktoś być. Mój nowy plan przewidywał dostanie się do garażu znaną mi drogą i potem wianie ile sił w nogach.

Skręciłem w prawo, by ruszyć po następnej części schodów. Zdażyłem zrobić kilka kroków, gdy zobaczyłem, że korytarz na pierwszym piętrze jest oświetlony jak stadion piłkarski.

- Sara! - krzyknął z góry Amerykanin. - Jeden z nich ma Sarę! Mają Sarę!

- Gdzie? Gdzie są? Pomóż mi tutaj - odpowiedział mu ktoś z dołu, przekrzykując bełkot telewizji.

Zastygłem nie dalej niż dwa metry od najniższego stopnia. Nie mogło minąć wiele czasu, zanim ci dwaj zaczęli działać razem i będzie po mnie. Potrzebowałem kilku sekund, żeby się uspokoić i zastanowić.

Z lewej strony zbliżył się korytarzem jakiś cień. Okazało się, że to ubrany w dżinsy Bossman z HK53 w ręku. Kurwa, jak on się tak szybko uwolnił? Patrzyłem na niego z góry, celując z broni. Trzymałem przy tym Sarę jeszcze mocniej, by nie przesłaniała mi widoku.

Bossman odwrócił się i spojrzał do góry. Trzykrotnie cicho strzeliłem i upadł. Nie zabiłem go: wrzeszczał i wił się na podłodze. Jego pięćdziesiątkatrójka z łoskotem zsunęła się po schodach na niższą kondygnację.

- Co się dzieje? - wrzasnął z góry Amerykanin. - Odezwiście się! Niech ktoś się odezwie!

Pokonałem resztę stopni, zatrzymałem się tuż przed korytarzem i nadal trzymając Sarę lewym ramieniem, przełożyłem pistolet do lewej ręki i wygarnąłem z niego na oślep. Z powodu tłumika nie dawało to odpowiedniego efektu, ale kule z trzaskiem rozłupywały boazerię, toteż wszyscy ogólnie wiedzieli, co się dzieje. Prosiłem w duchu Bossmana, by dalej się darł, ponieważ w ten sposób wystraszyłbym każdego, kto tylko go słyszał. Może to podziałało, bo nikt nie odpowiedział mi ogniem. A może po prostu nie było tam więcej ludzi.

Wystrelałem wszystkie naboje, i zacząłem wymieniać magazynki. Nacisnąłem wyzwalacz magazynka i przesunąłem dłonią w dół, by pomóc mu wypaść. Uderzył o stopień i odbijając się, spadł na dół na plecy Bossmana, który leżał twarzą do podłogi, a jego krew rozlewała się po wypastowanej podłodze. Spojrzałem w górę schodów, czekając na Amerykanina i jednocześnie wkładając nowy magazynek do broni trzymanej tuż przy twarzy Sary. Odwróciłem twarz, by sprawdzić komorę nabojoową, i wtedy po raz pierwszy spotkaliśmy się wzrokiem. Była wyraźnie wstrząśnięta, gdy mnie rozpoznała: otworzyła szeroko oczy z zaskoczenia i niedowierzania. Odwróciłem wzrok, gdyż musiałem się skoncentrować na bieżącym problemie.

Ruszyłem na oślep przez pokój, starając się nie potknąć o Bossmana, którego krzyki już cichły. Zbiegłem do końca schodów, ciągnąc za sobą Sarę, obijała się o stopnie, ponieważ czasami podnosiła nogi, ale niekiedy po prostu się potykała.

Przebiegłem w poprzek pokój, kierując się ku drzwiom do garażu; po drodze minąłem „Za chudego w uszach” i jego kumpli. Kiedy przechodziłem obok drzwi kuchni, z telewizora rozległy się krzyki.

Zbliżałem się właśnie do drzwi garażu, gdy usłyszałem dochodzące z góry krzyki i kilka wystrzałów.

Nie wiedziałem, do czego strzela Amerykanin, ale zaraz domyśliłem się: pewnie zbiegł na dół, zobaczył w ciemnościach sylwetki koło telewizora i otworzył na oślep ogień. Migocące światło telewizora i przeraźliwa sytuacja pewnie zszarpały mu nerwy. W każdym razie mnie na pewno.

Zamknąłem drzwi za sobą, żeby jeszcze bardziej go zdezorientować. Nie odważyłby się wpaść wprost przez drzwi, nie mógł być pewien, co go czeka po drugiej stronie. Kiedy mijaliśmy explorera, z góry dobiegło wołanie Amerykanina. Nie mogłem zrozumieć, o co mu chodzi, ale chyba nie był zadowolony z rozpoczęcia dnia.

Siekące krople deszczu uderzyły mnie w twarz. W tej samej chwili przypomniałem sobie o worku, ale było już za późno. Chrząnąć go. Odwróciłem się w lewo, w stronę drugiego domu, i ledwie dałem trzy kroki, kiedy zapaliły się uruchamiane czujnikiem lampy. Pochylając głowę, ruszyłem biegiem, ale moje ruchy spowalniała Sara.

Pokonałem kilkanaście metrów, kiedy z którejś z wyższych kondygnacji posypała się seria z pięćdziesiątkitrojki. Krótka lufa i duży ładunek prochowy naboju powodują, że z karabinka wydobywa się przeraźliwy ogień. Tylko ten typ broni daje efekty świetlne, jak pokazują na filmach. To wspaniała broń na krótki dystans, bo paraliżuje ludzi strachem. Biegłem dalej: jeszcze kilka kroków i zniknę z zasięgu lampy.

Obejrzałem się, gdy tylko wpadliśmy w ciemność. Wszystkie światła w domu się paliły, a z okien na drugim piętrze wydobywał się dym. Budynek wyglądał prawie jak przesłonięty przez deszcz i opary dom z filmu Horror w Amityville, lecz tutaj nie było oparów, tylko dym z prochu strzeleckiego.

Na piętrze sąsiedniego domu również paliło się parę światel. Według nowego planu chciałem się tam dostać, wziąć ich na muszkę, zabrać im pikapa i zwiewać. Jednak ledwie o tym zdążyłem

pomyśleć, gdy zapalił się szperacz zamontowany na prawym błotniku ich pojazdu terenowego i snop światła o natężeniu chyba miliona kandelil przeciął ciemność w naszym kierunku.

- Nie zbliżać się - rozległ się ostrzegawczy krzyk mężczyzny. - Trzymać się z daleka! Jestem uzbrojony, zadzwoniłem na policję!

Dla potwierdzenia swych słów grzmotnął parę razy w naszym kierunku z karabinu. Pewnie miał na samochodzie naklejone hasło: „Moja ziemia, mój kraj, mój karabin” i jeszcze parę innych naklejek, które kupił „U Jima”, ale bronił swojej rodziny i miał rację. Któryś pocisk zarył się z głuchym pacnięciem w ziemię, moim zdaniem stanowczo za blisko. Albo był takim dobrym strzelcem i oddał strzał ostrzegawczy, albo też próbował nas trafić, i tym razem mieliśmy szczęście. Nie miałem ochoty czekać tam, żeby się o tym przekonać. Rzuciłem się w lewo i pobiegłem pomiędzy domami w górę zbocza, kierując się ku polnej drodze. Kolejna zmiana planu: teraz zamierzałem wrócić do mojego samochodu pieszo, tak jak planowałem cały czas, kiedy nie doszło do tych wszystkich komplikacji.

Huknął kolejny strzał z karabinu, ale tym razem nie usłyszałem pacnięcia kuli. Zaraz potem posypała się kolejna seria z HK, ale kule poszły diabli wiedzą gdzie.

Dotarłem do drogi, przebiegłem na drugą stronę i zatrzymałem się, by ocenić sytuację. Byliśmy w ciemnościach na stoku powyżej domu. Z rejonu domu, który stanowił mój cel, znowu rozległy się strzały i zobaczyłem kilka długich na ćwierć metra rozbłysków z lufy. Odpowiedziały im kolejne strzały od strony pikapa. Ten facet musiał grać i krzyczeć do wszystkiego, co się tylko ruszało. Jego szperacz przesunął się na boki w poszukiwaniu celu.

Do światła szperacza dołączyły inne: po drugiej stronie jeziora zabłyśły w deszczu czerwono-niebieskie pulsujące światła. Od razu pojąłem, że mam większą szansę na to, żeby we mnie trafił piorun, niż na to, żebym wrócił do samochodu.

Znowu zmieniłem plan, dostosowując się do sytuacji. Musieliśmy wydostać się stąd na piechotę. Stałem bez ruchu z ugiętymi kolanami, czekając, aż złapię oddech. Było zimniej niż wieczorem, a wiatr i deszcz głośno szumiały w gałęziach drzew.

Ruszyłem przez las. Gałęzie drapały Sarę; słyszałem, jak jęczy z bólu. Pochyliłem głowę, pracując w górę stoku i zostawiając wszystkich, żeby dalej już sobie sami radzili. Wyglądało na to, że moje szczęście, jeśli chodzi o domy, jest takie samo jak w przypadku wózków na zakupy, czyli zerowe.

18

Trzymałem mocno Sarę, brnąc przed siebie. Ślizgałem się na mokrej ściółce i zjeżdżałem po niej, potykałem się o kamienie i leżące gałęzie i wymachiwałem wolną ręką, by odzyskać równowagę. Krzyczała jak opętana mimo knebla, trochę dlatego, że ją bolało - gałęzie chłostały jej odsłonięte ciało, a grunt ranił stopy - a trochę dlatego, by zachować drożność dróg oddechowych. Przynajmniej dzięki temu wiedziałem, że oddycha.

Potknąłem się znowu i upadłem, uderzając kolanami o kamienie. Straszliwie zapiekło. Szarpnąłem przy tym Sarę, która jęknęła głośno i pochyliła się, żeby zmniejszyć nacisk na szyję. Pozostałem na kolanach, wykrzywiając się z bólu i czekając, kiedy osłabnie. Mogłem jedynie usiłować go opanować. Miałem nadzieję, że nie roztrzaskałem sobie rzepki. Rozpaczliwie próbowałem złapać oddech. Sara przestała walczyć o zachowanie pozycji stojącej i osunęła się w błoto. Jej głowa, wciąż przeze mnie unieruchamiana, oparła mi się o uda, poruszała się w górę i w dół w rytm mojego oddechu.

Za nami nieźle się kotłowało: co chwila rozlegał się odgłos wystrzału z karabinu lub seria z broni automatycznej, wszystko przy akompaniamencie wrzasków. Popatrzyłem za siebie w dół porośniętego zbocza. Jakieś sto pięćdziesiąt metrów od nas błyszczały w deszczu światła obydwu domów. Jeszcze nas mogli z nich dojrzeć, a wkrótce miało się rozjaśniać. Musiałem uciekać dalej.

Facet z karabinem wpadł w szał strzelecki: darł się i wrzeszczał jak w filmach dla mężczyzn, którzy lubią męskie filmy. Nie wiedziałem, czy go to bawi, czy nie, ale przynajmniej jedno było pewne: potrafił krzyczeć. Podniosłem się, pociągając Sarę, i znowu ruszyłem.

Z tyłu dobiegł odgłos wirnika helikoptera. Chwilę później maszyna zawisła nad jeziorem, a oślepiająco jasny szperacz przebił ciemność i zaczął omiatać teren wokół domów. Na razie nie zbliżał się za bardzo do miejsca akcji, pewnie z obawy, że ktoś może spróbować szczęścia i zacznie do niego strzelać.

Rozległy się kolejne wystrzały z karabinu i niemal natychmiast usłyszałem w odpowiedzi serię z pięćdziesiątkitrójki, której towarzyszyły jaskrawe, niemal białe rozbłyski z lufy. Odwróciłem się i pobiegnę przed siebie.

W gardle wyszło mi na pieprz. Bóg wie, jak wyglądało gardło Sary, ale musiało być w nędznym stanie. Ciągłe się oglądałem, światła w domach powoli przygasaly w ciemnościach i deszczu. Już niedługo mieliśmy się skryć za grzbietem wzgórza. Szperacz śmigłowca na krótko oświetlił teren wokół mnie, kiedy maszyna okrążyła jezioro, rzucając setki cieni wśród drzew. Łopaty wirnika jęczały, usiłując utrzymać helikopter na stałym kursie mimo wiatru. Turyści bez wątpienia wybiegli przed namioty, żeby oglądać powtórkę obłężenia Waco z bezpiecznej odległości po drugiej stronie jeziora, zadowoleni, że ich deszczowe wakacje mimo wszystko okazały się dość ciekawe.

Poniżej widać było już tylko płaskie dachy obydwu domów. Kolejne pulsujące światła przebiły się między drzewami. Tym razem pojawiły się po mojej stronie jeziora, na lewo od polnej drogi. Inne policyjne samochody wjeżdżały na parking po drugiej stronie jeziora. Trochę za szybko się pojawiły, więc musiałem mieć rację. Pewnie mój raport potwierdził spekulacje Elizabeth i Lynna na temat tego, co tu się dzieje, więc chcieli, żebym wyprowadził Sarę z tego terenu, zanim odbędzie się szarża amerykańskiej kawalerii. Zdaje się, że trochę spałęm sprawę. Już niedługo cały teren zapewne zapełni się funkcjonariuszami policji i FBI, którzy spróbują zapobiec wybuchowi trzeciej wojny światowej.

Pomyślałem, że po tym wszystkim facet z karabinem na pewno zostanie bohaterem narodowym. Pewnie zacznie prowadzić swój własny talk show. Jednak policjanci musieli pamiętać o swoich kredytach hipotecznych na dom i dzieciach, toteż w ciemnościach pewnie tylko otoczą teren. Jednak kiedy się rozjaśni, wezmą się do roboty, a może nawet władze postawiłyby na nogi wojsko lub gwardię narodową.

Dotarłem do grzbietu wzniesienia i pobiegnę w dół zbocza: wszelkie odgłosy zostawiłem za sobą. Zanim zacznie świtać, powinniśmy jak najszybciej oddalić się od celu.

Parłem naprzód, a Sara drżała i trzęsła się u mojego boku, krzycząc w knebel. Skoro ja czułem się źle, to ona musiała czuć się wręcz fatalnie.

Pokonałem kolejny niewielki grzbiet i gdy zacząłem zbiegać po stoku, straciłem równowagę na śliskim gruncie i poturlałem się w dół. Sara szarpnięciem próbowała się uwolnić. Przez ułamek sekundy zawahałem się, czy dalej ją trzymać, czy wypuścić.

Sytuacja rozwiązała się sama, kiedy wykonaliśmy kolejny półobrót i zatrzymaliśmy się gwałtownie na pniu drzewa. Wylądowałem na plecach, a ona na mnie, nakrywając mi twarz mokrymi włosami i dysząc ciężko przez nos jak zwycięzca gonitwy Grand National. Pistolet, który miałem za paskiem dzinsów, gdzieś zniknął.

Zwolniłem uchwyt, bo i tak nigdzie nie mogła uciec. Najważniejsza była broń. Już nigdy nie chciałem zostać bez broni. Okrywając palcami latarkę, by ograniczyć zasięg światła, zacząłem brnąć na czworakach i grzebać się w liściach i błocie jak dzieciak szukający zgubionej zabawki.

W końcu trafiłem kolanem na metalową krawędź. Sprawdziłem bezpiecznik, startem z grubsza błoto i wepchnąłem broń z powrotem na miejsce. Kiedy z trudem dobrnąłem do Sary, zauważyłem, że oddycha o wiele głośniejsz. Coś tu było nie tak.

- Co ty, kurwa, wyprawiasz? - usłyszałem głośny, szorstki szept. - Zdejmuj ten pasek. I to już!

Udało się jej w jakiś sposób rozwiązać knebel i teraz kaszłała, usiłując pozbyć się bólu gardła.

- No! - powiedziała, podnosząc ręce. - Ściągnij' mi to, do diabła!

Nie mogła tego zobaczyć, ale usiłowałem powstrzymać się od śmiechu. Ludzie mówiący takim akcentem jak ona nie powinni kłąć, bo to po prostu nie skutkuje. Poza tym była praktycznie naga, wymazana błotem, ale mimo to próbowała mi rozkazywać.

- Zrób to, Nick. Pośpiesz się, musimy ruszać!

Z tyłu nie dobiegały już żadne odgłosy wystrzałów, tylko słycać było głos z gigantofonu, prawdopodobnie wydawano polecenia ludziom, by zostali w domu. Szum deszczu uniemożliwiał mi zrozumienie słów. Helikopter był gdzieś dalej; słycałem niesione przez podmuchy wiatru łomotanie wirników.

O co jej chodzi? My musimy ruszać! Spojrzałem na nią i już nie mogłem się powstrzymać. Zacząłem się śmiać, co wkurzyło ją jeszcze bardziej.

- Nie bądź śmieszny, szybko, rozwiąż mnie! - Podniosła ramiona. - Wyprowadź mnie stąd, zanim się to wszystko jeszcze bardziej popieprzy!

Łomot zbliżającego się śmigłowca uciszył nas oboje. Trudno było stwierdzić, z którego kierunku dochodzi dźwięk. Spojrzałem w górę, ale nic nie dostrzegłem.

- No zdejmij mi ten pasek i daj mi swoją kurtkę!

Zaczęła ciągnąć za węzeł zębami, ale nic to nie pomagało.

Skórzany pasek był za mocno zaciśnięty i zbyt wilgotny, a ona za bardzo drżała, by go dobrze ścisnąć zębami.

Helikopter przesunął się z rykiem nad naszymi głowami. Zobaczyłem przez korony drzew błysk jego świateł pozycyjnych. Na szczęście nie zawisł nad nami ani nie przeszukiwał terenu w systematyczny sposób, w każdym razie jeszcze nie teraz. Wiedziałem jednak, że wkrótce podejmie takie działanie. Przez liście drzew dojrzałem pierwszy promień słońca.

Sara znowu postanowiła zwrócić na siebie moją uwagę.

- Nick, ściągnij mi to i daj mi swoją kurtkę. Proszę.

Nadal trzymała ramiona wyciągnięte w moją stronę. Chwyciłem za pasek i zacząłem ciągnąć ją za sobą po błocie.

Pierwsze światło dnia zaczęło rozpraszać mrok i oświetliło nasze ślady. Deszcz zmalął, odgłos kropli uderzających o liście zamierał razem z wiatrem. Zaczynałem się czuć podłamani: byłem przemoczony do suchej nitki, zmarznięty i dezorientowany. Co gorsza, zostawialiśmy za sobą wyraźną ścieżkę w błocie.

Najwyraźniej zorientowała się, że nie jestem w nastroju do dyskusji, więc się zamknęła. Pokonaliśmy kolejną fałdę terenu. W dole, jakieś sto metrów od nas, u podnóża stromego spadku, płynęła rzeka. Miała może trzydzieści metrów szerokości i przypominała górski potok.

Brnęliśmy w dół, słysząc tylko szum wody przed nami. Sara wołała: „wolniej, wolniej”, usiłując zachować równowagę. Nie słuchałem. Musieliśmy znaleźć przejście przez rzekę. Przy odrobinie szczęścia mogła powstrzymać pościg. Miałem nadzieję, że zaczną poszukiwania od domu i dotrą nie dalej niż do brzegu rzeki, zakładając, że nikt nie jest tak stuknięty, by próbować ją pokonać.

W tej chwili musiałem być jedyną osobą na świecie, myślącą z sympatią o El Nino. Teoretycznie w obydwu Karolinach powinno być o tej porze roku ładnie i słonecznie. Takie warunki jak teraz musiały spowolnić pościg, a gdyby pogoda pogorszyła się jeszcze, to nie mogliby korzystać z helikoptera.

Im bliżej wody, tym bardziej przerzedzał się baldachim koron drzew. Na otwartym terenie był już prawie dzień. Kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem gęste, szare i ponure chmury pokrywające niebo. Nie padało już, ale w gęstym lesie nie dało się tego zauważyć, bo cała wilgoć zatrzymuje się na liściach i dalej spada na ziemię, ale co tam, cholera, i tak już przemokłem do gołej skóry.

Mokre włosy Sary oblepiały jej głowę, a wokół nosa miała zaschniętą krew. Musiałem ją nieźle trzepnąć, kiedy leżała w łóżku. Z licznych skaleczeń na nogach ciekła krew i miała taką gęsią skórę, jakby pokrywały ją białe bąble wielkości orzeszków ziemnych. W każdych innych okolicznościach musiałyby skorzystać z opieki szpitalnej. Była oblepiona błotem, piaskiem, strzępami liści i gałązek i trzęsała się nieopanowanie w swoich przemoczonych, i przez to przezroczytych, majtkach i koszulce.

Wypuściłem pasek i przyjrzałem się rzece, usiłując wyszukać bezpieczny bród. Bez sensu. Jeśli miałbym wątpliwości co do siły prądu, wystarczyło, żebym spojrzał na kawały wyrwanego z korzeniami drzewa, które pędziły z prądem, grzmocąc o kamienie. W każdym miejscu byłby problem z przejściem. Cóż w tym nowego?

Sara wiedziała, o czym myślę. Usiadła w pozycji embrionalnej na leżącym na brzegu rzeki kamieniu, oplótła ramionami nogi, usiłując ochronić ciało przed utratą ciepła. Spojrzała na rzekę, a potem na mnie.

- Nie, Nick. Zwariowałeś? Nie idę, nie tędy. Może byśmy...

Przerwałem jej w pół zdania, chwytając za pasek i wciągając z powrotem pod osłonę drzew. Nic do niej nie mówiłem, bo za dużo myśli kłębiło mi się po głowie. W milczeniu wyciągnąłem koszulę ze spodni, a potem zrobiłem to samo z wetkniętymi w buty nogawkami dżinsów i rozpiąłem mankiety w rękawach kurtki. Musiałem mieć wszystko wygodne i luźne, żeby woda mogła mnie swobodnie opływać. Jeżeli się płynie z wetkniętą w spodnie koszulą, to masa zgromadzonej w niej wody spowalnia ruchy, i można się w końcu utopić. Zrzuciłem też rękawice, bo już mi nie były potrzebne, a poza tym wyglądały głupio. Wepchnąłem wszystkie moje papiery razem z jej dokumentami do jednej z rękawic, wepchnąłem ją do drugiej i włożyłem cały pakunek do kieszeni kurtki. Zawahałem się nad jej torebką: trudno, musiałem wziąć ją ze sobą. Nie mogłem zostawiać więcej śladów.

Wiatr znowu się wzmógł, czubki drzew rosnących po drugiej stronie rzeki zaczęły się zginać i kołysać. Popatrzyłem na Sarę. Kuliła się za drzewem, chroniąc przed wiatrem. Tylko o krok od niej woda uderzała wściekle o skałę.

Spojrzałem na przeciwległy brzeg, podążając wzrokiem za nurtem rzeki i usiłując wykalkulować, gdzie wylądujemy. Widoczność w dół rzeki sięgała około dwustu pięćdziesięciu metrów, ale potem rzeka skręcała w prawo i znikaała nam z oczu. Przeciwległy brzeg wznosił się jakieś trzy czwarte metra powyżej poziomu wody i zawałały go gałęzie, dojrzałem też mnóstwo odsłoniętych przez nurt rzeki korzeni drzew, których można się uchwycić. Musiałem zakładać najgorsze, to znaczy, że tuż za zakrętem znajduje się potężny wodospad, co oznaczało, że mieliśmy tylko dwieście pięćdziesiąt metrów na pokonanie rzeki i wyjście na brzeg.

Temperatura powietrza nie spadała poniżej zera, ale i tak panowało przenikliwe zimno. Na lądzie nie zginęlibyśmy z wychłodzenia organizmu, ale co innego w rzece. Sara zobaczyła, że spoglądam to na wodę, to na nią. Opuściła głowę i schowała twarz na przedramionach. Był to gest rezygnacji, uznanie faktu, że jeśli mówiła prawdę o tym, iż chce się stamtąd wydostać, to tylko ja mogłem jej w tym pomóc.

Helikopter krążył gdzieś za nami, na terenie pomiędzy rzeką i domami. Musiał być gdzieś blisko, bo inaczej nie słyszałbym jęku łopata wirnika, gdy usiłował zawisnąć na niedużej wysokości.

Podszedłem do Sary, chwyciłem za pasek i szarpnięciem postawiłem ją na nogi. Popatrzyłem jej prosto w oczy.

- Nick, dlaczego mi tego nie zdejmiesz? Proszę. Nigdzie nie ucieknę.

Zignorowałem ją. Trzymając pasek lewą ręką, ruszyłem ku brzegowi, patrząc w niebo. Usiłowałem sobie wmówić, że jedyny problem stanowi teraz helikopter.

Wcinając się w rzekę na blisko pięć metrów, skalna ostroga wyglądała na pewnego rodzaju pomost, z którego mogliśmy zacząć przeprawę. Woda przelewała się przez nią i nie było sposobu dostrzec, jak jest głęboko po obu stronach. Miałem nadzieję, że Sara umie pływać, ale jeśli nie, to trudno: mogła mi wcześniej powiedzieć. Popatrzyłem na nią i nagle w jej oczach zobaczyłem strach. Przeniósłem wzrok z powrotem na rzekę. Wyglądało to nieźle. Musiałem Sarze zdjąć pasek, inaczej może nie przeżyć. Śmierć czekała na nią w wybranym przeze mnie czasie i miejscu.

- Dziękuję - powiedziała bardzo cicho, gdy rozwiązałem węzeł.

Spojrzałem jej w oczy, próbując wyczytać w nich, co ma na myśli, a potem skinąłem głową i poszedłem przed siebie, wrzucając pasek do torebki. Sara zaczęła ostrożnie stąpać po leżących na skraju wody kamykach.

- Ruszaj się! - warknąłem.

Opuściła głowę, patrząc pod nogi.

- Staram się, ale bolą mnie nogi - powiedziała.

Zaczęliśmy brodzić w wodzie.

- O cholera, ale zimno! - Jęknęła.

Miała rację. Temperatura wody musiała wynosić około zera. Powiedziałem sobie, że mam po prostu wejść do rzeki i iść dalej. O to, jak się ogrzać, będę się martwił na drugim brzegu.

Opierałem się prądowi aż do chwili, gdy sięgnął mi do pasa. Sara posuwała się za mną, trzymając się paska torebki, którą nadal miałem przerzuconą przez ramię. Dałem jeszcze jeden krok i znalazłem się w rwącym nurcie. Prąd usiłował zbić mnie z nóg. Chwyciłem Sarę za rękę, sam nie wiem, czy po to, żeby się podeprzeć, czy żeby jej pomóc; ale ledwie podniosłem nogę, masa wody mnie

przewróciła. Mimo to nie wypuściłem ręki Sary. Wierzgałiśmy oboje i trzepali rękami, żeby utrzymać się na powierzchni i chociaż trochę przesunąć się do drugiego brzegu, ale prąd zaczynał mnie wciągać pod wodę. Kiedy człowieka przyciska do skały zaledwie pół metra wody płynącej z prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę, to żeby się od niej oderwać, trzeba mieć tyle siły co wtedy, gdy się wyciska w pozycji leżącej na ławce sztangę o wadze dwustu dwudziestu kilogramów. Nie mieliśmy żadnej szansy z gnającymi z prądem tonami wody.

Wtłoczyło mi głowę pod powierzchnię i łyknąłem haust mroźnej wody. Z trudem udało mi się wystawić głowę nad powierzchnię, starałem się oddychać przez nos, ale zaraz zachłysnąłem się kolejną porcją wody. Przestałem trzymać Sarę. Każde z nas musiało teraz walczyć na własną rękę. Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami, kiedy uświadomiła sobie, co właśnie zrobiłem. To nie był mój problem; kłopot pojawiłby się dopiero wtedy, gdybym nie zdążył znaleźć ciała przed pościgiem. Pamiętałem nadal, że musi zniknąć bez śladu.

Zobaczyłem przez zalewające mi oczy rozbrzysgi wody, jak usiłuje utrzymać głowę nad powierzchnią, miotając się w wodzie. Po chwili prąd wciągnął ją i już nie wiedziałem, jak daleko ją zniosło. Woda nadal mnie zalewała i bardziej walczyłem o to, żeby zaczerpnąć powietrza, niż o to, by dotrzeć na drugi brzeg. Sara znikła mi z oczu, ale nic nie mogłem na to poradzić. Sam byłem w poważnych tarapatach.

Wynurzyłem się, kolejny raz rozpaczliwie chwyając powietrze, gdy usłyszałem krzyk:

- O Boże! O Boże!

Rozejrzałem się, ale nic nie zobaczyłem ponad spienionym nurtem.

Wciągnęło mnie znowu i jeszcze raz napiłem się wody. Wydobyłem się z trudem na powierzchnię i zobaczyłem, że jestem prawie przy drugim brzegu. Prąd nie słabł jednak, ponieważ rzeka skręcała w prawo, a ja byłem na zewnętrznej części łuku, gdzie nurt był najbardziej rwący. Wpadłem w wir i siła bezwładności wyrzuciła mnie ku brzegowi. Wyciągnąłem przed siebie ręce, próbując złapać jakiś odsłonięty korzeń czy zwisającą gałąź, cokolwiek.

Zawołałem Sarę, ale tylko ponownie natykałem się wody. Zakaszałem, usiłując otworzyć oczy, ale za bardzo mnie piekły. Wałać na oślep rękami, trafiłem lewą dłonią w coś twardego. Próbowałem to chwycić, ale ustąpiło. Zaraz jednak. zaczepliłem prawą ręką o gruby korzeń drzewa. Prąd obrócił mnie i przycisnął do brzegu. Dotknąłem stopami twardego gruntu i ciężko dysząc, przywarłem do korzeni, żeby się zatrzymać. W rzece dostrzegłem tylko gałęzie i kawały drewna.

Walcząc z naporem wody, sięgnąłem wolną ręką do wystającego wyżej korzenia. Chwyciłem go i tak się podciągnąłem, że w wodzie miałem zanurzone tylko stopy. Jeszcze jeden chwyt i podciągnięcie, i padłem na brzeg, łapiąc oddech. Nigdy w życiu nie czułem takiej ulgi. Leżałem z minutę, wypluwając wodę i czując, jak powoli odzyskuję siły w kończynach.

Kiedy przejaśniło mi się w głowie, uświadomiłem sobie, że moje problemy jeszcze się nie skończyły. Musiałem teraz znaleźć Sarę, która mogła znajdować się w każdym miejscu w dole rzeki. Przeszukiwanie brzegów naraziłoby mnie na obserwację z ziemi, a rzeka była naturalnym szlakiem, wzdłuż którego poruszały się pościgi. Na domiar złego, gdyby znowu pojawił się śmigłowiec, to odkryłby mnie od razu.

Nie mogłem nic na to poradzić, musiałem działać dalej i uratować, co się tylko da. Obróciłem głowę, żeby popatrzeć w dół rzeki. Nadal ani śladu Sary.

Ruszyłem brzegiem obciążony przez nasiąkniętą wodą ubranie, spoglądałem od czasu do czasu ku wodzie, by zobaczyć, czy nie znajduje się gdzieś za kamieniami albo w jakiejś dziurze w ziemi. Gdybym nie odszukał Sary, a potem znaleziono by ją gdzieś dalej w rzece albo nawet na wybrzeżu, znaczyłoby to, że skopałem sprawę. Ale jeszcze się nie poddawałem.

Idąc, rozglądałem się za jakimś miejscem, gdzie mógłbym ukryć jej ciało, gdyby nie żyła. Schowanie zwłok nie było idealnym rozwiązaniem, ale mało mnie to obchodziło. Gdybym próbował wynieść ją stąd, to by opóźniło marsz, a tak, zawsze mogłem wrócić za miesiąc czy dwa i dokończyć robotę. Wypatrywałem miejsca, które mógłbym później zidentyfikować, być może nawet o innej porze roku, a przy tym takiego, które nie znajdowało się blisko ścieżek turystycznych lub szlaku wodnego.

W miejscu gdzie rzeka wchodziła w łuk, a prąd zmieniał kierunek, panował niemal ogłuszający hałas. Minąłem zakręt i przede mną odsłonił się nie znany mi do tej pory fragment terenu. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom: zaledwie trzysta metrów w dół rzeki zobaczyłem pieszą kładkę opartą na wbitych w dno rzeki drewnianych palach. Super. Gdybym jej szukał, to wtedy by jej nie było.

Stanąłem, rozglądając się i nasłuchując. Na pewno mieli kładkę na mapach, zatem każdy wysłany naszym tropem skorzystałby z niej, by przekroczyć rzekę.

Kiedy byłem jakieś sto pięćdziesiąt metrów od kładki, zobaczyłem, że jej konstrukcja opiera się na trzech grubych drewnianych podporach. Sama kładka, zrobiona chyba ze starych podkładów kolejowych, wystawała jakieś dwa metry nad poziom wody.

W każdym scenariuszu poszukiwań policja musiała wykorzystać jako punkt kluczowy miejsce, do którego w sposób naturalny kieruje się kroki. Może już je zidentyfikowali i obsadzili ludźmi, którzy czekali na nas w ukryciu.

Mam się cofnąć pod osłonę drzew i potem wrócić do rzeki, gdy już ominę kładkę? - zadałem sobie w duchu pytanie. Głupi pomysł, przecież musiałem przeszukać cały brzeg. Jakby sprawy miały się rozwijać jak do tej pory, to pewnie Sara leżałaby nieżywa raptem metr od kładki. Jeszcze przez chwilę przyglądałem się kładce. Wiatr zginał czubki drzew, a woda przewalała się w rzece z opętańczą prędkością.

Najpierw pomyślałem, że to piana napiera na środkowy słup, wyrzucając w powietrze bryzgi. Jednak nie - to była Sara. Przywarła do słupa i sięgała w górę ręką, próbując pokonać ostatnie dwa metry dzielące ją od bezpiecznego miejsca. Przesuwała co chwilę rękę w górę podpory, ale rwący prąd udaremnił jej wysiłki. Przez ułamek sekundy miałem nadzieję, że ją zmyje. Mógłbym wtedy skupić się na ratowaniu własnego tyłka i ucieczce, godząc się na wszelki opieprz czekający mnie po powrocie do Wielkiej Brytanii. Jednak po chwili spojrzałem na to z innego punktu widzenia: nadal istniała szansa, że ją wyciągnę i wykonam robotę zgodnie z zaleceniami.

Cofnąłem się pod osłonę drzew, zbliżyłem do kładki na jakieś dwadzieścia metrów i położyłem na ziemi, żeby się jeszcze raz rozejrzeć. Sara zachowywała się cicho. Albo była na tyle przytomna, że wiedziała, iż nie wolno krzyczeć, albo za bardzo przerażona. Dopóki milczała, nie obchodziło mnie, czym się kieruje. Nie dostrzegłem innego ruchu, ale przecież jeżeli policja знаła teren, to miałbym wiele szczęścia, gdybym zauważył funkcjonariuszy. Musiałem podjąć decyzję: albo ją wyciągam i kończę zadanie, albo pozwolę, żeby ją zmyło i żeby się utopiła. Raptem przyszło mi do głowy, że istnieje jeszcze trzecia opcja: mogła przeżyć, mimo że by ją zmyło.

Rozejrzałem się za jakąś gałęzią, wystarczająco długą, by spełniła swe zadanie. Nie musiała być mocna, wystarczyło, aby była długa. Podskakując, chwyciłem rękami gałąź drzewa i pociągnąłem ją w dół całym swoim ciężarem. Woda lunęła na mnie z liści i gałąź przełamała się z trzaskiem. Zacząłem ją kręcić i szarpać, aż w końcu oderwała się całkowicie. Nie zwracałem sobie głowy obrywaniem mniejszych gałązek, tylko ruszyłem do brzegu.

Zatrzymałem się, żeby najpierw ściągnąć buty, a potem dzinsy. Przez chwilę pozwoliłem sobie na fantazjowanie, że może wyświadczam teraz światu wielką przysługę. Może w Londynie wiedzieli, że będzie z niej kolejny Hitler. Zdjąłem kurtkę i od razu poczułem ułknięcie wiatru. Co ja tu, do cholery, robię? Zmarznięty na kość na jakimś zadupiu, z policją na karku - rozbieram się, żeby uratować życie jakiejś babie, tylko po to, aby ją zabić w innym miejscu. Postanowiłem przywołać się do porządku. Zamknij się, Stone. Skomlisz bez sensu. Wiesz, że to musi być zrobione.

Umieściłem broń i zawartość kieszeni dzinsów w torebce i przerzuciłem ją przez ramię. Włożyłem na powrót buty i trzymając w ręku dzinsy i kurtkę, wynurzyłem się zza osłony drzew i pobiegłem do kładki. Musiałem wyglądać jak gość dający nogę, kiedy nakryto go w łóżku z cudzą żoną.

Wbiegłem na tworzące kładkę podkłady kolejowe i zobaczyłem, że ona dalej udaje skorupiaka. Prąd spychał jej głowę na podporę, a ona starała się utrzymać ją na powierzchni.

Zobaczyła mnie.

- Nick, Nick. Jestem tutaj... tutaj!

Tak jakbym tego nie wiedział. Przechyliłem się przez poręcz.

- Zamknij się! - wrzasnąłem, przekrzykując szum wody.

Opuściłem ku niej nogawkę dzinsów z zawiązanym na końcu węzłem. Drugą nogawkę wcześniej przywiązałem do rękawa trzymanej przeze mnie kurtki. Nigdy nie pamiętałem nazwy tego węzła, ale gdyby mi to było do czegoś potrzebne, wstąpiłbym do marynarki. Na rękawie kurtki też zrobiłem węzeł, żebym miał za co trzymać.

- Złap tylko za koniec dzinsów! - krzyknąłem. - Słuchaj mnie teraz, OK?

Spojrzała do góry, strąsając wodę z twarzy, ale ciągle zerkiała na związaną nogawkę dżinsów - jej linę ratunkową. Jej oczy były szeroko otwarte z przerażenia.

Zacząłem kołysać tym wszystkim w powietrzu, żeby mogła dosięgnąć nogawki, nie odrywając się jednocześnie od podpory. Najpierw chwyciła ją zębami. Ścisnęła materiał i obróciła głowę, by przybliżyć go do rąk, i wreszcie się jej udało. Widząc determinację Sary, zorientowałem się, że jej nie wypuści.

- Saro, popatrz na mnie.

Chciałem, by dokładnie zrozumiała, czego od niej oczekuję. Kiedy ludzie wpadają w panikę, to kiwają głową i zgadzają się na wszystko, ale tak naprawdę nie rozumieją, co się do nich mówi.

- Spuszczę to wszystko do wody i podniosę z drugiej strony kładki. Kiedy krzyknę, puść podporę i trzymaj się tylko dżinsów. Rozumiesz?

- Tak, tak. Szybko.

- No to już.

Rozejrzałem się, by sprawdzić, czy nikt nas nie obserwuje, i zrzuciłem resztę improwizowanej liny do wody.

Położyłem się na brzuchu na podkładach i wychyliłem się nad wodą z drugiej strony. W wodzie pokazała się moja kurtka szarpana na boki przez nurt. Zajrzałem w przeciwnym kierunku pod kładką i zobaczyłem, jak Sara kaszle i wypluwa wodę, by zaraz znowu się jej nałykać.

Przesuwając gałęzią w wodzie, udało mi się za trzecim razem dotknąć kurtki i podciągnąć koniec rękawa. Owinąłem sobie przegub zawiązanym w węzeł rękawem i napiąłem się, opierając się o słupek balustrady, gotów do wysiłku. Już jej nie widziałem.

- Teraz, Saro. Teraz!

Musiła puścić podporę, bo prąd zmiotł ją pod przęsło. Poczułem straszliwe szarpnięcie, a potem rękaw napiął się jak smycz ciągnięta przez największego psa na świecie. Uczepiłem się rękawa kurtki jak opętaniec.

- Pracuj nogami. Nogami.

Nie trzeba jej było dwa razy powtarzać. Wysiłki Sary w połączeniu z siłą nurtu zepchnęły ją pod brzeg jak rybę na haczyku.

Podniosłem się i owijając jeszcze dwa razy rękę materiałem kurtki, cofnąłem kilka kroków ku skrajowi kładki. Zanim dotarłem do brzegu, miałem już w rękach kawałek dżinsów. Padłem na ziemię i chwyciliśmy się za dłonie. Nie trzeba jej było mówić, co robić dalej. Szarpnąłem ciałem, obracając się wokół własnej osi, a ona wdrapała się wyżej. Po chwili leżała obok mnie na twardym gruncie.

Podziękowałem w duchu aniołowi stróżowi, który pilnował mnie akurat tego dnia.

Sara kaszlała, usiłując złapać powietrze. Nie zanosilo się na to, żeby mogła szybko dojść do siebie, a przecież musieliśmy stamtąd wiać. Wstałem, pochyliłem się i przełożyłem ją sobie przez ramię strażackim chwytem. Następnie podniosłem związane ze sobą dżinsy i kurtkę i ruszyłem między drzewa, bardziej zataczając się, niż biegnąc. Musiałem zniknąć z pola widzenia helikoptera i znaleźć jakąś kryjówkę.

Przede mną pojawiło się strome podejście. Położyłem Sarę na ziemi, by złapać oddech. Drżałem gwałtownie, a ona jęczała, usiłując walczyć z zimnem i Szokiem. Chciałem przedostać się przez fałdę terenu na kolejny fragment osłoniętego gruntu, żeby nas nie widziano z drugiego brzegu rzeki.

Oparła mi głowę na ramieniu. Poczułem jej twarz tuż przy swojej. Patrzyłem wprost przed siebie, koncentrując się na drzewach, ale i tak usłyszałem te słowa:

- Dziękuję ci, Nick.

Skinąłem głową, próbując wzruszyć ramionami. Dziwnie się czułem, słysząc takie podziękowanie, w dodatku po raz drugi.

Kiedy dotarliśmy pod osłonę drzew, zatrzymaliśmy się i pomogłem jej się położyć. Odwróciłem się i oparłem o drzewo, łapczywie chwytając powietrze.

- Dasz radę iść o własnych siłach? - zapytałem.

Ku swojemu zaskoczeniu poczułem, jak kładzie mi rękę na ramieniu.

- Dam radę. Chodźmy.

Ruszyłem przodem. Pokonaliśmy pagórek i już nie było nas widać z drugiego brzegu, ale nadal potrzebowaliśmy osłony przed obserwacją z powietrza i przed dotkliwie kłusującym wiatrem. Nie wiało tak bardzo jak w nocy, ale wychłodzenie spowodowane przez wiatr mogło spowolnić nasz marsz po tym wszystkim, co dopiero przeszliśmy.

W normalnych warunkach, kiedy człowiek szuka schronienia przed żywiołami, ostatnim miejscem, w którym chciałoby się znaleźć, jest dno doliny czy głębokiej rozpadliny, ponieważ ciepłe powietrze podchodzi do góry, ale teraz potrzebowaliśmy osłony. Musieliśmy też spróbować znaleźć miejsce, gdzie moglibyśmy się nieco ogrzać. Powinno być oddalone od rzeki, żebyśmy mogli nasłuchiwać odgłosów pościgu.

Ciągnąłem ją przez zarośla, kłując sobie twarz o iglaste gałązki, a z poruszonych gałęzi chlustały całe wiadra wody.

Najlepszą kryjówką, jaką znalazłem, była potężna jodła o zwisających do samej ziemi gałęziach, rosła około stu metrów od rzeki. Sara wczłogała się pod jej pień, wyraźnie cierpiąc. Gałęzie drzewa wyrastały z pnia około metra nad ziemią i dotykały gruntu jakiś metr od nas. Panowała tu cisza, tylko wiatr targał gałęziami. Pod osłoną drzewa było równie mokro jak na zewnątrz, ale wspaniale było poczuć się ukrytym. To kwestia psychiki, wystarczy przy czymś lub pod czymś się ukryć i człowiek zaczyna sobie wyobrażać, że jest mu trochę ciepłej.

Przytuliliśmy się do pnia, drząc oboje. Kiedy się ruszaliśmy, pomagała nam adrenalina, ale teraz jej działanie słabło. Chciałem po prostu tam leżeć, ale wiedziałem, że nieco wysiłku się opląci. Przełożyłem pasek torebki przez głowę i upuściłem ją na ziemię, a potem rozwiązałem węzły zimnymi, zdrętwiałymi i bardzo trzęsącymi się palcami i zębami. Przydeptałem nogą kołnierz kurtki i chwytając pozostałą część rękami, zacząłem ją wykręcać, by pozbyć się trochę wody.

Sara, trzęsąca się i skulona, patrzyła na mnie jak źle potraktowany szczeniak. Rozwinąłem kurtkę i rzuciłem jej. Teraz wołałem, by została przy życiu z dwóch powodów: nadal nie miałem ochoty targać bezwładnego ciała, a poza tym chciałem, by odpowiedziała na parę pytań.

Zarzuciła sobie kurtkę na ramiona i pośpiesznie się nią otuliła. Potem przesunęła się z powrotem, aż oparła się plecami o pień, i zaczęła osłaniać kurtką nogi.

Zdjąłem koszulę i podkoszulek i również je wykręciłem. Trząsałem się tak bardzo, że miałem wrażenie, jakbym dostał drgawek, ale to było konieczne. Musiałem usunąć wodę i wpompować między włókna tkaniny trochę powietrza, by utrzymać ciepłość ciała, czy co tam z niej zostało. Niestety bawełna nie ma za wiele pęcherzyków powietrza. „Bawełna zabija” - jak nie bez powodu mówią w kręgach zaprawionych wędrowców, ale to, co robiłem, było lepsze niż nic. Pomyślałem o koszulach KF: grubych wełnianych koszulach, które musieliśmy nosić w piechocie. Nigdy nie dowiedziałem się, co oznacza skrót KF, materiał drapał i drażnił skórę, a w lecie sprawiał, że człowiek się czuł, jakby miał na sobie płaszcz. Jednak podczas zimy w polu te koszule spisywały się wspaniale. Suche czy mokre, i tak utrzymywały ciepło.

Włożyłem z powrotem podkoszulek i koszulę, a potem ukląknę, by zdjąć buty. Niezdarnie odwiązałem sznurowadła zdrętwiałymi, trzęsącymi się palcami. Na koniec wyjąłem dżinsy, uważając, by pistolet był poza zasięgiem Sary.

Kiedy już skończyłem się ubierać, poutykałem wszystko szczelnie, żeby ograniczyć dostęp wiatru do ciała i włożyłem pistolet za pasek dżinsów na plecach, gdzie nie mogła go dostać.

Usiadłem znowu, opierając się plecami o pień, na prawo od Sary. Nadal tkwiła w tej samej pozycji: siedziała zwinięta w kłębek, starając się osłonić kurtką przed zimnem. Przyciągnęła sobie kołnierz do twarzy.

Najlepiej jest ogrzewać się nawzajem, a dwoje przytulonych do siebie ludzi przeciwnej płci wytwarza o pięć procent więcej ciepła niż ludzie tej samej płci. Trąciłem ją łokciem, wyciągnąłem ręce i ruchem głowy dałem jej znak, by się przysunęła. Podeszła, powłócząc nogami i pociągając nosem. Przemoczone włosy oblepiały jej twarz.

Gdzieś wysoko silny poryw wiatru zakołysał drzewem. Wyprostowałem nogi, a ona usiadła na nich, dotykając mnie lewym bokiem. Uniosłem kolana, by przycisnąć ją bardziej do mojego torsu, oddzielając przy tym od ziemi i zyskując lepszy kontakt naszych ciał. Jej mokre włosy spadły mi na

ramię, kiedy przytuliła się do mnie. Objąłem ją. Żadne z nas nie potrafiło opanować dreszczy. Przycisnęła głowę do moich piersi i niemal od razu odczułem, że to pomaga. Siedzieliśmy w ciszy, usiłując wyteńczyć siłę woli, by się ogrzać. Spojrzałem na jej mokre i zabłocone włosy, przetykane igłami i okruchami kory.

- Pewnie ci powiedzieli, że uciekłam? - zaskoczyła mnie pytaniem.

Cała się trzęsała. Nie obróciła twarzy w moją stronę, ale z jej tonu mogłem wyczuć, że okres uległości zbliża się do końca.

- Coś w tym stylu.

Pochyliłem głowę, żeby usłyszeć ciąg dalszy, i jeszcze bardziej uniosłem kolana, by ją przyciągnąć bliżej.

- I pewnie im uwierzyłeś? Jezu, Nick, przygotowywałam tę operację od czterech lat. I teraz została rozwalona przez tego samego kretyna, który został wysłany, żeby mi dopie-przyć.

Słowo „kretyn” trochę mnie wkurzyło.

- Jakie cztery lata? Jaka operacja? O czym ty, do diabła, mówisz?

Zaczęła opowiadać powoli, tonem nauczycielki, która z trudem zachowuje cierpliwość, kiedy wyjaśnia coś prostego pierwszokom. Udawało się to jej tylko częściowo, bo przeszkadzały jej dreszcze.

- Cztery lata na przeniknięcie wystarczająco głęboko, by odkryć ich siatkę w Stanach i Europie. Właśnie o tym mówię.

- Gdzie przeniknąć? Co? Dlaczego Londyn o tym nie wiedział?

- Londyn... - powiedziała, zawieszając na chwilę głos. - Londyn nie wie, bo ja nie wiem, komu mogę powiedzieć. Nie znam jeszcze całej siatki, ale im więcej się dowiaduję, tym bardziej jestem przekonana, że nie mogę nikomu ufać.

Znowu przerwała. Chciała, bym w tym czasie zaczął myśleć, ale postanowiłem dać jej dokończyć. Podciągnęła jeszcze wyżej kołnierz kurtki, by ochronić się przed zimnem, i po chwili zrozumiała, o co mi chodzi.

- Pewnie cię wysłali, żebyś mnie zabił?

Jej głos był nieco przytłumiony przez materiał kurtki.

- Nie, tylko żeby cię sprowadzić do Wielkiej Brytanii na przesłuchanie. Wygląda na to, że zaczynasz sprawiać kłopoty.

Zignorowała moją odpowiedź. Poczułem, jak trzęsą się jej ramiona, gdy zakryła usta, by stłumić dźwięk przerwanego kaszlem śmiechu.

- Ach, Londyn...

Jej śmiech ucichł przygłuszony przez kaszel. Podniosła na mnie wzrok.

- Słuchaj, Nick. Londyn to źle rozumie. Rany boskie, to nie chodzi o jakieś kłopoty. Chodzi o zamach.

Musiałem mieć kamienną minę, bo znowu wróciła do swego głosu przedszkolanki.

- Ta ekipa w domu planowała zamach na Netanyahu.

Prawdę mówiąc, Netanyahu całkiem mi wisiął, więc nie potrafiłem powstrzymać się od uśmiechu.

- No i zamach się nie udał - stwierdziłem - wszyscy nie żyją z wyjątkiem jednego.

Pokręciła głową jak nakręcona zabawka. Była śmiertelnie poważna, a przynajmniej tak poważna, jak jest to możliwe, kiedy człowiek ma wszystkie kończyny fioletowe i nos również.

- Nie, mylisz się. Zostało jeszcze dwóch ludzi. Mieli się dzisiaj spotkać z nami w tym domu. Nie rozumiesz, Nick? Dla nich to nie jest robota, ale posłanie. Będą działali dalej.

W jej głosie słychać było autentyczną frustrację.

- Uwierz mi, jeśli Netanyahu zginie, to też cię to ruszy. Wpłynie na twoje życie, Nick. To znaczy, jeżeli jeszcze będziesz żył.

Nie podobało mi się to gadanie, bo znowu czułem się tak, jakbym rozmawiał z Lynnem i Elizabeth.

- O co ci, cholera, chodzi?

Milczała, ukrywając twarz z powrotem w kołnierzu kurtki. Do szumu wiatru dołączył z góry odgłos łopata helikoptera, ale ucichł równie nagle, jak się pojawił.

- Nie, jeszcze nie teraz. Zachowam to jako moje zabezpieczenie. Muszę mieć pewność, że mnie stąd wyprowadzisz. Widzisz, Nick, nie wierzę ci, że jesteś tutaj po to, by zabrać mnie do Londynu. To musi być coś ważniejszego, bo w innym wypadku nie wystaliby ciebie.

Oczywiście miała rację. Na jej miejscu myślałbym dokładnie to samo.

- Posłuchaj, Nick. Wyprowadź mnie stąd, a ja ci wszystko powiem. Nie pozwól im, żeby cię wykorzystali. Daj mi czas, żebym mogła to udowodnić.

Nie podobało mi się, że nie panuję nad sytuacją. Chciałem wiedzieć więcej, ale jednak nie zależało mi na tym tak rozpaczliwie, że nie mógłbym spać ze zmartwienia po nocach. Nie odpowiedziałem. Musiałem się zastanowić. Zresztą i tak ją stąd zabierałem, czy jej się to podobało, czy nie.

Poprawiła się na moich nogach, podniosła twarz i spojrzała mi prosto w oczy.

- Nick, proszę, uwierz mi. W tej sprawie nikomu nie można ufać, naprawdę nikomu.

Nadal patrzyła mi w oczy. Otworzyła akurat usta, by coś powiedzieć, gdy oboje usłyszeliśmy, jak ktoś przedziera się wśród drzew. Nie miał za dużo szczęścia, jeśli chodzi o utrzymanie równowagi: grzmotnął na ziemię z głośnym „Cholera!”. To był głos mężczyzny.

Nie musiałem nic mówić Sarze. Odskoczyła ode mnie, a ja sięgnąłem po pistolet. Mężczyzna musiał już się podnieść, ale znowu upadł.

- O kurwa... - zaklął.

Posuwając się na rękach i kolanach, powoli przybliżyłem się do skraju naszej kryjówki i przyłożyłem twarz do gałęzi. To był ten Amerykanin. Babrał się w błocie w przemoczonych ubraniach, a jego wąs wyglądał jak utopiony szczur. Kierował się, ogólnie rzecz biorąc, w naszą stronę i wyglądał na równie wykończony jak my. Jednak nie biegł, tylko rozglądał się po ziemi. Tropił nas.

Podpełzłem z powrotem do Sary i wyszeptałem jej do ucha:

- To twój Amerykanin. Idź i go tu sprowadź.

Pokręciła głową.

- Nic z tego nie wyjdzie.

- Namów go.

- Nie da się nabrać.

- To ty potrzebujesz jego ubrań, nie ja.

Zastanowiła się nad tym i skinęła powoli głową, wciągając głęboki oddech. Obserwowałem, kiedy odwróciła się ode mnie i wypęzła z kryjówki.

- Lance! - usłyszałem jej wołanie. - Tutaj, Lance!

Przecisnąłem się pod gałęziami na drugą stronę drzewa, na wypadek gdyby Sara postanowiła znowu być najlepszym kumplem Lance'a. Położyłem się i wycelowałem przed siebie pistolet, wysuwając jego lufę tylko odrobinę spośród gałęzi.

Zbliżali się do mnie: słyszałem, jak Sara mówi coś bardzo szybko po arabsku. Zaczęła się wsuwać do kryjówki, dalej trajkocząc z prędkością światła. Poczulem się nieswojo. Dlaczego mówiła do niego w ten sposób? Przecież znał angielski. Mogło to zwiastować tylko kłopoty. Pieprzyć to - pomyślałem - i tak się stanie to, co wykombinowała.

Najpierw ukazały się jego dłonie: porośnięte na grzbietach włosami i nieproporcjonalnie długie w stosunku do przegubów. Potem głowa i ramiona. Opuścił głowę, wciskając się do środka, by nie podrapać twarzy o gałęzie. Kiwał, potakując głową podążającej za nim Sarze.

Nie podniósł oczu, aż znalazł się w środku kryjówki i wtedy zobaczył, jak wynurzam się spod gałęzi na wprost niego. Otworzył szeroko oczy na widok broni i obejrzał się pośpiesznie na Sarę, szukając jakiegoś wyjaśnienia czy pokrzepienia. Znowu spojrział na moją broń i jeszcze raz na Sarę, usiłując skojarzyć, o co chodzi. Po paru sekundach westchnął głęboko i opuścił głowę, pokręcił nią z boku na bok.

Sara zrównała się już z nim i dała mu znak, by jeszcze trochę wpełzł do środka. Zrobił, co mu kazała. Przesunęła dłońmi pod jego kurtkę. Obserwowałem ją jak jastrząb gotów do działania, gdyby chwyciła broń Amerykanina i skierowała ją we mnie.

Spojrzała na mnie i pokręciła głową.

Kazałem mu gestem przejść na lewą stronę kryjówki. Przesunął się ciężko na czworakach. Zatrzymałem go, zanim za bardzo się zbliżył, na wypadek gdyby chciał spróbować szczęścia.

Jego czarna kurtka miała po lewej stronie rysunek harleya davidsona i wyglądała na ciepłą. Ruszyłem bronią.

- Ubrania.

Zaczął ściągać kurtkę, nadal klęcząc, z tułowiem pochylonym równoległe do ziemi. W milczeniu przenosił wzrok ze mnie na Sarę i z powrotem. Dalej próbował dojść do tego, co się dzieje. Sara siedziała oparta o drzewo z rękami w kieszeniach kurtki i kolanami podciągniętymi pod brodę.

Chwyciłem kurtkę Amerykanina i zacząłem ją wkładać, sprawdzwszy najpierw, czy przełożyłem sobie znowu przez ramię torebkę.

- Teraz reszta rzeczy - poleciałem. - Jedną ręką.

Oparł się lewą ręką o ziemię, a drugą zaczął manipulować przy sprzączce paska. Sara się niecierpliwiła, bo bardzo zmarzła. Warknęła coś do niego po arabsku. Musiała czuć się fatalnie - ochlapana błotem od stóp do głów i oblepiona liśćmi i igliwem. Jej nogi były mokre, brudne i pokrwawione.

Lance miał na nogach buty marki Nike. Sara postanowiła mu pomóc i ściągnęła mu je od tyłu. Potem nadeszła kolej na jego levisy. Kiedy już je zdjął, rozciągnęła się na ziemi, wygięła plecy i uniosła siedzenie, żeby wciągnąć je na siebie. Zapinała właśnie pasek, a on ściągał podkoszulek, kiedy znowu usłyszeliśmy helikopter. Oboje podnieśliśmy wzrok, co nie miało większego sensu, bo i tak nic nie było widać przez gęste gałęzie drzewa. Podkoszulek Lance'a był już nad jego głową, ale jeszcze nie zdjął go z ramion. Przyłożyłem mu lewą rękę do karku i wcisnąłem twarz w błoto, lufę pistoletu trzymając przy jego szyi.

Helikopter łomotał już nad nami. Zawisł w miejscu na kilka sekund, targając strumieniem powietrza drzewa pod sobą. Kształt, blask, cień, sylwetka, ruch - to elementy, które mogą zdradzić pozycję zbiega. My jednak byliśmy dobrze ukryci, Sara też o tym wiedziała, i dalej wciągała powoli ciepłe ubrania.

Helikopter odsunął się jakieś pięćdziesiąt metrów, znowu zawisł na chwilę i przesunął się dalej. Wkrótce odgłos jego wirników zamarł w oddali. Odsunąłem lufę od karku Amerykanina i kazałem mu się dalej rozbierać. Ściągnął do końca podkoszulek. Sara zdjęła kurtkę, wciągnęła podkoszulek i znowu włożyła kurtkę. Lance został już tylko w skarpetach i slipach. Teraz na niego nadeszła kolej, żeby się trząśł. Gęste włosy na plecach zaczęły mu się przyklejać do skóry pod wpływem deszczu.

Zobaczyłem w jego oczach, że zaczyna tracić odwagę.

Musiał myśleć, że zostanie zabity, i zaczął mamrotać jakąś modlitwę. Jej ton nie brzmiał jednak błagalnie, a raczej wyrażał pogodzenie się z losem.

- OK, Lance - powiedziałem. - Jeszcze nie potrzebujesz Allacha. Nie umrzesz teraz. Tylko się, do kurwy nędzy, zamknij.

Sara, która już się uporała z ubraniami, klęczała z rękami w kieszeniach kurtki. Na nogach miała buty numer jedenaście, a dżinsy, których krok zwisał jej do kolan, miały tak wysoko podwinięte nogawki, że wyglądało to na jakiś demonstracyjnie modny fason.

Facet nadal klęczał, mamrocząc pod nosem. Pochylił się do przodu tak, że trzymając splecione modlitewnie dłonie, opierał przedramiona o ziemię. Ze wszystkich sił próbował zostać aniołem.

- Co z nim robimy? - zapytała, patrząc na mnie.

- Wiejemy, dopóki nie ma helikoptera. Przywiążę go do drzewa pasem. Będzie miał przechlapane, ale przeżyje.

Pokręciła głową.

- Nie, lepiej go zostawmy - powiedziałem. - No, chodź. Musimy się stąd wynosić.

Westchnęła, aja wyjąłem pasek z torebki, podsunąłem kopniakiem Lance'a do drzewa i zacząłem go przywiązywać. Za jakąś godzinę albo dwie będzie mógł się uwolnić, a gdyby nie, znaczyłoby to, że zasłużył sobie na śmierć. Dalej mamrotał pod nosem, a gdy zacisnąłem węzeł, wyrzucił z siebie po arabsku jakiś obraźliwy kawałek pod adresem Sary. Pewnie mówił, jaka jest z niej dziwka, że go przerobiła w ten sposób, po tym wszystkim, przez co razem przeszli, i podobne bzdury. Zignorowała go. Miałem ochotę powiedzieć mu, że wiem, jak się czuje.

Rozejrzałem się szybko, by sprawdzić, czy czegoś nie zostawiliśmy, i zacząłem wypełzać z kryjówek. Sara ruszyła za mną, a przynajmniej tak mi się wydawało. Arabskie mamrotanie cichło.

Dalej posuwałem się, podpierając się rękami i kolanami i akurat wysuwałem głowę spomiędzy gałęzi, gdy z tyłu dobiegł mnie głośny huk wystrzału. Instynktownie przywarłem do ziemi i niemal jednocześnie uświadomiłem sobie, że to nie do mnie strzelano. Uskoczyłem w bok.

Najpierw przyszło mi do głowy, że on jakoś dopadł Sarę. Poderwałem się i obiegłem drzewo dookoła, by go zająć z drugiej strony. Zacząłem wpełzać pod nie z bronią gotową do strzału. Zobaczyłem go, przesuając się na brzuchu między gałęziami. Pasek nadal przytrzymywał go za ręce przy drzewie, ale zwisał bezwładnie z rozrzuconymi nogami, jak leżąca ofiara plutonu egzekucyjnego. Na pewno nie czuł już zimna, bo Sara wpakowała mu kulę w głowę. Klęczała jeszcze, wkładając broń do kieszeni kurtki.

Co, do cholery, z nią jest? Za każdym razem, kiedy się ją zostawia z facetem, to go zabija.

- Daj mi broń, Saro. Daj.

Spojrzała na niebo, jakbym ją nudził, wyciągnęła broń z kieszeni i rzuciła do mnie. Wypełzłem tyłem spod drzewa. Teraz już można było mówić normalnie: połowa Karoliny Północnej wiedziała, gdzie jesteśmy.

- Co ty, kurwa mać, wyrabiasz? - warknąłem.

- On by nie zrezygnował, uwierz mi. Próbowałby dołączyć do tych dwóch albo zrobić to sam. Znam tych ludzi. Lance'a też bardzo dobrze znałam. Słuchaj, ci dwaj wiedzą, jak i kiedy dokonać zamachu. To, co zrobiłeś dzisiaj rano, ich nie powstrzyma - dodała. - Do kurwy nędzy, Nick. Zaczynam żałować, że nie zabiłam ciebie i nie działałam dalej razem z nim.

Nie było czasu na dyskusję. Zostaliśmy namierzeni. Teraz staliśmy się ściganą zwierzyną i musieliśmy biec ile sił w nogach, nieważne dokąd. Należało oddalić się od strefy bezpośredniego zagrożenia. Dopiero kiedy byśmy się znaleźli daleko stąd, można by się zatrzymać, by ocenić sytuację.

Jeżeli ktoś z pościgu usłyszał strzał, to informacja o tym musiała wywołać niezłe zamieszanie w policyjnym centrum dowodzenia akcją. Pewnie już zaczęli opracowywać raport na temat całokształtu swoich czynności po dokonaniu przestępstwa, kiedy nagle - kolejny problem. Początkowo będą zdezorientowani, ale szybko dojdą, skąd rozległ się strzał, i skierują helikopter i cały pościg naszym tropem.

Rzuciliśmy się biegiem przed siebie. Poruszaliśmy się teraz o wiele szybciej niż przedtem, mimo że Sara miała o wiele za duże buty. Byłem mocno wkurzony na nią za to, co zrobiła, ale usiłowałem nad sobą zapanować. Jak człowiek wpadnie w gniew, przestaje koncentrować się na najważniejszym, czyli w tym wypadku na ucieczce. Kłamała czy nie, nieważne, nie obchodziło mnie to. Teraz przede wszystkim należało uciekać.

Nad koronami drzew znowu pojawił się helikopter. Zatrzymaliśmy się, kryjąc pod drzewami. Jednak tym razem śmigłowiec nie zawisł, tylko przeleciał szybko na niskim pułapie. Przesunął się wprost nad nami, posyłając nam na głowy strugi deszczówki z drzew, i oddalił się z hukiem łopat.

Postanowiłem uciekać dalej w tym samym kierunku, oddalać się od domu. Chciałem znaleźć jakąś drogę czy zabudowania. Wówczas miałbym samochód.

Było już całkiem jasno. Dzięki szybszemu tempu wykrzesaliśmy z siebie trochę ciepła i nawet zaczęło mi się robić za gorąco. Sapałem i dyszałem, tak samo jak Sara, kiedy wdrapywaliśmy się na stok, a potem gnaliśmy na łeb na szyję w dół. Nie musiałem jej tłumaczyć, co robię. W gruncie rzeczy przydawała się, zawsze mogła coś dostrzec lub usłyszeć.

Po trzydziestu minutach ostrego biegu dotarliśmy do drogi. Jezdnia, mająca nie więcej niż cztery metry szerokości, była pełna dziur. Pobiegliśmy między drzewami równolegle do drogi, jakieś dziesięć metrów od niej. Po chwili usłyszałem jakiś pojazd. Zatrzymaliśmy się i padliśmy na ziemię. Oparłem się na łokciach i kolanach, by uchronić się przed błotem i nie tracić ciepła. Pojazd zbliżał się szybko od tyłu, chlapiąc oponami na mokrym asfalcie.

Po chwili pojawił się przed nami granatowo-biały wóz. Śmignął nam przed oczami, błyskając czerwono-niebieskim światłem, które miał na dachu. Wyglądało na jaśniejsze niż normalnie, bo z powodu zachmurzenia dzień był dość ciemny. Policja musiała się już do tej pory pozbierać i pewnie otaczała cały teren. Albo zamierzali poczekać, aż się pojawimy, albo i nas wyłuskać.

Kiedy tylko radiowóz zniknął z pola widzenia, poderwaliśmy się i ruszyliśmy dalej. Wiatr wzmógł się, a przed sobą ujrzeliśmy ścianę deszczu. Po dwudziestu minutach biegu przez teren oznaczony głębokimi koleinami i zalany kałużami dotarliśmy na dużą, otwartą przestrzeń: regularny kwadrat o powierzchni około pięciu akrów wycięty wśród lasu i otoczony białym ogrodzeniem dla bydła. Na środku, na końcu odchodzącego od drogi podjazdu, stał dwukondygnacyjny budynek z drewnianych bali ze spiczastym dachem pokrytym szarymi łupkami. Z drugiej strony domu widać było kwadratową przybudówkę z otwartym garażem na poziomie gruntu. W środku stał jakiś pikap, dwa inne samochody i mała motorówka na przyczepce. Sam dom i dwa z tych trzech pojazdów wyglądały tak, jakby już miały za sobą czas świetności.

Do garażu można dojść tylko przez otwartą przestrzeń. Przypuszczałem, że w każdej ścianie domu są okna, żeby mieszkańcy mogli sycić się widokami. Na łące chodziło luzem ze sześć koni, ale nigdzie nie było widać psów i sam dom wyglądał dość spokojnie. Może wszyscy jeszcze leżeli w łóżku?

- Zostań tutaj - szepnąłem do Sary. - Wejdę i dorwę jakiś wózek. Jak zobaczysz, że wyjeżdżam, podbiegnij do drogi.

- Dlaczego nie mogę pójść z tobą? - zapytała podejrzliwym tonem, jakby myślała, że skoczę do samochodu i zostawię ją samą. Gdyby tylko wiedziała, o co naprawdę chodzi.

Nie mogła kwestionować mojej decyzji, ale wyjaśniłem jej:

- Po pierwsze, będzie ciszej, jak pójdę sam - wiem, co robić, a ty nie. Po drugie, nie chcę, żebyś znowu kogoś zabiła. A po trzecie, nie masz wyboru, mam tutaj twoje dokumenty - powiedziałem, odwracając się nieco, by pokazać torebkę na plecach. - Jak chcesz, żebym ci pomógł, to czekaj tutaj.

Teren rancza był płaski i zielony jak stół bilardowy. Rozejrzałem się po drodze i niebie, czy nie ma jakichś pojazdów albo śmigłowców, i ruszyłem na przelaj przez mokrą, wysoką trawę. Biegłem, usiłując skulić się jak najbardziej. Nie wiem po co, bo nie robiłem się przez to mniej widoczny, ale to był naturalny odruch. Zostawiałem za sobą wyraźny szlak na mokrej trawie, ale nie mogłem nic na to poradzić.

Cały czas spoglądałem na okna, czy coś się w nich rusza. Z bliższej odległości zobaczyłem, że zasłony na piętrze są zaciągnięte. Ciekawe, czy pan i pani Kmiotek dalej siedzą w łóżku i oglądają wiadomości na temat tego, co się wydarzyło poprzedniej nocy niedaleko stąd?

Nie miałem wątpliwości, że nad jeziorem było już teraz więcej ekip telewizyjnych niż policji.

Dopałem do bocznej ściany domu i skuliłem się pod oknem z rozsuniętymi zasłonami. Jakby ktoś tam był, to przy tej pogodzie w pokoju paliłoby się światło. Nie widziałem niczego takiego, ale i tak nie ryzykowałem zaglądania do środka. Zastygłem na kilka sekund, nasłuchując. Nic. Z bliska zobaczyłem, że ściana nie jest wcale z drewna, ale z pomalowanego na podobny kolor aluminium, a dach pokrywa dykta udająca łupki.

Przedostałem się na drugą stronę domu do przybudówki z garażem, pochylając się nisko, żeby nie było mnie widać z okien.

Strząsnąłem krople deszczu z twarzy. Na posadzce garażu nie dojrzałem śladów kół, a na pojazdach kropli deszczu. Przynajmniej od poprzedniego wieczoru nikt się stąd nie ruszał.

Pierwszą rzeczą było sprawdzenie, czy którykolwiek z pojazdów jest wyposażony w alarm. Nie dojrzałem żadnego ostrzeżenia, migających lampek czy innych typowych znaków. Alarm kosztowałby pewnie więcej niż obydwa samochody razem wzięte. Sprawdziłem wszystkie drzwi pojazdów, poczynając od pikapa i kończąc na dwóch pozostałych: małym, rdzewiejącym dodge'u przypominającym tanią wersję rovera i star-szawym oliwkowozielonym kombi, o bokach z imitacji drewna, przez co wyglądał jak dyliżans. Wszystko było pozamykane. Przy wtórze bębniącego o dach garażu deszczu wróciłem do zabłoconego białego nissana pikapa. Miał dwuosobową kabinę i płaską platformę z tyłu, osłoniętą ciężką plastikową plandeką. Zajrzałem do skrzyń stojących obok samochodu pod ścianą i odsuwając na bok plastikowe butelki z mieszanką do dwusuwowego silnika motorówki, zacząłem szukać czegoś, czym mógłbym wyważyć drzwi pikapa.

Znalazłem skrzynkę z narzędziami i właśnie nachylałem się, wyciągając z niej powoli i ostrożnie narzędzia, kiedy za mną rozległ się taki wrzask, że aż podskoczyłem.

- Stać! Ani ruchu, ty sukinsynu!

Człowiek, który mnie tak zaskoczył, musiał spędzić całe życie na podchodzeniu zwierząt w lesie, bo nie słyszałem ani szmeru. Zamarłem bez ruchu.

- Nie ruszaj się, bo ci odstrzelę dupę - powiedział powoli z prawdziwym południowym akcentem.

Był wprost za mną.

Jasne, że ani drgnąłem. Pamiętałem też o tym, żeby nie stracił z pola widzenia moich rąk. Miałem jeden pistolet zatknięty z przodu za dżinsy, a drugi w kieszeni kurtki, ale nie zamierzałem po nie sięgać. Nie wiedziałem, z czego do mnie celuje ani nawet czy ma jakąś broń, ale nie miałem ochoty ryzykować. Stałem dalej nachylony nad skrzynką z narzędziami i milczałem. Nie chciałem powiedzieć nic, co mogłoby go wkurzyć, szczególnie z moim fatalnym amerykańskim akcentem.

Usłyszałem szuranie stóp po betonowej posadzce garażu. Nasłuchiwałem uważnie, chcąc ocenić, w jakiej odległości ode mnie się znajdują.

- Ty sukinsynu, stój i nie ruszaj się.

Sądząc po głosie, nie był młody, miał pewnie po sześćdziesiątce. Zbliżył się, szurając nogami. Spojrzałem w bok, żeby zobaczyć jego odbicie w szybie drzwi pikapa. Podszedł bliżej i wyraźnie zobaczyłem, że trzyma w wyciągniętej ręce rewolwer z krótką lufą.

- Wiesz, czyj to jest samochód?

Pokręciłem głową bardzo powoli.

- Mojego syna. Mój syn jest w policji stanowej. Teraz ciebie szuka. A ty jesteś w moim domu. Sam się tobą zajmę. Sukinsynu, cholera...

Albo miałem rację, czyli pan i pani Kmiotek oglądali telewizję śniadaniową, albo ich synalek dzwonił do nich, żeby zdać im relację z wydarzeń.

Facet nie przestawał gadać.

- Policja przyjdzie zabrać cię za dupę, facet. Cholera, to jest samochód mojego syna, pracował na niego ciężko... skurwysynu, cholera...

Bez przerwy wpatrywałem się w jego odbicie w oknie. Zobaczyłem, jak robi parę kolejnych kroków w moim kierunku i to był jego błąd. Nie wolno podchodzić za blisko do kogoś, kiedy się trzyma pistolet. Po co? To jest broń do zabijania na odległość.

Jeszcze jeden krok i rozpoznałem broń. Trzydziestkaósemka, tego samego typu, jaką kupował czarny chłopak „U Jima”. Jak powiedział sprzedawca: „Wystarczy wymierzyć w środek jak palcem i musi oberwać”, co nie wróżyło nic dobrego. Rewolwer działa w dwóch fazach - żeby wystrzelić, trzeba porządnie pociągnąć za spust, co powoduje odciągnięcie kurka do tyłu i spuszczenie go. Zastępuje to bezpiecznik skrzydełkowy, jaki się spotyka w większości typów broni automatycznej. On jednak już przygotował broń do strzału, kurek był odciągnięty. Teraz wystarczyło nacisnąć delikatnie spust, używając siły nie większej niż trzy i pół kilograma, i broń by wypaliła. Nawet jednoroczne dziecko potrafi przyłożyć palcem wskazującym taki nacisk, a co dopiero taki duży i stary chłop, który jest wkurzony i podekscytowany.

Nic nie robiłem. Miał mnie. Co mogłem na to powiedzieć?

Odbicie w szybie przesunęło się i już prawie siedział na mnie. Poczułem zimny dotyk metalu na karku. Trącał mnie końcem lufy, przesuwając ją to w górę, to w dół. Zacząłem tracić rezon, bo wiedziałem, że trzyma palec na spuście. Zamknąłem oczy gotów na śmierć.

- Pieprzone skurwysyny - warknął. - Czego się, kurwa, nie zabierzesz do roboty, jak inne skurwysyny? Cholera. Przyłazi i bierze... niczego stąd nie zabierzesz...

Otworzyłem oczy i spojrzałem w okno. Miał wyciągniętą na całą długość rękę, a lufa broni nadal stykała się z moim karkiem. Albo mnie zabije przypadkiem, kiedy naciśnie na spust, albo będę miał przechlapane raz na zawsze, gdy tylko przyjedzie synalek ze swoimi kumplami.

Gdybym wykonał wystarczająco szybko pierwszy ruch, byłbym bezpieczny przez sekundę, ale dopiero dalsze działanie rozstrzygnęłoby, czy będę żył, czy nie. Mogłem zostać złapany albo zabity, więc wszystko, co zdołałbym zrobić przedtem, i tak stanowiłoby sukces.

Nie chciałem, by zobaczył, jak biorę trzykrotnie głęboki oddech, dlatego pozwoliłem mu dziobać się lufą w kark; zamknąłem oczy i przygotowywałem się.

Facet roześmiał się ze swojego własnego dowcipu i dodał:

- Mój syn skopie ci dupę, ty skurwysynu.

Nabierał pewności siebie, a przy tym wpadał w coraz większy gniew.

- Czego tu przyjeżdżasz zabijać? Wynocha do siebie, i tam se zabijaj... cholera... - przerwał, myśląc, co by tu jeszcze dodać i zaraz wymyślił: - wy skurwysyny.

Ostatni raz odetchnąłem głęboko i otworzyłem oczy. Pieprzyć to, trzeba działać.

Wyrzuciłem do przodu prawą stopę i obracając się jednocześnie na drugiej, uniosłem lewe ramię, rycząc jak wariat. Liczyłem na to, że odniesie to podwójny skutek: zdeorientuję go i dodam sobie sił. Nie obchodziło mnie to, którą częścią ręki uderzę w jego trzymającą broń rękę, wystarczyło, żebym tylko trafił. Udało się i już nie czułem zimnego metalu przystawionego do karku.

Obracając się dalej, musiałem dotknąć lewym przedramieniem jego uzbrojonej ręki. Był większy, niż się spodziewałem. Jego nieogolona twarz wyglądała jak pokryta wyprawioną, pomarszczoną skórą, a u jej szczytu widniała gęstwina nie uczesanych, siwych włosów. Chwyciłem go za rękaw, usiłując przesunąć lufę trzydziestkiósemki.

Rewolwer wypalił, wypełniając garaż hukiem wystrzału. Pewnie nawet nie zauważył, jak pociągnął za spust.

Jeszcze nie skończyłem się obracać, kiedy wrzasnął na mnie i zaczął się drzeć: „Ruby!”. Jego twarz była nie więcej niż piętnaście centymetrów od mojej: czułem obrzydliwy odór dobywający się z jego bezzębnych, szeroko otwartych ust.

Przez całe dwie sekundy, których potrzebowałem na swój manewr, nie oderwałem wzroku od broni. Teoretycznie w takiej sytuacji ma zastosowanie ta sama zasada co podczas squasha: nigdy nie odrywaj wzroku od piłki, co zawsze było dla mnie trudne. Czasami byłem pewien, że tak samo jest skuteczne patrzeć na drugiego zawodnika; uważałem, że tuż przed tym, zanim uderzy piłkę, jego oczy zdradzą, czy zamierza silnie uderzyć, czy lekko. Tego się nie nauczyłem. W podobnych sytuacjach działałem instynktownie, więc może dlatego kiepsko grałem w squasha.

Obróciłem się dalej i on też. Nie miał zadowolonej miny. Parę sekund temu wszystko dobrze się układało, a teraz pewnie myślał, że wkrótce spotka się ze Stwórcą. Obrócił się tak bardzo, że pokazał mi plecy. Walnąłem prawą ręką, aż z głuchym odgłosem uderzył głową o szybę samochodu. Dalej trzymałem go mocno za granatowy lewy rękaw kombinezonu. Całym ciężarem pchnąłem go mocno na pikapa, aż go zatkało, i wbiliśmy mu kolano z tyłu w staw kolanowy. Nogi się pod nim ugięły, toteż przytrzymałem go za głowę, by złagodzić upadek.

Nie powiedziałem ani słowa. Nie musiałem. Tkwił na kolanach z rozstawionymi nogami, przyparty twarzą do drzwi samochodu. Chwyciłem go za rękę z rewolwerem i szarpnąłem nią mocno. Jego trzydziestkaósemka spadła z brzękiem na posadzkę.

Ale jeszcze nie było po wszystkim. Stary się nie poddawał.

- Ty skurwysynu - wrzasnął, pryskając z ust śliną i krwią - tylko byś chciał przyjść i brać... cholera.

Martwiła mnie jego żona. Może Ruby dzwoniła właśnie na policję, a może brała do rąk dubeltówkę? Cofnąłem się i wyciągnąłem swój pistolet, kopiąc przy tym starego w lewą rękę, by padł na posadzkę. Następnie kopniakami zapędziłem go pod nissana. I co dalej? Rzuciłem się biegiem do ucieczki.

Wypadłem z garażu, skręciłem w lewo, mijając front domu, i pognałem po trawie, kierując się śladami, które zostawiłem, biegnąc w tę stronę. Deszcz siekł nadal.

Z tyłu rozległ się krzyk kobiety, ale się nie obejrzałem. Nikt za mną nie strzelał.

Przeskoczyłem przez ogrodzenie i przedzierałem się przez las, aż dobiegłem do Sary. Siedziała w kucki oparta plecami o drzewo. Dysząc, osunąłem się na kolana obok niej. Podniosłem wzrok i wymieniliśmy spojrzenia. Co mogłem powiedzieć? Spieprzyłem sprawę. Można być tak blisko cywilizacji, a jednak kiedy człowiek jest przemoczony, zmarznięty i głodny, a w dodatku nie wie dokładnie, gdzie się znajduje, może być od niej bardzo daleko.

- I co teraz? - przerwała milczenie.

- Niech się zastanowię - odrzekłem, spoglądając ku domowi.

Nie dostrzegłem żadnego ruchu. Ruby pewnie zeszła już do garażu i wyciągała męża spod pikapa, później pobiegnie do telefonu.

Rozważałem naprędce wszelkie warianty, ale decyzja została podjęta bez mojego udziału. Drogą w kierunku domu przemknął samochód policyjny. Biało-granatowa smuga w lejącym deszczu. Bez syren czy świateł, pełnym gazem. Jeżeli to synalek pana i pani Kmiotków jechał do domu po wezwaniu przez telefon, to nie mógł być zadowolony z tego, jak nadużyłem typowej dla Południa gościnności jego ojca.

Podniosłem się i rzuciłem przed siebie. Było pewne, że ruszą naszym tropem po śladach, jakie zostawiłem na trawie. Pobiegłem z powrotem tą samą drogą, którą przyszliśmy, i skręciłem w prawo ku szosie. W tej samej chwili usłyszałem z góry klekot helikoptera. Znowu przywarliśmy do drzew. Kiedy tylko przeleciał, popędziłem przez las, nawet nie oglądając się na Sarę. Musiała po prostu dotrzymać mi tempa.

Dobiegłem do skraju lasu przy drodze i dalej ruszyłem na czworakach, rozglądając się i nasłuchując. Jednak nie było nic słyhać, tylko moje wyężone sapanie i deszcz bębniący o asfalt i liście. Po chwili Sara osunęła się obok mnie..

Podpełzłem na sam skraj drzew i rozejrzałem się. Mokra, dziurawa szosa była pusta.

20

Leżeliśmy oboje w błocie, podnosząc głowy i rozglądając się, niczym para surykatek. Nie widziałem niczego oprócz zwartej ściany deszczu.

W końcu skinąłem do Sary. Odpowiedziała w ten sam sposób. Wstałem i przebiegłem przez drogę, lecz zamiast schować się pomiędzy drzewami, skręciłem w lewo i pobiegłem krawędzią asfaltu.

- Nick, co robisz? Schowaj się!

Odróciłem się i przyzwałem ją gestem ręki. Zawahała się przez chwilę, ale zaraz zrozumiała, o co chodzi, i rzuciła się za mną. Przebiegłem skrajem jezdni kolejne trzydzieści metrów, patrząc do tyłu, do przodu i w górę, a potem pokonałem jeszcze około dziesięciu metrów, wiedząc, że nadstawiam tyłka. W końcu rzuciłem się w prawo i wpadłem pomiędzy drzewa. Nawet gdyby ścigali nas z psami, to musiało zająć im trochę czasu, zanim zwierzęta podejmą na nowo trop. Ten ulewny deszcz musiał zmyć zapach z asfaltu i zmylić psy. Ich przewodnicy musieliby się rozglądać w obie strony i wzdłuż poboczy, bo przecież równie dobrze mogłem zawrócić. Dopiero wtedy, gdy znaleźliby na nowo nasze ślady, mogli puścić psy.

Przez następne pół godziny przedzierałem się przez gęsty las. Teren był pofałdowany i usiany pagórkami, co utrudniało bieg, ale zapewniało doskonałą osłonę. Jakby w takim terenie rozbił się mały samolot, to mógłby już nigdy nie zostać znaleziony. Kierowałem się w tę stronę tylko dlatego, że tak powinienem, czasami nie ma całkowicie logicznego wytłumaczenia.

Co jakieś dziesięć minut śmigłowiec przecinał niebo, wypatrując jakiegoś ruchu czy widocznych śladów. Tym razem zbliżył się odrobinę za bardzo. Zatrzymaliśmy się w ukryciu, korzystając z okazji, by złapać oddech. Oboje przemokliśmy do suchej nitki, a na dodatek łał się z nas pot Kiedy lecący

nisko helikopter znalazł się nad nami, drzewa zakolysały się w strumieniu powietrza i kolejne sześćdziesiąt galonów deszczówki spadło nam kaskadą na głowy. Miałem suche gardło i rzeziło mi w nim podczas oddychania. Na szczęście ten wysiłek rozgrzewał.

Helikopter w dalszym ciągu się nie oddalał. Gdzieś tam nisko przesuwał się powoli. Obejrzałem się w stronę, skąd przybiegliśmy: na ziemi odcisnęły się nasze ślady. Nawet ktoś nie wprawiony z łatwością poszedłby za nimi, a dla kogoś znającego się na rzeczy i mającego psy taki trop był niczym oświetlona autostrada.

W głębi ducha wiedziałem, że nie zajmie im wiele czasu odkrycie, w którym miejscu przekroczyliśmy drogę. Od tego punktu byłoby już im łatwo: przemieszczaliśmy się przez mokry las, po wydzielającym zapach gruncie, w deszczu i mgle, czyli panowały doskonałe warunki, by zapach przylgnał do tropu. Poza tym ścigający nas byli wypoczęci i w każdej chwili mogli wezwać posiłki. Po pewnym czasie potrafiliby przewidzieć kierunek naszej ucieczki i inni mogliby się na nas zasadzić. Z drugiej strony może jednak nie mieli jeszcze psów lub tropiciele śladów, przecież takie służby nie są ciągle postawione w stan gotowości. Wzrokowe tropienie nie jest najbardziej popularnym przedmiotem szkolenia, a kandydatów nie ma zbyt wielu, a zatem mogło im zająć wiele godzin ściągnięcie kogoś: może taki ktoś mieszka na drugim końcu stanu... może.... może. Tak czy inaczej wszyscy nas szukali, chociaż łudziłem się, że bez psów.

Musiałem w duchu przyznać, że nie mam pojęcia, dokąd uciekamy, i że stopniowo tracimy siły. Trzeba podjąć decyzję: chowamy się i czekamy do zapadnięcia zmroku, by wydostać się z tego terenu, najlepiej samochodem, czy próbujemy szczęścia już teraz?

Łopaty helikoptera meły powietrze nad nami. Wyglądało na to, że zawisł w miejscu. To było dziwne: przecież nie mogli nic zobaczyć przez gałęzie drzew, a mało prawdopodobne, żeby na takiej prowincji mieli helikopter wyposażony w sprzęt termowizyjny. Dopiero po dziesięciu minutach usłyszałem zmianę w tonie silnika i helikopter odleciał z łomotem. Wyszedłem spod drzewa i pobiegłem dalej. Nasze tempo w wyraźny sposób spadało. Byłem zmordowany. Stawiałem coraz krótsze kroki, wskutek czego moje ślady były coraz bliżej siebie. Tropiciele śladów lub wyszkolony pies zorientowałby się, że ścigana zwierzyna ucieka coraz wolniej. Spojrzałem za siebie. Sara wyglądała, jakby zaraz miała umrzeć.

Próbowałem myśleć o pozytywnych aspektach naszej ucieczki. Jeżeli biegnie się przed siebie z prędkością szesnastu kilometrów na godzinę, to po godzinie można znaleźć się w dowolnym punkcie na terenie obejmującym blisko sto dwadzieścia kilometrów kwadratowych. Po kolejnej godzinie obszar powiększa się prawie do sześciuset kilometrów kwadratowych. W Samotnym strażniku Indianin Tonto zatrzymywał się i mówił „Pięć wozów, dwie godziny temu. Tędy, kemo sabe”. Na szczęście prawdziwe życie nie jest takie łatwe, a Tonto mieszka w Arizonie.

Postanowiłem położyć się i czekać do zmroku. Bez kompasu i gwiazd całymi tygodniami moglibyśmy biegać w kółko. Zakładałem, że w ciemnościach dotrzemy do znanego nam miejsca, w tym wypadku drogi, i ruszymy wzdłuż niej, aż dorwę jakiś pojazd.

Biegliśmy jeszcze przez jakieś dziesięć minut. Mniej więcej siedemdziesiąt metrów na prawo zobaczyłem coś, co przykuło moją uwagę: wyrwane z korzeniami drzewo z nie połamanymi, ale już gnijącymi gałęziami. Leżało koroną w dół stromego stoku. Idealnie by nas osłoniło przed intruzami w powietrzu, jak i na ziemi, i co równie ważne - przed deszczem i wiatrem. Nie chciałem umknąć policji, a paść ofiarą pogody. Nie trzeba dużo czasu, żeby wyczerpanie i zimno zebrały żniwo.

- I co teraz zrobimy? - zapytała Sarah. - Dlaczego się zatrzymałeś?

Nie zadałem sobie trudu, żeby odpowiedzieć. Popatrzyłem na trasę, którą tu przybyliśmy, a potem odwróciłem się znowu i spojrzałem na drzewo po prawej stronie. Teren przede mną był taki sam jak do tej pory, lekko pofałdowany.

Skręciłem nieco w lewo i zacząłem mocno uderzać stopami w ziemię, żeby zostawić widoczny ślad. Chciałem, by dostrzegli, że zmieniłem kierunek, oddalając się od drzewa. Sara podążała za mną, dysząc i starając się, żeby nie spadły jej za duże o sześć numerów buty.

W osłoniętym miejscu za pagórkami zobaczyłem szeroki na kilka metrów strumień. Zbiegłem po stoku i zacząłem brnąć w zimnej wodzie. Obejrzałem się za siebie: drzewo znikło z pola widzenia.

Sara zatrzymała się na brzegu.

- Co robisz?

- Chodź.

Woda sięgała mi powyżej kolan. Skręciłem w lewo i ruszyłem w dół strumienia, zatrzymując się co jakieś dziesięć kroków, by się obejrzeć i upewnić, że nie widzę stąd drzewa. Przebrnąłem jakieś pięćdziesiąt metrów wraz z Sarą, zanim uznałem, że wystarczy. Nie wiedziałem dlaczego, po prostu czułem, że wystarczy. Wyszedłem z wody na drugim brzegu strumienia i stanąłem bez ruchu. Za mną rozległ się chłopot butów Sary. Podeszła do mnie wyraźnie wdzięczna za chwilę odpoczynku.

Patrząc na nią, dałem sobie minutę na zebranie myśli. Była przemoczona i potargana, a w jej przylepionych do twarzy włosach tkwiły igły jodeł i kawałki kory. Pewnie nie chciałyby tak wyglądać na swoich przyjęciach w ambasadzie, ale spisywała się dobrze. Najwyraźniej dbała o kondycję.

- Gotowa?

Skinęła głową i przygotowując się, głęboko odetchnęła.

Przebiegliśmy około trzystu metrów, w prostej linii oddalając się od strumienia, i zawróciliśmy. Sara zaczynała ustawać ze zmęczenia, a ja nie mogłem poruszać się szybciej niż ona. Uznałem więc, że już dość i że pora na ostatni element fortelu. Przerwałem bieg i wszedłem na wystającą ponad poziom gruntu skalną grzędę. Sara mnie dopędziła. Pochylił się, opierając ręce na kolanach i dysząc, jakbyśmy właśnie mieli za sobą dwustumetrowy sprint.

- Sara, ściągnij majtki.

Popatrzyła na mnie bez wyrazu. Słyszała ode mnie już takie słowa, ale nie w podobnej sytuacji.

- Co?

- Majtki, potrzebuję ich.

Sam zdjąłem już kurtkę i ściągałem koszulę, żeby dostać się do podkoszulka. Jej mina zdradzała, że nie bardzo ma na to ochotę.

- Saro, wiem, co robię. Na pewno mają psy.

Nie pytała już o nic, tylko jęknęła, gdy pomyślała, że musi się rozbierać. W każdej innej sytuacji byłoby całkiem miło patrzeć, jak ściąga dzinsy i zdejmuje bieliznę, ale tak zawsze mi się układało w życiu: wszystko w niewłaściwym czasie i w niewłaściwym miejscu.

Wzdrygnąłem się, wkładając z powrotem koszulę. Sara już dopinała dzinsy. Wziąłem jej majtki i położyłem je razem z moim podkoszulkiem między skałami i krzakiem. Jeżeli byliśmy tropieni przez ludzi albo przez psy, to pościg dotarłby do tego miejsca.

Zwierzę nie wie, co się naprawdę dzieje i czego szuka, dla niego to jest tylko zabawa. Pies potrafi pomylić fragment ubioru ze ściganym i uznać się za zwycięzcę, kiedy go znajdzie. Wtedy przewodnik musi znowu ustawić psa, zanim ten podejmie dalej trop.

Psy wyczuwają zapach na dwa sposoby: po pierwsze z powietrza, a po drugie z ziemi, drzew, roślin i budynków. Zapachy w powietrzu nie są trwałe i dość szybko usuwa je wiatr. Z kolei zapach, który przywiera do różnych przedmiotów, może przyciągać psa przez czterdzieści osiem godzin. Żeby go zostawić, nie trzeba niczego dotykać, wystarczy się przemieszczać. Gdy idzie się po trawie lub przeciska przez zarośla, wtedy przy każdym kroku miazdzy się listki i łodygi.

Nawet na nagim gruncie wyciska się stopami z podłoża uwięzione w nim drobiny powietrza i wilgoci, które wydzielają całkiem inny zapach niż powietrze nad gruntem. Na podstawie „zapachowych odcisków stóp” pies potrafi nawet odczytać, w którym kierunku człowiek się porusza, ponieważ kolejny krok zaczyna się od odepchnięcia się palcami od ziemi, wskutek czego przód śladu zapachowego jest bardziej wyrazisty niż tył. Dobrze wytresowany pies nie potrzebuje wiele czasu, by zrozumieć, co to znaczy.

Ludzkie oko dostrzega zróżnicowanie śladów stóp, a pies dostrzega to samo w przypadku mieszaniny zapachów w „zapachowych odciskach stóp”. Jeżeli pies jest naprawdę odpowiednio ustawiony, potrafi pójść tropem osoby, która porusza się w większej grupie.

Pies lepiej ode mnie słyszy, ma lepsze powonienie i lepiej biega. Ale ja potrafię lepiej od niego myśleć.

- Najsilniejszy zapach jest w gruczołach potowych - powiedziałem do Sary. - Ale przypuszczam, że twoje majtki będą pachniały intensywniej niż mój podkoszulek. Oczywiście bez obrazy - dodałem z szerokim uśmiechem.

Skinęła potwierdzająco głową. Nie mogła się z tym nie zgodzić.

- OK, chodź za mną. Krok po kroku. Nie dotykaj niczego, nawet żeby się oprzeć.

Zacząłem ostrożnie przesuwając się po grzędzie, trzymając się najwyższych kamieni, by nie dotykać miejsc, w których zapach mógłby zostać uwięziony. Miałem nadzieję, że deszcz wymyje je do czysta.

Uważnie wybierając ścieżkę, żeby nie pozostawić żadnych śladów, dostaliśmy się na osłonięty teren, skąd zacząłem zawracać w kierunku rzeki. Dotarłem na siedemdziesiąt pięć metrów od rzeki i skręciłem w lewo, aż zobaczyłem wyrwane drzewo.

Nagle, nie wiadomo skąd, znowu wypadł helikopter.

Rzuciliśmy się pod drzewa, przywierając do pni, jakbyśmy odszukali dawno zaginionych krewnych. Jeszcze raz musieliśmy słuchać przesuwającego się powoli nad koronami drzew łomotu wirników. Helikopter był tak blisko, że poczułem owiewający mnie strumień powietrza. Nagle zrozumiałem, co oni robią - lecieli wzdłuż strumienia, może patrolowali wszelkie odsłonięte ciekły wodne, bo nic więcej nie mogli zobaczyć z powietrza. Po chwili śmigłowiec oddalił się i my też.

Wyrwane drzewo wyglądało całkiem obiecująco. Miało wystarczająco dużo gałęzi, by się pod nimi ukryć, a nawet mogliśmy się schować pod pień w miejscu, gdzie sterczał nieco nad powierzchnię gruntu. Dużo miejsca to tam nie było, ale i tak musieliśmy się do siebie przytulić, żeby grzać się nawzajem.

Sara klęczała na ziemi, ciężko dysząc. Spojrzała na mnie zdziwiona, gdy dałem jej znak, by wchodziła pod pień.

- Dlaczego nie uciekamy?

- Później ci powiem, a teraz się chowaj.

Wcisnęła się pod pień, a ja zrobiłem to samo. Pod pnem było równie mokro i zimno jak na powietrzu, ale byliśmy ukryci i mieliśmy szansę odpocząć. Nie wiedziałem, czy to właściwa decyzja, ale już było za późno, by się martwić.

Wygrzebałem trochę gruntu pod pnem, żeby mieć widok na miejsce po drugiej stronie strumienia, gdzie wykonaliśmy nasz pierwszy zakręt. Nieraz w dżungli używałem tej samej taktyki. Polegała ona na „zapętleniu tropu” i założeniu zasadzki na własnej ścieżce. Gdyby nas tropili, to pościg musiałby przejść około sześćdziesięciu albo siedemdziesięciu metrów od nas i skręcić nieco w lewo, w ten sposób by się od nas oddalił. Dotarliby w ten sposób nad strumień i zaczęliby badać drugi brzeg, by wykryć nasz zapach lub ślady na ziemi. Zyskalibyśmy bezcenny czas na działanie: gdybym zobaczył psy, to trzeba by po prostu wiać.

Helikopter znowu przeleciał nad naszymi głowami, tym razem szybko, ale byliśmy dobrze ukryci. Może tam sobie latać cały dzień, jak ma ochotę, nie sprawiało to nam żadnej różnicy. Sara patrzyła na mnie, czekając na wyjaśnienie.

- Odczekamy do zmroku i wracamy do drogi - powiedziałem, wskazując w górę stoku. - W tamtą stronę.

Nie była zachwycona tą wycieczką, ale przytuliła się do mnie. Leżałem wciśnięty pod pień i obserwowałem teren. Ona leżała za mną, przyciskając się całym ciałem i obejmując mnie rękami za klatkę piersiową. Czuję jej ciepło. Usiłowałem odpędzić myśl, jaką przyjemność sprawia mi fakt, że jest ode mnie zależna. Nie przerywając obserwacji, przychyliłem ku niej głowę.

- Krycie się jest naszą najlepszą bronią. Będzie zimno i wyda ci się, że możesz umrzeć, ale nic się nie stanie, jeśli tylko będziemy leżeć blisko i ogrzewać się nawzajem. Rozumiesz?

Poczułem, jak kiwa głową, a potem jeszcze bardziej przyciska się do mnie. Musiałem przyznać, że podobało mi się to nawet w tych okolicznościach.

Przez całe życie nie znosiłem trzech rzeczy: przemoknięcia, zmarznięcia i głodu. Aha, jeszcze jednego - gdy musiałem załatwiać się w otwartym terenie. Całe życie, nawet kiedy jesteśmy dziećmi, większość nas stara się unikać tych trzech rzeczy, ale ja miałem pecha. Nie mogłem opędnąć się przed

myślą, że w wieku trzydziestu ośmiu lat powinienem poważnie pomyśleć nad ułożeniem sobie jakoś życia. To obecne było do niczego.

Czas płynął, a mnie było coraz chłodniej mimo tulącej się Sary, ziemia robiła się coraz zimniejsza i bardziej mokra. Sara grzała mnie tam, gdzie nasze ciała się stykały, ale w innych miejscach marzłem. Za każdym razem kiedy poprawiała pozycję, czułem, jak zimno atakuje odsłonięte fragmenty ciała.

Znowu się poruszyła, zmieniając pozycję.

- Przepraszam, kurcz - wyjaśniła, próbując wyprostować nogę i napiąć stopę, by się go pozbyć.

Czuwałem, słuchając strumienia, wiatru hulającego w wierzchołkach drzew i kropli deszczu spadających na liście i patyki zaścielające grunt pod drzewami. Las wypełniał ponury, sięgający kolan opar, który przypominał dym. Mógłby nam pomóc albo zaszkodzić, bo dawałby pewną osłonę, gdybyśmy musieli uciekać, ale jednocześnie pomagał psom.

Czas mijał, a pościgu nie było widać; nie ukrywam, że podniosło to mnie na duchu. Spojrzałem na zegarek: siódma czterdzieści sześć. Jeszcze dwanaście godzin czy coś koło tego do zmierzchu. Czas płynie szybko, kiedy człowiek się dobrze bawi.

Sara już ochłonęła i nabrała ochoty do rozmowy.

- Nick?

- Nie teraz.

Musiałem się zastanowić. Chciałem porządnie przemyśleć to, co powiedziała, i co się wydarzyło. Czy blefowała, mówiąc o spisku na życie Netanyahu? Jak planowali go zabić? Jak ona zamierzała ich powstrzymać?

Miałem głowę pełną pytań bez odpowiedzi, ale teraz nie czas na dociekanie. Trzeba zachować maksymalną ciszę, a poza tym, żeby wykonać zadanie, musiałem mieć czysty umysł. Chciałem wydostać się stąd żywy, najlepiej z żywą Sarą, bo miałem do wykonania jeszcze jedno zadanie.

21

Godzinę później trzęśliśmy się gwałtownie, przemarznięci do szpiku kości. Usiłowałem walczyć z zimnem, napinając wszystkie mięśnie, a potem je rozluźniając. Skutkowało to przez chwilę, ale wkrótce znowu się trząsałem. Nie miałem pojęcia, jak Sara daje sobie radę, ale w tej chwili wcale mnie to nie obchodziło. W głowie miałem mętlik, kiedy usiłowałem przemyśleć różne warianty postępowania. Czy Sara mówiła prawdę? Czy powinienem zadzwonić do Londynu, jeśli się stąd wydostanę? Czy powinienem szukać pomocy na terenie Stanów Zjednoczonych? Może u Joshua? Nie, jeszcze nie mógł wrócić z Wielkiej Brytanii.

Usłyszałem jakiś dźwięk, bardzo pragnąłem, by było to tylko złudzenie.

Spojrzałem przez otwór obserwacyjny i otworzyłem usta, by lepiej słyszeć. Serce podjechało mi do gardła. Odwróciłem głowę, by spojrzeć na Sarę. Zobaczyłem po jej minie, że też słyszy psy. Odgłosy szczekania dochodziły z kierunku, z którego przybyliśmy. Nie widziałem ich jeszcze, ale na pewno niedługo nas dorwą. To była tylko kwestia czasu.

Nakazałem jej siedzieć cicho i znowu odwróciłem się do otworu obserwacyjnego.

Sara przyłożyła mi usta do ucha.

- Chodź, uciekamy.

- Zamknij się, do cholery - uciszyłem ją, bo właśnie w tej chwili na grzbiecie pagórka pokazały się psy.

Była ich kilka. Przodem gnały na długich smyczach dwa warczące psiska, z których parowała mokra sierść. Ich przewodnik ledwie nad nimi panował. Ujrzałem, że to owczarki niemieckie, czyli psy obronne, a nie tropiące. Ich zadaniem było skrócenie dystansu między nami i pościgiem, gdybyśmy zostali dostrzeżeni. Z przylepioną mokrą sierścią oblepiającą skórę, wyglądały niepozornie.

Grupa pościgowa składała się z sześciu policjantów. Jeden z nich prowadził na smyczy Springera spaniela, który dobrze się bawił, goniąc z nosem przy ziemi. Poza przewodnikiem psa tropiącego, żaden z nich nie miał odpowiedniego stroju na taki pościg. Byli ubrani w normalne brązowe

wodoodporne kurtki, a dwaj mieli na nogach pantofle. Błoto pokrywało ich wyprasowane brązowe spodnie z żółtymi lampasami.

Minęli nas przy wtórze psiego skomlenia i unoszącej się z futra psów pary, podążając nieco w lewo naszym tropem i oddalając się od nas ku strumieniowi. Gdy tylko skryli się za pagórkami, odwróciłem się do Sary.

- Wiejemy.

Wygrzebałem się spod pnia i natychmiast szybko zacząłem się oddalać od strumienia. Chyba pomysł ukrywania się aż do zapadnięcia ciemności nie był tak dobry. Teraz musieliśmy biec szybciej niż pościg. Było mało prawdopodobne, żeby psy się zmęczyły, ale mogły poruszać się nie szybciej niż ich przewodnicy, dlatego musieliśmy ich zmęczyć. Policjanci wyglądali na przemokniętych i wymęczonych, dyszeli ciężko. Mimo naszego opletanego stanu powinniśmy być w lepszej formie niż oni.

Parłem naprzód, rozglądając się za miejscem, gdzie moglibyśmy ukryć zmianę kierunku. To mogło ich nie zatrzymać, ale spowolniłoby pościg. Po prawie trzydziestu minutach intensywnego biegu przez gęsty las musiałem zatrzymać się i poczekać na Sarę. Dyszała ciężko, a para jej oddechu mieszała się z parą unoszącą się z jej głowy. Kiedy ruszyliśmy ponownie, spojrzałem na zegarek: dziesiąta trzydzieści dziewięć.

Nie zatrzymywaliśmy się przez godzinę. Sara zostawała z tyłu, ale ja utrzymywałem tempo. Wiedziałem, że będzie dalej biegła. Kiedy trenowaliśmy wspólnie w Pakistanie, nigdy się nie poddawała, nawet na głupiej przebieżce dla przyjemności. Wtedy chodziło tylko o jej dumę, teraz stawka była trochę większa.

Dotarliśmy na fragment niżej położonego terenu i jakieś dwieście metrów przed nami zobaczyłem niebo prześwitujące między pniami drzew. Chwilę potem usłyszałem warkot samochodu i szum opon po asfalcie.

Zbliżyłem się do skraju lasu. To nie była jakaś ważna trasa, tylko dwukierunkowa szosa, przy tym nieszczęśliwie utrzymana, pewnie dlatego że nie panował na niej za duży ruch. Typowa prowincjonalna droga, która wygląda tak, jakby asfalt został po prostu wylany na nią z przyczepy powoli jadącej ciężarówką, i już tak został. To mogła być nawet ta sama droga co poprzednio, trudno to było stwierdzić. Deszcz nie lał już jak nastawiony na silny strumień prysznic, tylko monotonna mżył.

Nadal nie wiedziałem, gdzie jesteśmy, ale nie miało to znaczenia. Człowiek nigdy się nie gubi, tylko jest w innym miejscu, niżby chciał, i o innym czasie. Sara podpełzła do mnie i położyła się na plecach. Miała tak zlepione włosy, że prześwitowała jej biała skóra głowy. Wyglądaliśmy tak, jakby każde z nas miało doczepiony do ciała silnik parowy.

Postanowiłem skręcić w prawo - równie dobrze mogłem wybrać lewą stronę, to nie miało znaczenia - i ruszyć wzdłuż drogi. Musieliśmy w końcu znaleźć jakiś pojazd, a przynajmniej dowiedzieć się, gdzie jesteśmy. Potem byśmy się zastanowili, co robić dalej.

- Gotowa?

Popatrzyła na mnie i skinęła głową, pociągając przy tym nosem. Odpelzliśmy tyłem, zagłębiając się z powrotem w las. W końcu wstałem, podałem jej rękę i pomogłem podnieść. Znowu ruszyliśmy biegiem równoległe do drogi. Po jakichś dwóch minutach usłyszałem samochód. Padłem na ziemię; samochód przejechał z włączonymi światłami, zaparowanymi bocznymi szybami i pracującymi pośpiesznie wycieraczkami, rozbryzgując nagromadzoną w dziurach wodę. Gdy tylko zniknął z pola widzenia, poderwaliśmy się i pobiegliśmy dalej.

Następnym pojazdem była ciężarówka załadowana pniami drzew. Jej koła wpadły w olbrzymią dziurę, wyrzucając kaskadę wody, która chlapnęła tuż przed nami. Wyglądało na to, że mniej więcej co pięć minut coś tam przejeżdża. Większość jechała z przeciwnego kierunku, co było dobrym znakiem. Nie wiedziałem sam dlaczego, ale tak czułem.

Po następnych dwóch kilometrach dojrzałem z przodu, po drugiej stronie drogi jakieś światło. Kiedy zbliżyliśmy się, zobaczyłem, że jest to stacja benzynowa połączona z wielobranżowym sklepem, widniał nad nią pomarańczowy neonowy napis „Drive Thru - Otwarte”. Stacja składała się z jednokondygnacyjnego betonowego budynku o płaskim dachu z trzema dystrybutorami paliwa od frontu, które osłonięte były wysokim metalowym dachem, opartym na dwóch stalowych słupach. Cały ten obiekt był pewnie supernowoczesny, kiedy go zbudowano w latach sześćdziesiątych czy na

początku siedemdziesiątych, ale teraz biała farba poszarzała i łuszczyła się, a cały budynek pomału rozpadał się na kawałki. Wiedziałem, jakie to uczucie.

Ściany sklepu były przeszkłone, a umieszczony nad oknami od frontu wielki, czerwony napis głosił, że cały ten interes nazywa się „Happy Beverage and Grocery”. Wyblakłe plakaty reklamowały kawę i hot dogi, marlboro i piwo Miller. Takie małe rodzinne firmy różnią się od sklepów należących do sieci i dzierzawionych minimarketów, i wszędzie są podobne.

Dobrze wiedziałem, jakiego zapachu mogę się spodziewać w środku - mieszaniny woni starych kartonów i kawy ścierającej się z zapachem hot dogów z kukurydzianej mąki obracających się w szklanym piekarniku. Wszystko to było oczywiście dopełnione solidną porcją dymu papierosowego. Najważniejszym dźwiękiem było mruczenie przepracowanych lodówek.

Nawet dystrybutorzy na zewnątrz pochodzili z wczesnych lat siedemdziesiątych. Ten biznes chylił się ku upadkowi. Może przed laty, kiedy zbudowano drogę, był to tętniący życiem punkt, ale gdy zbudowano autostradę, by ułatwić przemieszczanie się rosnącej liczby ludności Karoliny Północnej, ruch skierował się gdzie indziej. Happy Beverage and Grocery już teraz wyglądał tak, jakby przeszedł do historii.

Zatrzymałem się niedaleko napisu „Drive Thru” po drugiej stronie drogi i przypadłem do ziemi. Sara dołączyła do mnie, ale kazałem jej pozostać na miejscu. Podczołgałem się do przodu. Miałem rację, jeśli chodzi o ten sklep: z bliska dojrzałem przez okna wszelkie opakowania - od oreos do cheerios i rządki lodówek ze szklanymi drzwiami, które najwyżej w jednej czwartej były wypełnione kartonami mleka i puszkami coli. W wielkim szklanym dzbanku parzyła się kawa, a obok widać było cały zestaw polistyrenowych kubeczków o pojemności od ćwierć litra do jednego litra, w zależności od tego, w jakim stopniu klient chciał się obudzić. Jeżeli ktoś by chciał śmietanki, to z pewnością była tylko w proszku.

Za ladą dojrzałem siedzącą samotnie otyłą kobietę, wyglądała na trzydzieści pięć lat. Widziałem tylko górną część jej ciała. Miała utlenioną na blond ondulowaną fryzurę, którą sobie pewnie wzmacniała jednym pojemnikiem lakieru dziennie. Musiała być jedną z tych kobiet z Południa, o których mówiono w programie radiowym. Koszulka, sądząc po tym, jak była obcisła, należała pewnie do jej córki. Nie widziałem reszty jej ciała, ale bez wątplenia miała na sobie o cztery numery za małe legginsy. Jadła hot doga i czytała czasopismo ilustrowane, jednocześnie jakimś cudem paląc papierosa. Odczołgałem się z powrotem do Sary.

- Da się dorwać jakiś wózek? - zapytała.

- Jeszcze nie. Wygląda na to, że ona nie ma samochodu.

Za sklepem biegła druga droga asfaltowa, która spotykała się dalej pod kątem prostym z naszą. Interesowało to mnie jedynie dlatego, że tam gdzie są skrzyżowania, tam prawie zawsze są drogowskazy.

Ruszyliśmy ku skrzyżowaniu. Światło neonu odbijało się od mokrej od deszczu drogi i blach wokół dystrybutorów. Trudno było uwierzyć, że nadal nie jest dzień. Reklama głosiła „Drive Thru”, czyli „przejechać”, i naprawdę chciałem tak zrobić, gdybym tylko miał cień szansy.

Zazdrościłem wyondulowanej kobiecie. Siedziała w środku z włączonym radiem i z nastawionymi na maksimum ogrzewaczami, które osuszały parę z okien. Pewnie było tam tak gorąco, że musiała popić hot doga colą. Ciekawe, jak się jej udawało utrzymać w ustach papierosa.

Minęliśmy sklep, biegnąc do skrzyżowania. Dałem Sarze znak, by zaczekała, ale odzyskała już oddech i razem z nim niektóre swoje stare nawyki. Nigdy nie lubiła, kiedy jej rozkazywano i nie mogła być jedną z najważniejszych osób. Ruszyła za mną.

Pokonałem ostatnie dziesięć metrów i dojrzałem drogowskaz: zieloną blachę na metalowym słupku. Po mojej lewej ręce, a więc w kierunku, z którego nadeszliśmy, drogowskaz nie był oznaczony. Na prawo znajdowała się miejscowość o nazwie Creedmore, co mi nic nie mówiło, gdyż nie miałem pojęcia, gdzie ona jest. Ale wiedziałem, gdzie jest Durham. Nieco na zachód od lotniska, mnóstwo ludzi i samochodów, miejsce, gdzie się można zgubić. Drogowskaz podawał, że prowadzi tam droga, przed którą stanęliśmy.

Droga mijala z lewej strony stację benzynową, a potem pięła się w górę przez trzy czwarte kilometra, z błotnistymi rowami odwadniającymi po obu stronach, i wreszcie znikala, skręcając w prawo za rzędami wysokich jodeł. Tam właśnie chciałem się skierować, kiedy już dorwę pojazd, ale zanim cokolwiek zrobię, musiałem postarać się, żeby ta kobieta nie mogła wezwać pomocy.

Popatrzyłem na przewody telefoniczne prowadzące z budynku po drugiej stronie skrzyżowania. Biegły wzdłuż drogi gdzieś dalej w prawo.

Przeszedłem jakieś dwadzieścia metrów od skrzyżowania w kierunku Creedmore, a potem podczołgałem się do drogi. Rozejrzałem się, nasłuchując. Absolutna cisza. Podniosłem się, skinąłem na Sarę i przebiegliśmy na drugą stronę. Ukrywając się pod osłoną drzew, ruszyłem wzdłuż przewodów, aż jakieś pięć metrów od skrzyżowania trafiłem na słup telefoniczny.

Zdejmując pasek, kazałem Sarze, by dała mi swój. Tym razem nie zapytała o nic, tylko spojrzała w tym samym co ja kierunku, kiedy przyglądałem się szczytowi słupa.

- Wchodzisz tam?

- Muszę przeciąć linię do stacji benzynowej.

- Obrabujemy ją?

Czasem miała tylko nikły kontakt z rzeczywistością. Przestałem ściągać pasek i spojrzałem na nią.

- Mówisz poważnie?

Po co jej były te wszystkie lata drogich studiów na uniwersytecie? Miała dość siły umysłu, by przesunąć szklankę bez jej dotykania, ale czasami zdawało się, że jeżeli chodzi o zdrowy rozsądek, to nie zasługuje nawet na dwójkę z plusem.

- Dorwiemy jakiś samochód i spieprzamy stąd. Niedługo będziemy mieli gości, pamiętasz? - powiedziałem, przykładając rękę do ust i udając, że ją gryzę.

Spiąłem obydwie paski razem, żeby zrobić z nich jedną wielką pętlę. Jej pasek był ciężkim kawałem skóry z hasłem Harleja Davidsona głoszącym „Życ po to, by jeździć, jeździć po to, by żyć”. Założyłem pętlę u podstawy słupa, umieściłem stopy po obu stronach, chwyciłem rękami za słup i zacząłem się wspinać. Nauczyłem się to robić z dokumentalnego programu na temat wysp południowego Pacyfiku, gdzie widziałem facetów, którzy wspinali się z pomocą podobnych urządzeń na palmy kokosowe. Przesuwa się stopy tak wysoko, jak tylko się da, utrzymując napięty pas, a potem się je opuszcza, aż pas się zapętli. Potem wystarczy wyciągnąć ręce do góry, objąć oburącz pień, podnieść znowu stopy i tak dalej. Tak to wyglądało w teorii, słup był jednak tak mokry i śliski, że musiałem wykonać wiele prób, zanim mi się udało. Po wielu wysiłkach byłem jednak zadowolony z siebie, bo gdybym kiedykolwiek został porzucony gdzieś na wyspach Polinezji, to nie zginąłbym z głodu.

W pewnej chwili usłyszałem szum opon i przybliżający się warkot silnika. Serce omal mi nie stanęło, gdy pomyślałem o tym, jak się będę tłumaczył, ale obydwie dźwięki zmieniły kierunek i ucichły, gdy samochód skręcił i pojechał w kierunku Durham. Jeszcze dwa razy usłyszałem coś podobnego. Za każdym razem zatrzymywałem się i czekałem, aż pojazd się oddali. Na szczęście wierzchołki drzew trochę mnie osłaniały.

Miałem już tylko parędziesiąt centymetrów do pokonania, kiedy usłyszałem zbliżający się czwarty pojazd, tym razem od strony Durham. Jechał powoli w naszym kierunku.

Spojrzałem w dół na Sarę, a ona już uciekała spod słupa pod osłonę drzew.

Samochód podjechał do skrzyżowania, jak się domyślałem, i zatrzymał się. Dobiegł mnie dźwięk otwieranych drzwi i odgłosy rozmów przez radio. To musiał być policyjny wóz patrolowy.

Nie mogłem sięgnąć po broń, bo całą energię wkładałem w utrzymanie się na słupie. Pomyślałem, że mógłbym wspiąć się ostatni odcinek i odpocząć na poprzeczce słupa, ale biorąc pod uwagę, jakie miałem do tej pory szczęście, pewnie bym to spieprzył i spadł im na głowy jak Strażak Sam.

Usłyszałem wybuch śmiechu i znowu popatrzyłem w dół. Nigdzie nie było widać Sary, ale za to pode mną pokazał się kapelusz. Był nakryty przezroczystą folią, chroniącą filc przed przemoknięciem. Kapelusz zagłębił się między drzewa. Pod nim widać było ciemnobrązowy płaszcz przeciwdeszczowy, o wypukłych bokach. Policjanci stanowią mają zamki po bokach płaszcza, żeby można było łatwo wydobyć broń, ale ten miał inne zamiary. Rozpiął zamek z przodu, wzdrygnął się i strumień moczu zaczął spływać z sykiem po pniu drzewa, stojącego zaledwie o krok czy dwa ode mnie. Nad kapeluszem zaczęła się unosić para. Nie mogłem wydać najmniejszego dźwięku ani nawet przełknąć śliny. Czuję, jak tracę siłę w rękach trzymających mokry od deszczu słup.

Rozejrzałem się panicznie za jego kumplem. Nie było go nigdzie widać, pewnie został w samochodzie. Normalne, kiedy pada deszcz. Widziałem, jak krople deszczu odbijają się od dachu

stacji benzynowej i błyszczą w świetle emitowanym przez neonowy napis „Drive Thru”. Strumień moczu padający na drzewo zmniejszył się, i facet skończył z głośnym pierdnięciem.

Zaczyznałem zjeżdżać. Nacisnąłem stopami mocno na pas i uczepliłem się słupa jak tonący. Dochodzące z dołu dźwięki ucichły. Facet zatrząsał się, by strząsnąć kropelki moczu, pozapinał się, obmacał płaszcz i odszedł.

Po chwili usłyszałem, jak żartują ze sobą. Potem rozległo się trzaśnięcie drzwiami i odjechali. Wypuściłem całe powietrze, które przytrzymałem w płucach, i podsunąłem się w górę słupa, by lepiej widzieć. Samochód wjeżdżał na stację benzynową. Dlaczego, do cholery, nie wjechał tam od razu? Może chciał poderwać tę kobitkę i nie miał ochoty, żeby usłyszała, jak pierdzi i zasmradza cały sklep.

Dotarłem wreszcie do szczytu słupa i przerzuciłem lewe ramię przez poprzeczkę. Wziąłem kilka głębokich oddechów, by się uspokoić, i rozejrzałem się za Sarą. Wygrzebywała się właśnie z krzaka, w którym się ukryła. Ciekawe, czy wiedziała, jak się jej udało. Jej krzak wyglądał na tyle zachęcająco, że mogła zostać oblana przez tego starego pierdziela.

Spojrzałem wzdłuż przewodów, by się upewnić, który ciągnie się do stacji benzynowej, włożyłem rękę do kieszeni i wyjąłem przyborek. Przy samym słupie odcinek przewodu jest zawijany, żeby osłabić jego naprężenie, i zostaje ładna luźna pętelka. Wychyliłem się, naciskając mocno na pas gumowymi podeszwami, otworzyłem szczypcę przyborka i przeciąłem drut. Potem już tylko ześliznąłem się powoli ze słupa, żeby nie zjechać na ziemię z paroma kilogramami drzazg w rękach i nogach. Sara od razu znalazła się przy mnie.

- Daj mi broń, Nick. Co by było, gdyby cię zobaczyli?

Miała rację, ale nie byłem tym zachwycony. Gdybym dał jej broń, to tak jakbym poczęstował Popeye'a szpinakiem. Z drugiej strony, jeśli on by mnie zobaczył, mogłaby coś na to zaradzić. Nadal nie byłem pewien, czy mnie nie przerobi, ale uznałem, że wciąż jestem jej za bardzo potrzebny. Postanowiłem na razie dać jej broń.

Wyciągnąłem broń Lance'a, jakiś wschodnioeuropejski pistolet kalibru dziewięć milimetrów, i podałem ją Sarze. Odsunęła zamek o centymetr ze szczerym „dziękuję” i zajrzała do komory, by sprawdzić, czy jest w niej nabój.

Wóz patrolowy wyjeżdżał właśnie ze stacji i wracał w naszym kierunku. Oboje padliśmy na ziemię. Nie tracąc czasu, nałożyła sobie pas. Granatowo-biały pojazd minął nas, kierując się ku Creedmore. Może pomagali zablokować drogę gdzieś dalej na trasie?

Chciałem, żeby została na miejscu, kiedy wrócę na stację benzynową ukraść samochód, ale uparła się jednak, by pójść ze mną.

- Słuchaj - usiłowałem jej wyperswadować - pojawia się kobieta i mężczyzna i kradną samochód ze stacji benzynowej; nie uważasz, że jest odrobina szansy na to, by ktoś skojarzył to z jeziorem?

- Nick, idę z tobą. Nie będę ryzykowała, że się rozdzielimy i wszystko się popsuje. Zostaniemy razem.

Miała rację: całkiem nieświadomie przypomniała mi, co mam robić. Nawet gdyby doszło do problemów z policją czy kimkolwiek innym i byłoby oczywiste, że nie zapanuję nad sytuacją, to musiałbym ją zabić, zanim zostanie złapana. Nie był to idealny wariant, ale przynajmniej by zginęła. Uległem życzeniu, patrząc na nią z nie bardzo zadowoloną miną.

- No to chodźmy.

Dopięliśmy pasy, cofnęliśmy się kawałek wzdłuż drogi i przedostaliśmy się na jej drugą stronę. Następnie skręciliśmy w prawo i idąc równoległe do drogi, doszliśmy do miejsca, skąd wyraźnie było widać dystrybutory i sklep.

Na podjeździe stał jeden samochód, biały nissan kombi, ale siedziały w nim cztery osoby - dwie pary dwudziestoparolat-ków. Kierowca właśnie zapalił silnik i odjechał. Usłyszałem wyraźne „dzyń dzyń”, kiedy koła najechały na gumowy czujnik. Dotarł do drogi, zatrzymał się, włączył wycieraczki i światła i śmiejąc się z pozostałymi, pewnie z kobietą z hot dogiem, skręcił w lewo. Leżeliśmy, czekając, w deszczu.

W ciągu następnych dziesięciu minut przemknęły drogą dwa wozy z antenami satelitarnymi na dachu. Pędziły w poszukiwaniu sensacji z zapalonymi reflektorami i pracującymi wściekle wycieraczkami.

Po chwili na podjazd wtoczył się kolejny samochód: toyota z całą rodziną. Uniosłem się nieco, gotów do działania, jak drapieżnik obserwujący stado zwierząt. Samochód był idealny, normalny rodzinny pojazd. Ojciec rodziny wysiadł i uciekając przed deszczem, wbiegł prosto do sklepu. Zobaczyłem, jak daje wyondulowanej parę banknotów, wychodzi i napełnia zbiornik.

Jednak zrezygnowałem: cała rodzina, dwoje dzieci na tylnym siedzeniu i na wpół zaparowane okna. Dzieci były się między sobą, a matka krzyczała, odwracając się do nich. W samochodzie było po prostu za dużo ludzi. Nie wyobrażałem sobie wyciągania z samochodu dwojga wrzeszczących dzieciaków.

„Dzyń, dzyń”. Ruszyli w kierunku Durham.

Sara spojrzała na mnie.

- Myślałam, że się spieszymy.

Wyondulowana podeszła do ekspresu, żeby wziąć kolejne wiaderko kawy. Wróciła do stojącej w pobliżu okna kasy i usiadła przy niej, wyglądając na zewnątrz i z namysłem mieszając łyżeczką w swoim wiaderku. Miałem rację: wzięła śmietankę w proszku. Może marzyła o tym, jak jednego dnia Clint Eastwood zaparkuje na podjeździe i wejdzie do środka, żeby zapłacić za paliwo, i ciach, wszystko potoczy się jak w filmie Miłość w Happy Beverage. Teraz musiała jednak pracować.

Tablica umieszczona na lewo od wejścia do sklepu oznajmiała, że sklep znajduje się pod „całodobową obserwacją wideo” oraz że w kasie znajduje się nie więcej niż pięćdziesiąt dolarów, a reszta jest wrzucana do sejfów, do którego obsługa nie ma dostępu. Odwróciłem się do Sary.

- Kiedy skoczmy po samochód, wciągnij sobie koszulkę na głowę, żebyś tylko mogła patrzeć.

„Dzyń, dzyń”. Z lewej strony podjechał do dystrybutorów kolejny pojazd. Tym razem była to naprawdę stara furgonetka z końca lat siedemdziesiątych lub początku osiemdziesiątych, czymś takim jeździł Mr. T. z Drużyny A, tyle że w kolorze smutnej szarości. Okna były częściowo zaparowane, dlatego nie widziałem, ile osób jest w środku, ale gdy tylko kierowca otworzył drzwi, zorientowałem się, że na tę okazję czekamy. Facet miał trochę po czterdziestce, ale najważniejsze było to, że kiedy wysiadł, nie wziął ze sobą kluczyków, tylko pomachał wyondulowanej. Musiał być jednym z miejscowych, ponieważ wierzyła mu na tyle, by najpierw nalał sobie benzyny, a dopiero potem zapłacił.

Wróciliśmy do pozycji polujących drapieżników, obserwując naszą zwierzynę. Kierowca był ubrany w zielony kombinezon, który miał za sobą już dni świetności i był pokryty tłustymi plamami i podarty na kolanach. Jego baseballowa czapka kiedyś była biała, ale teraz bardziej pomógłby jej ogień niż wybielacz. Był chudy i średniego wzrostu, z trzydniowym zarostem na twarzy. Nie strzyżone chyba od czterech lat włosy, mokre albo bardzo przetłuszczone, spadały mu na ramiona.

Zbiornik był już pełny, a korek wlewu wrócił na swoje miejsce.

- Gotowa? - wyszeptalem.

Skinęła głową.

Kierowca samochodu odwrócił się i grzebiąc w kombinezonie w poszukiwaniu pieniędzy, potruchtał do sklepu. Poderwałem się i ruszyłem biegiem. Lewą ręką naciągnąłem sobie koszulkę na twarz, podobnie jak Sara. Musieliśmy wyglądać jak dwa plemniki. Przerzuciłem wzrok z samochodu na sklep i z powrotem. Nie przejmowałem się zbytnio tym, co robi Sara: według planu miała podbiec do samochodu z naszej strony, czyli od strony pasażera, a ja miałem obejść samochód od tyłu, ponieważ chciałem się jak najlepiej ukryć, a potem skoczyć na siedzenie kierowcy i odjechać.

W tylnych drzwiach samochodu zobaczyłem dyktę wstawioną w miejsce wybitych szyb, cały ten gruchot wyglądał jak przerdzewiałe wiadro. Obszedłem róg samochodu i ruszyłem przy jego boku ku drzwiom kierowcy. Przeskoczyłem przez pętlę węża od dystrybutora i pośliznąłem się na mokrym od ropy betonie. Na szczęście udało mi się odzyskać równowagę i dotrzeć do drzwi. Nadal podtrzymując lewą ręką koszulkę na twarzy, chwyciłem prawą ręką klamkę drzwi. Była zardzewiała, niemal bez odrobiny chromu. Szarpnąłem ją, ale została mi w ręce, zwisając jedną końcówką u drzwi.

Okna po drugiej stronie były zaparowane, więc nie widziałem, co robi Sara. Wiedziałem tylko, że nie wsiada. Musiała mieć podobny problem: pewnie klamka z jej strony też odpadła.

Okno od strony kierowcy trochę zostało opuszczone. Pewnie tak wsiadał: po prostu wkładał rękę przez okno i otwierał drzwi od środka. Włożyłem prawą rękę do środka i nagle w samochodzie rozpętało się piekło. Odskokczyłem, słysząc wściekłe ujadanie dochodzące z tyłu pojazdu, tak jakby ktoś mi zaaplikował pełne dwadzieścia sekund tazerem.

Rzuciłem okiem w kierunku sklepu. Facet patrzył na zewnątrz z szeroko otwartymi ustami. Wszystkiego by się spodziewał, ale nie tego, że ktoś spróbuje podprowadzić mu samochód. Czarny stwór na tyle pojazdu podskakiwał jak szalony. Musiałem znowu włożyć tam rękę. Nie miałem wyboru, teraz już nie mogłem się wycofać. Sięgnąłem ręką do środka, wrzeszcząc na Sarę, by coś zrobiła.

Podskakiwałem, usiłując na oślep złapać wewnętrzną klamkę, a pies rzucał się tak, jakby od trzech dni czekał na lunch. Przestraszony właściciel wybiegł ze sklepu, krzycząc:

- Mój pies! Mój pies!

- Saro, zrób coś, do cholery!

Nie trzeba jej było prosić: usłyszałem podwójne głośne łupnięcie z dziewiątki Lance'a.

Już nie mogło być gorzej. Odskokczyłem od okna, zostawiając szalejącego w środku psa, i obiegłem samochód od przodu.

- Saro, przestań strzelać! Przestań.

W tej chwili dostrzegłem, że nie strzela do kierowcy, ale że skierowała broń w stronę dwóch owczarków, które wypadły spośród drzew. Nie zapowiadało się to ciekawie, bo były już pięć metrów od nas. A więc sprawy potoczyły się jeszcze gorzej, niż myślałem.

Trafiła jednego psa. Przekoziółkował przez łeb i padł na ziemię, wierzgając nogami i skowycząc. Drugi parł do przodu. Sara obróciła się, by do niego strzelić, ale był zbyt blisko mnie. Opuściłem błyskawicznie prawą rękę, by wydobyć broń, podciągając jednocześnie kurtkę drugą ręką, żeby dostać się do pistoletu. Jednak było już za późno.

Nie ma sensu próbować uciec przed atakującym psem, kiedy jest tak blisko. Jak się nie ma broni, to nie można w żaden sposób unieruchomić sukinsyna, aż do chwili, gdy rzuci się do ataku. Trzeba pozwolić, żeby wybił zęby i wtedy zadziałać.

Musiałem go wziąć na siebie. Obróciłem się nieco w lewo, wypuściłem dół kurtki i uniosłem przedramię, nadal usiłując dosięgnąć lewą ręką pistoletu.

Pies nie mógł przepuścić takiej okazji. Wyskoczył do góry, otwierając szczęki z głuchym warczeniem i odsłaniając zęby, żeby dobrze się wgryźć za pierwszym razem. Widziałem, jak wywraca oczy. Stałem nieruchomo, naprężając się, gotów na uderzenie. Otworzył pysk, odchylając łeb do tyłu i przyskając mi śliną na twarz.

Pewnie jednocześnie działały się inne rzeczy, ale dla mnie nie istniały. Nie słyszałem nic poza warczeniem atakującego psa. Uderzył we mnie całą masą i zacisnął mi szczęki na rękę. Jego zęby przeszyły kurtkę i zaczęły przebijać mi skórę przedramienia.

- Sara! Sara! - krzyknąłem, mając nadzieję, że podbiegnie i zastrzeli sukinsyna. - Saro!

Zatoczyłem się do tyłu pod jego ciężarem. Sięgnąłem wreszcie dłonią do uchwytu pistoletu, nie całkowicie, ale wystarczająco, by go wyciągnąć zza paska. Pies podskakiwał, usiłując mnie przewrócić i drapiąc przy tym tylnymi nogami po moich nogach i podbrzuszu. Trafił mi łapą w rękę i broń potoczyła się na ziemię.

- Saro!

Poczułem okropny ból w rękę: to zęby psa rozerwały mi skórę. Bolało tak, jakbym dostał jednocześnie wiele zastrzyków igłami grubości długopisu.

Musiałem mu na to pozwolić. Musiałem doprowadzić do tego, by poczuł się pewnie, by czuł łatwe zwycięstwo. Gdybym poddawał się jego atakowi, to trzymałby zęby w jednym miejscu, myśląc, że mnie ma, a nie miotałby się na wszystkie strony.

Do diabła z bajkami o tym, jak to łapie się każdą ręką przednią łapę psa i rozdziera go na dwoje. To może skutkować jedynie z chihuahua i tylko pod warunkiem, że człowiek w ogóle zdoła złapać takiego gnojka. W rzeczywistości psy są jak mały: o wiele silniejsze, niż na to wyglądają.

Dalej cofałem się pod jego naporem, kiedy owczarek podskakiwał i warczał. Woń jego kojarzącego się ze świeżym mięsem oddechu mieszała się z odorem błota i wszelkiego innego syfu, który zgromadził mu się na sierści podczas pościgu. Ścisnął mi rękę jeszcze mocniej. Znowu wrzasnąłem na Sarę, czując, jak zęby miażdżą mi coraz więcej ciała. Nigdzie jej nie było.

Cofałem się ku bokowi samochodu, gdy usłyszałem kolejne wystrzały. Usiłowałem wyglądać i zachowywać się ulegle, nie chciałem walczyć z tym pieprzonym zwierzakiem. Chciałem tylko, żeby Sara podbiegła i go skosiła. Przewodnik psów i policja na pewno byli już niedaleko. Musieliśmy wiać.

Warczenie psa zmieniło ton, kiedy zaczął potrząsać jak zwariowany łbem na boki, żeby wgryźć się jeszcze głębiej. Opierając się tylnymi łapami o ziemię, a przednimi o moją klatkę piersiową, szedł za mną jak artysta cyrkowy, cały czas usiłując złączyć szczęki przez moje przedramię. Czarny stwór na tyle samochodu znowu wpadł w szal. Rozległy się kolejne wystrzały, ale uścisk na moje ręce nie zelżał w żaden natychmiastowy, cudowny sposób. Nic z tego. Musiałem zająć się tym sam.

Pies już naprawdę czuł się pewny swego. Wiedział, że mnie ma. Nachyliłem się i chwyciłem go prawą ręką za tylną lewą nogę. Zaczął wierzgać nią spazmatycznie, jakby tańczył irlandzkiego dżiga.

Pociągnąłem go za nogę do siebie. Pies zgłupiał i jednocześnie rozłożył się, ściskając coraz mocniej szczęki i szarpiąc łbem z boku na bok. Z wszelkich sił starałem się utrzymać jego nogę, a on tańczył jak Michael Flatley na przyspieszonych obrotach.

Udało mi się mocniej chwycić nogę psa za cienki fragment u dołu. Podciągnąłem ją ku swojej klatce piersiowej tak wysoko, jak tylko się dało, i jednocześnie zacząłem się obracać. Pies zaskowyczał zaskoczony, a ja kręciłem się, jakbym bawił się z dzieckiem. Zrobiłem trzy, cztery, pięć obrotów i pies zaczął unosić się wypierany siłą odśrodkową, dalej wczepiony w moją rękę zębami i trzymany przeze mnie za nogę. Musiał coś zrobić, więc wypuścił moją rękę. Nie zrewanżowałem mu się wypuszczeniem nogi, ale przytrzymałem go teraz obiema rękami, kręcąc się dalej, tak szybko, jak tylko się dało. Nie przestając się obracać, zdołałem dać dwa kroki ku jednemu ze słupów podtrzymujących dach nad dystrybutorami. Przy trzecim kroku głowa psa zaczepiła o słup. Rozległo się łupnięcie i słaby skowyt. Wypuściłem go i z rozpędu zrobiłem jeszcze półtora obrotu. Tak mi się kręciło w głowie, że ledwie zdołałem się pozbierać.

Odszukałem wzrokiem samochód. Sara siedziała w kabinie i strzelała przez okno.

- Drzwi! Drzwi! - wrzasnąłem do niej.

Przechyliła się nad siedzeniem i otworzyła je. Spojrzałem na ziemię. Mój pistolet leżał przy wężu paliwowym. Schyliłem się, by go podnieść, i nie wyprostowując się, by nie dostać kuli, ni to wskoczyłem, ni to upadłem na siedzenie kierowcy. Zatrzasnąłem za sobą drzwi. W tej samej chwili czarny pies z tyłu rzucił się ku mnie, usiłując przeleźć przez siedzenie kierowcy.

- Jedziemy! - krzyknęła Sara. - Szybko, jedziemy!

Dalej garbiłem się nad kierownicą, starając się stanowić jak najmniejszy cel dla policyjnych kul.

Wszystkie okna były zaparowane, prawdopodobnie od oddechu psa, co było dla nas korzystne, ponieważ przynajmniej przesłaniało nas przed kamerą wideo. Zresztą nie miało to większego znaczenia, bo sztuczka z koszulkami na nic się zdała od chwili, kiedy pojawiły się psy.

Przekręciłem kluczyk. Silnik zazgrzytał, ale nie zastartował. Zaczął pracować przy drugiej próbie. Sara wystrzeliła jeszcze kilka pocisków w kierunku linii drzew. Zwierzak za mną nie gryzł, ale hałasował bardziej niż broń palna.

Odgłos uderzających o samochód pocisków przypomniał mi momenty w ostrzeliwanym śmigłowcu. We wnętrzu helikoptera jest tak głośno, że człowiek nawet nie wie, kiedy wpada pod kule, dopóki nie zobaczy pokazujących się nagle w poszyciu dziur, którym towarzyszy głuche stukanie odbijających się wewnątrz pocisków.

Kierowca naszego samochodu dał się w sklepie jak opętany, podskakując gwałtownie, ale nie miał ochoty wyjść, dopóki trwała strzelanina. Wyondulowana stała przy telefonie, krzycząc na próżno w słuchawkę. Ruszyliśmy z podjazdu, a kierowca rzucił się za nami biegiem, tyle że wewnątrz sklepu. Zrównał się z nami, machając rękami i wrzeszcząc wniebogłosy, ale wcale to nas nie ruszało, bo był w sklepie, a jego cholerny pies hałasował tak, że mógł zagłuszyć helikopter.

Ping - rozległo się kolejne uderzenie kuli. Sarah nadal wrzeszczała: „Szybciej, szybciej, szybciej!” - a pies dokładał do tego swoje trzy grosze. Chciał uciec, tak jak my.

Skręciłem w lewo na drogę. Na desce rozdzielczej znajdowała się podstawka z napełnionym w połowie kawą polistyrenowym kubeczkim, w którym pływał niedopałek papierosa. Kiedy samochód szarpnął do przodu, wszystko to rozlało się po moich dżinsach. Zaraz potem w jakiś niesamowity sposób uruchomiło się radio. Sara wystrzeliła jeszcze kilka pocisków w kierunku drzew. Policjanci odpowiedzieli ogniem.

Spojrzałem w boczne lusterko. Policjanci już byli na drodze, zajmując odpowiednie pozycje strzeleckie. Przycisnąłem gaz do dechy.

- Zrób coś z tym pieprzonym zwierzakiem - krzyknąłem do Sary, pokazując kciukiem na psa.

Skręciłem znowu w lewo i zacząłem jechać drogą pod górę. Obejrzałem się na tego wielkiego, parszywego zwierzaka. Jakiś mokry, obrzydliwy pies: skakał do gazety, którą Sara usiłowała go uderzyć, szczekając i skowycząc. Droga skręciła w prawo. Gdy tylko zniknęliśmy z pola widzenia pościgu, nacisnąłem hamulec.

- Wyrzuć go, do cholery! - wrzasnąłem.

- Jak?

- Po prostu wyrzuć!

Otworzyła drzwi, próbując chwycić psa, ale on już gramolił się na zewnątrz, drapiąc pazurami siedzenie. Przelazł przez nie i uciekł. Chyba wcale nie zamierzał nas atakować, ale po prostu bardzo chciał wrócić do właściciela.

Zamknęła drzwi, a ja przydusiłem gaz. Na tyle samochodu leżały jakieś torby i różne inne rzeczy.

- Przejrzyj, co tam jest - powiedziałem.

Nie musiałem jej tego dwa razy powtarzać. Natychmiast zabrała się do roboty.

22

- Jest jakaś mapa?

Cholernie mnie bolała ręka, a ogrzewanie samochodu było zbyt słabe, więc ścierałem rękawem parę z szyby. Wycieraczki bardzo wolno pracowały. Teraz przynajmniej jako tako widziałem drogę, chociaż i tak nie byłem za bardzo pewien, gdzie jestem.

Łuk drogi wkrótce wyprostował się i po obu stronach pokazały się drzewa. Nad nimi nie było widać nic oprócz gęstych, szarych chmur. Świetnie, im gorsza pogoda, tym mniejsze szanse, by nadal korzystali z helikoptera.

- Nic, same śmieci - odparła Sara, wracając na swoje miejsce.

Odkręciła okno i zaczęła ustawiać boczne lusterko, żeby obserwować drogę za nami. Wcisnąłem gaz, ale samochód mógł wyciągnąć tylko jakieś sto kilometrów na godzinę, nawet jadąc z wiatrem. Łyse opony też nie najlepiej trzymały się szosy. Wszystkie rupiecie z tyłu klekotały, a kawałki papieru latały we wnętrzu podrywane przez wpadający przez otwarte okno wiatr. Miałem nadzieję, że klocki hamulcowe są w lepszym stanie niż widoczne na zewnątrz elementy samochodu.

Sara zaczęła się szarpać z drzwiczkami schowka, którego chyba nie otwierano od wielu lat. Drzwiczki ustąpiły i ze środka wysypały się kawałki linki wędkarskiej, zapalniczki, wytłuszczone stare kwity ze stacji benzynowej i wszelkie inne śmieci. Nie było wśród nich mapy.

- Cholera! - wrzasnęła.

Siedziałem cicho, czekając, kiedy się wykrzyczy.

Przejechaliśmy w całkowitym milczeniu około pięciu kilometrów i dotarliśmy do skrzyżowania z podobną drogą. Nie było na nim żadnych drogowskazów. Skręciłem w prawo.

Czułem się jak na patelni. Nie wiedziałem, czy policjanci przy stacji benzynowej mieli przenośne telefony, wszystko zależało od tego, czy w tym terenie są stacje przekąźnikowe. Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu na myśl, że przydałby się im Błaszany Mickey ze swoją głową.

- Trafiłaś któregoś policjanta? - zawołałem do niej, usiłując przekrzyczeć szum wiatru.

Przecierała właśnie boczne lusterko; wyglądało na to, że się trochę uspokoiła.

- Nie wiem, chyba nie. Może.

Byłem coraz bardziej podłamany. Nawet gdyby nikogo nie trafiła, to i tak byśmy ugrzęźli w gównie po uszy, jeżeli nie udałoby się nam stąd szybko wydostać i gdzieś schować.

Niecałe dwie minuty później los zaczął nam sprzyjać: zobaczyłem przed sobą reflektory samochodu.

- Biorę go, Saro. Pamiętaj, żebyś nie odzywała się ani słowem, OK?

Skinęła głową.

- Co mam robić?

- Tylko mierz z pistoletu do kierowcy. Nie strzelaj do nikogo. Trzymaj palec z dala od cyngla. Proszę.

Zwolniłem do około trzydziestu kilometrów na godzinę i skręciłem, blokując drogę. Samochód nadal się do nas przybliżał. Widziałem już, że jest to jakiś niebieski kombi, ale nie mogłem dostrzec, ile w nim siedzi osób.

Sara czekała na polecenia.

- Wsiądź z tej strony i idź za mną. Zepsuł mi się samochód, jasne?

Wyskoczyłem na jezdnię, usiłując jednocześnie obserwować samochód i nasłuchiwać, czy nie leci helikopter. Samochód zwolnił: mazda z jedną osobą w środku. Sądząc po wyondulowanej fryzurze, która wypełniała połowę przedniej szyby, kierująca nią kobieta była bliźniaczką tej ze stacji benzynowej. Nie zachwyciło jej to, co zobaczyła. Musiałem działać szybko na wypadek, gdyby sięgnęła po broń. Przecież mogła być jedną z najlepszych klientek „U Jima”.

Samochód już całkiem się zatrzymał. Podbiegłem do drzwi kierowcy z bardzo przymilną miną. Nacisnęła przycisk otwierania szyby i opuściła je na parę centymetrów, ale przynajmniej nie sięgała do torebki ani do schowka.

Dopałem do okna i wycelowałem w nią broń, wrzeszcząc:

- Patrz na dół, patrz na dół!

Mój akcent był coraz gorszy.

Kobieta miała może jakieś trzydzieści parę lat. Musiała poświęcać cały dzień na ułożenie sobie włosów w taki stóg. Jej twarz pokrywała licząca ze dwa milimetry grubości warstwa makijażu, który teraz, mokry od łez, wyglądał jak mokry cement.

- Wysiadać, wysiadać! - wrzasnąłem.

Drzwi były zablokowane. Kopnąłem w nie i zacząłem wymachiwać rękami jak wariat, na jakiego chyba wyglądałem. W końcu dała się przekonać. Rozległo się szczęknięcie centralnego zamka i Sara od razu podbiegła do samochodu. Dałem jej znak, by usiadła za kierownicą. Właścicielka samochodu stała na drodze, płacząc przeraźliwie.

- Mam dzieci. Proszę, nie zabijajcie mnie, proszę. Weźcie samochód, weźcie samochód. Weźcie pieniądze. Proszę, nie zabijajcie mnie.

Miałem ochotę powiedzieć jej: Zamknij się, nie zginiesz. Odgrywam wariata, bo chcę cię wystraszyć. Dzięki temu nie sięgniesz po broń i wszyscy zostaniemy przy życiu.

Sara siedziała już w środku za zamkniętymi drzwiami. Dobiegłem do drzwi po drugiej stronie i wskoczyłem do samochodu. Sara zawracała, zanim jeszcze zdążyłem zamknąć drzwi. Rozsunąłem uda, żeby zobaczyć, na czym siedzę -torebka wyondulowanej. Podniosłem lufą pistoletu torebkę za uszy i wyrzuciłem przez okno, akurat gdy Sara kończyła wykonany w fatalny sposób manewr zawracania, z mnóstwem duszenia hamulców i piszczenia opon po mokrej nawierzchni.

- Dawaj do dechy.

Nie musiałem jej do tego zachęcać.

Wnętrze samochodu pachniało świeżymi perfumami i kawą. W uchwycie przy desce rozdzielczej tkwił polistyrenowy kubek z pokrywką. Podniosłem kubek i potrząsnąłem nim. Był w połowie napełniony jeszcze ciepłą kawą. Pociągnąłem kilka łyków i podałem go Sarze. Klimatyzacja była włączona, pokręciłem paroma gałkami i zaraz zaczęło dmuchać gorącym powietrzem.

- Dokąd, Nick? Dokąd jedziemy?

Nie byłem pewien.

- Jedź przed siebie, aż zobaczymy jakiś znak.

Dziesięć minut później dotarliśmy do skrzyżowania z główną drogą. Stojący przy niej znak informował, że jest to trasa numer 98 prowadząca w lewo do Raleigh i w prawo do Du-rham.

- W lewo, w lewo!

Była to w dalszym ciągu droga, ale szersza niż poprzednia, a po obu stronach stały domy. Wkrótce znaleźliśmy się wśród innych pojazdów pokonujących swą codzienną drogę do miasta i w mgnieniu oka wmiszaliśmy się w tłum samochodów, kryjąc się w tłoku.

- Zostało ci trochę pocisków? - zapytałem.

Podawała mi broń. Sprawdziłem ją i napełniłem na nowo magazynek trzymanymi w kieszeniach nabojami, a potem oddałem jej broń. Wsunęła ją pod prawe udo, mówiąc „dziękuję”.

Zacząłem rozpoznawać okolicę. Samochody poruszały się coraz wolniej. Za każdym razem, kiedy docieraliśmy do dużego skrzyżowania, natrafialiśmy na kolejną serię świateł, umożliwiających wjazd na trasę mieszkańcom licznych rozłożonych wokół miasta osiedli. Z trasy nie było widać żadnych domów mieszkalnych, bo po obu jej stronach ciągnęły się rzędy drzew i niskich zabudowań fabrycznych.

Zatrzymaliśmy się na światłach. Wokół w samochodach ludzie popijali czymś śniadania. Niektórzy mieli duże papierowe kubeczki z przydrożnych barów, inni kubki, które wyglądały jak kapsuły kosmiczne Apollo: bardzo szerokie u dołu, żeby się nie przewracały w samochodzie, i zwężające się do góry w dzióbek, z którego się pije. Dostrzegłem, że ludzie w samochodach uśmiechają się lub śmieją w głos do samych siebie. Sara też zobaczyła, co się dzieje, i zapragnęła posłuchać tego samego. Zaczęła naciskać przyciski radia, przeglądając kolejne programy. Za trzecim razem trafiła. Dwoje ludzi rozmawiało o popularnych naklejkach na samochód.

- Jedna naklejka jest OK - mówiła kobieta - ale jak jest ich więcej, to na moim liczniku głupoty pokazuje się dziesiątka.

- A widziałaś taką z napisem - podjął prowadzący z nią program mężczyzna - „Umysł jest jak spadochron, pracuje tylko wtedy, kiedy jest otwarty”. Hej, to jest coś, co się nie mieści w głowie!

Rozległ się nagrany na taśmie śmiech i znowu wrócili do rozmowy.

- Hej, dzień dobry! Słuchacie rozgłośni Q98... - i z głośnika posypały się reklamy.

Wszyscy wokół nas się śmiali. Po chwili było jeszcze weselej, kiedy zobaczyli to samo co my: znajdująca się cztery czy pięć miejsc przed nami furgonetka miała na tylnej szybie naklejkę z cytowanym przed chwilą hasłem. Śmiałem się już na całego, kiedy ruszaliśmy na zielonym świetle. Spojrzałem na Sarę, której też zaczęła udzielać się ogólna wesołość. Nie było to wcale takie śmieszne, ale chyba po prostu poczuliśmy ulgę, że wracamy do cywilizacji.

Dotarliśmy do obwodnicy i kierując się znakami wskazującymi na drogę prowadzącą do lotniska, skręciliśmy w prawo na skrzyżowaniu. Jadąc w górę częścią ślimaka, zobaczyliśmy pod nami niskie budynki, głównie motele i bary, które wyglądały jak wyspy w morzu neonów. Deszcz osłabł już do mżawki.

Pokazałem Sarze zjazd i zaczęliśmy krążyć po okolicy, rozglądając się za motelem, który by nam odpowiadał. Po jakimś czasie przejechaliśmy obok motelu Days Inn, usytuowanego na odrębnej posesji. Był to budynek w kształcie litery T, której daszek tworzyła recepcja, a trzon składał się z trzech kondygnacji pokoiów z brązowymi drzwiami. Motel nie był już w najlepszym stanie, ale właśnie czegoś takiego potrzebowałem. Pozwoliłem Sarze go minąć, chciałem rozejrzeć się po dachu. Dzięki temu zorientowałem się, w którą stronę uciekać, gdyby nas nakryli w środku.

- Skręć tu w lewo.

Wjechała na parking przylegającego do motelu parterowego sklepu z ubiorami sportowymi. Na mogącym pomieścić czterysta pojazdów parkingu stało około dwustu samochodów. Sara znalazła miejsce pośrodku placu i zaparkowała. Wytarliśmy wnętrze samochodu, by usunąć nasze odciski palców, wysiedliśmy i zrobiliśmy to samo na zewnątrz. Nie miało to w sumie wielkiego znaczenia, bo i tak zdjęli nasze odciski z furgonetki, ale przynajmniej by ich to trochę przyhamowało.

Idąc do motelu, usiłowaliśmy trochę się oczyścić, otrzepując z ubrań zaschnięte błoto i igły sosnowe. Nie wyglądało na to, by przynosiło to jakieś efekty. Parę osób na parkingu spojrzęło na nas ze zdziwieniem, ale nie było w tym nic groźnego. Amerykanie wiedzą, że nie opłaci się przypatrywać nieznanym obdartusom. Nad nami huczała autostrada, a gdzieś niedaleko zgrzytnęły hamulce samochodu dostawczego.

Usunąłem rękawiczki i folię z dokumentów, jednocześnie wydając instrukcje Sarze.

- OK, jesteśmy Brytyjczykami, chłopak z dziewczyną, jedziemy na północ z wybrzeża w rejonie Cape Fear. Złapaliśmy po drodze gumę. Próbowaliśmy naprawić koło na deszczu i teraz chcemy po prostu dojść do siebie.

- Jasne - potwierdziła po kilku sekundach wahania.

Oczyściłem w miarę możliwości rozerwany przez psa rękaw

kurtki i wytarłem o dzinsy zaschniętą krew z ręki. Oporniejsze plamy usunąłem, pocierając je zwilżoną śliną dłonią.

Wchodząc przez drzwi, przeczesaliśmy palcami włosy, żeby w ostatniej chwili doprowadzić je do porządku. Dalej wyglądaliśmy na obdartusów, ale motel wyglądał podobnie. Wykładzina przy recepcji nadawała się tylko do wymiany, a farba na ścianach też nie wyglądała zbyt świeżo. Na lewo stał grający głośno telewizor i automaty z kawą i przekąskami. Zamknęliśmy za sobą szklane drzwi.

Recepcjonistka, siedemnasto-, osiemnastoletnia ciemnoskóra dziewczyna, wyrecytowała automatyczne firmowe pozdrowienie: „Witam, jak się macie?” - nadal patrząc na coś ważniejszego.

Była ubrana w śliwkową poliestrową kamizelkę i spódnicę oraz białą bluzkę, a przypięta do jej ubrania plakietka informowała o jej imieniu - Donna. Miała rozpuszczone włosy z przedziałkiem z boku, duże okrągłe okulary i wspaniały, szeroki uśmiech, który teraz skierowała akurat do nas. Może nie należał do najszczerzych, ale przynajmniej była od pewnego czasu pierwszą osobą, która nie strzelała do nas, chociaż widzieliśmy ją z bliska.

Jej uśmiech zniknął, gdy zobaczyła nasz wygląd.

- Co się wam stało?

Odegrałem głupiego angielskiego turystę.

- Złapaliśmy rano gumę i samochód wypadł z jezdni w tym całym deszczu. Tylko popatrz na nas, to był koszmar. Chcemy się domyć i przespać.

Przestałem gadać i zrobiłem minę wyrażającą współczucie dla samego siebie, jednocześnie pokazując jej stan moich dzinsów.

- Ojej - jęknęła na znak, że też myśli, że jesteśmy w beznadziejnym stanie.

Spojrzała na komputer i wcisnęła klawisze.

- Zobaczę... - powiedziała, ale w jej głosie nie usłyszałem za wiele nadziei. - Jeszcze jest wczesnie i nie wiemy, czy jakieś pokoje już przygotowano.

Uśmiechnęła się, odczytując informację z ekranu, i już wiedziałem, że się nam udało.

- Hej, wiecie co? Mam pokój dwuosobowy, ale dla palących.

Powiedziała to w taki sposób, że wiedziałem, iż kiedy nadejdzie czas, żeby miała dziecko, to będzie gotowa podać do sądu o odszkodowanie każdego, kto zapali papierosa nawet dwa stany dalej. Podniosła wzrok, czekając, że podzielimy jej niesmak.

- Świetnie, dziękuję - powiedziałem.

Popatrzyła na nas tak, jakbyśmy w rodzaju ewolucyjnym stali jeszcze niżej od przodków ludzi.

- Nie palimy, ale w tej chwili jakikolwiek pokój nas zadowoli - dodałem, uśmiechając się.

Znowu staliśmy się normalni, więc odwzajemniła się szerokim uśmiechem.

- Jasne - powiedziała, dalej stukając w klawiatury. - Mam w tej chwili specjalną ofertę... trzydzieści dziewięć dolarów dziewięćdziesiąt dziewięć, plus podatek.

Z jej miny wynikało, że powinniśmy zacząć podskakiwać z radości. Złapałem to w lot.

- Wspaniale!

Wydobyłem portfel i podałem jej kartę kredytową. Mogła równie dobrze zażądać stu trzydziestu dziewięciu dolarów dziewięćdziesiąciu dziewięciu, plus podatek. Byłoby mi wszystko jedno.

- Dziękuję, panie Snell - powiedziała, patrząc na kartę.

Przesunęła kartę przez czytnik, który kliknął i zaszumił, kiedy zacząłem wypełniać formularz meldunkowy. Zapisałem wszelkie bzdury, jakie tylko mi przyszły do głowy, jeżeli chodzi o rejestrację samochodu. I tak nigdy tego nie sprawdzają, a gdyby już to zrobiła, tobym przeprosił, wcielając się w Brytyjczyka w stylu Hugh Granta.

- OK, macie pokój 216. Gdzie zaparkowaliście?

Pokazałem ręką na zewnątrz, gdzieś w lewą stronę. Gestykułując, zaczęła nam wyjaśniać, jak tam dojść.

- W porządku, idźcie w lewo na tyły, a potem wejdźcie na pierwszą klatkę schodową. Pokój jest po prawej stronie.

- Wielkie dzięki.

- Proszę bardzo. Będzie wam wygodnie.

Odchodząc z recepcji, objąłem Sarę jedną ręką, plotąc bzdury o tym, jaką mieliśmy noc. Skręciliśmy w lewo, by dojść do naszego niby stojącego tam samochodu, a potem obeszliliśmy motel, odszukując nasz pokój. Istniało prawdopodobieństwo, że ktoś, kto potrafi dodać dwa do dwóch i obejrzał wiadomości, może zadzwonić na policję, szczególnie jeżeli pokazali już relację na temat stacji benzynowej. Jednak dziewczyna w recepcji wyglądała tak, jakby nie wiedziała nawet, jaki dzisiaj dzień tygodnia. Zawsze dochodzi się do jakiegoś punktu, w którym trzeba uznać, że na razie zrobiło się wszystko, co było możliwe. Musieliśmy doprowadzić się do porządku, zebrać siły i ruszać dalej.

Był to typowy tani pokój motelowy, który byśmy spotkali w każdym innym miejscu na świecie. Znajdowało się w nim wielkie łóżko nakryte wyblakłą narzutą w kwieciste wzory i białe meble z politurowanej płyty paździerzowej. Zasłony w oknach były zaciągnięte, a klimatyzacja wyłączona w ramach oszczędzania prądu.

Zdjąłem z wewnętrznej gałki wywieszkę z napisem „nie przeszkadzać” i przełożyłem ją na zewnątrz, jednocześnie obmacując ścianę w poszukiwaniu kontaktu. Sara weszła do środka, a ja zamknąłem drzwi i przesunąłem zasuwkę. Potem podszedłem do urządzenia klimatyzacyjnego i nie odsłaniając zasłony, nastawiłem go na maksymalne ogrzewanie.

Sara siedziała na łóżku i ściągała buty. Przeszedłem na drugą stronę pokoju i obejrzałem uszczelnione dwuszybowe okno, które wychodziło na podest schodów. A więc jedyna droga na zewnątrz wiodła przez drzwi. Wyobraziłem sobie trasę ucieczki. Były dwie klatki schodowe, więc mogłem albo zejść na ziemię, albo dostać się na dach. Kiedy już znalazłbym się na ziemi, ruszyłbym na parking i uprowadził samochód. Jakby sytuacja się komplikowała, to ją bym zabił, a sam uciekł.

Wziąłem z nocnej szafki pilota, który był przymocowany do kawałka przewodu, żeby nie można go było podwędzić, i zacząłem przerzucać kanały, usiłując znaleźć jakieś wiadomości. Telewizor w wyblakłej, srebrnej obudowie z tworzywa musiał mieć z dziesięć lat, podobnie jak większość programów.

Sara podeszła do klimatyzatora i ściągnęła kurtkę, mrużąc: „Muszę wziąć prysznic”. Zaczęła zdejmować resztę ubrań, kładąc je sztuka po sztuce na nagrzewaczu i obciążając popielniczkami i książką telefoniczną, żeby nie pospadały. Powietrze z nadmuchu targało nimi tak, jakby wisiały podczas wichury na sznurze do bielizny.

Leżąc na łóżku, patrzyłem, jak się rozbiera. Nie mogłem opędzić się od myśli o tym, co powiedziała na temat planów tych facetów znad jeziora, i o tym, jakie mieliśmy szczęście, że uciekliśmy. Miałem nadzieję, że nie zabiła żadnego policjanta, bo przez to byśmy się znaleźli w niezłym bagnie, nawet gdyby ta historyjka o spisku była zgodna z prawdą.

Celowo pozwoliłem jej zatrzymać broń, na wypadek gdyby któryś z policjantów zginął. W ten sposób broń łączyłaby ją z tym zabójstwem, a także z zabójstwem Lance'a. Londyn musiałby wtedy zawrzeć supertransakcję z Amerykanami.

Patrzyłem, jak naga przechodzi przez pokój, kierując się ku łazience. Zawsze podchodziła do nagości ze swobodą, niemal z nonszalancją; tak samo jak to robią modelki. Miała piękne i wysportowane ciało. Patrzyłem, jak poruszają się mięśnie jej ud, kiedy szła. Zazwyczaj miała tak zdrową skórę, że aż się błyszczała, ale teraz z tymi skaleczeniami i siniakami na pewno przez jakiś czas nie mogła pokazywać nóg spod krótkiej spódniczki.

Słuchając szumu wody spływającej spod prysznica, oparłem się o płytę na końcu łóżka i przerzucałem dalej kanały z wyciszonym głosem. Do tej pory jeszcze nie znalazłem nic przydatnego, jak na przykład wiadomości, ale gdybym chciał kupić diamentowy naszyjnik i kolczyki albo przyrząd do masażu mięśni brzucha, to proszę bardzo. Podłożyłem sobie poduszkę pod głowę, a brodę oparłem na klatce piersiowej. Czułem zapach swojego ciała: zajeżdżało od niego wilgocią i błotem. Też przydałby mi się prysznic. Spojrzałem w lustro wiszące na lewo od telewizora i zobaczyłem zarośniętego stracha na wróble.

W końcu trafiłem na kanał informacyjny pokazujący ujęcia z lasu, a potem znad jeziora. Nie zadałem sobie trudu, żeby nastawić odbiornik głośniej. To musiało być to: byliśmy sławni. Na filmie widać było jeżdżące tam i z powrotem różne samochody oraz policjantów i lekarzy, którzy biegali dookoła w zarzuconych na uniformy płaszczach nieprzemakalnych. Potem jakiś policjant udzielił wywiadu. Nie miałem wcale ochoty, dowiedzieć się, co mówi. Jeżeli zginęli jacyś policjanci, to wkrótce i tak pokazaliby ich na ekranie. Nie wpłynęłoby to na moje zamiary, chociaż mogło utrudnić sprawę.

W miejsce wiadomości pojawiła się reklama. Znajdowałem się w stanie półletargu, usiłując nie zasnąć. Oczy piekły mnie teraz równie mocno jak ręka, na której ślady ukąszeń zaczynały już pokrywać się strupami. Mogłem zająć się nią później. Gdybym dostał tężca, to wkrótce bym się o tym dowiedział. Uśmiechnąłem się do siebie w lustrze na myśl, że przecież mogłem podać policję do sądu o odszkodowanie. W końcu byliśmy w Ameryce.

Zobaczyłem reklamę zabawek dla dzieci, w której dwie małe dziewczynki bawiły się lalkami. Cholera! Wychyliłem się do nocnej szafki, na której znajdował się telefon, firmowy notatnik motelu i zestaw długopisów. Wziąłem jeden z nich i wypisałem sobie na lewym przegubie dużą literę K. Obok długopisów leżało małe opakowanie tekturowych zapalek. Włożyłem je do kieszeni dżinsów razem z magazynkami.

Dalej wszystko mnie bolało. Wstałem z wysiłkiem i zdjąłem książkę telefoniczną z dżinsów Sary. Spadły na podłogę, ale nie zawracałem sobie głowy podnoszeniem ich.

Przejrzałem spis firm, szukając takich, które zajmowały się wynajmem samochodów, a potem zadzwoniłem pod bezpłatny numer i dowiedziałem się, że za opłatą czterdziestu trzech dolarów dziennie, plus podatek i ubezpieczenie, dostarczą mi samochód w ciągu półtorej godziny.

Sara wyszła spod prysznica, akurat gdy odkładałem słuchawkę. Była owinięta w wielki ręcznik, a mniejszy, nadal złożony, trzymała w rękach. Podeszła, żeby obejrzeć swoje ubrania, roztaczając zapach mydła i szamponu.

- Kto to był? - zapytała.

Rzuciła ręcznik koło telewizora i nachyliła się, by podnieść dżinsy i położyć je z powrotem na grzejniku.

- Wynająłem samochód.

- Wspaniale. Kiedy ruszamy?

Nie wiedziałem, dlaczego jest taka zadowolona. Wcale nie jechaliśmy tam, gdzie by sobie życzyła.

- My? Co, do cholery, za my? - warknąłem, wracając do mojego akcentu z południowego Londynu.

Chyba zawsze tak mówiłem; kiedy byłem wkurzony.

- To ty masz problemy, a nie ja. Jedynym „my” w tym wszystkim jest to, że mamy na głowie policję z Karoliny Północnej i FBI, i nie wiadomo kogo jeszcze. Szukają nas jak wściekli i jeśli zabiąś policjanta, to możemy wpaść w gówno po uszy. Możesz mi wierzyć na słowo, że nie będą próbowali nas aresztować, tylko od razu zastrzelą. „My” nic nie będziemy robić. To ja zrobię dwie rzeczy:

najpierw wyciągnę nas z tego bagna, a potem przetransportuję do Anglii. Koniec i kropka. Nie obchodzi mnie, co się dzieje gdzieś tam ani co ty chcesz z tym zrobić. Mam dość problemów na głowie. Pieprzę Netanyahu.

Siadła na końcu łóżka, spoglądając na mnie. Wiedziałem, że mi wstawi jakiś kit, ale nic z tego, nie miałem zamiaru pozwolić jej się podejść.

- Nick, i tak ci to powiem. To jest ważne. Potrzebuję twojej pomocy.

- Nie interesują mnie twoje opowieści - zaprotestowałem. -Nie teraz, OK?

- Słuchaj - nie poddawała się - jestem brytyjskim oficerem łącznikowym w grupie kontaktowej założonej przez CIA. Ta grupa nazywa się Centrum Antyterrorystyczne i ma siedzibę w Langley. Naszym ogólnym celem jest zakłócanie terrorystycznych...

- Powiedziałem ci, do diabła, żebyś się zamknęła...

- ...zakłócanie terrorystycznych operacji - ciągnęła nieco głośniejszym głosem. - Moja komórka koordynuje działania na terenie Ameryki, Europy i Afryki, mające na celu zlikwidowanie siatki bin Ladena.

- Bin Ladena? Co, kurwa...

Spojrzała na mnie, czekając, co powiem dalej. Milczałem, ale już wiedziała, że zaczynam się interesować.

- Tak, bin Ladena - potwierdziła, zaczerpnąwszy powietrza. - Mieliśmy wspólny cel, kiedy walczył w Afganistanie, to prawda. Ale po wycofaniu się Rosji w osiemdziesiątym dziewiątym roku i po jego powrocie do Arabii Saudyjskiej zaczęły się problemy. Z jego punktu widzenia Afganistan nie został zniszczony przez Rosjan, ale przez Afgańczyków, którzy dla pieniędzy i władzy odwrócili się plecami od swojej religii i kraju. Kiedy tylko wrócił do domu, zobaczył to samo zepsucie we wszystkich krajach arabskich, które zaakceptowały wartości zachodnie, a przede wszystkim w Arabii Saudyjskiej, kraju dwóch najświętszych miejsc: Mekki i Medyny.

Patrzyłem na nią beznamiętnie, zastanawiając się, czy mówiłaby to samo, gdyby wiedziała, że zależy od tego jej życie.

- Cała sytuacja pogorszyła się przez wojnę w Zatoce. Dla niego obecność setek tysięcy amerykańskich i innych zagranicznych żołnierzy na saudyjskiej ziemi było bezczeszczeniem islamu, powrotem do barbarzyńskich krzyżowców, którzy kalali święte miejsca islamu. Zaprzysiągł walczyć z ich obecnością w Arabii Saudyjskiej i z przywódcami saudyjskimi, którzy ich sprowadzili do kraju. W jego odczuciu kraj stał się amerykańską kolonią. Chciał uderzyć w Zachód, prawdę mówiąc w każdego, kto nie był muzułmaninem, a mieszkał w Arabii Saudyjskiej.

Myśl o tym, że były mudżahedin któregoś dnia przyjedzie do Stanów Zjednoczonych i będzie prowadził nielegalne operacje, nikomu wtedy nawet nie przyszła do głowy - powiedziała, pozwalając sobie na przelotny uśmiech. - CIA ma na to odpowiednie określenie: Blowback, czyli trujący opad niesiony przez polityczne wiatry i zwiwany z odległego pola walki. -Uśmiech już całkiem zniknął jej z ust, kiedy dodała: - Bin Laden stał się w ciągu ostatnich kilku lat międzynarodowym terrorystą, który stanowi poważne zagrożenie dla interesów Zachodu. Ma niewiarygodnie skuteczną infrastrukturę i oczywiście mnóstwo pieniędzy, żeby ją utrzymywać. Ta grupa znad jeziora została założona właśnie przez niego. Dlatego tam byłem.

- Słuchaj - powiedziałem, wruszając ramionami - zadzwoń do Waszyngtonu, Londynu czy gdzie tam chcesz. Niech się nad tym głowią. Masz tu telefon, dzwoń do nich.

Zerknęła na nocną szafkę, ale nie ruszyła się w jej kierunku, tylko dalej wpatrywała mi się w oczy. Nie byłem zbyt pewien, czy rzeczywiście słucha, czy po prostu czeka, aż powiem coś więcej.

Wstałem i podszedłem do toaletki na zewnątrz łazienki. Znajdowała się tam umywalka, lustro, gniazdko do podłączenia maszynki od golenia, mydło i ręczniki. Najwyższy czas, żebym sobie przemył rękę. Jeżeli mówiła prawdę, to powinna podnieść słuchawkę telefonu.

Zdjąłem kurtkę, podciągnąłem rękaw koszuli i przyjrzałem się ranom: dwóm rzędom ładnych czystych ran kłutych, z których byłby dumny każdy owczarek niemiecki. Gdybym pozbierał trochę więcej blizn, to zacząłbym wyglądać jak lalka Cabbage Patch, do której porównywała mnie Kelly. Odkręciłem kran, a Sara zamilkła na kilka sekund, kiedy zmywałem sobie z ręki zaschniętą krew i błoto. Rany od zębów były głębokie, ale mniej poszarpane, niż się spodziewałem.

- Nick, nie przychodzi ci do głowy, że już o tym pomyślałam?

Rzuciłem okiem w lustro: dalej siedziała na łóżku.

- Nie biorę pod uwagę kontaktowania się z kimkolwiek, bo to nie jest żadne rozwiązanie.

Przemyślałem starannie ranę wodą z mydłem i odczekałem, kiedy pierwsze okropne ukłucia osłabną, starając się jednocześnie wykombinować, czy to, co powiedziała, stanowi chociaż trochę więcej niż jej standardowy występ na cocktail party. Ogrzewacz pracował pełną parą i oczy zaczynały mi się kleić.

- Jak myślisz, Nick? W jaki sposób terroryści zamierzali zbliżyć się do celu, tutaj w USA? Może chcieli po prostu podejść do niego i poklepać go po ramieniu?

Wzruszyłem ramionami. I tak wiedziałem, że mi o tym powie. Reszta informacji spadła na mnie jak lawina.

- Nick, bin Laden dysponuje wysoko umieszczoną wtyczką. Myślimy, że może to być nawet ktoś w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego. Pomyśl, co to znaczy: to samo ugrupowanie próbowało wysadzić w powietrze World Trade Center w Nowym Jorku i Khobar Towers w Arabii Saudyjskiej, pamiętasz? Zginęło dziewiętnastu amerykańskich żołnierzy. Również ta grupa przeprowadziła atak bombowy w Arabii Saudyjskiej w dziewięćdziesiątym piątym roku. Następnym pięciu zabitych Amerykanów.

Oni mają kogoś w administracji rządowej. Dlatego właśnie nie mogę po prostu złapać za telefon i poprosić o pomoc: wtyczka dowie się o tym, umilknie na kilka lat i nigdy nie zostanie zdemaskowana. Ten ktoś jest kluczem do powstrzymania bin Ladena.

Dojrzałem, jak oczy płoną jej z emocji.

- Nick, ten ich wtyk ma dostęp do Intelinku. Wynika z tego, że dowiedziałby się o wszelkich kontaktach, jakie nawiązałam. Pomyśl tylko, jakie informacje są przekazywane bin Ladenowi i każdemu, komu tylko on postanowi je sprzedać lub przekazać. Nie myślisz, że bardzo bym chciała położyć temu kres?

Cóż, jeśli wszystko było prawdą, to kwestia rozmowy telefonicznej była załatwiona. Intelink jest wysoce utajnioną siecią, przez którą wymieniają informacje wszystkie amerykańskie służby bezpieczeństwa i niektóre agencje z krajów sprzymierzonych, coś w rodzaju ich własnego Internetu. Wszystkie agencje mają też w jej obrębie własne sieci wewnętrzne, odseparowane blokadami od głównego systemu. Żeby dostać się niemal do stu adresów, trzeba być dopuszczonym do tajemnic największej wagi. Jeżeli szpieg ma dostęp do Intelinku, to jego kumple mają z tego dużo uciechy.

Myślałem, rozmyślając w milczeniu. Jeżeli mówiła prawdę i Netanyahu zostałby zabity, a wtyczka rzeczywiście istniała, to byłoby to problemem, który jednak nie wpłynąłby za bardzo na moje życie. Prawdę mówiąc, czy wywarłoby to wielki wpływ na życie kogokolwiek?

Cały czas w lustrze widziałem jej odbicie.

- Hej - odezwałem się - jak się zabije jednego izraelskiego premiera, to zaraz wyskakuje następny. No więc o co chodzi?

Wyglądało na to, że coś w moich słowach ją rozbawiło, bo zmarszczyła nos i szeroko się uśmiechnęła.

- Oni nie planują zabić tylko Netanyahu, Nick. Głównym celem jest Arafat, bin Laden nienawidzi go. Nienawidzi nawet bardziej niż Netanyahu za powstrzymywanie Hamasu i innych islamskich fundamentalistów i za popieranie procesu pokojowego.

Opuściłem wzrok na moją rękę, usiłując ukryć uśmiech.

- Nasz poczciwy Osama nie bardzo ma ochotę nawiązywać nowe przyjaźnie, prawda?

Mój dowcip nie znalazł jej uznania. Dalej mówiła tak, jakby była drugą Elizabeth, udzielającą mi instrukcji.

- Dla bin Ladena ważne jest, jaką zamach będzie miał wymowę dla świata. Kiedy w CNN zapytali go o plany, powiedział: „Zobaczycie je i usłyszycie o nich w mediach, jeśli Bóg nam dopomoże”. Potem Islamski Dżihad wydał oświadczenie, że wkrótce przekaze Amerykanom wiadomość, „którą - jak to wyrazili - mamy nadzieję, że uważnie przeczytają, ponieważ napiszemy ją z Bożą pomocą w zrozumiałym dla nich języku”.

Bin Laden chce pokazać, że obywatele USA i ich sojusznicy nigdzie nie mogą czuć się bezpieczni. To jest logiczna kontynuacja zamachów na placówki amerykańskie za granicą. Jedyne miejsce, które powinno być bezpieczne, czyli terytorium Stanów Zjednoczonych, nie jest takie. Pomyśl o tym,

Nick. Dwaj światowi przywódcy zostają zabici, kiedy są gośćmi najpotężniejszego kraju na świecie. Znakomity pokaz tego, że bojownik Allacha może uderzyć, gdzie chce i kiedy chce. Pomyśl tylko, jak to by dodało energii fundamentalistom. Jakbyś to powiedział, byłoby tu niezłe bagno. A wtyczka jest tutaj, Nick.

Podniosła się i ruszyła w moim kierunku. Dalej koncentrowałem całą uwagę na oczyszczaniu ręki.

- A co z tym facetem, po którego nas wysłali do Syrii? Jak to się ma do całej historii? - zapytałem, starając się ukryć zainteresowanie. - Zmieniłaś dane. W Londynie wszystko mi powiedzieli.

Stała tuż przy mnie.

- Ach, znowu ten Londyn. Zabiłam go, bo musiałam, Nick. Znał prawdziwe dane. Gdybyśmy go przywieźli do Anglii, to błędne informacje, jakie im podałam, nie zostałyby przyjęte.

- Więc po co w ogóle je zmieniałaś?

- Aby zyskać potwierdzenie, że wtyczka naprawdę istnieje - odparła z westchnieniem - i na jakim szczelbu Rady Bezpieczeństwa Narodowego się znajduje. To były same początki, Nick, nic jeszcze nie zostało potwierdzone. A sam pomysł, że wtyczka istnieje, był czystą teorią.

Najwyraźniej uznała, że musi powiedzieć jeszcze więcej.

- Słuchaj, musiałam zrobić to w ten sposób, bo kiedy ten szpieg, jeżeli w ogóle istniał, zobaczyłby dane, to poinformowałby bin Ladena, że wszystko jest OK i że nic nie wyszło na jaw. W ten sposób nie tylko potwierdziłoby się, że wtyczka istnieje, ale też może dałoby się do niej dotrzeć. Ci, co ciebie wysłali, nie wiedzą wszystkiego, Nick.

Zamilkła znowu. Wiedziałem, że czeka na moje kolejne pytania. Wysuszyłem delikatnie rękę ręcznikiem, odwróciłem się do niej i oparłem o umywalkę. Stała pół metra ode mnie.

- Należało nam powiedzieć, jak już wylądowaliśmy, że nastąpiła zmiana planu. Spieprzyłaś robotę i przez to zginął Glen.

Spojrzała na mnie, nie rozumiejąc, o co mi chodzi.

- Reg 3, pamiętasz?

Na jej twarzy nie dostrzegłem żadnej reakcji.

- Tak, oczywiście. Przykro mi z tego powodu.

Wiedziałem, że tak naprawdę to śmierć Glena jej wisi. Mówiąc szczerze, mnie też to już za bardzo nie ruszało. Sprawa wydarzyła się dawno temu. Nawet w pułku pewnie już o tym zapomnieli, pamiętali co najwyżej członkowie rodziny i kilku bliskich kumpli spotykających się w Dzień Weterana, a jego żona pewnie wyszła za mąż za innego faceta z pułku i ułożyła sobie życie na nowo. Wróciłem do teraźniejszości.

- Więc dlaczego jesteś tym taka przejęta, skoro to była część zadania?

Spojrzała na mnie z miną zatroskanego dziecka.

- Na tym właśnie polega problem - odparła i po chwili wahania dodała: - Oni o tym nie wiedzieli. Pomyślałam, że jak nikt nie będzie wtajemniczony, to nie będzie przecieków.

Na jej twarzy pojawił się wyraz smutku, normalny u człowieka, który coś spieprzył.

- Prawdę mówiąc, to było popieprzone od początku do końca. Niedługo potem FBI potwierdziło, że wtyczka naprawdę istnieje. Nazwali go Jusuf, ale nie wiedzieli, jakie miejsce zajmuje w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego. Postanowiłam nie wtajemniczać ich w to, co robię. Prawdę mówiąc, nie wiedzieli nawet, co robię nad jeziorem.

Teraz zaczynało to brzmieć przekonująco. Jakie to typowe dla niej: uwielbiała działać samodzielnie, mając nadzieję zarobić kolejne punkty sprawnościowe dla skautów i ułatwić sobie dostanie się na kolejny szczebel kariery zawodowej.

- Więc teraz chcesz, żebym pomógł ci naprawić to, co spieprzyłaś? - rzuciłem, nie potrafiąc ukryć uśmiechu.

W gruncie rzeczy podobała mi się ta sytuacja.

- Nie mogłam nikomu powiedzieć, Nick. Gdybym powiedziała, to cała sprawa mogłaby się wydać. Nie chciałam, nie mogłam ryzykować.

Jednak ryzykowałam, zdradzając wszystko mnie. To również sprawiało mi przyjemność, wskutek czego cała sprawa robiła się jeszcze trudniejsza.

Wróciła do łóżka, usiadła na nim i wyłączyła pilotem telewizor. Podciągnęła kolana pod brodę, obejmując nogi rękoma i opuściła wzrok na dywan, jakby liczyła, ile kosmyków mieści się na jednym centymetrze kwadratowym.

- Problem polega na tym, Nick, że nadal nie znam tożsamości wtyczki, nikt jej nie zna. Mniejsza o to, jak próbowałam do tego dojść, ale przez ostatnie cztery lata miałam tylko jeden cel: znaleźć go i zniszczyć całą siatkę.

Skończyła oglądanie dywanu i znowu spojrzała na mnie. Dalej opatrywałem sobie rękę.

- Ci dwaj, którzy mieli dzisiaj przyjechać nad jezioro, to jedyni ludzie na terenie USA, którzy znają tożsamość wtyczki. Spotkałam ich tylko raz. Nie znam ich nazwisk, namiarów na nich, nic. Zamierzałam pracować z nimi nad przygotowaniem zamachu, a potem doprowadzić do ich zatrzymania, chociaż sama nie wiedziałam jak. Jednak kiedy zgarnęlibyśmy tych dwóch, to mielibyśmy też wtyczkę. To się nie skończy na Netanyahu czy na Arafacie, chyba że zneutralizujemy tego, który stoi na samym szczycie siatki.

Odsunęła z twarzy już wysychające włosy. Oddychałem powoli i głęboko, usiłując wymyślić pytania, które pozwoliłyby mi poczuć, że prawidłowo rozumię.

- Nick, ty jesteś jedynym... - Nie dokończyła, gdyż rozległ się dzwonek telefonu.

Zeskoczyła z łóżka i zaczęła zarzucać na siebie ubrania, podnosząc jednocześnie broń i sprawdzając komorę nabożową. Z podciągniętymi do połowy nóg dżinsami odsunęła nieco zasłonę, by wyrzeć na zewnątrz. Pokręciła głową. Podniosłem słuchawkę, a ona dokończyła się ubierać.

Zamieniłem z recepcjonistką, bo to ona dzwoniła, kilka słów i odłożyłem słuchawkę.

- Jest samochód. Weź to wszystko i poczekaj w łazience.

Pozbierała resztę swoich ubrań i ręczników, wzięła torebkę i zniknęła w łazience. Włożyłem z powrotem kurtkę, żeby ukryć ranę i brak rękawów u koszuli. Potem zmieniłem kanał na taki, w którym nie nadawali wiadomości, i nastawiłem nieco głośniej odbiornik, by nie było słychać Sary.

Po chwili rozległo się pukanie do drzwi. Zbliżyłem się do drzwi, wdychając wypełniającą pokój wilgoć i przyłożyłem oko do judasza. Za drzwiami stał młody czarnoskóry facet w niebieskiej koszulce. Pod lewą pachą trzymał podkładkę z przypiętymi formularzami, a w ręce czytnik do karty kredytowej.

Usiedliśmy na łóżku, żeby wypełnić formularze. Kiedy pokazuję za granicą prawo jazdy, to zawsze jest to trochę humorystyczne, gdyż większość ludzi poza Wielką Brytanią nie ma pojęcia, co mają przed oczami: wilgotny skrawek różowego papieru, który podaje skąpe informacje i nie ma nawet zdjęcia. Facet zaczął obracać je w rękę, szukając potrzebnych mu szczegółów i usiłując stworzyć pozory, że wie, o co chodzi. Nie mogłem patrzeć, jak się męczy.

- Numer jest tutaj - podpowiedziałem.

Uśmiechnął się do mnie z ulgą.

Kiedy wstał, zobaczyłem, że zaintrygował go zapach. Roześmiałem się.

- Jechaliśmy samochodem kolegi na urlop. Zepsuł nam się wczoraj w nocy w szczerym polu.

Skinął głową, w gruncie rzeczy mało go to obchodziło. Wyszedł i od razu z łazienki wróciła Sara. Zdjęła znowu dżinsy, by je wysuszyć.

Jeżeli mówiła prawdę, to może zabrałbym ją z powrotem do Londynu. Problem polegał na tym, że chociaż nie bardzo wiedziałem, na czym stoję, jeżeli chodzi o Sarę, to mogłem odgadnąć reakcje Lynna i Elizabeth. Może sobie pili herbatkę o siódmej i jedli kolację o ósmej, ale jeżelibym nie wykonał roboty, to by mi się nieźle dostało, może nawet by mi załatwili osobisty T104. Musiałem wydobyć z

Sary więcej informacji. To, że zabiła Amerykanina, dawało mi dość jasny pogląd na to, po czyjej jest stronie, ale potrzebowałem konkretnych dowodów. Siadłem na łóżku, kiedy ona jeszcze kończyła się rozbierać i z powrotem układać ubrania na grzejniku.

- Kiedy mają zamiar zaatakować?

Podeszła i usiadła przy mnie. Spojrzała na mnie poruszona, ale zaraz wyraz jej twarzy się zmienił.

- Nadal mi nie wierzysz, co, ty sukinsynu? - Złapała mnie za przedramię. - Musisz mi pomóc. Tylko ja mogę zidentyfikować tych dwóch, którzy zostali. Ja ich znam, Nick. Nie spoczna, dopóki nie dokończą roboty.

Wbiła we mnie wzrok. Nie odzywałem się, bo wiedziałem, że to nie koniec.

- Po co tu jesteśmy, Nick? Jak będziesz mógł patrzeć na siebie w lustrze, jeżeli nie pomożesz temu zapobiec?

Doktor Spock byłby z niej dumny. Przemawianie do moich uczuć za bardzo na mnie nie działało, ale jej relacja rzeczywiście brzmiała logicznie. Jednak już raz mnie przerobiła, a poza tym nie zależało mi specjalnie na tym, bym mógł patrzeć na siebie w lustrze.

Wstałem i podeszedłem do drzwi.

- Idę się przejechać. Może uda mi się kupić jakieś ubrania. Jaki masz rozmiar?

- Amerykańska ósemka, buty numer sześć. Może pojedę z tobą?

- Teraz szukają dwojga ludzi. Może nawet mają nagranie wideo za stacji benzynowej. Siedź tutaj, niedługo wrócę.

Zamknąłem drzwi za sobą, ale nie odszedłem od razu. Wyrwałem z opakowania dwie zapalki i wcisnąłem je w szczelinę między drzwiami i futryną, jedną ćwierć metra nad zamkiem i jedną ćwierć metra pod nim. Idąc po schodach w dół, usłyszałem odgłos zamykanego od środka zamka.

Dotarłem w nieprzerwanie padającej mżawce do samochodu, czerwonego satuma, i przekręciłem kluczyk. Nagrzewnica zadmuchała na najwyższych obrotach, radio zaryczało głośno, a wycieraczkę zaczęły miotać się jak szalone z boku na bok. Pośpieszne „dzyń, dzyń” przypomniało mi, żebym zapiął pas. Zapiąłem go, wciągając w płuca zapach nowego samochodu, wrzuciłem bieg i ruszyłem w kierunku drogi.

Na wypadek gdyby mnie obserwowała, odjechałem poza zasięg jej wzroku, a potem zawróciłem z powrotem na tyły motelu, przejeżdżając górą nad główną nitką trasy, i zaparkowałem na parkingu Arby: baru z gorącymi sandwiczami. Patrząc z tego miejsca poprzez zwisające nad główną jezdnią przewody energetyczne, telefoniczne i przewody ze znakami stop, miałem oko na drzwi motelu.

Zobaczyłbym nawet, dokąd idzie, bo miałem też na widoku schody i parter budynku. Gdyby zrobiła coś, co wskazywałoby, że kłamie, przynajmniej bym o tym wiedział i mógłbym zapanować nad sytuacją. W dodatku gdyby pokazała się policja, tobym ich zobaczył. Nie wiedziałem, co Sara robi, gdyby do tego doszło, i nie miałem zamiaru czekać, by to zobaczyć. Gdyby zachowała się w swoim normalnym stylu, to pewnie zabiłaby kilku z nich i, jak miałem nadzieję, sama by potem zginęła. Ryzykowałem, nie zabierając jej ze sobą, ale należało zaryzykować. Poza tym było coś, co musiałem załatwić sam.

Nadal obserwując drzwi motelu, włączyłem zasilanie telefonu, wystukałem kod PIN i wybrałem trzy cyfry.

- Tak, słucham? - rozległ się głos telefonistki.

- Proszę Fayetteville w Karolinie Północnej, Biuro Nieruchomości Century Twenty-one przy Skibo Road.

Century Twenty-one była rodzinną agencją nieruchomości zajmującą się wynajmem mieszkań. Odwiedziłem ich raz podczas sześciu tygodni służby w pułku, w Fayetteville. Spędziliśmy z paroma kolegami pierwszy tydzień w Moonhall, wojskowym hotelu na terenie bazy, który był całkiem w porządku, ale mając nieźle kieszonkowe, postanowiliśmy skorzystać z mieszkania. Pamiętałem nazwę agencji tylko dlatego, że pierwsza sylaba w nazwie ulicy była wymawiana jako „skai” a nie „ski” i zawsze mi się to myliło.

Nie wyłączyłem silnika, bo okno by zaparowało i straciłbym z pola widzenia cel obserwacji. Nacisnąłem przycisk wycieraczek, żeby przetrzeć szybę. Telefonistka podała mi numer i wybrałem go. Od razu w słuchawce usłyszałem żeński głos mówiący z przyspieszoną prędkością.

- Century Twenty-one, Mary Kirschbaum i Jim Hoeland, Spółka Zarządzania Nieruchomościami. Czym mogę służyć?

Przestawiłem się na mój fatalny amerykański.

- Cześć, szukam mieszkania do wynajęcia, może z trzema sypialniami.

Im większe mieszkanie, tym większa szansa, że ma kuchnię z urządzeniami, których potrzebowałem. Usłyszałem pospieszne klekotanie klawiatury i w ułamku sekundy dobiegła mnie odpowiedź.

- Mam tylko mieszkania z jedną lub dwiema sypialniami. Chce pan mieszkanie umeblowane czy nie umeblowane?

Wyraźnie dało się odczuć, że to nie jej pierwszy dzień na tym stanowisku.

- Odpowiadałoby mi z dwiema sypialniami, umeblowane.

- OK, na jak długo potrzebuje pan mieszkania? Muszę mieć dzień wyprzedzenia na wynajem tygodniowy i tydzień wyprzedzenia na wynajem miesięczny.

Najwyraźniej uznała, że w przypadku kogoś takiego jak ja, który widocznie nie ma pojęcia, czego chce, lepiej będzie wyjaśnić wszystko od razu, niż potem tracić czas.

- Na dwa tygodnie, ale czy mógłbym wziąć je dzisiaj?

Zamilkła na moment. Spieprzyłem jej procedurę, ale zaraz doszła do siebie z klasą.

- W tej chwili mam mieszkanie z dwiema sypialniami do wynajęcia za sto siedemdziesiąt pięć tygodniowo lub pięćset pięćdziesiąt miesięcznie plus opłaty za prąd i podatek. Jeżeli zdecyduje się pan pozostać dłużej, to stawka miesięczna zacznie się od drugiego miesiąca.

Kiedy tylko usłyszałem pierwsze dziesięć słów, już nie musiałem słuchać reszty.

- Świetnie. A jaka jest kuchnia? Ma zamrażarkę?

Nie zdziwiłbym się, jakby mnie zapytała, czy akurat przyjechałem z Marsa.

- Tak, wszystkie mieszkania mają w pełni wyposażoną kuchnię: zamrażarka, zmywarka do naczyń...

Przerwałem jej, zanim wyrecytowała całą listę do końca.

- I na pewno mogę je wziąć dzisiaj?

Znowu zamilkła na chwilę.

- Oczywiście - odparła i znowu dobiegł mnie szaleńczy klekot klawiatury - musi pan być u nas w biurze dzisiaj przed piątą trzydzieści, żebyśmy mogła pana zarejestrować. Trzeba wpłacić dwieście dolarów zaliczki gotówką plus opłatę za tygodniowy wynajem i podatek z góry, wyłącznie gotówką albo kartą kredytową. Mogę prosić o pana nazwisko?

Klawiatura mogła odetchnąć przez chwilę, kiedy spowolniłem całą procedurę, mówiąc z normalną prędkością.

- Snell. Nick Snell.

Nie skończyłem jeszcze mówić, kiedy moje nazwisko już się znalazło na twardym dysku.

- Jestem Velvet, referentka do spraw wynajmu. Spotkajmy się u mnie przed piątą trzydzieści.

Odłożyłem telefon, czując zawroty głowy. Znowu musiałem włączyć wycieraczki, żeby widzieć drzwi motelu. Spojrzałem na częściowo zmyte K na nadgarstku, a potem na zegarek. Już nie było tak wcześnie. Wybrałem kolejny numer.

- Halo? Sekretariat szkoły podstawowej - rozległo się w słuchawce.

- Przepraszam, że dzwonię poza wyznaczonymi godzinami, ale czy byłoby możliwe porozmawiać z Kelly? Jestem w pracy i...

Nie zdążyłem jeszcze skończyć, gdy odpowiedział mi bardzo wyrafinowany głos, wzięty wprost z czarno-białego filmu z lat pięćdziesiątych.

- Oczywiście, panie Stone. Chwileczkę.

Ze słuchawki rozległa się elektroniczna wersja piosenki Greensleeves. Myślałem, że muzyczna policja zakazała takich praktyk wiele lat temu. Wiedziałem, że to nie jest „oczywiste”. Sekretarka musiała gdzieś pójść, wyciągnąć ją z lekcji czy czegoś tam, co akurat robi się w takich szkołach o tej porze. On znowu dzwoni: na zły numer, w niewłaściwy dzień i zawsze z usprawiedliwieniami, ale przecież to ja płaciłem rachunki i w dodatku płaciłem je na czas. Musiało to ją wkurzać. Postanowiłem dowiedzieć się, kim jest ta kobieta, i zobaczyć, jak wygląda, kiedy następnym razem złożę im wizytę. Teraz wyobrażałem sobie jakąś krzyżówkę pomiędzy Joyce Grenfell i miss Jean Brodie.

- Może pan zadzwonić jeszcze raz za kwadrans?

- Oczywiście.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego. Była dzisiaj taka podekscytowana, ponieważ śpiewali jej na apelu spóźnione Happy Birthday. Czuje się dzisiaj bardzo wyróżnioną młodą damą.

Wyłączyłem zasilanie, i tak miałem czekać piętnaście minut. Obserwowałem dalej motel, słuchając radia i czując zadowolenie z tego, że zdobyłem się na zadzwonienie. To będzie dla niej niespodzianka. Z rozmarzenia wyrwał mnie fragment wiadomości radiowych.

- Tragiczna strzelanina zaledwie dwie minuty drogi od odpoczywających na urlopie rodzin. Podamy więcej informacji z miejsca wydarzeń po następujących zapowiedziach...

Wysłuchałem najpierw ważnej zapowiedzi na temat organizowanej w tym tygodniu wyprzedaży sportowych ubiorów w sieci Searsa, a potem bardzo poważny głos usiłował przekazać informacyjną siećkę serwisu.

W domu nad jeziorem znaleziono zwłoki kilku mężczyzn. Jak się przypuszcza, dwie ofiary pochodziły z Bliskiego Wschodu. Policja nie podaje jeszcze dalszych szczegółów. Spiker zniżył głos o oktawę, żeby brzmieć jeszcze poważniej - nie potwierdzone relacje sugerują, że zabić mogli być terrorystami.

Przynajmniej nie było wzmianki o zabitych policjantach, co oznaczało, że żadni wkurzeni gliniarze nie będą polowali na Bonnie i Clyde'a, którzy zamordowali ich najlepszych kumpli. Siedziałem, słuchając reszty wiadomości i wyraźnie odczuwając irytującą wilgoć w moich dżinsach.

Było już gdzieś siedemnaście po dwunastej. Włączyłem znowu telefon i wybrałem numer w Wielkiej Brytanii, przesuwając oczami od klawiatury do drzwi motelu. Usłyszawszy sygnał, wyłączyłem radio.

Kiedy przebywała w szkole, nasze rozmowy były zazwyczaj dość sztywne, ponieważ rozmawiała z sekretariatu, gdzie słyszeli ją inni ludzie, którzy, podobnie jak dziadkowie, nie rozumieli, jak można powierzyć opiekę nad dzieckiem komuś o tak nieuregulowanym trybie życia.

- Halo? - usłyszałem jej głos.

- Cześć, jak się masz?

Zawsze starałem się mówić wesoło, by ją odprężyć.

- Świetnie, gdzie jesteś?

W tle dobiegły mnie odgłosy dzwoniących telefonów i głos zrzędzącej panny Grenfell-Brodie.

- W Londynie, dalej pracuję. Jak tam w szkole?

- W porządku.

- A babcia i dziadek? Dobrze się u nich bawiłaś?

- Wszystko było OK - odparła i nagle zmieniła ton.-Wiesz, Nick, to naprawdę fajnie, że dzwonisz!

Ja również byłem zadowolony, słysząc jej głos.

- Widzisz, obiecałem, że zadzwonię, i zadzwoniłem, prawda? Widzisz? Obietnica normalnego człowieka. Zatkąło cię, co?

- Tak, i wiesz co? - zaczęła się rozkręcać. - Cała szkoła śpiewała mi dzisiaj na apelu Happy Birthday. No wiesz, jeszcze dla Louise i Catherine. Też miały urodziny na wakacjach. Zatkło cię, co?

Wyobraziłem sobie, jak panna Grenfell-Brodie posyła Kelly krytyczne spojrzenie.

- Nie mówi się „cc”, pamiętasz? Czulaś się skrępowana?

- Nie! Klasa kupiła mi prezent. Książkę na temat różnych dziwów natury; naprawdę fajna.

- Ojej! - westchnąłem, usiłując wykrzesać z siebie trochę entuzjazmu. - I co robiłaś dzisiaj?

- Hm, przeważnie chyba pracę z geografii.

- Fajnie. Bardzo to lubiłem w szkole - powiedziałem, patrząc w niebo, by zobaczyć, czy jakiś piorun nie zmierza w moim kierunku.

- Cały dzień co chwilę pada - ciągnęła. - W Londynie też pada?

- Leje. Cały przemokłem, bo lało jak z cebra. Albo jeszcze gorzej.

Roześmialiśmy się oboje.

- Rozmawiałeś już z Joshem? - zapytała. - Wrócili do domu?

- Nie, wracają dopiero jutro.

- Och! Musimy wysłać im kartkę i podziękować, że przyjechali nas odwiedzić.

Przyszło mi do głowy, że to ja powinienem wysuwać pomysły typowe dla dorosłych, jak to robią rodzice.

- W porządku. Możesz się tym zająć? Byłoby naprawdę fajnie zrobić im niespodziankę. Napisz im o paru dziwach natury, jak już się do tego zabierzesz.

- Dobrze, w czasie pisania listów.

- Świetnie, bardzo się ucieszą.

W jej szkole „pisanie listów” zajmowało jedną godzinę w każdą sobotę po lekcjach, kiedy te dzieci, które mieszkaly w internacie, musiały pisać do rodziców. Albo jak w przypadku Kelly do opiekuna i dziadków.

Jakiś samochód dostawczy zaparkował pomiędzy mną i motelem. Kelly nadal trajkotała, a ja przesunąłem się na siedzeniu, żeby mieć nadal cel na oku, jednocześnie usiłowałem poprawić wilgotne dżinsy.

- Szkoda, że nie mogliśmy z nimi zostać, Nick. Pojedziemy jeszcze raz na ten statek?

Zauważyłem, że nadal czuję się winny. Mogła mnie w tej chwili poprosić o cokolwiek, a ja bym się zgodził. Pomiedzy mną a motelem nadal przejeżdżały z rykiem silników samochodu, wyrzucając w powietrze chmury wody.

- Czy Josh i cała reszta będą mogli przyjechać?

- Oczywiście. Jak tylko wybierzemy się na następne dłuższe wakacje. Pamiętaj, żeby zaprosić Josha, jak będziesz pisała, dobrze?

Nawet mówiąc te słowa, wiedziałem, że do tego nie dojdzie. Ze względu na koszty szanse na to, żeby Josh razem z dziećmi mógł znowu przyjechać do Wielkiej Brytanii, były znikome.

- Muszę kończyć - powiedziałem. - Masz dzisiaj naprawdę wesoły wieczór urodzinowy.

- Tak, zadzwonisz niedługo do mnie?

- Mam nadzieję, że tak. Nie będę mógł w tym tygodniu, ale na pewno zadzwonię po weekendzie. Obiecuję. O.N.C. Spotkasz się z babcią i dziadkiem?

- Tak. W sobotę nie mamy zajęć teatralnych po lekcjach i pisaniu listów, więc babcia powiedziała, że mogą ich odwiedzić.

Ucieszyło mnie to, bo gdyby nie zabierali jej czasem na weekendy, to nie mogłaby w ogóle opuszczać terenu szkoły.

- Życzę ci miłego dnia.

- Będzie miły. Kocham cię.

Zawsze czułem się dziwnie, kiedy to mówiła. Lubiłem to, ale sam nie potrafiłem tego powiedzieć, chyba że ona zaczęła. Gdybym wyrwał się pierwszy, to czułbym się tak, jakbym był nieproszonym gościem.

- Też cię kocham. Widzisz, to kolejny dziw natury. No dobrze, wracaj do lekcji. Niedługo znowu porozmawiamy. W porządku?

Roześmiała się i w słuchawce zapadła cisza. Domyśliłem się, że wiedziała, że to ona musi wykonać pierwszy ruch.

Cieszyła się, że zadzwoniłem, a ja też byłem zadowolony, że pamiętałem, aby zadzwonić. Co więcej, teraz nie robiłem z tego problemu, bo wiedziałem, że Firma o niej wie. Nie musiałem wychodzić z samochodu i korzystać z ulicznego automatu. Usunąłem obydwa numery z menu i wyłączyłem telefon.

Dostawczy samochód odjechał, więc już nie musiałem manewrować jak cyrkowiec, żeby widzieć cel. Posiedziałem chwilę, patrząc po prostu na drzwi motelu i przejeżdżające przed nim pojazdy. Czułem się bardzo zadowolony z siebie.

Przestawiłem się z powrotem na myślenie o pracy, wyjąłem z portfela pięć dolarów i poszedłem do baru, żeby kupić colę. Starłem się przy tym nie spuszczać wzroku z celu i obserwować go z wnętrza baru przez okno. Wyszedłem na dwór z dużą porcją coli z lodem i poszedłem do czterech automatów telefonicznych ustawionych przy sąsiednim Burger Kingu.

Wziąłem do ręki słuchawkę i cofnąłem się na całą długość przewodu, by nadal widzieć motel. Na ulicy panował niemal ogłuszający hałas. Wrzuciłem monetę, wybrałem numer informacji telefonicznej, a potem zatkałem jedno ucho palcem i naciągnąłem maksymalnie przewód, żeby nie tracić celu z pola widzenia.

- Waszyngton D.C. Ambasada Brytyjska, Massachusetts Avenue, proszę - krzyknąłem do słuchawki.

Musiałem to powtórzyć z powodu hałasu i w dodatku dlatego, że telefonistka nie rozumiała mojego „australijskiego” akcentu. Wybrałem kolejny numer i w końcu dodzwoniłem się do właściwej osoby.

- Michael, mówi Nick. Potrzebuję pomocy, dlatego postanowiłem skorzystać z twojej oferty.

Przez chwilę nie odpowiadał, chyba zaskoczony moją prośbą.

- No cóż, to zależy od tego, którą dokładnie ofertę masz na myśli.

Wyobraziłem sobie uśmiech na jego twarzy.

- Chodzi o pewne pytania wymagające odpowiedzi, nic, co mogłoby wpakować cię w kłopoty - wrzasnąłem do słuchawki, żeby przekrzyczeć hałas ulicy.

- Dobrze, bo nie chciałem być niegrzecznym chłopczykiem.

Byłem pewien, żeby nie chciał.

- Nie, stary, bez problemów. Masz coś do pisania?

- Oookeyy - odparł, przeciągając głoski i szukając jakiegoś pisaka.

- Potrzebuję wszystkiego, co tylko możesz znaleźć na temat pseudonimu „Jusuf”. Wszystko, co ci się uda zdobyć.

Chyba zaskoczyło go to, że mówię przez telefon w tak bezpośredni sposób.

- Nick, to chyba ty jesteś tym niegrzecznym chłopcem! A podobno jesteś od spraw bezpieczeństwa. - Zachichotał jak dzieciak.

- Wiem, stary, ale to jest ważne i nie mam czasu na pieprzenie się. Po drugie muszę wiedzieć, nad czym dokładnie pracowała Sara przez te ostatnie dwa lata w Stanach i co robiła przez dwa poprzednie lata? Rozumiem, że nie wiesz tego teraz, ale zdaję sobie sprawę, że będziesz potrafił się dowiedzieć.

- Och Nick, ty stary podlizuchu. - Roześmiał się, chyba notując. - Czy to przypadkiem nie ty masz być jednym z wtajemniczonych?

- No - odparłem, wzdychając - tak, stary, ale spieprzyłem sprawę i się zaplątałem. Nie chcę dzwonić do Londynu, żeby to wyjaśniać. Pierwszy raz robię tego rodzaju rzecz i tak dalej. To byłoby bardzo żenujące.

Roześmiał się piskliwie z zachwyty.

- Och, nie wciskaj mi takiego kitu!

Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi, ale mówiłem dalej.

- Po trzecie, muszę wiedzieć, do czego zabierają się w tym tygodniu Netanyahu i Arafat. Wiesz, czas, miejsce i tego rodzaju rzeczy.

- Ookey. Jesteś zapracowany, co?

- Och, jeszcze jedna rzecz. Muszę znać nazwiska i informacje na temat pochodzenia czterech mężczyzn zabitych wczoraj w nocy w miejscowości Little Lick Creek w Karolinie Północnej.

Tym razem Mickey milczał. Niemal słyszałem pracujące w jego głowie trybiki, kiedy skojarzył to z Sarą i jej wypadami nad jezioro. Spodziewałem się, że odpowie coś w stylu: „Nie bardzo mi się to podoba, Nick”, ale w miejsce tego usłyszałem nonszalanckie:

- Do kiedy potrzebujesz tych informacji?

- Najlepiej dzisiaj późnym popołudniem. Myślisz, że dasz radę?

Musiałem odwrócić się do automatu, żeby go usłyszeć mimo grzotów trzech przejeżdżających ciężarówek.

- Nie, ale znam człowieka, który pewnie sobie poradzi. Nie mogę się doczekać, kiedy do niego zadzwonię.

- Dziękuję ci, Michael. Naprawdę jestem ci wdzięczny. Nie znam nikogo więcej, kogo mógłbym poprosić o pomoc. Wiesz, jak to jest. Ale chciałbym, żeby to pozostało między nami dwoma, OK?

- Między nami dwoma? Hm, to brzmi interesująco. Cześć!

Wszedłem do budki i odwiesiłem słuchawkę. Wolałbym rozmawiać z Joshem, ale nie mogłem, bo jeszcze nie wrócił z Wielkiej Brytanii. Teraz musiał mi wystarczyć Blaszy Mickey.

Deszcz dołożył mi kolejną warstwę wilgoci na ramionach kurtki i na włosach, a przedramię znowu zaczynało mnie piec. Idąc do samochodu, odwinąłem rękaw kurtki, żeby je obejrzeć. Niedobrze. Rany pokrywały się strupem, ale ugryzienia były głębokie i przydałoby się im oczyszczenie i opatrzenie przez kogoś, kto się na tym zna. Gdyby się zagoiły, nie musiałbym niczego tłumaczyć. Siady zębów mówiły same za siebie.

Przejechałem obok motelu, rozglądając się, czy nie ma czegoś nienormalnego, jak na przykład szesnastu samochodów policyjnych i dwa razy tyle karabinów gotowych do strzału. Pusto. Zaparkowałem samochód i przeszedłem obok recepcji. Spojrzawszy przez szklane drzwi, zobaczyłem, że Donna nadal tam siedzi i czyta pod blatem coś bardzo interesującego. Koło ekspresu do kawy leżała taca z drożdżówkami dla gości i druga taca dużych czerwonych jabłek. Wszystko wyglądało absolutnie normalnie.

Zrobiłem zadowoloną minę i wszedłem do środka. W holu trójka dzieci spierała się, które z nich ma nieść jaką torbę.

Zapach kawy przypomniał mi, że jestem głodny. Oddaliłem się od nowych gości, rodziców z trójką dzieci, żeby sami uporali się ze swoimi problemami, podszedłem do ekspresu, wziąłem dwie kawy, cztery jabłka i tyle samo drożdżówek i wróciłem do Donny.

- Postanowiliśmy wyprowadzić się wcześniej, bo mamy już samochód na wymianę - powiedziałem, odłamując kawałek drożdżówki i wkładając go do ust.

- Jasne, nie ma problemu, ale niestety będę musiała was obciążyć pełnymi kosztami.

Wydrukowała rachunek. Spojrzałem na niego, by sprawdzić, czy wyszczególniono na nim jakieś rozmowy telefoniczne. Nie było żadnych. Podpisałem pokwitowanie.

Wróciłem pod drzwi pokoju. Obydwie zapalki nadal znajdowały się na swoim miejscu. Zapukałem do drzwi i stanąłem przed judaszem, żeby mogła mnie zobaczyć, zanim je otworzy.

We wnętrzu panowała duchota. Para z suszących się ubrań i ciał sprawiła, że powietrze było wilgotne jak w ciepłarni. Sara, zawinięta w ręcznik, dalej oglądała telewizję, siedząc na brzegu łóżka. Nie odrywając wzroku od ekranu telewizora, wzięła talerz i kawę.

- To już trzecie wiadomości, jakie widziałam.

Usiadłem przy niej na łóżku i zobaczyłem, że jest to powtórka tego, co usłyszałem w radiu. Reporter zdawał relację z wydarzeń, mając ze sobą w tle samochody policyjne, a potem las. Był ubrany w nową granatową kurtkę z goreteksu, pewnie kupił ją na wyprzedaży u Searsa w drodze nad jezioro. Opuścił kaptur, żeby było widać jego włosy i twarz, i opowiadał tym poważnym „jesteśmy na miejscu zbrodni” tonem. Do strzelaniny doszło wiele godzin temu, ale starał się, by brzmiało to tak, jakby w każdej chwili złoczyńcy mogli pojawić się na nowo.

- Podawali jakieś szczegóły?

- Tak - odparła dość podekscytowanym głosem. - Wszyscy mówili, że na stacji benzynowej było dwóch mężczyzn, ale też, że według nie potwierdzonych informacji mógł tam być mężczyzna i kobieta. FBI jest w obydwu miejscach, ale jeszcze nie wydali żadnego oficjalnego komunikatu.

Ugryzła kawałek ciastka i kontynuowała z pełnymi ustami.

- Ta kobieta w mazdzie musiała być porządnie wystraszona, jeśli nie zobaczyła, że jestem kobietą.

Musiałem się z nią zgodzić. Może policja opierała swoje domysły tylko na tym, że psy znalazły jej majtki.

- Nie wspominali nic o Lansie - dodała po kolejnym kęsie.

Nie dziwiło mnie to. Jasna sprawa, że nie przekażą mediom wszystkiego, co wiedzą. A może go jeszcze nie znaleźli. Najważniejsze, że nie zginął żaden policjant.

Wstałem i podeszedłem do okna. Jej ubrania prawie już wyschły.

- Pora ruszać. Wkładaj ciuchy i idziemy.

Naciągnęła dżinsy. Wiedziałem, jak się w nich czuje: były sztywne i nieprzyjemne. Włożyła je i zgięła kolana, wykonując kilka płytkich przysiadów, żeby się trochę rozciągnęły, oskrobała z nich błoto i nałożyła bluzkę. Gdy wkładała swoje wielkie buty, podniosła na mnie wzrok.

- Gdzie są nowe ubrania?

- Zapomniałem. Chodźmy!

Dotarliśmy do samochodu i ruszyliśmy w drogę. Początkowo chyba nic nie zauważyła, bo była zbyt zajęta jedzeniem jabłek i piciem kawy, ale kiedy dotarliśmy do autostrady, zorientowała się, że nie jedziemy w stronę lotniska, tylko oddalamy się od niego. Zmarszczyła brwi.

- Dokąd jedziemy?

- Fayetteville.

Wzięła złożoną do formatu A4 mapę stanu, w którą zaopatrzyła nas firma wynajmująca samochody.

- Ale to jest jeszcze dalej od Waszyngtonu; dlaczego do Fayetteville?

- Bo ja chcę tam jechać. Pragnę się stąd wynieść i dotrzeć do bezpiecznego terenu, który znam, żeby dojść do siebie.

Jadąc, wypatrywałem uważnie znaków kierujących na prowadzącą na południe trasę numer 401.

Zobaczyłem, jak rzednie jej mina.

- Pomożesz mi, prawda, Nick? - zapytała.

Nie odpowiedziałem.

Jechałem z powrotem tą samą drogą co poprzednio, przestrzegając ograniczeń prędkości, żeby nie zwracać na siebie uwagi policji. Przejeżdżając rzekę mostem prowadzącym na Cape Fear,

zauważyłem po drugiej stronie parking dla samochodów osobowych. Znajdował się nad brzegiem rzeki poniżej mostu, żeby wędkarze i łodzie mogli dojeżdżać do samej wody. Dotarliśmy na drugi brzeg i minęliśmy odchodzący na parking zjazd z autostrady. Postanowiłem zapamiętać to miejsce.

Wkrótce potem dotarliśmy do granic Fayetteville, które chyba składało się wyłącznie z barów szybkiej obsługi.

- Dlaczego Fayetteville, Nick? Dlaczego tu jesteście?

Był to ten rodzaj Ameryki, którego nigdy nie widziała i sądząc po wyrazie jej twarzy, nie chciała widzieć.

- To jedyne miejsce, które znam w Karolinie Północnej. Mam zamiar tu przeczekać, aż Londyn zdecyduje, w jaki sposób przetransportują nas z powrotem do Wielkiej Brytanii. Będą musieli dogadać się z Departamentem Stanu w sprawie tej awantury, zanim dokądkolwiek pojedziemy czy cokolwiek zrobimy. Do tej pory musimy trzymać się z dala od policji, i prawdę mówiąc - od wszystkich.

Spojrzałem na nią, zeszywniała. Wiedziałem, że ją to niepokoi, ale za żadne skarby nie chciała tego okazać.

Jadąc Skibo Road, dotarłem do Century Twenty-one. Wszystko wyglądało tak, jak pamiętałem: budynek w stylu chaty z drewnianych bali, stojący pomiędzy sosnami z małym parkingiem od frontu i wielkim neonowym znakiem wystającym na drogę. Jednak nie byłem jeszcze gotów tam wejść, musiałem się wziąć w garść i przynajmniej częściowo odzyskać normalny wygląd.

Przejechałem jeszcze kawałek i znalazłem centrum handlowe otaczające plac. Znacznie dalej po lewej stronie zobaczyłem znany mi już z wyglądu „pentagon”, zatem musiałem być w tym samym centrum handlowym, które odwiedziłem poprzednim razem. Zwisający z kamiennej fasady wielki transparent oznajmiał, że dom handlowy Searsa jest gotów i czeka, by w każdej chwili przyjąć ode mnie pieniądze w czasie fantastycznej wyprzedaży ubiorów sportowych. Zatrzymałem się, ukrywając samochód pomiędzy mnóstwem innych pojazdów.

- I co teraz? - zapytała, wpatrując się we mnie.

- Ubrania. Pójdę sam. Jaki masz rozmiar?

- Już ci mówiłam, ósemkę, a buty szóstkę, obydwa numery w amerykańskim systemie.

Posłała mi spojrzenie mówiące: „Nie pamiętasz? Przecież kiedyś widziałeś takie rzeczy”.

Spojrzałem na jej uśmiechniętą twarz, otworzyłem drzwi i odszedłem w kierunku sklepu z ubraniami Goody'ego.

Pół godziny później wróciłem z dwoma wypchanymi sportowymi torbami. Poszliśmy do „pentagonu” i przebraliśmy się w toaletach. Umyłem twarz i opatrzyłem rany na ręce, korzystając z najlepszych ścierek do naczyń ze sklepu Goody'ego. Powinienem znaleźć jakąś aptekę, ale nie miałem czasu na takie zabawy. Są ważniejsze rzeczy do zrobienia. Poza tym nie zanosiłoby się na to, żebym był ich stałym klientem. Umyłem się, przebrałem i wyszedłem na zewnątrz toalety z torbą pełną starych ubrań; czekałem na Sarę. Obok znajdował się sklep z telefonami komórkowymi. Wszedłem do niego i kupiłem dwie karty telefoniczne po dwadzieścia dolarów, a następnie zatrzymałem się przy bankomacie.

W naszych dobranych dżinsach i bluzach, typowych dla mieszkańców dobrych przedmieść, oraz eleganckich nieprzemakalnych kurtkach wyglądaliśmy z Sarą na zakochaną parę. Czuję się zdecydowanie lepiej dzięki temu, że wydostałem się z mokrego starego ubrania, ale oczy dalej piekły mnie ze zmęczenia i miałem trudności ze skupieniem się na czymkolwiek. Wróciliśmy do samochodu i wrzuciłem stare rzeczy do bagażnika.

Teraz byłem gotów do następnej fazy zadania.

- Ty prowadzisz - powiedziałem, rzucając jej kluczyki. - Powiem ci, jak jechać.

Wjechaliśmy na parking Century Twenty-one i zatrzymaliśmy się pod drzewami. Siedzieliśmy w samochodzie z włączonym silnikiem. Patrzyłem na drugą stronę szosy w kierunku stacji benzynowej, nie tyle koncentrując się, ile przygotowując się na następne kilka minut. Takie rzeczy muszą wyglądać naturalnie, ale to jest możliwe tylko wtedy, kiedy człowiek zachowuje się naturalnie. Trzeba się do tego trochę przygotować.

- I co robimy teraz? - zapytała Sara.

- Już powiedziałem: my nic nie robimy, ale ja załatwiam miejsce, gdzie się można zatrzymać. Im mniej ludzi zobaczy nas razem, tym lepiej. Czekaj tutaj.

Zostawiłem jej kluczyki. Nie martwiłem się tym, bo i tak nigdzie by nie pojechała. Potrzebowała mnie do pomocy. Poza tym wiedziała, że jeśli odjedzie, to zamelduję o tym w Firmie i wtedy będzie miała na karku nie tylko mnie, ale i policję, bo Firma, nie mając innego wyboru, zawiadomiłaby władze.

Zostawiłem ją, żeby liczyła przejeżdżające ciężarówki, i wszedłem do biura. Poznałem Velvet po głosie: właśnie rozmawiała przez telefon, udzielając informacji z prędkością dźwięku. Trwała robiła już dość dawno, miała na niej tak dużo lakieru, że pojedyncze jasne włosy wyglądały tak, jakby zrobiono je z nylonowej żyłki. Sądząc po skórze na ramionach i dłoniach, musiała mieć poniżej trzydziestki, ale od palenia miała żółte palce i kurze łapki wokół oczu, bo marszczyła twarz, żeby dym nie gryzł jej w oczy. Wyglądała całkiem nieźle, ale ciekawe, co bym zobaczył, gdybym zajrzał jej do płuc optycznym wziernikiem. Oczy piekły mnie już jeszcze bardziej niż poprzednio.

Skończyła rozmowę i spojrzała na mnie.

- Dzień dobry. Czym mogę służyć?

- Dzień dobry, nazywam się Nick Snell. Dzisiaj rano zarezerwowałem u pani mieszkanie.

Jeszcze nie skończyłem, kiedy już zaczęła przeglądać swoje kartoteki i po chwili wydobyła klucz.

- Proszę wypełnić ten formularz. Zapomniałam zapytać, czy ma pan jakieś zwierzęta. Jeżeli tak, to nie mogą ważyć więcej niż dziesięć kilogramów i wolno panu mieć tylko dwa. W jaki sposób pan płaci?

- Nie, nie mam zwierząt. Gotówką.

Nareszcie zobaczyłem na jej twarzy reakcję, która nie była w pełni automatyczna. Może podobało jej się to, jak wymówiłem słowo „gotówką”. Dwie minuty później już wracałem do samochodu.

Otworzyłem mapę i poszukałem ulicy North Reilly Road, która, jak poinformowała mnie Velvet, znajdowała się tylko o kilka minut drogi. Osiedle Stewart's Creek okazało się prywatnym kompleksem, do którego prowadziła tylko jedna droga. Składało się z około dwudziestu klockowatych, trzykondygnacyjnych zielonych budynków o drewnianych fasadach rozłożonych na obszarze kilkunastu hektarów. Wjechaliśmy na osiedle, przestrzegając obowiązującego na jego terenie ograniczenia prędkości do dwudziestu kilometrów na godzinę.

- Mieszkanie numer 1712 - powiedziałem, rozglądając się na boki. - Pewnie chodzi o budynek numer siedemnaście.

Sara skinęła głową. Jechaliśmy, rozchlapując kałuże i czytając numery na wielkich szarych skrzynkach na pocztę, które stały przed każdym blokiem. Minęliśmy osiedlowy basen i korty tenisowe, obok których ciągnął się rząd budek telefonicznych oraz automatów z colą i z gazetami.

- Mam go - oznajmiła Sara, skręcając na parking przy numerze siedemnaście.

Weszliśmy na górę po drewnianych schodach i już byliśmy w środku. Od razu rzucała się w oczy wszechobecność brązów: brązowa sofa i krzesło przed telewizorem, szczapy drewna w zrobionym z imitacji kamienia kominku, wyposażonym w metalową przesłonę chroniącą brązowy dywan. Salon łączył się z kuchnią znajdującą się naprzeciw wejścia. Po przeciwnej stronie pomieszczenia były przesuwne drzwi, które wychodziły na niewielki balkon. Od zewnętrznej strony przesłaniała je siatka chroniąca przed owadami.

Zapach i wygląd mieszkania kojarzyły się z wygodą. W sypialni leżały gotowe do użycia koce, prześcieradła i ręczniki. W kuchni znajdowała się powitalna paczka kawy, śmietanka w proszku i cukier. Sara weszła do sypialni i zasunęła w nich żaluzje. Wśliznąłem się do części kuchennej i włączyłem zamrażarkę, nastawiając pokrętko na maksimum. Odgłos pracującego silnika był zbyt wyraźny, dlatego włączyłem również lodówkę.

Weszła z powrotem do salonu, gdy nastawiałem czajnik.

- I co dalej? - zapytała, zamykając żaluzje na drzwiach balkonowych, by osłonić wnętrze przed wzrokiem ciekawskich.

- Nic. Zostaniesz tutaj, a ja pójde kupić coś do jedzenia. Jestem piekielnie głodny. Czajnik jest nastawiony, więc zrób herbatę.

Pojechałem do najbliższego sklepu, który mieścił się na stacji benzynowej, i kupiłem stały zestaw: parę długich kanapek, napoje w puszkach i komplet rzeczy do mycia i golenia. Potem, korzystając z karty telefonicznej, zadzwoniłem ze stojącej przed sklepem budki telefonicznej do Michaela. Nikt nie odbierał pod jego numerem wewnętrznym w ambasadzie, nie było nawet nagranej odpowiedzi automatycznej sekretarki, a centrala odmówiła przyjęcia wiadomości. Według mojego zegarka była osiemnaście trzydzieści sześć. Pewnie skończył już pracę na dzisiaj. Usiłowałem sobie przypomnieć jego numer domowy, ale nic z tego. Wyrzuciłem go razem z elektronicznym notatnikiem.

Wróciłem do mieszkania. Sara leżała, drzemiąc, na kanapie przed włączonym telewizorem. Nie zaparzyła kawy. Rzuciłem jej opakowanie chipsów i wszedłem do części kuchennej, żeby na nowo podgrzać wodę. Żółte światełko na zamrażarce poinformowało mnie, że nadal intensywnie pracuje, by osiągnąć temperaturę szybkiego zamrażania.

Sara w końcu wyciągnęła rękę i zaczęła otwierać opakowanie. Nalałem wody do kubków z kawą.

Denerwujące było to, że wszystko, co mówiła, brzmiało sensownie. Nie zrobiła nic, co by wskazywało, że kłamie. Dlaczego miałaby ufać komukolwiek z Londynu? Wiedziałem z osobistego doświadczenia, że Firma jest tak sprytna jak wysmarowany oliwką węgorz.

Odwrociłem się twarzą do niej i postawiłem kawę na ladzie śniadaniowej. Leżała na plecach i opierała o piersi nadgryzioną kanapkę. Milczała. Wiedziałem, jak się czuje. Ja też byłem wykończony i zaczynało mi się kręcić w głowie. Rozpaczliwie potrzebowałem snu. Sprawdziłem, czy drzwi wejściowe są zamknięte na klucz i padłem na jedno z małżeńskich łóżek, wprost na stertę prześcieradeł, ręczników i koców.

Kiedy się obudziłem, nadal było ciemno. Odwróciłem się na bok i poczułem leżące przy mnie ciało. Nie słyszałem ani nie czułem, kiedy weszła do pokoju.

Po chwili oczy przyzwyczyły się do przytłumionego światła lamp ulicznych, które dochodziło przez żaluzje, i dojrzałem zarysy jej ciała. Leżała twarzą do mnie z podwiniętymi nogami i z podłożonymi pod głowę dłońmi. Wyglądało to tak, jakby śniły się jej koszmary. Wymamrotała coś i zaczęła przesuwać głowę po złożonym kocu. Nigdy przedtem nie wyglądała na tak słabą. Leżałem bez ruchu i przyglądałem się jej.

Jej skóra jaśniała w ciepłym wnętrzu, ale Sara miała zmarszczone brwi. Przez chwilę wyglądało to prawie tak, jakby ją coś bolało. Wyciągnąłem rękę, by jej dotknąć, ale w tej samej chwili krzyknęła, szarpnęła się, obróciła i znowu zastygła. Jej włosy nadal roztaczały aromat szamponu jabłkowego.

Wiedziałem, że jestem całkiem niezły w trzymaniu ludzi na dystans, odkąd jeszcze byłem dzieckiem. Z tego powodu moje życie nie było wspaniałe, ale umożliwiała mi funkcjonowanie i jest pewne jak diabli, że pomagało unikać rozczarowań. Jednak teraz było inaczej. Zupełnie inaczej.

Znowu coś wymamrotała i przysunęła się jeszcze bliżej. Wcale nie wiedziałem, jak sobie z tym poradzić. Najpierw Kelly, teraz Sara. Jeszcze trochę i pewnie zacznę dopytywać się w biurze handlu nieruchomości o wymarzony domek na wsi z krzakami róż przed drzwiami. Całkowita katastrofa. Przerazało to mnie jak cholera.

Nigdy nie byłem mistrzem świata w przebywaniu na jednym miejscu, ale teraz dotarła do mnie niepokojąca myśl, że to ciągle przemieszczanie się odpowiada mi dlatego, że nie muszę myśleć za bardzo o tym, od czego uciekam ani do czego zmierzam.

Z sąsiedniego pokoju nadal dobiegał dźwięk włączonego telewizora. Jakiś kobiecy głos usiłował przekazać nam jak najwięcej szczegółów na temat zestawu do grillowania. Odwróciłem się, usiadłem i odsunąłem róg żaluzji. Nie padało, ale po zaciekach na oknach zorientowałem się, że w ciągu ostatnich kilku godzin mieliśmy kolejną ulewę. Podświetlacz na zegarku pomógł mi dojrzeć, że jest druga pięćdziesiąt cztery.

Podniosłem się powoli, usiłując jej nie obudzić i przeszedłem do kuchni, pocierając oczy. Mijając lustro wiszące na ścianie salonu, zobaczyłem w nim twarz z piekiel: zmarszczki od spania na ręcznikach i sztywne z przetłuszczenia włosy, stojące na wszystkie strony, jakby ktoś mi przyładował dobrze tazerem. Poczłapałem do kuchni, drapiąc się, gdzie tylko mogłem sięgnąć. Pora na kawę.

Sara musiała usłyszeć, jak hałasuję. Ton jej głosu pasował do mojego samopoczucia i wyglądu.

- Też bym się napiła - powiedziała i wyłączyła telewizor.

Usiadła na sofie, patrząc niepewnie na dywan i trzymając dłonie między nogami, tak jakby została zdemaskowana jako istota ludzka. Spodziewałem się, że powie: „proszę, nie mów nikomu”, ale nic takiego się nie zdarzyło, ale usłyszałem za to:

- Przepraszam, Nick. Po prostu czułam się taka samotna i wystraszona. Musiałam być blisko ciebie.

Podniosła na mnie wzrok. Jej oczy wypełniał ból i coś jeszcze, czego nie potrafiłem do końca rozpoznać, ale miałem nadzieję, że to jest żal.

- Wiele dla mnie znaczyłeś, Nick. Po prostu wtedy nie wiedziałam, jak sobie z tym poradzić. Przepraszam za to, jak się zachowywałam. I przepraszam, że teraz zachowuję się tak głupio - przerwała, obserwując moją reakcję. - Już nigdy tak nie zrobię. Obiecuję.

Odrzuciłem twarz do kubka z kawą.

- OK, nie ma problemu - powiedziałem, starając się zachować swobodny ton.

Tak naprawdę chciałem ją chwycić, przytulić mocno i udawać przez chwilę, że mogę wszystko naprawić. Ale zastygłem, pamiętając o tym, co mi zrobiła w przeszłości, i o tym, jakie dostałem rozkazy.

Włączyłem czajnik, czując, jak coraz bardziej miesza mi się w głowie. Po chwili znalazłem sposób, żeby powrócić do teraźniejszości.

- Potrzebuję domowego numeru Michaela Warnera.

Początkowo nie zrozumiała, co do niej mówię.

- Kogo?

- Michaela Warnera. Potrzebuję jego numeru domowego.

Odrzuciłem się i popatrzyłem na nią. Dopiero teraz dotarło do niej, że byłem w Waszyngtonie.

- Co im powiedziałeś? - zapytała.

Chyba nigdy wcześniej nie wyglądała tak żałośnie.

- Że przeprowadzam twoją ocenę. W każdym razie rozmawiałem tylko z Blaszanym Mickeyem - odparłem, wstawiając wczorajsze kubki do zlewozmywaka.

- Blaszano Mickey! Super. - Roześmiała się, ale od razu wróciła do poprzedniego nastroju.

- Po co ci jego numer?

Przyniosłem kawę i postawiłem ją na niskiej ławie przed sofą.

- Przekazałem mu parę pytań, żeby poszperał na ich temat. Jeśli nie zadzwonię, by posłuchać jego odpowiedzi, to może to uznać za dziwne.

Wypiła pierwszy łyk, zastanowiła się chwilę i wyrecytowała numer. Nie miałem długopisu, ale wyskrobałem go na okładce książki telefonicznej kluczykiem do samochodu i oderwałem ten kawałek okładki.

- Niedługo wrócę.

Odstawiła kawę i wstała.

- Jeszcze trochę za wcześnie, nie sądzisz?

Miała rację, ale zależało mi na tych informacjach.

- Mam to gdzieś. Płacą mi za służbę dwadzieścia cztery godziny na dobę, no nie?

Budki telefoniczne były po drugiej stronie drogi przy basenie i kortach, zaledwie pięćdziesiąt metrów od domu. Na prawo od nich stały automaty do sprzedaży gazet, jeden z „USA Today”, a drugi z „Fayetteville Observer Times”. W świetle lamp ulicznych dojrzałem niewyraźnie zdjęcie lasu na pierwszej stronie „Timesa”. Nie miałem ochoty zwracać sobie głowy czytaniem tego, co tam napisali.

Sądząc po wielkości kałuż, musiało naprawdę solidnie padać, kiedy spaliśmy. Było tak ciepło i wilgotno, że bluza zaczęła mi się przyklejać do pleców. Wolałbym, żeby pogoda się ustatkowała.

Wyciągnąłem strzęp okładki z książki telefonicznej oraz kartę i wybrałem numer. Po chwili usłyszałem rozespiane „Halo?”.

Był bardzo rozespany, ale opanowany i czujny.

- To ja, Nick. Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, ale nie mogłem wczoraj dotrzeć do telefonu. Udało ci się coś?

Usłyszałem szelest pościeli, kiedy poprawił się na łóżku, trzymając przy uchu telefon.

- O, tak, poczekaj, wezmę sobie oczy i jestem do dyspozycji.

Zamilkł na chwilę, szukając okularów. Nie miałem ochoty rozmawiać przez telefon całą noc, więc zacząłem pierwszy.

- Nasi dwaj przyjaciele, o których rozmawialiśmy - co zamierzają przez resztę tygodnia?

Rozejrzałem się, by sprawdzić, czy ktoś mnie obserwuje. Samo to, że ktoś dzwoni o tej porze, nie było niezwykle, gdyż mieszkania nie miały telefonów. Trzeba było dysponować własnym aparatem.

- No cóż, skończyli robotę i spędzą środę i kawałek czwartku, ściskając ludziom dłonie i spotykając się z prasą i telewizją, żeby wszyscy widzieli, jacy są fajni i jak dobrze się wszystko ułożyło podczas ich wizyty. Czy to nie jest wyborne?

, Na pewno tak, ale gdzie? Gdzie to wszystko będzie się odbywało?

- Naprawdę nie wiem. Przypuszczam, że w Waszyngtonie i okolicach.

- W porządku. A co z naszym amerykańskim kolegą?

- Ach, myślę, że musimy się spotkać w tej sprawie, Nick. Naprawdę nie chcę rozmawiać na jego temat przez telefon. Zebrałem w związku z nim dużo papierów, które, jak sądzę, by cię zainteresowały. Mam też informacje o twojej koleżance.

Znalazł coś delikatnego czy po prostu martwił się, że kiedy nadejdzie pora na jego własną ocenę, to gadanie przez telefon może okazać go w złym świetle?

- W porządku - odparłem. - Powiem ci coś. To samo miejsce jak wcześniej, dzisiaj o trzynastej trzydzieści. Ty sponsorujesz.

- Wspaniale, że się spotkamy - zawiesił na chwilę głos - a co z tymi... innymi?

Powiedział to tak, jakby był wioskowym plotkarzem.

- Co?

- Z tymi czterema kolegami. No, z tymi, co jeżdżą na urlop nad jezioro.

- O tak, ci koledzy. Zapomniałem. Mam ich tak dużo.

- Wiem, co masz na myśli, Nick. To taaakie trudne, żeby się nie pogubić. - Znowu zamilkł.

Musiałem pytać.

- Kim oni są?

- Nie mogę ci powiedzieć! W każdym razie nie przez telefon, Nick. Myślę, że musisz przeczytać to, co wyciągnąłem. Wszystko się ładnie łączy z naszym dziewczętą. To jak wielka układanka. Ekscytujące! Do zobaczenia ju...

- Pamiętaj, że ty sponsorujesz - musiałem mu przerwać, żeby to do niego dotarło.

- Czeeeeść.

Nie wiedziałem, czy zrozumiał, co mam na myśli, ale wkrótce miałem się o tym przekonać.

Odwiesiłem słuchawkę i odwróciłem się, by pójść z powrotem do mieszkania, gdy na środku parkingu zobaczyłem pędzącą w moim kierunku Sarę. Pozostałem na miejscu, czekając, kiedy się zbliży.

Trzęsa się z gniewu.

- Planujesz mnie zabić? - wyrzuciła z siebie gwałtownie. - Po to dzwonisz?

- Nie bądź głupia - odparłem. - Po co miałbym ciągnąć ciebie aż tutaj...

- Zobaczyłam lampkę na zamrażarce, Nick. Nie okłamuj mnie.

- Co? Musiała się zapalić, kiedy włączyłem lodówkę.

- Bzdury! Mają osobne wtyczki. Czy ja wyglądam na głupią? Okłamujesz mnie, Nick!

Rozejrzałem się, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie obserwuje. Nie byliśmy na Times Square, więc było pewne, że podniesione głosy na ulicy o tak wczesnej porze sprowadzą patrol policji albo prywatnej agencji ochrony. Położyłem palec na ustach. Zniżyła głos, ale dalej mnie atakowała.

- Dlaczego mi nie wierzysz, na rany boskie? Dlaczego nie wierzysz w to, co ci próbuję powiedzieć?

Głos zaczął więznąć jej w gardle, a w oczach wezbrały łzy. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby płakała.

- Nie mogę uwierzyć, że chciałeś to zrobić. Myślałam, że coś dla ciebie znaczę.

Dostrzegłem, że czuję się winny, chyba tak winny jak nigdy w życiu.

- A jak już byś mnie zamroził, Nick, to co dalej? Rozdrabniacz do drewna, żeby mnie zemleć, jak zrobiłeś z tymi dwoma w Afganistanie? A może do worka, a potem do rzeki, żeby nakarmić ryby? Dali ci T104, prawda? Prawda?

Pokręciłem powoli głową.

- Mylisz się, Saro. Ty...

Wcale nie miała zamiaru mnie słuchać.

- Chciałeś zrobić ze mną to samo, co zrobiłeś z tymi dwoma mudżahedinami? Prawda, Nick?

Chwyciłem ją za ramiona.

- Gadasz od rzeczy, zamrażarka już musiała być włączona. Posłuchaj, wierzę ci, naprawdę ci wierzę, ale to niczego nie zmienia. W dalszym ciągu zamierzam zabrać cię do Londynu.

Powiedziałem to z przekonaniem, bo tym razem nie kłamałem ani w jednej sprawie, ani w drugiej. Łatwiej było mi teraz spojrzeć jej w oczy.

- Ale Nick, jeśli mi wierzysz, to musisz mi pomóc. Jesteś jedynym człowiekiem, któremu mogę zaufać. Co za kurewski paradoks!

Potrząsnęła głową i odwróciła się do mnie plecami.

- Słuchaj, Saro, nie obchodzi mnie, co się zdarzy w Waszyngtonie. Interesuje mnie tylko, żebyśmy wydostali się stąd żywi.

Odwróciła się z powrotem do mnie z twarzą mokrą od łez, objęła mnie w pasie i skryła mi twarz na klatce piersiowej. Płakała coraz bardziej. Chciałem coś zrobić, ale po prostu nie wiedziałem co. Podniosłem wzrok ku chmurom, pozwalając jej się wyplakać.

Po chwili płacz przerodził się znowu w gniew. Odepchnęła mnie od siebie.

- Kiedyś coś dla ciebie znaczyłam, Nick. Nie masz, do cholery, żadnych hamulców? - Zakryła twarz dłońmi, ścierając łzy. - Nie mogę uwierzyć, że chciałeś mnie zabić, czy nawet o tym myśleć.

- Nie, Saro, nie... Ja nie zamierzałem...

Jej płacz przeszedł w konwulsyjne łkanie. Wyglądało to tak, jakby całkiem jej puściły nerwy.

- Wszystko wyszło mi tak źle, tak kurewsko źle... Myślałam, że wszystko mam rozpracowane... że nad wszystkim panuję... nawet wierzyłam tobie. Jak mogłam być tak głupia?

Pogłaskałem w milczeniu jej policzki i przesunąłem palcami po włosach. Ciągle nie przestawała mówić.

- Miałaś rację... miałaś rację. Chciałam być jedyna, chciałam zrobić wszystko sama... Chciałam tego tak bardzo, że straciłam nad tym panowanie. Jak już się zaczęło, to nie mogłam zwrócić się do nikogo o pomoc, musiałam dalej robić to sama. - Ścisnęła mnie mocno, dalej łkając. - Co ja teraz zrobię, Nick? A może to ciebie nie obchodzi?

Nie było sensu mnie o to pytać. Nadal próbowałem poradzić sobie z własnym poczuciem winy. Cholera, zabrnąłem aż tak daleko, że nawet włączyłem zamrażarkę. Jak mogłem zrobić jej coś takiego? Może nie miałem moralnych hamulców takich jak inni ludzie. Czy zawsze miałem być odmieniecem bez uczuć? Nadal wyrzucała z siebie żal, jakby rozmawiała sama z sobą.

- Mogłam coś z tym zrobić na początku, ale nie, chciałam być jedyną osobą, która zbierze laury. Przepraszam, bardzo przepraszam. O cholera, co ja narobiłam, Nick.

Ścisnęła mnie jeszcze mocniej, rozpaczliwie szukając wsparcia. Objąłem ją. Łkała nieopanowanie. Chciałem udzielić jej wsparcia, którego potrzebowała, ale po prostu nie potrafiłem. Nigdy nie potrafiłem.

- Nie wiem, co robić, Saro - wyszeptalem.

- Po prostu obejmij mnie, Nick. Po prostu obejmij mnie.

Przycisnąłem ją mocniej. Czuję się dziwnie dobrze, robiąc to. Staliśmy przez wiele minut, kołysząc się lekko w swoich objęciach. Jej łkanie powoli cichło. Pewnie wyplakała już wszystkie łzy.

Wyterła twarz o moją koszulę. Próbowałem podnieść jej twarz za podbródek, ale nie pozwoliła na to.

- Przepraszam, Nick. Tak bardzo przepraszam...

Odsunęła się ode mnie i otarła twarz dłońmi. Jej urywane łkanie zaczynało mijać, zaczęła odzyskiwać panowanie nad sobą.

- Saro, kiedy oni zamierzają dokonać zamachu?

Podniosła wzrok, wstrzymując oddech.

- W Białym Domu, jutro.

- Jak? Jak to zrobią?

Musiałem to wiedzieć, zanim zadzwonię do Londynu. To usprawiedliwiłoby fakt, że wracam z nią żywą. Była w kłopotach, rozumiałem to, ale mnie czekałoby to samo, gdybym jej pomógł i nie przygotował chociaż podstaw swojej obrony. Przecież z pewnością zarządzone by dochodzenie.

Wciągnęła głośno powietrze przez nos.

- Jest spotkanie z prasą na trawniku Białego Domu. Clinton, Arafat i Netanyahu. Wezmą udział w konferencji prasowej, a potem będzie uroczystość: białe gołębie, pieśni o pokoju, śpiewające dzieci i różne inne bzdury dla telewizji. Nie wiem nic więcej. Ci dwaj, którzy wczoraj mieli przyjechać z Waszyngtonu, znali wszystkie szczegóły. Oni pracują tak samo jak my: nie opowiadają o szczegółach aż do ostatniej chwili. Wiedzieliśmy tylko, że już otrzymaliśmy akredytację na wejście do Białego Domu jako ekipa telewizyjna.

- Więc to dlatego ten starszy gość miał garnitur?

Skinęła głową.

- Mieliśmy być na Monica Beach. Cholera, Nick, jak w ogóle mogłam myśleć, że poradziłabym sobie sama?

Monica Beach, czyli plaża Moniki, był fragmentem trawnika przed Białym Domem, z którego ekipy telewizyjne nadawały swoje relacje. Dziennikarze nadali mu taką nazwę, ponieważ od czasu afery z Lewinsky panował tam większy tłok niż na plaży w Santa Monica.

W pierwszej chwili pomyślałem, że to brzmi bardziej jak historyjka z filmu kategorii B niż prawdziwy plan.

- Nic by z tego nie wyszło. W ogóle nie mogliby się stamtąd wydostać.

W jej oczach znowu pokazały się łzy.

- Nick, ci ludzie o to nie dbają. Uratowanie życia nie jest dla nich istotne. Popatrz, kto jest ich idolem. Bin Laden poświęcił swoje życie wypędzeniu Rosjan z Afganistanu, a teraz robi to samo, żeby wypędzić Amerykanów z Arabii Saudyjskiej. On ich jednocześnie finansuje i inspirowe. Pakistańczyków, Palestyńczyków, nawet Amerykanów. Śmierć to nie problem dla tych ludzi, wiesz o tym.

- Jeśli nie da się zaatakować wroga, to atakuje się przyjaciela wroga - powiedziałem, kiwając potakująco głową. - Jaki jest lepszy sposób, żeby pokazać światu, że nawet potężne Stany Zjednoczone nie potrafią ochronić nikogo przed zemstą Allacha? Nawet na własnym podwórku.

Jeszcze mówiąc to, zrozumiałem, jakim byłem cholernym idiotą: patrzyłem tylko pod nogi, koncentrując się na robocie i starając się nie myśleć, dokąd to wszystko zmierza.

- Saro, wytłumacz mi szczegóły, o co chodzi z tymi śpiewającymi dziećmi i białymi gołąbkami?

Zastanowiła się chwilę, starając się odszukać w pamięci odpowiednie informacje. Zaczepnęła powietrza i wytarła nos.

- Po konferencji prasowej ma być uroczystość z udziałem około dwustu dzieci. Będą miały „koc pokoju” szyty z łąt w Stanach, w Izraelu i w Palestynie. Przekazą go tym trzem politykom na trawniku Białego Domu przed Północnym Portykiem. Dzieci będą śpiewały piosenki o pokoju i wypuszczą białe gołębice, kiedy Netanyahu, Arafat i Clinton będą pokazywać koc przed kamerami.

Teraz już wiedziałem, co mnie nurtuje gdzieś w środku. Serce zaczęło mi łomotać i poczułem się tak, jakbym miał zwymiotować. Kiedy zacząłem mówić, mój głos brzmiał zadziwiająco cicho jak na człowieka, którego umysł pracuje na największych obrotach.

- Mają tam być dzieci mojego przyjaciela...

Na jej twarzy odmalowało się przerażenie.

- O cholera, Nick. Jednym z wariantów była eksplozja bomby. To nie był podstawowy wariant, ale teraz kto wie? Nie mają broni palnej i tak będzie najłatwiej.

Znowu zaczęła płakać. Chwyciłem ją i zmusiłem do spojrzenia na mnie. Miała podpuchnięte oczy, a jej policzki były mokre i czerwone.

- Saro, muszę zadzwonić.

- Proszę, nie, Nick - zawołała błagalnym tonem. - Telefonowanie niczego nie rozwiąże. Dzieci twojego przyjaciela mogą się uratować, ale inne i tak zginą.

Położyłem jej rękę na ustach. Wiedziałem, co ma na myśli. Zresztą i tak nie mogłem zadzwonić do Josha, bo miał wrócić tuż przed ostatnią próbą. Czy w ogóle obchodziły mnie te inne dzieciaki? Pewnie że tak, ale nie tak bardzo jak dzieci Josha.

- Muszę zadzwonić do kogoś, żeby zdobyć jego numer. To wszystko.

Odszedłem pospiesznie z powrotem do automatów, wyciągnąłem kartę i wybrałem numer. Znowu trafiłem na pannę Grenfell-Brodie.

- Halo? Tu jeszcze raz Nick Stone. Bardzo mi przykro, że sprawiam pani kłopot, ale czy byłoby możliwe, żebym porozmawiał z Kelly? Zadzwonię jeszcze raz za piętnaście minut, jeżeli można.

Najwyraźniej przyzwyczajała się do tego. Miałem wrażenie, że słyszę, jak wzdycha.

- Tak, oczywiście, ale proszę nie robić tego zbyt często, panie Stone. To zakłóca zajęcia. Rozmowy telefoniczne mogą być zamawiane za moim pośrednictwem w bardziej dogodnych porach.

- Dziękuję, że mi pani to mówi. Nie wiedziałem. To się już nie powtórzy, obiecuję. Czy mogłaby pani poprosić ją, żeby wzięła ze sobą swój notes z adresami?

- Tak, oczywiście. Teraz myje zęby. Niedawno jadła śniadanie. Przyprawdzą ją.

- Dziękuję.

Odłożyłem słuchawkę. Wiedziałem o wymogu umawiania się na rozmowy. Ale w końcu, kurwa, co? Kto płacił rachunki?

- Kto to jest Kelly? - zapytała Sara, unosząc brwi.

- Nieważne.

Staliśmy, czekając. Wiedziałem, że bardzo by chciała zapytać o coś jeszcze, ale znała mnie wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że nie jestem w nastroju do udzielania odpowiedzi.

Coraz bardziej niepokoiło mnie to, że jesteśmy na widoku i dopiero po jakimś czasie uświadomiłem sobie, że nie musimy tkwić przy automatach. Przecież mogłem zadzwonić do Kelly z telefonu komórkowego. Wróciliśmy do mieszkania w milczeniu. Sara nadal obejmowała mnie w pasie.

Zamknąłem drzwi od środka i Sara poszła umyć sobie twarz. Nastawiłem czajnik, rozmyślając o tym, co mi powiedziała. Zazwyczaj nie pamiętałem scen śmierci, których byłem świadkiem, ale teraz miałem tak wyraźnie przed oczyma ciało małej siostrzyczki Kelly, jakby została zamordowana poprzedniego dnia. Żeby nie wiem co, dzieci Josha nie mogły podzielić tego samego losu. Ale czy powinienem mu powiedzieć i ryzykować, że spełni swój obowiązek i poinformuje Secret Service? Ja bym to zrobił na jego miejscu, ale czy to w ogóle miało jakieś znaczenie? Czy uroczystość by się odbyła, gdyby to zrobił? Tak, oczywiście że tak. Ale co z wtyczką? Czy wpłynęłoby to na plany przeprowadzenia zamachu?

Czekając, kiedy zagotuje się woda, nachyliłem się, żeby wyłączyć z gniazdka przewód zamrażarki, ale się powstrzymałem. Sprawy w istocie przybrały inny obrót, ale gdybym wyciągnął przewód, to potwierdziłbym, że miała rację co do mnie. Postanowiłem zostawić go na miejscu.

Obszedłem ladę śniadaniową, by podejść do sofy. Co, do diabła, miałem zrobić w tej sytuacji? Pierwszy impuls nakazywał poinformować Josha i namówić go, by nie pisał nikomu na ten temat, ale nic by z tego nie wyszło. Nawet gdyby, tak jak mnie, wisiąco mu to, co się stanie z ważnymi figurami w Białym Domu, to jednak martwiłby się o dzieci. Znalazłby się od razu w takiej samej sytuacji bez wyjścia jak ja. Na pewno będą tam dzieci jego kolegów, albo kolegów jego kolegów. Bardzo szybko każdy gnojek wiedziałby, co jest grane.

Sara wyszła z sypialni. Była już umyta, ale nadal miała czerwone oczy. Zobaczyła parę unoszącą się z czajnika, więc przeszła obok mnie, żeby zaparzyć kawę. Spojrzałem na zegarek.

Wybrałem numer i tym razem w słuchawce usłyszałem całkiem inny żeński głos.

- O tak, już idzie, powinna tu być lada moment.

- Dziękuję - powiedziałem, przytrzymując telefon przedramieniem w oczekiwaniu na dłuższą przerwę, ale niemal od razu usłyszałem:

- Cześć! Dlaczego znowu dzwonisz? Co się stało?

Pomyślałem przez chwilę, że powinienem mówić tak, jakby moim rozmówcą nie było dziecko, ale uznałem, że nie warto.

- Nic, tylko sprawdzam, czy umyłaś zęby - powiedziałem, wywołując wybuch jej śmiechu. - Masz ze sobą notes z adresami?

- Jasne, że tak.

- Więc w porządku. Potrzebuję numer Josha, bo za chwilę jadę na lotnisko. Wiesz co? Lecę do Waszyngtonu i może się z nim spotkam.

- Super.

- Pewnie, ale potrzebuję numer telefonu, bo zostawiłem go w domu.

- Ach, OK.

Usłyszałem, jak przerzuca kartki w swoim notesie ze zdjęciami Spice Girls. Każda strona była poświęcona innej osobie, a u dołu znajdowała się lista określeń. Kelly mogła ocenić daną osobę przez wpisanie do kratki obok wybranego określenia cyfrowego „współczynnika fajności”. Byłem całkiem dumny, kiedy zobaczyłem, że opisując mnie, wybrała „zabawny i niesamowity” i dała mi ósemkę na dziesięciostopniowej skali „fajności”. Jednak całe moje dobre samopoczucie zniknęło, kiedy odwróciłem kartkę i zobaczyłem, że określiła swoich dziadków jako „dobrych i łagodnych” i dała im dziesiątkę. Może, jeżeli chciałbym osiągnąć wyższą ocenę, powinienem zacząć bez przerwy upychać jej sweter w dzinsach?

Wyrecytowała numer, który wskrobałem na tym samym kawałku okładki z książki telefonicznej, a potem nie przerywając rozmowy, wstukałem go do telefonu.

- Nick, dlaczego lecisz do Ameryki?

- Lecę z przyjaciółką. Ma na imię Sara.

Spojrzałem na nią. Przyglądała mi się pytająco, usiłując zrozumieć, o co chodzi. Byłem pewien, że wie, iż rozmawiam z dzieckiem. Trudno jest ukryć taką rzecz.

- Moja przyjaciółka ma trochę pracy w Waszyngtonie, a ja jej towarzyszę. Hej, może byś chciała z nią porozmawiać?

- Dobrze - zgodziła się bez entuzjazmu.

Może wyczuła, że sprawy mogą się skomplikować. Nie chciałem jej mówić, że są już wystarczająco skomplikowane. Sara podeszła do kanapy z dwoma pełnymi kubkami kawy.

Podąłem jej telefon.

- Sara, to Kelly. Ona chce ci powiedzieć „cześć”.

- Halo? - odezwała się do słuchawki, patrząc na mnie badawczo. - Chwila przerwy, a potem: - Tak, zgadza się. Sara.

Przyglądałem się jej, mając nadzieję, że postąpiłem właściwie. W przyszłości mogło się to przydać.

- Tak, lecę do Waszyngtonu. Co robię? Jestem prawnikiem. Tak, do pracy, tylko na kilka dni, Nick będzie mi towarzyszył.

Najwyraźniej była poddawana szczegółowemu przesłuchaniu.

- Och tak, od dawna, ale nie widziałam go wiele lat. Tak, OK, dam go z powrotem. Miło było z tobą rozmawiać, Kelly. Do widzenia.

- Zadzwoń do mnie w przyszłym tygodniu?

- Obiecuję. Nie martw się, nie dzwonię teraz po to, żeby nie dzwonić w przyszłym tygodniu. Spotkamy się niedługo, nic się nie martw.

Miałem już kończyć rozmowę w zwykły sposób, ale się powstrzymałem. Tym razem sytuacja była inna. Cholera, mogliśmy rozmawiać ostatni raz. •

- Hej, Kelly.

- Co?

- Kocham cię.

- Też cię kocham! - odparła.

Wyglądała na to, że jest nieco zaskoczona, że mówię to pierwszy, ale jednocześnie sprawiło jej to przyjemność.

- Pa, pa. - Odsunąłem powoli telefon od ucha i wyłączyłem.

Nie byłem zbyt pewien swojej reakcji na to wszystko.

- Ile ma lat?

- W zeszłym tygodniu skończyła dziewięć.

- Trzymałeś to w tajemnicy, prawda?

- Ona jest dzieckiem kolegi.

- No pewnie.

- Naprawdę.

Przez chwilę miałem ochotę powiedzieć jej o Kevie i Mar-shy, ale zrezygnowałem.

Siadła przy mnie na sofie, obejmując dłońmi kubek z kawą. Nadal miała podpuchnięte oczy.

- Dobrze się czujesz? - zapytałem.

Skinęła głową, starając się odzyskać jakieś panowanie nad sobą.

- Tak. Słuchaj, dziękuję za... nie wiem, co mnie napadło.

Pijąc kawę, przedstawiłem jej swój plan: pojedziemy do Waszyngtonu i zobaczymy, co Blaszyński uznał za wartę obejrzenia. W zależności od tego, czego się dowiem, zdecyduję, czy powiem Joshowi, czy załatwimy sprawę sami.

Czułem się niezręcznie, jeśli chodzi o Josha, ale usiłowałem się z tym uporać, tłumacząc sobie, że wraca dopiero po południu, kiedy już będę u Mickeya. A więc nie sprzeniewierzałem się naszej przyjaźni. Pociągnąłem kolejny łyk kawy, myśląc: co za bzdury! W głębi duszy wiedziałem, że jestem nielojalny.

Od tej pory wszystko, co było nam potrzebne, miało być opłacane i zamawiane przez Sarę na nazwisko Damley. Takie nosiła nazwisko w ramach swej przykrywki. Nie mogliśmy pozwolić na to, żeby ktoś mógł nas wytropić dzięki mojej karcie kredytowej czy telefonowi. Wróciliśmy z powrotem do automatu i zadzwoniliśmy, by zarezerwować bilety lotnicze. Dowiedzieliśmy się, że możemy wylecieć z Raleigh o ósmej pięćdziesiąt rano samolotem lecącym na lotnisko Washington National.

Wzięliśmy prysznic, pozbieraliśmy wszystko i pojechaliśmy na północ z powrotem ku Raleigh. Drogą płynął nieprzerwany poranny strumień samochodów wiozących ludzi do pracy. Zachmurzyło się, ale jeszcze nie trzeba było używać wycieraczek. Kiedy wyjeżdżaliśmy z miasta, zaczynało świtać. Zatrzymaliśmy się tylko na stacji benzynowej, żeby kupić kawę i niebieską czapkę baseballową dla Sary. Trzymałem jedną rękę na kierownicy, a w drugiej miałem pojemnik z kawą, z którego pociągałem napój przez umieszczoną w pokrywce szczelinę. W pewnym momencie Sara, która obserwowała drogę za nami w bocznym lusterku, wyłączyła radio.

- Nick, mamy kłopoty.

Za nami po prawej stronie zobaczyłem granatowo-biały wóz policji miasta Fayetteville. Zatrzymałem się na światłach, a Sara wyciągnęła pistolet i podłożyła go pod prawe udo. Pamiętając o jej dotychczasowym zachowaniu, na sam widok broni zaczęło mi szybciej bić serce.

- Sara, ja się tym zajmę.

Nie odpowiedziała. Radiowóz zrównał się z nami. Serce waliło mi jak młot. Obydwaj policjanci, jeden czarny, a drugi Latynos, byli ubrani w czarne koszule z krótkimi rękawami i mimo wczesnej pory mieli na oczach okulary przeciwsłoneczne. Ich klatki piersiowe wyglądały na większe niż w rzeczywistości z powodu ukrytych pod koszulami kamizelek kuloodpornych. Czarnoskóry kierowca przypatrywał się nam obojemu, a Latynos siedział z opuszczoną głową, wpatrując się w ekran umieszczony na desce rozdzielczej. Prawdopodobnie sprawdzał rejestrację naszego samochodu. Uśmiechnąłem się do kierowcy jak idiota. Co miałem robić? Przecież nie wydawał mi żadnych poleceń.

Sara wykonała pierwszy ruch. Otworzyła okno i w tej samej chwili zobaczyłem, jak czarnoskóry policjant robi to samo. Jego wąs pasował do koloru okularów, a obydwaj policzki miał poznaczone wypryskami. Nie widziałem jego oczu, tylko odbicie w okularach tego, na co patrzył, ale wyraz twarzy mówił mi, że nie bardzo mu się podobam.

- Hello, proszę pana - przyszła mi z pomocą Sara - czym mogę służyć? Czy coś jest nie tak?

Jej ton brzmiał wprost obrzydliwie. Nie słyszałem nigdy tak dobrze udawanego sposobu mówienia przejętej paniusi.

Policjant na pewno nieraz słyszał już taki tekst, ale nie mówiony z brytyjskim akcentem prosto z Cambridge.

- Tak, pszepani - zabełkotał. - Kierowca tego pojazdu narusza federalne przepisy drogowe przez konsumowanie napoju podczas jazdy.

- Przepraszam bardzo - wyrzuciła jednym tchem - nie wiedzieliśmy o takim przepisie. Właśnie przyjechaliśmy na wakacje z Anglii i...

Latynos pokazał czarnoskóremu policjantowi, że rejestracja jest w porządku. Czarnoskóry odpowiedział skinieniem głowy i odwrócił się do nas. Spojrzał na nas, wysuwając dolną szczękę.

- Proszę pana?

Światła zmieniły się na zielone, ale nikt za nami nie ośmielał się nacisnąć na klakson. Uśmiechnąłem się jak tępy turysta, którego pragnąłem odgrzywać.

- Słucham?

- Proszę pana, proszę nie konsumować napojów na autostradzie. To jest wykroczenie.
- Przepraszam. Już tego nie będę robił.

Usiłując z trudem powstrzymać uśmiech, policjant wybełkotał: „Miłego dnia” - i odjechali.

Po dojechaniu na lotnisko zostawiłem samochód na długoterminowym parkingu. Takich formalności jak zwracanie samochodu firmie wynajmującej nie miałem dziś w planie. Zaczekałem na zewnątrz terminalu, podczas gdy Sarah poszła do środka po bilety. Musiałem zadzwonić do Josha, bo chciałem zostawić wiadomość. Ułożyłem sobie w głowie, co powiem, i nacisnąłem klawiaturę.

- Hilo, hilo - usłyszałem jakiś latynoski kobiecy głos.
- Eee, czy to numer Josha?
- Jish?
- Tak. Czy mogę mu zostawić wiadomość?
- Nie Jish.
- Czy mogę zostawić wiadomość?
- Jish nie ma.
- Wiem. Chcę zostawić wiadomość.
- Ja powiedzieć Jish. Do widzenia.

W słuchawce zapadła cisza. Czuję się tak, jakbym nagle trafił do programu „Faulty Towers”. Wybrałem jeszcze raz numer, kiedy Sara wyszła już na zewnątrz terminalu. Zobaczyła mnie i ruszyła w moją stronę. Podała mi bilet i poszła dalej. Mieliśmy podróżować osobno, jakbyśmy się nie znali.

- Hilo, hilo?

W tle usłyszałem pracujący odkurzacz.

- Proszę powiedz Jish, że Nick leci dzisiaj do Waszyngtonu.
- OK, jis Nick.
- Ciepło, ciepło - pomyślałem.
- O której... godzinie... będzie... w domu?
- On nie w domu.

A jednak wcale nie tak ciepło.

- Muy bien, muchos gracias, señorita - powiedziałem, używając zapomnianych już wyrażań, których nauczyłem się w Gibraltarze, gdzie stacjonowałem jako młody żołnierz. Na koniec dodałem jeszcze jedyne hiszpańskie wyrażenie, jakie oprócz tego znałem: - Hasta la vista, baby.

Przeszedłem przez odprawę i ruszyłem do wyjścia. Mijając stoisko z gazetami, zobaczyłem krzyczące do mnie pierwsze strony lokalnych gazet. Najważniejsze zdjęcie było rozmazanym czarno-białym ujęciem z kamery przemysłowej i pokazywało Sarę i mnie, kiedy wprowadzamy furgonetkę. Z naciągniętą na głowę koszulką Sara wyglądała jak plemnik, a ja byłem pokazany z boku z odkrytą głową. Musiało to być ujęcie wykonane tuż przed tym, kiedy doszło do poważnego nieporozumienia między mną i psem.

Postanowiłem nie kupować gazety ani nie kręcić się w pobliżu. Stoisko z gazetami było w tej samej części sklepu, w której kupiłem poprzednim razem mapy okolicy jezior, może za ladą stała ta sama kobieta i niewykluczone, że potrafiłaby dodać dwa do dwóch. Podeszedłem do wyjścia, żeby tam zaczekać.

24

Po godzinnym locie wylądowaliśmy z opóźnieniem na lotnisku imienia Ronalda Reagana: głównym waszyngtońskim lotnisku dla lotów krajowych, które jest o parę kroków od stolicy. Leży na zachodnim brzegu Potomacu, na południowy zachód od miasta, w pobliżu Pentagonu. Kiedy się ląduje, z samolotu widać korki uliczne wokół wzgórza Kapitolu.

Wysiadłem za Sarą, która już szła za resztą ludzkiego stada do komory bagażowej. Oboje umieściliśmy broń w bagażu, ponieważ przy locie krajowym nie było to zbyt ryzykowne. Odebrałem swoją torbę z podajnika i odszedłem w kierunku automatów telefonicznych. Była dziesiąta dwadzieścia siedem rano.

Moja meksykańska przyjaciółka od razu odebrała telefon.

- Nie Jish. Mas tarde. On dom druga - oznajmiła i odłożyła słuchawkę.

Dotarcie gdziekolwiek w Waszyngtonie taksówką o tej porze dnia jest marzeniem świętej głowy. Jeżeli komuś się śpieszy, to najlepszym rozwiązaniem jest metro. Ruszyłem do stacji przy lotnisku, a Sara do mnie dołączyła. Szła ze spuszczoną głową, na którą wcisnęła głęboko czapkę baseballową. Zatrzymałem się przy automatach biletowych, rzuciłem okiem na mapę i włożyłem do automatu dwa banknoty dolarowe, żeby kupić bilet.

- Spotkanie tu, przy automatach. O drugiej?

Pokręciła głową.

- Nie, nie tutaj. Spotkamy się gdzieś w mieście. Tu ktoś mógłby mnie zobaczyć.

Sądząc po tym, jak czytała instrukcje z tabliczki na automacie, uznałem, że przez cały czas pobytu w tym mieście nigdy nie korzystała z metra. Wygarnąłem biletom resztę z automatu i włożyłem do niego kolejną sumę pieniędzy, żeby kupić bilet i dla niej.

- Muszę przez jakiś czas trzymać się z dala od miasta -powiedziała, przyglądając się mapie połączeń. - Nie powinnam się za bardzo pokazywać. Pojadę na południe i poczekam trochę.

- Znasz księgarnię Bames and Noble przy ulicy M w Georgetown? - zapytałem.

Skinęła głową, dalej patrząc na mapę.

- O drugiej.

Ruszyliśmy ku bramce wyjściowej. Spojrzałem na znaki i pokazałem drogę na jej peron.

- Do zobaczenia o drugiej.

Czubek jej czapki kiwnął potakująco i popłynął ku ruchomym schodom.

Przepisy panujące w waszyngtońskim metrze są proste: odpowiedź na wszystko brzmi - nie. Nie palić, nie jeść, nie używać walkmanów, nie śmiecić, nie wprowadzać zwierząt. Jeżeli jesteście grzecznymi chłopcami i dziewczynkami, to wolno wam czytać gazetę. Stacja, z jej wyprofilowanymi ciem-nopopielatowymi betonowymi elementami i nastrojowym oświetleniem, była tak naga i czysta jak plan filmu science fiction.

Umieszczone w posadzce lampki zamigotały, ostrzegając, że zaraz nadjedzie pociąg. Po chwili sznur smukłych, srebrzystych wagonów wjechał ze szmerem na peron, a drzwi otworzyły się bezszelestnie.

Pojechałem na północ Niebieską Linią. Po drodze minąłem Pentagon, który ma własną stację metra, i Cmentarz Narodowy w Arlington, a potem przejechałem na wschód pod Potomakiem do stacji Foggy Bottom, która znajduje się najbliżej Georgetown oraz skrzyżowania ulicy M z Dwudziestą Trzecią. Wszedłem ze stacji i znalazłem się na ruchliwej ulicy, czułem się czystiej niż wtedy, gdy wsiadałem do metra. Przyjrzałem się mapie na ścianie przy wejściu na stację i zobaczyłem, że czeka mnie tylko dziesięciominutowy spacer na miejsce spotkania.

Idąc na północ, zauważyłem, że pogoda się poprawiła. Tylko pięćdziesiąt procent zachmurzenia i zero deszczu. W porównaniu z ulewami z ostatnich kilku dni było jak w niebie.

Kawiarnię „Bread and Chocolate” przy Dwudziestej Trzeciej ulicy wypełniali pracownicy okolicznych biur, którzy jedli na lunch kanapki i popijali kawę. Przeszedłem na drugą stronę ulicy M i ruszyłem w kierunku mieszkania Sary. Błaszany Mickey wyglądał na trochę za bardzo wyluzowanego, a ja nie chciałem, żeby mnie przerobili i zabrali ze sobą, akurat kiedy będę wgryzał się w kleistą bułkę, popijając cappuccino. Nie podejrzewałem, że coś się może stać podczas spotkania, ale trzeba robić takie rzeczy w odpowiedni sposób. Łatwo wierność jest dobrze wypróbowanym skrótom, który prowadzi do renty inwalidzkiej albo czegoś jeszcze gorszego. Nie wiadomo, kto mógł słuchać jego rozmów telefonicznych, albo może obleciał go strach i poprosił zwierzchników o poradę. Mogli go

wykorzystać, żeby dotrzeć do mnie: do agenta, który powinien być teraz w Karolinie Północnej, żeby załatwić sprawę z Sarą.

Brnąłem dalej, nie patrząc wprost w okno, ale i tak sprawdzając, co się dzieje. Jeżeli ktoś obserwował kawiarnię i zobaczyłby, że przechodzący ulicą podejrzany typ gapi się do środka, to mógł nabrać pewności, że to ten. Wszystko zdawało się w porządku: nie widziałem nikogo, kto by siedział w samochodzie czy płatał się po okolicy. Czy byłem wrabiany przez Blaszanego Mickeya, czy nie, to przecież równie dobrze mogli mieć oko na niego. Z kolei jeżeli przekazał cokolwiek do Firmy, to dowiedziałbym się tego, gdybym tylko go zobaczył. Odniosłem wrażenie, że kiepski z niego kłamca.

Przeszedłem obok sklepu w stylu 7-Eleven i dostrzegłem, że jest w nim niewielka salka z kawą i ciastkami, która brała czynny udział w oskubywaniu pracowników biur z dolarów. W środku nie działa się nic specjalnego: po prostu ludzie objadali się i wymieniali najświeższe plotki.

Dotarłem do skrzyżowania i skręciłem w lewo w ulicę N. Przeszedłem kolejne trzydzieści metrów i znalazłem się mniej więcej na wysokości wejścia do bloku Sary. Zraszacz w ogrodzie znowu pracował na pełnych obrotach. Jeżeli zostałem zauważony, kiedy robiłem rozpoznanie, to teraz musieli iść za mną, przypuszczając, że udaję się do mieszkania.

Z przeciwka zbliżały się dwie atrakcyjne czarne kobiety z kawą i precelkami w rękach. Miałem nie więcej niż trzy sekundy na sprawdzenie ich. Minęły mnie, śmiejąc się i rozmawiając głośno. To był właściwy moment: odwróciłem się, by postać im pełne podziwu spojrzenie w taki sposób, jak robią to mężczyźni w przekonaniu, że ujdzie im to na sucho. Nie przestając się śmiać, odpowiedziały mi spojrzeniem mówiącym „nic z tego, białasi”.

Poza nimi było jeszcze troje kandydatów. Najpierw para w średnim wieku w ubiorach pracowników biurowych. Wyszli zza rogu i podążali za mną. Wyglądali jednak na bardzo zajętych wpatrywaniem się sobie w oczy, zanim nadejdzie pora, żeby wracać do domu, do żony i męża. No tak, ale dobrzy agenci zawsze potrafią stwarzać takie pozory. Kolejny kandydat szedł przed siebie po drugiej stronie ulicy, tam gdzie znajdowało się mieszkanie Sary. Był ubrany w niebieskie dżinsy i ciemnozieloną koszulę z krótkimi rękawami, której poły zwisały swobodnie. Nosiłbym ją tak samo, gdybym chciał ukryć broń i radio.

Odwróciłem się z powrotem w kierunku, w którym szedłem. Nie można się więcej rozglądać. Jeżeli tych dwoje było agentami, to teraz na pewno gruchali do siebie demonstracyjnie, ale zamiast wymieniać słodkie słówka, meldowali przez radiotelefon prowadzącemu operację i innym agentom o tym, gdzie jestem, w co jestem ubrany, jakiego koloru mam torbę i przez które ramię przerzuciłem sobie jej pasek. W dodatku jeśli byli dobrzy, to widząc, że się odwracałem, przekazaliby też, że zachowuję czujność.

Przeszedłem ostatnie dwadzieścia metrów do rogu ulicy i skręciłem w lewo. Byłem teraz na Dwudziestej Czwartej ulicy, równoległej do Dwudziestej Trzeciej. Skręciłem już za drugi róg. Jeżeli na miejscu naszego spotkania był jakiś podsłuch czy punkt obserwacyjny, to tu właśnie, po drugiej stronie kwartału budynków, mogli być rozstawieni ludzie, którzy czekali na hasło, by wkroczyć do akcji. Jednak nic na to nie wskazywało: po prostu dużo samochodów i ludzi stojących po lunch w kolejkach do straganów z preclami.

Para nadal była za mną. Może chcieli kupić precle, a może powiedzieli Zielonej Koszuli, że mogą podprowadzić cel za róg budynku w kierunku ulicy M. Zatrzymałem się przy ostatnim ze straganów i kupiłem colę, obserwując rejon, skąd właśnie przyszedłem. Zakochani byli teraz przy środkowym straganie, też robili zakupy. Odszedłem, dotarłem do M i skręciłem w lewo, znowu w kierunku Dwudziestej Trzeciej ulicy i umówionego miejsca spotkania. Obszedłem już trzy rogi, obchodząc kwartał, co nie było naturalnym zachowaniem. Wszedłem do bramy biurowca i otworzyłem colę. Jeżeli zakochani by mnie minęli, to zrezygnowałbym ze spotkania. Ale przecież żaden dobry agent nie skręci za trzeci róg. Nie znosiłem zabezpieczania terenu, szczególnie jeśli osobiście miałem brać udział w spotkaniu. Tak trudno jest być czegokolwiek pewnym.

Nic się nie wydarzyło w ciągu pięciu minut, których potrzebowałem na dokończenie puszki, więc uznałem, że nadeszła właściwa pora na wydobycie z torby broni. Pomijając wszystko inne, jeśli grzebałem w torbie jak turysta szukający mapy, to miałem pretekst, żeby dalej tam stać, mimo że skończyłem pić. Dyskretnie podłączyłem magazynek do swojego chińskiego wynalazku i wsunąłem broń pod pas spodni, sprawdzając jednocześnie, czy poła kurtki zasłania broń i czy bezpiecznik jest nastawiony na samoczynne przeładowywanie. Ruszyłem dalej i w końcu skręciłem znowu w Dwudziestą Trzecią ulicę i wszedłem do 7-Eleven.

Kupiłem drożdżówkę, gazetę i największą z możliwych porcję kawy i usiadłem przy stoliku, skąd miałem dobry widok na miejsce spotkania. Zostało mi jeszcze dwadzieścia pięć minut.

Siedziałem, obserwując ludzi, którzy mijali sklep po obu stronach ulicy. Przechodzili tędy, żeby zobaczyć, czy jesteśmy w środku? To nie chorobliwa podejrzliwość, ale zwracanie uwagi na szczegóły. Nie jest tak jak w filmach, w których otyli policjanci siedzą w samochodzie z włączonym silnikiem na wprost celu obserwacji, narzekają na żony i opychają się hamburgerami.

Nikt nie wszedł, żeby zaraz wyjść na zewnątrz, i nikt nie włączył się w pobliżu, mamrocząc w kołnierz. To wszystko znaczyło, że albo ich tam nie ma, albo że są naprawdę bardzo dobrzy. Samochody, ciężarówki i taksówki przejeżdżały z rumorem jednokierunkową ulicą z prawej strony na lewą. Kiedy na skrzyżowaniu z ulicą M zapaliło się czerwone światło, ruch zamarł i wtedy zobaczyłem Blaszanego Mickeya. Siedział z tyłu w taksówce, zagłębiając się w siedzeniu i opierając głowę o zagłówek. Nie widziałem jego oczu, ale miałem nadzieję, że również zadał sobie trochę trudu, żeby obserwować swoją trasę. Może nie był aż tak bardzo tępy, jak sądziłem. Samochody ruszyły i zniknęły mi z pola widzenia.

Jeżeli było cokolwiek, czego bym nie znosił bardziej niż obserwacji terenu przed spotkaniem, to samego spotkania. Ludzie giną właśnie w takich prostych sytuacjach, tak jak policjant ruchu drogowego, który zatrzymuje samochód za przejechanie na czerwonym świetle i dostaje kulę od kierowcy.

Siedziałem dalej, obserwując i czekając. To, że spędzam tam tak dużo czasu, nie mogło wzbudzić niczyich podejrzeń. Lokal był pełen gości, a wielkość porcji kawy sygnalizowała, że nie jestem człowiekiem, któremu gdzieś pilno. Rozejrzałem się dookoła jeszcze raz tylko po to, by się upewnić, że nie siedzę obok jakiegoś narwańca. Zdarzyło mi się to raz niedaleko od Londonderry. Czekałem późną nocą w samochodzie, żeby uprowadzić jednego gościa, kiedy nagle zauważyłem koparkę, która swoim czerpakiem przymierzała się, żeby zmiażdżyć samochód razem ze mną. Okazało się, że kierowcę wkurzyło, że zaparkowałem przed domem jego brata. Może robili to zawsze z każdym facetem, gdy zobaczyli, że dłubie sobie w nosie przed ich domem.

Mickey pokazał się punktualnie, ale nie nadszedł z tej strony, z której się go spodziewałem. Nadszedł z prawej strony, czyli z tego samego kierunku, z którego nadjechał taksówką. Był ubrany jak poprzednim razem, w ten sam krzykliwy garnitur i błyszczącą koszulę. Może myślał, że będę miał trudności z rozpoznaniem go. Przez prawe ramię przerzucił torbę laptopa. Czyżby to, co chciał mi pokazać, znajdowało się na twardym dysku i ten dureń przyniósł go ze sobą? Może jednak nie należał do najbystrzejszych.

Wiedziałem z naszego ostatniego spotkania, że jest praworęczny, i zauważyłem, że ma zapiętą marynarkę. Było więc możliwe, że nie ma przy sobie broni. Nie miało to na tym etapie wielkiego znaczenia, ale trzeba myśleć o takich sprawach, na wypadek gdyby sytuacja przybrała niekorzystny obrót.

Rozejrzał się już wcześniej po terenie, toteż teraz bez wahania wszedł do kawiarni. Jednak był dobry. Rzeczywiście zrozumiał, co miałem na myśli, mówiąc o sponsorowaniu spotkania. Wiedział, że będę go obserwował i krył jego tyłek tak samo jak swój.

Obserwując go, odczekałem jeszcze pięć minut od umówionej pory spotkania. Gdybym nie podszedł do niego, poczekałby kolejne dwadzieścia pięć minut, a potem spróbowałby jeszcze raz jutro o tej samej porze. Nic nie wskazywało na to, że spotkanie zostało zdekonspirowane. Wstałem ze stołka, zostawiając resztę kawy i drożdżówki i sprawdzając, czy broń nie ma mi ochoty wypaść z trzaskiem na podłogę. Nie podobało mi się to, że nie mam ukrytej kabury, już dwa razy w ten sposób zgubiłem broń. Wyszedłem na zewnątrz i rozejrzałem się jeszcze raz, przechodząc przez ulicę. Dalej nic. Dość tego, ile, kurwa, można się rozglądać?

Pociągnąłem drzwi ku sobie, widząc jego plecy w kolejce przy ladzie. Lokal był nadal zapchany. Przeszedłem obok niego i odegrałem zaskoczenie.

- Cześć! Co tu robisz?

Odrzucił się i uśmiechnął, robiąc zadowoloną minę w stylu: „Och! Tak dawno cię nie widziałem”. Podaliśmy sobie ręce.

- Jak się cieszę, kopę lat - rzucił z radosną miną. - Siądziesz ze mną na kawę i coś grzesznego?

Rozejrzałem się. Wszystkie miejsca były zajęte.

- Wiesz co - powiedziałem - ten lokal po drugiej stronie ulicy nie jest taki zapchany. Chodźmy tam.

Zgodził się z jeszcze radośniejszym uśmiechem. Kiedy wyszliśmy na ulicę, klepnął mnie w ramię.

- Taaak się cieszę, że to zaproponowałeś. Wiesz, tu jest tak zawsze w porze lunchu. Nie wiem, po co tam chodzę.

Ku mojemu zdziwieniu wyglądało na to, że nie ma zamiaru przejść przez ulicę, ale że skręca, by pójść w kierunku ulicy M. Wziąłem z niego przykład, posyłając mu pytające spojrzenie. Mickey objął mnie ramieniem.

- Pójdziemy do Sary, tam jest trochę intymniej - oznajmił i dodał, poklepując torbę laptopa - przyniosłem nawet trochę mleka do earl greya. Wiesz, w Georgetown jest mały sklepik, w którym dostają herbatę prosto od samego sir Thomasa Liptona!

Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Może miał nadzieję, że wezmę pod uwagę jego inicjatywę, kiedy będę sporządzał raport. Ale do diabła z mlekiem, chciałem zobaczyć, co ma oprócz tego.

Szliśmy Dwudziestą Trzecią ulicą, a ja nadal odgrywałem rolę najlepszego kumpla w sytuacji: „Jak się cieszę, że cię widzę”. Nie mogłem zdecydować się, czy on jest naprawdę dobry, czy nie bardzo kontaktuje. W każdym razie byłem zadowolony z tego, że potrafię biegać szybciej niż on i że mam broń.

- Zostawię teraz obserwację tobie - powiedział. - Pewnie jesteś w tym o wiele lepszy ode mnie.

Roześmiałem się, kiwając potakująco głową, tak że każdy, kto by nas obserwował, przypuszczałby, że właśnie powiedział dowcip.

- A tak przy okazji - powiedział z szerokim uśmiechem - widzisz tego faceta, co siedzi na rogu? On zawsze tu się kręci, pracuje tutaj. Na pewno zwrócisz na niego uwagę.

Rozejrzałem się i zobaczyłem Zieloną Koszulę, który siedział z zapalonym papierosem na murku na prawo od mieszkania Sary.

- To tak na wszelki wypadek, gdybyś się zaczął martwić. Może już go widziałeś podczas obserwacji. Ja z pewnością tak, jak przejeżdżałem. Prawdę mówiąc, zawsze się za nim rozglądam. Czuję się lepiej, kiedy wiem, że on tu jest - dodał z amorkowatym uśmiechem.

Kiedy dotarliśmy do wejścia, zraszacz nadal polewał kwiaty, a Wayne siedział rozparty na krześle za biurkiem i czytał gazetę. Czuję się tak, jakbym oglądał powtórkę ujęcia: obydwaj byli tak samo ubrani i nawet dialog pomiędzy nimi był ten sam.

- Hello, Wayne, jak leci?

Wayne odłożył gazetę i uśmiechnął się jak idiota. Najwyraźniej znowu świetnie mu szło.

- Bardzo dobrze. A co u pana?

- Wszystko cacy - odparł Mickey z takim uśmiechem, że kąciki ust niemal dotknęły mu uszu.

Zbliżyliśmy się do Wayne'a, który skupił teraz całą uwagę na mnie. Czuję się naprawdę tak, jakbym był witany w domu wariatów.

- Jak się pan ma? Potrzebuje pan dalej tego miejsca do parkowania? Jak pan chce, to migiem załatwię!

- Będę o tym pamiętał. Dziękuję - odparłem.

- Hej, nie ma sprawy - odrzekł, podnosząc rękę.

Zatrzymaliśmy się przy ladzie i Błaszany Mickey włączył swój głos gospodarza teleturnieju.

- Wayne, jakbyś zajrzał do szuflady z przesyłkami, to na pewno znalazłbyś dużą kopertę ze stemplem UPS zaadresowaną do Sary.

Wayne zajrzał do szuflady, pogrzebał w niej przez chwilę i podał kopertę.

- Och, dziękuję ci, Wayne. Mam nadzieję, że nadal będziesz miał miły dzień!

Pożegnaliśmy się i podeszliśmy do windy. Mickey zobaczył, że spoglądam na kopertę i gdy tylko zaniknęły się za nami drzwi, uniósł brew.

- Ojej, panie Snell, chyba nie spodziewał się pan, że noszę te materiały ze sobą, prawda?

Mieszkanie Sary wyglądało tak samo, jak je zostawiłem. Czuć było nawet słaby zapach przypalonego jedzenia. Błaszany Mickey zmarszczył nos.

- Gotowałem parę dni temu - wyjaśniłem, zamykając za nami drzwi.

- Och, tak. To właśnie to - powiedział, podchodząc do kuchni. - Poprosiłbym o przepis, ale... - Znowu zmarszczył nos - Mogę ci zrobić herbatę?

Rzucił kopertę na kanapę i rozpiął zamek w torbie.

Podszedłem do kanapy i spoglądając na zegarek, usiadłem obok koperty. Wyglądała na dość grubą, ale miałem dużo czasu do spotkania z Sarą.

Otworzyłem zewnętrzną foliową kopertę UPS, słysząc, jak Mickey napełnia czajnik wodą. W środku była kolejna, oklejona taśmą przylepną szara koperta formatu A3. Błaszany Mickey wrócił do pokoju.

- To wydruki i teraz ty się o nie martw.

Wyraźnie był zadowolony z siebie.

- Skąd to wszystko wzięłeś?

Posłał mi diaboliczny uśmiech i zmrużył oczy.

- Nie zadawaj żadnych pytań, to nie usłyszysz żadnych kłamstw, tak zawsze mówiła mi kochana mamusia.

Podszedł do kanapy i usiadł obok mnie.

- Jednak ja mam przyjaciela - zakreślił w powietrzu palcami znak cudzysłowu - który ma dostęp do Intelinku.

Splótł razem dłonie, chowając je między uda i całkiem nieźle odgrywając kota z Cheshire. Nie widziałem go jeszcze aż tak zadowolonego, ale miał do tego wszelkie podstawy.

System Intelink został uruchomiony w 1994 roku. Nigdy wcześniej zapotrzebowanie na aktualne wiadomości wywiadowcze nie było tak istotne jak w czasie wojny w Zatoce Perskiej, kiedy generał Schwartzkopf publicznie narzekał, że obrazy satelitarne nie są dostatecznie szybko przekazywane. Wkrótce ta sieć zaczęła być używana jako centralny system informacyjny przez wszystkie trzydzieści siedem współpracujących ze sobą instytucji policyjnych i wywiadowczych Stanów Zjednoczonych, od CIA do FINCEN (czyli Agencji do spraw Walki z Przestępstwami Finansowymi), oraz inne instytucje mające związek z bezpieczeństwem państwa i armią. Wiedziałem, że przynajmniej pięćdziesiąt tysięcy osób dysponuje hasłami dającymi dostęp do Intelinku na różnych poziomach.

Woda zagotowała się i czajnik wyłączył się automatycznie. Mickey zerwał się na nogi.

- Herbata! Mleko? Cukier? - zawołał.

- Mocna. Wstrząsana, nie mieszana.

Roześmiał się, a ja już wydobywałem plik papierów w formacie A4, które znajdowały się w trzech przezroczystych foliowych osłonkach. Bez wątplenia były to materiały z Intelinku. Na pierwszym pliku dokumentów dojrzałem naklejkę META <„il.cia”> rozkaz numer 12958: tajne informacje dotyczące bezpieczeństwa narodowego. META (czyli Megadata) jest systemem używanym do wyszukiwania potrzebnych rzeczy spośród setek tysięcy dokumentów. Zasób zgromadzonych informacji liczy prawie pół miliona elektronicznych stron, ale wystarczą niecałe dwie godziny, żeby dotrzeć do ponad osiemdziesięciu procent wszelkich dokumentów Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

Reszta nagłówek podawała stopień tajności. Dokument, który miałem przed sobą, został oznaczony jako Intelink P, innymi słowy był wykorzystywany wyłącznie przez CIA, która ten ściśle tajny materiał udostępniała tylko najwyższym urzędnikom państwowym.

Mickey wrócił z herbatą, gdy już skończyłem przeglądać resztę nagłówek. To wszystko wyglądało nieźle. Znalazłem jeszcze jeden Intelink P oraz Intelink TS, również tajny, na tym poziomie dostęp do dokumentów miało około jednej trzeciej pracowników służb wywiadowczych. Pragnąłem zabrać się do czytania. Spojrzałem na Mickeya, który przesunął w moim kierunku łyżeczkę z kostką cukru. Pokręciłem głową.

- Jak, u diabła, twój przyjaciel zdobył te rzeczy?

Usiadł i zabrał się do wkładania czterech kostek cukru do filiżanki.

- Cóż, założeniem tego wszystkiego jest przepływ informacji w dół albo w górę, zgodnie z różnymi nakładającymi się na siebie stopniami tajności. Obecnie używane są standardowe narzędzia COTS, ale nie są szczególnie wzmacniane wielopoziomowymi zabezpieczeniami. Nie zawierają odpowiednich haczyków, toteż na razie różne poziomy agencji bezpieczeństwa są obsługiwane przez różne poziomy zabezpieczeń i dlatego problem polega na podnoszeniu lub obniżaniu stopnia tajności informacji.

Przestałem słuchać go w środku jego gadaniny.

- O czym ty, do diabła, gadasz?

Z trudem mieszałem gęstą od cukru herbatę.

- Jeżeli mówią, że coś jest istotną kwestią, to znaczy to, że jeszcze się z tym nie uporali. Od czasu do czasu da się ogłupić system. Szczególnie jeżeli jest nowy i potrzebuje czasu, żeby się dotrzeć.

Znowu zrobił minę kota z Cheshire i pociągnął łyk przesłodzonej herbaty. Pomyślałem, że kiedy się odezwie, mogą mu wypaść zęby.

- Jedyny poziom, na który w tej chwili nie można się dostać, to nowy, czwarty poziom. Nie znam nawet jego nazwy. Może ma do niego dostęp tylko prezydent i paru jego najlepszych kumpi, kto wie?

Nawet nie tknąłem swojej herbaty, tylko przerzucałem strony w poszukiwaniu rzeczy, które mógłbym zrozumieć. Mickey znowu siorbnął i głośno połknął herbatę.

- Tu jest dużo rzeczy, z których nie będziesz miał żadnego pożytku. Wyciągnął po prostu wszelkie dokumenty zawierające informacje, które mogą mieć z tym związek. Fajny z niego chłopak. Pij herbatę, Nick, bo wystygnie.

Skinąłem głową, nie odzywając się ani słowem. Zrozumiał sugestię: usłyszałem, jak odstawia filiżankę na spodek. Wstał, poszedł do kuchni i wrócił ze swoją torbą od laptopa.

- Mam nadzieję, Nick, że będzie ci się ciekawie czytało. Zostawiłem ci mleko i herbatę.

Spojrzałem na niego.

- Dzięki, stary.

- Oczywiście zniszczysz wszystkie dokumenty, zanim wyjdiesz?

- Nie ma sprawy.

Podszedł do drzwi i odwrócił się do mnie, przytrzymując je kciukiem i palcem wskazującym.

- A propos, przekaż ode mnie pozdrowienia Sarze. Powiedz jej, że jak będzie potrzebowała kluczy, to są u Wayne'a.

Spojrzałem na niego, starając się zrobić zmieszaną minę.

- Eee, co?

W jego oczach pojawiły się wesołe iskierki.

- O, tak łatwo cię przejrzeć, Nick! Ocena! Majtki, o to chodzi, sterta koronkowych majtek. Nie jestem taki stuknięty, wiesz? Na pewno ci powiedzieli, że jestem. Cóż, niech sobie tak myślą. Renta, tylko o to mi chodzi, o moją absolutnie wspaniałą rentę inwalidzką - dodał bardzo rozbawiony całą sytuacją i odwrócił się do wyjścia.

- Michael, podziękuj swojemu koledze za pomoc - powiedziałem.

Uśmiechnął się, co miało sugerować, że już się tym zajął.

- Nie ma sprawy. Pamiętaj, pozdrów ode mnie serdecznie Sarę. Cześć.

Drzwi się zamknęły. Wstałem z kanapy i przekręciłem gałkę zamka. Gdyby ktokolwiek postanowił zaatakować mieszkanie, to dzięki zamkowi powinienem zdążyć spuścić papiery w toalecie.

Spojrzałem na zegarek. Godzina do spotkania z Sarą. Wydobyłem papiery oznaczone Intelink P: rozkaz numer 12958. Zacząłem przeglądać strony, ale tekst nie miał dla mnie żadnego znaczenia: po

prostu mnóstwo wytycznych dotyczących zabezpieczenia dokumentów. Może kolega Mickeya nie był pozbawiony poczucia humoru.

W dalszej kolejności znalazłem rozkaz 12863 na temat PFIAB (Prezydencki Komitet Doradczy ds. Wywiadu Zagranicznego) i rozkaz 12968: dostęp do tajnych informacji. Przerzuciłem tony papieru pełne skrótów i akronimów. Nie rozumiałem z tego ani trochę.

W pewnym momencie zobaczyłem, dlaczego otrzymałem te materiały. Jedna z podsekcji miała nagłówek „Jusuf”. Czując przyływ adrenaliny, zacząłem powoli czytać, starając się zrozumieć każde słowo.

Od roku 1995 wielu ważnych urzędników w administracji Clintona było pod obserwacją FBI. Początkowo podejrzewano, że któryś z nich szpieguje na rzecz rządu Arabii Saudyjskiej, ale ostatnio zaczęto przypuszczać, że przekazywane informacje trafiają do bin Ladena. Według raportu poszukiwania Jusufa zawężyły się do ważnych urzędników w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego, zatrudniającej tysiąc dwieście osób, instytucji, która doradza prezydentowi w sprawach dotyczących wywiadu i obrony i której siedziba mieści się w Białym Domu.

Podniosłem filiżankę z letnią herbatą. Była do niczego, musiałem sobie zaparzyć nową. Poszedłem do kuchni z dokumentami w ręku. Znajdowało się w nich mnóstwo branżowego żargonu i śmiecia, ale wyraźnie wynikało z nich, że polowanie na Jusufa zaczęło się po przechwyceniu informacji przesłanej z Waszyngtonu na farmę bin Ladena w Sudanie. Z jej analizy wynikało, że jakiś agent może zdobyć kopię tajnego listu Warrena Christophera, ówczesnego sekretarza stanu, w którym określano amerykańskie zobowiązania wobec Palestyńczyków w bliskowschodnim procesie pokojowym.

„Jusuf nie jest od takich rzeczy” - brzmiała przesłana z Sudanu odpowiedź.

Dalej raport podawał, że uważano, iż po przechwyceniu powyższej korespondencji, istniała mała szansa na odkrycie tożsamości Jusufa, ponieważ musiał być jednym z pierwszych, którzy dowiedzieli się o tym fakcie za pośrednictwem Intelinku. W wyniku tego zostałyby zawieszony kontakty między nim a jego prowadzącymi. Roześmiałem się w duchu. Może czwarty poziom Intelinku był właśnie po to, żeby trzymać takich jak on poza kręgiem wtajemniczonych.

W tekście były odsyłacze do innych dokumentów związanych z Jusufem, ale przyjaciel Mickeya nie dołączył ich. Postawiłem filiżankę na podłodze i wziąłem do ręki kolejny dokument Intelink P. Jego tytuł brzmiał po prostu „Centrum Antyterrorystyczne” i pochodził z CIA. Nie był to wprawdzie cały dokument, tylko wstęp, ale nawet on zajmował piętnaście stron. Zdecydowanie potrzebowałem jeszcze więcej herbaty.

Kiedy administracja Clintona zaakceptowała pomysł powołania wyspecjalizowanych jednostek mających na celu infiltrację organizacji terrorystycznych i zakłócanie ich działań, CIA założyła Centrum Antyterrorystyczne: centralną komórkę do opracowywania informacji wywiadowczych. Zadaniem centrum było „zapewnić prezydentowi więcej możliwości przeprowadzenia akcji skierowanych przeciwko zagranicznym terrorystom, które mają na celu zapobieganie międzynarodowemu terroryzmowi, zakłócanie jego działań i zniszczenie go”. Owe możliwości obejmowały tajne operacje mające na celu zapobieganie aktom terroryzmu lub akcje odwetowe za zamachy na Amerykanów. Wysłano za granicę nowe kadry tajnych oficerów CIA, a zadania agentów CIA zostały rozszerzone o ocenianie i przewidywanie zagrożeń w stosunku do żołnierzy armii amerykańskiej stacjonujących za granicą.

Częścią tej strategii było stworzenie nowego poziomu współpracy pomiędzy CIA a jej tradycyjnym rywalem - Federalnym Biurem Śledczym. Rezydujący za granicą ważni agenci FBI odbyli długie i zakończone powodzeniem spotkania z rezydentami CIA; pierwsze z nich w ambasadzie USA w Rzymie, drugie w ambasadzie w Londynie. Miały one na celu wypracowania metod współpracy w działaniach przeciwko terrorystom i innym międzynarodowym przestępcom.

Usłyszałem, jak czajnik wyłącza się automatycznie, ale nie ruszyłem się do niego przez chwilę, bo to wszystko stawało się coraz bardziej interesujące. Wiedziałem, że takie spotkanie byłoby nie do pomyślenia jeszcze dwa lata temu, kiedy obydwie agencje rzucały się sobie do oczu w związku z działaniami podczas dochodzenia i późniejszego aresztowania Aldricha Amesa, rosyjskiego szpiega umieszczonego wewnątrz CIA.

Odłożyłem dokumenty, wrzuciłem saszetkę herbaty do filiżanki i zalałem ją wodą. Następną stroną poświęconą była grupie Sary. Ta jednostka odniosła wiele sukcesów. Brytyjska policja przeszukała londyński dom pewnego Algierczyka Ra-chida Ramdy i odkryła dowody potwierdzające jego

powiązania ze Zbrojnymi Grupami Islamskimi, algierską organizacją podejrzewaną o dokonanie siedmiu zamachów bombowych we Francji w 1997 roku, w których wyniku zginęło siedem osób i zostało rannych sto osiemdziesiąt. Policja odkryła również dokumenty potwierdzające przelew pieniędzy i stwierdziła, że były to fundusze przekazywane z kwatery głównej bin Ladena w Sudanie.

W Egipcie służby bezpieczeństwa zdemaskowały spisek autorstwa ekstremistycznej grupy Islamski Dżihad, mający na celu zamordowanie prezydenta Hosni Mubaraka. Wyglądało na to, że grupa Sary bada dowody wskazujące, iż bin Laden pomógł finansować spiskowców. Dysponowali także dowodami, że bin Laden w znacznym stopniu finansował obóz szkoleniowy Kunar w Afganistanie, w którym szkolono rekrutów dwóch egipskich organizacji terrorystycznych, czyli Islamskiego Dżihadu i Grup Islamskich. Poza tym w północnym Sudanie znajdowały się trzy wspomagane finansowo przez bin Ladena obozy szkoleniowe dla terrorystów, gdzie ćwiczyli ekstremiści z Egiptu, Algierii i Tunezji.

Wrzuciłem saszetkę do zlewomywaka, dolałem mleka do herbaty i podszedłem do kanapy, by dalej czytać. Wraz z upływem kolejnych minut wyjaśnienia Sary co do przebiegu wypadków stawały się coraz bardziej przekonujące. Usiadłem znowu na kanapie. Żeby śledzić działania bin Ladena, Agencja Bezpieczeństwa Narodowego korzystała ze swoich satelitów szpiegowskich w celu prowadzenia podsłuchu rozmów telefonicznych i przechwytywania poczty elektronicznej z całego świata. Analitycy z CIA zdołali ustalić, że bin Laden w styczniu spotkał się z najważniejszymi członkami swej siatki w celu przygotowania nowych ataków terrorystycznych. Wkrótce potem publicznie ujawnił swoje zamiary, kiedy wydał fatwę wzywającą muzułmanów do zabijania Amerykanów.

Wypiłem łyk herbaty i oparłem filiżankę o klatkę piersiową.

Amerykańscy pracownicy urzędów państwowych mają zakaz brania udziału w planowaniu zabójstwa. Jednak po wydaniu owej fatwy nazwisko bin Ladena pojawiło się w tajnym rozkazie prezydenckim podpisanym przez Billa Clintona, który dotyczył tajnych operacji przeciwko terroryzmowi. Rozkaz ten upoważniał agencje wywiadowcze do planowania i wykonywania tajnych operacji, które mogły doprowadzić do ofiar śmiertelnych. Tego rodzaju działania były konieczne, jak konkludował raport, z dwóch powodów:

„1. Jesteśmy przekonani, że bin Laden planuje nowe akty terrorystyczne skierowane przeciwko interesom Ameryki.

2. Jesteśmy przekonani, że problem polega nie na tym, czy bin Laden zaatakuje, ale kiedy to zrobi”.

Pochyliłem głowę, wysączyłem resztę herbaty i spojrzałem na zegarek: trzydzieści minut do spotkania.

Wróciłem do kuchni i nastawiłem elektryczną płytkę do gotowania. Odstawiłem filiżankę na blat, położyłem obok obydwie przeczytane pliki papierów i zabrałem się do trzeciego. Pochodził z instytucji kryjącej się pod nie znanym mi akronimem DOSFAN. Dokument omawiał sprawy związane z prowadzonymi na całym świecie dochodzeniami w sprawie siatki bin Ladena i aresztowaniami jego agentów.

Płytką rozgrzała się już do czerwoności. Na suficie był czujnik alarmu przeciwpożarowego, stanąłem na zlewomywaku i wyciągnąłem z niego baterię. Przyłożyłem jedną z przeczytanych kartek do płytki i gdy tylko się zapaliła, włożyłem ją do zlewomywaka, położyłem na wierzch kilka kolejnych kartek i przystąpiłem do dalszego czytania.

Pierwsze kilka stron poświęconych było ludziom odpowiedzialnym za zamach bombowy na World Trade Center. Byli to Mohammed Salameh, Palestyńczyk, i mieszkający z nim w Jersey City Irakijczyk - Ramzi Ahmed, który walczył dawniej w Afganistanie, a we wrześniu 1992 roku przyleciał z Pakistanu na międzynarodowe lotnisko imienia Kennedy'ego.

Po zamachu, zanim został aresztowany trzy lata później, spędził większość czasu w należącym do bin Ladena pensjonacie o nazwie Dom Męczenników, w mieście Peszawar w Pakistanie.

Tym samym samolotem przybył do Stanów w 1992 roku Ahmad Ajaj, palestyński weteran z Afganistanu, który przywiózł pełną walizkę instrukcji dotyczących sporządzania bomb. Ajaj został skazany w procesie dotyczącym zamachu na World Trade Center, podobnie jak Mahmoud Abouhalima, który zbierał pieniądze dla afgańskich rebeliantów. Kiedy został aresztowany w Egipcie, wyjawiał, że zamach został zaplanowany w Afganistanie przez weteranów dżihadu.

Mohammed Salameh, Nidal Ayyad i Mahmoud Abouhalima zostali zwerbowani przez Ramzi Ahmeda w czasie spotkania w jednym z meczetów w Nowym Jorku. Pomogli mu w zakupie i mieszaniu wybuchowych środków chemicznych w mieszkaniach i w wynajmowanym magazynie w Jersey City. Kolejnym zwerbowanym był Irakijczyk Abdul Rahman Yasin.

Co chwila zasilalem ognisko w zlewozmywaku. W polowie trzeciej strony odkryłem, co oznacza skrót DOSFAN: Wydział Spraw Zagranicznych Departamentu Stanu (sekcja polityki bliskowschodniej).

W dalszej kolejności raport wymieniał członków pewnej organizacji, która była pod obserwacją; ich nazwiska zgadzały się z podanymi mi przez Sarę. Skończyłem czytanie ostatnich czterech stron i również je spaliłem. Czułem się tak, jakbym czytał w przyspieszonym tempie Wojnę i pokój Tolstoja.

Odkręciłem kran i nacisnąłem guzik rozdrabniania odpadów. Rozległ się szcęk metalu i czarny popiół zaczął znikać. Pozbierałem myśli i uznałem, że to wszystko nic nie zmienia. Dalej obchodziły mnie tylko dzieci Josha.

Była jeszcze jedna rzecz, co do której Sara miała rację: nie było do kogo się zwrócić. Nie mogłem założyć, że Josh nie skontaktuje się z którymś ze swoich przełożonych. Nawet gdyby jego dzieci nie poszły na uroczystość, to inne nadal byłyby zagrożone, Josh nie mógłby na to patrzeć z założonymi rękami.

Kiedy ostatnia garść popiołu spłynęła w wirze do otworu, zakręciłem kran i wyłączyłem rozdrabniacz odpadów. Miałem już tylko pięć minut do spotkania. Spóźniałem się, ale ona i tak chyba nie miała dokąd pójść.

Do diabła, wprowadzę ją do Białego Domu bez informowania

Josha, co zamierzamy. Nie bardzo wiedziałem, jak chcę tego dokonać. Znowu poczułem się bardziej tępy niż Bond.

Wszedłem do księgarni po uprzednim sprawdzeniu terenu. Kawiarnia była w tylnej części. Dojrzałem Sarę przy jednym ze stolików: trzymała przed sobą wysoką filiżankę z kawą z mlekiem. Była ubrana o wiele bardziej elegancko niż wtedy, kiedy widziałem ją ostatnio. Baseballowa czapka gdzieś zniknęła, ale miała za to na sobie popielaty kostium ze spodniami i eleganckie pantofle, które musiały niezłe naruszyć jej kartę kredytową. Wyraz jej twarzy całkowicie się zmienił dzięki ciemnym okularom w grubej prostokątnej oprawce. Kiedy zbliżyłem się do niej, uśmiechnęła się i obdarzyła mnie wyszkoloną na takie okoliczności miną typu: „Cześć, jak miło cię spotkać”. Ja sam miałem minę zaskoczoną i zachwyconą, nawet nie musiałem udawać. Wstała, żebyśmy się czule ucałowali w policzki.

- Jak się masz? Co za miłe spotkanie - wyraziła swoje zadowolenie na użytek otaczających nas ludzi.

Usiedliśmy. Postawiłem moją nylonową torbę obok jej nowej skórzanej torebki i dopasowanego wyglądem neseseru. Dostrzegła moje zdziwione spojrzenie.

- No cóż, powinnam odpowiednio wyglądać. Jestem prawnikiem, pamiętasz?

Uśmiechnąłem się, a ona zatrzymała na mnie wzrok na kilka sekund, a potem pociągnęła w wystudiowany sposób łyk kawy. Uśmiechnęła się do mnie nieznacznie.

- No i jak? - zapytała.

Mogłem tylko skinąć z aprobatą głową.

- Dobra, bierzemy się do roboty. Ale zrobimy to w taki sposób, w jaki powiem, OK?

Odpowiedziała skinieniem głowy, a jej słaby uśmiešek powoli przerodził się w szeroki, triumfujący uśmiech.

- Miałam rację, prawda?

Wyszliśmy z księgarni i ruszyliśmy przed siebie ulicą. Opowiedziałem jej wszystko: od tego, co powiedzieli mi Lynn i Elizabeth, aż po wydarzenia nad jeziorem. Pomiąłem tylko sprawę TI04, zamiast której wstawiłem kawałek o powrocie do Wielkiej Brytanii. Nie zadawała żadnych pytań. Powiedziałem jej także o Kelly: o wydarzeniach, które doprowadziły do tego, że zostałem jej opiekunem, i o tym, co ma z tym wszystkim wspólnego Josh. Te sprawy i tak bez wątpienia pojawiłyby się w rozmowie, gdybyśmy się już z nim spotkali.

- Jeśli chodzi o czas naszego poznania się, nie kłamiemy, dobrze? Wtedy wszystko inne będzie pasować. Pracowałaś u nas jako sekretarka. - Skinęła głową. - Nie spotykaliśmy się, bo wszystko było zbyt skomplikowane. Ale potem znowu natknęliśmy się na siebie. Jak dawno temu była ta robota w Syrii?

- Pod koniec dziewięćdziesiątego piątego, trzy lata temu.

- W porządku, więc spotkaliśmy się na nowo przed czterema tygodniami w Londynie, w pubie przy Cambridge Street i tak jakoś znowu nawiązaliśmy kontakt, zaczęliśmy się spotykać, nic specjalnego. To jest nasza pierwsza wspólna podróż. Przyjechaliśmy tutaj, bo nigdy jeszcze tu nie byłaś, a mnie podoba się Waszyngton, więc pomyśleliśmy: a co tam, jedziemy.

- Ale powiedziałam tej małej - przerwała mi - że jestem prawnikiem i że mam tu trochę pracy.

Nie podobało mi się, jak nazywa Kelly, ale miała rację, jeżeli chodzi o fakty.

- OK, jesteś w Stanach, żeby spotkać się z klientem w Nowym Jorku, a ja chciałem pokazać ci Waszyngton. Resztę możesz wymyślić.

- W porządku. Jest tylko jeden problem, Nick.

- Jaki?

- Jak się nazywasz? Kim jesteś?

- Nick Stone.

Roześmiała się.

- Chcesz powiedzieć, że to twoje prawdziwe nazwisko?

- Tak, jasne.

Dopiero wtedy przyszło mi do głowy, że mimo upływu tylu lat ja też nie znałem jej nazwiska. Znałem ją tylko jako Greenwood.

- Powiedziałem ci moje, więc ty powiedz swoje.

Dojrzałem, że nagle się spieszyła.

- Sara Jarvis-Cockley.

Teraz ja się roześmiałem. Nigdy nie znałem nikogo o tak pokręconym nazwisku.

- Jarvis-Cockley?

Brzmiało to jak wprost z Monty Pythona.

- To nazwisko z Yorkshire - powiedziała. - Mój ojciec urodził się w Yorku.

Zatrzymałem się przy automacie telefonicznym i wybrałem numer Josha. Nie byłoby sensu tam jechać, gdyby jeszcze nie wrócił do domu. Jednak był i bardzo się ucieszył, że spotka nas oboje.

Złapaliśmy taksówkę, pojechaliśmy z powrotem na drugą stronę rzeki i podążając trasą Jeffersona Davisa, ruszyliśmy w kierunku przeciwnym, niż leży miasto, w stronę Pentagonu. Po drodze nie rozmawialiśmy ze sobą. Nie było już o czym gadać; kiedy czekaliśmy na taksówkę, powiedziała mi, jak wyglądają ci dwaj terroryści. Nic ciekawego. Żaden nie miał szczególnych cech, które by go wyróżniały z tłumu. Z tego, co mówiła, mieliśmy szukać facetów w typie Billa Gatesa i Ala Gore'a, tylko że z ciemniejszą skórą.

Byliśmy oboje zbyt zmęczeni, by jeszcze o czymkolwiek rozmawiać. Każde z nas wolało trochę podumać. Gnębiła mnie jedna myśl: jak to, cholera, zrobić? Włożyła mi rękę pod ramię i ścisnęła dłoń. Wiedziała, co mnie gryzie. Miałem wrażenie, że na ogół to odgadywała, i z jakiegoś powodu sprawiało mi to przyjemność.

Dojeżdżaliśmy do cmentarza w Arlington: znad drzew po drugiej stronie trasy wylądowały samoloty, które startowały z krajowego lotniska nad rzeką. Na szczęście słońce próbowało wyjść zza chmur, ale na razie przeświecało tylko tu i ówdzie.

Zapatrzyłem się na białe nagrobki. Stały w nieskazitelnych rzędach jeden za drugim na niemożliwie zielonej trawie, na prawo od nas. Heroizm mimo ogólnego bezsensu nie był dla mnie żadną nowością, ale tak wiele grobów w jednym miejscu robi wrażenie.

Wiedziałem, że zaraz niedaleko, za łagodnym zakrętem autostrady, zobaczymy Pentagon. Ruch nie był jeszcze zbyt intensywny, miało być o wiele gorzej za kilka godzin, kiedy personel największego kompleksu biurowego na świecie ruszy do domu. Znajdujące się po obu stronach autostrady parkingi zajmowały teren równy Disneylandowi.

Po chwili przed nami pojawił się Pentagon. Wyglądał całkiem jak centrum handlowe w Fayetteville, tyle że tutaj użyto do budowy kamienia w smutniejszym kolorze. Wjechaliśmy pod wiadukt i budynek na chwilę zniknął nam raptownie z oczu. Na jednej z podpór wiaduktu widniała niezdarnie wymalowana biała swastyka. Josh uznał to za oznakę demokracji.

- Kiedy to zdrapią - powiedział mi kiedyś - będzie to dzień, kiedy już nikt nie będzie mógł się swobodnie wypowiadać.

Dla mnie swastyka oznaczała jedynie połowę drogi pomiędzy domem Josha i Waszyngtonem.

- Jeszcze jakieś dwadzieścia minut - powiedziałem.

Sara skinęła głową i dalej patrzyła na potężny kamienny budynek. Na jego tyłach podnosił się w powietrze helikopter Chinook z domykającą się właśnie tylną klapą ładunkowego. Zawsze lubiłem moment zamykania się klapy, gdyż dzięki temu zimno przestawało dostawać się do środka.

Dawno temu, kiedy zastanawialiśmy się nad przyszłością Kelly, wiele razy odwiedzałem dom Josha. Mieszkał w podmiejskim osiedlu New Alexandria, które było na południe od samej Alexandrii i całkiem spory kawałek na południowy zachód od Waszyngtonu. Mieszkańcy tego osiedla nazywali je jednak Belle View na wzór nazwy sąsiedniego okręgu. Brzmiało to tak, jakby nie chcieli mieszkać w Alexandrii, ale zostali zmuszeni do kupienia domu trochę dalej od swojego wymarzonego miejsca. Im bliżej Waszyngtonu znajduje się dom, tym większy musi być stan konta właściciela.

Dom Josha znajdował się przy drodze do Belle View obok pola golfowego. Kiedy skręciliśmy w tę drogę, wyjaśniłem taksówkarzowi, jak ma jechać dalej.

- W połowie drogi, stary, po prawej stronie.

Sara przysunęła się i nachyliła mi się do ucha.

- Dziękuję za to, że mi uwierzyłeś, Nick. Cieszę się, że tu jesteś.

Wiedziałem, jak samotna się czuje. Ująłem jej dłoń.

Na lewo od nas ciągnęło się pole golfowe, a po drugiej stronie drogi stały rzędami trzykondygnacyjne domy z cegły, które w Wielkiej Brytanii nazywano by kamienicami. Cały teren był zielony i obsadzony drzewami, pewnie miejsce świetnie się nadawało dla dzieci. Nie zdziwiłbym się bardzo, gdyby z nieba zaczęły spadać płatki śniegu, a zza rogu wyszedł James Stewart.

- Zaraz za tym czarnym pikapem.

Azjatycki kierowca chrząknął potakująco i zatrzymał taksówkę. Na podjeździe domu Josha stał dodge truck z wielkimi chromowanymi zderzakami. Na jego tyle zobaczyłem stelaż z przytwierdzonymi dziecięcymi rowerami górskimi. Przed domem zwisła wielka tablica z napisem „Na sprzedaż”.

W drzwiach domu, które znajdowały się jakieś dziesięć startych kamiennych stopni powyżej poziomu chodnika, stanęła Meksykanka w średnim wieku, ubrana w kremowy przeciwdeszczowy płaszcz. Spojrzała w naszą stronę, uśmiechnęła się i mijając nas, ruszyła przed siebie. Spojrzałem na Sarę.

- To musi być moja nowa koleżanka.

W drzwiach ukazał się uśmiechnięty szeroko Josh. Jego czaszka i okulary świeciły się równie jasno jak zęby. Miał na sobie popielatą bluzę wetkniętą za pas szarych polowych spodni i turystyczne buty. Zszedł do nas, dalej uśmiechając się radośnie, ale jednocześnie mrużąc oczy w blasku słońca odbijającego się od okien taksówki; chciał przyjrzeć się Sarze.

Otworzył moje drzwi, a ja zapłaciłem kierowcy, który przyjął pieniądze z kolejnym chrząknięciem. Podałem Joshowi rękę i od razu przypomniałem sobie, że ma najmocniejszy uścisk dłoni ze wszystkich ludzi, jakich znałem.

- Cieszę się, że cię widzę, stary. Nie myślałem, że tak szybko znowu się spotkamy - powiedział i zniżył głos. - Jak poszła robota?

- Nie najgorzej, stary. Zajęła mi tylko jeden dzień.

Cieszył mnie jego widok. Wypuścił mi rękę, więc potrząsnąłem nią, żeby odzyskać krążenie krwi.

Sara obeszła od przodu taksówkę, przechodząc między obydwojoma pojazdami. Wskazałem na nią ręką.

- Josh, przedstawiam ci Sarę.

- Cześć, Saro - powiedział, podając jej rękę.

Od razu zareagowała na jego uścisk.

- Cieszę się, że mogę cię poznać, Josh. Nick dużo mi o tobie opowiadał.

Musiała czytać za wiele książek. Kto w ogóle mówi takie rzeczy w normalnym życiu?

Josh zareagował swoim najszerzym uśmiechem.

- Nie wiem, co on opowiadał, ale kiedy wejdziemy do domu, to wyjawię ci prawdę.

Wprowadził nas po schodkach do wnętrza domu. Sara od razu zapytała o łazienkę.

- Pierwsze drzwi po lewej - powiedział Josh, wskazując na schody, i zaraz za nią zawołał: - Idziemy do salonu, więc możesz hałasować, ile tylko chcesz.

Zapomniałem ostrzec ją, że Josh nie zmienia swoich dowcipów ze względu na osobę, do której mówi. Ciekawe, czy był to jeden z powodów, dla których jego żona uciekła z instruktorem jogi.

Bagaż z ich urlopu nadal stały w holu.

- Gdzie są dzieci? - zapytałem, przechodząc obok walizek.

- Zmęczenie podróży nie wchodzi u dzieci w grę. Są w Waszyngtonie na próbie, stary. Jutro jest wielki dzień.

Nie miałem zamiaru drażnić tego tematu. Sama myśl o tym sprawiała, że czułem się parszywie, a poza tym było za wcześnie, by powiedzieć mu o prawdziwym powodzie, dla którego tu jestem.

- Ach, rzeczywiście. Mam nadzieję, że będą się świetnie bawiły.

Dom wcale się nie zmienił. Gruby, zielony, włochaty dywan nadal leżał na swoim miejscu. Zdjęcia też były te same: Josh w mundurze wojskowym, Josh przyjmowany do sił specjalnych, Josh z dziećmi, Josh i Geri, dzieci i wszelkie tego typu ujęcia. Poza tym były te wszystkie okropne szkolne zdjęcia przedstawiające ustawione rzędami szczerbate dzieci w mundurkach z tymi naprawdę głupimi uśmiechami, które mają tylko wtedy, kiedy skierowany jest na nie obiektyw aparatu.

- No, mój drogi - powiedział, zamknąwszy drzwi - co ma z tym wszystkim wspólnego Sara? Ile wie?

Podszedłem bliżej.

- Wie tylko tyle, że rodzina Kelly została zabita i że jestem teraz jej opiekunem. Wie, co robił Kev i dlaczego go znałem. Ty jesteś drugim wykonawcą testamentu. W ten sposób się zaprzyjaźniliśmy. Ona myśli, że pracuję w prywatnej firmie ochroniarskiej. Jeszcze nie doszliśmy do takich szczegółów.

Skinął głową. On sam wiedział o mnie mniej więcej tyle samo.

- Super. Więc teraz mamy parę problemów do rozwiązania, stary. Czy kazać Marii przygotować jedno łóżko, czy dwa?

Zawsze bawiło mnie, kiedy Amerykanie mówią „stary”, z powodu ich akcentu. Dla mnie to słowo brzmi tak, jakby mogło być wymawiane wyłącznie przez Australijczyków albo Brytyjczyków, ale Josh starał się rozmawiać ze mną z brytyjskim akcentem. A może po prostu cały czas żartował.

To było dobre pytanie i musiałem odpowiedzieć na nie w przekonujący sposób.

- Jedno, oczywiście - odpowiedziałem z uśmiechem.

- W porządku!

Szeroki porozumiewawczy uśmiech rozjaśnił mu twarz. Usiedliśmy obydwojaj, on na krześle, ja na kanapie.

- Następne ważne pytanie: jak tam Kelly? Dotarła bez problemu do dziadków?

- Wszystko w porządku. Tak, wszystko poszło OK. Rozmawiałem z nią dzisiaj: tęskni za tobą i twoją bandą. Chyba niedługo dostaniesz od niej kartkę z podziękowaniami.

Ta rozmowa o głupstwach już mnie dobijała. Normalnie byłbym zadowolony, gadając o takich bzdurach, bo na tym polegała cała nasza znajomość, ale w tej chwili nie mogłem myśleć o niczym innym, tylko o tym, że chcę go przerobić jak diabli, chociaż wiedziałem, że jest to słuszna decyzja.

Drzwi pokoju otworzyły się i weszła Sara. Josh podniósł się.

- Ktoś ma ochotę na „brew”?

Roześmiałem się. Dla Amerykanów „brew” oznacza piwo. Kiedyś zapytałem Josha: „Masz ochotę na «brew»?”. Spojrzał na mnie, jakbym miał nie po kolei w głowie. Po pierwsze, jechaliśmy samochodem, po drugie, mieliśmy pod opieką dzieci, a po trzecie, była dziewiąta rano. Od tamtej pory był to nasz stały dowcip.

Sara się nie połapała. Uśmiechnęła się nieco, żeby pokazać, iż zrozumiała, ale prawdopodobnie nie przywykła do tego, by proponowano jej piwo na cocktail party w ambasadzie i z pewnością nie był to popularny napój w jej kręgach towarzyskich.

- Może być dla ciebie kawa? - zwrócił się do Sary.

- Tak, proszę.

Odwrócił się i nie przestając gadać, ruszył do drzwi.

- Dzieciaki niedługo wrócą z próby chóru i tu się rozpęta piekło. Będą zachwycone, jak was zobaczą.

Z kuchni dobiegły odgłosy krzątania. Sara podeszła do jednego z krzeseł i usiadła. Niedaleko ode mnie, ale w tych okolicznościach była to znaczna odległość.

- Saro, śpimy dzisiaj w jednym pokoju - powiedziałem.

Chwyciła to w lot, wstała i podeszła, by usiąść tuż przy mnie.

- I co teraz?

Nie było sensu mydlić jej oczu.

- Nie wiem, skoncentruj się i uważaj, co robisz. Jeszcze jest o wiele za wcześnie.

Opuściła niespokojny wzrok na podłogę.

- Martwię się, Nick. To musi się udać.

- Musisz na mnie polegać. Popatrz tutaj. - Wskazałem głową książki na prawo od kominka. - Druga półka od dołu.

Książka, która przyciągnęła moją uwagę, miała tytuł Projektowanie Kamelotu - renowacja Białego Domu przez Kennedych. Spojrzałem w jej przesłonięte okularami oczy.

- To musi być dobry znak.

Miałem nadzieję, że mój głos wyraża naprawdę dużo pewności siebie.

Dostrzegła to i na jej twarzy pojawiła się determinacja. Josh wrócił do pokoju z dzbankiem kawy, kubkami i herbatnikami, kiedy Sara akurat zdejmowała książkę z półki. Zaczął napełniać kubki.

- Biała? - zapytał.

Przytaknęliśmy skinieniem głów.

Zauważył, że Sara przerzuca strony albumu, oglądając z zachwytem zdjęcia przedstawiające wnętrze Białego Domu. Podniosła głowę i spostrzegła jego wzrok.

- O, to była kobieta z klasą - powiedziała i odwróciła książkę do nas, żebyśmy mogli zobaczyć zdjęcie Jackie Onassis.

- Tak, proszę pani. Nie da się ukryć, że postawiła to całe miasto do góry nogami. To zdjęcie zrobione w jadalni rządowej. Była naszą księżniczką Dianą, chyba tak można powiedzieć. Geri ją uwielbiała. Kupiłem jej tę książkę na urodziny niedługo przed tym, nim wyjechała.

Otworzył opakowanie herbatników.

- Muszę je chować przed dziećmi, bo już nie zostałyby ani jeden.

- Wiecie co? - powiedział z herbatnikiem w ustach. - Nie miałem pojęcia o tych wszystkich rzeczach, które trzeba robić, kiedy człowiek samodzielnie opiekuje się dziećmi. Musiałem dużo się nauczyć.

Widząc zdziwioną minę Sary, spojrzał na mnie z wesołym wyrazem twarzy.

- Nie powiedziałaś jej?

- Pomyślałem, że zostawię to tobie - odparłem, usiłując obrócić to w żart. - Tak, zostawić to tobie i dopiero potem powiedzieć jej prawdę.

Spojrzał na Sarę.

- Geri coraz bardziej angażowała się w lokalne przedsięwzięcia i kursy, takie tam rzeczy, żeby mogła - zrobić odpowiednią minę, by podkreślić słowa - „się doskonalić”.

Podał jej kubek z kawą.

- Jednym z nich była joga, wiesz, chyba byłem za bardzo zajęty pracą i tak dalej, żeby zobaczyć, co się dzieje. Po prostu nie zauważyłem, że z upływem czasu zajęcia na kursie trwają coraz dłużej.

Uśmiechnąłem się współczująco, kiedy podał mi kubek. Wymieniliśmy spojrzenia.

- Prawdę mówiąc, polubiła te kursy tak bardzo, że wcale nie chciała wracać do domu.

Widziałem, że patrzy na Sarę, by dojrzeć jej reakcję. Udało mu się powiedzieć to jak żart, ale wiedziałem, że w głębi duszy jest wstrząśnięty. Czuję się strasznie głupio, słuchając, jak Sara robi go w balona, ale wiedziałem, że nie ma innego wyjścia.

Wskazała ruchem głowy na zdjęcia nad opalonym gazem kominkiem i dalej ciągnęła go za język.

- A co z dziećmi? Są takie śliczne: co w nią wstąpiło, żeby je zostawić?

Wziął do ręki kubek i oparł się na krzesło.

- Ten instruktor jogi, to on w nią wstąpił.

Usiłował się roześmiać, ale widać było, że nie jest mu do śmiechu. Sara nie od razu zrozumiała kolejny dowcip, ale dostrzegłem w jej oczach, że zauważyła smutek Josha.

- Dzwoni raz w tygodniu - dopowiedział. - Dzieciaki naprawdę bardzo za nią tęsknią.

- Ile to już trwa? - zapytała cicho.

- Pewnie jakieś dziewięć miesięcy czy coś koło tego - odparł, spoglądając na mnie.

Skinąłem głową. Zgadzało się mniej więcej co do czasu. Zresztą byłem pewien, że on sam liczy każdy kolejny dzień. W zamyśleniu pociągnął łyk z kubka.

Siedzieliśmy wszyscy przez chwilę w milczeniu, aż Sara zadała kilka uprzejmych, przelamujących lody pytań na temat dzieci i Josh opowiedział jej to, co już i tak wiedziała. Była dobra: znajdowali wspólny język. Widać było, że jest niemal zadowolony, że kobieta słucha jego opowieści i zdaje się dzielić jego punkt widzenia.

Nagle dobiegły do nas jakieś łomoty, trzaskanie drzwiami i krzyk kobiety posługującej się angielskim z silnym obcym akcentem.

To Maria wróciła z dziećmi i wołała, by tak nie pędziły. Wsunęła głowę do pokoju.

- Hola! - zawołała, usiłując je zatrzymać, ale wyminęły ją, wpadając do pokoju, by zobaczyć się z ojcem.

Od razu mnie zobaczyły.

- Nick! Nick! Jest Kelly?

Zatrzymały się nagle zakłopotane widokiem nieznanym kobiety.

- Sie macie? - powitałem je z radosnym wyrazem twarzy. -

Nie, Kelly jest w szkole. Naprawdę dobrze się bawiliście w Londynie?

- Tak, było super. Szkoda, że Kelly nie mogła tu przyjechać.

Wszystkie były podekscytowane. Podbiegły do ojca, całując go i tarmosząc, aż go całkiem zakryły.

- Hej wy, to jest Sara, koleżanka Nicka. Przywitajcie się z Sarą.

- Cześć, Sara! - krzyknęły chórem.

- Cześć wszystkim, miło was poznać - powitała je, podając każdemu rękę.

Kiedy już zakończyły się formalności, atmosfera zmieniła się całkowicie. Zaczęły jedno przez drugie wykrzykiwać: „Tato, mogę zrobić to? Tato, mogę zrobić tamto?”.

- Tato, naprawdę jest super! Są dzieci zewsząd, nawet z Nowego Meksyku. Niektóre idą na basen. Możemy iść popływać?

- Tak, tak, tak - odparł Josh - ale później. Maria się tym zajmie. Idźcie coś zjeść, idźcie, idźcie.

Dzieci wypadły tabunem i pobiegły do kuchni. Usłyszałem, jak ktoś włącza radio nastawione na stację nadającą latynoską muzykę. Dzieci spierały się głośno między sobą, a Maria hałasowała najbardziej, usiłując nakazać im, żeby były cicho.

Dalej czekałem na moment, kiedy będę mógł wstawić mu swoją historyjkę. Dzieci wyszły z domu, potem wróciły, i w końcu poszły spać, a Maria udała się do domu. Przez ten czas obejrzelśmy nową komórkę w ogrodzie, porozmawialiśmy o Bożym Narodzeniu, Wielkanocy, a nawet o Święcie Dziękczynienia i o różnych sposobach, w jakie Amerykanie i Brytyjczycy nadziewają indyki. Okazało się, że w dalszym ciągu wolę „Paxo” od fistaszków. Josh opowiedział Sarze o planowanych na jutro wydarzeniach i o tym, co będą robiły dzieci. Nie potrafił ukryć dumy, że jego pociechy biorą w tym wszystkim udział. Miał oglądać całą uroczystość razem z niektórymi członkami Grupy Szybkiego Reagowania, których dzieci również miały tam być.

Sara cały czas spisywała się doskonale. Może nawet nie udawała, coś mi mówiło, że naprawdę polubiła Josha. Cieszyło mnie to, gdyż były to jedyne dorosłe osoby, które w jakikolwiek sposób mnie obchodziły. Chciałem, by się lubili. Było to dla mnie ważne. Co tam, kurwa, robota, wiedziałem, że musi być wykonana i w dodatku już niedługo, ale wyglądało na to, że między nami pojawia się coś ważniejszego. Miałem taką nadzieję. Chciałem, żeby, gdy już zrobimy swoje, Josh zrozumiał, czym się kierowaliśmy, nie wtajemniczając go.

Nie wiadomo kiedy zjedliśmy pizzę, nachos i wypiliśmy parę butelek wina i zrobiła się już prawie dziesiąta. Zanosilo się na to, że będziemy bili pianę całą noc, ale wiedziałem, że muszę czekać na właściwy moment. Słuchałem, jak Sara i Josh rozmawiają, próbując naprawiać świat.

- Poznałaś już Kelly? - zapytał Josh.

Sara siedziała przy mnie, pijąc wino.

- Kelly? Nie, nie poznałam. Jeszcze nie. Znasz Nicka, on nie pokazuje wszystkich kart od razu.

Posłała mi spojrzenie w stylu tych, którymi obdarzają się pary małżeńskie, kiedy mówią o jednej rzeczy, ale myślą o czymś innym.

- Ale z nią rozmawiałam.

Jej kłamstwa niewiele mijały się z prawdą. To jest zawsze najlepszy sposób.

- To naprawdę dobre dziecko - powiedział Josh. - Spodoba ci się. Może gdyby Geri była tutaj, Kelly przyjechałaby do nas, żeby zamieszkać z nami i z dziećmi. To wszystko było dla niej naprawdę ciężkie.

Sara spojrzała na mnie, oczekując, że podejmę temat. Przyszło mi do głowy, że zaczyna jej się podobać to, iż dowiaduje się różnych rzeczy o mnie.

- Tak, ale teraz nieźle się między nami układa.

Sara wyciągnęła rękę i ujęła mnie za dłoń.

- Eee... - przerwał milczenie Josh - jesteście pewni, że nie chcielibyście zostać sami?

Roześmialiśmy się. Spojrzałem na Josha, przypominając sobie, że mam robotę do wykonania i że nadszedł czas, by się tym zająć.

- Wiesz stary, wpadłem właśnie na świetny pomysł. No cóż, świetny dla nas, ale może dla ciebie trochę trudniejszy do przeprowadzenia.

Oparł się wygodnie w krzesło i pociągnął łyk wina.

- Tak? A co to takiego? - zapytał tonem, który przypominał mi mojego ojca.

- No więc, gdybyśmy mieli szansę na wycieczkę po Białym Domu, no wiesz, jak wtedy kiedy mnie oprowadziłeś? Sara kochałaby mnie za to przez całe życie - powiedziałem, uśmiechając się do niej.

Sara podjęła rolę. Zarumieniła się, a jej oczy zapłonęły blaskiem.

- To by było absolutnie wspaniałe. Naprawdę możesz to załatwić, Josh?

Josh nie miał zbyt pewnej miny.

- No cóż...

Postanowiłem się wtrącić, żeby podtrzymać optymistyczny nastrój.

- Ten chłopak jest super - powiedziałem, patrząc na Sarę, której twarz przypominała twarz dziecka w wesołym miasteczku. - Oprowadził mnie w zeszłym roku po Białym Domu. Kierował wtedy grupą ochrony wiceprezydenta.

- Och, bardzo bym tego chciała, to by było fantastyczne! - odparła z odpowiednim entuzjazmem.

- W podziemiach jest tor do kręgli, żeby Bill mógł sobie tam pójść i poćwiczyć trochę, a na niektórych kamieniach nadal są ślady po pożarze z czasów, kiedy Brytyjczycy próbowali spalić Biały Dom w tysiąc osiemset którymś.

- Czy on mi wstawia jakiś kit? - zwróciła się do Josha.

Pokręcił głową i wypił kolejny łyk wina.

- Nie, Brytyjczycy rzeczywiście weszli do Waszyngtonu i spalili go. To było w 1814 roku.

- No więc, stary, co powiesz? Jak chcesz, to nawet sobie kupię jakiś szmatławy krawat, żeby wyglądać jak facet z Secret Service. No i co?

Zawsze robiłem sobie jaja z tego, jak się ubierali. Uniformem ludzi ochraniających Biały Dom był albo popielaty garnitur, albo granatowa marynarka z ciemnoszarymi spodniami. Wybierać chyba mogli jedynie krawaty. Nigdzie, z wyjątkiem wystawy w sklepie z krawatami „Tie Rack”, nie widziałem w jednym miejscu tak dużo obrazków z Daffy Duck i Myszka Mickey. Sam Josh miał imponującą kolekcję owiec przeskakujących przez bramy i królików Bugsów jedzących marchewkę.

Teraz była jego kolejka, żeby mnie obrazić.

- Ty, palancie, nigdy nie będziesz wyglądał jak agent. Żebyś nie wiem jak bardzo się starał.

- Tego już dla mnie za wiele - powiedziała Sara z uśmiechem. - Idę na chwilę na górę.

Wiedziała, że nadeszła pora, by nas zostawić samych. Uniosła brew, patrząc na Josha.

- Zamknę drzwi tym razem, żebyś nie był speszony, jak będę hałasować.

Josh odchylił się z całym krzesłem i roześmiał się, kiedy już zamykała drzwi. Spojrzał na mnie.

- Ona jest super, stary, naprawdę super.

Nagle jego uśmiech przygasł. Byłem pewien, że pomyślał

o Geri i o tym, jak bardzo mu jej brakuje. Współczułem mu, ale nie mogłem go spuścić z haczyka.

- No więc, jak myślisz, stary? Są jakieś szanse? To byłoby dla mnie wspaniałe i w dodatku zdobyłbym parę punktów. Wiesz, co mam na myśli?

Uniół ręce w żartobliwym geście kapitulacji.

- Wolnego, stary, spokojnie. Odpręż się, zanim mi to będziesz chciał wcisnąć. Już załapałem. - Opuścił ręce i spoważniał. - Spróbuję, ale nie mogę obiecać na pewno. Zadzwoń rano. O której godzinie może być najpóźniej?

- Najpóźniej o trzeciej. Lecimy szósta z czymś z lotniska Dullesa do Newark.

Znowu uniół ręce.

- OK, OK, zobaczę, co się da zrobić. Jutro jest tam okropny ruch, ale może uda się nam wejść rano. Nic się nie będzie działo mniej więcej do południa, a dzieciaki nie zaczną swojego przed pierwszą.

Odstawił kieliszek, napełnił go znowu i zaproponował mi dolewkę. Skinąłem głową i podałem mu kieliszek. Nie zauważył, że tylko sączę wino, kiedy on pił do dna.

- Naprawdę cieszę się, że cię widzę, stary - powiedział, unosząc kieliszek.

- Ja też się cieszę, palancie - odparłem, biorąc kieliszek do ręki.

Sara wróciła do pokoju. Pewnie cały czas podsłuchiwała pod drzwiami. Uśmiechnąłem się do niej wesoło, gdy usiadła.

- Josh mówi, że może uda się nam wejść jutro, zanim polecimy do Nowego Jorku. Zobacz, co się da zrobić.

Posłała mi spojrzenie z rodzaju tych, które nawet niewidomego mogą przyprawić o szybsze bicie serca. Twarz Josha pojaśniała od uśmiechu.

- Hej, wiecie co? Mam świetny pomysł. Jeżeli nie będę mógł was oprowadzić osobiście, to może uda mi się was dołączyć do jakiejś grupy zwiedzających. Zawsze możecie kiedyś tu jeszcze wrócić i pozowiedzać ze mną.

Sara nadal miała podekscytowaną minę, ale wiedziałem, że w środku wszystko się w niej gotuje.

- Mógłbym bez problemu zorganizować wam bilety - ciągnął Josh. - Nie zobaczycie kręglarni ani basenu, tylko sale w głównym budynku, ale w końcu - spojrzał prosto na Sarę - ważne jest to, że zobaczycie rządową jadalnię. To jest jedyne pomieszczenie, które ma wystrój z czasów Jackie. Pokazywałaś mi tę salę na zdjęciu.

Sara wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni. Wiedziałem, że żałuje, iż w ogóle wspomniała o Jackie.

- Dziękuję, to byłoby wspaniałe. Mam tylko nadzieję, że uda nam się pozowiedzać z tobą, to by było o wiele ciekawsze.

Widać było, że Josh o mało się nie rozplynie.

- Tak, wiem, co masz na myśli. Byłoby super, gdybym mógł was oprowadzić. Obiecuję, że zadzwonię rano. To wszystko, co mogę zrobić, stary.

- Uda się, możesz mi wierzyć - zwróciłem się do Sary. - Powiedziałem mu, że jak się nie uda, to poinformuję Biały Dom o gumowej kaczce.

- O czym?

Josh spojrzał na mnie, uśmiechając się z zażenowaniem.

- Jest taka żółta gumowa kaczka, którą przekazuje się pomiędzy różnymi wydziałami w Secret Service i w jednostce.

- W jednostce? - zapytała.

Dobrze wiedziała, o czym mówię, ale wiedziała również, że Josh spodziewa się, że ona tego nie wie.

- W jednostce Delta - wyjaśniłem. - To coś w rodzaju amerykańskiego SAS. W każdym razie sztuka polega na tym, żeby sobie zrobić zdjęcie z kaczką w najbardziej niezwykłym miejscu. Josh miał za zadanie zrobić sobie zdjęcie w Białym Domu, więc wpuścił kaczkę do sedesu w toalecie w prywatnym apartamencie prezydenta, a innym razem udało mu się nawet posadzić kaczkę na biurku w Gabinetce Ovalnym...

Josh ziewnął uprzejmie i zaczął się podnosić.

- I tym optymistycznym akcentem...

Powiedzieliśmy sobie dobranoc, a Sara wzięła pod pachę książkę o Kennedych i wszyscy poszliśmy na górę. Na najwyższym podeście Josh skrzył w lewo, żeby sprawdzić, jak się mają dzieci. Przez otwarte drzwi do ich sypialni zobaczyłem w blasku nocnych lampek plakat przedstawiający

jednego z mistrzów koszykówki i duże zdjęcie ich matki. Wszędzie leżały porzucane części pościeli i zabawki.

Nasza sypialnia znajdowała się dalej po prawej stronie. Była dokładnie taka, jak można się spodziewać po zapasowym pokoju w tego typu domu: bardzo czysta i wyglądająca na nową, z łóżkiem z wywoskowanych sosnowych desek o wystających z każdej strony błyszczących śrubach i nakrętkach. Miałem wrażenie, że wystrój został wybrany przez Geri, a nie przez Josha, bo w pokoju dominowały dopasowane do siebie i ozdobione kwiecistymi wzorami zasłony, poszewki na poduszki i koperty na kołdry. Jeżeli z odejścia Geri miałyby wynikać cokolwiek dobrego, to możliwość wyboru przez Josha wystroju w jego następnym domu. Łóżko było posłane, a jeden róg kołdry zachęcająco odchylony. Maria zrobiła to w tak profesjonalny sposób, że nie bardzo bym się zdziwił, gdybym zobaczył na poduszce karteczkę z informacją o spodziewanej następnego dnia temperaturze i czekoladkę.

Zamknąłem drzwi, a Sara od razu dopadła swojej torby. Wyjęła broń i magazynek i weszła do przyległej do sypialni łazienki, zostawiając uchylone drzwi. Patrzyłem na nią, jak przeładowuje pistolet, odciągając zamek i umieszczając pocisk w komorze naboju, a potem pozwala zamkowi przesunąć się delikatnie do przodu, żeby nie hałasował. Na koniec popchnęła go ostatnie dwa milimetry, żeby zaryglować nabój. Nacisnęła lekko magazynek, który podłączył się do broni z cichym szczęknięciem.

- Spodziewasz się dramatycznej nocy? - Roześmiałem się.

Odwróciła się do mnie z uśmiechem, sprawdzając bezpiecznik. Wstałem i również wszedłem do łazienki. Sara odkręciła kran w umywalce i zaczęła myć zęby. Kiedy się szepcze, niebezpieczeństwo polega na tym, że jeśli robi się to w sposób niewłaściwy, to można być jeszcze lepiej słyszalnym niż wtedy, gdy się mówi. Nachyliłem się do jej ucha.

- Jeżeli nas rzeczywiście wprowadzi, to nie zrobimy mu krzywdy, żeby nie wiem co, OK? Nie zrobimy krzywdy ani jemu, ani nikomu innemu, dociera to do ciebie?

Skinęła głową, wypluwając pastę do zębów.

- Jesteśmy wszyscy po tej samej stronie - powiedziałem. - Jeżeli zostaniemy złapani czy chociażby zagrożeni, to nie stawiamy oporu. Nikt nie zostanie zabity. Nie bierzemy broni, OK? Zostawiamy pistolety w torbach.

Wiedziałem, że środki bezpieczeństwa będą tak rygorystyczne, iż i tak nie udałoby nam się wnieść broni.

- Zresztą nie potrzebujemy jej - dodałem.

Wyplukła zęby, odwróciła się do mnie, kiwając potakująco głową, i podała mi swoją szczoteczkę do zębów.

- Dziękuję.

Spotkaliśmy się wzrokiem. Uśmiechnęła się i poszła do sypialni.

Patrzyłem, jak się rozbiera, gdy myłem zęby. Ułożyła swoje ubrania starannie na krześle i kiedy była już całkowicie naga, zaczęła obrywać naklejki z ceną nowej koronkowej bielizny, którą kupiła na następny dzień. Jak zawsze nie krępowała się pokazywać ciała, ale czułem, że teraz jest inaczej niż podczas jej przedstawienia w motelu. Wtedy to był biznes, a teraz... cóż, niezależnie od tego, jak to nazwać, odbierałem to z przyjemnością. Przyglądałem się jej w świetle nocnej lampki.

Znowu zanurzyła ręce w torbie, wyjęła nową koszulę, rozpakowała ją i położyła na krześle. Potem podniosła na mnie wzrok i uśmiechnęła się. Skończyłem mycie zębów, kiedy weszła do łazienki, a ja z kolei wróciłem do sypialni.

Zamknęła za sobą drzwi, a ja usiadłem na łóżku i zacząłem się rozbierać, myśląc o dniu jutrzejszym. Słyszałem, jak gdzieś dalej w korytarzu Josh otwiera i zamyka drzwi. Chyba znowu zaglądał do dzieci, czy może zamykał drzwi na klucz, albo robił coś jeszcze innego. Z toalety dobiegł mnie odgłos spluczki i po chwili Sara pojawiła się w sypialni.

Odsunęła kołdrę i położyła się obok mnie. Jej oddech pachniał pastą do zębów, a skóra mydłem. Dotknęła nogą mojej nogi - nie wiedziałem, czy przypadkowo. Czułem chłodny dotyk jej gładkiej skóry.

Leżeliśmy oboje pogrążeni we własnych myślach. Ciekaw byłem, czy jej myśli krążą wokół tego tematu co moje. Po chwili odwróciła się do mnie.

- Co będziesz robił po tym, Nick? To znaczy po tym, jak odejdziesz z Firmy?

Był to problem, o którym starałem się nie myśleć. Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem. Nigdy nie planuję perspektywicznie. Jutrzejszy wieczór to już wystarczająco daleko. Mam nadzieję, że jutro będę świętował, że w dalszym ciągu żyjemy.

- Ja chyba nie zostanę w Firmie - powiedziała. - Pewnie zrobię to, co wszyscy: wyjdę za mąż, będę miała dzieci i tak dalej. Czasem żałuję, że nie mam dziecka.

Uniosła się na łokciu i spojrzała mi w oczy.

- Czy to nie brzmi głupio?

Pokręciłem głową.

- Od kiedy zaopiekowałem się Kelly, takie rzeczy nie brzmią dla mnie głupio.

- Masz szczęście - powiedziała, przysuwając się tak blisko, aż poczułem na szyi jej oddech. - Może napiszę pamiętniki - dodała i przesunęła dłonią po mojej twarzy. - Ale od czego mogłabym zacząć tę relację? - Zamilkła na chwilę. Jej oczy błyszczały w ciemnościach. - I co napisałabym o tobie?

- Hm. - Uśmiechnąłem się. - To nie takie proste.

Do diabła, jakby tak ciągnęła dalej, to rozsypałbym się na kawałki i powiedział jej, że ją kocham, czy jakieś podobne bzdury. Nie umiałem sobie z tym wszystkim poradzić. Przesunęła ustami po moim czole za lekko, by można to nazwać pocałunkiem, i potem zsunęła je na mój policzek. Obróciłem głowę i trafiłem ustami na jej usta. Zamknąłem oczy i poczułem, jak nasuwa się na mnie, nakrywając mi twarz włosami.

Jej pocałunek był długi, delikatny i czuły, ale nagle zmienił się w bardziej gwałtowny. Przywarła do mnie całym ciałem.

25

Zostałem obudzony przez wrzaski dwustu dzieci, a przynajmniej tak to brzmiało. Leżałem z zamkniętymi oczami, słuchając rwetesu. Maria już przysłała i próbowała je uciszyć, żeby zaprowadzić trochę porządku, ale to wytworzyło jeszcze więcej zamieszania.

Ze schodów dobiegł mnie odgłos zbiegającego stada słoni i zaraz meksykański krzyk „Włóż czystą skarpetę”, kiedy Maria mijała nasze drzwi. Otworzyłem oczy i spojrzałem na zegarek. Była szósta pięćdziesiąt osiem.

Ziewnąłem, odwróciłem się i zobaczyłem Sarę. Siedziała w łóżku, przeglądając kartki albumu o Jackie.

- Co takiego mówiłaś w nocy o dzieciach? - wymamrotałem.

Nie słuchając, skinęła głową ze wzrokiem utkwionym w książce. Miałem nadzieję, że to nie będzie jeden z tych okropnych poranków, kiedy oboje kochanków pragnie być gdzie indziej i żadne z nich nie potrafi się zdobyć na to, żeby nawiązać kontakt wzrokowy. Miałem nadzieję, że tak nie jest, ponieważ wiedziałem, że jeżeli ona tak się czuje, to ja poczuję się tak samo.

- Czas poświęcany na rozpoznanie rzadko jest czasem straconym, Nick - odparła, spoglądając na mnie z uśmiechem.

A więc nie było aż tak źle.

Podparłem się na łokciu i przyjrzałem strupom na ręce. Rany zamykały się jak należy, ale sińce były bardzo ciemne i opuchnięte. Przysunąłem się bliżej i spojrzałem na album. Był poświęcony przede wszystkim wystrojowi każdego z głównych pomieszczeń, które Jackie przerobiła w latach sześćdziesiątych. W zamieszczonym na końcu dodatku dojrzałem coś, co mogło się nam przydać: plan obydwu skrzydeł - zachodniego i wschodniego - oraz znajdującego się pomiędzy nimi centralnego korpusu budynku. Nie można było stwierdzić, czy rozkład pomieszczeń jest nadal taki sam, ale dysponowaliśmy tylko tym, no, jeszcze co nieco pamiętałem z wycieczki po Białym Domu, kiedy Josh służył za przewodnika.

Podniosłem wzrok, by spojrzeć jej w oczy. Zobaczyłem w nich, że już wkracza do salonu konferencji prasowych w Białym Domu. Uruchomiła swój program zorientowany na pracę.

Odrzuciłem koldrę i poszedłem pod prysznic. Kiedy wróciłem dziesięć minut później, wycierając włosy ręcznikiem, zobaczyłem, że jest już niemal ubrana, nie włożyła tylko żakietu i butów.

- Chodźmy na dół, zobaczymy, co się dzieje. Później wezmę prysznic.

Poczekala, kiedy zarzucałem na siebie ubranie, i ruszyła przodem.

W jadalni był sądny dzień. Łyżki trzaskały o miseczki z płatkami zbożowymi, krzesła zgrzytały o deski podłogi, a opiekacz strzelał. Maria uciszała dzieci i zrzędziła, a one ćwiczyły swoje piosenki. Problem polegał na tym, że każde śpiewało we własnym tempie. Brzmiało to jak kocia muzyka. Musiałem powiedzieć sobie w duchu, że chodzi o uroczystości pokojowe, a nie o wypowiedzenie wojny.

Odwrocony tyłem do mnie Josh wyczyniał jakieś cuda z pojemnikami na lunch. Wyglądał jak telewizyjny kucharz przygotowujący naraz dziesięć rzeczy: pakował w folię kanapki, mył jabłka i dorzucał do pojemników serowe chipsy. Był ubrany w granatowe spodnie od garnituru i świeżo wyprasowaną białą koszulę, spod której przeświecał biały podkoszulek i ciemna skóra ramion. Nie mogłem się doczekać, kiedy zobaczę jego krawat. Martwiło mnie, że ma tuż za prawym biodrem jasnobrązową płaską kaburę, a na lewym biodrze podwójny pojemnik na magazynki. Miałem nadzieję, że nie będzie musiał użyć tego przeciwko nam obojgu. Zerknąłem na Sarę. Też zauważyła jego arsenał.

Josh nawet nie obejrzał się, kiedy wszedłem, tylko zawołał:

- Dzień dobry! Kawa jest w ekspresie po lewej stronie.

Spojrzałem na ekspres z bulgocącym napojem.

- Bułki są koło tostera. Nie mogę teraz przerwać, bo muszę wszystko przygotować, zanim Puff Daddy z zespołem zostaną zabrani na swój występ.

Podszedłem bliżej, rozerwałem kilka nadciętych bułek, włożyłem do opiekacza, a Sara nalała kawy. Nieźle odgrywaliśmy swoje role, tak jakbym wiedział, że ona najbardziej lubi na śniadanie grzanki i nie musiał nawet o to pytać, a ona z kolei orientowała się, jaką lubię kawę. Zapytała Josha, czy też chce się napić. Spojrzał na mnie, odrywając na chwilę wzrok od przygotowywanego lunchu, skinął głową i uśmiechnął się. Nalała mu kawy.

- Więc jakie mamy szanse, Josh?

Znowu stał do nas plecami, upychając olbrzymią porcję jedzenia do pudełka na lunch z obrazkiem Małej Syrenki.

- Pomyślałem, że zadzwonię do nich, gdy tylko zmieni się skład - odparł.

Skończył upychać w pudełku i spojrzał na zegarek.

- Wiecie co? Zobaczymy, czy uda mi się teraz zastać tego gościa.

Podszedł do zawieszzonego na ścianie telefonu, wybrał numer i przytrzymując ramieniem przy uchu słuchawkę umieszczoną na liczącym około trzech metrów długości przewodzie, wrócił na swoje miejsce, by powkładać dzieciom pudełka z lunchem do plecaków. Zobaczyłem, że złamał się: miał po prostu gładki niebieski krawat. Spostrzegł, że patrzę na krawat z odrazą i irytacją, bo nie mam z czego żartować.

Uśmiechnął się szeroko.

Plecaki dzieci były zrobione z przezroczystego tworzywa. Jest to jedyny typ plecaka, jaki obecnie można wносить do niektórych amerykańskich szkół, bo dzieci muszą pokazać, że w swoich plecakach mają tylko książki i pudełka z lunchem, a nie pistolety. Ochrona Białego Domu uznałaby pewnie takie plecaki za dobry pomysł.

Ze znajdującego się w sąsiednim pokoju telewizora dobiegały odgłosy z filmów rysunkowych. To mi nie było na rękę, gdyż znaczyło, że dzieci zjadły już śniadanie i nie mają teraz nic do roboty. W tym domu nie oglądało się telewizji przy jedzeniu czy kiedy była do wykonania jakaś praca. Spojrzałem na zegarek: siódma trzydzieści dwa.

Josh doczekał się odpowiedzi.

- Yo, mówi Josh - potwierdził i zamilkł na chwilę.

- Tak, całkowicie w porządku, i tak dzisiaj tam będę, żeby popatrzeć na dzieci. Możemy wtedy pogadać.

Przez chwilę rozmawiali o sprawach dotyczących pracy i nawet pozwolili sobie na zrozumiałą dla wtajemniczonych dowcip na temat prezydenta.

Rozległo się pstryknięcie opiekacza. Wyjąłem grzanki, podszedłem do lodówki i wyszukałem w niej masło. Sara śledziła mnie wzrokiem, kiedy podszedłem do kuchennego stołu, by usiąść koło niej. Wyglądała jak student oczekujący ogłoszenia końcowych wyników.

Z rozmysłem nie patrzyłem na Josha. Nie chciałem spotkać się z nim wzrokiem, gdyby się odwrócił. Nasza podświadomość pracuje jak szalona i z reguły udaje się nam nie dopuścić do tego, żeby inni ludzie do niej zajrzeli. Jedynym miejscem, przez które mogą do niej zajrzeć, są nasze oczy. Przez większość życia udawało mi się do tego nie dopuszczać, ale Josh wiedział, jak sobie z tym poradzić. Miał podobne doświadczenia co ja. Skupiłem się na smarowaniu grzanki masłem i słuchaniu.

Przestał gadać o tym i owym i przeszedł do rzeczy.

- Kto jest dzisiaj koordynatorem zmiany? A, w porządku. Davy jest na miejscu? - zapytał, a w jego głosie słychać było nutę zadowolenia.

Przeszedłem przez kuchnię i siadłem przy Sarze. Trzymała kubek w dłoniach, pociągając powoli kawę, jakby była niezmiernie zainteresowana jej strukturą cząsteczkową. Josh nadal trajkotał przez telefon, stojąc do nas plecami i zasuwając zamki w plecakach. Po chwili podszedł do nas i nie przestając gadać, położył zamknięte plecaki na stole.

- Mam tutaj dwoje dobrych przyjaciół z Wielkiej Brytanii i chcę ich przyprowadzić, żeby sobie powiedzali. Co na to powiesz, stary? - Uśmiechnął się, usłyszawszy odpowiedź

kolegi. - Tak, dzisiaj... tak, wiem, ale to jest ich jedyna okazja, stary... tak, w porządku.

Spojrzał na zegarek, potem na nas i powiedział:

- Zadzwoń za pół godziny.

Oboje zdaliśmy przybrać prawdziwie szczęśliwe miny, ale ja oczywiście udawałem. Jeżeli dzieci odjechałyby, zanim uzyskamy zgodę na wizytę, to pojawi się problem.

Spojrzałem znowu na zegarek: siódma trzydzieści dziewięć. Josh też się uśmiechnął zadowolony z siebie i usiadł przy stole ze swoją kawą.

- Pójdę i przygotuję się - rzuciła podekscytowanym tonem Sara. - Do zobaczenia wkrótce.

Uścisnęła mu serdecznie ramię i zniknęła.

Josh rozejrzał się po kuchni; skończył już swoje obowiązki. Piliśmy kawę w milczeniu. Josh zaczął jeść grzankę, słuchając, jak Maria krzyczy na dzieci w sąsiednim pokoju.

- Kiedy dzieci jadą, Josh? - zapytałem. - Trochę jeszcze wcześniej, skoro to ma być o pierwszej.

- Około ósmej. Przyjedzie po nie szkolny autobus i zawiezie je do centrum miasta. Próba kostiumowa, stary. Będę się cieszył, jak to wszystko się skończy, bo ta sprawa z koldrą całkiem zdominowała moje życie.

Skinąłem głową. Wiedziałem dokładnie, co ma na myśli.

- Jakie są wymagania co do ubioru? - zapytałem, usiłując przerwać ciszę. - Nie chcę cię zawieść.

- Hej, nie ma sprawy, człowieku. Ja po prostu muszę wyglądać porządnie, to moja praca.

Dalej piliśmy kawę, gawędząc. Zapytałem, czy mógłby mi pożyczyć jeden ze swoich krawatów.

Miał już klepnąć mnie po głowie, kiedy z jadalni dobiegł nas krzyk:

- Tato! Tato!

Rozległy się kolejne wrzaski, a Maria omal nie wyszła z siebie. Josh wstał.

- Wróć za chwilę.

Wyszedł z uśmiechem na twarzy. Ja miałem całkiem inną minę. Sprawdziłem znowu czas. Siódma czterdzieści pięć. Piętnaście minut do odjazdu dzieci, ale blisko dwadzieścia pięć, zanim dowiemy się, czy możemy zwiedzać, czy nie. Niedobrze: potrzebowałem dzieci na miejscu, na wypadek gdyby decyzja była negatywna, w innym razie wariant B planu by nie wypalił. Musiałem przestać się opieprzać i brać się do roboty. Odstawiłem kawę i poszedłem na górę. Sara stała nago przy zasłonie brodzika, gotowa do wejścia pod tryskającą z prysznica wodę. Nic nie powiedziałem, tylko podeszedłem do torby i wyciągnąłem swoją dziewiątkę, sprawdziłem komorę naboju i nastawiłem bezpiecznik.

Podeszła do mnie, przyłożyła mi usta do ucha i zapytała, co się dzieje. Wsunąłem broń pod pas dżinsów i wyciągnąłem koszulę, by ją zakryć.

- Możliwe, że dzieci pojedą, zanim Josh się dowie, jaka jest decyzja.

Nachyliła się nad krzesłem, wzięła ubrania i zaczęła się ubierać, klnąc pod nosem.

- Czekaaj tu w pogotowiu. Jak będę musiał to zrobić, będzie słycać. Jeśli do tego dojdzie, zejdź do mnie i to szybko. Pamiętaj, nie zabijaj go, OK? Pamiętaj, co robić?

Skinęła głową, wsuwając koszulę do spodni. Musiałem jeszcze raz omówić z nią plan. Nie mogliśmy sobie pozwolić na spieprzenie sprawy.

- Jeśli odpowiedź będzie negatywna, to je tu przytrzymam, a ty będziesz musiała jechać sama z Joshem. Poradzisz sobie z tym?

Skinęła znowu głową, nie podnosząc wzroku.

- Dobrze. Pamiętaj, zrobi wszystko, co mu każesz, jeżeli będzie chodziło o dzieci. Przypominaj mu ciągle o dzieciach.

Skończyła się ubierać i spojrzała na mnie.

- Powodzenia - powiedziałem cicho.

- Tobie też - odparła i uśmiechnęła się.

Wzięła broń i zajrzała do komory naboju: była gotowa. Obejrzałem swoją koszulę i ruszyłem na dół.

Plecaki zniknęły z kuchni, ale głosy dzieci nadal dochodziły z pokoju telewizyjnego. Josh, który zaniósł im plecaki, wrócił do kuchni.

- Jak tam się przedstawiają sprawy na górze, co? - Wskazał ruchem głowy na wyższą kondygnację. - To coś poważnego?

- Chyba tak, stary. Mam nadzieję, że tak.

Uśmiechnął się szeroko.

- Ona jest super, stary. Zakręciłoby mi się od niej w głowie.

- Nie musisz mi tego mówić.

Usiadłem, żeby dokończyć kawę, i zerknąłem dyskretnie na zegarek. Siódma pięćdziesiąt siedem. Jeszcze trzy minuty i dzieci mogą zacząć wychodzić, całe dziesięć minut przed spodziewanym telefonem.

W kuchni pojawiła się Dakota. Była bardzo podekscytowana programem tego dnia.

- Cześć, Nick. Czy ty i Sara będziecie dzisiaj z tatą, żeby zobaczyć, jak śpiewamy? To będzie takie super!

- Ojej, spokojnie - usiłował ją pohamować Josh. - Jeszcze nie wiemy, czekamy na telefon. Lepiej na wszelki wypadek powiedz teraz Nickowi do widzenia.

Ruszył do pokoju telewizyjnego, żeby przyprowadzić pozostałe dzieci.

Dakota podeszła i uściśnęła mnie. Musiało to dla niej być równie dziwne jak dla mnie. Odchyliłem się, nie chcąc, by wyczuła broń.

- Jeżeli nie spotkamy się dzisiaj po południu, to niedługo zadzwonię do was razem z Kelly, dobrze?

Pozostała dwójka już wchodziła do kuchni. Wyraźnie było widać, że dzieci bardziej interesuje to, co im przepada w telewizji, niż pożegnanie ze mną.

Josh usiłował zaprowadzić jakiś porządek.

- Idźcie wszyscy na górę i powiedzcie do widzenia Sarze. Krzyknijcie przez drzwi, jeśli jest pod prysznicem.

Pobiegły na górę i po chwili usłyszałem ich wołanie i odpowiadającą im krzykiem Sarę.

Josh stanął w drzwiach z Marią. Wyglądało na to, że na razie skończyła pracę. Dobrze: jedna osoba mniej.

Minęła ósma. Niedługo sprawy mogły przybrać zły obrót. Staralem się nie rozpraszać, tylko myśleć wyłącznie o zadaniu. Na szczęście kabura Josha była jeszcze pusta - nigdy nie nosił broni w obecności dzieci. Z zewnątrz dobiegł szum pneumatycznych hamulców.

- Autobus przyjechał. Dzieci, idziemy!

Na klatce schodowej rozległ się łomot podobny do tego w moim sercu, kiedy wsuwając rękę pod koszulę, wszedłem do holu, by je zatrzymać.

Zwolniły na mój widok.

- Cześć, Nick! Do zobaczenia po południu!

W tej samej chwili rozległ się dzwonek telefonu i Josh minął mnie, pośpiesznie wracając do kuchni i wołając desperacko:

- No dzieci, bierzcie plecaki. Autobus czeka.

Przez otwarte drzwi kuchni zobaczyłem, jak bierze do ręki słuchawkę telefonu. Dzieci już miały skręcić w lewo ku drzwiom prowadzącym z holu do pokoju telewizyjnego, kiedy stanąłem, zagradzając im drogę. W dłoni ścisnąłem rękojeść pistoletu. Wiedziałem, że to poskutkuje: ludzie nie robią numerów, kiedy chodzi o ich dzieci.

Sara stała na szczycie schodów z bronią w ręku. Najgorszy scenariusz, jaki mogłem sobie wyobrazić. Ruszyła w dół schodów, chowając pistolet za plecami, na wypadek gdyby któreś z dzieci się obejrzało.

- Hej, hej, jeszcze nie idźcie - zatrzymałem je. - Tato chyba chce, żebyście wszystkie poszły do kuchni. Właśnie pyta, czy możemy z Sarą pojechać zobaczyć, jak śpiewacie.

Skręcili w lewo i weszły do kuchni. Spotkałem się wzrokiem z Sarą. Dochodziła już do podnóża schodów, wsuwając broń za pas spodni.

- Pamiętaj, co mówiłem.

Skinęła głową i weszliśmy oboje za dziećmi do kuchni. Josh właśnie skończył rozmowę, a dzieci go opadły żadne informacji.

- W porządku. Jedziemy na dziesiątą! - rzucił z wesołą miną.

Dzieci wrzasnęły radośnie, a my oboje przyłączyliśmy się do nich.

- Super! - zawołałem z szerokim uśmiechem. - Wielkie dzięki, stary. Znakomicie!

Josh przypomniał sobie o autobusie.

- Co wy tu jeszcze robicie? Idźcie, idźcie! - popędził je ku drzwiom wyjściowym.

Znowu usłyszałem syk pneumatycznych hamulców i rechot silnika diesla, gdy autobus powlókł się dalej ulicą. Josh wrócił do kuchni i opadł na krzesło z głośnym westchnieniem. Dolał sobie kawy, patrząc na Sarę.

- Wracaj, Geri, wszystko ci wybaczam - powiedział i spojrzał na mnie. - Wspaniale, co? Prawdę mówiąc, sam bardzo chętnie to zobaczę.

Sara roześmiała się z ulgą.

- Hej, macie aparat fotograficzny?

Nie mieliśmy.

- Nie ma sprawy, możemy kupić. Mam wielką ochotę pojechać do miasta. Brakuje mi pracy z ludźmi, człowieku - powiedział i pociągnął łyk kawy. - Ta robota doprowadza mnie do szału; wiesz, o co mi chodzi? Muszę wrócić do zadań operacyjnych - dodał i odchyliwszy do tyłu głowę, dopił kawę do dna. - Zadzwoń, żeby załatwić parking. Parkowanie tam to prawdziwy koszmar.

- Skończę się przygotowywać i pakować - oznajmiła Sara, wstając.

Odprowadziłem ją do schodów i podałem moją broń.

- Do bagaży - poleciłem.

Kiedy Josh kończył rozmowę, byłem już z powrotem przy ekspresie do kawy. Zapytałem gestem ręki, czy chce jeszcze. Skinął głową. Odwiesił słuchawkę i wrócił do stołu, a ja usiadłem przy nim.

- Musimy po prostu zaczekać, aż nałoży sobie tapetę.

Uśmiechnął się, biorąc do ręki gazetę. Zaniepokoiłem się, widząc, jak rozkłada na stole „Washington Post”, ale szanse na to, żeby po trzech dniach nasza sprawa była jeszcze w gazecie, były dość niewielkie, szczególnie biorąc pod uwagę to, ile miejsca poświęcano wydarzeniom w Białym Domu.

- Coś interesującego?

- Gdzie tam. Takie samo gówno jak zwykle.

Odwrócił gazetę, by pokazać mi zdjęcie na pierwszej stronie: Netanyahu i Arafat podczas wczorajszego pobytu w mieście. Jak na mój gust, temat artykułu trochę za bardzo nas dotyczył.

- I co myślisz, stary? - zapytałem, gdy wziął z powrotem gazetę. - Myślisz, że to wyjdzie? No wiesz, ten układ pokojowy.

Zaczął mi przedstawiać swoje poglądy na temat spotkania polityków. Nie słuchałem go za bardzo, ale chciałem, żeby mówił, dlatego przede wszystkim go zapytałem. Kiedy gadał, mogłem sobie po prostu siedzieć, kiwając od czasu do czasu potakująco głową albo rzucając jakieś pytanie i jednocześnie mobilizując się przed zadaniem. Byłem w moim małym własnym świecie, zadowolony z tego, że telefon przekazał dobre wieści.

Usłyszałem na schodach kroki Sary i wróciłem do rzeczywistości. Weszła do pokoju z naszymi bagażami i moją kurtką, gdy Josh rozwodził się na temat prac drogowych i ruchu ulicznego w Waszyngtonie. Chyba nie zdążyła wziąć prysznic, ale nadrobiła to użyciem kredki do oczu i błyszczyka do ust. Josh wstał i spojrzął na zegarek.

- OK, na koń!

Wziąłem nasze bagaże, a Josh pobiegł na górę. Nie powiedział po co, ale oboje wiedzieliśmy, że po broń.

26

Dodge pisnął alarmem i zamigał światłami. Josh wskoczył za kierownicę, a my przeszliśmy na drugą stronę pojazdu. Otworzyłem drzwi i na zewnątrz wypadła zabawka - samochód wyścigowy. Kredki, kolorowanki z McDonald'sa i wszelkie inne dziecięce szpargały zaśmiecały podłogę pod nogami. Położyłem bagaże z tyłu. Była w nich broń, ale miała tam pozostać. Sara podniosła z chodnika zabawkę i wsiadła do samochodu obok Josha. Wsiadłem za nią - na siedzeniu było dość miejsca dla trzech osób łącznie z kierowcą.

Poranne niebo nadal zakrywały chmury, ale kiedy słońce przez nie przenikało, robiło się tak jasno, że musiałem mrużyć oczy, patrząc przez szybę. Na wstecznym lusterku zwisały na sznureczku lustrzane okulary przeciwsłoneczne. Josh je włożył i przekręcił kluczyk w stacyjce. Czterolitrowy silnik zawarczał i wycofaliśmy się sprzed domu, antena radiowa wysunęła się automatycznie.

Kiedy radio się włączyło, ku mojemu zaskoczeniu usłyszałem kobiecy głos mówiący o miejscu Jezusa w dzisiejszym świecie. Josh spojrzął na mnie, czując, że moje nie zadane pytanie wymaga jego odpowiedzi.

- Chrześcijańska radiostacja - powiedział bez cienia skrępowania. - Paru ludzi namówiło mnie do słuchania. To pomaga. Nawet byłem z nimi na paru spotkaniach.

- To dobrze, Josh - odrzekłem.

Ciekawe, czy w swoich biblijnych studiach dotarł już do Judasza?

Ruszyliśmy na północ, z powrotem tą samą trasą, którą przyjechaliśmy taksówką. Josh gawędził o tym, ile czasu już minęło, odkąd był w Białym Domu i jak brakuje mu tamtejszej pracy. Tym, do czego nie tęsknił, jak powiedział, kiedy powoli wlekiśmy się do miasta, był ruch na ulicach. Nie znosił go. Nie musiał mi wcale tłumaczyć dlaczego.

Sara zobaczyła, że zbliżamy się do stacji benzynowej, więc przypomniała Joshowi, żeby się zatrzymać, byśmy mogli kupić aparat jednorazowy. Dwadzieścia pięć minut po wyjściu z domu znowu sunęliśmy autostradą imienia Jeffersona Davisa i już zbliżaliśmy się do Pentagonu. Tym razem jednak, zamiast ominąć Pentagon, skręciliśmy w prawo na most biegnący na drugą stronę rzeki Potomac. Josh wcielił się w rolę przewodnika.

- Po lewej stronie to pomnik Jeffersona, a trochę dalej pomnik Lincolna. Sara, musisz namówić Nicka, żeby zabrał cię o zachodzie słońca do Reflecting Pool, tam jest naprawdę romantycznie, całkiem jak w filmach.

Mieliśmy wiele czasu na podziwianie widoków, gdyż od połowy mostu samochody tkwiły w korku. W końcu ruszyliśmy na północ Czternastą ulicą, przecinając wielki trawiasty teren znany jako National Mail, który rozciąga się od budynku Kapitolu aż do pomnika Lincolna nad Potomakiem. Przejechaliśmy przez National Mail i skręciliśmy kilka razy.

- No i jesteśmy tu, gdzie robi się te wszystkie brudne numery! - oznajmił Josh.

Przejechaliśmy obok celu naszej podróży, pozostawiając go po lewej stronie.

- Musimy jechać dookoła, bo tu są jednokierunkowe ulice. Ale to super, bo zobaczycie Biały Dom ze wszystkich stron.

Jadąc cały czas w lewo, zatoczyliśmy koło i dotarliśmy na

Siedemnastą ulicę. Wychodzący na północ fronton Białego Domu był wciśnięty między dwa tereny parkowe. Pierwszy z nich, czyli Lafayette Park, był teraz dostępny tylko dla pieszych, gdyż Pennsylvania Avenue została tymczasowo zamknięta dla samochodów. Drugi, Ellipse, sięgający do National Mail wielki, zielony teren, wyglądał tak, jakby został zamieniony w gigantyczny parking dla posiadaczy zezwoleń rządowych.

Po zachodniej stronie Białego Domu zobaczyliśmy dawne Executive Office, a po wschodniej Departament Skarbu. Od każdego z tych budynków prowadziła osobna droga do Białego Domu, ale obydwie były zamknięte dla ruchu. West Executive Avenue była zamknięta również dla ruchu pieszego, ale za to udostępniono East Executive Avenue, żeby ludzie mogli wchodzić przez wschodnie skrzydło Białego Domu.

Josh skręcił w lewo i zwolnił. Na trawnikach parku Ellipse stały szeregi zaparkowanych samochodów, pomiędzy którymi zobaczyliśmy grupkę około dwunastu żółtych autobusów szkolnych.

Josh znowu wskazał ręką. Droga kiedyś skręcała, oddalając się od Białego Domu, ale potem została zamknięta, aby pełnić funkcję kolejnego parkingu. Przejechaliśmy bramę wychodzącą w kierunku West Executive Avenue i zatrzymaliśmy się na rogu State Place. Josh otworzył okno i wysunął dłoń.

- Yo! - zawołał.

Mężczyzna, ubrany w popielaty jednorzędowy garnitur i jakiś czerwony krawat, stał przy bramie; odpowiedział Joshowi skinieniem głowy i ruszył ku nam.

- Davy Boy! Kupę lat!

- Yo, Josh, fajnie, że cię widzę!

Wymieniliśmy z Sarą spojrzenia. Martwiło ją to samo co mnie: czy ten facet ma z nami zostać?

- Jak tam leci, Davy Boy? Masz dla mnie miejsce?

Davy podszedł bliżej samochodu. Widziałem już jego krawat: mnóstwo małych dalmatyńczyków na czerwonym tle.

- Hej, wiesz co? Zaparkuj na służbowym parkingu West Executive.

Wysiedliśmy z samochodu i Josh energicznie klepnął Davy'ego w plecy.

- Chodź tutaj, przedstawię ci moich przyjaciół z Wielkiej Brytanii. To jest Sara - podali sobie ręce - a to Nick - również wymieniliśmy uścisk dłoni.

- Miło mi was poznać. Witamy.

Davy miał trzydzieści parę lat i zachowywał się w bardzo otwarty, życzliwy sposób. Był również wysoki, wysportowany, przystojny i miał wszystkie własne zęby, białe i idealne. Gdyby nie pracował w Secret Service, to czekałaby go wielka kariera jako bohatera reklam coli dietetycznej.

Davy miał już wszystko przygotowane.

- Wezmę was do wartowni, załatwię przepustki i zaprowadzę do środka. Jak wiecie, dzisiaj jest tu trochę ruchu, ale zrobimy dla was, co się da.

Obsypaliśmy go z Sarą entuzjastycznymi podziękowaniami i ruszyliśmy za nim.

- Niedługo się zobaczymy - zawołał za nami Josh.

Usłyszałem, jak zamyka drzwi samochodu i odjeżdża.

- Długo jechaliście? - przejął inicjatywę Davy.

Spojrzałem na zegarek: dziesiąta szesnaście.

- Nie, nie bardzo, trochę ponad godzinę.

- To dobrze. Narzekał na ruch?

- Cały czas jęczał.

Davy'emu spodobało się to określenie. Najwyraźniej nic się nie zmieniło, jeśli chodzi o jego starego kolegę z pracy.

Czarny dodge Josha wyprzedził nas, kierując się do bramy prowadzącej na samą West Executive Avenue. My też tam szliśmy, ale przez bramkę obok wartowni, którą obsadzali funkcjonariusze ochrony. Josh zatrzymał się przed wielką, czarną metalową bramą, która automatycznie otworzyła się przed samochodem. Wartownia, która znajdowała się na lewo od bramy, była wyposażona w automatyczną obrotową furtkę i wykrywacz metali, taki jak na lotnisku. Z większej odległości wartownia wyglądała jak altana zbudowana z białego PCV i szkła. Jednak kiedy podeszliśmy bliżej, zobaczyłem, że to mylne wrażenie. Konstrukcja wartowni była z pomalowanych stalowych żeber, a szkło było tak grube, że ledwie przez nie widziałem poruszających się w środku ludzi.

Brama zamknęła się za Joshem. Zaparkował dodge'a wśród innych samochodów, przodem do chodnika, około pięćdziesięciu metrów na lewo od bramy.

Z prawej strony rozległy się entuzjastyczne owacje i podniecone dziecięce głosy. Cały ten hałas dobiegał spod wielkiego zadaszenia, które zostało ustawione na tyłach Białego Domu. Davy się uśmiechnął.

- Jest ich tam ze dwie setki. Ćwiczą od samego rana. -Zmarszczył twarz, słysząc przeciągający się aplauz. - Przynajmniej im samym się wydaje, że są dobrzy.

Przeszliśmy przez bramę w ogrodzeniu, skęciliśmy w prawo i zatrzymaliśmy się przed wykrywaczem metalu, skąd miałem lepszy widok na wnętrze wartowni. Tuż za wykrywaczem znajdowała się furtka obrotowa. Jeden z dwóch znajdujących się w wartowni ochroniarzy otworzył drzwi i wyszedł do nas. Jednocześnie od strony furtki obrotowej dobiegł odgłos brzęczyka: to Josh podszedł do nas. Ochroniarz był białym, czterdziestoletnim mężczyzną. Jego wersja munduru Secret Service składała się z precyzyjnie wyprasowanej białej koszuli, czarnego krawatu, czarnych spodni z żółtymi prążkami i czarnego skózanego pasa z pistoletem automatycznym i zapasowymi magazynkami. Widać było, że nie może się doczekać, kiedy przytnie Joshowi.

- Sytuacja musi być rozpaczliwa, jeżeli sprowadzają cię z powrotem!

Josh się roześmiał. Widocznie od wielu lat słyszał od niego takie teksty, bo pokazał mu środkowy palec i odparł:

- Wysłali mnie, żebym oczyścił teren ze wszystkich zbędnych ludzi, więc lepiej uważaj, tłuściochu.

Wszyscy trzej zaczęli hałaśliwą rozmowę, otyły strażnik klepał się po brzuchu. Sara i ja nie byliśmy wtajemniczeni, więc po prostu trzymaliśmy buzię na kłódkę, starając się wyglądać na bardzo przejętych tym, że stoimy tak blisko oficjalnej rezydencji najpotężniejszego człowieka na Ziemi.

Zorientowałem się, że Tłuscioch i młodszy czarnoskóry strażnik, który nadal był wewnątrz wartowni, obsługują również zestaw monitorów telewizyjnych i urządzeń radiowych. Davy wziął do ręki notes z podkładką i zaczął procedurę rejestracji.

- Nick, nazwisko proszę?

- Stone - odparłem.

Będąc z Joshem nie miałem wyboru, tylko musiałem udzielić prawdziwej odpowiedzi.

- OK, S-T-O-N-E.

Zamilkł na kilka sekund, zapisując nazwisko.

- A Sara?

- Darnley.

Zrobił minę, kiedy podawała po literze pisownię nazwiska, wycierając okulary chusteczką higieniczną, którą wyjęła z kieszeni.

- OK, gdybyście mogli mi podpisać. Tutaj i tutaj.

Pierwszy podpis był pokwitowaniem odbioru przepustki imiennej, a drugi był wpisem do książki wchodzących. Josh również się wpisał. Davy oddał notatnik strażnikowi, a ten podał Sarze i mnie nasze przepustki. Tłuscioch uśmiechnął się do Sary, podając jej przepustkę.

- Chyba nie pozwolisz, żeby tych dwóch patałachów cię oprowadzało, prawda?

- Zdaje się, że nie mam wyboru.

Pokręcił głową z uśmiechem.

- Oni nie znają tu niczego poza stołówką. Będziesz cały dzień jeść pączki i pić kawę. Tylko popatrz, do czego to prowadzi! - powiedział, opuszczając wzrok na swój brzuch.

Roześmialiśmy się wszyscy. Ja z czystej ulgi, iż dostaliśmy się aż tak daleko. Wyglądało jednak na to, że nie całkiem nam się udało, bo nie dostaliśmy przepustek na nylonowych linkach, ale przypinane do ubrania plakietki z czarnym V na białym tle. Ten symbol nie oznaczał, że jesteśmy gośćmi, ale ochotnikami. Pewnie tak się umówili: było dużo roboty, więc żadnych zwiedzających. Najwyraźniej Davy i Josh naprawdę dołożyli starań. Nie podobało mi się to. Czuję się przez to jeszcze bardziej parszywie, ale mogłem z tym żyć. Przynajmniej miałem nadzieję, że będę żył.

Nasze przepustki wyglądały całkiem inaczej niż te, które mieli Davy i Josh. U nich na przepustkach były zdjęcia otoczone niebieską ramką i z jakimiś czerwonymi znaczkami pod spodem. Przypięliśmy sobie plakietki do marynarek, a Davy klasnął i zatarł ręce.

- OK, ludziska, do roboty.

Obszedł wykrywacz i zaczął z Joshem, aż przez niego przejdziemy. Kiedy przedostaliśmy się już na drugą stronę furtki obrotowej, sam nie wiedziałem, jakie uczucie we mnie przeważa: radość, że pokonaliśmy pierwszą przeszkodę, czy z troską z powodu tego, że jestem teraz zamknięty, a czas płynie nieubłaganie.

Skierowaliśmy się na północ drogą West Executive Avenue. Nie byliśmy jeszcze na wewnętrznym terenie Białego Domu, oddzielało nas jeszcze od niego biegnące wzdłuż drogi metalowe ogrodzenie. Zorientowałem się, że kierujemy się do wejścia znajdującego się około pięćdziesięciu metrów dalej, skąd wchodziło się na frontową część trawnika przed Białym Domem. Patrząc przez płot, dojrzałem tył głównego budynku i zadaszanie. Pod jednym z drzew stał funkcjonariusz ERT, czyli Jednostki Szybkiego Reagowania. Rozmawiał przez radio, obserwując drogę, a przy okazji i nas. Naprawdę wyglądał jak należy. Był ubrany od stóp do głów w czarny strój: czarny kombinezon, czarny pas, kamizelkę kuloodporną i buty. Na głowie miał czapkę baseballową z wypisanymi z przodu literami ERT, a przy nodze uprząż z pagerem i kaburą z pistoletem. Jego główna broń, chyba karabinek MP5, była ukryta w czarnym nylonowym pokrowcu umieszczonym na klatce piersiowej.

Josh został z tyłu, a Davy zaczął nam objaśniać, co widzimy po drodze.

- Niezależnie od tego, co ludzie myślą, to jest w gruncie rzeczy kompleks biurowy. Tam po lewej stronie - spojrzeliśmy zgodnie na byłą siedzibę Executive Office, jakbyśmy byli grupą japońskich turystów - jest biuro wiceprezydenta, tam znajduje się również Indian Treaty Room. Fantastyczny

widok. Spróbuję was później zaprowadzić, szczególnie jeśli nasza wyprawa na drugą stronę płotu ulegnie skróceniu.

Przeszliśmy dalej drogą pomiędzy obydwojoma budynkami, słuchając Davy'ego. Im więcej się słucha, tym mniej się musi mówić. Dzięki temu można mniej zepsuć i ma się więcej czasu, żeby rozglądać się za kimś, kto z grubsza przypomina ciemnoskórego Ala Gore'a czy Billa Gatesa.

Przez bramę przechodzili zdecydowanym krokiem mężczyźni w tradycyjnych garniturach i kobiety w identycznych dwuczęściowych kostiumach. Każde z nich miało identyfikator wiszący na nylonowej lince. Po asfalcie wiły się kable telewizyjne i elektryczne, a na końcu drogi, tam gdzie zbiegała się z Pennsylvania Avenue, stały stłoczone w niewyobrażalny sposób samochody z antenami satelitarnymi.

Kiedy niemal dotarliśmy do bramy, zobaczyłem po drugiej stronie płotu Monica Beach. Spojrzałem na Sarę. Również zobaczyła ten fragment trawnika, pokryty różnokolorowymi parasolkami, które miały chronić obiektywy kamer przed bezpośrednim światłem słonecznym. Kolejne kable zasilające wiodły do reflektorów, dzięki którym reporterzy mieli dobrze wyglądać na ekranach. Można było odnieść wrażenie, że to miejsce rządzi się własnymi prawami, tak jakby stanowiło filmowy plan Hollywood.

Dalej za Monica Beach zobaczyłem kolejną wartownię. Prawdopodobnie tamtędy wpuszczano ekipy dziennikarskie od strony Pennsylvania Avenue. Tłumy ludzi z kamerami i aparatami fotograficznymi napierały na barierki, by zrobić dobre ujęcia budynku. Chyba fotografowali wszystko, co tylko się ruszało, mając może nadzieję, że uchwycą jakąś sławną postać, którą potem będą mogli pokazywać ludziom w rodzinnej miejscowości. Gdyby cała impreza zamieniła się za kilka godzin w jedno wielkie piekło, to pewnie policja zwróciłaby się do nich z apelem, żeby udostępniili swoje zdjęcia.

Davy dalej udzielał nam ogólnych informacji, kiedy zatrzymaliśmy się przed wejściem. Było to wąskie gardło w ruchu, gdyż funkcjonariusze ERT i umundurowani ludzie z Secret Service starannie oglądali przepustki wszystkich, którzy czekali na wejście.

- Można podzielić Biały Dom na trzy główne części. Wschodnie Skrzydło - wskazał na przeciwną część budynku - następnie pośrodku główna część, zwana Executive Mansion...

Oboje patrzyliśmy posłusznie we wskazywanych kierunkach, jednak ja skupiałem się bardziej na wpatrywaniu się w twarze członków ekip telewizyjnych, którzy szli od budynku w kierunku Monica Beach.

- ...to jest ta część, którą zawsze widać w wiadomościach. Jak widzicie, cała uroczystość odbędzie się na trawniku. Dzieciaki dadzą swój pokaz przed sceną.

Na scenie stało kilka rzędów krzeseł i dwie mównice opatrzone prezydenckim godłem. Na masztach powiewały flagi Izraela, Palestyny i Stanów Zjednoczonych. Cały widok przedstawiał się sielankowo.

Sara popatrzyła na hordy turystów wtykających obiektywy kamer wideo pomiędzy sztabki w płocie.

- Czy takie odsłonięcie od strony drogi nie jest niebezpieczne? - zapytała.

Davy pokręcił głową.

- Nie, niedługo zamkną Pennsylvania Avenue - powiedział, wskazując na kolejną część budynku - To tutaj to Zachodnie Skrzydło, używane głównie przez administrację i, jak widać, do spotkań z mediami. - Wskazał ruchem głowy na ekipy telewizyjne.

Korzystając z okazji, odwróciliśmy się, żeby się przyjrzeć członkom ekip. Nie widziałem nikogo, kto chociaż trochę wyglądałby jak poszukiwani przez nas ludzie. Zresztą ci tutaj byli technikami przygotowującymi sprzęt, a nie reporterami. Musieliśmy po prostu dalej odgrywać turystów.

- Gabinet Owalny jest w Zachodnim Skrzydle, a nie w Executive Mansion - ciągnął Davy. - To dlatego ci ludzie - wskazał na tłum za płotem - nigdy go nie mogą zobaczyć. Zawsze patrzą w złym kierunku i ze złego miejsca. Okna Gabinetu Owalnego wychodzą na to miejsce, gdzie teraz zgromadziły się dzieciaki.

Czekaliśmy nadal, przesuając się powoli w kierunku funkcjonariuszy ochrony. Od czasu do czasu Josh i Davy machali do jakichś znajomych. Ustąpiliśmy z drogi, żeby przepuścić do wejścia grupkę elegancko ubranych mężczyzn i kobiet. Jedna z nich rozpoznała Josha.

- Och, pan D'Souza! Co pana sprowadza do miasta?

Josh cofnął się z jeszcze szerszym niż zwykle uśmiechem na twarzy.

- Pomyślałem, że wpadnę powiedzieć dzień dobry.

Zatrzymaliśmy się na kilka sekund, żeby mógł dokończyć rozmowę. Usłyszałem, jak mówi o tym, że jego dzieci uczestniczą w uroczystości.

Nagle Sara coś sobie przypomniała.

- Och, nie, aparat. Zostawiłam go w samochodzie.

Słyszając to, Josh odwrócił się ku niej.

- Hej, nie ma sprawy. Otworzę samochód.

- Nie trzeba, poradzę sobie - powiedziała, dając mu do zrozumienia, że nie chce przeszkadzać w rozmowie.

Wyciągnęła rękę po kluczyki i Josh je podał. Też zapomniałem o aparacie. Był nam potrzebny, gdyż byliśmy turystami na wycieczce, która zdarza się raz w życiu. Josh spojrzał na mnie, jakbym był idiotą.

- Wiemy teraz, kto tutaj ma głowę na karku! - powiedział i wrócił do rozmowy ze swoją znajomą.

Poczekaliśmy trochę i gdy Sarah przybiegła do nas z aparatem w ręku, Davy przystąpił do dalszych objaśnień.

- Chodźcie, pokażę wam coś, co każdego dnia pokazują w telewizji.

Do frontowej części Wschodniego Skrzydła dotarliśmy dróżką, wzdłuż której biegła jeszcze większa płatanixia kabli zasilających. Zeszliśmy niżej po kilku stopniach i minęliśmy osłonięte białym półkolistym daszkiem drzwi. Na ziemi było coraz więcej kabli, a z lewej strony dobiegł nas odgłos pracującego przenośnego generatora prądu. Za każdym razem, kiedy mijaliśmy grupę ludzi, spoglądałem na Sarę, obserwując jej reakcję. Była jedyną osobą, która mogła rozpoznać tych ludzi. Ja mogłem się tylko domyślać.

- No i jesteśmy - oznajmił Davy.

Staliśmy przy wielkich przeszklonych drzwiach. Spojrzałem w lewo i zobaczyłem wóz telewizyjny, który stał tyłem do boku głównych kamiennych schodów, wiodących do północnego portyku Executive Mansion. U dołu znajdowały się otwarte drzwi prowadzące na parter, a wyżej schody wspinały się do umieszczonego na pierwszym piętrze głównego wejścia. Davy wprowadził nas do środka i od razu ujrzeliśmy bardzo znany widok: mównicę z prezydenckim godłem, zza której przekazywano tak wiele oświadczeń Białego Domu pokazywanych w telewizji. Pomieszczenie miało dobrany dobrze do swojej funkcji wystrój, ale było o wiele mniejsze, niż sobie wyobrażałem. Przodem do mównicy stały ustawione w rzędy krzesła z tworzywa sztucznego, z przedzielającym je pośrodku przejściem. Gdyby nie leżące wszędzie na podłodze przewody i technicy zajmujący się ustawianiem sprzętu telewizyjnego i mikrofonów, można by pomyśleć, że trwają tu przygotowania do zebrania mieszkańców w wiejskim ośrodku kultury. Pośpiesznie rozejrzałem się po sali, przypatrując się mniej więcej tuzinowi ludzi, którzy w szaleńczym tempie przygotowywali sprzęt na popołudniowe uroczystości.

- Macie aparat? - zapytał Josh, patrząc na nas oboje.

- Co? - zagrałem głupiego.

- Aparat!

Roześmiałem się głośno.

- Idźcie, wejdźcie tam!

Spojrzeliliśmy z Sarą po sobie. O cholera, pomyślałem, musimy to zrobić, byłoby dziwne, gdybyśmy nie zrobili. Josh zrobił każdemu z nas zdjęcie na mównicy i jedno wspólne, kiedy stanęliśmy za nią, obejmując się i uśmiechając. Rzucił mi aparat, gdy zeszliśmy z mównicy.

- Coś do pokazania wnukom!

Wymieniliśmy z Sarą oczekiwane zakłopotane uśmiechy.

Wyszliśmy z sali konferencyjnej i z powrotem znaleźliśmy się na dróżce. Davy przyglądał się wozowi telewizyjnemu, a Josh znowu pozdrawiał wszystkich, których znał, i tłumaczył, dlaczego tam jest.

- Hej, wiecie co? - zdecydował w końcu Davy. - Myślę, że przejdziemy na drugą stronę. Tam jest trochę ruchu.

Oslaniając oczy przed nagłym rozbłyskiem jaskrawego słońca, ruszyliśmy w górę po schodkach, aby wejść na ten sam poziom, na który prowadziły główne schody.

Nadal ani znaku Ala czy Billa, ale było jeszcze trochę wcześniej. Jeszcze nie do końca wykombinowałem, co zrobimy, kiedy już ich dostrzeżemy. Wszystko zależało od sytuacji. Miałem nadzieję, że uda się nam namówić Josha do jakiegoś działania, ostrzec go, że coś jest nie tak. Może po prostu powiem, że widziałem ludzi, których z pewnością rozpoznaję jako terrorystów. Nie było ważne, jak to zrobimy, liczyło się tylko to, żeby ochrona ich zatrzymała. Nasze zadanie polegało na tym, żeby ich znaleźć.

- Kiedy przyjeżdża reszta dziennikarzy? - zapytałem. - Idą gdzieś na instruktaż i podobne sprawy?

Wskazał z powrotem na salę konferencyjną.

- Dziennikarze mają spotkanie o dwunastej w południe. Sprawozdawcy telewizyjni nie pokażą się wcześniej. Najpierw ich ludzie po prostu przygotowują dźwięk i oświetlenie.

Zrobiłem podekscytowaną minę.

- Dałoby się zobaczyć to spotkanie? Trochę mam bzika na punkcie mediów, to by mi się naprawdę podobało.

Davy spojrzał na mnie, jakbym zwariował. Jak coś takiego mogło być interesujące?

- Pewnie, nie ma sprawy.

Rzuciłem okiem na Sarę. Wiedziała, co robię. Musieliśmy przeciągnąć wszystko do południa. Gdyby ci goście mieli się pokazać, to na pewno przybyliby na spotkanie dla dziennikarzy.

Dotarliśmy do podnóża schodów północnego portyku, które prowadziły do głównej części Białego Domu. Davy wskazał na umieszczoną naprzeciw nas na trawniku scenę, która właśnie poddawana była ostatnim zabiegom.

- Kamery będą po tamtej stronie sceny - powiedział, wskazując ruchem głowy - na tym miejscu, które mijaliśmy wcześniej.

Skinęliśmy oboje głowami, robiąc wyjątkowo zainteresowane miny, co nie było takie trudne. Josh nie był taki oczarowany.

- Dokąd teraz? - zapytał Davy'ego.

- Chcecie zobaczyć kręgielnię?

Poszliśmy dalej, mijając Executive Mansion i kierując się ku Wschodniemu Skrzydłu. Dróżka, którą szliśmy, biegła od białej wartowni z wejściem dla prasy i zataczając półkole, prowadziła na przeciwległy, prawy skraj trawnika, gdzie widać było podobną wartownię. Ochroniarz z ERT szedł ku wartowni od strony zaparkowanych rzędem na dróżce czarnych chevroletów. Ich czerwono-niebieskie światła ostrzegawcze, przyciemnione okna i anteny przypomniały mi, że w promieniu dwustu metrów od miejsca, w którym stoimy, jest pewnie więcej broni palnej, niż sklep „U Jima” sprzedał od początku swojego istnienia. Musieliśmy zachować ostrożność, żebyśmy nie oberwali, kiedy ochrona dobierze się do tych dwóch terrorystów.

Mieliśmy teraz przed sobą otwarty widok na położony niżej teren po drugiej stronie schodów. Moją uwagę zwróciła farba na schodach. Była nie biała, tylko kremowa, i łuszczyła się. Przeszliśmy kawałek dalej i zeszliliśmy po kolejnych schodkach na kondygnację poniżej poziomu gruntu. Na dole Davy odwrócił się i zaczął iść tyłem, by patrząc na nas, objaśniać nam drogę.

- To jest ta część budynku, której nigdy nie widzą zwiedzający.

Schyliliśmy się, by przejść pod wielkimi stalowymi rurami wentylacyjnymi. Davy wskazał w kierunku Executive Mansion.

- W gruncie rzeczy to jest parter. Za tą ścianą znajdują się niektóre oficjalne pomieszczenia, takie jak Salon Przyjęć Dyplomatycznych, Salon Chiński i tego rodzaju rzeczy. Ale to jest bardziej interesujące - powiedział i pokazał na przestrzeń pod nami - czyli suterena. Prawdę mówiąc są dwie sutereny: kręgielnia, pomieszczenia sanitarne, pracownia malarska i warsztat. Jest tu nawet schron przeciwlotniczy. - Spojrzawszy w prawo, zobaczyłem okna wychodzące na pokoje znajdujące się pod powierzchnią podjazdu do Białego Domu i trawnika.

Podeszliśmy do białych dwuskrzydłowych, przeszklonych drzwi. W gruncie rzeczy były raczej szare niż białe. Od razu rzuciło się w oczy, że to teren obsługi. Davy otworzył drzwi przede mną i Sarą, a Josh wszedł za nami. Byliśmy teraz pod główną klatką schodową. Po drugiej stronie pod czujnym okiem funkcjonariusza ochrony pracowała ekipa telewizyjna. Davy pomachał mu ręką.

- Cześć, Jeff, co tam u ciebie, stary?

Podprowadził nas do drzwi położonych najbliżej drugiego wejścia, przez które przechodziły chyba wszystkie kable. Od razu za drzwiami uderzył mnie ten zapach: intensywna woń szkolnej stołówki i środków dezynfekcyjnych, którą najpierw poznałem jako dziecko, a gdy podrosłem, zacząłem kojarzyć ze stołówkami wojskowymi lub klatkami schodowymi w biedniejszych domach. Znaleźliśmy się w czterometrowej szerokości holu o posadzce z wyfroterowanych płytek. Kamienne ściany pokrywała cienka warstwa tynku i wiele warstw kremowej błyszczącej farby. Tynk był poznaczony rysami i wklęsnięciami wyżłobionymi przez niedbale popychane wózki z naczyńiami. Jeden z takich wózków stał dalej w holu.

Idąc wzdłuż kabli, minęliśmy z lewej strony windę i klatkę schodową i przeszliśmy przez kolejne drzwi. Było to tak, jakbyśmy dotarli do innego świata. Znaleźliśmy się w wystawnym wnętrzu o marmurowych ścianach i kryształowych żyrandolach, które zwisały z wysokich żebrowanych sklepień. Niemiły zapach zniknął. Po lewej stronie widok przesłaniały nam dwa wysokie brązowe parawany, które stały tam jak blokady na drodze. Davy i Josh wymienili pozdrowienia z ochroniarzem z ERT i dwoma agentami Secret Service pilnującymi tego fragmentu budynku. Jeden z agentów miał niebieski krawat z rysunkami graczy w golfa w różnych pozach, a drugi żółty krawat zadrukowany małymi dwupłatowcami.

- To jest hol parteru - oznajmił Davy. - Nie możemy zobaczyć jego dalszej części, bo później będzie tam prezydent. On nie chce oglądać tych wszystkich rzeczy - wyjaśnił, wskazując na przewody.

- A co tu się będzie działo? - zapytała Sara. - Myślałam, że wszystko odbędzie się na dworze.

Dwaj technicy telewizyjni przeszli na prawą stronę odprowadzani przez swojego opiekuna z ERT. Josh nadal cicho rozmawiał z dwoma agentami Secret Service.

- Około jedenastej - wyszeptał Davy - Arafat, Netanyahu i prezydent będą na kawie w Salonie Przyjęć Dyplomatycznych.

Wskazał głową techników, którzy teraz szli z powrotem w naszym kierunku.

- Ci faceci zakładają zdalnie sterowany sprzęt, żeby CNN mogła przekazać relację na żywo. Politycy zostaną tutaj przez jakieś dwadzieścia, trzydzieści minut, a potem wyjdą na wczesny lunch.

Sara wskazała na parawany, próbując zgadnąć, gdzie jest Salon Przyjęć Dyplomatycznych.

- To jest ta owalna sala, tam po prawej stronie, prawda?

- Tak - Davy skinął głową - a po lunchu przeniosą się do Błękitnego Salonu. Ma ten sam kształt i jest dokładnie nad tym, piętro wyżej. Potem o pierwszej wyjdą na trawnik, gdzie ich powita niebiański chór.

Znowu skrzywił się na myśl o śpiewających bezładnie dwóch setkach dzieci. Josh podszedł do nas.

- Hej ludzie, chyba lepiej już stąd pójdziemy.

Zrozumieliśmy. Faceci z Secret Service nie chcieli, żebyśmy tam przebywali, skoro nadchodziła pora na kawę.

Ruszyliśmy w prawo korytarzem. Davy wskazał z ożywieniem na wielkie dwuskrzydłowe białe drzwi na końcu korytarza.

- Tędy idzie się do Zachodniego Skrzydła, tam gdzie jest sala konferencyjna.

Kabel telewizyjny zniknął za drzwiami po lewej stronie, a my skręciliśmy w prawo i weszliśmy do pomieszczenia administracyjnego. Znowu pojawił się ten sam zapach. Na lewo była kolejna winda, a na prawo od niej kręcone schody.

- To jest winda obsługi prowadząca do oficjalnej jadalni - objaśnił Davy.

Wyraźnie sprawiło mu przyjemność występowanie w roli przewodnika.

- Ona jest dokładnie nad nami na pierwszym piętrze.

Zatrzymaliśmy się przy windzie. Davy uśmiechnął się szeroko.

- Muszę wam pokazać ślady spalenizny, które zostawiliście ostatnim razem, kiedy złożyliście tu nie zapowiedzianą wizytę.

Z przeciwka zbliżał się do nas wózek pchany przez czarnoskórego faceta po pięćdziesiątce. Wyglądał na zawodowca: był ubrany w czarne spodnie, kamizelkę, krawat i sztywną, wykrochmaloną białą koszulę. Wózek był zapchany dzbankami na kawę, filiżankami, spodkami i opakowaniami wszelkiego rodzaju ciasteczek.

- Przepraszam panów - powiedział bardzo uprzejmym tonem i zobaczywszy Sarę, dodał - i panią.

Przemknął obok, dzwoniąc ustawionymi na metalowym wózku filiżankami. Oczywiście miał na myśli, żebyśmy spieprzali z drogi. Przecież miał ważną misję do wykonania. Zeszliśmy po kręconych schodach, słuchając objaśnień Da-vy'ego.

- Mamy jeszcze dwie windy, sto trzydzieści dwa pokoje i trzydzieści trzy łazienki.

- I siedem klatek schodowych - dorzucił Josh.

Postarałem się uśmiechnąć w odpowiedzi. We wszystkich innych okolicznościach byłoby to ciekawe, ale nie teraz.

Zeszliśmy na dół i zatrzymaliśmy się przy wyjściu przeciwpożarowym, czyli drzwiach z grubych drewnianych płyt, w które wstawiono dwa czworokątne kawałki wzmocnionego drutem ognioodpornego szkła. W miejscach, gdzie drzwi były ciągle popychane, widać było brudne ślady dłoni. Nad nimi znajdował się duży kamienny blok podpierający łuk wyjścia, z wyraźnymi czarnymi śladami po ogniu.

- Zostawiliśmy te ślady, żeby przypominały, co się dzieje, kiedy przyjeżdżacie do naszego miasta. Nie byliście tu tak długo, bo mieliśmy was wtedy bardziej niż dość.

Wszyscy zareagowaliśmy śmiechem. Zauważyłem, że Sara spogląda na zegarek.

- Wiecie, ludzie myślą, że Biały Dom otrzymał swoją nazwę zaraz potem, jak go spaliliście. Ale nie, nazwa pochodzi z 1901 roku, z czasów... ee - Odwrócił się do Josha, czekając na odpowiedź.

- Roosevelta - powiedział Josh, patrząc na nas niepewnie. - Hej, jak się tu pracuje, to trzeba znać takie rzeczy.

Nie mieliśmy wiele do powiedzenia i nie było więcej osmalonych kamieni, na które moglibyśmy patrzeć. Po chwili więc Davy zaproponował:

- OK, chodźcie, zbijemy parę kręgli.

27

Przeszliśmy przez drzwi i przed nami otworzył się pomalowany na biało korytarz długości dwudziestu pięciu czy może trzydziestu metrów. Po jego obu stronach widniały wpuszczone nieco w ścianę białe drewniane drzwi. Wszystko tu wyglądało bardzo praktycznie. Korytarz oświetlały sufitowe lampy, a w ważnych punktach umieszczono zapasowe źródła światła, na wypadek przerwy w dopływie prądu. W powietrzu wisiał ten sam zapach stołówek i środków dezynfekujących. Nic się tu w ogóle nie działo. Słysząc było tylko skrzypienie naszego obuwia na terakocie i odbijające się od ścian echa kroków.

Dotarliśmy do sterty tekturowych pudeł i wypchanych po brzegi worków ze śmieciami, które stały pod ścianą.

- Normalnie, jak w każdym innym domu - rzekł Davy. - Wszystkie śmieci trafiają do piwnicy.

Minęliśmy kilkoro białych drzwi i dotarliśmy do kolejnych, z pomalowanego na szaro metalu, nad którymi migąła powoli czerwona żarówka. Davy wskazał na nie ręką.

- Zobaczmy, kto tam jest - powiedział, przesuając swoim identyfikatorem przez szczelinę zamka i dodał: - Witamy w Czwartym Stanie.

Otworzył drzwi i gestem zaprosił nas do środka. Wszedłem za Sarą do przyciemnionego pomieszczenia i zobaczyliśmy przed sobą ścianę z co najmniej dwudziestoma monitorami telewizji wewnętrznej, które znajdowały się w rzędach po trzy. Każdy ekran, z umieszczonym u dołu paskiem czasowym odliczającym milisekundy, pokazywał inny obraz. Zobaczyliśmy kolorowe widoki dużych, bogato zdobionych sal i setki metrów korytarzy i kolumnad. Na blacie biegnącym wzdłuż ściany z monitorami dostrzegłem rzędy oświetlonych przez małe lampki telefonów, mikrofonów i podkładek do notowania.

Wszedłem do środka i przesunąłem się w bok, by Josh mógł do nas dołączyć. Temperatura była tutaj niższa, nad sobą usłyszałem łagodny szum klimatyzacji. Przed monitorami stały cztery krzesła biurowe na kółkach. Na jednym z nich siedział jedyny obecny w pomieszczeniu człowiek. Był ubrany w czarny strój ochroniarza, a na głowie miał oświetloną blaskiem monitorów czapkę baseballową. Mamrotał coś do mikrofonu.

Spojrzałem na Sarę. Przywarła wzrokiem do ekranów. Ich blask odbijał się jej od twarzy.

Ochroniarz odłożył mikrofon i Josh zawołał:

- Yo, Top Cat! Jak leci?

Top Cat obrócił się szybko na krzesło i uniósł ręce.

- Hej, stary! W porządku. Kopę lat.

Był biały, wyglądał na trzydzieści parę lat i miał bardzo eleganckie, starannie przystrzyżone włosy. Podali sobie ręce i Josh dokonał prezentacji.

- To jest Nick, a to Sara. Są z Wielkiej Brytanii. Moi przyjaciele. A to jest Top Cat, czyli w skrócie TC.

Podeszliśmy do niego, a on podniósł się, by nam podać rękę. Na jego podbródku widać już było cień zarostu, tak jakby musiał się golić pięć albo sześć razy dziennie. A może był po całonocnym dyżurze. Miał jakieś metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i krótkie ciemne włosy. Zdecydowany uścisk ręki TC kontrastował z jego bardzo łagodnym, południowym akcentem, chociaż jedno i drugie emanowało pewnością siebie.

- Co już zdążyliście zobaczyć?

- Josh pokazał nam, co się stało, kiedy ostatnim razem byli tu Brytyjczycy.

- Myślisz, że dałoby się zobaczyć rządową jadalnię? - zwróciła się do Davy'ego Sara. - Jestem wielką fanką Jackie i...

Davy spojrzał na TC, który wzruszył ramionami w przeproszającym geście.

- Przykro mi, ale dzisiaj nikt nie może wejść na górę.

Josh uznał, że musi to wytłumaczyć.

- Nie zawsze można wejść. Prawie w każdy inny dzień nie byłoby sprawy. Tysiące ludzi zwiedzają Biały Dom przez większość dni w roku, to jest jedna z największych atrakcji Waszyngtonu.

Zaczęliśmy z Sarą wygłaszać uwagi w stylu: „Nie ma problemu, i tak cieszymy się, że tu jesteśmy. Naprawdę się nam podoba”.

- Coś wam powiem - powiedział Davy takim tonem, jakby wpadł na jakiś wspaniały pomysł. - Stąd i tak wszystko widać. - Wskazał na ekrany i zaczął nam pośpiesznie tłumaczyć.

- Już wam powiedziałem, że to pomieszczenie nazywa się Czwarty Stan. To jedno z centrów obserwacyjnych, z których można wszystko obserwować i rozwiązywać wszelkie kryzysowe sytuacje wewnątrz Białego Domu czy na otaczającym terenie. W zależności od tego, gdzie dany incydent się wydarzył, wykorzystujemy różne centra.

Zamieniliśmy się oboje w słuch, patrząc uważnie na ekrany, szczególnie ten, na którym widać było salę konferencyjną. Niewiele się tam zmieniło. Jednak nie spuszczałem jej z oka.

TC wrócił na swoje krzesło i przejął rolę przewodnika.

- Czwarty Stan może być wykorzystany na przykład wtedy, kiedy coś się dzieje na górze. W takim wypadku prezydent i pierwsza dama mogą być tu ewakuowani. Poza tym to pomieszczenie pełni funkcję schronu przeciwlotniczego. Obok jest taki niezły pokoik dla VIP-ów. A to jest rządowa jadalnia -dodał, wskazując na jeden z ekranów. - Też całkiem niezła.

Wnętrze jadalni nie wyglądało tak, jakby tego dnia miano tam podawać lunch. Długi stół z ciemnego drewna był pusty, tylko na środku ustawiono srebrne świeczniki. Sara przyglądała się obrazowi przez chwilę, jakby chciała przypatrzeć się wszystkim szczegółom wystroju. Ja natomiast skupiłem uwagę na widoku sali konferencyjnej.

- Czy to jest Salon Przyjęć Dyplomatycznych? - zapytała Sara, wskazując palcem drzwi na ekranie na lewo ode mnie.

Spojrzałem w tym kierunku i zobaczyłem te same brązowe parawany przedzielające korytarz na parterze i ochroniarza z ERT, który stał nad technikami z CNN nadal grzebiącymi się ze swoimi kablami.

- Zgadza się - potwierdził TC. - Za chwilę zobaczycie, jak się pokaże wielka trójka i wejdzie do środka. W tej chwili są w bibliotece, po drugiej stronie holu.

Spojrzałem na wskazywany przez niego monitor, co chwila rzucając okiem na obraz sali konferencyjnej. Nasz znajomy kelner wyszedł z Salonu Przyjęć i poszedł z powrotem w kierunku brązowych parawanów. Tym razem jego wózek był pusty. Ze słuchawek dobiegały nas odgłosy rozmów.

- Kawa już jest, teraz potrzebni są tylko goście - dobiegł nas czyjś komentarz.

Facet z ERT zaczął wyprowadzać techników CNN z korytarza z powrotem do ich wozu. Zerknąłem znowu na jeden z ekranów. Do diabła! Bill Gates był w sali konferencyjnej. Przynajmniej włosy i okulary pasowały do tego, jak sobie go wyobrażałem. Wszedł do wnętrza i się po prostu rozglądał. Chciałem, żeby Sara potwierdziła moje rozpoznanie, ale stała za Davym. Wbiłem w nią spojrzenie, usiłując przyciągnąć jej uwagę. Nie mogłem jeszcze nic powiedzieć, mogłem się mylić. Dlaczego ona nie pilnuje ekranu? Wszyscy patrzyli na drugi ekran, z czterema agentami Secret Service na końcu korytarza. Ze słuchawek TC rozległy się kolejne słowa.

- Już idą...

Kilka sekund później trzech politycy pojawili się na korytarzu i skierowali się ku kamerze. Szli dość powoli, żeby Arafat mógł nadażyć. Rzuciłem okiem na Billa Gatesa. Siedział i coś pisał. Spojrzałem z powrotem na drugi ekran, a potem na Sarę. No, popatrz na mnie, spójrz na ekran, zrób coś! Nie zwracała uwagi na nic poza trzema politykami. Idący za tą trójką doradcy nieśli w rękach jakieś papiery i kiwali do siebie głowami.

- Hej, ludzie, dam wam posłuchać - zawołał TC.

Nachylił się nad blatem, nacisnął przycisk na konsoli i ze stojącego na wprost nas głośnika rozlał się potok dźwięków. Jakiś szybki, ale jednocześnie spokojny głos wydawał rozkazy. Agenci potwierdzali odebranie poleceń tym samym tonem. Brzmiało to jak odgłosy z Centrum Kontroli Lotów w Houston. Na trzech umieszczonych na blacie mikrofonach zapaliły się małe czerwone przyciski. Znowu rzuciłem okiem na Billa Gatesa. Nadal był w tym samym miejscu.

Politycy przeszli już część korytarza. Szli jeden obok drugiego, z Clintonem pośrodku. Jeszcze kilka kroków i skręcili w lewo do Salonu Przyjęć Dyplomatycznych. Spojrzałem na Sarę. Patrzyła na umieszczony na ścianie wielki zielony cyfrowy zegar. Była dziesiąta pięćdziesiąt siedem, a więc przyszli punktualnie.

- Hej, Saro, czy to nie Gatsby? Wiesz, ten twój kolega dziennikarz - powiedziałem, nie potrafiąc wymyślić nic innego.

Wskazałem na monitor i wszyscy spojrzeli w tym kierunku.

Sara dała krok do przodu i przyjrzała mu się; siedział zagłębiony w swych notatkach.

- Nie, to nie on - odparła, cofając się i spoglądając na mnie. - Ma o wiele ciemniejsze włosy. Ale rzeczywiście wyglądają podobnie.

- To tyle, ludzie - oznajmił TC, wstając. - Muszę iść.

Wdusił przycisk konsoli. Dźwięk i czerwone światełka na mikrofonach zniknęły. Znowu wymieniliśmy uściski dłoni.

- Mam nadzieję, że będziecie mieli przyjemną podróż. Poproście ładnie tych dwóch, to może was zabiorą do Sali Traktatowej.

- Mamy ją w planie po kręgielni - oznajmił Davy.

TC skinął głową, ruszając ku drzwiom.

- To do zobaczenia. Hej, Davy, nie zapomnij. Mamy dzisiaj spotkanie o czwartej trzydzieści.

Porozmawiali jeszcze chwilę o szczegółach dotyczących ich pracy, kiedy Sara i ja, nieproszeni goście, po prostu staliśmy, obserwując ekran przekazujący obraz z sali konferencyjnej.

Wyszliśmy na korytarz w ślad za TC. Sprawdził, czy drzwi są dobrze zamknięte, a potem skręcił w prawo i odszedł, wesoło machając w kierunku drzwi ewakuacyjnych.

Z przeciwnego kierunku nadchodziły, popiskując podszewkami o posadzkę, dwie Latynoski. W swych białych kombinezonach i białych skórzanych pantoflach wyglądały na skrzyżowanie sprzątaczek z pielęgniarkami. Tak szybko trajkotały w swoim języku, że trudno było rozróżnić poszczególne słowa. Mijając nas, przerwały na moment, skinęły do nas z uśmiechem, i od razu wróciły do swojej szaleńczo szybkiej rozmowy. Skręciliśmy w lewo i poszliśmy dalej korytarzem.

- Hej, wiecie co? - wpadł na pomysł Josh. - Pójdę i zobaczę, czy da się wejść do Sali Traktatów, a może nawet do biura wiceprezydenta.

- To by było wspaniale - powiedziałem. - Czy mimo to mógłbym zobaczyć konferencję prasową?

- Tak, też bym bardzo chciała to zobaczyć - wspomogła mnie Sara. - Mam...

Josh uśmiechnął się i podniósł obronnym gestem ręce, jak rodzic opędzający się przed nadmiernie rozemocjonowanymi dziećmi.

- Hej, nie ma problemu. Zaraz wracam.

Odwrócił się i poszedł w kierunku drzwi ewakuacyjnych. Ruszyliśmy z Sarą za Davym, wymieniając pełne ulgi spojrzenia. Zatrzymał się przy drugich drzwiach z rzędu.

- To najlepsze pomieszczenie ze wszystkich - powiedział Davy z szerokim uśmiechem i otworzył drzwi.

Wewnątrz zobaczyłem otwartą niewielką salę, z ustawionymi wzdłuż ścian plastikowymi krzesłami, takimi samymi jak w sali konferencyjnej. Środkiem pomieszczenia biegł pojedynczy tor do kręgli.

Podłoga pokryta była wypolerowanym linoleum, a pomalowane na biało ściany zdobiły plakaty drużyn kręglarskich. Pod jedną z nich stała duża, również pomalowana na biało skrzynia z przegródkami na buty do kręgli. Urządzenia kręgielni obudziły się do życia z brzęczeniem i klekotaniem, a wzdłuż toru zapaliły się lampki.

Davy uśmiechnął się do nas, podchodząc do butów.

- Mam dla was świetną historyjkę - oznajmił.

Bile toczyły się już na stanowisko rzutowe, a na końcu toru maszyna samoczynnie ustawiała kręgle. Stojąc plecami do nas, Davy zatrzęsł ramionami, ciesząc się z góry z własnej opowieści. Odwrócił głowę, by spojrzeć znowu na nas i wskazał na parę butów stojących w górnej przegródce.

- Widzicie je?

Oboje skinęliśmy głową. Odwrócił się do nas plecami, by wyjąć je z przegródki. Skorzystałem ze sposobności, by pospiesznie zerknąć okiem na zegarek. Pięćdziesiąt pięć minut do spotkania dla prasy. Davy odwrócił się i podszedł z powrotem do nas.

- To są osobiste buty do kręgli Billa - powiedział. - Patrzcie, jaki rozmiar.

Wyglądały co najmniej na szesnastkę.

- To naprawdę duży facet. - Roześmiał się, ważąc je w rękach. - Znaie to stare powiedzenie: duże stopy, duży...

Przerwał nagle w obawie, że to się może nie spodobać Sarze. Ona jednak się uśmiechała. Buty były białe w czerwone paski. Davy podszedł do nas i odwrócił je, by nam coś pokazać.

- Widzicie to? - Wskazał z radosnym uśmiechem na tylną część butów.

Zobaczyłem na każdym z nich mały znaczek zrobiony czarnym flamastrem.

- Raz Bill zeszedł tu z paroma swoimi kumplami od kręgli. Podszedł do butów i wtedy paru z tych doradców zobaczyło, co tu jest napisane - powiedział, wskazując jeszcze raz na znaczki.

Zobaczyłem, że są to dwie litery: duże L i duże R.

- Mieli pewnie rozmawiać o światowych problemach, a tu nagle jego doradcy zaczęli się bardziej przejmować tym, jak on zareaguje, kiedy zobaczy, że ludzie piszą mu na butach... -Zawiesił głos na moment. - No więc Bill podnosi je i zapada cisza.

Widać było wyraźnie, że poczciwy Davy musiał opowiadać tę anegdotę wiele, wiele razy, bo czynił pauzę w najbardziej odpowiednich miejscach.

- Widzicie: prezydent Stanów Zjednoczonych, najpotężniejszy człowiek na świecie, a tu ktoś wyciąga pisak i maże mu po butach!

- Nikt nie był pewien, jak to przyjmie. A on patrzy na buty i zaczyna się śmiać: „Wiedziecie co, chłopaki, to właśnie tego potrzebowałem... one są takie diabelnie podobne, a w dodatku to nie są prawdziwe buty”.

Wybuchnął śmiechem. Nie byłem pewien, czy ta anegdotka jest śmieszna, czy nie, podobnie jak Sara. Po prostu wzięłem przykład z Davy'ego i również zacząłem się śmiać. Stojąca za mną Sara zrobiła to samo.

Kiedy śmiech ucichł, zadowolony z naszej reakcji Davy dokończył swoją opowieść.

- No i właśnie dlatego te napisy nadal tu są. Wygląda na to, że według Billa skraca to o połowę jego przygotowania, więc ma więcej czasu na grę.

Odwrócił się i dał dwa kroki, by odstawić buty, gdy rozległo się głucho uderzenie. Buty Billa wypadły mu z rąk. Zanim uderzył o podłogę, wcale nie było widać krwi, ale gdy już padł na twarz, zaczęła tryskać z jego głowy: ciemna i gęsta. Obróciłem się błyskawicznie.

Sara stała w przepisowej pozycji strzeleckiej, nieco ukosem do Davy'ego, trzymając oburącz wycelowany w niego pistolet z tłumikiem. Wyglądała na tak spokojną, jakby była na strzelnicy.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz? - zawołałem.

Głupie pytanie, przecież widziałem wyraźnie, co robi. Sam nie wiem, dlaczego mój głos był ni to szeptem, ni krzykiem. Opuściła powoli pistolet.

- Kurwa, przecież ustaliliśmy: żadnego zabijania. Co ty wyprawiasz z tą bronią? Po co nam to potrzebne?

Stała nieruchomo, jakby była w innym świecie, i spokojnie wsuwała pistolet z powrotem pod pas. Sytuacja była nie do naprawienia. Niezależnie od tego, co miało się teraz stać, byliśmy w gównie po szyję, a w dodatku nie miałem pojęcia, kto tutaj dyktuje reguły.

Ruszyłem ku drzwiom. Spojrzała na mnie pytająco.

- Gdzie idziesz?

- Zamykam drzwi. A co, myślisz, że wpuszczę wszystkich do środka? Wpadliśmy po szyję, Saro. Masz pojęcie, co ty zrobiłaś? To niczemu nie zapobiegnie, tylko wszystko pogorszy.

Podszedłem do drzwi i obróciłem umieszczone w gałce pokrętło zamka. Nie było sensu zajmować się Davym. Nie wydawał żadnego odgłosu, a z jego ust sączyła się ciemna odtleniona krew.

Nie mogłem tego pojąć. Stałem w miejscu, kręcąc głową.

- Wszystko szło dobrze, do kurwy nędzy. W południe jest spotkanie z prasą. Co ty wyrabiasz?

Ruszyła ku drzwiom. Zastąpiłem jej drogę i uniosłem rękę, by ją zatrzymać.

- Hola, tego już za dużo. Dość tego, trzeba szukać pomocy. Zaczynaj myśleć o jakimś dobrym wytłumaczeniu.

Wskazałem na Davy'ego, a ona znowu odwróciła się ku drzwiom. Dlaczego to zrobiła? Po paru sekundach stało się to dla mnie oczywiste: przerobiła mnie.

- Ty pieprzona suko! - wrzasnąłem, obracając się ku niej.

W tym samym momencie poczułem eksplozję bólu w brzuchu. Zabrakło mi tchu i osunąłem się na kolana. W lewej stronie tułowia rozprzestrzenił się palący ból. Uderzyłem o podłogę lewą stroną twarzy i nosem. W oczach stanęły mi gwiazdy, a w gardle poczułem smak krwi. Nigdy wcześniej nie zostałem trafiony pociskiem. Nie widziałem Sary. Za bardzo absorbowano mnie zwijanie się w pozycję płodową, by zapanować nad bólem.

Zacząłem jęczeć w niemożliwy do opanowania sposób. Powoli, bardzo powoli, obróciłem głowę, usiłując ją dojrzeć. Nachylała się nad Davym. Miała już na szyi jego przepustkę, więc na pierwszy rzut oka można było ją wziąć za osobę z ochrony. Obeszła go na palcach, omijając plamy krwi, wyciągnęła z jego kabury pistolet i dwa magazynki z ładownicy.

Nie chciałem, by wiedziała, że jeszcze żyję. Leżałem tak nieruchomo, jak tylko się dało, z zamkniętymi oczami, usiłując stłumić jęk. Jednak nic z tego nie wychodziło. Wyczułem, że stoi nade mną. Otworzyłem oczy. Nawet gdybym był w stanie się ruszyć, to była trochę za daleko, żebym ją dosięgnął.

Spojrzała na zegarek, a potem na mnie i uniosła broń, by wziąć mnie na muszkę. Po raz pierwszy w życiu pomyślałem o kimś, kogo mi będzie brakowało: moja ostatnia myśl skierowała się ku Kelly. Czekałem, patrząc na nią. Zwlekła, ale nie było widać w niej żadnych emocji, żadnego wytłumaczenia.

- Masz teraz dziecko - powiedziała po chwili. - Mam nadzieję, że pożyjesz na tyle długo, by je zobaczyć.

Opuściła broń i spojrzała znowu na zegarek. Podeszła do drzwi i otworzyła je, obracając gałkę w drzwiach. Usiłowałem krzyknąć, ale nie byłem w stanie. Wydobyłem z siebie tylko słabe rżęzenie:

- Niech cię, kurwo, szlag trafi!

Z ust rzuciła mi się krew. Obejrzała się na mnie bez cienia uczuć w oczach. Zatrzymała się na moment, żeby się rozejrzeć po korytarzu i zamknęła za sobą cicho drzwi.

Ból był coraz gorszy. Rozejrzałem się panicznie za jakimś przyciskiem alarmowym czy telefonem, ale coraz gorzej widziałem: wszystko pokrywało się mgłą. Było jeszcze dwóch zamachowców? Do diabła, przecież cały czas była tylko ona. Dlaczego, do cholery, tego nie widziałem?

Leżąc zwinięty w kłębek na podłodze, nie mogłem nic zrobić ani dla siebie, ani dla VIP-ów, a trzeba było zacząć działać. Umierając, przynajmniej wiedziałbym, że próbowałem naprawić swój błąd.

Przedmioty rozmazywały mi się przed oczami. Oddychałem krótkimi oddechami, a mięśnie brzucha zaczynały mi samoczynnie tężeć. Przyłożyłem dłoń do brzucha w miejscu, gdzie otworzyła się dziura o rozmiarach pięciopensowej monety i zatkałem ją kciukiem. Przynajmniej nie musiałem się martwić raną wylotową, wiedziałem, że jej chiński wynalazek z tłumikiem ma amunicję ze słabym ładunkiem. Kula gdzieś tam tkwiła we mnie.

Doczołgałem się do drzwi przez kałużę krwi Davy'ego, która zaczęła się rozpełzać po linoleum, i już zacząłem się podnosić, by otworzyć drzwi, gdy otworzyły się gwałtownie do środka, uderzając mnie w głowę. Zwinąłem się znowu z bólu, a świecek jeszcze raz stanęły mi przed oczami. Byłem jeszcze na tyle trzeźwy, by rozumieć, że blokują drzwi, nie pozwalając na ich całkowite otwarcie.

Ten ktoś po drugiej stronie drzwi nacisnął całym ciałem, żeby pokonać opór. Odsunął mnie po podłodze, uchylając drzwi na pożądaną szerokość. To znowu była Sara. Bez słowa zamknęła za sobą drzwi, a potem chwyciła mnie za nogi i omijając krew, zaczęła ciągnąć po podłodze, stękając przy tym z wysiłku.

Czułem się tak, jakbym miał w brzuchu ładunek zapalający. Usiłowałem napinać mięśnie, ale widziałem, że i tak zostawiam po sobie krwawą ścieżkę. Po kilku krokach opuściła moje nogi na podłogę. Jęknąłem, znowu zwijając się w kłębek, żeby zwalczyć ból, kiedy ona wymierzyła broń ku wyjściu.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Josh.

- Hej, słuchajcie - zawołał wesóło. - Wygląda na to, że my pójdziemy...

Usiłowałem krzyknąć ostrzegawczo, ale nie wydobyłem z siebie żadnego dźwięku. Na jego twarzy odmalował się wyraz skrajnego szoku i niedowierzania, a przesłonięte przez okulary oczy wydały się jeszcze szerzej otwarte, niż były w rzeczywistości. Sara stała na wprost niego w pozycji strzeleckiej, spokojnie celując w środek jego ciała. Ludzie potrzebują chwili czasu, by dotarło do nich w takiej sytuacji, co się dzieje, szczególnie kiedy się tego nie spodziewają, ale Josh połapał się szybko.

- Zamknij drzwi, Josh - powiedziała Sara nadal bardzo spokojnym, opanowanym głosem.

Przesunął błyskawicznie wzrokiem po nas obojgu, zatrzymując się na chwilę na rozciągniętym na podłodze ciele Davy'ego, potem na mnie i w końcu na pistolecie. Bez wątpienia usiłował odpowiedzieć sobie na pytanie: jak ona to wniosła?

- Zamknij drzwi, Josh.

Josh może i był przestraszony, ale nie okazywał tego. Przyjmował wszystko bez słowa. Zrobił, co mu kazała, i stanął nieruchomo, pokazując dłonie.

- Odwróć się teraz i połóż ręce na głowie - poleciła.

Wiedział, o co chodzi. Jeżeli się stoi plecami do osoby, która mierzy do człowieka z pistoletu, to nie można ocenić, co się dzieje.

- Wyjdź z tej krwi i uklęknij.

Kiedy człowiek już jest na kolanach, to jest całkiem bezradny, ale na tym nie skończyły się jej polecenia.

- Wyjmij broń lewą ręką. Kciukiem i palcem wskazującym. No już.

Byłem bezradny jak worek śmieci. Z korytarza dosłyszałem znajome odgłosy prowadzonej po hiszpańsku rozmowy. To te dwie kobiety w białych butach szły w kierunku drzwi ewakuacyjnych. Sara znowu szybko zerknęła na zegarek.

Czy powinienem krzyczeć? Nie miałem siły. Nie usłyszałyby mnie. Spojrzałem kątem oka na Josha. Najwyraźniej myślał o tym samym. Spokojnie wykonując jej polecenie, położył palec wskazujący i kciuk na rękojeści pistoletu.

- Wyjmuję pistolet.

- Dobrze, Josh. Połóż go teraz na podłodze za sobą.

Trzymając nadal prawą dłoń na karku, odrzucił broń za siebie. Zobaczyłem, jak pot ścieka mu z tysej głowy i spływa po twarzy, a gdy znowu podniósł rękę, ujrzałem mokrą plamę potu pod pachą marynarki. Strach nie jest niczym złym, to naturalna reakcja, trzeba po prostu potrafić nad nim zapanować. Josh był już w takich sytuacjach i wiedział, co robić.

Przez chwilę odniosłem dziwne wrażenie, jakbym siedział na widowni i patrzył na znajdujących się na scenie aktorów. Wiedziałem dokładnie, jakie myśli kłębią się w głowie Josha. Myślał o tym, jak się z tego wykrzesać, i czekał na szansę, by coś zrobić, cokolwiek.

Krew jest jak mleko. Jak się upuści na podłogę kanton mleka, to wygląda to tak, jakby rozlały się trzy. Krew Davy'ego rozlała się na wszystkie strony i zaczynała przy mojej twarzy mieszać się z moją. Nie miałem ani siły, ani zamiaru się ruszać. Plułem tylko co chwilę, bo krew napływała mi do ust.

Sara odrzuciła broń Josha na koniec toru. Szczęk metalu odbił się echem od ścian pomieszczenia. Znowu popatrzyła na zegarek.

- OK, Josh, więc zrobisz, co następuje. Słuchasz mnie?

Skiną głową.

- Zaprowadzisz mnie do Salonu Przyjęć Dyplomatycznych. Będiesz moim ochroniarzem, rozumiesz?

- Nie mogę tego zrobić - powiedział bardzo spokojnym głosem.

Amerykanie cechują się tą wspaniałą, bezgraniczną wiarą w samych siebie i swój kraj. Nawet gdy tkwią po szyję w gównie, to nadal mają tę niewzruszoną wiarę, że wszystko będzie w porządku, że stoi za nimi Ameryka i że lada moment zza wzgórze wyłoni się przybywający na pomoc 7 Pułk Kawalerii. Amerykańscy jeńcy wzięci do niewoli w czasie wojny w Zatoce Perskiej nie prosili o żadne rzeczy, tylko się ich domagali: wiedzieli, że są po zwycięskiej stronie. Kiedy służyłem w pułku, też

zawsze było wiadomo, że jak człowiek wpadnie w gówno, to nigdy nie będzie pozostawiony sam sobie, i czasami ta wiara była jedyną rzeczą, która pomagała przetrwać. Ale Amerykanie wierzą w to jako naród. Żałowałem, że nie mam takiej wiary jak oni.

Sara nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Co?

- Nie zrobię tego - odpowiedział wprost Josh.

Zapadła cisza. Obserwowałem twarz Sary, oczekując jej reakcji. Przez dłuższy czas nie było żadnej.

- Josh, powinieneś coś przemyśleć, ale nie masz na to dużo czasu. Pomyśl o swoich dzieciach. Nie pora na to, żebyś narażał rodzinę. Zaprowadź mnie tam, bo jeśli nie, to zginiesz. Nie mam nic do stracenia. I tak niedługo będzie po mnie.

Najwyraźniej pilnie słuchała moich uwag o tym, jak zmusić Josha do wykonania tego, na czym jej zależy. Spojrzała na zegarek. Jeżeli chciała dotrzeć do Salonu Przyjęć Dyplomatycznych przed końcem przerwy na kawę, to nie miała już wiele czasu.

- To są wspaniałe dzieci, potrzebują ciebie. Jesteś wszystkim, co im zostało. Poza tym - dodała, uśmiechając się swoim dziwnym uśmiechem - mógłbyś wtedy nawet spróbować mnie powstrzymać. A jeśli zginiesz, nie będziesz mógł tego zrobić. Idę albo z tobą, albo bez ciebie, ponieważ za dziesięć sekund będziesz już martwy.

Widziałem, jak jego klatka piersiowa unosi się ciężko, gdy chwycił tlen, by zapanować nad szokiem ogarniającym cały jego organizm. Mogłem się tylko domyślić, że się zastanowi: czy umrę teraz? A może zgodzę się na to, co mówi, i spróbuję jakoś temu przeszkodzić po drodze? Wtedy przynajmniej pożyję trochę dłużej.

- Zaprowadź ją, Josh. Zrób to - zdołałem wykrztusić chrapliwym głosem, chociaż miałem gardło pełne krwi.

Spojrzał na mnie i spotkaliśmy się wzrokiem. Wiedziałem, co teraz myśli: ty pieprzony kretynie. Nieważne, czy wiedziałem, co ona zamierza zrobić, czy nie, dla niego byłem największym na świecie sukinsynem. Miał rację. Spojrzałem na Sarę, kiedy wydała ostatnie ostrzeżenie.

- Decyduj się.

Nie miała już wiele czasu do końca przerwy na kawę.

Josh spojrzał na ścianę, zastanowił się przez kilka sekund i powiedział cicho:

- OK.

- Jak będziesz próbował pokrzyżować mi szyki, to pamiętaj jedno: zabiję ciebie, zanim ktokolwiek będzie miał czas zareagować. Nie zależy mi na twoim prezydencie. Chodzi mi o tych dwóch pozostałych. Ale jak będziesz coś próbował spieprzyć, to... rozumiesz mnie?

Zaniknął oczy i skinął głową. Kiedy znowu je otworzył, spojrzał mi prosto w oczy. Miałem nadzieję, że mój wzrok mówi: nie wiedziałem, że to się stanie, stary. Przepraszam bardzo. Tak bardzo przepraszam.

Widziałem jednak po jego minie, że jest na to trochę za późno.

Mając zapewnioną ochronę, Sara zdjęła z szyi przepustkę Davy'ego i z powrotem przypięła swoją. To był szczegół, ale szczegóły się liczą.

- Chodźmy - powiedziała.

Odsunęła się od drzwi, gdy Josh ruszył w ich kierunku.

- Mam schowaną broń, ale przy najmniejszym podejrzeniu, że próbujesz mnie przerobić, postaram się, żebyś zginął pierwszy.

Skinął głową, spojrzał jeszcze raz na mnie i wyszedł. Ruszyła za nim, wcale się na mnie nie oglądając.

Obraz przed oczyma był rozmazany, kręciło mi się w głowie. Straciłem za dużo krwi. Krew moja i Davy'ego pokryła sporą część podłogi. Jednak teraz nie miałem czasu się tym martwić. Musiałem pogodzić się z tym, że oberwałem, i starać się coś zrobić.

Uniosłem się na czworakach, wciągnąłem kilka głębokich oddechów i zacząłem brnąć w kierunku porzuconej przepustki. Każdemu mojemu ruchowi towarzyszył okropny ból. Przy każdym zgięciu kolana czy wyciągnięciu ręki czułem się tak, jakby rozpalona do gorąca piła przerzynała mi brzuch. Pokonanie około trzech metrów trwało niemal wieczność. Zacząłem przekładać sobie przez głowę nylonową linkę przepustki, starając się nie urazić rany brzucha. Kiedy w końcu ją przełożyłem, nie pamiętałem już, po co w ogóle mi to było.

Zacząłem pełznąć ku drzwiom, kaszłając, wypluwając skrzeplą krew i jęcząc jak pijak w rynsztoku. Moje ubranie i włosy były mokre od krwi.

Uniółszy się na kolana, zacząłem manipulować gałką jak przerażone dziecko. Była to normalna gałka z wbudowanym pośrodku zamkiem, ale nie potrafiłem zmusić dłoni do działania. Palce nie słuchały mózgu, a może po prostu były zbyt śliskie od ciepłej, czerwonej cieczy.

Wiedziałem, co usiłuję zrobić, ale nie potrafiłem. Może to prawda, że w momencie śmierci całe życie przewija się przed oczami człowieka. Przez długi tunel cofnąłem się do chwili, kiedy miałem sześć lat i wpadłem przez szklany dach do garażu. Zadawałem się wtedy z gangiem starszych chłopców i przebiegnięcie przez dach było testem inicjacyjnym. Spadłem na posadzkę, a potem, pokaleczony i potłuczony, musiałem mocować się z ryglem na drzwiach, żeby stamtąd uciec. Byłem tak przerażony, że nie miałem pojęcia, jak odciągnąć to kurewstwo, a jak mi się już to udało, to za żadne skarby nie mogłem pokazać im, jak mnie boli. Pozwolili mi wtedy wstąpić do gangu.

Przesuwałem po gałce dygoczącymi dłońmi. Nie dawałem rady. Wiedziałem, że niedługo umrę, ale nie ruszało mnie to. Nie chciałem tylko, żeby to się stało, dopóki przynajmniej nie spróbuję powstrzymać Sary.

Zdołałem wziąć się w garść, kilka razy zaczerpnąłem głęboko powietrze i, całkiem jak wtedy w garażu, powtórzyłem sobie, co muszę zrobić. Podziałało.

- Pomocy... pomóżcie mi - usiłowałem krzyknąć, ale wydobyłem z siebie tylko cichy jęk.

Nic dziwnego, że nikt nie zareagował.

Nie mogłem leżeć tylko w drzwiach i czekać. Przyciskając się do futryny, żeby opanować zawroty głowy, podciągnąłem się i wytoczyłem się na korytarz, ledwie chroniąc się przed upadkiem. Zgięty, oparłem się o ścianę i przyciskając lewą rękę do brzucha, zacząłem brnąć w kierunku Czwartego Stanu, znacząc krwią biały tynk.

Nie miała daleko. Gdyby Josh spieprzył sprawę i został załatwiony, to żeby trafić na miejsce, musiała tylko iść wzdłuż przewodów telewizyjnych.

Moją jedyną nadzieją była TC. Zresztą każdy by wystarczył. Skupiłem myśli. Na zewnątrz Czwartego Stanu nie było czerwonej lampki. Cholera. Zacząłem rozglądać się za alarmem przeciwpożarowym, chociaż w tej chwili nie wierzyłem, że mógłbym go dostrzec, nawet jakby zszedł mi w twarz.

Czułem, jak z każdą sekundą opuszczają mnie resztki sił. Przesunąłem przepustkę przez czytnik i wpadłem do środka. Na każdym ekranie widać było jakiś obraz, ale poruszały się one wolnym kolistym ruchem jak w kalejdoskopie. Znowu zacząłem się czułgać.

Nie wiem, jak dotarłem do krzesła TC, nie mówiąc już o tym, jak podniosłem się z podłogi i na nim usiadłem. Wiedziałem tylko jedno: widziałem ją, kiedy resztkami sił usiłowałem skupić swoją uwagę na ekranach. Wyszła z Joshem z pomieszczeń kuchennych. Ochroniarz z ERT nadal był przy brązowych parawanach, ale tylko odwrócił się w ich kierunku, kiedy się tam pokazali.

Plując krwią i śluzem, które gromadziły mi się w gardle, nacisnąłem guzik mikrofonu.

- Uwaga, uwaga. Czarny mężczyzna i biała kobieta na parterze. Uwaga, uwaga... - Nie wiedziałem, czy to coś dla nich znaczy, ale miałem nadzieję, że pojmą, o co chodzi.

Jednak ochroniarz nie reagował w żaden sposób. Wszyscy troje rozmazali mi się przed oczami w jedną plamę. Zaciśnąłem oczy i otworzyłem je znowu, wypluwając śluz na biurko.

Odzyskawszy ostrość widzenia, zobaczyłem, jak ochroniarz nakazuje im gestem, żeby albo szli ku schodom, albo wracali do kuchni. Podniosłem głowę w kierunku znajdującego się wyżej monitora, na

którym było widać, co się dzieje po drugiej stronie brązowych parawanów. Na końcu korytarza stało kilku ludzi w cywilnych ubraniach, ale oni też nie zdradzali żadnej reakcji.

O kurwa! Musiałem spróbować jeszcze raz.

- Wszystkie posterunki, wszystkie posterunki... - przerwałem z głową opartą u podstawy mikrofonu.

Dojrzałem, że czerwona lampka się nie pali. Zacząłem dotykać wszystkich guzików, których mogłem dosięgnąć, zostawiając na nich krwawe plamy. Szkoda, że nie zauważyłem, które guziki przyciskał TC, kiedy wyłączył głośnik.

Jakoś udało mi się zapalić lampkę.

- Uwaga, uwaga... parter, parter. Uwaga, uwaga.

Ochroniarz usłyszał mnie i zareagował błyskawicznie, ruszając ku nim.

Sara była szybsza. Musiała zobaczyć po wyrazie jego twarzy, że został ostrzeżony przez słuchawki. Wyrwała pistolet zza pasa, od razu celując z biodra. Josh rzucił się na nią, ale nie zdążył. Pociągnęła za spust.

Ochroniarz osunął się jak worek śmieci. Zaraz po nim, po sekundzie szarpaniny, padł Josh. Do diabła, co ja narobiłem?

Sara odwróciła się i rzuciła biegiem, a korytarz wypełnił się rozmazanymi sylwetkami ludzi w cywilnych ubraniach i czarnych mundurach.

Kamery przenosiły obraz z miejsca na miejsce, gdy główne centrum ochrony usiłowało ją namierzać, kiedy znikala z ekranu. Wiedziałem, dokąd zdążyła. Obróciłem się na krześle i dalej przyciskając lewą dłoń do brzucha, podniosłem się z wysiłkiem. Drzwi drgały mi przed oczami, jakbym patrzył na nie przez warstwę rozpalonego od słońca powietrza. Zataczając się, wyszedłem na korytarz i nie rozglądając się, skręciłem w prawo ku drzwiom ewakuacyjnym. Nie mogłem mieć już za wiele krwi w żyłach, ale adrenalina dodawała mi siły i pomagała się ruszyć.

Musiała tu zaraz dotrzeć. Wiedziałem, że Secret Service sprowadzi VIP-ów na dół do schronu, żeby przeczekali, aż sytuacja się wyjaśni, i że ona będzie chciała przeciąć im drogę.

Przetoczyłem się przez drzwi i ledwie podniosłem wzrok, zobaczyłem Sarę. Była już prawie u stóp kręconych schodów, zbiegając na łeb na szyję z opuszczoną głową i z bronią w ręku.

Nie przyszło mi do głowy nic innego poza tym, by rzucić się na nią jakimś rzutem żywcem wziętym z rugby. Może wyszłoby mi to lepiej, gdybym kiedykolwiek grał w rugby.

Padłem na nią, chwytając ją w pasie i splatając za nią dłonie, żeby ją zatrzymać, ale siła rozpędu odrzuciła mnie z powrotem na drzwi.

Parła dalej, ciągnąc mnie za sobą i tłukąc po głowie pistoletem. Już prawie nic nie czułem. Ręce zsunąłem na jej nogi i upadła.

Wpadliśmy na drzwi ewakuacyjne, które otworzyły się gwałtownie. Upadliśmy na podłogę, a drzwi zamknęły się z powrotem, przytrzaszkując mi stopy.

Leżała na plecach na podłodze, a ja wczepiałem się w jej nogi. Dostrzegłem, że nadal ma w ręku pistolet.

Zabolało mnie piekielnie w brzuchu, kiedy wyszarpnąłem nogi z drzwi i podciągnąłem się, przyciskając dłonią jej przedramię, by unieruchomić broń. Kopała i szarpała się, by zrzucić mnie z siebie. Była jak przewrócony na plecy chrząszcz, który szaleńczo usiłuje odwrócić się na brzuch.

Usłyszałem wokół krzyki, wrzaski i tupot nóg, ale dźwięki dobiegały jakby z daleka. Nie obchodziło mnie, skąd dochodzą te odgłosy. Liczyła się tylko jej lewa ręka: sięgała po pistolet Davy'ego, gdyż nie mogła wykorzystać własnej broni. Czułem kształt zatkniętego za pas pistoletu, kiedy przesuwalem się wyżej po jej ciele. Szarpała się, jakby przeżywała napad szału: targała głową i całym ciałem z boku na bok.

Opadłem na nią całym ciężarem. Nie było to takie trudne, bo byłem zupełnie bezsilny. Usiłowała wsunąć rękę między nas, żeby dosięgnąć broni. Nasze głowy były tak blisko siebie, że czułem na twarzy jej oddech. Musiałem uderzyć ją głową, nie było innego sposobu. Wrzasnęła z bólu. Rąbnąłem

ją trzy razy i za każdym razem rozlegał się głuchy odgłos, kiedy głową uderzyła o podłogę. To było obrzydliwe, ale ją unieruchomiło.

Głowa bolała mnie teraz prawie tak bardzo jak brzuch. Byłem w fatalnym stanie. Przyciskając czoło do jej czoła i oblewając ją krwią z ust i nosa, wyszarpnąłem jej broń z ręki, kiedy usiłowała oczyścić z krwi nos i usta.

Przyłożyłem wylot lufy do gardła Sary i spojrzałem na nią, nadal przyciskając jej czoło głową. Nie popatrzyła na mnie, tylko zamknęła oczy, napinając się i czekając na śmierć. Nasze ciała unosiły się i opadały w rytm jej ciężkiego oddechu, gdy drzwi otworzyły się z hukiem i zza pleców dotarły do mnie okrzyki. Mój wewnętrzny guzik wyciszenia został wyłączony.

- Rzuć broń! Rzuć natychmiast broń! Natychmiast!

Pomyślałem nad tym przez dwie sekundy, które mi zostały,

zanim by mnie z niej ściągnęli lub zastrzelili. Odprężyła się, otwierając oczy, i spojrzała na mnie. Jej słowa zabrzmiały niemal jak rozkaz.

- Zrób to... proszę.

Nic z tego. Uniosłem lufę pistoletu i przemieściłem ją o pięć centymetrów, aż oparła się o jej podbródek. Kierując wylot lufy ku szczytowi jej głowy, odchyliłem twarz na bok. Jej oczy przesunęły się za moimi, kiedy odsunąłem bezpiecznik i nacisnąłem spust.

Krew i strzępy kości bryznęły mi na twarz.

Dokończyłem robotę, którą kazano mi wykonać. Tak właśnie starałem się myśleć w tamtej chwili. Zaraz potem poczułem ból w ręce, kiedy ktoś kopniakiem wytrącił mi broń.

Odwrócili mnie na plecy. Popatrzyłem do góry i zobaczyłem wszędzie czarne uniformy ochrony, a po chwili pokazał się nade mną Josh. Przesłonił wszystkich innych, z krwawej rany na boku twarzy skapywała na mnie jego krew. Usiłowali go odciągnąć ode mnie, kiedy zaczął mnie kopać, ale nie dawali rady.

Obróciłem się na bok i zwinąłem w kłębek, żeby się osłonić. Jak przez mgłę słyszałem wykrzykiwane rozkazy i panujące wokół mnie ogólne zamieszanie.

Traciłem przytomność. Josh nadal wrzeszczał nade mną i zdołał jeszcze parę razy kopnąć. To już nie miało znaczenia, nie czułem ciosu. Wreszcie straciłem przytomność.

Czerwiec 1998

Wyszedłem z mieszkania przy Cambridge Street, sprawdziłem, czy podłączyłem kluczyk do kółka na moim przyborniku i zamknąłem za sobą drzwi. Czułem się dziwnie, będąc w zasadzie więźniem w Pimlico. W przeszłości przyprowadzałem tu wielu ludzi o zmartwionych minach, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że kiedyś sam będę jedną z tych ofiar.

Przesłuchania trwały w nieskończoność. Firma usiłowała dogadać się z Amerykanami. Obydwie strony chciały mieć to za sobą, i nie były w tym osamotnione. Minęły cztery tygodnie od mojego wyjścia ze szpitala i od tamtej pory miałem zakaz opuszczania tej dzielnicy, co równało się niemal aresztowi domowemu. Dostawałem pieniądze po stawkach należnych za wykonywanie misji, ale nie czułem się zbyt komfortowo.

Żadna z moich ran nie bolała już za bardzo, ale nadal potrzebowałem całych garści antybiotyków. Rana wlotowa całkiem nieźle się zrosła. Zostało tylko wgłębienie w brzuchu, w takim samym żywym różowym kolorze jak klute rany na ręce.

Zszedłem po kilku ostatnich stopniach na chodnik i spojrzałem w lewo na tłum ludzi rozkoszujących się drinkiem na koniec tygodnia przy wystawionych przed pub stolikach piknikowych. Popołudniowa piątkowa godzina szczytu zamieniła całą ulicę w parking. Spaliny kotłowały się w słońcu wczesnego wieczoru. Jak na tę porę roku było niezwykle gorąco. Bardziej pasowało to do Los Angeles niż Londynu.

Przeszedłem pomiędzy stojącymi pojazdami w kierunku narożnego sklepu prowadzonego przez dwóch Azjatów: ojca i syna. Przywykli już do mnie, starszy z nich od razu zaczął składać egzemplarz „Evening Standard”, gdy tylko zobaczył, że wchodzę do sklepu. Czułem się jak ktoś tutejszy. Wyszedłem ze sklepu, przeciąłem ulicę, klucząc między samochodami, i ruszyłem do pubu. W środku było równie wielu ludzi jak na zewnątrz, a przez gwar rozmów przebijała się odtwarzana na cały

regulator piosenka Robbiego Williamsa. Zapach dymu, nieświeżego piwa i ludzkich ciał przypominał mi, żeby tu już nigdy nie przychodzić. Prawdę mówiąc, przypominał mi o tym każdego wieczoru.

Przejechałem się na tył sali, gdzie, jak wiedziałem, nie panował taki tłok, a poza tym podawano tam coś do jedzenia. Zacząłem rozpoznawać niektórych z bywalców: przegranych palantów takich jak ja, którzy nie mieli dokąd pójść, albo bawiących się na całego pracowników biur lub też starych facetów, którzy palili skręty i siedzieli całą godzinę nad kuflem ciepłego piwa.

Poprosiłem o moją normalną butelkę pilsa, wziąłem garść orzeszków z miski i ruszyłem do boksu. Boks, w którym było najwięcej miejsca, zajmował tylko jeden starszy facet, który wyglądał tak, jakby akurat wrócił z wycieczki zorganizowanej przez klub weteranów wojennych. Całe jego ubranie zdobiły baretki. Nie mógł tam siedzieć, zbyt długo: jeszcze nie dołał sobie butelki jasnego ale do półlitrowego kufła z piwem.

- Ktoś tu siedzi, kolego?

Podniósł wzrok i pokręcił głową. Usiadłem powoli na krześle, pilnując, żeby dżinsy się nie podciągnęły i nie odsłoniły obroży na prawej kostce. Pociągnąłem łyk pilsa i otworzyłem gazetę.

Była jak zwykle pełna krwawych historii. Siły etiopskie

i erytrejskie przestały się nawzajem bombardować z migów 23, żeby dać czas obywatelom obcych krajów na ewakuację drogą powietrzną ze strefy działań wojennych. Odpowiadały mi taka robota: po prostu normalna wojna. Człowiek przynajmniej wie, na czym stoi.

Przejrzałem resztę wiadomości, ale nadal nie było nic o wydarzeniach w Waszyngtonie. Żadnej wzmianki o ranach odniesionych przez ochroniarza z ERT i Josha. Wiedziałem już, że nigdy się nie ukażą. Lynn przekazał mi oficjalne stanowisko amerykańskie podczas jednej z naszych wieczornych przejażdżek po mieście. Prasa otrzymała krótki komunikat: będący pod wpływem stresu pracownik z obsługi Białego Domu doznał przejściowego ataku szału w podziemiach Białego Domu. Był to drobny incydent, który rozwiązano w ciągu kilku minut. Trzej przywódcy krajów nie zostali poinformowani o tej sytuacji aż do czasu, kiedy została opanowana. Najdłuższa wzmianka miała pięć wierszy i ukazała się w „Washington Post” następnego dnia po wydarzeniach.

Byłem zadowolony, że ochroniarz nie zginął. Został tylko ranny w udo, a to jest coś, o czym można opowiadać później wnukom. Josh z kolei porządnie oberwał w twarz. Lynn powiedział mi, że pocisk rozpruł mu prawy policzek, przez co wyglądał, jakby usta sięgały mu do ucha. Dowiedziałem się, że przeszedł udaną operację, ale wątpiłem, czy kiedykolwiek nada się na modela Calvina Kleina.

Miałem tylko nadzieję, że te jego chrześcijańskie praktyki będą działać na moją korzyść. Kiedy parę dni wcześniej siedziałem w mieszkaniu i czekałem na przybycie ekipy śledczej, słuchałem w radiu programu „Myśl na dzisiaj”. Jeśli nie możesz wybaczyć grzechu - mówił głos w radiu - przynajmniej staraj się wybaczyć grzesznikowi. Dla mnie brzmiało to niezłe. Oby Josh mógł odbierać w swoim samochodzie czwarty program BBC.

Jeszcze z nim nie rozmawiałem. Postanowiłem poczekać trochę, dać mu czas, żeby się uspokoił, a sobie, żeby wymyślić, co mu, do cholery, powiem.

Nie widziałem Kelly, odkąd Amerykanie oddali mnie pod opiekę Firmy. Rozmawialiśmy przez telefon, więc myślała, że nadal pracuję na wyjeździe. Powiedziała, że dzwonił do niej Josh. Nie mówił jej nic o tym, co się stało, tylko o tym, że ja i Sara byliśmy u niego w odwiedzinach.

Nadal nie żałowałem tego, że zabiłem Sarę. Najbardziej wkurzało mnie to, że za każdym razem, kiedy ktoś stawał mi się bliski, byłem przez tego kogoś kurewsko przerabiany. Przez każdego, to znaczy z wyjątkiem Kelly. Czyli wyglądało na to, że to ja powinienem tak postąpić w stosunku do niej.

Znowu spieprzyłem sprawę, składając obietnice, których nie mogłem dotrzymać. Nadal chciała pojechać do Bloody Tower i w dodatku ze mną. Umawiałem się z nią już trzy razy, po to tylko, żeby odwoływać wszystko w ostatniej chwili, bo przesłuchania ciągnęły się bez końca. W ten weekend przynajmniej jechała do dziadków. Wiedziałem, że Carmen i Jimmy rozpuszczą ją do reszty.

Pociągnąłem kolejny długi łyk pilsa. Do diabła z antybiotykami! I tak przeważnie zapominałem ich wziąć. Spojrzałem na zegarek. Jeszcze dwadzieścia minut do rozpoczęcia podawania posiłków.

Przesłuchania szły gładko, tak mi się wydawało, ale z tymi ludźmi nigdy nie wiadomo. Nie dawali mi tak bardzo popalić, jak się można było spodziewać, głównie dlatego, że Lynn i Elizabeth jechali na tym samym wózku co ja i dokładali starań, żeby im też się nie dobrali do tyłka. Ale nawet mimo to

każde wydarzenie z tych pięciu dni było roztrząsane w najmniejszych szczegółach. Oczywiście nic nie było rejestrowane, przecież nigdy nie doszło do tych wydarzeń.

Zresztą to i tak nie miało większego znaczenia. Okłamywałem przesłuchujący zespół, korzystając z instrukcji dostarczanych mi przez pułkownika. Spotykałem się z nim co wieczór, a jego Serb robił z nami kilka okrążeń po Londynie. Jak to ujął Lynn: „Potrzebujesz naprowadzenia, Nick, w kwestii niektórych bardziej, powiedzmy, delikatnych aspektów tej operacji”. Oczywiście chodziło o uniknięcie drobnego problemu T104, bo nawet członkowie zespołu śledczego nie wiedzieli, że coś takiego istnieje. Jedynymi zorientowanymi byli tacy parszywcy jak ja, a poza tym Elizabeth i Lynn. Dla przesłuchujących nie miałem nawet nazwiska. Określany byłem po prostu jako „płatny agent”. Całkiem mi to odpowiadało.

Lynn powiedział mi już, że zostałem wysłany do tej roboty, ponieważ jeżeli ktokolwiek potrafił znaleźć Sarę, to tylko ja. Byłem jednak przekonany, że jest coś jeszcze. Bez wątplenia tych dwoje cały czas wiedziało, co ona zamierza, więc myśleli, że tak się na nią wkurzę, że bez chwili wahania przepuszczę ją przez rozdrabniacz.

Wiedzieli nawet, gdzie się ukrywa, ale chcieli, żebym przeszedł przez etap poszukiwań. Zakładali, że jeżeli pomyślę, iż wytropiłem ją dzięki własnym wysiłkom, i jeżeli to, co zobaczę na miejscu, potwierdzi ich informacje, to jeszcze bardziej wprawi mnie to w odpowiedni nastrój.

Oczywiście w dalszym ciągu istniały pewne nie wyjaśnione elementy. Nadal nie potrafiłem dojść, czy Blasznany Mickey był uczestnikiem rozgrywki Lynna, czy nie. Przecież Lynn powiedział, że Mickey jest lojalny. Ale wobec kogo? A zresztą co mnie to, do kurwy nędzy, mogło obchodzić? Denerwowało mnie tylko, że oni nigdy nie umieją powiedzieć nic wprost. Po co zawracali sobie głowę wciskaniem mi tego całego kitu? Gdybym znał prawdę, to i tak wykonałbym robotę. Te ich gierki wkurzały mnie, a co gorsza narażały na niebezpieczeństwo.

Rzecz jasna śmierć Sary niczego nie zmieniła. Bin Laden nadal był na wolności i robił, co chciał. Jusuf umilkł, ale pewnie za jakiś rok czy dwa znowu się odezwie. Mnie z kolei znowu odmówili przyjęcia do stałej kadry: powiedzieli, że będę miał zły wpływ na zespół. Usiłowałem wyciągnąć za to jakąś forszę na do widzenia, twierdząc, że chociaż do wydarzeń w Białym Domu doszło być może z powodu mojego błędu, to jednak w końcu uchroniłem prezydenta przed śmiercią. Cóż... trzeba trochę pobajerować. Jednak nic to nie dało. Nawet najbardziej głuchy małol w pubie musiał słyszeć, jak się z tego śmieją. Otrzymałem jedynie obietnicę, że jak pisnę na ten temat choćby słowo, to będzie po mnie.

Teraz przejmowałem się głównie tym, co robić dalej. Musiałem zrobić jakąś prawdziwą forszę, żeby nie dać się już przerabiać tym ludziom. Może powinienem przyjrzeć się z bliska robocie łowców nagród w USA? Płatni terroryści, biali szowiniści czy południowoamerykańscy handlarze narkotyków też nie byłoby takim złym rozwiązaniem. A może spróbowałbym odzyskać stingery od mudzahedinów. Kto wie?

W butelce pokazało się dno. Przy kontuarze stały już trzy szeregami ludzi i dopchanie się po kolejne piwo zajęło mi mnóstwo czasu. Siadając z powrotem koło kumpla w boksie, znowu starałem się nie odsonić jasnoszarego paska plastiku otaczającego moją kostkę, do którego przytwierdzono pełne elektroniki pudełeczko o rozmiarach pięć na pięć centymetrów. Ponownie spojrzałem na zegarek: za dziesięć minut znikną orzeszki i na kontuar zostaną wyłożone karty dań. Prawdę mówiąc, nie były mi potrzebne. Znałem je na pamięć.

Znowu pomyślałem o Sarze. Dowiedziałem się więcej o niej podczas moich spotkań z Lynnem niż przez cały ten czas, kiedy ją znałem. Zawsze czułem, że coś przede mną ukrywa, ale na swój głupi sposób uznałem, że robi tak dlatego, że boi się zaangażować. Siedząc na popalonym papierosami czerwonym welurze, zacząłem oskubywać etykietkę z pilsa. Mój stary kumpel wyciągnął szyję, usiłując odczytać nagłówki w gazecie. Podałem mu ją.

Przedwczorajsza noc była znowu gorąca i wilgotna. Lynn zabrał mnie jak zwykle na nasze codzienne przesłuchanie na temat przesłuchania, ale tym razem przyjechał nowym voya-gerem. Wyglądało na to, że w tym roku podatkowym budżet Firmy został niezłe poprawiony. Klimatyzacja chodziła na pełnych obrotach. Serb jak zwykle patrzył wprost przed siebie na drogę.

- Jak w ogóle dopuszczono, żeby do tego doszło? - powiedziałem. - Jak to się stało, że nie podejrzewaliście jej wcześniej?

Lynn patrzył uparcie na zewnątrz przez przyciemnioną szybę.

- Elizabeth zgłaszała zastrzeżenia - odparł, wzruszając ramionami. - Porozmawialiśmy po cichu z paroma ludźmi, ale nie odkryliśmy nic konkretnego. Ta operacja w Syrii wyglądała na dobry moment, by ją sprawdzić.

Lynn z pewnością miał w ręku więcej elementów układanki, niż pozwalał mi zobaczyć, ale powiedział mi chociaż tyle. Operacja w Syrii została przeprowadzona tylko po to, by sprawdzić, czy Sara jest współpracownikiem bin Ladena. To był pomysł Elizabeth. Sara zmieniła dane, zabiła „Źródło” i zatarała ślady. Była w tym niezła. Pamiętałem, jak zabrała w lesie ubrania Amerykaninowi, a potem strzeliła mu w łeb. Jednak w Syrii nie okazała się wystarczająco dobra. Nie zda-wała sobie z tego sprawy, ale potwierdziła, że nie idzie co wieczór spać, nucąc pod nosem Rządź, Brytanio. Chodziło tylko o to, żeby doprowadziła nas do bin Ladena. Winą Elizabeth było, że nie poinformowała o wszystkim Amerykanów, kiedy Sara została wysłana do Waszyngtonu.

Lynn odwrócił się i spojrzał na mnie, tak jakby chciał przydać większego znaczenia następnej informacji.

- Sprawy odrobinę wymknęły się spod kontroli, kiedy Sara zaczęła brać aktywny udział w przygotowaniach do zamachu -powiedział. - Jak moglibyśmy w tej sytuacji powiedzieć o wszystkim naszym przyjacielom zza morza? Właśnie wtedy przyszła kolej na ciebie.

W milczeniu przełknąłem tę informację, jak zresztą mnóstwo innych bzdur, w których usiłowałem się połapać.

Zespół śledczy czepiał się bez sensu najdrobniejszych szczegółów, żeby wyjaśnić zachowanie Sary, a ja nie radziłem sobie z tym wiele lepiej.

- Wie pan, co ją do nich zbliżyło? - zapytałem Lynna.

Wydawało mi się, że on wie wszystko.

- No cóż, nigdy nie będziemy pewni. Ludzie nadal usiłują dojść, jak to było z T.E. Lawrence'em... i kto tak naprawdę wie, co sprawiło, że Philby i jego kompania robili to, co robili - powiedział i zamilkł na chwilę. - Nasi ludzie odwiedzili matkę Sary, by przekazać jej tragiczną wiadomość. Była oczywiście zasmucona, ale jednocześnie bardzo dumna z tego, że jej córka zginęła, służąc ojczyźnie.

- Myślałem, że jej rodzice nie żyją.

- Nie, tylko ojciec. Zmarł, kiedy miała siedemnaście lat. Nasi ludzie węszą wokół jej matki już od kilku tygodni. Wiesz, próbują znaleźć coś, co może nam się przydać.

Dalej powiedział mi, że ojciec Sary, George, był poważną figurą w branży naftowej, a przy tym zwolennikiem rygorystycznej dyscypliny i hipokrytą pierwszej wody. Spędził cały swój okres aktywności zawodowej na Bliskim Wschodzie i nigdy nawet nie polubił Arabów, to znaczy z wyjątkiem tych, którzy byli albo arystokratami, albo bardzo bogaci, a najlepiej jedno i drugie. Jego zdaniem rzucali się na wszystko, co zachodnie, podobnie jak muchy rzucają się na gówno. Na pewno właściwymi Arabami nie byli jego służący, wywodzący się z niższych warstw społecznych, i ich dziewięcioletni syn.

Jak powiedziała jej matka, przyjaźń pomiędzy Sarą i Abe-dem była absolutnie niewinna. Problem polegał na tym, że jej córka była po prostu rozpaczliwie samotna. Ale jeśli chodzi o George'a, to widział w każdym Arabie ukrytego gwałciciela, który tylko czyha na odpowiednią okazję.

Dzieci stanowiły nierozłączną parę. Sara była jedynaczką, mającą wyniosłego ojca-tyrana i potulną matkę. Nie istniał cień szansy, że zawrze jakiś trwały związek. Całe życie ciągnęli ją za sobą z miejsca na miejsce. Nie trzeba być autorem gazetowych porad, by zrozumieć jej radość, kiedy znalazła w końcu przyjaciela.

Jednak George nie był tym zachwycony. Pewnego dnia rodzice Abeda nie stawili się do pracy. Chłopiec też nie przyszedł po południu, chociaż zwykle tak robił. Cała rodzina zniknęła.

Kilka dni później ojciec Sary zabrał ją ze szkoły w Arabii Saudyjskiej i odesłał do szkoły z internatem w Wielkiej Brytanii. Dopiero po jego śmierci Sara dowiedziała się, co się naprawdę stało. Pomagała matce porządkować rzeczy ojca, kiedy natknęła się na złoty zegarek Rolex Navigator.

„Nie wiedziałam, że tata miał taki zegarek” - powiedziała.

Matka spojrzała na zegarek ,i wybuchła płaczem.

Powiedziała Sarze, że George otrzymał roleksa od pewnego wdzięcznego biznesmena. Chłubił się tym zegarkiem. Pewnego razu oskarżył Abeda o kradzież roleksa i wyrzucił całą rodzinę na ulicę. Z opinią złodziei mieli zerowe szanse na znalezienie pracy. Mieli dożyć swoich dni jako ludzie-śmieci, najniżsi z najniższych, żyjące na krawędzi śmierci głodowej wyrzutki społeczeństwa. Sara wysłuchała jej opowieści do końca i wyszła z domu bez słowa. Matka nigdy więcej jej nie zobaczyła.

- Oczywiście nie daję się nabrać na te bzdury, że wszystkiemu w życiu są winne urazy z dzieciństwa - oznajmił Lynn. - Moi rodzice wlekli mnie za sobą po całej Azji Południowo-Wschodniej, aż do czasu, kiedy skończyłem siedem lat, a potem poszedłem do Eton. Wcale mi to nie zaszkodziło.

Dziewczyna, która obsługiwała mnie jakiś czas temu, bezceremonialnie rzuciła na kontuar karty dań. Myśl o tym, że musi wydać kolejne sto porcji czegoś tam z chipsami, najwyraźniej nie wprawiała jej w dobry humor. Postanowiłem zamówić zapiekankę i jeszcze jedno piwo. Tak samo jak wczoraj wieczorem i przedwczoraj. Dochodziła siódma czterdzieści osiem. Zostało jeszcze ponad pół godziny do spotkania.

Kiedy opuściłem pub, ulica nadal była zapchana przez samochody, które jednak już jeździły. Skręciłem w lewo, spojrzałem znów na zegarek i ruszyłem w kierunku Dworca Wiktorii. Trzydzieści minut do spotkania. Skręciłem dwa razy za róg i zatrzymałem się, czekając, by zobaczyć, czy ktoś za mną idzie. Nikogo nie było.

Przeszedłem ulicę i przeciąłem osiedle mieszkaniowe, które było zapchane samochodami, usiadłem na murku przy zsypie na śmieci i zacząłem czekać. Kilkoro dzieci jeździło na desce tam i z powrotem po jedynym czystym kawałku asfaltu, jaki mogły tam znaleźć, czyli po dojazdowej drodze łączącej się z ulicą prowadzącą do dworca. Słuchałem ich krzyków, usiłując przypomnieć sobie, kiedy byłem taki jak oni.

Wróciłem myślami do Kelly, do dziewczynki, której zabito całą rodzinę. Miała teraz zastępczego ojca, ale ciągle sprawiał jej zawód. I co gorsza, prawdopodobnie nie miała żadnego bliższego przyjaciela niż ja. Przypomniałem sobie słowa Sary: „Masz teraz dziecko. Mam nadzieję, że pożyjesz na tyle długo, by je zobaczyć”.

Żeby oderwać się od ponurych myśli i powrócić do rzeczywistości, przypomniałem sobie dwa poważne wnioski, które wyciągnąłem z nauki w Waszyngtonie. Pierwszy brzmiał: nigdy więcej nie można być tak miękkim w stosunku do kogoś, kto pokazuje, że darzy mnie jakimś uczuciem. Musiałem przestać się oszukiwać, że znam czy nawet rozumiem tego rodzaju rzeczy. Drugi wniosek był prostszy: należy zawsze nosić ze sobą pistolet. Już nigdy nie zamierzałem bawić się w Robin Hooda.

Ściemniało się, a ja siedziałem dalej, patrząc i nasłuchując. Nadal prześladowały mnie słowa Sary: „Masz teraz dziecko...”. Lada moment miał się pokazać voyager. Spojrzałem na swój zegarek Baby G, przypominając sobie roleksa George'a, i już wiedziałem, co muszę zrobić. Nie byłem najlepszym wzorem dla Kelly, ale żeby chociaż mogła na mnie polegać. Kto wie, może Sara, oszczędzając mi życie, dała mi szansę, bym właściwie postąpił.

Odszedłem pospiesznie z miejsca spotkania i przeskoczyłem przez płot otaczający ogród osiedlowy. Przykucnąłem w cieniu, wyciągnąłem z kieszeni przyborek, otworzyłem ostrze noża i przeciąłem plastikową taśmę opasującą kostkę. Potem, korzystając ze szczypek przyborka, gładko rozprawiłem się ze schowaną pod plastikiem szeroką na centymetr stalową opaską.

Wiedziałem, że przerwanie obwodu automatycznie powoduje wszczęcie alarmu. W momencie kiedy odrzucałem opaskę w krzaki, ludzie z zespołu alarmowego biegli już do samochodów ponaglani przez rozkazy przekazywane im przez indywidualne odbiorniki.

Przeskoczyłem z powrotem przez płot i równym, szybkim krokiem ruszyłem w kierunku Dworca Wiktorii. Co mi mogą, do cholery, narobić? No, całkiem sporo, ale jak na razie mogłem się tym nie przejmować. Nie byłem normalnym zbiegiem. Postanowiłem wrócić do mieszkania w niedzielę, żeby pogadać z tymi tępakami o Afganistanie. Jedyna różnica polegała na tym, że dostanę dwóch nowych kumpli z równie masywnymi karkami jak kark Serba i ci będą mnie strzec dwadzieścia cztery godziny przez siedem dni w tygodniu, na wypadek gdyby znowu opanowała mnie chęć zrobienia sobie weekendowego wypadu.

Po drugiej stronie osiedla rozległo się już wycie syren. Musieli się nieźle wkurzyć, skoro wezwali policję.

Zbliżając się do dworca, miałem nadzieję, że członkowie zespołu śledczego mają własne dzieci i rozumieją, kiedy wytłumaczę im, że w niedzielę chciałem tylko zabrać swoje dziecko na wycieczkę do Bloody Tower. W końcu złożyłem jej obietnicę. Obietnicę normalnego człowieka.